

Trupia główka

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27

Trupia glowka

Anita Blake [5]

Laurell K. Hamilton

ZYSK I S-KA (2009)

Etykiety: Ghost, Horror, General, Occult Supernatural, Fiction

LAURELL K. HAMILTON

TRUPIA GŁÓWKA

PODZIĘKOWANIA

Jak zawsze dla mojego męża, Gary'ego, kochanego jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Dla mojego wydawcy, Ginjer Buchanan, której uwagi usprawniły postać Serephiny. Dla Paty Cockrum, której zawdzięczacie scenę w wannie. Dla Marelli Sands, która miała rację co do naszych reakcji na Stirlmga. Dla Marka Sumnera za szybką lekturę i pytania. Do kogo innego mogłabym zadzwonić o północy bez obawy, że go obudzę? Jak zawsze dla Deborah Millitello za nagłe telefony i wsparcie. Dla Retta MacPhersona, któremu czytałam fragmenty tej książki przez telefon. Dla Toma Drennana i N. L. Drew, nowych talentów w grupie. Alternate Historians na zawsze. Jean - Claude, nareszcie rozejm. Dla sierż. St. Clair z policji drogowej stanu Missouri za odpowiedzi na liczne złożone pytania. Dla Bryndy Mitchell, dzięki za pingwinka. I dziękuję wszystkim, którzy do nas napisali.

Był Dzień Świętego Patryka, a jedyną zieloną rzeczą, jaką miałam na sobie, był znaczek z napisem „Tknij mnie, a będzie po tobie”. Wczoraj w nocy zaczęłam pracę w zielonej bluzce, ale upała się krwią zdekapitowanego kurczaka. Larry Kirkland, mój protegowany, upuścił bezgłowego ptaka. Ten zaczął biegać w tę i z powrotem, zachlapując krwią nas oboje. W końcu go złapałam, ale bluzkę już miałam z głowy.

Musiałam wrócić do domu i przebrać się. Jedyne, co jeszcze nadawało się do założenia, to grafitowy zakiet, który miałam w samochodzie. Nałożyłam go, a do tego czarną bluzkę, czarną spódnicę, czarne rajstopy i czarne botki. Bert, mój szef, nie lubił, gdy nosiliśmy się w pracy na czarno, skoro jednak miałam stawić się w biurze o siódmej rano, nie zmrużywszy nawet oka, będzie musiał jakoś to wytrzymać.

Nachyliłam się nad kubkiem z kawą; zrobiłam sobie prawdziwą siekierę. Niewiele pomogła. Wlepiłam wzrok w rozrzucone na blacie biurka błyszczące fotografie. Pierwsza ukazywała wzgórze, które zostało brutalnie rozkopane, zapewne z pomocą buldożera. Z gleby wyłaniała się koścista ręka. Następne zdjęcie przedstawiało kogoś, kto skrupulatnie starał się odgarnąć ziemię, odsłaniając roztrzaskaną trumnę i znajdujące się w niej kości. Nowe ciało. Znowu posłużono się buldożerem. Lemiesz wgryzł się w rdzawą ziemię i odkrył cementarzysko. Kości wyłaniały się z ziemi niczym upiorne kwiaty.

Żuchwa jednej z czaszek była opadnięta, jakby w niemym krzyku. Z czaszki zwisało kilka kępek siwych włosów. Ciemne, poplamione strzępy materiału, w które owinięte było ciało, stanowiły pozostałości sukni. Zauważyłam co najmniej trzy kości udowe leżące obok górnej części czaszki. O ile trup nie miał trzech nóg, miałam przed sobą prawdziwe pobojuwisko. Istny Meksyk.

Zdjęcia były dość mroczne i posępne. Fakt, że były kolorowe, pozwalał na rozróżnienie zwłok, ale nie podobało mi się, że papier był błyszczący. Wyglądały jak zdjęcia z kostnicy wykonane przez fotografa od mody. Zapewne w Nowym Jorku znalazłaby się niejedna galeria, gdzie zdecydowano by się je wystawić, a goście przy poczęstunku z koreczków serowych i wina oglądaliby je, wymieniając uwagi w rodzaju: „Mocne, nieprawdaż?”. „Oczywiście. Nawet bardzo”.

Były mocne. I bardzo smutne.

Prócz nich nie było nic więcej. Żadnych wyjaśnień. Bert powiedział, że bym po obejrzeniu tych zdjęć pofatygowała się do jego gabinetu. Wszystko mi wyjaśni. Jasne, na pewno mu uwierzę. Tak jak w to, że jest Świętym Mikołajem.

Pozbierałam zdjęcia, wsunęłam do koperty, wzięłam do drugiej ręki kubek z kawą i ruszyłam w stronę drzwi.

W recepcji nie było nikogo. Craig poszedł do domu. Mary, nasza dzienna sekretarka, zjawi się w firmie dopiero o ósmej. Między szóstą a ósmą w biurze nie było zwykle żywego ducha. To, że Bert

zapraszał mnie do swego gabinetu, gdy byliśmy w firmie zupełnie sami, trochę mnie zaniepokoiło. No, nawet bardziej niż trochę. Po co ta całą tajemniczość?

Drzwi do gabinetu Berta były otwarte. On sam siedział za biurkiem, popijając kawę i sortując jakieś papiery. Uniósł wzrok, uśmiechnął się i gestem zaprosił mnie do środka. Ten uśmiech zaniepokoił mnie jeszcze bardziej. Bert nigdy nie zachowywał się wobec mnie uprzejmie, jeśli na czymś mu nie zależało.

Miał na sobie garnitur za tysiąc dolarów, śnieżnobiałą koszulę i elegancki krawat. W jego szarych oczach błyszczały pogodne iskierki. Jego oczy mają barwę brudnych szyb, więc pozyskanie takiego efektu kosztuje go sporo wysiłku. Jasne, niemal siwe włosy miał starannie przystrzyżone. Tak krótko, że mogłam dostrzec skórę na jego czaszce.

- Usiądź, Anito.

Cisnęłam kopertę na blat biurka i usiadłam.

- W co chcesz mnie wpakować, Bert? Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zwykle taki uśmiech rezerwował wyłącznie dla klientów. Po co miałby marnować go dla mnie?

- Obejrzałaś zdjęcia?

- Tak, bo co?

- Mogłabyś ich ożywić?

Spojrzałam na niego badawczo, sącząc kawę.

- Ile mają lat?

- Nie potrafisz tego oszacować na podstawie zdjęć?

- Mogłabym pokusić się o próbę ustalenia ich wieku, ale nie na podstawie zdjęć. Odpowiedz na moje pytanie.

- Około dwieście lat. Uważnie na niego patrzyłam.

- Większość animatorów nie jest w stanie ożywić tak starych nieboszczyków bez konieczności złożenia ofiary z człowieka.

- Ale ty mogłabyś - zasugerował.

- Tak. Na zdjęciach nie zauważyłam żadnych nagrobków. Znamy jakieś nazwiska?

- A po co?

Pokręciłam głową. Był szefem firmy od pięciu lat, założył ją tylko z Mannym, kiedy nawet on

sam nie miał jeszcze zielonego pojęcia o ożywianiu zmarłych.

- Jak to możliwe, że przebywając od tak dawna wśród animatorów, tak mało wiesz o naszej pracy?

Uśmiech przygasł na chwilę, podobnie jak iskierki w jego oczach.

- Po co ci nazwiska?

- Są potrzebne przy wywoływaniu zmarłych z grobów.

- Nie znając nazwiska, nie możesz ich ożywić?

- Teoretycznie nie - odparłam.

- Ale ty możesz tego dokonać - stwierdził. Nie spodobała mi się jego pewność siebie.

- Tak. Mogę. John zapewne również potrafiłby tego dokonać. Pokręcił głową.

- Oni nie chcą Johna. Dopiłam kawę.

- Oni, to znaczy kto?

- Beadle, Beadle, Stirling i Lowenstein.

- Kancelaria prawnicza - mruknęłam. Skinął głową.

- Dość tych gier, Bert. Gadaj, co jest grane, u diabła.

- Beadle, Beadle, Stirling i Lowenstein mają klientów, którzy rozpoczęli prace nad wybudowaniem w górach pod Branson ekskluzywnego kurortu. Powiedziałbym nawet - bardzo ekskluzywnego. Chodzi o miejsce, gdzie zamożne, bogate gwiazdy country, nieposiadające w tej okolicy własnego domu, mogłyby odizolować się od tłumów. W grę wchodzi miliony dolarów.

- Co ma z tym wspólnego stare cmentarzysko?

- Ziemia, na której prowadzone są prace, stanowi przedmiot sporu pomiędzy dwiema rodzinami. Decyzją sądu grunty zostały przyznane Kellym i rodzina ta włożyła naprawdę duże pieniądze w tę inwestycję. Rodzina Bouvierów oświadczyła, że te grunty należą do nich i że dowodem na to ma być cmentarz rodzinny znajdujący się na spornym terenie. Jednakże cmentarza nie odnaleziono.

- A oni go odnaleźli - wtrąciłam.

- Znaleźli stare cmentarzysko, ale niekoniecznie musi to być rodzinna nekropolia Bouvierów.

- I pewnie chcą, żeby ożywić zmarłych i zapytać ich, kim są?

- Otóż to. Wzruszyłam ramionami.

- Mogę ożywić kilku nieboszczyków spoczywających w trumnach i zapytać o ich tożsamość. Co się stanie, jeśli okaże się, że to jednak Bouvierowie?

- Kelly będą musieli nabyć te tereny powtórnie. Uważają, że niektóre z tych zwłok mogą należeć do Bouvierów. Dlatego domagają się ożywienia wszystkich zmarłych.

Uniosłam brwi.

- Chyba żartujesz.

Pokręcił głową, wyglądał na zadowolonego.

- Możesz to zrobić?

- Nie wiem. Pokaż mi jeszcze te zdjęcia. - Postawiłam kubek na biurku i sięgnęłam po fotografię. - Bert, oni rozpieprzyli to wszystko w drobny mak. Dzięki buldożerom to miejsce przemieniło się w masowy grób. Kości są pomieszane. Słyszałam tylko o jednym przypadku ożywienia zombi z masowego grobu. Ale tam chodziło o przywołanie konkretnej osoby. Znano jej imię i nazwisko. - Pokręciłam głową. - Bez imion i nazwisk to może okazać się niemożliwe.

- Zechciałabyś spróbować?

Rozłożyłam zdjęcia na blacie i wlepiłam w nie wzrok. Górna połowa czerepu była odwrócona jak biała, koścista czarka. Obok niej spoczywały kości dwóch palców połączone czymś suchym i pomarszczonym, co zapewne niegdyś musiało być żywą ludzką tkanką. Kości, wszędzie kości, ale żadnych imion czy nazwisk, które można by wymówić. Czy mogłam tego dokonać? Szczerze mówiąc, sama nie wiedziałam. Czy chciałam spróbować? Tak. Jasne, że tak.

- Tak. Chciałabym.

- Doskonale.

- Nawet jeśli podołam zadaniu, ożywianie ich po kilku co noc potrwa dobrych parę tygodni. Z pomocą Johna poszłoby mi szybciej.

- Tak długa zwłoka kosztowałaby ich milion dolarów - rzucił Bert.

- Nie ma innej możliwości - odparłam.

- Ożywiłaś całą rodzinę Davidsonów, włącznie z pradziadkiem. A przecież nikt nie kazał ci go przywoływać. Potrafisz ożywić więcej niż jednego nieboszczyka naraz.

Pokręciłam głową.

- To był przypadek. Popisywałam się. Chcieli ożywić troje członków rodziny. Pomyślałam, że oszczędzą na funduszach, jeśli zrobię to za jednym zamachem.

- Ożywiłaś wtedy dziesięciu nieboszczyków, Anito. A chodziło tylko o trzech.

- I co z tego?

- Potrafiłabyś ożywić nieboszczyków z całego cmentarzyska w jedną noc?

- Chyba ci odbiło - ucięłam.

- Potrafiłabyś?

Otworzyłam usta, aby zaprzeczyć, ale zaraz je zamknęłam. Już raz ożywiłam umarłych z całego cmentarza. Nie wszyscy mieli po dwieście lat, ale kilku spośród nich było nawet starszych - liczyli sobie po trzysta lat z okładem. A ja ożywiłam ich wszystkich. Rzecz jasna mocy przydała mi ofiara z dwóch ludzi, jaką wówczas złożyłam. To długa historia, ale ostatecznie stało na tym, że zabiłam dwóch ludzi wewnątrz kręgu mocy. Zrobiłam to w samoobronie, ale magii jest to obojętne. Śmierć to śmierć.

Czy potrafiłabym to zrobić?

- Naprawdę nie wiem, Bert.

- Nie zaprzeczasz - stwierdził. Wydawał się pełen napięcia, niepokoju i radosnego wyczekiwania.

- Musieli zaoferować ci mnóstwo pieniędzy - powiedziałam.

Uśmiechnął się.

- Negocjacje jeszcze trwają.

- Słucham?

- Wysłali swoją ofertę do nas, do Resurrection Company w Kalifornii i Essential Spark w Nowym Orleanie.

- Wolą, by nazywać ich Elan Vital - poprawiłam. Szczerze mówiąc, ta nazwa bardziej kojarzyła mi się z salonem piękności niż z firmą animatorską, ale nikt mnie nie pytał o zdanie. - I co? Najniższe honorarium wygrywa? Firma, która zaproponuje najtańszą usługę, realizuje zlecenie?

- Dokładnie - odparł Bert. Wydawał się zadowolony z siebie.

- Co? - spytałam.

- Pozwól, że wyłuszczę ci wszystko jeszcze raz - powiedział. - Ilu jest w tym kraju animatorów zdolnych ożywić tak starych nieboszczyków bez składania ofiar z ludzi? Po pierwsze ty i John. A także Phillipa Freestone z Kalifornii.

- Zapewne tak - przyznałam. Skinął głową.

- W porządku. Czy Phillipa mogłaby ożywić tych zmarłych, nie dysponując ich nazwiskami?

- Nic mi tym nie wiadomo. John by mógł. Może ona także.

- Czy ona lub John mogliby przywołać zmarłych z masowego grobu, a nie z trumien?

Zamurowało mnie.

- Nie wiem.

- Czy którekolwiek z nich potrafiłoby przywołać zmarłych z całego cmentarza?

Patrzył na mnie z uwagą.

- Coś za bardzo cię to bawi - mruknęłam.

- Po prostu odpowiedz na pytanie, Anito.

- Wiem, że John nie dałby rady tego dokonać. Nie sędzę, aby Phillipa dorównywała Johnowi talentem, więc nie, żadne z nich nie sprostałoby temu zadaniu.

- Zamierzam podbić stawkę - powiedział Bert. Zaśmiałam się.

- Podbić stawkę?

- Nikt inny tego nie zrobi. Nikt oprócz ciebie. Zleceniodawca potraktował to jak zwykły kontrakt. Tyle że nie ma co liczyć na inne konkurencyjne oferty, prawda?

- Raczej nie - przyznałam.

- W takim razie zamierzam nielecho ich oszwabić - odparł z uśmiechem.

Pokręciłam głową.

- Ty chciwy sukinsynu.

- Ty też dostaniesz z tego działkę. Przecież wiesz.

- Wiem. - Wymieniliśmy spojrzenia. - A co, jeśli spróbuję, ale nie zdołam ożywić wszystkich jednej nocy?

- Ale tak czy owak wszystkich ich ożywisz, prawda?

- Przypuszczam, że tak. - Wstałam i wzięłam swój kubek, - Ale nie radzę ci realizować czeku, dopóki nie wykonam tego zlecenia. A teraz idę do domu. Chcę się wreszcie przespać.

- Zamierzają zakończyć negocjacje dziś rano. O ile przyjmą nasze warunki, przyślą po ciebie śmigłowiec. Dolecisz nim na miejsce realizacji zlecenia.

- Śmigłowiec? Wiesz, że nie znoszę latania.

- Za takie honorarium polecisz. I to bez gadania.

- Pięknie.

- Bądź gotowa. Mogą się zjawić właściwie w każdej chwili.

- Tylko nie przeginaj, Bert. - Przystanęłam przy drzwiach. - Chciałabym zabrać z sobą Larry'ego.

- Po co? Skoro John nie dałby sobie z tym rady, to Larry tym bardziej... Wzruszyłam ramionami.

- Może nie, ale są sposoby, aby podczas ożywiania połączyć moce dwóch i więcej animatorów. Gdybym nie była w stanie dokonać tego sama, mój młody protegowany mógłby mnie trochę podładować swoją mocą.

Wyglądał na zamyślonego.

- Dlaczego nie weźmiesz Johna? Połączywszy jego i twoje moce, z pewnością nie zawiedziesz.

- O ile zechciałby podzielić się ze mną swoją mocą. Myślisz, że przystałby na to?

Bert pokręcił głową.

- Powiesz mu, że został odrzucony przez twojego klienta? Że zaproponowałeś komuś jego usługi, ale ten ktoś poprosił właśnie o mnie?

- Nie - odrzekł Bert.

- I właśnie dlatego rozmawiamy tu i teraz - bez świadków.

- Chodzi o czas, Anito.

- Jasne, Bert. Przede wszystkim chodzi ci jednak o to, że nie chcesz powiedzieć Johnowi Burke'owi, że ktoś zażyczył sobie moich usług, że poprosił konkretnie o mnie.

Bert wlepił wzrok w swoje grube palce rozłożone na blacie biurka. Po chwili spojrzał na mnie z ponurą miną.

- John jest niemal tak samo dobry jak ty, Anito. Nie chcę go stracić.

- Myślisz, że mógłby odejść, gdyby okazało się, że klienci wolą raczej mnie niż jego?

- To zraniłoby jego dumę - stwierdził Bert. - Nie wiem, czy zniósłby jeszcze jeden taki cios.

- Jego duma już doznała poważnego uszczerbku - dodałam.

Bert uśmiechnął się.

- To, że z niego drwiesz, na pewno nie rozładuje napiętej sytuacji.

Wzruszyłam ramionami. Może to głupio zabrzmieć, jeśli powiem, że to on zaczął, ale tak właśnie było. Spotykaliśmy się przez krótki czas, ale John nie mógł znieść, że jestem niejako jego żeńskim odpowiednikiem. I że mogłam być od niego lepsza.

- Zachowuj się profesjonalnie, Anito. Larry jest na to za młody, potrzebujemy Johna.

- Zawsze jestem profesjonalistką, Bert. Wiem, jak mam się zachowywać.

Westchnął.

- Gdyby nie to, że zarabiasz dla mnie tyle szmalu, już dawno temu wylałbym cię na zbity pysk.

- Sama bym odeszła - odparowałam.

To w pełni odzwierciedlało nasze relacje. Łączyły nas wyłącznie wspólne interesy. Nie przepadaliśmy za sobą nawzajem, ale mogliśmy wspólnie zarabiać pieniądze. Nie ma jak wolny rynek.

W południe Bert zadzwonił i oznajmił, że mamy tę robotę.

- Bądź w biurze o czternastej, spakowana i gotowa do drogi. Pan Lionel Bayard zabierze śmigłowcem na miejsce ciebie i Larry'ego.

- Kim jest Lionel Bayard?

- To młodszy wspólnik w firmie Beadle, Beadle, Stirling i Lowenstein. Lubi dźwięk własnego głosu. Nie wyzywaj się za to na nim.

- Kto, ja?

- Anito, nie drwij sobie z posługacza. Może nosić garnitur za trzy tysiące dolarów, ale to tylko posługacz.

- Wstrzymam się z komentarzami, dopóki nie spotkam któregoś ze wspólników. Z całą pewnością będę miała okazję poznać osobiście Beadle'a, Beadle'a, Stirlinga lub Lowensteina.

- Z szefami też nie zadzieraj - ostrzegł mnie.

- Wedle życzenia - odparłam łagodnym tonem.

- Zrobisz, co zechcesz, niezależnie od tego, co powiem, prawda?

- Rany, Bert, czy naprawdę wierzysz, że nie można nauczyć starego psa nowych sztuczek?

- Po prostu bądź tu o czternastej. Zadzwoniłem już do Larry'ego. Przyjedzie.

- Też będę, Bert. Muszę tylko wstąpić jeszcze w jedno miejsce, więc nie denerwuj się, jeśli spóźnię się parę minut.

- Nie spóźnij się.

- Zjawię się najszybciej, jak będę mogła. - Przerwałam połączenie, zanim zdążył się ze mną pokłócić.

Musiałam wziąć prysznic, przebrać się i odwiedzić gimnazjum Seckmana. Richard Zeeman pracował tam jako nauczyciel. Byliśmy na jutro umówieni. W którymś momencie Richard poprosił mnie o rękę. Co prawda jeszcze nieoficjalnie, ale byłam mu winna coś więcej niż wiadomość nagraną na automatycznej sekretarce o treści: „Wybacz, kochanie, z jutrzejszej randki nici. Muszę wyjechać z miasta”. Tak byłoby mi łatwiej, ale to byłoby tchórzostwo.

Spakowałam jedną walizkę. Wystarczy na cztery dni, może nawet nieco dłużej. Jeśli spakujesz

dodatkową bieliznę i ciuchy, które będą odpowiednio dobrane, możesz przetrwać tydzień, mieszcząc wszystko w niedużej walizce.

Dorzuciłam parę dodatków. Firestara kaliber 9 mm z wewnętrzną kaburą. Do tego dość amunicji, by zatopić krążownik, i dwa noże w pochewkach na przedramiona. Miałam cztery noże. Wszystkie wykonane na zamówienie. Dwa z nich przepadły. Będę musiała zamówić nowe, ale wykucie ich ręcznie trwa dość długo, zwłaszcza gdy stal ma zawierać jak największą domieszkę srebra. Dwa noże i dwie spławy powinny wystarczyć na weekendowy wypad. Browning hi - power powędruje do kabury podramiennej.

Pakowanie się i kwestia uzbrojenia nie stanowiły problemu. Gorzej było z tym, w co mam się dziś ubrać. Chcieli, abym, jeśli to możliwe, ożywiła tych nieboszczyków jeszcze tej nocy. Do licha, śmigłowiec mógł dowieźć nas bezpośrednio na miejsce budowy. To oznaczało, że będę chodzić po błocie, kościach i rozbitych trumnach. Szpilki raczej nie wchodziły w rachubę. Tyle że jeśli młodszy wspólnik nosił garnitur za trzy tysiące dolarów, ludzie, którzy mnie wynajęli, na pewno spodziewali się, że będę wyglądać odpowiednio. Miałam do wyboru ubiór roboczy albo pióra i krew. Jeden z klientów swego czasu poczuł się rozczarowany, że nie pojawiam się przed nim naga i umazana krwią. Może powodów jego rozczarowania było więcej. Chyba nie miałam żadnego klienta, który protestowałby przeciwko strojowi obrzędowemu, ale dzinsy i buty do biegania jakoś nie wzbudzały u ludzi zaufania. Nie pytajcie dlaczego.

Mogłam spakować swój kombinezon i nałożyć go na to, co będę mieć na sobie. Tak, to mi pasowało. Veronica Sims - Ronnie, moja najlepsza przyjaciółka, namówiła mnie na kupno modnej, krótkiej granatowej spódniczki. Była trochę przykrótka, co wprawiało mnie w zakłopotanie, ale świetnie pasowała, gdy nakładałam na nią kombinezon. Nie miała się ani nie podwijała, gdy odwiedzałam w roboczym stroju miejsca zbrodni lub cmentarze, gdzie kołkowałam Wampiry. Po zdjęciu kombinezonu byłam gotowa iść do biura albo na raut. Byłam z niej tak zadowolona, że kupiłam jeszcze dwie takie spódniczki w różnych kolorach.

Jedna była karmazynowa, druga fioletowa. Nie trafiłam jak dotąd na czarną. A w każdym razie nie natrafiłam na dostatecznie długą czarną spódniczkę, abym mogła ją założyć. Fakt, w krótkich spódniczkach wydają się wyższe. I moje nogi wydają się dłuższe. To duży atut, jeżeli masz metr pięćdziesiąt siedem. Fiolet nie pasował jednak do większości moich rzeczy, więc z konieczności wybrałam karmazynową.

Znalazłam bluzkę z krótkim rękawem w podobnym odcieniu czerwieni. Czerwień z fioletowym półtonem, zimny, ostry kolor doskonale współgrający z moją bladą cerą, czarnymi włosami i ciemnobrązowymi oczami. Kabura podramienna i browning hi - power 9 mm wyglądały na tym tle bardzo dramatycznie. Przez opinający mnie w talii czarny pasek przeplecione były szelki połączone z kaburą podramienna. Aby ukryć broń, wybrałam czarny żakiet z zawiniętymi rękawami. Przejrzałam się w lustrze w sypialni. Spódniczka nie była o wiele dłuższa od żakietu, ale przynajmniej nie było widać pistoletu. No, powiedzmy, że trudniej go było dostrzec. Ciężko jest ukryć broń, o ile nie szyjesz ubrań na miarę u naprawdę dobrego krawca, a już kobieta ma z tym prawdziwe utrapienie.

Nałożyłam delikatny makijaż, aby nie przesadzić z czerwienią. Poza tym miałam rozstać się z Richardem na kilka dni. Delikatny makijaż jeszcze nikomu nie zaszkodził. Gdy mówię makijaż, mam

na myśli cienie do powiek, róż i szminkę. To wszystko. Poza wywiadem telewizyjnym, do którego nakłonił mnie Bert, nie używam podkładu.

Jeśli nie liczyć pończoch i czarnych szpilek, które nosiłam niezależnie od rodzaju spódnicy, czułam się w tym stroju swobodnie. O ile nie zapomnę, że nie wolno mi się zanadto pochylać, powinnam być bezpieczna.

Jedyną biżuterią, jaką miałam na sobie, był ukryty pod bluzką srebrny krzyżyk i zegarek na ręce. Cebula, którą miałam, zepsuła się i jakoś nie miałam okazji dać jej do naprawy. Obecnie nosiłam czarny męski zegarek dla nurków, który wyglądał na moim szczupłym nadgarstku dość dziwnie. Za to świecił za naciśnięciem przycisku, wskazywał datę i miał stoper. KobiECE zegarki nie miały takich bajerów.

Nie musiałam odwoływać jutrzejszej przebieżki z Ronnie. Veronica wyjechała z miasta. Prowadziła jakąś sprawę. Prywatni detektywi pracują przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zapakowałam walizkę do dzipa i o trzynastej ruszyłam w kierunku szkoły Richarda. Spóźnię się do biura. A co tam, do cholery. Zaczekają na mnie. Albo i nie. Nie darłabym sobie włosów z głowy, gdyby ominął mnie lot śmigłowcem. Nie znosiłam samolotów, a helikoptery najzwyczajniej w świecie mnie przerażały.

Nie bałam się latania, aż któregoś razu samolot, na którego pokładzie się znajdowałam, w ciągu kilku sekund opadł o kilkaset metrów. Oblane kawą stewardesy latały pod sufitem. Ludzie krzyczeli i modlili się. Starsza kobieta obok mnie odmawiała *Ojcie nasz* po niemiecku. Tak bardzo się bała, że łzy ciekły jej po twarzy. Podałam jej rękę, a ona ją ścisnęła. Wiedziałam, że umrzemy i że już nic nie może nas uratować. Ale przynajmniej umrzemy, trzymając za rękę drugiego człowieka. Nie odejdziemy sami. Będą nam towarzyszyć łzy i słowa modlitwy. Aż tu nagle samolot wyrównał lot i okazało się, że już nic nam nie grozi. Byliśmy bezpieczni. Od tej pory nie ufam liniom lotniczym.

Zwykle w St. Louis nie ma normalnej wiosny. Jest zima, dwa dni łagodnej pogody i letnie upały. Tego roku wiosna nadeszła wcześniej i już pozostała. Wiał lekki, ciepły wietrzyk. Jego podmuchy niosły z sobą zapach świeżej zieleni i usuwały w cień wspomnienia mroźnej zimy. Na drzewach po obu stronach drogi widać było świeże pąki. Tu i ówdzie dostrzec można było małe fioletowe kwiatki wyglądające jak lawendowa mgiełka. Nie było jeszcze liści, ale w powietrzu czuło się już odradzającą się zielen. Zupełnie jakby ktoś wziął ogromny pędzel i przemalował wszystko. Patrząc na nie z bliska, drzewa wydawały się nagie i czarne, ale oglądane kątem oka, nie pojedyncze, lecz całe kępy drzew zdawały się mieć lekko zielonkawy odcień.

270 Południowa to całkiem miła autostrada, przyjemnie się nią jedzie, dotrzesz nią tam, dokąd zmierzasz, w miarę szybko i sprawnie. Wyjechałam na nią przez Tesson Ferry Road. Wzdłuż tej trasy aż roi się od centrów handlowych, szpitali i barów szybkiej obsługi, a pozostawiwszy za sobą dzielnicę handlową, wjeżdżasz na teren budowy nowych osiedli mieszkaniowych, gdzie domy stoją tak blisko siebie, że niemal się stykają. Jest tu jeszcze trochę drzew i wolnej przestrzeni, ale obawiam się, że już niedługo.

Skręt na Old 21 znajduje się na szczycie wzgórza po drugiej stronie rzeki Meramec. Stoją tu

głównie domy, ale są też stacje benzynowe, biura okręgu wodnego i spore pole roponośne. Potem, jak okiem sięgnąć, są już tylko wzgórza.

Na pierwszych światłach skręciłam w lewo, mijając rząd pawilonów handlowych. Droga jest tu wąska i kręta, wije się pomiędzy domami i połaciami lasu. Na podwórzach przed domami rosną żonkile. Dalej droga opada w dolinę, a na samym jej dnie, u stóp stromego wzgórza, stoi znak stopu. Droga pnie się chyżo na szczyt wzgórza, gdzie skręca w lewo i jesteś już prawie u celu.

Parterowy budynek ogólniaka stoi w samym środku rozległej, płaskiej kotliny otoczonej wzgórzami. Ponieważ dorastałam na farmie w Indianie, kiedyś nazwałabym je górami. Budynek podstawówki stoi oddzielnie, ale na tyle blisko, że obie placówki mają wspólne boisko.

Zaparkowałam możliwe jak najbliżej budynku. To była moja druga wizyta w szkole Richarda i pierwsza w czasie zajęć. Wpadliśmy tu kiedyś po jakieś zapomniane przez niego papiery. Uczniów już wtedy nie było. Weszłam do budynku i natarł na mnie dziki tłum. Musiałam trafić na przerwę między lekcjami, bo uczniowie całymi chmarami przenosili się z jednej klasy do drugiej.

Nagle uświadomiłam sobie, że byłam tego samego wzrostu, a może odrobinę niższa od wszystkich, których napotkałam na swojej drodze. Otoczona tłumem przepychających się nastolatków z plecakami i książkami w ręku poczułam, że ogarnia mnie lekka klaustrofobia. Musi istnieć jakiś krąg piekieł, gdzie wiecznie masz czternaście lat i wiecznie chodzisz do ogólniaka. Jeden z niższych kręgów.

Podążyłam z prądem w kierunku klasy Richarda. Przyznaję, że ucieszyłam się, że byłam lepiej ubrana niż większość tutejszych dziewcząt. Może to małosłowne, ale w ogólniaku miałam trochę za dużo kochanego ciała. Jeżeli ktoś chce cię wyszydzić, nie zważa, czy masz tylko nadwagę, czy po prostu jesteś gruba. Dla mnie był to wówczas spory problem i obiecałam sobie, że już nigdy nie będę gruba. I dotrzymałam słowa - raz nawet zeszczuplałam. Tak to jest, gdy jesteś najniższą dziewczyną w całej szkole.

Stałam z boku przy wejściu, przepuszczając kolejnych uczniów. Richard pokazywał jakiejś dziewczynie coś w podręczniku. Była blondynką i nosiła flanelową koszulę narzuconą na sukienkę, która była na nią o trzy numery za duża. Na nogach miała czarne wojskowe buty, na które opuściła zrolowane białe skarpety. Był to bardzo współczesny ubiór. Gorzej z wyrazem uwielbienia malującym się na twarzy nastolatki. Była cała w skowronkach, gdyż pan Zeeman udzielał jej osobistej, prywatnej konsultacji.

Musiałam przyznać, że Richard mógł się podobać. Gęste brązowe włosy miał związane w kucyk, dzięki czemu wydawały się one krótkie i przycięte nieomal przy samej skórze. Ma wysokie, wydatne kości policzkowe i mocną szczękę z dołeczkiem w brodzie, który łagodzi jego rysy i czyni go niemal nazbyt doskonałym. Jego oczy mają czekoladowy odcień i są ozdobione bardzo długimi rzęsami, o których marzy większość kobiet, a które mają nieliczni mężczyźni. Jasnożółta koszula sprawiała, że jego permanentna opalenizna wydawała się jeszcze ciemniejsza niż zwykle. Miał ciemnozielony krawat pasujący do spodni, które nosił. Marynarkę przewiesił przez Oparcie krzesła. Mięśnie jego ramion przetaczały się pod skórą, powodując falowanie rękawów koszuli, kiedy trzymał w dłoniach książkę.

Większość uczniów zajęła już miejsca, w korytarzu zrobiło się prawie całkiem cicho. Richard zamknął podręcznik i oddał dziewczynie. Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę drzwi, aby nie spóźnić się na kolejną lekcję. Mijając, otaksowała mnie wzrokiem. Na pewno zastanawiała się, czemu tam stałam.

Zresztą nie tylko ona. Kilkoro innych uczniów także na mnie patrzyło. Weszłam do klasy.

Richard uśmiechnął się. Zrobiło mi się gorąco. Ten uśmiech sprawiał, że Richardowi brakowało trochę do ideału. Nie, żeby jego uśmiech mi się nie podobał. Mógłby grać w reklamach pasty do zębów. Był to jednak uśmiech małego chłopca, otwarty i szczerzy, zapraszający. Richard nie miał w sobie za grosz tajemniczości, cynizmu i zepsucia. Był jak duży harcerz. I uśmiech wyraźnie to pokazywał.

Chciałam podejść do niego i wziąć w ramiona. Pragnęłam schwycić go za krawat i wyprowadzić z klasy. Miałam ochotę dotknąć jego torsu pod żółtą koszulą. Pragnienie było tak silne, że wsunęłam dłonie do kieszeni zakietu. Nie mogę gorszyć uczniów. Richard czasami tak na mnie działa, o ile nie porasta sierścią ani nie zlizuje krwi z palców. Jest wilkołakiem. Czy już o tym wspominałam? W szkole nikt o tym nie wie. Gdyby to wyszło na jaw, Richard straciłby pracę. Ludzie nie życzą sobie, aby lykantropy uczyły ich pociechy. Co prawda dyskryminowanie osób chorych jest niezgodne z prawem, ale takie rzeczy są na porządku dziennym. Czemu w szkolnictwie miałyby być inaczej?

Dotknął mojego policzka koniuszkami palców. Odwróciłam głowę i musnęłam jego palce wargami. To tyle, jeśli chodzi o właściwe zachowanie przy uczniach. Usłyszałam nerwowy śmiech i kilka głośnych westchnień.

- Zaraz wracam.

Kolejne westchnienia, śmiech i czyjś głos:

- Brawo, panie Zeeman!

Richard wyprowadził mnie z klasy, a ja posłusznie poszłam za nim, nie wyjmując rąk z kieszeni. Jeszcze niedawno powiedziałabym, że grupa ósmoklasistów nie jest w stanie zbić mnie z pantałyku, ale ostatnio nie całkiem ufałam samej sobie.

Wyszliśmy z Richardem na korytarz. Oparł się o ścianę przy szafkach dla uczniów i spojrzał na mnie. Chłopięcy uśmiech zniknął. Wyraz jego ciemnych oczu sprawił, że przeszedł mnie dreszcz. Sięgnęłam ręką i poprawiłam mu krawat, starannie go wygładzając o jego tors.

- Czy mogę cię pocałować, czy w ten sposób zgorszyłabym dzieciaki?

Zadając to pytanie, nie spojrzałam mu w oczy. Nie chciałam, by dostrzegł w moich oczach pożądanie.

I tak byłam w rozterce, mając świadomość, że wyczuł moje podniecenie. Nie sposób ukryć przed wilkołakiem pożądania. Wyczuje to.

- Zaryzykuj - odparł cicho ciepłym, łagodnym głosem, od którego zrobiło mi się gorąco w środku.

Poczułam, jak się nade mną nachyla. Uniosłam głowę, wychodząc mu naprzeciw. Jego usta były takie delikatne. Oparłam się o Richarda, moje dłonie dotknęły jego szerokiego torsu. Czułam, jak pod wpływem mego dotyku twardnieją mu sutki. Opuściłam ręce do jego talii i wygładziłam mu koszulę. Chciałam wyjąć mu ją ze spodni i dotykać jego nagiego ciała. Odsunęłam się od niego. Nagle zaczęło brakować mi tchu.

To był mój pomysł, że nie będziemy uprawiać seksu przed ślubem. Mój pomysł. Ale ciężko było go zrealizować. Im dłużej się spotykaliśmy, tym było nam trudniej.

- Jezu, Richardzie. - Pokręciłam głową. - To się robi coraz trudniejsze, nie uważasz?

Uśmiech Richarda nie był ani chłopięcy, ani niewinny, nie przypominał już harcerzyka.

- To prawda. Krew nabiegła mi do twarzy. - Nie chciałam, aby tak było.

- Wiem, czego chciałaś. - Mówił delikatnie, nie próbował drażnić się ze mną.

Wciąż miałam na twarzy rumieńce, ale mój głos wrócił do normy. Punkt dla mnie.

Muszę wyjechać z miasta. Sprawy służbowe.

- Zombi, wampiry czy policja? Zombi. To dobrze.

Spojrzałam na niego.

Czemu dobrze?

Bardziej się martwię, gdy wyjeżdżasz, by współpracować z policją albo kołkować wampiry, Przecież wiesz. Skinęłam głową.

- Tak, wiem. - Staliśmy w korytarzu, patrząc na siebie nawzajem. W innych okolicznościach bylibyśmy zaręczeni, może nawet planowalibyśmy ślub. Całe to napięcie seksualne musiało prowadzić do jakiejś konkluzji. A tak... - I tak już jestem spóźniona. Muszę lecieć.

- Pożegnasz się osobiście z Jean - Claude'em? - Jego oblicze, gdy zadawał to pytanie, pozostawało niewzruszone, ale zdradzał go wyraz oczu.

- Jest dzień. Jean - Claude śpi w swojej trumnie. - Ach, tak - rzucił Richard.

- Nie planowałam spotkać się z nim w ten weekend, więc nie muszę mu niczego wyjaśniać. Czy to chciałaś usłyszeć?

- Mniej więcej - odparł.

Odstąpił od szafek, zbliżając się tym samym do mnie. Nachylił się, by pocałować mnie na pożegnanie. W korytarzu dał się słyszeć czyjś chichot.

Odwróciliśmy się, by ujrzeć, że większość dzieciaków wyszła z klasy i gapiła się na nas. Pięknie.

Richard uśmiechnął się. I podnosząc głos, aby wszyscy go usłyszeli, rzucił:

- Wracajcie do klasy, paskudne potwory.

W odpowiedzi rozległy się krzyki, gwizdy i pohukiwania, a niska brunetka Spiorunowała mnie wzrokiem. Chyba wiele dziewcząt podkochiwało się w panu Zeemanie.

- Tubylcy są niespokojni. Muszę wracać. Skinęłam głową.

- Mam nadzieję, że wrócę do poniedziałku.

- Wobec tego urządzimy sobie wypad w przyszły weekend.

- W ten weekend odpuściłam sobie Jean - Claude'a.

Nie mogę jednak zbywać go przez dwa tygodnie z rzędu.

Oblicze Richarda spochmurniało. Dostrzegłam na nim pierwsze oznaki gniewu.

- Urządzimy sobie wypad w dzień, a po zmierzchu będziesz mogła spotkać się z wampirem. To uczciwe rozwiązanie.

- Nie podoba mi się, podobnie zresztą jak tobie - zauważyłam.

- Chciałbym w to uwierzyć.

- Richardzie...

Westchnął przeciągle. Gniew z niego odpłynął.

Nie pojmowałam, jak to robił. W jednej chwili był wściekły, w następnej emanował siłą spokoju. Obie emocje wydawały się szczerze. Ja, gdy byłam zła, to byłam zła. Może to skaza charakteru?

- Przykro mi, Anito. Nie podoba mi się, że umawiasz się z nim za moimi plecami.

Wiesz, że nigdy nie zrobiłabym nic za twoimi plecami.

Skinął głową.

- Wiem. - Spojrzał w stronę klasy. - Muszę już iść, zanim podpalą tę budę. - Ruszył w głąb korytarza, nie oglądając się wstecz. Niewiele brakowało, a zawołałabym go, ale coś mnie

powstrzymało. Ulotna chwila przeminęła. Nastrój prysnął. Nic tak cię nie skłania do zwinięcia żagli jak świadomość, że twoja dziewczyna umawia się z innym. Na jego miejscu nie podjęłabym tego tematu. Sytuacja była napięta, ale musieliśmy wszyscy jakoś nauczyć się z tym żyć, o ile egzystencję Jean - Claude'a można było nazwać życiem. Niech to szlag, moje życie osobiste było zbyt pogmatwane, by można je ująć w kilku prostych słowach. Ruszyłam w głąb korytarza. Po drodze musiałam przejść obok otwartej klasy. Moje szpilki potwornie stuknęły o parkiet z twardego drewna. Nie zajrzałam do klasy. Nie próbowałam go zobaczyć. Trudniej byłoby mi się z nim rozstać. Nie chciałam wyjeżdżać. Randki z Mistrzem Miasta to nie był mój pomysł. Jean - Claude dał mi dwie alternatywy; albo on zabije Richarda, albo ja będę spotykać się z nimi oboma. Wtedy ten pomysł wydał mi się całkiem niezły, pięć tygodni później nie byłam już tego taka pewna.

To moje zasady powstrzymywały mnie i Richarda przed skonsumowaniem naszego związku. Skonsumowaniem, piękny eufemizm. Jean - Claude dał mi jednak jasno do zrozumienia, że jeśli zdecyduję się na coś z Richardem, będę musiała zrobić z nim to samo. Jean - Claude próbował mnie uwieść. Uważał za nieuczciwe, jeśli pozwalałam się dotykać Richardowi, a jemu nie. Chyba miał rację. Jednak to właśnie myśl, że miałabym pójść do łóżka z wampirem, skłaniała mnie do abstynencji seksualnej skuteczniej niż najszczytniejsze z moich ideałów.

Nie mogłam spotykać się z nimi w nieskończoność. Napięcie seksualne było nie do zniesienia. Mogłabym odejść. Zapewne Richard pozwoliłby mi na to. Nie byłby zachwycony, ale gdybym zechciała odejść, nie próbowałby zatrzymać mnie siłą. Jean - Claude natomiast... Nigdy by mnie nie puścił. Pytanie brzmiało, czy chciałam się od niego uwolnić. Odpowiedź - jasne, że tak! Tu nasuwało się kolejne pytanie - jak miałam tego dokonać, aby nikt nie musiał z tego powodu umrzeć.

Tak. To jest pytanie. Sęk w tym, że nie znałam na nie odpowiedzi. A prędzej czy później będziemy musieli ją poznać. I wszystko wskazywało na to, że w grę wchodziło raczej prędzej niż później.

Przytuliłam się do burty śmigłowca, kurczowo ściskając przymocowany do ścianki uchwyt. Miałam ochotę złapać go oburącz, jakby trzymanie tego kretyńskiego uchwytu mogło mnie ocalić, gdyby śmigłowiec runął. Używałam tylko jednej ręki, bo użycie dwóch traciłoby tchórzostwem. Na głowie miałam słuchawki z mikrofonem, które umożliwiały porozumiewanie się pośród upiornego hałasu rotora. Nie spodziewałam się, że kokpit będzie tak bardzo przeszklony, przez co czułam się jak we wnętrzu wielkiej, brzęczącej i wibrującej bańki mydlanej. Starłam się możliwie jak najdłużej mieć zamknięte oczy.

- Dobrze się pani czuje, panno Blake? - spytał Lionel Bayard.

Jego głos zaskoczył mnie.

- Tak. Oczywiście, że tak.

- Marnie pani wygląda.

- Nie lubię latać - odparłam.

Uśmiechnął się pod nosem. Odniosłam wrażenie, że nie udało mi się zdobyć zaufania Lionela Bayarda, adwokata i sługusa kancelarii Beadle, Beadle, Stirling i Lowenstein. Lionel Bayard był niskim, schludnym mężczyzną z cienkim, jasnym wąsikiem, który wyglądał jak narysowany kredką. Jego trójkąta szczeka była równie gładka jak moja. Może wąsy były doklejone. Brązowy garnitur w cienkie żółte prążki pasował na niego jak ulał. Pewnie był szyty na miarę. Wąski krawat w brązowe i żółte prążki ozdobiony był złotą spinką, na której dostrzegłam monogram. Podobny monogram widniał na jego cienkiej skórzanej aktówce. Wszystko było doskonale dobrane, aż po najdrobniejsze szczegóły, jak półbuty ze złotymi zdobieniami.

Larry odwrócił się na siedzeniu. Siedział obok pilota.

- Naprawdę boisz się latać? - Dostrzegłam ruch jego ust, ale dźwięk rozległ się w moich słuchawkach, gdyby nie one, w tym hałasie nie moglibyśmy rozmawiać. Wyglądał na rozbawionego.

- Tak, Larry, naprawdę boję się latać. - Miałam nadzieję, że w słuchawkach mój sarkazm będzie równie łatwy do wychwycenia jak rozbawienie.

Larry roześmiał się. Najwyraźniej nie przeoczył mojego sarkastycznego tonu.

Larry wyglądał jak spod igły. Miał na sobie granatowy garnitur - jeden z dwóch, jakie posiadał - białą koszulę - jedną z trzech - i drugi w hierarchii ważności elegancki krawat. Ten pierwszy był cały we krwi.

Larry wciąż chodził do college'u, pracując dla nas w weekendy aż do zakończenia nauki. Jego krótkie włosy miały iście marchewkowy odcień. Był piegowaty, mojego wzrostu - czyli niski - i miał

jasnoniebieskie oczy. Wyglądał trochę jak Tomek Sawyer.

Bayard robił wszystko, aby nie patrzeć na mnie z posępną miną. Gra nie była warta świeczki. Zbyt wiele go to kosztowało.

- Na pewno poradzi sobie pani z tym zleceniem?

Odnalazłam spojrzenie jego brązowych oczu.

- Niech pan nie traci nadziei, panie Bayard, bo jestem pańską jedyną i ostatni szansą.

- Wiem, że posiada pani szczególne zdolności, panno Blake. Przez ostatnie dwanaście godzin skontaktowałem się z wszystkimi firmami animatorskimi w całym Stanach. Phillipa Freestone z Resurrection Company powiedziała nam, że nie jest w stanie wykonać tego zlecenia, a jedyną osobą, która potrafiłaby to zrobić, jest Anita Blake. Elan Vital z Nowego Orleanu powiedzieli to samo. Wspomniano nam o Johnie Burke'u, ale nie ma pewności, czy podołałby zadaniu. Musimy przywołać wszystkich umarłych, w przeciwnym razie wszystko na nic.

- Czy mój szef wyjaśnił panu, że nie mam całkowitej pewności, czy dam radę sprostać temu zadaniu?

Bayard zamrugał.

- Pan Vaughn wydawał się święcie przekonany, że zrobi pani, o co ją prosimy.

- Bert może niezłomnie wierzyć w moje możliwości. To nie on odwała czarną robotę.

- Zdaję sobie sprawę, że koparki i buldożery skomplikowały pani zadanie, panno Blake, ale nie zryliśmy tej ziemi celowo.

Oduściłam. Widziałam zdjęcia. Próbowali zatuszować całą sprawę. Gdyby robotnicy nie sympatyzowali potajemnie z Bouvierami, przekopaliby cmentarzysko, wylali cement i trzask - prask, byłoby po materiale dowodowym.

- Nieważne. Zrobię co w mojej mocy z tym, co pozostało.

- Czy byłoby pani łatwiej, gdybyśmy przywieźli tu panią przed rozkopaniem mogił?

- Tak. Westchnął.

Ten dźwięk zabrzmiał w słuchawkach przeciągle i wibrująco.

- Wobec tego przepraszam. Wzruszyłam ramionami.

- O ile nie zrobił pan tego osobiście, to nie od pana oczekiwałabym przeprosin.

Poruszył się w fotelu.

- To nie ja zleciłem rozpoczęcie prac. Na miejscu jest pan Stirling.

- Ten pan Stirling? - spytałam. Bayard nie zrozumiał dowcipu.

- Tak, ten pan Stirling.

A może naprawdę spodziewał się, że to nazwisko będzie mi znane.

- Zawsze jest przy panu starszy partner, który patrzy panu na rękę?

Palcem wskazującym poprawił okulary w złotych Oprawkach. Odniosłam wrażenie, że był to stary gest, pochodzący jeszcze z czasów, kiedy Bayard nie miał nowych okularów i nie nosił garniturów na miarę.

- Ponieważ w grę wchodzi duże pieniądze, pan Stirling uznał, że powinien być na miejscu, na wypadek gdyby pojawiły się nowe problemy.

- Nowe problemy? - spytałam.

Zamrugął nerwowo.

- Sprawa Bouvierów. Kłamał.

- Co jeszcze poszło nie tak w tym waszym małym projekcie?

- O co pani chodzi, panno Blake? - Wygładził krawat starannie wymanikiurowanymi palcami.

- Macie jeszcze inne kłopoty, nie chodzi tylko o Bouvierów - stwierdziłam.

- Nasze potencjalne kłopoty, jeśli takowe istnieją, nie powinny pani interesować, panno Blake. Wynajęliśmy panią do ożywienia zmarłych i ustalenia tożsamości rzeczonych nieboszczyków. To wszystko, czego od pani oczekujemy.

- Ożywił pan kiedyś zombi, panie Bayard? Znów zamrugął.

- Oczywiście, że nie. - Wydawał się oburzony.

- Wobec tego skąd pan wie, że inne problemy nie zakłócą mojej pracy?

Na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy. Był prawnikiem i żyło mu się dostatnio, ale myślenie najwyraźniej przychodziło mu z wielkim trudem. Aż można się było zastanawiać, gdzie studiował prawo.

- Nie pojmuję, w jaki sposób nasze drobne trudności miałyby wpłynąć niekorzystnie na pani pracę.

- Przed chwilą przyznał pan, że nie wie nic o mojej pracy - burknęłam. - Skąd przypuszczenie,

że potrafi pan przewidzieć, co może ją zakłócić, a co nie? - No dobrze, strzelałam w ciemno. Bayard zapewne miał rację. Inne problemy najprawdopodobniej nie zakłócą mojej pracy, chociaż z tym nigdy nie wiadomo. Nie lubię, gdy utrzymuje się mnie w niewiedzy. I nie lubię być okłamywana, nawet jeżeli tylko przez niedopowiedzenia.

- Myślę, że to pan Stirling będzie musiał podjąć decyzję, czy należy wdrożyć panią w szczegóły, czy leż nie - przyznał.

- Zbyt niska pozycja, by podejmować samodzielne decyzje - rzuciłam.

- Owszem - przyznał Bayard.

Rany, niektórzy ludzie są naprawdę dziwni. Zero jaj. Spojrzałam na Larry'ego. Wzruszył ramionami.

- Chyba lądujemy.

Spojrzałam na ziemię, która zbliżała się do nas w szybkim tempie. Byliśmy w samym sercu gór Ozark, wisząc nad połacią zrytej niemiłosiernie, rdzawobrunatnej ziemi. Miejscem budowy, jak przypuszczałam.

Ziemia była coraz bliżej. Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę. Lot prawie dobiegł końca. Prawie. Już prawie. Już. Maszyną wstrząsnęło, a ja jęknęłam głośno.

- Wylądowaliśmy - powiedział Larry. - Możesz już otworzyć oczy. Tak zrobiłam.

- Strasznie cię to ubawiło, prawda? Uśmiechnął się.

- Rzadko się zdarza widzieć cię tak wytrąconą z równowagi. Po prostu nie byłaś w swoim żywiole.

Śmigłowiec otaczała mgielka czerwonego pyłu.

Rotor zaczął zwalniać przy wtórze głuchego łoskotu.

Kiedy łopaty zatrzymały się, kurz opadł, a my mogliśmy zorientować się w sytuacji.

Znajdowaliśmy się na małej, płaskiej równinie pomiędzy górami. Kiedyś zapewne była to wąska dolina, teraz jednak buldożery poszerzyły ją, wyrównały i przygotowały tu lądowisko dla śmigłowców. Ziemia była tak czerwona, że wyglądała jak rzeka rdzy. Góra na wprost śmigłowca była czerwonym kopcem. Przy końcu równiny stały samochody oraz ciężki sprzęt. Wokół sprzętu krzatali się ludzie, osłaniając oczy przed kurzem.

Bayard wypiął się z pasa bezpieczeństwa. Zrobiłam to samo. Zdjęliśmy słuchawki, a Bayard otworzył drzwiczki. Ja otworzyłam swoje i stwierdziłam, że do ziemi jest dalej, niż przypuszczałam. Musiałam pokazać niezły kawałek ud, aby dotknąć stopami ziemi.

Robotnicy przyjęli to z aplauzem. Usłyszałam gwizdy, pohukiwania, a nawet jedną szczerą propozycję zajrzenia pod spódnicę. To znaczy ten mężczyzna powiedział to trochę dosadniej.

W naszym kierunku ruszył mężczyzna w białym kasku. Nosił kombinezon w kolorze piaskowym, ale na nogach miał zakurzone mokasyny od Gucciego, a opalenizna świadczyła, że nie unikał salonów odnowy biologicznej. Nieco za nim szli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna wyglądał jak typowy brygadzysta. Miał na sobie dzinsy i roboczą koszulę z podwiniętymi rękawami, co podkreślało jego muskularne przedramiona. Ten facet zawdzięczał swoje mięśnie nie grze w squasha, lecz ciężkiej pracy fizycznej.

Kobieta nosiła klasyczny kostium, pod szyją miała zawiązaną zwiewną chustkę. Kostium był drogi, ale jego kolor nie pasował ani do jej kasztanowych włosów, ani do różu, hojnie nałożonego na policzki.

Może tylko do samoopalacza, którego użyła w nadmiarze. Wyglądała jak adeptka szkoły cyrkowej.

Nie wyglądała młodo. Można by przypuszczać, że ktoś kiedyś powinien zwrócić jej na to uwagę. Ale przecież ja też jej tego nie powiem. Kim byłam, by kogokolwiek krytykować?

Stirling miał najjaśniejsze szare oczy, jakie kiedykolwiek widziałam. Tęczówki były tylko o parę odcieni ciemniejsze od białek oczu. Stał w otoczeniu swojej świty. Otaksował mnie wzrokiem. To, co zobaczył, raczej nie przypadło mu do gustu.

Przeniósł spojrzenie swych dziwnych oczu na tani, pomięty garnitur Larry'ego. Pan Stirling zmarszczył brwi z dezaprobatą.

Bayard podszedł bliżej, wygładzając marynarkę.

- Panie Stirling, to Anita Blake. Panno Blake, to Raymond Stirling.

Stał w bezruchu, przyglądając mi się z niemal jawnym rozczarowaniem. Kobieta trzymała w jednej dłoni notes z podkładką, a w drugiej pióro. Musiała być jego sekretarką. Wyglądała na zmartwioną, jakby bardzo jej zależało, aby pan Stirling nas polubił.

Coraz mniej mi zależało, czy nas polubi, czy też nie. Miałam ochotę spytać, czy ma jakiś problem, ale tylko zapytałam grzecznie:

- Coś nie w porządku, panie Stirling? - Bert byłby zadowolony.

Nie tego oczekiwałam, panno Blake.

- Jak to? - Po pierwsze jest pani ładna. - To nie był komplement.

- I?

Wskazał na mój strój.

- Nie jest pani właściwie ubrana, mówię o stroju do pracy.
- Pańska sekretarka nosi szpilki.
- Ubiór panny Harrison nie powinien pani interesować.
- Podobnie jak pana mój strój.
- Fakt, ale sporo czasu zajmie pani wspięcie się na tę górę w tych pantoflach.
- W walizce mam najki i kombinezon roboczy.
- Chyba niezbyt mi się podoba pani nastawienie, panno Blake.
- I wzajemnie.

Stojący za nim brygadzysta z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Aż błyszczały mu oczy. Panna Harrison wyglądała na nieźle wystraszoną. Bayard stanął nieco z boku, bliżej Stirlinga. Dawał jasno do zrozumienia, po czyjej stronie się opowiada. Tchórz.

Larry stanął koło mnie.

- Chce pani to zlecenie, panno Blake?
- Szczerze mówiąc, nie mam ochoty szarpać sobie nerwów, więc nie.

Panna Harrison wyglądała, jakby połknęła robaka. Wielkiego, oślizgłego, wijącego się robala. Chyba powinnam była rzucić się jej szefowi do stóp i całować go po rękach. Niedoczekanie.

Brygadzysta kaszlnął w dłoń. Stirling spojrział na niego, po czym przeniósł wzrok na mnie.

- Zawsze jest pani taka arogancka? - zapytał. Westchnęłam.
- Wolę określenie „pewna siebie”, ale coś panu powiem. Spuszczę z tonu, jeśli i pan to zrobi.
- Bardzo mi przykro, panie Stirling - odezwał się Bayard. - Przepraszam. Nie miałem pojęcia...
- Zamknij się, Lionelu - rzucił Stirling. Lionel zamknął się.

Stirling wciąż patrzył na mnie dziwnymi, jasnymi oczami. Skinął głową.

- Zgoda, panno Blake. - Uśmiechnął się. - Spuszczę z tonu.
- Świetnie - odparłam.

- W porządku, panno Blake, wejdźmy na górę i zobaczmy, czy naprawdę jest pani tak dobra, jak o niej mówią.

- Mogę obejrzeć cmentarz, ale aż do zmierzchu nie podejmę się żadnych innych działań.

Zmarszczył brwi i spojrzał na Bayarda.

- Lionel. - W tym jednym słowie zawarł się cały bezmiar palącego żaru. Gniew szukał ujścia.

I ofiary. Przestał wyzywać się na mnie, ale Lionel był idealnym kozłem ofiarnym.

- Przefaksowałem do pana notatkę służbową, sir, gdy tylko dowiedziałem się, że panna Blake będzie mogła wspomóc nas dopiero po zmierzchu.

Niezła sztuczka. Kiedy zawiodą inne środki, posiłkuj się działaniami służbowymi.

Stirling łypnął na niego gniewnie. Bayard, wyraźnie skruszony, stał w bezruchu. Wiedział, że notatka służbowa czyniła go nietykalnym.

- Wezwałem Beau i kazałem sprowadzić mu tutaj wszystkich, gdyż sądziłem, że jeszcze dziś podejmiemy tu pewne działania.

Patrzył niewzruszenie na Bayarda. Lionel jakby skulił się w sobie. Najwyraźniej jedna notatka służbowa nie stanowiła dostatecznie dobrego zabezpieczenia.

- Panie Stirling, nawet gdyby udało mi się ożywić zmarłych z całego cmentarzyska w ciągu jednej nocy - a mówię gdyby - i jest to wielka niewiadoma, co, jeśli okaże się, że wszyscy ci nieboszczycy są Bouvierami? Co, jeśli potwierdzi się, że to ich rodzinny cmentarz? O ile dobrze rozumiałam, w tej sytuacji wstrzyma pan prace do czasu pełnoprawnego wykupu tych ziem.

- Oni nie chcą pozbyć się tych gruntów - powiedział Beau.

Stirling posłał mu miazdzące spojrzenie. Brygadzysta tylko się uśmiechnął.

- Chce pan powiedzieć, że w razie gdyby okazało się, że to faktycznie jest rodzinny cmentarz Bouvierów, cały projekt pójdzie do kosza? - Zwróciłam się do Bayarda. - Czemu mi o tym nie powiedziałaś, Lionel?

- Nie musiała pani tego wiedzieć - odparł Bayard.

- Dlaczego mieliby nie chcieć sprzedać tej ziemi za milion dolarów? - spytał Larry.

To było trafne pytanie.

Stirling spojrzał na niego jak na zmaterializowanego ducha. Najwyraźniej pomocnicy nie powinni się w ogóle odzywać.

- Magnus i Dorcas Bouvier mają tylko bar Trupia Główka. To żaden interes. Nie pojmuję, dlaczego mieliby odrzucić propozycję zostania milionerami.

- Trupia Główka? Co to za nazwa dla knajpy? - rzucił Larry.

Wzruszyłam ramionami.

- Rzeczywiście nie brzmi zbyt apetycznie. Mogłam założyć się o milion dolarów, że Stirling dobrze wiedział, dlaczego Bouvierowie nie chcą sprzedać ziemi. Jego oblicze nie zdradzało jednak niczego. Trzymał karty zakryte i zachowywał pokerową twarz.

Odwróciłam się do Bayarda. Miał niezdrowe rumieńce i unikał mojego wzroku. Z Bayardem mogłabym zasiąść do pokera w każdej chwili. Ale nie przy jego szefie.

- Świetnie. Przebiorę się w coś luźniejszego i pójdziemy się rozejrzeć.

Pilot podał mi walizkę. Kombinezon i buty były na wierzchu.

Larry podszedł do mnie.

- Rany, szkoda, że nie pomyślałem o kombinezonie. Mój garnitur nie przetrzyma tej podróży.

Wyjęłam drugi kombinezon.

- Zawsze trzeba być przygotowanym - powiedziałam.

- Dzięki - mruknął. Wzruszyłam ramionami.

To plus tego, że jesteśmy prawie jednakowego wzrostu. - Zdjęłam czarny żakiet, odsłaniając pistolet.

- Panno Blake - odezwał się Stirling. - Dlaczego jest pani uzbrojona?

Westchnęłam. Raymond potwornie mnie męczył, Nawet nie wspięłam się na szczyt, a już miałam serdecznie dość tej góry. Ostatnie, na co miałam ochotę, to stać tutaj i tłumaczyć się, dlaczego wzięłam ze sobą broń. Czerwona bluzka miała krótkie rękawy. Prezentacja zawsze jest lepsza od nudnego wykładu.

Podeszłam do niego, rozkładając szeroko ręce i pokazując przedramiona od wewnętrznej strony. Na prawym ręku mam raczej dość zgrabną bliznę od noża, nic dramatycznego. Moja lewa ręka wygląda znacznie gorzej. Wręcz paskudnie. Zaledwie przed miesiącem pewien zmiennokształtny rozplatał mi rękę. Miła lekarka zszyła ranę, ale ślady po pazurach zostały. Z powodu blizn po pazurach wypalony w ciele krzyżyk, pamiątka po pewnych nadgorliwych sługach źle mi życzącego wampira, wydawał się teraz lekko przekrzywiony. Do tego dochodził cały pagórek bliznowatej tkanki w zgięciu ręki, gdzie wampir wgryzł się w ciało i kość, pozostawiając po sobie dożywotni, skądinąd nieprzyjemnie wyglądający podarek.

- Jezu - jęknął Beau.

Stirling nieznacznie pobladł, ale trzymał się dzielnie, jakby widział już w życiu gorsze rzeczy.

Bayard zzieleniał. Panna Harrison zbielała tak, że makijaż odcinał się na jej bladej twarzy jak wodna lilia na obrazie impresjonisty.

- Zawsze jestem uzbrojona, panie Stirling. I niech się pan z tym pogodzi, bo to akurat nie podlega negocjacji.

Skinął głową, jego twarz nabrała powagi.

- W porządku, panno Blake. Czy pani asystent także jest uzbrojony?

- Nie - odparłam. Znów pokiwał głową.

- Świetnie. Proszę się przebrać, a gdy będzie pani gotowa, wejdziemy na górę.

Gdy do niego wróciłam, Larry właśnie zapinał suwak kombinezonu.

- Właściwie ja też mógłbym wyjąć broń.

- Wzięłaś swoją sopluchę? Skinął głową.

- Masz ją w walizce, nienaładowaną?

- Tak jak mi mówiłaś.

- Doskonale. - Na tym skończyłam ten temat. Larry, oprócz tego, że był animatorem, bardzo chciał zostać również egzekutorem wampirów. To oznaczało, że musiał nauczyć się posługiwać bronią palną. Pistolet z posrebrzanymi kulami mógł spowolnić wampira. Powinniśmy wkrótce przejść z pistoletów na strzelby, które ze względnie bezpiecznej odległości są w stanie rozwalić serce i głowę wampira. To znacznie bezpieczniejsze niż klasyczne kołkowanie. I dużo prostsze.

Załatwiłam mu pozwolenie, pod warunkiem że nie będzie nosił broni ukrytej, dopóki nie uznam, że jest na tyle dobrym strzelcem, że nie postrzeli przez przypadek mnie lub samego siebie. Załatwiłam mu pozwolenie przede wszystkim po to, aby mógł wozić broń w samochodzie i w wolnych chwilach chodzić na strzelnicę.

Kombinezon przesłonił moją spódniczkę. Czary? Nie, wprawa. Zzulałam szpilki i nałożyłam najki. Nie dopięłam suwaka do końca, na wypadek gdybym musiała sięgnąć po broń. Byłam gotowa do drogi.

- Idzie pan z nami, panie Stirling? - Tak - odparł.

- W takim razie niech pan prowadzi - powiedziałam.

Minął mnie, zerkając na kombinezon. A może wyobrażał sobie tkwiący pod nim pistolet. Beau ruszył naprzód, lecz Stirling rzucił:

- Nie. Sam ją zaprowadzę.

Wśród pomocników zapanowała cisza. Spodziewałam się, że panna Harrison w swoich szpilkach zostanie na dole, ale byłam pewna, że dwaj mężczyźni będą nam towarzyszyć. I sądząc po wyrazie ich twarzy, oni też tak myśleli.

- Chwileczkę. Powiedział pan „ją”. Chce pan, aby Larry też został na dole?

- Tak. Pokręciłam głową.

- On jest na szkoleniu. Nie nauczy się niczego, jeśli nie będzie obserwował.

- Czy dziś będzie pani robić coś, co pani asystent powinien zobaczyć?

Zamyśliłam się przez chwilę.

- Chyba nie.

- Czy mogę wejść na górę, gdy już zrobi się ciemno? - spytał Larry.

- Jeszcze będziesz miał okazję pobrudzić się i wykazać, Larry. Bez obawy.

- Oczywiście - powiedział Stirling. - Niech pani asystent robi, co do niego należy. Nie mam nic przeciwko temu.

- Dlaczego nie może pójść z nami teraz? - spytałam.

- Powiedzmy, że mam taki kaprys, panno Blake. Stać mnie na to, biorąc pod uwagę wysokość rachunku, jaki uiszczę w waszej firmie.

Powiedział to niewiarygodnie uprzejmie. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko pokiwać głową.

- W porządku.

- Panie Stirling - odezwał się Bayard - na pewno chce pan pójść na górę sam?

- A dlaczego nie, Lionelu?

Bayard otworzył usta, zamknął je, po czym powiedział:

Tak tylko spytałem, panie Stirling. Beau wzruszył ramionami.

- Powiem moim ludziom, że dziś już mają fajrant. - Zaczął się odwracać, ale nagle znieruchomiał. - Czy życzy pan sobie, aby moja załoga wróciła tu jutro?

Stirling spojrzał na mnie.

- Panno Blake? Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie wiem.

- A jak pani sądzi? - dopytywał się. Zerknęłam na czekających opodal robotników.
- Czy otrzymują zapłatę, tylko gdy pojawią się w pracy, czy niezależnie od wszystkiego?
- Tylko kiedy są w pracy - odrzekł Stirling.
- Wobec tego jutro mają wolne. Nie mogę zagwarantować, że będą mieli co robić.

Stirling skinął głową.

- Słyszałeś, Beau.

Beau spojrzał na mnie, po czym przeniósł wzrok na Stirlinga. Miał dziwny wyraz twarzy, pełen rozbawienia i czegoś jeszcze, czego nie zdołałam rozpoznać.

- Jak pan rozkaże, panie Stirling. Kłaniam się, panno Blake.

Odwrócił się i odszedł, energicznie machając do swoich ludzi. Zaczęli się rozchodzić, zanim jeszcze do nich dotarł.

- A co my mamy zrobić, panie Stirling? - spytał Bayard.
- Zaczekacie na nas.
- Śmigłowiec też? Maszyna musi odlecieć przed zmierzchem.
- Czy wrócimy tu przed zmierzchem, panno Blake?

- Jasne. Chcę się tam tylko rozejrzeć. To nie potrwa długo. Ale i tak będę musiała wrócić tu po zmierzchu.

- Przydzielę pani samochód z kierowcą na cały czas pani pobytu tutaj.

- Dzięki.

- Idziemy, panno Blake? - Skinął na mnie ręką. W jego sposobie traktowania mnie coś się zmieniło. Nie potrafiłam tego nazwać, ale to mi się nie podobało.

- Pan pierwszy, panie Stirling.

Skinął głową i ruszył przed siebie, maszerując po rdzawej ziemi w swoich butach za tysiąc dolarów. Larry i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Niedługo wrócę, Larry.

- My, asystenci, jesteśmy przyzwyczajeni do wiecznego oczekiwania - mruknął. - Taki już nasz los.

Uśmiechnęłam się. On również. Wzruszyłam ramionami. Dlaczego Stirling chciał, abyśmy weszli tam tylko we dwoje? Obserwowałam szerokie plecy starszego partnera, który dziarsko kroczył po zrytej ziemi. Pospieszyłam za nim. Dowiem się, jaka tkwi w tym wszystkim tajemnica, kiedy tylko wejdziemy na szczyt. Mogłam się założyć, że to, co usłyszę, nie przypadnie mi do gustu. Tylko ja i wielki przedsiębiorca na szczycie góry, no i cała masa umarłaków w ziemi dokoła. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej interesującego?

Widok ze szczytu góry był wart trudu włożonego w dotarcie tutaj. Las ciągnął się aż po horyzont. Staliśmy w samym środku puszczy nietkniętej ludzką ręką. Drzewa zaczynały się zielenić. Najbardziej jednak rzucał się w oczy prześwitujący wśród ciemnych pni i gałęzi lawendowy kolor judaszowców. Są one tak delikatne, że w środku lata nikną całe wśród kwiatów i liści, ale tu, wśród nagich jeszcze drzew, judaszowce szczególnie przykuwały wzrok. Kwitły też już derenie, ich biel zlewała się z lawendą. Ach, wiosna w Ozark.

- Piękny widok - powiedziałam.

- Tak - mruknął Stirling. - W rzeczy samej. Moje czarne buty były upaprane rdzawą ziemią.

Wierzchołek góry był cały zorany jak otwarta rana. Niegdyś szczyt tej góry musiał być równie piękny jak cała reszta. Z ziemi u moich stóp wystawała kość przedramienia. Dokładniej rzecz biorąc, kość promieniowa, sądząc po rozmiarze. Kości były cienkie i wciąż połączone zasuszonymi pozostałościami tkanek.

Gdy tylko ujrzałam jedną kość, moje oczy w mig wypatrzyły następne. Zupełnie jak w przypadku tych trójwymiarowych „magicznych” obrazów, w które się wpatrujesz, by nagle dostrzec to, co jest na nich ukryte. Zobaczyłam je wszystkie, tkwiące w ziemi niczym ręce unoszące się w górę w nurcie rdzawej rzeki.

Było tu też kilka roztrzaskanych trumien, ich pogruchotane fragmenty wyłaniały się z gleby, ale mimo wszystko dokoła dominowały same kości. Uklękałam i położyłam dłoń płasko na zrytej ziemi. Próbowałam wyczuć umarłych.

Wyczułam coś słabego, jak cień zapachu perfum, ale niewiele mi to dało. Nie potrafię uprawiać mojej... magii w świetle dnia. Ożywianie zmarłych to nic złego, ale wymagana jest do tego ciemność. Nie wiem dlaczego.

Wstałam, ocierając dłonie o kombinezon i próbując otrzepać się z czerwonego pyłu. Stirling stał na skraju połaci nagiej, naruszonej gleby, wpatrując się w przestrzeń. Coś w jego spojrzeniu mówiło, że nie podziwiał piękna przyrody.

Odezwał się, nie patrząc na mnie:

- Nie mogę pani przymusić, prawda, panno Blake?

- Nie - odparłam.

Odwrócił się do mnie z uśmiechem, ale jego oczy wciąż były puste.

- Włożyłem w ten projekt cały swój majątek. Nie tylko własne pieniądze, ale również pieniądze moich klientów. Czy rozumie pani, co chcę powiedzieć, panno Blake?

- Jeśli te ciała należą do Bouvierów, ma pan przerąbane.

- Tracie to pani ujęła.

- Dlaczego jesteśmy tu sami, panie Stirling? Po co te wszystkie prace, wykopywanie zwłok?

Wziął głęboki oddech, napełniając płuca rześkim powietrzem i powiedział:

- Chcę, aby orzekła pani, że nie ma tutaj ciał przodków Bouvierów, nawet gdyby faktycznie tu spoczywały.

Mówiąc te słowa, przypatrywał się uważnie mojej twarzy.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

- Nie skłamię dla pana.

- Czy może pani skłonić zombi, aby skłamał?

- Umarli są bardzo uczciwi, panie Stirling. Oni nie kłamią.

Postąpił krok w moją stronę, na jego obliczu malowała się prawdziwa szczerłość.

- Od pani zależy cała moja przyszłość, panno Blake.

- Nie, panie Stirling, pańska przyszłość zależy od umarłych spoczywających w tej ziemi. Zdecydują o niej słowa, które wypłyną z ich ust.

Skinął głową.

- Tak, to chyba uczciwe postawienie sprawy.

- Uczciwe czy nie, taka jest prawda.

Znów pokiwał głową. Jego oblicze spochmurniało. Zmarszczki na twarzy stały się wyraźniejsze. W kilka sekund postarzał się o dobrych parę lat. Gdy odnalazł moje spojrzenie, w jego pełnych desperacji oczach malował się smutek.

- Proponuję pani procent od zysków, panno Blake. W ciągu kilku lat mogłaby pani zostać miliarderką.

- Wie pan, że nie przyjmuję łapówek. Nie zdoła mnie pan przekupić. - Wiedziałem o tym już w kilka minut po tym, jak się poznaliśmy, ale mimo wszystko musiałem próbować.

- Naprawdę wierzy pan, że to rodzinny cmentarz Bouvierów, prawda? - zapytałam.

Wziął głęboki oddech i skierował wzrok w stronę drzew. Nie zamierzał odpowiedzieć na moje pytanie, ale to nie było konieczne. Nie podejmowałby tak rozpaczliwych działań, gdyby nie

przeczuwał, że przedsięwzięcie jego życia może okazać się kompletną klapą.

- Dlaczego Bouvierowie nie chcą sprzedać tej ziemi?

Odwrócił się do mnie.

- Nie mam pojęcia.

- Posłuchaj, Stirling, jesteśmy tu tylko we dwoje, nie ma żadnych świadków, nikogo, komu mógłbyś chcieć zaimponować. Wiesz, dlaczego oni nie chcą odsprzedać tej ziemi. Po prostu mi powiedz. - Nie wiem, panno Blake. - Uwielbia pan mieć nad wszystkim kontrolę, panie Stirling. Nadzorował pan każdy szczegół tego przedsięwzięcia. Osobiście dopilnował pan, aby wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. To pańskie dziecko. Wie pan wszystko o Bouvierach i związanym z nimi problemie. I chcę, żeby mi pan o tym opowiedział.

Tylko na mnie spojrzał. Jego blade oczy były nieprzejrzyste, puste jak okno domu, w którym nikogo nie ma. Wiedział, ale nie zamierzał mi o tym opowiedzieć. Dlaczego?

- Co pan wie o Bouvierach?

- Miejscowi uważają ich za czarowników. Zdarza im się od czasu do czasu wróżyć i rzucać drobne, nieszkodliwe zaklęcia.

W sposobie, w jaki to powiedział, było coś podejrzanego. Mówił zbyt swobodnym, nazbyt obojętnym tonem. Nagle zapragnęłam spotkać się z Bouvierami osobiście.

- Czy są dobrzy w uprawianiu magii? - Skąd mam wiedzieć? Wzruszyłam ramionami.

- Tak tylko zapytałam. Z czystej ciekawości. Czy jest jakiś konkretny powód, dlaczego to musi być właśnie ta góra?

- Proszę spojrzeć. - Rozłożył szeroko ręce. - Tu jest po prostu idealnie. Idealnie.

- Wspaniały widok - przyznałam. - Ale widok z tamtej góry musi być równie zachwycający. Dlaczego musi pan mieć właśnie tę? Czemu to musi być akurat góra Bouvierów?

Ramiona mu obwisły. Potem wyprostował się i spojrzał na mnie spode łba.

- Chciałem mieć tę górę. I mam ją.

- Masz ją. Sęk w tym, Raymondzie, czy będziesz ją w stanie zatrzymać.

- Jeśli nie może mi pani pomóc, to przynajmniej proszę powstrzymać się od drwin. I proszę nie zwracać się do mnie po imieniu.

Otworzyłam usta, by powiedzieć coś jeszcze, gdy nagle rozległ się dźwięk mojego pagera. Sięgnęłam po aparacik ukryty pod kombinezonem i spojrzałam na numer, który się wyświetlił.

- Cholera - mruknęłam.

- Co się stało?

- Policja próbuje się ze mną skontaktować. Muszę jak najszybciej oddzwonię.

Spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

- Po co policja miałaby się z panią kontaktować?

A myślałam, że jestem osobą powszechnie znaną.

- Mam uprawnienia egzekutorki wampirów na terytorium trzech stanów. Poza tym współpracuję z okręgową jednostką do spraw dochodzeń paranormalnych.

Wpatrywał się we mnie z uwagą.

- Zdziwiałam pani, panno Blake. Niewielu osobom to się udało.

Muszę znaleźć najbliższy telefon.

- Mam przenośny telefon z akumulatorem u podnóża tej cholernej góry.

Świetnie. Nie wiem, jak pan, ale ja właściwie mogłabym już zejść na dół.

Odwrócił się raz jeszcze, napawając się tą zapierającą dech w piersiach panoramą za miliardy dolarów.

- Tak. Ja też już jestem gotów do zejścia.

Było to co najmniej zaskakujące stwierdzenie, przypuszczam, że Freud mógłby powiedzieć na ten temat coś więcej. Stirling chciał przejąć tę ziemię z sobie tylko znanych, egoistycznych powodów. Być dlatego, że powiedziano mu, iż nigdy jej nie zdobędzie.

Niektórzy ludzie już tacy są. Im częściej mówisz nie, tym bardziej cię pragną. Przywodziło mi na myśl pewnego znanego mi wampirzego mistrza.

Tej nocy odbędę spacer po tym terenie, odwiedzę tutejszych zmarłych. Zapewne dopiero jutro w nocy spróbuję ich ożywić. O ile nie okaże się, że jestem potrzebna glinom w jakiejś pilnej sprawie. Wówczas wszystko mogłoby się przedłużyć. Miałam nadzieję, że to nic pilnego. Pilna sprawa oznacza zazwyczaj trupy. Gdy w grę wchodzi potwory, nigdy nie chodzi tylko o jednego trupa. W ten czy inny sposób liczba zwłok rośnie w zastraszającym tempie.

Wróciliśmy do doliny. Robotników już tam nie było został tylko brygadzysta Beau. Panna Harrison i Bayard stali przy śmigłowcu, jakby próbowali odseparować się od dziczy. Larry z pilotem palili papierosy nieopodal, jakby jedyne, na czym zależało im w tym nędznym życiu, to nabawić się raka płuc.

Stirling ruszył w ich stronę pewnym, zdecydowanym krokiem. Wszelkie wątpliwości pozostawił na szczycie góry, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Znow nałożył maskę niewzruszonego starszego partnera. Nie ma jak iluzja.

- Bayard, przynieś telefon. Panna Blake musi zadzwonić..

Bayard drgnął gwałtownie, jakby przyłapano go na jakimś zdrożnym czynie. Panna Harrison wyglądała im zapłonioną Czyżby w powietrzu pachniało romanssem? I czy to było zabronione? Żadnych zażyłości między sługusami.

Bayard pognął w stronę samochodu. Wyciągnął z niego coś, co wyglądało jak zaopatrzony w rączkę mały plecak z czarnej skóry. Wydobył z urządzenia słuchawkę i podał mi ją. Miałam przed sobą coś, co wyglądało jak przenośne walkie - talkie.

Larry, cuchnący dymem, podszedł do mnie.

- Co się dzieje?

- Dostałam sygnał na pager.

- Bert? Pokręciłam głową.

- Policja.

Odeszłam nieznacznie od reszty grupy. Larry okazał trochę taktu i pozostał z tamtymi, choć przecież nie musiał. Wybrałam numer Dolpha. Detektyw sierżant Rudolf Storr był szefem okręgowej jednostki do spraw dochodzeń paranormalnych.

Odebrał po drugim sygnale.

- Anita?

- Tak, Dolph, to ja. Co jest?

- Trzy trupy.

- Trzy? Cholera - mruknęłam.

- Otóż to.

- Nie będę mogła szybko przyjechać, Dolph.

- Owszem, będziesz. - W jego głosie było coś niepokojącego. Co to niby miało znaczyć? - Ofiary są niedaleko ciebie.

- W okolicy Branson?

- Dwadzieścia pięć minut drogi na wschód od Branson - odparł.

- Jestem już sześćdziesiąt kilometrów od Branson, na jakimś cholernym zadupiu.

- Czyli jesteś we właściwym miejscu - stwierdził Dolph.

- Przyleciecie do mnie, chłopaki?

- Nie, mamy w mieście ofiarę wampira.

- Jezu, a te trzy ofiary to też robota wampira?

- Nie sądzę - odparł.

- Co to znaczy - nie sądzę? - spytałam. - Tę sprawę bada policja drogowa stanu Missouri. Śledztwo prowadzi sierżant Freemont. Jej zdaniem sprawcą, nie jest wampir, gdyż ofiary zostały poszatkiwane na kawałki. Brakuje też niektórych części ciał. Sporo mnie kosztowało, aby wydobyć z niej te informacje. Wygląda na to, że sierżant Freemont obawia się, iż nasza grupa mogłaby zgarnąć jej przed nosa wszelkie zasługi. A najbardziej obawia się pewnej „królowej zombi”, ulubienicy prasy i telewizji.

- Miło mi to słyszeć - przyznałam. - Choć co do tej „ulubienicy”, mogłabym oponować. Niemniej jednak zabrzmiało to ujmująco.

- Założę się, że sierżant Freemont jest jeszcze bardziej ujmująca przy bliższym poznaniu - stwierdził Dolph.

- Mam się z nią spotkać?

- Mając do wyboru oczekiwanie na przyjazd całej ekipy później lub ciebie prędzej, wybrała ciebie. Myślę, że uważa cię za mniejsze zło.

- Miło, że ktoś dla odmiany uważa mnie za mniejsze zło - mruknęłam.

- Nie pochlebiaj sobie - uciął Dolph. - Ona po prostu jeszcze cię dobrze nie zna.

- Dzięki za zaufanie. A teraz pozwól, że uporządkuję to i owo. A więc żaden z was nie zamierza się tu pofatygować?

- Na razie nie. Wiesz, że dopóki Zerbrowski nie wróci do służby, cierpimy na niedobór personelu.
- Co drogówka z Missouri sądzi o cywilu mającym wspomóc ich przy śledztwie w sprawie morderstwa?
- Dałem im jasno do zrozumienia, że jesteś bardzo ważną osobą w naszej grupie.
- Dzięki za miłe słowa, ale w dalszym ciągu nie mam blachy, którą mogłabym pokazywać na prawo i lewo.
- Dostaniesz ją, o ile wejdzie w życie nowa ustawa federalna - wtrącił Dolph.
- Nie przypominaj mi.
- Nie chcesz zostać szeryfem federalnym? - spytał niewinnym tonem. Bawiło go to.
- Zgadza się, że powinniśmy otrzymać licencje, ale przyznanie każdemu z nas uprawnień szeryfa federalnego to czysty absurd.
- Poradziłybyś sobie.
- T kto jeszcze? John Burke mający za sobą prawo? Daj spokój.
- To nie przejdzie, Anito. Prowampirze lobby jest zbyt mocne.
- To ty tak twierdzisz. O ile nie zostanie zniesiona konieczność pozyskiwania sądowych nakazów egzekucji, zabijanie wampirów nie stanie się łatwiejsze, a sprzymierzeńcy wampirów na pewno do tego nie dopuszczą. Nie potrzebuję żadnej choleralnej blachy.

Dolph wybuchnął śmiechem.

- W razie kłopotów zawołaj.
- To mi się naprawdę nie podoba, Dolph. Mam tu pomagać przy śledztwie w sprawie zabójstwa, nie mając po temu oficjalnych uprawnień.
- Widzisz, jednak blacha by ci się przydała. - Usłyszałam w słuchawce jego westchnienie. - Posłuchaj, Anito, nie zostawiłbym cię zdanej tylko na siebie, gdybyśmy nie mieli własnych problemów. A niestety mamy tu trupa. Ody tylko będę mógł, wyślę kogoś do ciebie. Naprawdę chciałbym, abyś tu przyjechała i zerknęła na naszego sztywniaka. Jesteś naszą miejscową specjalistką od potworów.
- Podaj mi jakieś szczegóły, może jakoś wam pomogę.
- To mężczyzna, po dwudziestce, nie wystąpiło jeszcze stężenie pośmiertne.

- Gdzie znajduje się ciało?

- W mieszkaniu denata.

- Jakim cudem tak szybko tam dotarłeś?

- Sąsiedzi usłyszeli odgłosy walki i zadzwonili po gliny. A ci wezwali nas.

- Podaj mi nazwisko denata.

- Fredrick Michael Summers. Freddy Summers.

- Czy ma na ciele ślady starych ukąszeń wampira? Zagojone rany?

- Tak. Nawet sporo, Facet wygląda jak pieprzona poduszka do igieł. Skąd wiedziałaś?

- Jak brzmi pierwsza zasada w przypadku zabójstwa? - spytałam. - Na początek sprawdza się rodzinę i bliskich. Jeśli facet miał wampirzą kochankę, to oczywiste, że powinien mieć na ciele sporo zagojonych ran. Im jest ich więcej, tym dłuższa między nimi zażyłość. Żaden wampir nie może ugryźć swej ofiary trzykrotnie w ciągu miesiąca, nie ryzykując, że ją uśmierci i spowoduje jej przeistoczenie w krwiopijcę. Bywa, że jedną ofiarę kąsa kilka różnych wampirów, ale to oznaczałoby, że Freddy był wampirzym ćpunem. Spytaj sąsiadów, czy nocami odwiedzali go różni faceci i dziewczyny.

- Nigdy by nie przyszło mi na myśl, że wampir może być czyimś krewnym i bliskim - przyznał Dolph.

- W świetle prawa są ludźmi. A co za tym idzie, mają tych, których kochają.

- Sprawdzę i zmierzę ślady ukąszeń - rzekł Dolph. - Jeśli należą do jednej osoby, to będzie oznaczać, że miał kochankę, jeżeli okażą się różne, nasz chłopak musiał zabawiać się z wieloma krwiopijcami.

- Miejmy nadzieję, że wyjdzie na to pierwsze - mruknęłam. - Jeśli to robota tylko jednego wampira, ten chłopak może nawet ożyć.

- Większość wampirów zapobiega takim niepożądanym przypadkom, podrzynając gardło albo urywając swojej ofierze głowę.

- Nie wydaje mi się, aby to zostało uprzednio zaplanowane. Stawiałabym raczej na zbrodnię namiętności.

- Być może. Freemont czeka na ciebie z tymi ciałami, i rozpaczliwie pragnie poznać twoją opinię w tej sprawie.

- Na pewno.

- Tylko nie zadzieraj z sierżant Freemont.

- Nie mam takiego zamiaru, Dolph.

- Bądź uprzejma - przypomniał.

- Jak zawsze - odparłam łagodnym tonem. Westchnął.

- Nie zapominaj, że gliny z drogówki mogły nigdy dotąd nie widzieć zwłok z brakującymi częściami ciał.

Tym razem to ja westchnęłam.

- Będę grzeczna, słowo. Powiesz mi, jak tam dojechać?

Wyjęłam z górnej kieszeni kombinezonu nieduży notes z wpiętym weń długopisem. Z uwagi na przypadki takie jak ten zaczęłam wozić je ze sobą.

Podał mi niezbędne wskazówki, które przekazała mu Freemont.

- Jeżeli napotkasz tam coś naprawdę ciekawego, postaraj się, by miejsce zbrodni zostało odpowiednio zabezpieczone, a ja możliwie jak najszybciej wyślę kogoś do ciebie. Gdyby okazało się inaczej, obejrzyj ofiary, podziel się z glinami swoją opinią i pozwól im wypełniać ich obowiązki.

- Naprawdę uważasz, że Freemont pozwoli mi szarogęścić się na jej terenie albo że zechce czekać na wasz przyjazd?

Chwilę milczał, po czym powiedział:

- Zrób, co będzie konieczne, Anito. Postaraj się i daj z siebie wszystko. Zadzwoń, gdybyśmy mogli ci jakoś pomóc.

- Jasne.

- Prowadząc śledztwo w sprawie morderstwa, wolałbym mieć w zespole ciebie niż tuzin innych gliniarzy, których znam - powiedział Dolph.

Z ust Dolpha był to naprawdę spory komplement. To prawdziwy glina z krwi i kości.

- Dzięki, Dolph.

Mówiłam w pustkę. Dolph już się rozłączył. Jak zawsze. Wdusiłam guzik, wyłączając aparat i przez chwilę stałam w bezruchu.

Nie lubię przebywać na nieznanym terytorium, wśród nieznanych glin, gapiąc się na częściowo pozarte ofiary. Współpraca z grupą specjalną czyniła mnie choć odrobinę „oficjalną”. Na miejscu zbrodni mówiłam; „Jestem z ekipą”. Miałam niedużą plakietkę przypinaną do ubrania. Nie była to

policyjna blacha, ale wyglądała oficjalnie. Tyle tylko, że udawanie na własnym terenie, gdzie w razie kłopotów zawsze mogłam zwać do Dolpha, to jedno, natomiast tu byłam zdana wyłącznie na siebie, nie mogłam liczyć na wsparcie. Gliny nie mają za grosz poczucia humoru i nie znoszą, gdy cywile wściubiają nos w prowadzone przez nich śledztwo. Zwłaszcza gdy chodzi o zabójstwo. W sumie wcale się im nie dziwiłam. Nie byłam cywilem sensu stricto, ale nie miałam też statusu funkcjonariuszki policji. Kiepska sprawa. Może nowe prawo jakoś to ureguluje. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

Pokręciłam głową. Teoretycznie mogłam wejść na każdy posterunek policji w tym kraju i poprosić o pomoc lub zaproponować funkcjonariuszom moją pomoc przy sprawie. Teoretycznie. W rzeczywistości glinom jest to nie w smak. Moja obecność jest im nie na rękę i potrzebna im jestem jak piąte koło u wozu. Tak też mnie zwykle traktują. Nie miałam uprawnień federalnych i byłam na obcym terenie, a w tym kraju było za mało licencjonowanych egzekutorów, aby każdy stan mógł mieć własnego. Znałam ich zaledwie ośmiu, z czego dwóch już się wycofało. Większość z nich specjalizowała się w wampirach. Ja należałam do tych nielicznych, którzy likwidowali nadnaturalne stworzenia należące do wielu różnych gatunków. Plotki głosiły, że nowe prawo ma rozszerzyć kompetencje egzekutorów na wszystkie gatunki istot paranormalnych. Większość klasycznych zabójców wampirów wypadnie z gry. Potrzeba było do tego odpowiedniego, choć nieformalnego przeszkolenia. Ja miałam dyplom z biologii nadnaturalnej, ale należałam do nielicznych wyjątków. Większością wilkołaków - samotników, trolli, które wpadły w amok i resztą większych bestii zajmują się łowcy nagród. Jednak nowe prawo nie przyzna specjalnych uprawnień łowcom nagród. Większość wampirzych egzekutorów działała w ścisłej zgodzie z prawem. A może po prostu mieliśmy lepszą prasę. Od lat twierdziłam, że wampiry są potworami. Jednakże aż do czasu, gdy przed paroma tygodniami ofiarą ataku padła córka senatora, nikogo to nie obchodziło. I nagle sprawa stała się priorytetowa. Członkowie legalnej wampirzej społeczności przynieśli domniemanego napastnika do domu senatora w plastikowym worku. Pozostawili jego głowę i tors nietknięte, co oznaczało, że krwio pijca, nawet pozbawiony rąk i nóg, nie mógł umrzeć. Przyznał się, że to on był sprawcą napaści. Był nieumarłym od niedawna, mieli randkę i zwyczajnie go poniosło, jak każdego innego gorąco krwistego dwudziestojednolatka. Tak. No jasne.

Egzekucji dokonał miejscowy spec, Gerald Malory. Jego centrum operacyjnym jest Waszyngton. Facet musi być już dobrze po sześćdziesiątce. W dalszym ciągu używa młotka i kołka. Dacie wiarę?

Proponowano, by wsadzać za kratki wampiry i odciętymi rękami i nogami. Pomysł odrzucono jednak, uznając, że byłaby to kara nazbyt okrutna i niehumanitarna. Zresztą w przypadku naprawde starych wampirów mogłoby się to okazać nieskuteczne. Nie tylko ich ciała są niebezpieczne. Poza tym nie jestem zwolenniczką tortur. A jeżeli odcięcie komuś rąk i nóg i zamknięcie po wsze czasy w ciasnej celi nie jest torturą, to nie wiem, co można by określić tym mianem.

Wróciłam do pozostałych. Oddałam telefon Bayardowi.

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego - powiedział.

- Nic, co mogłoby mnie dotyczyć bezpośrednio - odparłam.

Wydawał się zakłopotany. W przypadku Lionela nie było to nic nowego. Zwróciłam się do

Stirlinga:

- Niedaleko stąd jest miejsce zbrodni, które muszę odwiedzić. Czy mogłabym gdzieś tu wynająć samochód?

Pokręcił głową.

- Powiedziałem, że przez cały okres swego pobytu tutaj będzie pani mieć samochód z kierowcą do swojej wyłącznej dyspozycji. I nadal to podtrzymuję.

- Dzięki. Sęk w tym, że nie wiem, co mam zrobić z kierowcą. To miejsce zbrodni, gliny nie lubią, gdy cywile pętają się im pod nogami.

- Wobec tego proponuję pani auto bez kierowcy. Lionel, dopilnuj, aby panna Blake otrzymała wszystko, czego sobie zażyczy.

- Oczywiście, sir.

- Spotkamy się tutaj ponownie po zmierzchu, panno Blake.

- Postaram się, panie Stirling, ale rozumie pan zapewne, że współpraca z policją i oficjalne śledztwo mają u mnie specjalny priorytet.

Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

- Pracuje pani dla mnie, panno Blake.

- Owszem, ale jestem również egzekutorką. To zobowiązuje.

- Zabójcą jest wampir?

- Nie wolno mi rozmawiać z nikim o tej sprawie - odparłam i skłęłam się w duchu. Nawet tych kilka zdań musi zaowocować niepożądanymi plotkami. Cholera. - Nie wiem, ile czasu przyjdzie mi spędzić na miejscu zbrodni. Wrócę tu najszybciej, jak będę mogła. I na pewno jeszcze tej nocy zbadam cmentarz, jak panu obiecałam.

Nie był z tego zadowolony, ale nic nie powiedział.

- Dobrze, panno Blake. Zaczekam tu na panią, choćby nawet do rana. Jestem ciekaw pani metod. Nigdy dotąd nie widziałem, jak ożywia się zmarłych.

- Dzisiejszej nocy nie będę ożywiała umarłych, panie Stirling. Chyba już to sobie wyjaśniliśmy.

- Oczywiście.

Spoglądał na mnie uważnie. Nie wiedzieć czemu, unikałam spojrzenia jego jasnych oczu. Zmusiłam się w końcu, by odnaleźć i wytrzymać jego wzrok, ale kosztowało mnie to sporo wysiłku.

Zupełnie jakby chciał mnie do czegoś zmusić, zahipnotyzować, niczym wampir, Tyle że on nie był wampirem.

Zamrugął i oddalił się bez słowa. Panna Harrison podreptała za nim, stąpając niepewnie w szpilkach po nierównym gruncie. Beau uklonił mi się i podążył za nimi. Chyba przyjechali tu jednym autem. A może Beau był kierowcą Stirlinga. To dopiero musiała być wesoła praca.

- Polecą pani teraz z nami do hotelu, gdzie zarezerwowaliśmy dla pani pokój. Będzie pani mogła się rozpakować, a pod hotel podstawimy pani samochód - powiedział Bayard.

- Żadnego rozpakowywania się, tylko samochód. Muszę być jak najszybciej na miejscu zbrodni. Czas to podstawa - odparłam.

Skinął głową.

- Wedle życzenia. Jak tylko wsiądzie pani do śmigłowca, możemy lecieć.

Dopiero gdy zdjęłam kombinezon, zorientowałam się, że przecież mogłam pojechać ze Stirlingiem. Mogłam dotrzeć do hotelu samochodem, zamiast śmigłowcem. Niech to szlag.

Bayard załatwił nam czarnego dzipa z przyciemnianymi szybami i całą masą bajerów, których przeznaczenia nie znałam. Martwiłam się, że wsadzą mnie do cadillaca lub czegoś równie beznadziejnego.

Bayard wręczył mi kluczyki ze słowami:

- Niektóre drogi są nieutwardzone. Uznałem, że może się pani przydać wóz sprawdzający się w terenie. Coś bardziej uniwersalnego niż zwyczajne auto.

Miałam ochotę poklepać go po głowie i powiedzieć: „Dobry sługus”, ale się powstrzymałam. Co tu dużo kryć, dokonał dobrego wyboru. Może nawet kiedyś zostanie pełnoprawnym partnerem.

Drzewa rzucały w poprzek drogi długie, wąskie cienie. W dolinach pomiędzy górami słoneczny blask złagodniał i nie był już tak rażący. Powinniśmy wrócić na cmentarz dopiero po zmierzchu. Tak, my. Larry siedział obok mnie w pomiętym granatowym garniturze. Gliny na pewno nie zwrócą na niego uwagi.

Mój strój natomiast bez wątpienia przykuje niejedno spojrzenie. Na zadupiu takim jak to niewiele jest policjantek. A jeszcze mniej takich, które noszą krótkie czerwone spódniczki. Powoli zaczynałam żałować dokonanego przez siebie doboru stroju. Ja - niepewna? Ależ skąd.

Twarz Larry'ego aż pałała z podniecenia. Oczy mu błyszczały jak dzieciakowi w wigilię Bożego Narodzenia. Stukał palcami w podłokietniki. Napięcie nerwowe.

- Jak się czujesz?

- Nigdy dotąd nie byłem na miejscu zbrodni - odparł.

- Zawsze jest kiedyś ten pierwszy raz.

- Dzięki, że pozwoliłaś, abym pojechał z tobą.

- Tylko pamiętaj o zasadach. Zaśmiał się.

- Niczego nie dotykać. Nie wchodzić w kałuże krwi. Nie odzywać się bez pytania. - Zmarszczył brwi. - Czemu ma służyć ta ostatnia zasada? Pozostałe rozumiem, ale dlaczego nie wolno mi nic mówić?

- Należę do okręgowej jednostki do spraw dochodzeń paranormalnych. Ty nie. Jeśli będziesz szwendał się po miejscu zbrodni, wygadując farmazony dotyczące zwłok, zorientują się, że jesteś żółtodziobem.

- Nie narobiłbym ci wstydu. - Wydawał się urażony. Nagle coś mu przyszło do głowy. - Czy

mamy udawać funkcjonariuszy policji?

- Nie. Powtarzaj tylko: „Należę do Oddziału Duchów. Należę do Oddziału Duchów. Należę do Oddziału Duchów”.

- Ale ja przecież do niego nie należę - zaprotestował.

- ■ I właśnie dlatego nie chcę, żebyś się w ogóle odzywał.

- Aha - mruknął. Znów rozsiadł się wygodniej na fotelu i chyba trochę spochmurniał. - Wiesz, właściwie nigdy jeszcze nie widziałem świeżego trupa.

- Zajmujesz się ożywianiem zmarłych, Larry. To twój zawód. Przez cały czas obcujesz z umarłymi.

- To nie to samo, Anito - odburknął. Spojrzałam na niego. Osunął się na fotelu na tyle, na ile pozwalały na to pasy, i splótł ramiona na piersiach. Znajdowaliśmy się u szczytu wzgórza. Promienie słońca padające na czuprynę jego rudych włosów zdawały się wzniecać pożar na jego czaszce. Niebieskie oczy przez chwilę wydawały się przezroczyste, gdy pokonywaliśmy granicę pomiędzy światłem a cieniem. Larry wydawał się przygaszony i smutny. Coś go najwyraźniej trapiło.

- Czy widziałeś kiedyś trupa? Ale nie mam tu na myśli nieboszczyka na pogrzebie ani świeżo ożywionego zombi.

Milczał przez dłuższą chwilę. Ja tymczasem skupiałam się na prowadzeniu auta, powalając, by cisza wypełniła wnętrze dzipa. To była przyjemna, kojąca cisza, przynajmniej dla mnie.

- Nie - odpowiedział w końcu. Powiedział to jak mały chłopiec, któremu zabroniono wyjść na dwór i zagrać w piłkę z kolegami.

- Ja też nie zawsze daję sobie radę w obecności ofiar zabójstwa - wyznałam.

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Tym razem to ja skuliłam się nieznacznie w fotelu. Zwalczyłam jednak w sobie tę gwałtowną chęć i wyprostowałam się.

- Kiedyś zdarzyło mi się zwymiotować na ofiarę zabójstwa.

Chociaż powiedziałam to bardzo szybko, i tak poczułam się zażenowana.

Larry odwrócił się do mnie i uśmiechnął się szeroko.

- Mówisz to tylko po to, aby dodać mi otuchy.

- Czy mówiłabym coś takiego na swój temat, gdyby to nie było prawdą? - spytałam.

- Naprawdę zwymiotowałaś na ofiarę na miejscu zbrodni?

- Nie musisz mówić tego z takim rozbawieniem - upomniałam go.

Zachichotał. Daję głowę, że zachichotał.

- Wątpię, aby mnie przydarzyło się coś takiego. Nie mógłbym rzucić pawia na zwłoki.

Wzruszyłam ramionami.

- Trzy trupy, niekompletne, brakuje niektórych części ciał. Nie obiecuj czegoś, czego nie jesteś w stanie dotrzymać.

Przełknął ślinę tak głośno, że go usłyszałam.

- Co to znaczy, że brakuje niektórych części ciał?

- Wkrótce się dowiemy - odparłam. - I pamiętaj, Larry, to nie należy do twoich obowiązków. Ja otrzymuję honoraria za współpracę z policją. Ty nie.

- Czy to będzie naprawdę okropne? - spytał cichym, niepewnym głosem.

Porąbane ciała. Czy on żartował?

- Nie potrafię tego stwierdzić. Przekonamy się na miejscu.

- Ale jak ci się zdaje? - Patrzył na mnie z przejęciem.

Zerknęłam na drogę, a potem znów przeniosłam wzrok na Larry'ego. Był wyraźnie zatroskany, jak krewny pacjenta pytający lekarza o wyniki badań. Chciał usłyszeć prawdę. Skoro stać go było na wykrzesanie z siebie odrobiny odwagi, ja mogłam wyjawić mu prawdę.

- Tak, to z pewnością będzie okropne.

To było okropne. Larry zdołał oddalić się chwiejnym krokiem od miejsca zbrodni, zanim zwymiotował. Na pocieszenie mogłam mu powiedzieć, że nie on jeden. Paru gliniarzy też ostro pozieleniało. Ja póki co nie puściłam pawia, ale kto wie, co mogło się jeszcze wydarzyć.

Ciała znajdowały się w niewielkim zagłębieniu u podnóża pagórka. Leżała tam sięgająca do kolan warstwa wyschniętych liści. Niecka była otoczona nagimi drzewami i krzewami, których gałęzie wyglądały jak cienkie brązowe bicze. Latem kotlinka byłaby ze wszystkich stron niewidoczna, osłonięta liśćmi.

Ciało najbliżej mnie należało do młodego mężczyzny o jasnych, przystrzyżonych na zapałkę włosach. Krew zastygła wokół gałek ocznych, wypływając z oczodołów i spływając po twarzy.

Z twarzą było coś nie tak, i to pomijając oczy, ale nie potrafiłam stwierdzić co dokładnie. Ukłękłam wśród zeschniętych liści, zadowolona, że kombinezon chroni moje rajstopy przed zabrudzeniem. Krew rozlała się po obu stronach twarzy, wsącżając się w liście. Miała brązowy kolor i gęstą lepłą konsystencję. Wyglądało, jakby z oczu nastolatka płynęły ciemne łzy.

Dłonią w rękawiczce dotknęłam podbródka jasnowłosego. Żuchwa poruszyła się miękko. Nie powinno tak być.

Przełknęłam ślinę i wzięłam kilka płytkich oddechów. Dobrze, że była jeszcze wiosna. Gdyby ciała leżały tak długo w letnim upale, procesy gnilne byłyby daleko bardziej posunięte. Wiosenny chłód ma swoje plusy.

Oparłam się obiema rękami o ziemię i nachyliłam się od pasa w górę, jak przy robieniu pompek. Chciałam zajrzeć pod brodę chłopaka, nie dotykając ponownie jego ciała. Na szyi dostrzegłam prawie niewidoczną pośród krwi ranę kłutą. Była szersza od mojej dłoni. Widziałam podobne rany od noża i pazurów, ale ta tutaj była zbyt duża jak na nóż i zbyt równa jak na pazury. Poza tym jaka istota mogłaby mieć pazury tej wielkości? Wyglądało, jakby pod brodę chłopaka wbito ostrze, które weszło w głębię czaszki tak blisko twarzy, że uszkodziło gałki oczne. To dlatego oczy krwawiły, ale wciąż wyglądały na nietknięte. Miecz nieomal pozbawił chłopaka twarzy.

Przesunęłam palcami po krótkich włosach chłopaka i znalazłam to, czego szukałam. Czubek miecza, jeśli tej właśnie broni użyto, wyszedł przez czubek jego głowy. Następnie ostrze wyszarpnięto i blondyn osunął się na liście. Miałam nadzieję, że był już wtedy martwy, choć najprawdopodobniej konał jeszcze przez jakiś czas.

Jego nogi kończyły się poniżej bioder. W miejscu, gdzie je odcięto, nie było krwi. Zostały odrąbane już po jego śmierci. Dobre i to. Umarł względnie szybko i nie był torturowany. Są gorsze sposoby umierania.

Ukłękłam przy kikutach nóg. Lewą kość rozcięto jednym czystym ciosem. Prawa była rozłupana, jakby miecz ciął z lewej i rozrąbawszy gładko lewą nogę, zatrzymał się na kości prawej. Aby

odrabiać prawą nogę, potrzeba było drugiego ciosu.

Po co ktoś zabrał nogi ofiary? Jako trofeum? Może. Seryjni zabójcy zabierają trofea, ubrania, przedmioty osobiste, części ciała. Może chodziło o trofeum?

Dwaj pozostali chłopcy byli niżsi. Żaden z nich nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Może byli młodszy, a może nie. Obaj byli drobni i ciemnowłosi. Zapewne należeli do tych, o których mówi się raczej ładni niż przystojni, ale szczerze mówiąc, trudno mi było to ocenić.

Jeden leżał na wznak, niemal dokładnie naprzeciwko blondyna. Jedno brązowe oko, szkliste i nieruchome, wpatrywało się w niebo, wyglądało równie sztucznie jak oczy wypchanego zwierzęcia. Na twarzy chłopaka widniały dwie wielkie, ziejące bruzdy, jakby czubek miecza ciął go po twarzy. Trzecie cięcie rozplątało gardło. To była bardzo czysta rana, jak wszystkie. Ten cholerny miecz czy cokolwiek to było, wydawało się niewiarygodnie ostre. Ale chodziło o coś więcej niż o dobre ostrze. Żaden człowiek nie mógł być tak szybki, aby załatwić ich wszystkich bez walki. Tyle że większość bestii, które zabijają ludzi, nie użyłoby w tym celu broni.

Są istoty, które mogą pożreć cię żywcem, rozerwać na strzępy pazurami, jednak lista nadnaturalnych stworzeń, które mogą pokroić cię na plasterki białą bronią, jest dość krótka. Troll mógłby wyrwać drzewo z korzeniami i zatłuc cię nim na śmierć, ale z pewnością nie użyłby miecza. To coś nie tylko użyło miecza, który nie jest zbyt pospolitą bronią, ale w dodatku uczynił to z dużą wprawą. Chłopaka nie zabiły cięcia w twarz. Dlaczego tamtych dwóch nie próbowało uciec? Jeżeli blondyn zginął pierwszy, czemu nie starali się zbiec? Nic nie jest tak szybkie, aby zabić trzech nastolatków mieczem, któryś z nich powinien przynajmniej próbować dać nogę. To nie były szybkie, krótkie cięcia. Ktoś lub coś nie spieszyło się z kolejnymi zabójstwami. A jednak wszyscy oni zachowywali się, jakby zostali zaskoczeni. Chłopak runął na wznak na liście, z dłońmi uniesionymi do szyi. Liście, w miejscu gdzie je rozrzucił, wierzgając nogami, były skotłowane. Wzięłam płytki oddech. Nie chciałam sondować ran, ale w mojej głowie zaczęła rodzić się paskudna myśl. Uklękałam i dotknęłam brzegów rany koniuszkami palców. Krawędzie skóry były bardzo gładkie. Niemniej jednak to wciąż było ciało ludzkie, ludzka skóra, zakrzepła krew. Przełknęłam ślinę, zamknęłam oczy i pozwoliłam moim palcom szukać tego, co spodziewałam się znaleźć. Krawędź rany miała dwa wybrzuszenia, mniej więcej w połowie jej długości. Otworzyłam oczy i dotknęłam podwójnej rany palcami. Wciąż nie dostrzegłam tego. Krwi było zbyt wiele. Po oczyszczeniu rany zapewne można to będzie zobaczyć, ale nie tu i nie teraz. Szyję rozcięto dwukrotnie, głęboko. Aby zabić, wystarczyło jedno cięcie. Czemu dwa ciosy? Aby ukryć coś, co znajdowało się na szyi.

Może ślady kłów? Gdyby te dzieciaki zabił wampir, mogłoby to tłumaczyć, dlaczego chłopak nie próbował uciekać. Po prostu położył się wśród liści i wierzgał nogami, dopóki nie umarł.

Spojrzałam na ostatniego nastolatka. Leżał na prawym boku, skulony. Pod jego ciałem rozlała się kałuża krwi. Był tak pocięty, że w pierwszej chwili moje oczy nie chciały zarejestrować tego obrazu. Chciałam odwrócić wzrok, zanim mój mózg otrzyma od oczu informacje na temat ofiary, ale nie mogłam.

Tam, gdzie powinna znajdować się twarz, ziała poszarpana, strzępiasta dziura. Istota potraktowała chłopaka tak samo jak blondyna, ale wykazała się znacznie większą pieczołowitością.

Przód czaszki został oderwany. Rozejrzałam się wokoło, wypatrując wśród liści fragmentów kości i ciała, ale nie zauważyłam niczego. I wtedy znów musiałam spojrzeć na ciało. Teraz wiedziałam już, na co patrzę. Wolałam nie mieć tej świadomości. To było bezpieczniejsze.

Tylna część czaszki była pełna krwi, niczym upiorny puchar, brakowało jednak mózgu, Ostrze rozplatało pierś i brzuch chłopaka. Wnętrznosci wypłynęły z ciała gęstą, splątaną masą. To, co uznałam za żołądek, wysunęło się z rany niczym niedopompowany balon. Lewa noga została odrąbana na wysokości stawu biodrowego. Strzępy nogawki dzinsów przylepiły się do otworu jak płatki zamkniętego kwiatu. Lewe przedramię oderwano przy stawie łokciowym. Główna kości ramieniowej była ciemna od zastygłej krwi i sterczała pod dziwnym kątem jakby całe ramię wyłamano na wysokości barku, unieruchamiając je. Bardzo brutalne. Tego chłopaki potraktowano wyjątkowo okrutnie. Czyżby stawiał opór?

Przeniosłam wzrok na jego twarz. Nie chciałam spojrzeć, ale musiałam dokonać oględzin. W zmasakrowaniu twarzy ofiary jest coś przeraźliwie osobistego. Gdyby tego czynu mógł dokonać człowiek, powiedziałabym, że sprawcą był ktoś bliski i drogi jego sercu. Z reguły tylko ci, których kochasz, są w stanie pozbawić cię twarzy. Z różnych przyczyn. To przejaw namiętności, której nie możesz spodziewać się od obcych. Jedyne wyjątki stanowią seryjni zabójcy. Bywają szaleńcy, którzy w swoich ofiarach postrzegają całkiem inne osoby. Tacy, masakrując twarze nieznajomych, mogą przykładowo niszczyć archetyp znienawidzonego ojca.

Drobne kości zatok nosowych chłopaka zostały rozłupane. Górna szczęka zniknęła, przez co twarz wydawała się niepełna. Część zuchwy pozostała, ale była rozłupana aż do trzonowców. Jakimś szczęśliwym trafem krew ominęła dwa zęby, pozostawiając je białe i czyste. W jednym z zębów dostrzegłam plombę. Patrzyłam na tę zmasakrowaną twarz. Byłam profesjonalistką potrafiłam potraktować to ciało lako zwykłe martwe mięso. Tyle że martwe mięso nie ma ubytków, nie chodzi do dentysty. I nagle zaczęłam patrzeć na te zwłoki jak na nastolatka, może nawet dziecko. Osądziłam jego wiek po wzroście i przypuszczalnym wieku dwóch pozostałych ofiar. Ten bez twarzy mógł być od nich młodszy. Mógł być jeszcze dzieckiem. Małym chłopcem.

Wiosenne popołudnie zafalowało wokół mnie. Wzięłam głęboki oddech, aby nad sobą zapanować, i to był błąd. Poczułam woń śmierci i rozprutych należy wymiotować na ofiary zabójstwa. Gliny bardzo się na to wkurzają.

Osunęłam się na kolana na szczycie niedużego wzniesienia, gdzie zebrali się wszyscy policjanci. Nie tyle upadłam, ile raczej rzuciłam się na ziemię. Nabrałam do płuc kilka głębokich oddechów czystego, świeżego powietrza. Pomogło. Wiał tu lekki wiatr, rozwiewając woń śmierci. To pomogło jeszcze bardziej.

Na szczycie wzniesienia roilo się od glin. Nikt nie chciał przebywać koło nieboszczyków dłużej, niż to było konieczne. Na drodze nieopodal stały karetki, ale wszyscy już zrobili, co mieli do zrobienia, jeśli chodzi o te ciała. Nagrano je na taśmę i obfotografowano, zadbali o to policyjni technicy. Wszyscy już zrobili swoją robotę. Wszyscy oprócz mnie.

- Będzie pani rzygać, panno Blake?

Głos należał do sierżant Freemont z wydziału do walki z przestępczością i narkotykami. Ton jej głosu, choć łagodny, był pełen dezaprobaty. Zrozumiałam znaczenie tego tonu. Byłyśmy jedynymi kobietami na miejscu zbrodni, czyli musiałyśmy być twarde. A nawet twardsze od obecnych tu mężczyzn, którzy w przeciwnym razie mogliby zacząć traktować nas protekcyjnie. Albo jak dziewczynę. Mogłam się założyć, że sierżant Freemont nie puściła pawia. Nie dopuściłaby do tego.

Wzięłam kolejny, oczyszczający oddech i wypuściłam powietrze. Uniosłam wzrok i spojrzałam na nią. Patrząc na nią z klęczek, musiałam przyznać, że wyglądała na swoje metr siedemdziesiąt wzrostu. Miała proste, ciemne włosy przycięte na wysokości podbródka. Końce zawijały się, okalając jej twarz. Nosila jasnożółte spodnie, czarną kurtkę i bluzkę w nieco jaśniejszym żółtym odcieniu. Mogłam dobrze się przyjrzeć jej wypastowanym butom. Na lewej dłoni nosila obrączkę. Głębokie zmarszczki, gdy się, uśmiechała, znamionowały, że miała jakieś czterdzieści lat, ale teraz sierżant Freemont miała posępną minę.

Raz jeszcze przełknęłam ślinę, starając się nie poczuć w ustach tego obrzydliwego smaku. Wstałam.

- Nie, pani sierżant. Nie będę rzygać. Cieszyłam się, że mówię prawdę. Miałam tylko nadzieję, że nie każe mi wrócić do tej niecki. Ani chybi zwróciłabym wszystko, gdybym znów musiała spojrzeć na te ciała.

- Czyja to robota? - spytała. Nie odwróciłam się, by spojrzeć w stronę, w którą wskazywała. Wiedziałam, co jest tam, na dole.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem.

Jej brązowe oczy były neutralne i nieodgadnione, typowe oczy dobrego gliny. Zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy, że pani nie wie? Przecież rzekomo jest pani specjalistką od potworów.

Puściłam to „rzekomo” mimo uszu. Nie nazwała mnie otwarcie „królową zombi”. Właściwie zachowywała się wobec mnie bardzo uprzejmie, tyle że w jej słowach brakowało ciepła. Nie wywarłam na niej dobrego wrażenia i na swój subtelny sposób, spojrzeniem lub akcentem, dawała mi to do zrozumienia. Aby zaimponować pani sierżant Freemont, będę musiała naprawdę nieźle się postarać. Na razie szło mi kiepsko.

Larry podszedł do nas. Twarz miał zielonkawożółtą. Ten odcień gryzł się z marchewkową barwą jego włosów. Oczy miał zaczerwienione od łez towarzyszących torsjom. Gdy ostro wymiotujesz, czasami zdarza ci się przy tym płakać.

Nie zapytałam Larry'ego, czy dobrze się czuje, odpowiedź była aż nazbyt oczywista. Ale trzymając się na nogach, był przytomny. O ile nie zemdleje, wszystko było w porządku.

- Czego pani ode mnie chce, pani sierżant? - spytałam. Moja cierpliwość wyczerpała się. I tak długo wytrzymałam. Dolph byłby ze mnie dumny. Bert pewnie by się zdziwił.

Splotła ramiona na piersiach.

- Sierżant Storr nakłonił mnie, abym wpuściła panią na miejsce zbrodni. Powiedział, że jest pani najlepsza. Zgodnie z tym, co piszą w gazetach, umie pani za pomocą magii rozwiązywać skomplikowane zagadki kryminalne. Czary - mary i już wszystko jasne. Albo przywoła pani umarłych i zapyta, kto ich zabił.

Nabrałam powietrza i powoli je wypuściłam. Nic używałam magii do rozwiązywania zagadkowych zbrodni - taką miałam zasadę. Wykorzystywałam wiedzę, ale nie chciałam powiedzieć tego głośno, Nie chciałam przejść do defensywy. Nie musiałam niczego udowadniać pani Freemont.

- Niech pani nie wierzy we wszystko, o czym piszą w gazetach, pani sierżant. Co się tyczy ożywianiu zmarłych, w przypadku tych trzech nie poskutkuje.

- Czy to znaczy, że zombi też pani nie ożywia? - Pokręciła głową. - Skoro nie może nam pani pomóc, proszę wracać do domu, panno Blake.

Spojrzałam na Larry'ego. Wzruszył lekko ramionami. Wciąż wyglądał na rozbitego i wstrząśniętego. Nie sądziłam, aby miał dość sił, by mnie zrugać i przywołać do porządku. A może Freemont zmęczyła go tak jak mnie.

- Mogłabym przywołać ich jako zombi, pani sierżant, ale aby mówić, umarli także potrzebują ust i gardła.

- Mogliby napisać, kto ich zabił - podsunęła Freemont..

Trafna sugestia. Zaczęłam patrzeć na tę kobietę przychylniejszym okiem. Jeśli była dobrą policjantką, mogłam znieść z jej strony odrobinę wrogości.

A nawet więcej, o ile tylko już nigdy nie będę musiała oglądać takich ciał jak tamte, na dole.

- Może, ale umarli często szybciej tracą wyższe funkcje mózgowe, gdy ich śmierć była brutalna i gwałtowna. Mogą nie być w stanie niczego napisać, a gdyby nawet, może się okazać, że nie wiedzą, co ich zabiło.

- Ale przecież to widzieli - rzekł Larry. Głos miał ochrypy. Zakasłał w dłoń, aby pozbyć się tej chrypki.

- Żaden z nich nie próbował uciec, Larry. Dlaczego?

- Czemu pani go pyta? - rzuciła Freemont. - Jest u mnie na szkoleniu - wyjaśniłam. - Na szkoleniu? Sprowadziła pani kursanta na miejsce zbrodni? Spojrzałam na nią.

- Ja nie pouczam pani, jak ma wykonywać swoją pracę. Proszę nie mówić mi, co mam robić i jak.

- Na razie nic pani jeszcze nie zrobiła. Pomijając to, że pani asystent porzygał się w krzakach.

Larry zaczerwienił się. Poczul się zażenowany i to w sytuacji, gdy po silnych torsjach ledwie trzymał się na nogach.

- Larry nie był jedynym, który zwrócił zawartość żołądka w pobliskich krzakach, choć zapewne jedynym, który nie nosi blachy. - Pokręciłam głową. - Nie musimy tego znosić. - Minęłam Freemont. - Chodź, Larry.

Larry posłusznie podreptał za mną.

- Nie chcę, aby ta sprawa przeciekła do prasy, panno Blake. Jeśli media zaczną o tym mówić, będę wiedziała, kto dał im cynk.

Nie krzyczała, ale głos miała donośny.

Odwrociłam się. Ja też nie krzyczałam, ale wszyscy słyszeli mnie wyraźnie.

- Ma pani tutaj nadnaturalną istotę, która używa miecza i jest szybsza niż wampir.

Coś przemknęło przez jej twarz, jakbym w końcu powiedziała coś ciekawego.

- Skąd pani wie, że to coś jest szybsze od wampira?

- Żaden z tych chłopców nie próbował uciec. Wszyscy zginęli tam, gdzie stali. Albo to coś jest naprawdę szybkie, albo posiada zdumiewającą zdolność hipnotyzowania i kontroli mentalnej nad swoimi ofiarami.

- A zatem to nie lykantrop?

Nawet lykantropy nie są tak szybkie, a poza tym żaden z nich nie umie zawładnąć ludzkim umysłem. Gdyby lykantrop zjawił się tam z mieczem, ci chłopcy z krzykiem rzuciliby się do ucieczki. Byłyby jakieś ślady walki.

Freemont tylko stała i patrzyła. To było bardzo poważne spojrzenie, jakby taksowała mnie wzrokiem. Wciąż jej nie zainspirowałam, ale przynajmniej zaczęła mnie słuchać.

- Mogę pani pomóc, pani sierżant. I spróbować dociec, z czym mamy do czynienia, zanim znowu uderzy.

Maska jej pewności siebie załamała się przez moment. Gdybym nie patrzyła wtedy w jej neutralne brązowe oczy, nie zauważyłabym tego.

- Cholera - powiedziałam głośno. Wróciłam do niej i zniżyłam głos: - Trafiłam, prawda? To nie są pierwsze takie zabójstwa.

Wlepiła wzrok w ziemię, po czym spojrzała mi w oczy. Jej szczęki zacisnęły się. Nie miała już

neutralnego wzroku. W jej oczach malował się strach. Nic bała się o siebie, lecz o to, co zrobiła lub czego nie zrobiła.

- Tutejsza drogówka potrafi radzić sobie z zabójstwami - powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Ile ich było? - spytałam.

- Wcześniej dwa. Para nastolatków, dziewczyna i chłopak. Zapewne obściskiwali się w lesie. - Głos miała miękki, delikatny, niemal znużony.

- Co mówi koroner?

- Ma pani rację - stwierdziła. - To była biała broń, zapewne miecz. Potwory nie używają broni, panno Blake. Uznałam, że to były chłopak tamtej dziewczyny. Ma zbiór pamiątek z czasów wojny secesyjnej, w tym kilka szabel. Sprawa wydawała się prosta.

Skinęłam głową. - Brzmi logicznie.

- Żadna z jego szabel nie pasuje do charakterystyki zadanych ciosów, ale z drugiej strony pomyślałam, że może chłopak pozbył się narzędzia zbrodni. Nie sądziłam.. - Odwróciła wzrok, wsuwając dłonie do kieszeni spodni tak mocno, że przez chwilę obawiałam się, że materiał tego nie wytrzyma. - Tamto miejsce zbrodni wyglądało inaczej. Każdą z ofiar zabito jednym ciosem. Ostrze przeszło ich torsy i wbiło się w ziemię. To mogła być robota człowieka. Spojrzała na mnie, jakby oczekiwała potwierdzenia z mojej strony. Zrobiłam to.

- Czy prócz śmiertelnej rany ciała były zmasakrowane?

Skinęła głową.

- Okaleczone twarze, znikła też lewa dłoń dziewczyny. Ta, na której nosiła pierścionek od byłego chłopaka.

- Czy podcięto im gardła? Zmarszczyła brwi, zamyśliła się, po czym przytaknęła.

- Dziewczynie tak. Ale krwi było mało, jakby dokonano tego, kiedy już nie żyła. Teraz to ja skinęłam głową. - Świetnie.

- Świetnie? - spytał Larry. - Pani sierżant, myślę, że ma pani w okolicy wampira - zabójcę. Larry i Freemont spojrzeli na mnie.

- Proszę spojrzeć na brakujące części ciał. Jednemu z chłopców już po śmierci odrąbano nogi. Tętnica udowa biegnie przez udo, w pobliżu krocza. Widziałam wampiry, które wolały pić krew z tej właśnie tętnicy niż z szyjnej. Odetnij nogi, a nie będzie śladów kłów.

- A co z pozostałą dwójką? - spytała Freemont.

- Najmniejszy z chłopców chyba został ugryziony. Nie bez powodu dwukrotnie rozplątano mu szyję. Może był to tylko kolejny przejaw okrucieństwa, jak w przypadku deformacji twarzy. Nie wiem. Wampir jednak może pić krew z przegubu i zgięcia łokcia ofiary. Te części ciała zniknęły.

- Jedną z ofiar pozbawiono mózgu - zauważyła Freemont.

Larry zachwiał się lekko. Otarł dłonią twarz, która nagle zalała się potem.

- W porządku? - spytałam.

Skinął głową. Nie był pewien, czy zdoła odpowiedzieć. Dzielny Larry.

- Czy można wyobrazić sobie lepszy sposób prowadzenia nas na manowce niż zabranie czegoś, co zwykle nie interesuje wampira? - spytałam.

- No dobrze, to brzmi sensownie. Ale dlaczego tak? To przecież... - Rozłożyła ręce, spoglądając na miejsce rzezi. Z naszej trójki tylko ona jedna patrzyła w tę stronę. - To szaleństwo. Gdyby to był człowiek, powiedziałabym, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

- To możliwe - rzuciłam półgłosem. Freemont spojrzała na mnie.

- Co, u licha, pani sugeruje?

- Wampir był kiedyś człowiekiem. To, że ktoś nie żyje, nie oznacza, że pozbył się problemów dręczących go za życia. Jeśli przed śmiercią miał skłonności do przemocy, śmierć raczej tego nie zmieniła.

Freemont patrzyła na mnie jak na wariatkę. Chyba nie spodobało jej się, że użyłam zwrotu „za życia”. Gdy podejrzany umiera, przestaje nim być. Spróbowałam ponownie:

- Powiedzmy, że Johnny jest seryjnym zabójcą. Staje się wampirem. Dlaczego to, że stał się wampirem, miałyby złagodzić jego charakter? Raczej wręcz przeciwnie. Będzie jeszcze brutalniejszy i okrutniejszy.

- O Boże - jęknął Larry.

Freemont wzięła głęboki oddech przez nos i wypuściła powietrze ustami.

- No dobrze, może ma pani rację. Mówię - może. Widziałam zdjęcia ofiar wampirów, nie wyglądały tak jak te, ale skoro jest pani tutaj, może mogłabym w czymś pomóc?

- Chciałabym zobaczyć zdjęcia z tamtego miejsca zbrodni. I samo miejsce.

- Prześlę je pani do hotelu - odparła.

- Gdzie zabito tych dwoje?

- Kilkaset metrów stąd.

- Chodźmy tam.

- Przydzielę pani policjanta, który panią zaprowadzi - powiedziała.

- To nieduży obszar. Zakładam, że został starannie przeszukany.

- Jeszcze jak. Choć szczerze mówiąc, panno Blake, nie bardzo wiedziałam, czego mielibyśmy szukać. Liście i susza sprawiły, że o śladach nie było co marzyć. - Taa - mruknęłam. - Ślady na pewno by nam pomogły, - Spojrzałam w stronę, skąd przyszłam. Liście na zboczu wzgórza były naruszone. - Jeśli to wampir... Freemont nie pozwoliła mi dokończyć. - Jeśli? Spojrzałam jej w oczy. Miała oskarżycielski wzrok.

- Jeśli to wampir, musi dysponować mocą umysłu potężniejszą niż wszyscy inni krwio pijcy, których miałam okazję spotkać. Nigdy nie widziałam wampira, nawet mistrza, który byłby w stanie zawładnąć trzema ofiarami naraz, zabijając je. Aż do teraz nie sądziłam, że to w ogóle możliwe.

- Co innego mogłoby to być? - spytał Larry. Wzruszyłam ramionami.

- Myślę, że to wampir, ale nie mam całkowitej pewności. Gdybym powiedziała inaczej, skłamałabym. Staram się nie okłamywać policji. Na stoku mogłoby nie być śladów nawet przy miękkim gruncie, bo wampir mógł po prostu wzbić się w powietrze i odlecieć.

- Jak nietoperz? - spytała Freemont. - Nie, one nie zmieniają się w nietoperze, ale potrafią... - szukałam właściwego słowa. Na próżno. - Umieją lewitować, tak jakby latać. Sama to widziałam. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale widziałam to.

- Wampir - seryjny zabójca. - Pokręciła głową bruzdy przy jej ustach pogłębiły się. - Wkrótce zjawią się tu federalni. Przejmą nad wszystkim kontrolę.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparłam. - Znaleźliście brakujące części ciała?

- Nie. Pomyślałam, że może to coś je zjadło.

- Skoro zjadło tyle, dlaczego nie więcej? A jeżeli faktycznie się pożywiało, czemu nie ma na ciele śladów zębów? I dlaczego nie zostawiło resztek wokół ciała? Nawet drapieżca musi zostawiać okruchy przy jedzeniu.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Ma pani rację. To był wampir. Nawet najgłupszy glina wie, że one nie jedzą mięsa. - W jej brązowych oczach dostrzegłam gniew. Nie była zła na mnie, ale mogłam stać się kozłem ofiarnym. Odpowiedziałam hardym spojrzeniem. Ona pierwsza odwróciła wzrok. Może jednak nie nadawałam się na kozła ofiarnego.

- Nie podoba mi się, że cywil kręci się po miejscu zbrodni, ale zwróciła pani uwagę na rzeczy,

które ja przeoczyłam. Albo jest pani naprawdę dobra, albo wie coś, czego mi pani nie mówi.

Mogłam odpowiedzieć, że jestem dobra, ale nie zrobiłam tego. Nie chciałam, aby gliny myślały, że coś przed nimi zatajam, skoro to nieprawda.

- Od zwykłego gliny różnię się tym, że z reguły zakładam, iż sprawcą zbrodni był potwór. Nie wzywają mnie, gdy ktoś zostanie zasztyletowany albo potrącony przez samochód. Nie zadaję sobie trudu, szukając prostych, gładkich wyjaśnień. Dzięki czemu ignoruję wiele teorii.

Skinęła głową.

- W porządku. O ile pomoże mi pani schwytać to coś, będzie mi obojętne, czym zajmuje się pani na co dzień.

- Miło mi to słyszeć - rzuciłam. - Ale żadnych dziennikarzy, żadnych mediów. Ja tu dowodzę. To moje śledztwo. Ja decyduję, co przedostaje się do prasy. Czy to jasne? - Oczywiście. Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Mówię poważnie, panno Blake.

- Jeżeli chodzi o prasę i telewizję, też za nimi nie przepadam, pani sierżant. Mnie też przeszkadza obecność mediów.

- Jak na osobę nie lubiącą rozgłosu jest pani dość sławna.

Wzruszyłam ramionami.

- Zajmuję się tylko sensacyjnymi sprawami. Stąd moja tak zwana popularność. Poza tym zabijam wampiry. Takie rzeczy dobrze się sprzedają.

- Mam nadzieję, że wzajemnie się zrozumieliśmy, panno Blake.

- Żadnych mediów. To jasne. Skinęła głową.

- Przyślę kogoś, aby zaprowadził panią na tamto miejsce zbrodni. I przyślę akta do hotelu. - Zaczęła się odwracać.

- Pani sierżant?

Odwróciła się, ale nie miała przyjaznej miny.

- O co jeszcze pani chodzi, panno Blake? Zrobiła pani, co do niej należało.

- Nie może pani podchodzić do tej sprawy, jakby sprawcą był seryjny zabójca - człowiek.

- Ja prowadzę to dochodzenie, panno Blake. Zrobię to, co uznam za stosowne.

Spojrzałam w jej pełne wrogości oczy. Ja też byłam do niej nastawiona przyjaźnie.

- Nie próbuję odebrać pani dowództwa. Nie chcę się tu rządzić. Ale wampiry to nie są tylko ludzie z kłami. Jeśli ten wampir był w stanie zawładnąć umysłami trzech osób, mordując je, równie dobrze może zahipnotyzować panią czy kogokolwiek innego. Wampir dysponujący taką mocą potrafiłby wmówić pani, że białe jest czarne i na odwrót. Czy to jest jasne?

- Jak słońce, panno Blake. Jeśli to wampir, znajdziemy go, a pani go zakołkuje.

- Będzie pani potrzebny sądowy nakaz egzekucji.

- Załatwi się.

- Gdy już go pani zdobędzie, wrócę i dokończę zadanie.

- Myślę, że damy sobie radę.

- Zakołkowała pani kiedyś wampira? - spytałam.

Spojrzała na mnie.

- Nie, ale zastrzeliłam człowieka. To nie może być o wiele trudniejsze.

- Nie w tym sensie, jak się pani zdaje - odparłam. - Ale na pewno jest znacznie bardziej niebezpieczne.

Pokręciła głową.

- Dopóki nie przyjadą federalni, ja prowadzę dochodzenie i ani pani, ani nikt inny nie odbierze mi przywództwa. Czy wyraziłam się jasno, panno Blake?

- Jasno i wyraźnie, pani sierżant. ■ - Spojrzałam na znaczek w kształcie krzyżyka, wpięty w klapę jej marynarki. Większość glin po cywilnemu nosi spinkę do krawata w kształcie krzyżyka. Standardowe wyposażenie policji w całym kraju. - Ma pani srebrną amunicję?

- Umiem zadbać o siebie i swoich ludzi, panno Blake..

Uniosłam lekko ręce. Miałam już dość tej rozmowy i tej kobiety.

- W porządku. Idziemy stąd. Ma pani numer mojego pagera. W razie potrzeby proszę z niego skorzystać, pani detektyw.

- Raczej nie będzie takiej potrzeby. Wzięłam głęboki oddech i nabrałam wody w usta. Wdawanie się w kłótnię z funkcjonariuszem prowadzącym śledztwo w sprawie zabójstwa to kiepski sposób, by zapewnić sobie jego przychylność i nakłonić do dalszej współpracy.

Minęłam ją bez pożegnania. Nie byłam pewna, co Jeszcze rzuciłabym na odchodne. Na pewno

nic przyjemnego i nic, co mogłoby mi teraz pomóc.

Ludzie, którzy nie jeżdżą na biwak, sądzą zwykle, że zmrok spływa z nieba. Nic bardziej mylnego. Ciemność spływa z drzew wypełniwszy je, rozlewa się na otwarte przestrzeni. Pod drzewami było tak ciemno, że żałowałam, iż nie mam przy sobie latarki. Gdy doczłapaliśmy do szosy i naszego dżipa, zaczęło już zmierzchać.

Larry skierował wzrok ku ciemniejącemu niebu i powiedział:

- Możemy teraz wrócić i przespacerować się po cmentarzu dla Stirlinga.

- Najpierw coś zjedzmy. - zaproponowałam. Spojrzał na mnie.

- Coś takiego, chyba po raz pierwszy dajesz do zrozumienia, że odczuwasz głód jak zwykli ludzie. Zwykle muszę błagać, żebyśmy podjechali pod bar szybkiej obsługi.

- Zapomniałam zjeść lunch - przyznałam. Uśmiechnął się.

- Mogę w to uwierzyć. - Uśmiech powoli znikł z jego ust. - Pierwszy raz proponujesz mi kolację, a ja wątpię, abym był w stanie cokolwiek przełknąć.

Światła było dość, abym spostrzegła, że baczenie mi się przyglądał.

- Czy po tym, co ujrzeliśmy, nie straciłaś apetytu?

Spojrzałam na niego. Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. Jeszcze niedawno przyznałabym mu fację.

- Cóż, na pewno nie zamówiłabym krwistego Mleku ani tataru, ale chyba nie mogłabym narzekać na apetyt.

Pokręcił głową.

- Co to, u licha, jest tatar?

- Takie mielone, surowe mięso - odparłam. Przełknął gwałtownie ślinę i wyraźnie pobałdł.

- Jak możesz w ogóle myśleć o jedzeniu, po tym co...

Nie dokończył. Oboje to widzieliśmy, wszelkie komentarze były zbędne. Wzruszyłam ramionami.

- Od trzech lat bywam na miejscach zbrodni, Larry. Uczę się sztuki przetrwania. A to wiąże się z tym, że z czasem nawet widok poszatkowanych ciał nie jest w stanie pozbawić cię apetytu.

Nie dodałam, że widywałam gorsze rzeczy. Ciała ludzkie, z których pozostały drobne fragmenty

i mnóstwo rozlanej krwi. Strzępy, które byłyby w stanie zmieścić się w niedużej plastikowej torbie. Po tamtym zdarzeniu odeszła mi ochota na hamburgery.

- To jak, może chociaż spróbujesz coś zjeść? Patrzył na mnie podejrzliwym wzrokiem. - Myślałaś o jakimś konkretnym miejscu?

Rozsznurowałam buty i stanęłam ostrożnie na żwirowym poboczu. Nie chciałam zaciągnąć rajstop. Rozsunęłam suwak i zrzuciłam kombinezon. Uwolniłam się z niego, choć w tym celu musiałam przez chwilę podskakiwać na jednej nodze.

Złożyłam starannie kombinezon, aby krew nie pobrudziła nieskalanego wnętrza dżipa. Cisnęłam najki do tyłu i wyjęłam szpilki.

Larry usiłował wygładzić fałdy na nogawkach kombinezonu, ale z pewnymi rzeczami może poradzić sobie tylko pralnia chemiczna.

- Może wpadniemy do Trupiej Głównki? - spytałam.

Spojrzał na mnie, wciąż wygładzając fałdy. Zmarszczył brwi.

- Dokąd?

- To ten bar, którego właścicielem jest Magnus Bouvier. Stirling o nim wspominał.

- Powiedział ci, gdzie to jest? - spytał Larry.

- Nie, ale spytałam jednego glinę i powiedział mi, że to niedaleko.

Larry zerknął na mnie z ukosa.

- Dlaczego chcesz tam pojechać?

- Chcę pomówić z Magnusem Bouvierem.

- Dlaczego?

To było dobre pytanie. Nie byłam pewna, czy znam na nie tramą odpowiedź. Wzruszyłam ramionami i wsiadłam do dżipa. Larry nie miał innego wyjścia, jak tylko dołączyć do mnie, chyba że nie chciał kontynuować tej rozmowy. Nawet gdy siedzieliśmy już wygodnie w dżipie, wciąż nie byłam w stanie odpowiedzieć na zadane pytanie.

- Ten Stirling mi się nie podoba. Nie ufam mu.

- Odniosłem wrażenie, że nie pałasz do niego sympatią - odparł oschle Larry. - Ale z jakiej racji mu nie ufasz?

- A ty mu ufasz? - zapytałam.

Larry zmarszczył brwi i zamyślił się przez chwilę. Pokręcił głową. - Za cholerę. - No widzisz - mruknęłam.

- Ale co twoim zdaniem może nam dać rozmowa z Bouvierem?

- Jeszcze nie wiem, ale mam nadzieję, że nam choć trochę pomoże. Nie mam w zwyczaju ożywiać zmarłych dla ludzi, którym nie ufam. Zwłaszcza gdy chodzi o coś tak dużego.

- W porządku, a zatem zjemy kolację w barze Bounviera i porozmawiamy z nim. Co potem?

- Jeżeli nie dowiemy się niczego nowego, wrócimy do Stirlinga i przespacerujemy się dla niego po cmentarzu.

Larry spojrzał na mnie nieufnym wzrokiem.

- Co ty kombinujesz?

- Nie chciałbyś wiedzieć, dlaczego Stirlingowi tak zależało na pozyskaniu tej góry? Czemu chciał mieć górę Bouvierów, a nie jakąś inną?

Larry spojrzał na mnie.

- Za długo współpracujesz z policją. Nikomu już nie ufasz.

- To nie gliny mnie tego nauczyły, Larry, to wrodzony talent.

Wrzuciłam bieg i ruszyliśmy w drogę. Drzewa rzucały długie, smukłe cienie. W dolinach pomiędzy górami gromadziły się cienie, zwiastujące nadciągającą noc. Powinniśmy byli pojechać wprosi na cmentarz. Sam spacer po cmentarzu nie mógł nikomu zaszkodzić. Skoro jednak nie mogłam zapolować na wampira, postanowiłam zasięgnąć języka u Magnusa Bouviera. To część mojej pracy, której nikt nie mógł mi zabronić. Szczerze mówiąc, wcale nie miałam ochoty polować na wampira. Było już ciemno. Polowanie na wampira po zmierzchu jest niemal równoznaczne z samobójstwem. Zwłaszcza gdy twój przeciwnik, tak jak ten tutaj, umie kontrolować ludzkie umysły. Wampir jest w stanie namącić ci w głowie, a nawet skrzywdzić, jeżeli dysponuje sporą mocą, a ty okazujesz pewną uległość. Wystarczy jednak chwila dekoncentracji, skupienia na kimś innym i gdy ten ktoś zacznie krzyżeć, ty się budzisz. Wtedy rzucasz się do ucieczki. Tyle że ci chłopcy nie uciekali. Nie ocknęli się. Po prostu umarli.

Jeżeli ktoś nie powstrzyma tej istoty, zginą kolejni ludzie. Byłam tego nieomal pewna. Freemont powinna była pozwolić mi zostać. Aby rozwikłać tę sprawę, potrzebna im była współpraca eksperta od wampirów. Potrzebowali mnie. No dobra, tak naprawdę potrzebowali gliny znajdującego się na potworach, ale na to akurat nie mogli liczyć. Upłynęły zaledwie trzy lata, odkąd w wyniku procesu Addison kontra Clark wampiry zostały uznane w świetle prawa za istoty żyjące. Trzy lata temu Waszyngton nadał krwiopijcom prawa obywatelskie. Nikt nie pomyślał, co to może oznaczać dla policji. Przed zmianą prawa zbrodniami nadnaturalnymi zajmowali się łowcy nagród, zabójcy wampirów. Ci zwykli z pozoru obywatele mieli dość doświadczenia, by przetrwać. Większość z nas dysponuje pewnego rodzaju pierwotną mocą, która zapewnia nam niezbędną równowagę sił w

starciu z potworami. Większość glin nie ma tego daru.

Zwykle w starciu z potworami ludzie nie wypadają najlepiej. Jednak zawsze była garstka specjalistów, która skutecznie zajmowała się likwidowaniem niebezpiecznych bestii. Odwalaliśmy dobrą robotę, aż tu nagle nasze obowiązki mają przejąć gliny. Nie zapewniono im niezbędnego przeszkolenia, zaplecza, niczego. Większość komend policji nie posiada nawet posrebrzanej amunicji.

Dopiero niedawno ktoś w Waszyngtonie doszedł do wniosku, że być może trochę się pospieszono. I że być może potwory są naprawdę potworami, a glinom przydałby się specjalny trening. Odpowiednie przeszkolenie zajmuje parę lat, toteż podjęto najprostszą z możliwych decyzji i zaczęto przyjmować do policji byłych łowców wampirów i zabójców potworów. Jeżeli chodzi o mnie, uważam, że to trafne posunięcie. Chciałabym mieć blachę i podetknąć ją pod sam nos sierżant Freemont. Gdybym miała uprawnienia federalne, nie mogłaby mnie spławić. Tyle że dla większości łowców wampirów byłoby to znacznym Utrudnieniem. Potrzeba więcej niż specja od istot nadnaturalnych, aby pracować przy sprawie o zabójstwo. I potrzeba dużo, dużo więcej niż specja od wampirów, aby nosić blachę.

Nie istniały proste odpowiedzi. Ale gdzieś tam, wśród gęstniejącego zmierzchu, oddział policji ścigał wampira potrafiącego robić rzeczy, o które nigdy bym tych istot nie podejrzewała. Gdybym miała blachę, byłabym teraz z nimi. Oczywiście niczego nie mogłabym zagwarantować, niemniej jednak widziałam o niebo więcej niż przeciętny stanowy glina, który co najwyżej miał okazję oglądać zdjęcia ofiar wampirów. Freemont nigdy nie miała do czynienia z wampirem. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że przeżyje swoje pierwsze z nim spotkanie.

Do baru Trupia główka prowadziła czerwona, zwirowa droga. Ktoś wyrznął drzewa po obu jej stronach i dziupel zdawał się sunąć pod górę ku czarnemu bezmiarowi nieba upstrzonego milionem gwiazd.

Gwiazdy były jedynym źródłem światła w zasięgu wzroku.

- Ależ tu ciemno - powiedział Larry.

- Żadnych latami - dodałam.

- Czy nie powinniśmy już stąd widzieć świateł baru?

- Nie wiem. - Patrzyłam na połamane drzewa. Pnie lśniły bielą, nierówne, postrzępione. To się stało niedawno. Wyglądało, jakby ktoś dostał szału i biegał tutaj z toporem, albo może z mieczem, a może coś wielkiego powyrywało te pnie gołymi rękami.

Zwolniłam, przepatrując ciemność. Czyżbym się pomyliła? Czy to były trolle? Czy w tych górach żył jakiś Wielki Troll Górski z Ozark? Taki, który potrafi używać miecza? Byłam skłonna uwierzyć we wszystko.

Nieomal zatrzymałam dziupel.

- Co się stało? - spytał Larry.

Włączyłam światła postojowe. Droga była wąska, ledwie zmieściłyby się na niej dwa auta, ale prowadziła pod górę. Ktoś zjeżdżający w dół nie zauważyłby dziupel od razu. Światła na pewno mu pomogą. gdyby jednak ten ktoś jechał zbyt szybko...

Do diabła, zrobię to, czemu miałam takie opory? Zaparkowałam dziupel i wysiadłam.

- Dokąd idziesz?

- Zastanawiam się, czy te rozwalone drzewa to robota trolli.

Larry wykonał ruch, jakby chciał wysiąść. Powstrzymałam go.

- Jeśli chcesz wysiąść, to z mojej strony.

- Dlaczego?

- Nie jesteś uzbrojony.

Wyjęłam browninga. Jego ciężar w dłoni dodał mi otuchy, aczkolwiek mając przeciwko sobie istotę wielkości trolla górskiego, pistolet nie zdałby się na wiele. Może gdybym miała w magazynku

eksplodujące pociski, ale zwykłe naboje kalibru 9 mm nie były w stanie powalić stwora wielkości małego słonia.

Larry zatrzasnął drzwiczki i przesunął się po siedzeniu.

- Naprawdę uważasz, że gdzieś tam może czaić się troll?

Zlustrowałam wzrokiem ciemność. Nic się w niej nie poruszało.

- Nie wiem.

Podeszłam do rowu biegnącego wzdłuż drogi. Zeszłam na dół. Moje obcasy zagłębiły się w suchej, piaszczystej ziemi. Złapałam lewą ręką pęk chwastów i wspięłam się na przeciwległe zbocze. Musiałam schwycić się jednego z pocharatanych pni, aby nie ześlizgnąć się po zalegającej ziemi warstwie liści sosnowych igieł.

Moja dłoń napotkała strużkę gęstej żywicy. Z trudem powstrzymałam się przed cofnięciem ręki, zmuszając się, by nie puścić lepkiej kory.

Larry wspiał się na nasyp, jego buty na gładkiej podeszwie ześlizgiwały się po suchych liściach. Nie miałam wolnej ręki, aby mu pomóc. Wdrapał się obok mnie, przytrzymując się kępek traw i chwastów.

- Cholerne buty od garnituru.

- Ciesz się, że nie nosisz szpilek - odparłam.

- Pewno, że się cieszę - mruknął. - Ani chybi skręciłbym kark.

W ciemnościach oprócz nas nic się ile poruszało, Słysząc było tylko granie świerszczy nic więcej. Wypuściłam powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech. Podciągnęłam się nieco wyżej, aby stanąć pewnie na nocach i przyjrzałam się drzewom.

- Czego szukasz? - spytał Larry.

- Siekiera zostawia gładkie, szerokie ślady. Jeżeli te drzewa połamał troll, powinny być postrzępione, nierówne, pełne drzazg.

- Wygląda na to, że ślady są gładkie - powiedział. Przesunął palcami po obnażonym drewnie.

- Ale to nie wygląda na dzieło topora.

Drewno było zbyt gładkie. Ciosy siekierą powinny być zadawane pod kątem. Te były prawie płaskie, jakby każde z tych drzew powalono jednym, najwyżej dwoma cięciami. Niektóre z drzew miały prawie trzydzieści centymetrów średnicy. Żaden człowiek nie byłby w stanie tego dokonać, nawet przy użyciu siekiery.

- Kto mógł to zrobić?

Przepatrywałam ciemność, walcząc z pragnieniem wycelowania broni w mrok, ale trzymałam pistolet skierowany w górę. Bezpieczeństwo przede wszystkim.

- Być może to był wampir z mieczem.

Wlepił wzrok w ciemność.

- Masz na myśli tego, który zabił te dzieciaki? Dlaczego wampir miałby ścinać drzewa po zabiciu tamtych chłopców?

Trafne pytanie. Naprawdę doskonałe. Ale jak w przypadku wielu innych pytań, jakie dziś padły, nie znałam na nie odpowiedzi.

- Nie wiem. Wracajmy do samochodu.

Wróciliśmy tą samą drogą. Tym razem żadne z nas nie osunęło się z nasypu. Wspaniałe osiągnięcie.

Gdy dotarliśmy do auta, schowałam pistolet. Zapewne i tak nie był mi potrzebny, ale... coś jednak ścięło te drzewa.

Chusteczką odświeżającą, która zwykle służy mi do oczyszczania się z krwi, wytarłam z dłoni żywicę. Chusteczki radziły sobie z krwią drzew równie dobrze jak z ludzką.

Pojechaliśmy dalej, wypatrując świateł. O ile nie pomyliliśmy drogi, powinniśmy być blisko Trupiej Głównki. Miałam nadzieję, że nie zboczyliśmy z trasy.

- Czy to pochodnia? - spytał Larry.

Wlepiłam wzrok w ciemność. Dostrzegłam migotanie ognia, zbyt wysoko nad ziemią, aby mogło to być ognisko. Dwie pochodnie na długich tyczkach oświetlały szeroki, żwirowy podjazd odchodzący od drogi w lewo. Tutaj także wycięto drzewa, ale dokonano tego wiele lat temu. To była stara polanka. Na tle wysokich drzew odcinał się parterowy budynek. Nad wejściem zwieszał się drewniany szyld. W blasku pochodni trudno było odczytać, co na nim napisano, ale zapewne napis obwieszczał - TRUPIA GŁÓWKA.

Dach pokryto ciemnymi, drewnianymi gontami, którymi w dodatku obłożono również ściany, dzięki czemu cały budynek wyglądał jak coś, co wyrosło w sposób naturalny z czerwonej, gliniastej ziemi. Na ciemnym żwirze podjazdu stało jakieś dwadzieścia samochodów osobowych i ciężarówek.

Szyld kołysał się na wietrze. Dopiero teraz dostrzegłam w blasku pochodni wyryte w drewnie duże, gładkie litery układające się w napis TRUPIA GŁÓWKA.

Przeszłam ostrożnie w szpilkach po żwirowym podejździe, Larry w butach od garnituru radził sobie znacznie lepiej.

- Trupia Główka to dziwna nazwa dla baru.
- Może serwują tu żeberka - podszeptęłam. Skrzywił się.
- Po tym, co dziś zobaczyłem, nie mam ochoty na dania mięsne.
- Ja też wolałabym coś innego.

Drzwi frontowe prowadziły do głównej sali. Kiedy zamknęły się za nami, otoczył nas półmrok rozjaśniony jedynie blaskiem ognia. Większość barów jest mroczna, to miejsca, gdzie można napić się i ukryć. Ażyl dla szukających ucieczki od blasku i zgiełku zewnętrznego świata. To miejsce doskonale wypełniało swoją rolę. Po jednej stronie sali ciągnął się kontuar baru, a na ciemnym parkiecie rozstawiono tuzin małych stolików. Po lewej stronie była niewielka scena, a w głębi stała szafa grająca. Korytarz obok niej prowadził zapewne do kuchni i toalet na tyłach.

Wszystko było urządzone w ciemnym, wypolerowanym do połysku drewnie. Na każdej ścianie znajdowały się świece w kloszach z przydymionego szkła. Z niskiego sklepienia zwieszał się kandelabr z mnóstwem kolejnych świec w kloszach. Drewno było niczym najciemniejsze z luster, bardziej połyskujące w świetle niż odbijające je.

Belki stropowe ozdobiono motywami winorośli i liści, przypominających dębowe. Gdy weszliśmy, wszyscy goście baru odwrócili głowy w naszą stronę jak w kiepskim westernie. Przeważali mężczyźni. Spojrzenia omiotły mnie i Larry'ego, po czym mężczyźni powrócili do swoich drinków. Paru wciąż gapiło się na mnie z nadzieją, ale starałam się ich ignorować. Było zbyt wcześnie i klienci baru nie mieli w czubie na tyle, by sprawiać mi kłopoty. Poza tym byliśmy uzbrojeni.

Kobiety tłoczyły się przy barze. Były ubrane jak na piątkowy wieczór przystało, o ile zamierzały go spędzić, stojąc pod latarnią. Patrzyły na Larry'ego tak łapczywym wzrokiem, jakby w duchu zastanawiały się, czy jest smaczny. Zienawidziły mnie na pierwszy rzut oka. Gdybym je знаła, powiedziałabym, że są zazdrosne, ale nie należę do kobiet wzbudzających natychmiastową zazdrość. Zbyt niska, ciemnowłosa, nie dość nordycka i zbyt mało egzotyczna. Jestem ładna, ale nie piękna. Kobiety patrzyły na mnie, jak by dostrzegały coś, czego ja nie widziałam. Aż miałam ochotę obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy za nami nie wszedł ktoś jeszcze. - Co się dzieje? - spytał szeptem Larry. Coś mnie uderzyło. Cisza. Nigdy jeszcze nie byłam w piątkowy wieczór w barze, w którym można byłoby usłyszeć czyjś szept. - Nie wiem - odparłam półgłosem. Kobiety przy barze rozstąpiły się na boki jak na rozkaz, odsłaniając kontuar. Stał za nim mężczyzna, Gdy go ujrzałam, w pierwszej chwili pomyślałam, że to kobieta. Miał takie piękne włosy. Sięgały mu do pasa jak gęsta, kasztanowa fala. Blask świec odbijał się w tych włosach tak samo jak w wypolerowanej gładzi drewnianego kontuaru.

Mężczyzna spojrział na nas oczami o dziwnej, niebieskozielonkawej barwie w odcieniu morskiej wody.

Był ciemnowłosy i raczej urzekający niż przystojny, androginiczny jak kot. Egzotyczny jak diabli. W jednej chwili zrozumiałam, czemu kobiety tłoczyły się przy barze.

Postawił szklaneczkę wypełnioną bursztynowym płynem na malej serwetce i powiedział: - Dla ciebie, Earl. - Mówił cicho, ale głos miał dźwięczny, basowy.

Od jednego ze stolików podniósł się jakiś mężczyzna. Zapewne Earl. Był postawnym, jakby wyciosanym z kłoca drewna, barczystym facetem przypominającym nieco złagodzoną wersję monstrum Frankensteina w interpretacji Borisa Karloffa. Nie był to piękny mężczyzna z okładki pisma dla kobiet.

Sięgał po mojego drinka i jego ramię musnęło plecy jednej z kobiet. Kobieta odwróciła się zagniewana. Spodziewałam się, że rzuci mu wiąchę, ale barman dotknął jej ramienia. Kobieta nagle znieruchomiała, jakby usłyszała głosy, których ja nie byłam w stanie wychwycić.

Powietrze zafalowało. Nagle poczułam, że Earl pachniał wodą i mydłem. Włosy miał wciąż wilgotne po niedawnym prysznicu. Mogłabym zlizywać wodę z jego skóry, chciałam poczuć na swoim ciele te wielkie, silne dłonie.

Pokręciłam głową i cofnęłam się do Larry'ego. Schwycił mnie za ramię.

- Co się stało?

Spojrzałam na niego, ściskając go za rękę, moje palce wpijały się w materiał jego marynarki, aż zatrzymały się na znajdującym się pod nią ciałem. Odwróciłam się w stronę kontuaru.

Earl i kobieta odeszli do stolika. Kobieta całowała spracowaną dłoń mężczyzny.

- Jezu - mruknęłam.

- Co się stało, Anito? - zapytał Larry. Wzięłam głęboki oddech i odstepiłam od niego.

- Nic mi nie jest, to po prostu było takie niespodziewane.

- To, czyli co?

- Magia. Podeszłam do baru.

Te zdumiewające oczy spojrzały na mnie, ale nie było w nich mocy. Nie czułam się jak przy spotkaniu z wampirem. Mogłam patrzeć w te piękne oczy w nieskończoność i nic by się nie wydarzyło. Nic złego.

Oparłam dłonie o lśniący drewniany blat kontuaru.

Ciężkie ciemne drewno także tutaj ozdabiały motywy winorośli i fantastycznych liści. Powiodłam po nich dłońią. To wszystko była ręczna robota. Koniuszki jego palców pieściły drewno jak skórę. To był dotyk posiadacza. W taki sposób dotykają kobiet niektórzy mężczyźni, uważający je za swoją własność. Mogłam się założyć, że te rzeźbienia były jego dziełem.

Brunetka w sukience za małej o dwa numery dotknęła jego ramienia.

- Magnesie, nie potrzebujesz nieznajomych. Magnus Bouvier odwrócił się do brunetki. Przesunął pieszczotliwie koniuszkami palców po jej ramieniu. Zadrżała. Delikatnie uniósł jej dłoń i uchował z pietyzmem.

- Wybierz, kogo chcesz, kochanie. Jesteś dziś zbyt piękna, by ktokolwiek mógł ci się oprzeć. Nie była piękna. Miała małe, mętnobrazowe oczka, zbyt ostry podbródek i nos za duży jak na jej pociągłą twarz. Patrzyłam na nią z odległości niespełna pół metra i nagle jej oblicze zaczęło się wygładzać. Oczy stały się duże i błyszczące, usta pełne i wilgotne.

Zupełnie jakby przeszła błyskawiczną metamorfozę albo retusz, tyle że naprawdę gruntowny.

Spojrzałam na Larry'ego. Wyglądał, jakby rąbnęła go ciężarówka. Szczupła, cudowna ciężarówka. Rozejrzałam się wokoło i stwierdziłam, że wszyscy inni faceci w barze, z wyjątkiem Earla, patrzyli na kobietę jak na Kopciuszka przemienionego magicznie mocą matki chrzestnej, który zjawił się pośród nich jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Całkiem niezłe porównanie.

Odwróciłam się do Magnusa Bouviera. Nie patrzył na kobietę. Wpatrywał się we mnie.

Oparłam się o kontuar i odnalazłam spojrzenie Magnusa, Uśmiechnął się pod nosem.

- Rzucanie uroków jest niezgodne z prawem - powiedziałam.

Uśmiech poszerzył się.

- Jesteś zbyt piękna, aby być policjantką. Wyciągnął rękę, aby dotknąć mojego ramienia.

- Dotknij mnie, a aresztuję cię za stosowanie niedozwolonych praktyk z wykorzystaniem technik hipnozy oraz uroków.

- To nadużycie - odparł.

- Nie, o ile nie jesteś człowiekiem - warknęłam.

Zamrugnął powiekami. Nie znałam go na tyle, by stwierdzić to na pewno, ale chyba go zaskoczyłam. Jakby był przekonany, że powinnam uważać go za człowieka. No jasne.

- Porozmawiajmy przy stoliku - zaproponował.

- Może być.

- Dorrie, czy możesz mnie zastąpić przez chwilę?

Za kontuarem stanęła kobieta. Miała równie gęste, kasztanowe włosy jak Magnus, ale związała je w gruby koński ogon zaczynający się niemal na czubku jej głowy. Długi, lśniący ogon z włosów kołysał się przy każdym jej ruchu jak żywa istota. Jej oblicze, nieprzesłonięte włosami i pozbawione makijażu, było trójkątne, egzotyczne, kocie. Oczy miały ten sam morski odcień jak oczy Magnusa.

Mężczyźni stojący najbliżej zaczęli przyglądać się jej spod oka. Jakby obawiali się patrzeć na nią wprost.

Larry gapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

- Będę stać za barem, ale nic więcej - powiedziała. Przeniosła wzrok na Larry'ego i rzuciła ochryłym, drwiącym głosem: - Na co się tak ślepisz?

Larry zamrugał, zamknął usta i wykrztusił:

- N - na nic.

Łypnęła na niego, jakby wiedziała, że kłamał. Chyba zaczynałam z wolna pojmować, dlaczego faceci starali się na nią nie patrzeć.

- Dorcas, bądź miła dla klientów.

Spiorunowała Magnusa wzrokiem, ten uśmiechnął się i spasował.

Magnus wyszedł zza baru. Miał na sobie niebieską koszulę wyłożoną na dzinsy, tak sprane, że wydawały się białe. Koszula sięgała mu do połowy ud. Stroju dopełniały czarno - srebrne kowbojki. Wszystko, prócz butów, wydawało się pożyczone. Powinien wyglądać niechlujnie, pospolicie wśród mężczyzn i kobiet wystrojonych na ten piątkowy wieczór, ale tak nie było. Jego niezłomna pewność siebie sprawiała, że ubiór wyglądał wręcz doskonale. Kobieta przy jednym ze stolików chwyciła go za połę koszuli, kiedy ją mijał. Wyciągnął koszulę z jej rąk z radosnym uśmiechem. Magnus poprowadził nas do stolika tuż przy pustej scenie. Zatrzymał się, pozwalając, abym wybrała miejsce - to bardzo uprzejmie z jego strony. Zachował się jak dżentelmen. Usiadłam plecami do ściany, aby móc widzieć zarówno drzwi, jak i całą salę. To trochę jak z westernu, ale w powietrzu czuć było magię. Nielegalną magię.

Larry usiadł po mojej prawej ręce. Obserwował mnie i odsunął nieznacznie krzesło od stolika, aby także móc widzieć salę. To przerażające, jak poważnie Larry traktował wszystko, co robiłam. To pozwoli mi przeżyć, ale czasami czułam się, jakby chodził za mną krok w krok trzylatek z legalnie posiadaną bronią. Trochę mnie to przerażało.

Magnus uśmiechnął się do nas szeroko, jakbyśmy zrobili coś fajnego albo zabawnego. Nie było mi do śmiechu.

- Rzucanie uroków miłosnych jest niezgodne z prawem - powiedziałam.

- Już to mówiłaś - rzekł Magnus. Posłał mi uśmiech - w zamyśle czarujący i niegroźny. Tak jednak nie było. Wszystko, co robił, trąciło egzotyką. On z całą pewnością nie był niegroźny.

Patrzyłam na niego, aż uśmiech zniknął z jego twarzy. Magnus przełknął ślinę. Wlepił wzrok w swoje leżące na blacie stolika dłonie. Wyglądał na zdenerwowanego. Spoważniał. To dobrze.

- To nie urok - powiedział.

- Jak cholera.

- To nie jest urok. Zakłęcie owszem, ale nie urok.

- Słowa, słowa, słowa - warknęłam. Larry wpatrywał się w nas z przejęciem.

- Czy to, co się stało przy barze, to było zakłęcie miłosne?

- A co właściwie stało się przy barze? - Na twarzy Magnusa malowała się niewiarygodna łagodność, jakby sądził, że Larry powinien mu uwierzyć.

Larry spojrzał na mnie.

- Czy on żartuje? Ta kobieta zmieniła się z żaby w królową. To musiała być magia.

Magnus po raz pierwszy skupił całą swoją uwagę na Larrym, do tego stopnia, że poczułam się odrzucona. Zupełnie jakby zniknął padający na mnie promień słońca, a ja poczułam nagle chłód i otaczający mnie mrok.

Pokręciłam głową.

- Przestań nam ściemniać.

Magnus spojrzał na mnie i przez chwilę znów poczułam to ciepło.

- Przestań. - Ale co?

Wstałam.

- Świetnie. Zobaczymy, czy w pace też będzie ci tak wesoło.

Magnus zacisnął dłoń na moim nadgarstku. Powinien mieć spracowane ręce i szorstką skórę, ale tak nie było. Skórę miał nienaturalnie miękką, jak żywy aksamit. Rzecz jasna to także mogła być iluzja.

Próbowałam cofnąć dłoń, ale wzmógł uścisk. Ciągnęłam z całej siły, a on trzymał z niezłomnym przekonaniem kogoś, kto wie, że nie sposób mu się wyrwać. Pomylił się. Nie chodziło o siłę, lecz o punkt podparcia.

Wykonałam szybko skręt nadgarstkiem i równocześnie szarpnęłam rękę ku sobie. Jego palce prześlizgły się po mojej skórze, usiłując wpić się w nią, ale było już po wszystkim. Jeden z jego paznokci boleśnie przeorał mi skórę. Nie do krwi, ale i tak było to nieprzyjemne. Poczulałabym się lepiej, gdybym roztarła dłoń, ale nie chciałam dać mu tej satysfakcji.

Bądź co bądź byłam twardą i niezłomną pogromczynią wampirów. Poza tym to częściowo zniweczyłoby efekt, a wyraz zaskoczenia na twarzy Magnusa mile polechtał moje ego.

- Większość kobiet nie wyrywa się, kiedy ich dotknę.

- Jeśli jeszcze raz spróbujesz użyć wobec mnie magii, wydam cię glinom.

Spojrzał na mnie w zamyśleniu. Skinął głową.

- Wygrałaś. Żadnej magii wobec ciebie albo twojego przyjaciela.

- A także wobec wszystkich innych - dodałam. Usiadłam ostrożnie, w bezpiecznej odległości od niego. Odsunęłam krzesło, aby w razie konieczności móc swobodnie sięgnąć po pistolet. Wątpiłam, abym była zmuszona wpakować mu kulkę, ale bolał mnie ściśnięty mocno nadgarstek. Miałam już okazję walczyć wręcz z wampirami i wilkołakami. Potrafiłam rozpoznać dysponujące nieludzką siłą istoty nadnaturalne. Był jedną z nich. Mógłby zmiażdżyć mi kości na proszek, ale nie ścisnął mi ręki dostatecznie szybko. Nie chciał mi zrobić krzywdy. Jego błąd.

- Moim klientom to się nie spodoba. Oni nie chcą utracić tej magii - powiedział.

- Nie możesz manipulować nimi w ten sposób. To niezgodne z prawem i nie omieszkam wspomnieć o tym glinom.

- Przecież wszyscy wiedzą, że piątkowy wieczór w Trupiej Głównie to wieczór kochanków - powiedział Magnus.

- Co to jest wieczór kochanków? - spytał Larry.

Magnus uśmiechnął się, odzyskując nieco rezon, ale ciepło znikło z jego twarzy. Wydawał się poważny i szczery. Nawet wampiry nie mogły zapanować nad moim umysłem tak, abym nie zdawała sobie z tego sprawy. Ten Magnus zaczynał działać mi na nerwy.

- Dzisiejszej nocy sprawiam, że wszyscy wyglądają na pięknych, przystojnych lub seksownych. Na kilka godzin możesz zdobyć kochanka lub kochankę ze swych najskrytszych marzeń i samemu stać się obiektem sekretnych westchnień kogoś innego. Zaklęcie niestety nie trwa całą noc. Stąd nazwa wieczór kochanków.

- Czym ty jesteś? - spytał Larry.

- Co wygląda jak *homo sapiens*, może krzyżować się z *homo sapiens*, ale nie jest *homo sapiens*! - spytałam. Oczy Larry'ego rozszerzyły się. - *Homo arcanhs*. To fairie? - Proszę, mów ciszej - powiedział Magnus. Rozejrzał się dokoła. Żaden z klientów baru nie zwracał na nas uwagi. Wszyscy byli zbyt zajęci. Wpatrywali się w siebie nawzajem zaczarowanymi oczami.

- Nie możesz udawać człowieka - powiedziałam. - Nie jesteś człowiekiem.

- Bouvierowie od stuleci żyli w tych stronach, przewidywali przyszłość i sporządzali miłosne zaklęcia.

- Powiedziałeś, że to nie był miłosny urok - stwierdziłam.

- Oni myślą, że tak. Ty wiesz, co to było. Znasz prawdę.

- Glamour.

- Co to jest glamour? - spytał Larry.

- Magia fairie. Zaćmiewa umysły i sprawia, że wszystko wydaje się lepsze lub gorsze, niż jest w rzeczywistości.

Magnus skinął głową i uśmiechnął się, jakby cieszyło go, że tyle wiem.

- Dokładnie, to w gruncie rzeczy pomniejsza magia, nic wielkiego w porównaniu z tą, którą dysponują inni.

Pokręciłam głową.

- Czytałam o glamourze, ten urok nie mógłby działać tak sprawnie, gdybyś nie należał do wysokiego dworu, *Daoine Sidhe*. Dwór seelie niezbyt często zadaje się ze śmiertelnikami. A już na pewno nie z pospólstwem. W przeciwieństwie do dworu unseelie. Tam jest to na porządku dziennym.

Spojrzał na mnie swymi pięknymi oczami, które nawet bez glamouru były tak cudowne, że miałam ochotę go dotknąć. Chciałam przekonać się, czy jego włosy były tak miękkie, jak się wydawały. Wyglądał jak wspaniała rzeźba, posąg, który aż się prosił o dotyk.

Magnus uśmiechnął się łagodnie.

- Dwór unseelie jest zły, okrutny. To, co tu robisz, nie jest złe. Przez jeden wieczór ci ludzie mogą, przychodząc tutaj, przeżywać swoje fantazje. Sądzą, że to dzieło miłosnego uroku, a ja nie wyprowadzam ich z błędu. Wszyscy utrzymujemy tę drobną nielegalną sztuczkę w tajemnicy. Miejscowa policja wie o tym. Od czasu do czasu stróże prawa też tu zachodzą, aby zażyć odrobiny rozkoszy.

- Ale b nie jest miłosny urok.

- Nie, to mój wrodzony talent, moja umiejętność.

Użycie rodzimej magii nie jest zabronione, o ile wszyscy wiedzą, że to robisz.

- A zatem udajesz, że rzucasz miłosne czary, a wszyscy przymykają na to oko, gdyż doskonale się bawią. Sęk w tym, że to glamour fairie, a on nie jest zabroniony, o ile objęte jego wpływem osoby mają tego świadomość.

- Otóż to - przyznał.

- Więc w gruncie rzeczy to wszystko jest legalne.

Skinął głową.

- Czy gdybym wywodził się ze złego pnia fairie, zadawałbym sobie tyle trudu, aby dostarczyć moim klientom drobiny rozkoszy?

- Gdybyś mógł dzięki temu coś zyskać, owszem.

- Czy nie istnieją zakazy zabraniające członkom dworu unseelie przenoszenia się i zamieszkiwania w tym kraju? - spytał Larry.

- Owszem - odparłam.

- Mnie nie obowiązują, gdyż moja rodzina zamieszkała tutaj, zanim jeszcze owo prawo weszło w życie. Bouvierowie są w tych stronach od blisko trzystu lat.

- To niemożliwe - zaproponowałam. - Tak długo byli tu tylko Indianie.

- Lionel Bouvier był francuskim traperem, handlarzem skór. Jako pierwszy Europejczyk postawił stopę na tej ziemi. Wzenił się w tutejsze plemię i nawrócił je na chrześcijaństwo.

- Punkt dla niego. Czemu jednak nie chcesz sprzedać tej ziemi Raymondowi Stirlingowi?

Zamrugła.

- To dla mnie wielkie rozczarowanie, nie sądziłem, że możesz pracować dla niego.

- Przykro mi, że cię zawiodłam - powiedziałam.

- Czym jesteś?

Nie zapytał kim jestem, lecz czym. To pytanie zbiło mnie z tropu. Ale tylko na chwilę.

- Anita Blake, a to Larry Kirkland. Jesteśmy animatorami.

- Zakładam, że nie pracujecie przy produkcji filmów animowanych.

Uśmiechnęłam się.

- Nie. Ożywiamy zmarłych. Od łacińskiego *animatutn* - dawać życie.

- Czy to wszystko, czym się zajmujesz? Patrzył na mnie z przejęciem, jakby chciał odczytać napis wyryty wewnątrz mojej czaszki.

Nie lubiłam, gdy ktoś tak się na mnie gapił, ale przywykłam do tego. Nie z takimi miałam do czynienia. Spojrzałam mu w oczy i odparłam:

- Jestem licencjonowaną egzekutorką wampirów.

Pokręcił łagodnie głową.

- Nie pytałem o zawód. Pytałem, czym jesteś. Zmarszczyłam brwi.

- Może nie zrozumiałam pytania.

- To możliwe, ale twój przyjaciel zapytał, czym jestem. Odparłaś, że jestem fairie. Ja spytałem, czym ty jesteś, a ty opowiedziałaś mi, czym się zajmujesz. To tak, jak ja powiedziałbym, że jestem barmanem.

- Wobec te nie wiem, jak mam odpowiedzieć - mruknęłam.

Wciąż na mnie patrzył.

- Owszem, wiesz. Widzę to słowo w twoich oczach. Jedno słowo. I nagle pojawiło się ono w moim umyśle.

- Nekromantka. Jestem nekromantką. Magnus skinął głową.

- Czy pan Stirling wie, czym jesteś?

- Wątpię, aby to zrozumiał, nawet gdybym mu powiedziała.

- Naprawdę masz umiejętność kontrolowania wszelkiego rodzaju nieumarłych? - zapytał Magnus.

- A czy ty naprawdę umiesz zrobić sto par butów w jedną noc?

Magnus uśmiechnął się.

- Nie ten gatunek fairie.

- Taa - mruknęłam.

- Skoro pracujesz dla Stirlinga, co cię tu sprowadza? Mam nadzieję, że nie przyszedłeś tu, aby przekonać mnie do sprzedaży ziemi. Nie chciałbym odmówić tak cudownej kobiecie.

- Opuść sobie komplementy, Magnusie. Tą drogą nigdzie nie dojdiesz.

- A jaką? Westchnęłam.

- Obecnie mam wokół siebie zbyt wielu facetów.

- To fakt - przyznał Larry. Spiorunowałam go wzrokiem.

- Nie proszę o randkę. Zapraszam cię do mego łóża.

Posłałam Magnusowi miazdzące spojrzenie. Albo raczej skarciłam go wzrokiem.

- Nie w tym życiu.

- Seks między istotami nadnaturalnymi zawsze jest czymś niezwykłym, Anito.

- Nie jestem istotą nadnaturalną. - Słowa, słowa, słowa.

Z braku argumentów wybrałam milczenie. Milcząc, rzadko pakuję się w kłopoty. Magnus uśmiechnął się.

- Wprawilem cię w zażenowanie. Przykro mi, ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie zapytał. Sporo wody upłynęło, odkąd ostatni raz byłem z kimś więcej niż ze zwykłą śmiertelniczką. Pozwólcie, że aby zadośćuczynić za moje grubiaństwo, postawię wam obojgu coś do picia.

Pokręciłam głową.

- Wołałabym raczej coś zjeść. Oboje jesteśmy głodni.

- Posiłek naturalnie na koszt firmy.

- Nie - zaproponowałam.

- Dlaczego nie?

- Bo niezbyt cię lubię, a nie przyjmuję niczego za darmo od osób, za którymi nie przepadam.

Usiadł wygodniej na krześle, na jego twarzy odmalował się dziwny wyraz, jakby zaskoczenia.

- ■ Jesteś bardzo bezpośrednia.

- Nawet nie wiesz jak bardzo - wtrącił Larry.

Stłumiłam w sobie chęć kopnięcia Larry'ego pod stołem i spytałam:

- Czy możemy prosić o kartę dań? Magnus uniósł rękę i zawołał:

- Dwie karty dań, Dorrie. Dorrie przyniosła nam menu.

- Jestem współwłaścicielką tego lokalu, a nie kelnerką, Magnusie. Streszczaj się.

- Nie zapominaj, że mam dziś jeszcze spotkanie. Dorrie. - Głos miał łagodny. Dorrie nie dała się oszukać.

- Nie zostawisz mnie samej z tymi wszystkimi ludźmi. Nie zamierzam... - Spojrzała na nas. - Nie lubię wieczorów kochanków. Wiesz dobrze.

- Zanim wyjdę, zajmę się wszystkimi. Twoja moralność nie ucierpi.

Obrzuciła nas gniewnym spojrzeniem. - Wychodzisz z nimi?

- Nie - odparł.

Obróciła się na pięcie i wróciła za bar. Kilku samotnych mężczyzn ukradkiem zerkało na kołyszące się biodra.

- Twoja siostra nie aprobuje rzucanych przez ciebie zaklęć? - spytałam.

- Dorrie nie aprobuje wielu rzeczy.

- Ma zasady.

- Sugerujesz, że ja ich nie mam - rzucił. Wzruszyłam ramionami.

- Ty to powiedziałaś.

- Czy ona zawsze tak wszystkich osadza? - zwrócił się do Larry'ego.

Larry skinął głową.

- Zazwyczaj.

- Zamówmy coś - zaproponowałam.

Larry uśmiechnął się, ale wlepił wzrok w menu. Karta była laminowana i zadrukowana z obu stron. Zamówiłam wysmażonego cheeseburgera, frytki i dużą colę. Od paru godzin nie podkręciłam organizmu kofeiną jechałam na oparach.

Larry wpatrywał się w menu z ponurą miną.

- Wątpię, abym mógł dziś zjeść hamburgera.

- Mają też sałatki - podpowiedziałam. Magnus dotknął koniuszkami palców wierzchu dłoni Larry'ego.

- Coś przesuwają się za twoimi oczami. Coś... coś okropnego.

Larry spojrzał na niego.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Schwyciłam Magnusa za nadgarstek i odciągnęłam od Larry'ego. Spojrzał na mnie, a ja odwróciłam wzrok. Nie tylko z uwagi na kolor jego oczu. Źrenice wyglądały przez chwilę jak u ptaka. Ludzie nie mają takich oczu.

Nagle zorientowałam się, że wciąż trzymałam go za rękę. Cofnęłam dłoń.

- Przestań nas sondować, Magnusie.

- Powinnaś nosić rękawiczki, w przeciwnym razie będę w stanie stwierdzić, czego dotykałaś - odparł.

- Biorę udział w policyjnym dochodzeniu. Wszystko, czego się dowiesz dzięki swym mentalnym zdolnościom, musi zostać zachowane w tajemnicy, w przeciwnym razie możesz zostać pociągnięty do odpowiedzialności prawnej, tak jakbyś ukradł informacje z naszych akt.

- Zawsze to robisz? - zapytał.

- Co?

■ - Mówisz policyjnym żargonem, kiedy jesteś zdenerwowana.

- Czasami - odparłam.

- Widziałem krew, to wszystko. Moje zdolności są raczej ograniczone, gdy chodzi o zdalne postrzeganie. Powinnaś uścisnąć dłoń Dorrie. Zdalne postrzeganie jest jej mocną stroną.

- Dzięki, odpuszczę sobie - burknął Larry. Magnus uśmiechnął się.

- Nie jesteś z policji, inaczej nie groziłabyś, że mnie im wydasz, ale byłaś z nimi wcześniej. Dlaczego?

- Sądziłam, że zobaczyłeś jedynie krew - rzuciłam.

Miał dość przyzwoitości, aby okazać zażenowanie. Miło wiedzieć, że w ogóle był do tego zdolny. - No, może trochę więcej.

- Jasnowidzenie nie należy do typowych uzdolnień fairie.

- Nasza prapraprababka była, jak powiadają, córką szamana.

- Gromadzenie magii z obu stron rodzinnego drzewa - powiedziałam.

- Z drzewa o takich korzeniach nie mogą rodzić się dobre owoce.

- Jasnowidzenie to nie magia - wtrącił Larry.

- Naprawdę dobry jasnowidz może przekonać cię, że jest magiem - odparłam. Spojrzałam na Magnusa. Ostatni jasnowidz, który dotknął mnie i zobaczył krew, był wstrząśnięty i przerażony. Zaklinał się, że już nigdy więcej mnie nie dotknie. Magnus nie wydawał się wstrząśnięty, a nawet zaproponował mi seks. Są gusta i guściki.

- Jeśli już się na coś zdecydujecie, osobiście zaniosę wasze zamówienia do kuchni - powiedział.

Larry spojrzał na kartę.

- Chyba wezmę sałatkę. Bez dressingu. - Zamyślił się przez chwilę. - I bez pomidorów.

Magnus zaczął się podnosić.

- Dlaczego nie chcesz odsprzedać ziemi Stirlingowi? - spytałam.

Magnus uśmiechnął się i przekrzywił głowę w bok.

- Ta ziemia należy do naszej rodziny od stuleci. Jest nasza.

Spojrzałam na niego, usiłując odczytać wyraz jego twarzy. Bez powodzenia. Albo mówił prawdę, albo kłamał w żywe oczy.

- A więc jedynym powodem, dla którego nie chcesz zostać milionerem, jest... powiedzmy... rodzinna tradycja?

Uśmiech pogłębił się. Magnus nachylił się w moją stronę, jego długie włosy rozsypały się do przodu. Choć wcale me musiał, zwrócił się do mnie szeptem:

- Pieniądze to nie wszystko, Anito. Chociaż Stirling uważa inaczej.

Jego twarz była oddalona od mojej zaledwie o kilka centymetrów. Czułam zapach jego wody po goleniu - słaby, przyciągający.

- Czego pragniesz, Magnusie, jeżeli nie pieniędzy?

Patrzyłam na niego z bardzo bliskiej odległości. Jego długie włosy musnęły moją dłoń.

- Powiedziałem ci, czego chcę.

Nawet nie używając glamouru, próbował mnie usidlić, zwieść, omamić.

- Co się stało z tymi drzewami przy drodze? - Nie tak łatwo mnie omamić. Ciężko jest zbić mnie z tropu.

Zamrugnął długimi rzęsami. Coś prześliznęło się za gałkami jego oczu. - To moja robota. - Ty ścinałeś te drzewa? - spytał Larry. Magnus odwrócił się do niego, a ja ucieszyłam się, że w końcu choć trochę się ode mnie odsunął. - Niestety tak. - Po co to zrobiłeś? - spytałam. Wyprostował się i wypiął pierś, lekko uniósł głowę i odparł; - Upiłem się i wpadłem w niszczycielski szał. Wzruszył ramionami. - Żenujące, nieprawdaż? - Trafnie to ująłeś - odparłam. - Pójdę do kuchni, złożyć wasze zamówienie. Jedna sałatka sauté. - Pamiętasz, co ja zamówiłam? - zapytałam. - Mięso spalone na węgiel. Pamiętam. - Powiedziałeś to tak, jakbyś był wegetarianinem.

- O nie - mruknął. - Ja jem wszystko. Zniknął w tłumie, zanim zdołałam namyślić się, czy powinnam poczuć się urażona, czy raczej nie. No i dobrze. Nawet gdybym miała się obrazić, nie byłam w stanie wymyślić na poczekaniu celnej riposty.

Dorcas bez słowa podała nam posiłek. Wyglądała na zagniewaną, ale gniewała się nie tyle na nas, co przez nas. A może po prostu była zła na cały świat. Rozumiałam to. Magnus stanął za barem i ponownie otoczył klientów niewidzialną siecią swego subtelного czaru. Spojrzał na nas i uśmiechnął się, ale nie wrócił, aby dokończyć rozmowę. To jasne - przecież już skończyliśmy. Zabrakło mi pytań.

Odgryzłam kęs mego cheeseburgera. Był chrupki z brzegu i nie miał różowego środka. Doskonały.

- Co się stało? - spytał Larry, skubiąc listek sałaty.

Przełknęłam.

- Czemu pytasz?

- Bo marszczysz brwi - odparł.

- Magnus nie wrócił do stolika.

- I co z tego? Odpowiedział na wszystkie nasze pytania. Podejrzewasz go o coś? - Pokręcił głową - Zdecydowanie za długo przebywasz wśród glin. Anito. Każdy jest dla ciebie podejrzany.

- I zwykle mam rację. - Odgryzłam kolejny kęs cheeseburgera.

Larry zmrużył powieki.

- Co się stało? - spytałam.

- Ten sos wypływający z twojego cheeseburgera możesz jeść po tym wszystkim, co niedawno widzieliśmy?

- Domyślałam się, że wolałbyś, abym w tej sytuacji nie polewała frytek keczupem.

Spojrzał na mnie zbolałym wzrokiem.

- Jak ty w ogóle możesz jeszcze żartować?

Rozległ się sygnał mojego pagera. Czyżby znaleźli tego wampira? Wdusiłam guzik i zobaczyłam numer Dolpha. Co znowu?

- To Dolph. Wcinaj na zdrowie. Zadzwoń z dżipa i zaraz wracam.

Larry wstał razem ze mną. Zostawił na stoliku zapłatę z hojnym napiwkiem i prawie nietkniętą sałatę.

- Już skończyłem.

- A ja nie. Niech Magnus zapakuje moją porcję na wynos.

Larry wpatrywał się posępnie w mojego napoczętego cheeseburgera.

- Nie zamierzasz jeść w samochodzie, prawda?

- Niech mi to zapakuje i już.

Ruszyłam do dzipa i jego bajeranckiego telefonu.

Dolph odebrał przy trzecim sygnale. -

Anita?

- Tak, Dolph, to ja. Co jest?

- W twojej okolicy mamy ofiarę wampira. Cholera, jeszcze jedna.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zamurowało mnie.

- Freemont nie zadzwoniła do ciebie po naszej znowie?

- Owszem, mówiła o tobie wiele dobrego.

- To zdumiewające, nie zachowywała się wobec mnie przyjaźnie.

- To znaczy?

- Nie pozwoliła mi wziąć udziału w polowaniu na wampira.

- Opowiedz mi o tym - poprosił Dolph.

Zrobiłam to.

Dolph milczał jeszcze długo po tym, jak skończyłam.

- Jesteś tam jeszcze, Dolph?

- Jestem. Choć wolałbym, aby było inaczej.

- Co się dzieje, Dolph? Czemu Freemont miałaby dzwonić i mówić ci, że robię dobrą robotę, a równocześnie nie poprosić twojej jednostki o wsparcie w tak dużej i trudnej sprawie?

- Założę się, że federalnych także nie powiadomiła - rzekł Dolph.

- Co jest grane, Dolph?

- Mam wrażenie, że Freemont bawi się w samotnego jeźdźca.

- Federalni będą chcieli bliżej się temu przyjrzeć. To pierwszy w historii przypadek seryjnego zabójcy wampira. Freemont nie zdoła zachować tego dla siebie.

- Wiem - przyznał Dolph.

- I co z tym zrobimy?

- Tym razem wygląda na to, że mamy do czynienia z klasycznym wampirycznym zabójstwem. Typowe oznaki, ślady krwi, zero innych uszkodzeń ciała. Czy to mógł być jakiś inny wampir?

- Owszem, tak - przyznałam.

- Powiedziałaś to z powątpiewaniem.

- Dwa wampiry samotniki na tak niewielkim obszarze, z dala od miasta, to raczej mało prawdopodobne.

- Zwłoki nie zostały porąbane.

- Właśnie. Skąd pewność, że pierwszy zabójca to wampir? Czy to może być coś innego?

Już miałam odpowiedzieć „nie”, ale zmitygowałam się. Ktoś, kto był w stanie ściąć te wszystkie drzewa w trakcie jednej pijackiej burdy, z całą pewnością, mógłby porąbać na kawałki paru ludzi. Magnus miał swój magiczny urok. Nie byłam pewna, czy dzięki niemu mógłby dokonać tego, co zobaczyłam na polanie, ale...

- Anito?

- Chyba mam alternatywę.

- Co takiego?

- Nie co, lecz kto - odparłam. Nie chciałam wydawać Magnusa glinom. Tak długo udawało mu się zachować swą tajemnicę, ale... jeżeli to faktycznie on zabił te pięć osób? Wiedziałam, że ma niezłą krzepę. Pamiętałam pnie drzew ściętych jednym, góra dwoma uderzeniami. Przed oczyma znów mignęły mi sceny z miejsca zbrodni. Krew, nagie kości. Nie mogłam wykluczyć Magnusa i nie mogłam pozwolić sobie na pomyłkę.

Opowiedziałam o nim Dolphowi.

- Czy przez pewien czas mógłbyś zatrzymać dla siebie to, że on jest jednym z fairie?

- Dlaczego?

- Bo jeżeli on tego nie zrobił, demaskując go, zrujnowalibyśmy mu życie.

- Wiele osób ma w sobie krew fey, Anito.

- Powiedz to studentce, którą narzeczony zatłukł na śmierć, gdy dowiedział się, że miał poślubić fairie. W sądzie zarzekał się, że nie chciał jej zabić. Bo przecież powszechnie wiadomo, że lud fey jest trudny do zabicia, nieprawdaż?

- Nie wszyscy są tacy, Anito.

- Nie wszyscy, ale takich ludzi jest wielu.

- Postaram się, Anito, ale niczego nie mogę obiecać.

- W porządku - powiedziałam. - Gdzie jest tu nowa ofiara?

- W Monkey's Eyebrow - odparł.

- Gdzie?

- To nazwa miasta.

- Rany, Monkey's Eyebrow, Missouri. Niech zgadnę, to małe miasteczko.

- Dostatecznie duże, aby mieli tam szeryfa i morderstwo.

- Przepraszam. Mógłbyś mi powiedzieć, jak tam trafić? - Z kieszeni czarnej kurtki wyjęłam notes.

Dolph udzielił mi wskazówek.

- Szeryf St. John czeka na ciebie przy zwłokach. Najpierw skontaktował się z nami. Skoro Freemont chce uporać się z tą sprawą sama, damy jej szansę.

- Nie powiadomisz jej?

- Nie.

- Wątpię, aby w Monkey's Eyebrow mieli zespół techników. A specjaliści na pewno by się nam przydali. Skoro nie chcemy w to wtajemniczać Freemont, może wy moglibyście się tam pofatygować?

- Wciąż pracujemy nad naszym zabójstwem.

Skoro jednak szeryf St. John nas wezwał, przyjedziemy tak szybko, jak to będzie możliwe. Dziś już nie, ale na pewno jutro.

- Freemont powinna była przesłać zdjęcia z miejsca zbrodni, gdzie zabito pierwsze dwie osoby.

Zapytam ją. Może przesłała też fotografie z drugiego miejsca zbrodni. Sprawdźcie to, gdy już przyjedziecie.

- Freemont może zacząć coś podejrzewać, gdy będziesz wypytywać o kolejne zdjęcia - zauważył Dolph.

- Powiem, że chodzi mi o zwykłe porównanie, Może stara się rozpracować tę sprawę sama, ale pragnie doprowadzić ją do końca. Tyle tylko, że chce sama zgarnąć za nią wszystkie laury.

- Jest spragniona sławy - wtrącił Dolph.

- Na to wygląda.

- Nie wiem, czy zdołam utrzymać Freemont z dala od tej drugiej sprawy, czy nie, ale postaram się zapewnić ci trochę forów, abyś nie musiała stale czuć na karku jej gorącego oddechu.

- Byłabym wielce zobowiązana.

- Mówiła, że towarzyszy ci asystent. To był Larry Kirkland?

- Tak.

- Dlaczego zaciągnęłaś go na miejsce zbrodni?

- Na wiosnę robi dyplom z biologii nadnaturalnej. To animator i zabójca wampirów. Nie mogą być wszędzie. Dolph. Chciałam dać mu szansę, a w sumie chyba dobrze byłoby mieć dwójkę ekspertów od potworów zamiast jednego.

- Może i tak. Freemont wspomniała, że Larry zarzygał połowę miejsca zbrodni.

- Nie zwymiotował na miejscu zbrodni, ale obok.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To lepsze, niż puścić pawia na zwłoki.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz, prawda?

- Nigdy - odparł Dolph.

- No i dobrze. Przyjedziemy tam z Larrym najszybciej, jak się da. To jakieś pół godziny drogi, może trochę więcej.

- Powiadomię szeryfa, że już jedziecie.

Rozłączył się.

Odłożyłam słuchawkę. Dolph uczył mnie, aby zawsze kończyć rozmowę telefoniczną bez

pożegnania.

Larry rozsiadł się w fotelu na tyle, na ile pozwoliły mu pasy bezpieczeństwa. Dłonie trzymał zaciśnięte na podolku. Wpatrywał się w ciemność, jakby dostrzegał w niej coś więcej poza przesuwanym się krajobrazem. Zapewne miał przed oczami wizję umordowanych nastolatków. Ja ich nie widziałam. Jeszcze nie. Może we śnie, ale nie na jawie, jeszcze nie.

- Czy to będzie straszne? - zapytał. Głos miał jakby, pełen napięcia.

Nie wiem. To ofiara wampira. Może być różnie albo dwie schludne ranki, albo krwawa jatka.

- Jak w przypadku tych trzech chłopaków?

- Dolph twierdzi, że nie, podobno to klasyczna prawda, zwykle ukąszenia.

- A więc nie będzie zbyt straszne? - Zniżył głos prawie do szeptu.

- Nie dowiemy się, póki nie dotrzemy na miejsce - odparłam.

- Nie mogłabyś po prostu mnie pocieszyć? - głos miał tak cichy, tak niepewny, że omal nie zawróciłam. Larry nie musiał oglądać kolejnego miejsca zbrodni. To nie należało do jego obowiązków. Do moich tak, do jego jeszcze nie.

- Nie musisz tego oglądać, Larry.

Odwrócił głowę w moją stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jak na jeden dzień widziałeś dość krwi i flaków. Mogłabym zawrócić i odwieźć cię do hotelu.

- Jeżeli dziś tam nie pojedę, co będzie następnym razem?

- Albo jesteś stworzony do tej roboty, albo nie. Nic w tym złego. Nie masz się czego wstydzić.

- A co z następnym razem? - spytał.

- Nie będzie następnego razu.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - mruknął.

Miałam nadzieję, że w ciemnościach nie było widać uśmiechu na mojej twarzy. Starłam się go ukryć.

- Opowiedz mi o wampirach, Anito. Sądziłem, że wampir nie może wypić jednej nocy tyle krwi, aby kogoś zabić.

- Dobrze by było - stwierdziłam.

- W college'u mówili nam, że wampir nie może odsączyć człowieka z krwi jednym ukąszeniem. Chcesz powiedzieć, że to nieprawda?

- Jedno ukąszenie jednej nocy to za mało, aby wampir wysał z człowieka całą krew, ale to nie znaczy, że nie może upuścić mu całej krwi.

Zmarszczył brwi.

- To znaczy?

- Wampir może otworzyć człowiekowi żyły i spuścić z niego krew, nie pijąc jej.

- Jak? - zapytał.

- Wystarczy, że wbije kły, otworzy żyły, a potem pozwoli, aby krew wypływała z rany, choćby nawet na ziemię.

- Ale to nie byłoby pożywanie się, tylko zwykłe morderstwo - zauważył Larry.

- Trafne spostrzeżenie - przyznałam. - Ale do czego zmierzasz?

- Hej, czy to nie tu powinniśmy skręcić?

Dostrzegłam znak przy drodze.

- Cholera.

Zwolniłam, ale nie widziałam, czy z naprzeciwka coś nie nadjeżdżało. Znajdowaliśmy się blisko szczytu wzniesienia. Nie odważyłam się zawrócić, dopóki nie upewniłam się, że droga była wolna. Pół mili dalej dotarliśmy do zwirowej drogi. Ciągnął się przy niej szereg skrzynek na listy.

Drzewa rosły tak blisko wąskiej drogi, że nawet pozbawione liści skrywały ją całą w głębokim cieniu. Nie było tu gdzie zawrócić. Cholera, gdyby z naprzeciwka nadjechał jakiś wóz, któreś z nas musiałyby się wycofać.

Droga pięła się coraz wyżej pod górę, jakby wiodła wprost ku niebu. Przed autem, na szczycie wzniesienia nie zauważyłam niczego. Musiałam uwierzyć, że droga biegła dalej, a nie urywała się nagle nad stromą, pionową przepaścią.

- Jezu, ale tu stromo - rzucił Larry.

Zredukowałam bieg, opony dotknęły drogi. Moje ramiona nieznacznie się rozluźniły. Przed nami stał dom. Na ganku paliło się światło, jakby ktoś spodziewał się gości. Goła żarówka nie wyglądała zachęcająco. Dom był z surowego drewna z rdzewiejącym blaszanym dachem. Podwyższony ganek ugiął się pod ciężarem samochodowego fotela, stojącego przy siatkowych drzwiach. Zawróciłam na

placu przed domem. Chyba nie robiłam tego pierwsza. Na podwórzu dostrzegłam mnóstwo kolein wyrytych oponami niezliczonych zawracających samochodów.

Zanim zawróciliśmy i dotarliśmy do skrętu, zrobiło się już ciemno. Reflektory dzipa rozcięły mrok, ale i tak poczułam się, jakbym jechała przez tunel Świat był tylko tym, co oświetlały reflektory, wszystko inne było czernią.

- Wiele bym teraz dała za parę latarni - mruknął Larry.

- Ja też. Pomóż mi wypatrzeć ten skręt. Nie chce przeoczyć go ponownie.

Wychylił się do przodu na fotelu, napierając na pas bezpieczeństwa.

- Tam - powiedział, wskazując ręką. Zwolniłam i ostrożnie zjechałam na boczną drogę. Światła reflektorów wypełniły tunel drzew. Jechaliśmy po polnej drodze. Wokół dzipa unosiły się tumany kurzu. Po raz pierwszy cieszyłam się, że była susza. Gdyby ta droga rozmokła, jazda po niej byłaby prawdziwa, katorgą.

Droga była na tyle szeroka, że o ile miało się nerwy ze stali albo prowadziło cudzy samochód, można było minąć się na niej z kimś jadącym z przeciwka. Dotarliśmy do strumienia biegnącego w poprzek drogi, głębokiego co najmniej na pięć metrów. Most tworzyły zwykłe deski ułożone na grubych belkach. Żadnych barierek, niczego. Kiedy dzip sunął po moście, deski grzechotały i poruszały się. Nie były poprzybijane. Boże.

Larry patrzył w dół, przyciskając twarz do przyciemnionej szyby.

- Ten most jest niewiele szerszy niż nasz samochód.

- Dzięki, że mi o tym powiedziałaś, Larry. Sama na pewno bym tego nie zauważyła.

- Przepraszam.

Za mostem droga rozszerzała się, mogły już po niej przejechać swobodnie dwa samochody równocześnie. Gdy dwa samochody jadące w przeciwnych kierunkach spotykały się przy moście, jeden z nich musiał ustąpić drugiemu i poczekać na swoją kolej. Pewnie regulowały to jakieś przepisy drogowe. Pewnie pierwszeństwo ma ten z lewej strony.

Na szczycie wzniesienia w oddali migotały światła. Błyski policyjnych kogutów przecinały ciemność wielobarwnymi błyskami. Były dalej, niż wyglądały. Musieliśmy pokonać jeszcze dwa wzniesienia, nim światła ukazały nam bezlistne drzewa, czyniąc je czarnymi i nierealnymi. Droga prowadziła na szeroką polanę. Stał na niej duży, biały dom, otoczony rozległym trawnikiem. Budynek był solidny, z podmurówką, okiennicami i długim gankiem. Był piętrowy, wokół rósł starannie przystrzyżony żywopłot. Podjazd wyłożono białym żwirem, który musiano skądś przywieźć. Przy podjeździe ciągnęły się dwa szerokie klomby narcyzów.

Mundurowy glina zatrzymał nas przy podjeździe. Był wysoki, barczysty i ciemnowłosy. Oświetlił latarką wnętrze samochodu.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie mogę pani przepuścić.

Pokazałam mu legitymację i powiedziałam:

- Jestem Anita Blake, z Okręgowej Jednostki do spraw Dochodzeń Paranormalnych. Mówiono mi, że szeryf St. John oczekuje mnie.

Nachylił się do otwartego okna i poświecił latarką na Larry'ego.

- A to kto?

- Larry Kirkland. Jest ze mną.

Patrzył przez chwilę na Larry'ego. Ten uśmiechnął się, usiłując sprawiać wrażenie niegroźnego. Jest w tym niemal tak dobry jak ja. Mogłam przyrzuć się spluwie gliniarza, gdy ten nachylił się do wnętrza wozu. To był colt .45. Duży gnat, ale glina miał odpowiednio wielkie łapska. Poczułam zapach jego wody po goleniu: brut. Oparł się o drzwiczki, aby przyrzuć się Larry'emu. Gdybym miała pistolet ukryty na podołku, mogłabym go teraz rozwalić. Facet był wielki i na pewno jadł chleb z niejednego pieca, ale wydawał się nieostrożny. Spluwie wszystko jedno, jakie masz gabaryty.

Skinął głową i odsunął się od okna.

- Zapraszam do domu. Szeryf czeka na panią - Nie wydawał się uszczęśliwiony, kiedy to mówił.

- Coś nie tak? - spytałam.

Uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.

- To nasza sprawa. Nie uważam, abyśmy potrzebowali pomocy ani od pani, ani od kogokolwiek innego.

- Jak pańska godność? - spytałam.

- Coltrain, zastępca szeryfa Zack Coltrain.

- Cóż, zastępczo Coltrain, do zobaczenia w domu.

- Chyba tak, panno Blake.

Uważał mnie za glinę i celowo unikał tytułowania mnie per „funkcjonariuszko” albo „pani detektyw”. Odpuściłam. Gdybym chciała, aby w jakiś sposób mnie tytułował, upomniałabym się o to, ale bezpodstawne domaganie się, aby zwracał się do mnie per „pani detektyw”, mijало się z celem.

Podjechałam pod dom i zaparkowałam między policyjnymi radiowozami. Przypięłam identyfikator do ubrania. Ruszyliśmy jasnym, półkolistym podjazdem, nikt nas nie zatrzymał. Stanęliśmy przed drzwiami w ciszy, która wydawała się naprawdę niesamowita. Byłam na wielu miejscach zbrodni. Nigdy nie było tam tak cicho. Tu było inaczej. Nie było słychać jazgotu

policyjnych radiostacji, nie było tłumów krzających się ludzi. Na miejscach zbrodni zawsze jest pełno ludzi - detektywów po cywilnemu, mundurowych, techników, fotografów, kamerzystów policyjnych i pielęgniarzy z karetki, czekających na wywiezienie ciała. Staliśmy na świeżo zamiecionym ganku, pośród chłodnej, wiosennej nocy i jedyne co słyszeliśmy, to rechot żab. Ten dźwięk dziwnie współgrał z błyskami policyjnych kogutów.

- Czekamy na coś? - spytał Larry.

- Nie - odparłam. Nacisnęłam na podświetlony dzwonek. Wewnątrz domu rozległ się donośny dźwięk gongu. Gdzieś z wnętrza budynku dobiegło wściekle ujadanie małego psa. Drzwi otworzyły się. W świetle płynącym z sieni stanęła kobieta, większość jej ciała była skryta w cieniu. Blask policyjnych kogutów omiół jej twarz, malując ją kolorowymi błyskami. Była mojego wzrostu, z ciemnymi włosami, które albo kręciły się same, albo wskutek naprawdę dobrej trwałości. Robiła z nimi jednak więcej niż ja ze swoimi i okalały jej twarz łagodnymi talami. Moje włosy są zawsze trochę rozwichrzane. Nosila bluzkę na guziki, z długimi rękawami, wyłożoną na dzinsy. Wyglądała na siedemnaście lat, ale nie dałam się oszukać. Ja też wyglądałam młodo. Podobnie jak Larry. To chyba nie wynikało z tego, że byliśmy wszyscy niskiego wzrostu, prawda?

- Nie jesteście z policji - powiedziała z niezłomnym przekonaniem.

- Jestem Anita Blake - oświadczyłam - z Okręgowej Jednostki do spraw Dochodzeń Paranormalnych. To mój kolega, Larry Kirkland.

Larry uśmiechnął się i skinął głową.

Kobieta odstała od drzwi i blask z korytarza rozjaśnił jej twarz. To dodało jej jeszcze z pięć lat, ale nie więcej. Dopiero po chwili zorientowałam się, że miała bardzo delikatny makijaż.

- Proszę wejść, panno Blake. Mój mąż, David czeka przy ciele. - Pokręciła głową. - To straszne. - Wyjrzała na zewnątrz, po czym zamknęła drzwi. - David kazał im wyłączyć te światła. Nie chcemy, aby wszyscy w okolicy dowiedzieli się, co się stało.

- Jak pani godność? - spytałam.

Lekko się zaczerwieniła.

- Przepraszam, zwykle nie jestem taka rozkojarzona. Jestem Beth St. John. Mój mąż jest szeryfem. Czekałam na panią z rodzicami ofiary.

Wskazała ręką podwójne drzwi na lewo. Wciąż dobiegało zza nich ujadanie małego psa, szczekającego jak karabin maszynowy. Męski głos rzucił: „Cicho, Kruk”, i szczekanie ucichło.

Staliśmy w korytarzu o wysokim sklepieniu. Wydawało się, jakby architekt chciał, aby to miejsce było możliwie jak najbardziej przestronne. Nad nami wisiał wielki, lśniący kandelabr. Światło wpływało do ciemnego pokoju po prawej. Dostrzegłam wyłożoną wiśniowym drewnem jadalnię, gdzie wszystko było tak wypolerowane, że aż błyszczało. Korytarz kończył się drzwiami, za którymi zapewne znajdowała się kuchnia. Wzdłuż ściany z podwójnymi drzwiami ciągnęły się

schody. Bariierka i framugi drzwi były białe, dywan jasnoniebieski, tapety białe w drobne niebieskie kwiatki i jeszcze mniejsze listki. Dom był przestronny, elegancki, jasny i słoneczny, zapraszający, a przy tym przeraźliwie cichy. Gdyby znaleźć kawałek gołej posadzki i upuścić szpilkę, można by usłyszeć towarzyszący temu odgłos.

Beth St. John poprowadziła nas po biało - niebieskich schodach na górę. Pośrodku korytarza po prawej wisały fotografie rodzinne. Najpierw była uśmiechnięta para; potem uśmiechnięta para i uśmiechnięte niemowlę, uśmiechnięta para i jedno uśmiechnięte i jedno płaczące niemowlę. Idąc w głąb korytarza, obserwowałam nieubłagany upływ czasu. Niemowlęta stały się małymi dziećmi - chłopcem i dziewczynką. Na zdjęciach zaczął pojawiać się czarny pudełek miniaturka. Dziewczynka była starsza, ale nie więcej niż o rok. Rodzice starzeli się, ale niezbyt się tym przejmowali. Rodzice i dziewczynka uśmiechali się, chłopiec rzadziej. Chłopiec częściej uśmiechał się na zdjęciach wiszących na drugiej ścianie, gdzie aparat uchwycił go łowiącego ryby albo odgarniającego mokre włosy tuż po wyjściu z basenu. Dziewczynka uśmiechała się na każdej fotografii. Zastanawiałam się, które z nich zginęło.

Na końcu korytarza było okno. Zawieszono w nim białe firanki. Nikt ich nie zaciągnął. Okno wyglądało jak czarne lustro. Ciemność napierała na szkło jak żywa istota.

Beth St. John zapukała do ostatnich drzwi po prawej, na granicy czerni.

- Davidzie, są już detektywi. - Nie poprawiłam jej. Takie niedopowiedzenia mają swoje atuty.

Usłyszałam jakieś poruszenie w pokoju. Beth St. John cofnęła się, zanim otworzono drzwi i stanęła pośrodku korytarza, aby nie widzieć wnętrza pokoju, Wodziła wzrokiem po wiszących na ścianie fotografiach, koncentrując się na uśmiechniętych twarzach. Przyłożyła szczupłą dłoń do piersi, jakby miała kłopoty z oddychaniem.

- Pójdę, zaparzę kawę. Chcecie państwo? - spytała z przejęciem.

- Jasne - odparłam.

- Brzmi zachęcająco - rzucił Larry.

Uśmiechnęła się pod nosem i ruszyła w głąb korytarza. Nie pobiegła, za co zarobiła u mnie parę punktów. Mogłam się założyć, że dla Beth St. John to było pierwsze miejsce zbrodni, jakie miała okazję oglądać.

Drzwi otworzyły się. David St. John nosił jasnoniebieski mundur, jak jego zastępca, ale na tym podobieństwa się kończyły. Mierzył metr siedemdziesiąt pięć wzrostu i był przy tym bardzo chudy. Włosy miał jaśniejsze i bardziej brązowe niż Larry. Najpierw zwracały uwagę jego okulary, a dopiero potem oczy, choć to właśnie one były naprawdę interesujące. Miały intensywnie zielony, koci odcień. Jeśli nie liczyć oczu, ta twarz wydawała się całkiem zwyczajna, ale nie można było się nią znudzić.

Podał mi rękę. Ujęłam ją. Prawie nie ścisnął mojej dłoni, jakby bał się, że zrobi mi krzywdę.

Większość mężczyzn tak robi, ale on przynajmniej podał mi rękę, wielu facetom nawet tego się nie chce.

- Jestem szeryf St. John. Pani to zapewne Anita Blake. Sierżant Storr mówił, że pani przyjedzie.

Spojrzał na Larry'ego. - A to kto?

- Larry Kirkland.

St. John przymrużył oczy. Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Sierżant Storr nie wspominał o nikim innym. Czy mogę zobaczyć jakieś dokumenty?

Odpiełam mój identyfikator. Obejrzał go i pokręcił głową.

- Nie jest pani z policji.

- Nie jestem. - W duchu przeklinałam Dolpha. Wiedziałam, że to się nie uda.

- A on? - Skinął głową na Larry'ego.

- Mam tylko prawo jazdy - odrzekł Larry.

- Kim wy jesteście? - spytał szeryf.

- Anita Blake. Należę do Oddziału Duchów. Tyle że nie mam blachy. Larry to mój uczeń. - Wyjęłam z kieszeni kurtki licencję egzekutorki wampirów. Przypominała prawo jazdy, ale to najlepsze, co miałam.

Zerknął na legitymację.

- Jest pani zabójczynią wampirów? Zjawia się pani trochę za wcześnie. Jeszcze nie wiemy, czyja to robota.

- Współpracuję z oddziałem sierżanta Storra. Zjawiam się na początku śledztwa zamiast na końcu. W ten sposób staram się zminimalizować ilość ofiar.

Oddał mi legitymację.

- Nie wiedziałem, że ustawa Brewstera jednak przeszła.

Brewster był senatorem, którego córka została pożarta.

- Nie przeszła. Współpracuję z policją już od dawna.

- Jak długo?

- Będzie ze trzy lata.

Uśmiechnął się.

- To dłużej, niż jestem szeryfem. - Skinął głową, zupełnie jakby sam odpowiedział sobie na pytanie. - Sierżant Storr powiedział, że jeśli ktoś może pomóc mi rozwikłać tę sprawę, to właśnie pani. Skoro szef Oddziału Duchów tak w panią wierzy, nie mogę odmówić pomocy z pani strony. Nigdy jeszcze nie mieliśmy tu wampirzego zabójstwa.

- Wampiry mają skłonność do trzymania się miast - stwierdziłam. - Tym sposobem łatwiej im jest ukrywać swoje ofiary.

- Tej nikt nie próbował ukryć. - Otworzył drzwi i gestem ręki zaprosił nas do środka.

Tapeta była w różyczki, słodka, że aż mdliło. Pod ścianą stała toaletka z lustrem, antyk sądząc z wyglądu, ale wszystko inne było z białej wikliny ozdobionej różową koronką. Wystrój tego pokoju sugerował, że mieszkała w nim mała dziewczynka.

Na wąskim łóżku leżała dziewczyna. Pościel była dobrana kolorystycznie do barwy tapet. Skotłowane prześcieradła pod ciałem miały landrynkowy odcień. Głowa dziewczyny leżała przy poduszkach jakby zsunęła się z nich bezwładnie.

Otwarte okno przesłonięte było różowymi zasłonami. Chłodny wietrzyk hulał w pokoju, mierzwiąc gęste, czarne włosy dziewczyny. Były kręcone i ułożone żelem do włosów. Pod jej twarzą i szyją dostrzegłam niedużą kałużę krwi, która wsiąkła w prześcieradło. Mogłam się założyć, że właśnie po tej stronie na szyi miała ślad po ukąszeniu. Makijaż wykonany był zdecydowanie mniej wprawnie niż u Beth St. John, ale widać, że się starała. Szminka była rozmazana.

Jedna ręka zwisała bezwładnie poza krawędzią łóżka, palce były zgięte, jakby po coś sięgała. Paznokcie lśniły, pokryte świeżą warstwą czerwonego lakieru. Długie nogi były rozłożone szeroko. Miała dwa ślady ukąszeń na udach, ale to nie były nowe ukąszenia. Paznokcie u stóp pomalowała tym samym czerwonym lakierem co u rąk.

Wciąż miała na sobie czarne body. Ramiączka były opuszczone, górna część body odsłaniała małe, jędrne piersi. Krocze body rozdarto, a może rozpięto, jeśli było na zatrzaski, gdyż całą dolną część tego stroju miała podwiniętą aż do pasa. Jej nogi były szeroko rozchylone, była całkowicie odsłonięta.

To wkurzyło mnie bardziej niż cokolwiek innego. Mógł ją przynajmniej zakryć, a nie pozostawiać obnażoną i rozkraczoną jak dziwkę. To było aroganckie i okrutne.

Larry stał przy oknie, po drugiej stronie pokoju. Ono także było otwarte. Do pokoju wpadało chłodne powietrze.

- Dotykał pan czegoś?

St. John pokręcił głową.

- Robił pan zdjęcia?

- Nie.

Wzięłam głęboki oddech, upominając siebie, że jestem tu tylko gościem. Nie powinnam go wkurzać.

- A co pan zrobił?

- Wezwałem panią i policję stanową.

Skinęłam głowę.

- Kiedy znaleziono ciało?

Spojrzał na zegarek.

- Przed godziną. Jakim cudem zjawiała się tu pani tak szybko?

- Byłam niecałe dwadzieścia kilometrów stąd - odparłam.

- Miałem szczęście - mruknął.

Spojrzałam na ciało dziewczyny.

- Taa.

Larry trzymał się kurczowo framugi.

- Larry, może zejdiesz do dzipa i przyniesiesz rękawiczki z mojej torby?

- Rękawiczki?

- W torbie z przyborami animatorskimi mam pudełko chirurgicznych rękawiczek. Przynieś je.

Przełknął ślinę i skinął głową. Piegi na jego twarzy wyglądały jak plamy z atramentu. Podszedł szybko do drzwi i zamknął je za sobą. Miałam dwie pary rękawiczek w kieszeni żakietu, ale Larry musiał się przewietrzyć.

- To jego pierwsze morderstwo?

- Drugie - odparłam. - Ile lat ma dziewczyna?

- Siedemnaście - odpowiedział.

- Wobec tego to morderstwo, nawet jeśli wyraziła na to zgodę.

- Zgodę? O czym pani mówi? - W jego głosie pojawiła się gniewna nuta.

- A co według pana tutaj zaszło, szeryfie?

- Wampir wszedł przez okno do jej pokoju, gdy kładła się spać i zabił ją.
- Gdzie jest cała krew?
- Wsiąkła w pościel pod jej szyją. Nie widać śladów, ale tam ją właśnie ukąsił.
- To za mało krwi, aby miała przez to umrzeć.
- Resztę wypił. - Wydawał się coraz bardziej rozsierdzony.

Pokręciłam głową.

- Jeden wampir nie może odsączyć tyle krwi z dorosłego człowieka w ciągu jednej nocy.
- Było ich zatem więcej. Musiało być kilka wampirów - powiedział szeryf.
- Ma pan na myśli ukąszenia na jej udach?
- Tak, właśnie. - Zaczął nerwowo krążyć po różowym, mechatym dywanie.
- Te ślady mają co najmniej parę dni - stwierdziłam.
- A więc wcześniej dwukrotnie ją zahipnotyzował, a tym razem ją zabił.
- Jak na nastolatkę, wcześnie kładła się do łóżka.
- Jej matka mówiła, że nie czuła się najlepiej.

Mogłam w to uwierzyć. Tak duża utrata krwi musiała odebrać jej siły.

- Zanim poszła do łóżka, ułożyła włosy i zrobiła sobie makijaż - zauważyłam.
- I co z tego?
- Znał pan tę dziewczynę?

- Pewno, że tak. To małe miasto, panno Blake. Wszyscy się tu znamy. Była dobrą dziewczyną, nie pakowała się w kłopoty. Nigdy nie przyłapałem jej na picciu czy obściskiwaniu się z chłopakami. To była porządna dziewczyna.

- Nie wątpię, szeryfie. To, że ktoś zostaje zamordowany, nie czyni go złym.

Skinąłem głową, ale w jego wzroku wciąż dostrzegałam gniew i dezorientację. Chciałam zapytać, ile on widział ofiar zabójstw, ale nie zrobiłam tego. Czy była pierwszą, czy dwudziestą pierwszą, on był tu szeryfem.

- Jak pan sądzi, co się tu stało, szeryfie? - powtórzyłam pytanie.

- Wampir zgwałcił i zabił Ellie Quinlan, ot co rzucił niemal z wściekłością, jakby on sam w to nie wierzył.

- To nie był gwałt, szeryfie. Ellie Quinlan zaprosiła swego zabójcę do sypialni.

Podszedł do okna i stanął w tym samym miejscu co Larry, wbijając wzrok w ciemność. Otulił się ramionami, jakby zmarzł.

- Jak mam powiedzieć jej rodzicom i młodszemu bratu, że pozwoliła jakiejś... istocie, aby się z nią kochała? Że pozwoliła jej pić swoją krew? Jak mam im to powiedzieć?

- Cóż, za trzy noce, a raczej za dwie, nie licząc tej powstanie z martwych i sama im to powie.

Odwrócił się do mnie, twarz miał bladą jak płótno. Był wstrząśnięty. Powoli pokręcił głową.

- Oni chcą ją zakołkować.

- Co?

- Chcą, aby została zakołkowana. Nie chcą by powstała jako wampir.

Spojrzałam na nieruchome ciało. Pokręciłam głową.

- Za dwie noce ona powstanie.

- Rodzina tego nie chce.

- Gdyby była wampirzycą, zabicie jej tylko dlatego, że rodzina nie potrafi pogodzić się z jej stanem, uznane byłoby za morderstwo.

- Ale ona jeszcze nie jest wampirem - powiedział St. John. - To trup.

- Przed zakołkowaniem koroner będzie musiał potwierdzić zgon. To może trochę potrwać.

Pokręcił głową.

- Znam doktora Campbella, spręży się z tym dla nas.

Spojrzałam na dziewczynę.

- Ona nie chciała umrzeć, szeryfie. To nie samobójstwo. Ona chce powrócić.

- Nie wie pani tego na pewno.

Spojrzałam mu w oczy.

- Wiem, podobnie jak pan. Jeśli zakorkujemy ją, zanim ożyje, będzie to morderstwo.

- Nie w świetle prawa.

- Nie zetnę głowy i nie wytnę serca siedemnastoletniej dziewczynie tylko dlatego, że rodzice nie pochwalają obranego przez nią stylu życia.

- Ona nie żyje, panno Blake.

- Wiem, i co z tego? Wiem również, czym się stanie. Może nawet lepiej niż pan.

- Wobec tego rozumie pani, dlaczego oni chcą to zrobić.

Spojrzałam na niego. Rozumiałam. Kiedyś zrobiłabym to z przeświadczeniem, że postępuję słusznie. Kiedyś, robiąc to, czułam, że pomagam rodzinie i uwalniam duszę dziewczyny. Teraz nie byłam już tego taka pewna.

- Niech jej rodzice zastanowią się nad tym przez dwadzieścia cztery godziny. Proszę mi zaufać. Teraz są przerażeni, pogrążeni w smutku, czy w tym stanie mogą racjonalnie decydować o jej losie?

- To jej rodzice.

- Tak, ale czy woleliby za dwa dni móc znowu przyjąć ją na łono rodziny, czy pochować w dębowej trumnie?

- Ona stanie się potworem - zauważył.

- Być może, to całkiem prawdopodobne, ale myślę, że powinniśmy wstrzymać się z tym na trochę i dać im czas do namysłu. Uważam, że obecnie naszym najpoważniejszym problemem jest krwiopijca, który to zrobił.

- Zgadzam się, znajdziemy go i zabijemy.

- Nie możemy zabić go bez sądowego nakazu egzekucji - odparłam.

- Znam tutejszego sędziego. Załatwię nakaz.

- Nie wątpię.

- Co z panią? Nie chce go pani zabić?

Spojrzałam na dziewczynę. Gdyby naprawdę chciał, aby wróciła jako wampir, powinien był zabrać jej ciało ze sobą. Ukryć je gdzieś, gdzie mogłyby ożyć bezpieczna, z dala od ludzi takich jak ja. O ile mu na niej zależało.

- Tak, zabiję go dla pana.

- W porządku, co możemy zrobić?

- Po pierwsze zabójstwo miało miejsce po zmierzchu, czyli że jego dzienna kryjówka musi znajdować się niedaleko. Czy są tu jakieś stare domy, jaskinie, miejsca, gdzie można by ukryć trumnę?

- Jest stara farma, niecałe dwa kilometry. Jest też jaskinia przy strumieniu. Chodziłem tam, kiedy byłem mały. Jak wszyscy w tej okolicy.

- Oto jak wyglądają sprawy, szeryfie. Jeśli jeszcze tej nocy wyruszymy jego śladem, zapewne zdoła zabić kilkoro z nas. Jeśli jednak nie spróbujemy dopaść go dzisiaj, może przenieść swoją trumnę, a wówczas być może już go nie znajdziemy.

- Dopadniemy go jeszcze tej nocy. Wyruszymy zaraz. Natychmiast.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem, pan i Beth? - spytałam.

- Od pięciu lat. Czemu pani pyta?

- Kocha ją pan?

- Tak, zakochaliśmy się w sobie jeszcze w liceum. Czemu pani pyta?

- Jeżeli wyruszy pan śladem tego wampira, może pan jej już nigdy więcej nie ujrzeć. Jeśli nigdy nie polował pan na wampira nocą nie wie pan, z czym próbuje się mierzyć i nic, co powiem, nie zdoła pana na to przygotować. Ale proszę wziąć pod uwagę, że może już nigdy nie zobaczyć Beth. Że nigdy już nie będzie pan jej trzymał za rękę. Nigdy nie usłyszysz jej głosu. Moglibyśmy wyruszyć rano. Może wampir nie przeniesie dziś trumny albo z jaskini przeniesie ją na farmę lub vice versa. Moglibyśmy dopaść go jutro, nie ryzykując niczym życiem.

- Sądzi pani, że on jednak nie przeniesie dzisiaj trumny?

Wzięłam głęboki oddech i zapragnęłam skłamać. Naprawdę tego chciałam.

- Nie, jestem zdania, że jeszcze tej nocy spróbuje się stąd zmyć. Zapewne właśnie dlatego przybył do swej ofiary tuż po zmroku. Aby mieć całą noc na ucieczkę.

- Wobec tego ruszamy za nim.

Skinęłam głową.

- W porządku, ale ustalmy kilka spraw. Ja dowodzę. Już to robiłam i nadal żyję, czyli jestem ekspertem. Jeśli zrobi pan wszystko, co powiem, może, ale tylko może, dożyjemy wszyscy do rana.

- Wszyscy z wyjątkiem wampira - powiedział St. John.

- Tak, jasne że tak. - Sporo wody upłynęło, odkąd ostatni raz ściagałam wampira nocą na otwartym terenie. Mój sprzęt do likwidacji wampirów został w domu, w szafie. Nie wolno mi było go wozić bez ważnego sądowego nakazu egzekucji. Miałam przy sobie krzyżyk, który noszę zawsze, a

do tego dwa pistolety i dwa noże. To wszystko. Żadnej wody święconej, zapasowych krzyżyków ani strzelby. Nie miałam nawet kołka i młotka.

- Ma pan srebrne kule?

- Mogę zdobyć parę sztuk.

- Proszę to zrobić. Mnie przydałaby się strzelba ze srebrnymi pociskami. Czy jest tu jakiś kościół?

- Oczywiście - odparł.

- Będziemy potrzebować trochę święconej wody i hostii.

- Wiem, że wampira można oblać wodą święconą ale nie wiedziałem, że można też rzucać w nie opłatkiem.

Uśmiechnęłam się.

- Nie traktuję hostii jak broni, w sensie granatów do rzucania. Chcę dać je Quinlanom, aby wyłożyli je na wszystkich parapetach okiennych i przy progu.

- Sądzi pani, że on może po nich wrócić?

- Nie, ale to dziewczyna go zaprosiła i tylko ona może cofnąć zaproszenie, a ona nie żyje. Dopóki nie dopadniemy łajdaka, lepiej się zabezpieczyć, niż potem żałować.

Zawahał się, po czym skinął głową.

- Pójdę do kościoła. Zobaczą, co uda mi się załatwić.

Skierował się ku drzwiom.

- I jeszcze jedno, szeryfie. Zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Zanim wyruszamy, chcę mieć w ręku nakaz sądowy. Nie dam się wrobić w oskarżenie o morderstwo.

Skinął nerwowo głową jak piesek maskotka, które czasami widuje się w samochodach.

- Dostanie go pani, panno Blake.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zostałam sama z martwą dziewczyną. Leżała tam, sina i nieruchoma, coraz chłodniejsza i coraz bardziej martwa. Jeśli jej rodzice postawią na swoim, to tak już zostanie. I ja się do tego przyczynię. Na tym polegała moja praca. Jeśli będę musiała, zrobię to. Przy łóżku leżały rozrzucone podręczniki,

jakby leżąc w łóżku, uczyła się, zanim do niej przyszedł. Ostrożnie, aby niczego nie poprzesuwać, uniosłam stopą okładkę jednej z książek. Rachunek różniczkowy. Uczyła się tego, zanim nałożyła czarne body i zrobiła sobie makijaż. Cholera.

W czasie gdy czekaliśmy na nakaz sądowy, odbyłam rozmowę z rodziną. Nie przepadam za tym, ale to przykra konieczność. To nie był przypadkowy atak, co oznaczało, że musieli znać wampira lub osobę, jaką był, zanim umarł.

Salon był pomalowany na pastelowe kolory, z przewagą błękitu. Beth St. John zaparzyła kawę. Namówiła Larry'ego, aby zastąpił ją i zaniósł tacę do pokoju. Chyba nie chciała ponownie oglądać ciała. Wcale się jej nie dziwiłam. Widziałam bardziej krwawe miejsca zbrodni, miejsca wyglądające jak rzeźnia, ale każda śmierć jest na swój sposób wstrząsająca. Było coś posepnego i przygnębiającego w widoku Ellie Quinlan, rozciągniętej na różowej, cukierkowej pościeli, a przecież wcale jej nie znałam. A Beth St. John znała ją. To sprawiało, że było jej znacznie trudniej.

Rodzina siedziała ściśnięta na białej kanapie. Ojciec był szeroki, nie tyle gruby, ile mocno zbudowany, jak zawodowy futbolista. Miał krótkie, czarne włosy, łagodnie posiwiałe na skroniach. Wyglądał bardzo dystygownie. Twarz miał rumianą nie opaloną. Nosił białą, rozpiętą pod szyją koszulę z długimi rękawami, teraz podwiniętymi do łokci. Jego oblicze było spięte, nieruchome jak maska, mogło się wydawać, że gdzieś pod nią działo się coś dramatycznego. Wyglądał na wyciszonego, spokojnego i opanowanego, ale wysiłek, jaki go to kosztowało, odzwierciedlał się w napięciach jego skóry. W ciemnych oczach malował się gniew.

Obejmował ramieniem żonę. Ta tuliła się do niego, popłakując cichutko z zamkniętymi oczami, jakby to mogło złagodzić ból. Rozmazany makijaż spływał wielobarwnymi strugami po jej policzkach. Miała gęste, czarne włosy ułożone w osobliwą, sztywną, konstrukcję. Ubrana była w bluzkę z długimi rękawami zapinaną na guziki, ozdobioną kwiatowymi motywami, z przewagą różu. Jej spodnie też były różowe. Miała bosc stopy, ale nosiła rajstopy. Jej jedyną biżuterię stanowiły mały złoty krzyżyk i obrączka ślubna.

Chłopak był mojego wzrostu i chudy jak tyka. Nie miał jeszcze zarostu, przez co wydawał się młodszy, niż był w istocie. Skóra na jego twarzy była tak miękka i doskonale gładka, że nie ulegało wątpliwości, iż nie wiedział jeszcze, czym są pryszczki i codzienne golenie. Skoro dziewczyna miała siedemnaście lat, on musiał mieć co najmniej piętnaście, może szesnaście. Wyglądał na dwanaście. Idealna ofiara, pomijając oczy i dumną postawę. Nawet z oczyma zaczerwienionymi od płaczu wydawał się pewny siebie, opanowany i spokojny.

Jego oczy błyszczały inteligencją i gniewem, który był w stanie powstrzymać na dystans najbardziej skorych do bójki nastoletnich osiłków.

Włosy miał czarne jak ojciec, ale delikatniejsze, zapewne takie były włosy pani Quinlan, zanim ufrizowała je na śmierć osobliwą koafiurą. Na jego podolku leżał mały, czarny pudełek. Pies szczekał jak karabin maszynowy, aż chłopak wziął go na ręce i przytulił. Spomiędzy zaciśniętych szczęk rozległ się cichy warkot.

- Cicho, Kruk - powiedział chłopak. Pogłaskał psa, za co ten odwdzieczył mu się zduszonym

warknięciem. Pies zawarczał ponownie, chłopak pogłaskał go. Postanowiłam nie zwracać uwagi na pudła. Gdyby się wyrwał, jakoś sobie z nim poradzę. Byłam uzbrojona.

- Państwo Quinlan, nazywam się Anita Blake. Chciałabym zadać państwu kilka pytań.

- Czy zakołkowała już pani ciało? - spytał ojciec. - Nie, panie Quinlan, szeryf i ja zgodziliśmy się, że zaczekamy dwadzieścia cztery godziny.

- Jej nieśmiertelna dusza jest zagrożona. Chcemy aby zrobiła to pani już teraz.

- Jeżeli jutrzejszej nocy będą państwo podtrzymywać swoją decyzję, zrobię to.

- Chcemy, aby zrobiła to pani natychmiast.

Cały czas mocno tulił do siebie żonę, silne palce wpijały się w jej ramię.

Kobieta otworzyła oczy i zamrugła powiekami.

- Jeffrey, proszę, sprawiasz mi ból.

Przełknął głośno ślinę i rozluźnił uścisk.

- Przepraszam, Sally. Wybacz.

Te przeprosiny sprawiły, że jego gniew nieznacznie osłabł. Rysy jego twarzy złagodniały. Pokręcił głową.

- Musimy ocalić jej duszę. Straciła życie, ale wciąż ma duszę. Musimy uratować przynajmniej ją.

Kiedyś ja również w to wierzyłam. Byłam święcie przekonana, że wampiry to zło wcielone. Teraz nie byłam już tego taka pewna. Spotkałam zbyt wielu krwiopijców, którzy wcale nie wydawali się źli. Potrafiłam rozpoznać zło, wyczuwałam je. One takie nie były. Nie wiedziałam, jakie były te wampiry, ale czy były potępione? Z punktu widzenia Kościoła katolickiego tak, podobnie jak dziewczyna na górze. Ja zresztą też. Dlatego gdy ekskomunikowano wszystkich egzekutorów, zostałam metodystką.

- Czy jest pan katolikiem, panie Quinlan?

- Tak. Czy to coś zmienia?

- Wychowano mnie w wierze katolickiej. Rozumiem, co pan czuje. I wiem, dlaczego tak panu na tym zależy. To kwestia wiary.

- Nie w tym rzecz, panno... jak pani godność?

- Blake, Anita Blake.

- To nie kwestia wiary, panno Blake. To fakty. Nieśmiertelna dusza Ellie jest zagrożona. Grozi jej wieczne potępienie. Musimy jej pomóc.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, o co mnie prosi? - spytałam.

- Proszę, aby ją pani uratowała.

Pokręciłam głową. Pani Quinlan patrzyła na mnie z przejęciem. Mogłam się założyć, że stanę się powodem drobnej sprzeczki małżeńskiej.

- Przebiję kołkiem jej serce i odrąbię głowę.

Pomięłam fakt, że ostatnio większość egzekucji dokonywałam przy użyciu strzelby, z bliskiej odległości. To była brudna robota, po której zwłok nie można było wystawić w otwartej trumnie, ale tak było dla mnie łatwiej, a i wampir konał znacznie szybciej.

Pani Quinlan znów się rozplakała, tuląc się do męża. Wtuliła twarz w jego ramię, rozmazując makijaż na jego czystej białej koszuli.

- Chce pani zdenerwować moją żonę?

- Nie, proszę pana, ale chcę, aby zdawali sobie państwo sprawę, że za dwie noce od dziś Ellie ożyje jako wampirzyca. Będzie chodzić i mówić. A w końcu będzie również mogła przebywać w państwa domu. Jeśli ją zakołkuję, będzie po prostu martwa.

- Ona już jest martwa. Chcemy, aby zrobiła pani, co do niej należy - powiedział ojciec.

Pani Quinlan nie patrzyła na mnie. Albo była równie mocno wierząca jak jej mąż, albo nie chciała się z nim kłócić. Nawet gdy chodziło o istnienie ich córki, o jej ciągłą egzystencję.

Odpuściłam. Mogłam odwlec tę sprawę o dwadzieścia cztery godziny. Wątpiłam, aby pan Quinlan zmienił zdanie. Miałam nadzieję, że zdołam przekonać panią Quinlan.

- Czy ten pudel zawsze szczeka na obcych?

Cała trójka zamrugła powiekami, jak spłoszony królik w świetle reflektorów. Nie spodziewali się tak gwałtownej zmiany tematu.

- A co to ma do rzeczy?

- Gdzieś w pobliżu krąży wampir - zabójca. Zamierzam go złapać, ale potrzebuję państwa pomocy. Proszę tylko o szczerą i w miarę możliwości wyczerpującą odpowiedź.

- Co ma z tym wspólnego pies? - spytał poirytowany pan Quinlan.

Westchnęłam i upiłam łyk kawy. Jestem pewna, że był wstrząśnięty tym, co się stało, bądź co bądź znalazł swoją córkę martwą, zamordowaną, zgwałconą. To sprawiało, że miał u mnie pewne

fory, ale moja cierpliwość względem niego była na wyczerpaniu.

- Pudel ujadł jak wściekły, kiedy podeszłam do drzwi. Czy zawsze szczeka, gdy w domu jest ktoś obcy?

Chłopak zrozumiał, do czego zmierzam.

- Tak, Kruk zawsze szczeka na obcych.

Zignorowałam jego rodziców i podjęłam rozmowę z najrozsądniejszą osobą w rodzinie.

- Jak ci na imię?

- Jeff - odparł. Boże, Jeffrey junior, no jasne.

- Ile razy musiałabym odwiedzić ten dom, aby pies przestał na mnie szczekać?

Zamyślił się na chwilę, przygryzając dolną wargę.

Pani Quinlan wyprostowała się i nieznacznie odsunęła się od męża.

- Kruk zawsze szczeka, kiedy ktoś podchodzi do drzwi. Nawet gdy jest to osoba, którą zna.

- Czy szczekał dziś wieczorem?

Państwo Quinlan spojrzeli na mnie z przejęciem. Jeff powiedział:

- Tak. Szczekał jak oszalały, aż Ellie tuż po zmierzchu wpuściła go do swojego pokoju. Ellie wpuściła go, a w kilka minut później Kruk wrócił na dół.

- Jak to się stało, że znalazłeś jej ciało?

- Kruk znów zaczął szczekać i nie przestawał. Ellie go nie wpuściła. A zawsze go wpuszczają. Nie wolno mi wchodzić do jej pokoju, ale pies przesiaduje tam dzień i noc, nawet gdy Ellie chce być sama.

Ostatnie słowa zabrzmiały, jakby zwykle mówił je z przekąsem. - Zapukałem do drzwi, ale nie odpowiedziała. Kruk drapał w drzwi pazurami. Były zamknięte. Często zamykała drzwi na klucz, ale tym razem nie odpowiadała. - Z jego przerażonych oczu pociekły łzy. - Poszedłem i zawołałem tatę.

- Otworzył pan drzwi, panie Quinlan?

Skinął głową.

- Tak, a ona tam leżała. Nie potrafiłem zdobyć się na odwagę, aby jej dotknąć. Jest teraz nieczysta. Ja... - Głos miał zduszony, z trudem powstrzymywał łzy, jego twarz zrobiła się purpurowa z wysiłku.

Jeff podszedł i objął tatę ramieniem, przywierając równocześnie do matki. Drugą ręką wciąż trzymał pudła. Pies cichutko zaskomlał, zlizując makijaż z twarzy pani Quinlan. Kobieta uniosła wzrok i zaśmiała się niepewnie, głaszcząc kędzierzawe futro.

Miałam ochotę stąd wyjść. Dać im szansę, aby przeżyli doznaną stratę, wspierając się nawzajem, jako rodzina. Ja byłam tu obca. Wciąż byli w szoku. Niestety nie mogłam stąd jeszcze odejść. Czekałam, aż szeryf St. John wróci z nakazem i potrzebowałam możliwie jak najwięcej informacji, zanim wyruszymy w mrok nocy.

Larry siedział w kącie na niebieskim krześle. Był tak cicho, że prawie o nim zapomniałam. Wzrok miał jednak pełen żarliwości, obserwował i zapamiętywał wszystko, starał się niczego nie przeoczyć. Kiedy uświadomiłam sobie, że zapamiętuje niemal słowo w słowo to, co mówiłam, z początku byłam przerażona. Teraz na to właśnie liczyłam.

Beth St. John weszła do pokoju z tacą z kanapkami, kawą i napojami. Nie przypominałam sobie, aby ktoś o to prosił, ale uznałam, że Beth musiała po prostu czymś się zająć, aby nie siedzieć beczynnym i nie patrzeć na rozpaczających Quinlanów. Ja również.

Postawiła tacę na stoliku do kawy, między fotelem a kanapą. Quinlanowie nie zwrócili na nią uwagi. Wzięłam kubek ze świeżo zaparzoną kawą. Naładowana kofeiną lepiej sobie radziłam z pograżonymi w rozpacz rodziny.

Quinlanowie przestała tulić się do siebie. Pudła trafił na ręce żony, a ojciec i syn usiedli po obu jej bokach. Jeffrey i Jeff spojrzeli na mnie identycznymi oczami. Było w tym coś niesamowitego. Oto cuda genetyki.

- Wampir musiał być z Ellie w pokoju, kiedy po zmierzchu wpuściła pudła - stwierdziłam.
- Moja córka nie wpuściłaby do domu mordercy.
- Jeżeli miała osiemnaście lat, panie Quinlan, to nie możemy tego nazwać morderstwem.
- Uczynienie z kogoś wampira wbrew jego woli to morderstwo, panno Blake.

Zaczynał mi już działać na nerwy, ale jako że był pograżonym w bólu ojcem, miał u mnie pewne fory.

- Śmiem twierdzić, że pańska córka знаła tego wampira. I że wpuściła go z własnej, nieprzymuszonej woli.
- Pani chyba oszalała. Beth, zawołaj tu szeryfa. Chcę, aby ta kobieta natychmiast opuściła mój dom.

Beth podniosła się niepewnie.

- Jeffrey, David pojechał załatwić jakąś pilną sprawę. Ja... Na górze z ciałem jest funkcjonariusz Coltrain, ale...

- Przyprowadź go tutaj.

Beth spojrzała na mnie, następnie na Quinlana. Splotła drobne dłonie, zaciskając mocno palce.

- Jeffrey, ta kobieta jest licencjonowaną zabójczynią wampirów. Ona wie, co robi. Zna swój fach. Posłuchaj jej.

Wstał.

- Moja córka została zgwałcona i zamordowana przez pozbawione duszy, żądne krwi zwierzę, a ja domagam się, by ta kobieta niezwłocznie opuściła mój dom.

Gdyby nie to, że mówił to ze łzami w oczach, byłabym nieźle wkurzona.

Beth spojrzała na mnie. Gdyby musiała, stawiałaby mu czoło. Miała u mnie za to całą masę punktów.

- Czy ktoś, kogo znaliście, zniknął lub może zmarł niedawno? - zapytałam.

Quinlan spojrzał na mnie z ukosa. Wydawał się zbity z tropu. Zmiana tematu i tym razem okazała się zbyt gwałtowna. Miałam nadzieję, że zdołam powstrzymać go przed wyrzuceniem mnie za drzwi dostatecznie długo, by dowiedzieć się czegoś istotnego.

- Że co?

- Czy ktoś, kogo znaliście, zniknął niedawno lub może umarł?

Pokręcił głową.

- Nie.

- Andy zaginął - wtrącił Jeff.

Quinlan znów pokręcił głową.

- Ten chłopak nie ma z nami nic wspólnego.

- Kto to jest Andy? - spytałam.

- To chłopak Ellie.

Odnalazłam wzrok Jeffa. Jedno spojrzenie powiedziało mi wszystko. Andy był jej chłopakiem, a kochany tatuś nie akceptował potencjalnego przyszłego zięcia.

- Dlaczego nie lubi pan Andy'ego, panie Quinlan?

- Bo to bandzior.

Uniosłam brwi.

- A konkretnie?

- Aresztowano go pod zarzutem używania narkotyków.

- Popalał trawkę - wyjaśnił Jeff.

Miałam ochotę pójść w jakieś ustronne miejsce i porozmawiać z Jeffem. Chłopak najwyraźniej wiedział, co jest grane i nie próbował tego ukrywać. Tylko jak miałam to zrobić?

- Wywierał fatalny wpływ na moją córkę i musiałem wkroczyć, aby położyć temu kres.

- I ten chłopak zniknął? - spytałam.

- Tak - odparł Jeff.

- Jeff, ja odpowiem na pytania panny Blake. Jestem w końcu głową rodziny.

Rany, głowa rodziny. Już od dawna nie słyszałam czegoś takiego.

- Chciałabym obejrzeć resztę domu, na wypadek gdyby wampir dostał się do środka w inny sposób niż przez jej pokój. Gdyby Jeff mógł mnie oprowadzić, byłabym naprawdę wdzięczna.

- Ja mogę panią oprowadzić, panno Blake - zaoferował Quinlan senior.

- Jestem przekonana, że w obecnej chwili nie powinien pan zostawiać żony samej. Potrzebuje pana. Jeff może mnie oprowadzić, ale tylko pan jest w stanie pocieszyć małżonkę.

Pani Quinlan spojrzała na niego, a potem na mnie, jakby nie była pewna, czy chciała, by ktokolwiek ją pocieszał, ale ja wiedziałam, że moje słowa przekonały Quinlana.

Skinął głową.

- Może ma pani rację. - Dotknął ramienia żony.

Sally mnie teraz potrzebuje.

W odpowiedzi Sally znów wybuchnęła płaczem, używając pudła jako prowizorycznej chustki do nosa. Pudło zaczął się jej wrywać i skomleć. Quinlan senior usiadł i objął żonę ramionami. Pies wyslizgnął się z objęć pani Quinlan i przydreptał do Jeffa.

Wstałam. Larry również. Podeszłam do drzwi i zerknęłam na chłopaka. Jeff podniósł się i ruszył w moją stronę. Pudło potruchtowało za nim. Otworzyłam drzwi. Wyszliśmy. Kruk łypał na mnie podejrzliwie, ale podążył za nami. Zauważyłam Beth St. John wpatrującą się w drzwi, jakby chciała pójść z nami, ale w końcu usiadła zrezygnowana przy niechcianych kanapkach i stygnącej kawie. Siedziała sztywno jak wzorowa wartowniczką. Nie zamierzała opuścić posterunku. Zamknęłam

drzwi. Poczułam się jak tchórz. Cieszyłam się, że do moich zawodowych obowiązków nie należało pocieszenie państwa Quinlanów. W porównaniu z tym polowanie na wampira w ciemną noc nie wydawało mi się aż takie straszne. Oczywiście byłam jeszcze w bezpiecznym wnętrzu. Na zewnątrz w ciemności, z pewnością będę to widziała inaczej.

Staliśmy w holu. Powietrze było tu chłodniejsze, łatwiej się oddychało. To chyba musiało być złudzenie. Moja wyobraźnia dawała o sobie znać. Pudel wachał moją stopę. Nagle zawarczał cicho, a Jeff podniósł go do góry i wziął pod pachę wprawnym gestem, jakby robił to już setki razy.

- Pani wcale nie chce oglądać żadnych drzwi, prawda? - zapytał.

- Nie - odparłam.

- Tata jest w porządku. Tyle tylko, że on... - Wzruszył ramionami. - On uważa, że ma rację, a wszyscy inni się mylą. Ale to o niczym nie świadczy.

- Wiem. Jest przerażony. Strach sprawia, że wszyscy stajemy się drażliwi.

Jeff uśmiechnął się. Nie byłam pewna, czy sprawiła to wzmianka o strachu, czy może o drażliwości. Zapewne nie słyszał, aby ktoś wyrażał się w ten sposób o jego tacie.

- Czy między Andym a twoją siostrą było coś poważnego?

Spojrzał na zamknięte drzwi i nieznacznie zniżył głos.

- Tato mówi, że nie, ale było, na pewno. To musiało być coś poważnego. - Znów zerknął na drzwi.

- Możemy pójść gdzieś indziej, aby porozmawiać - zaproponowałam. - Wybierz pokój.

Spojrzał na mnie.

- Naprawdę jest pani pogromczynią wampirów?

W innych okolicznościach na pewno byłby o wiele bardziej rozbawiony. Większość ludzi uważa, że fajnie jest móc wbijać kołki w ciała nieboszczyków.

- Tak. Poza tym ożywiamy również zombi.

- Oboje? - Wydawał się zaskoczony.

- Jestem pełnoprawnym animatorem - wtrącił Larry.

Jeff pokręcił głową.

- Możemy porozmawiać w moim pokoju.

Ruszył po schodach na górę. Podążyliśmy za nim.

Gdybym była policjantką, przesłuchanie nieletniego pod nieobecność opiekuna lub adwokata byłoby niezgodne z prawem. Nie pracowałam jednak w policji, a on nie był podejrzanym. Po prostu chcieliśmy zasięgnąć informacji, to wszystko. Zamierzaliśmy zadać szesnastolatкови kilka pytań na temat życia seksualnego jego siostry. Dochodzenia w sprawie morderstw nigdy nie są przyjemne, a czasami te nieprzyjemności nie mają nic wspólnego ze zwłokami.

U szczytu schodów Jeff przystanął na chwili; i zajął w głąb korytarza. Funkcjonariusz Coltrain stał przy wejściu do pokoju Ellie, sztywno, jakby kij połknął, z rękoma za plecami, bacznie wypatrując intruzów. Drzwi były otwarte. Czuwanie w pokoju, w którym leżą zwłoki, było, jak sądzę, ponad jego siły. Dostrzegł Jeffa i zamknął drzwi, wciąż stojąc na korytarzu.

To miło ze strony Coltraina, że oszczędził Jeffowi widoku Ellie. Tyle że trzymanie straży przy zamkniętych drzwiach to nie był najlepszy pomysł. Wampir, jeśli był dostatecznie stary, mógłby zakraść się do pokoju i otworzyć drzwi, zanim zastępca szeryfa zdążyłby wyjąć broń. Nieumarli nie czynią hałasu. Zastanawiałam się, czy powinnam mu o tym wspomnieć. Opuściłam. Gdyby wampir chciał załatwić więcej osób, zrobiłby to. Mógłby nawet sprzątnąć całą rodzinę. Zamiast tego uciekł, kiedy pies zaczął szczekać. To nie był stary krwiopijca. Raczej ktoś nowy w tej branży. Stawiałam na Andy'ego, chłopaka Ellie, ale starałam się zachować trzeźwy umysł. Andy mógł wyjechać do Kalifornii w poszukiwaniu fortuny i sławy, aczkolwiek szczerze w to wątpiłam.

Jeff otworzył drzwi u szczytu schodów i wszedł do środka. Jego pokój był mniejszy niż siostry. Bycie pierworodną ma swoje atuty. Tapeta była w paski, ozdobiona postaciami Indian i kowbojów. Pościel miała identyczny wzór. To był pokój dziecka, tak jak w przypadku jego siostry. Ściany były gołe, żadnych plakatów, zdjęć z gwiazdami sportu. Na biurku piętrzył się stos książek. Przy drzwiach szafy leżała nieduża sterta ubrań. Pudel Kruk węszył przy ubraniach. Jeff odegnał psa, stopą wsunął ubrania do szafy i zamknął drzwi.

- Niech państwo usiądą, gdzie się da. Wysunął krzesło spod biurka, po czym niepewnie stanął przy oknie. Nie wiedział, co ma zrobić.

W jego pokoju chyba rzadko bywali dorośli. Nie miałam tu na myśli jego rodziców. Oni się nie liczyli. Choć szczerze mówiąc, nie bardzo wyobrażałam sobie, aby nawet państwo Quinlanowie zachodzili tu od czasu do czasu na niezobowiązującą pogawędkę.

Przysunęłam sobie krzesło. Uznałam, że Jeff będzie czuł się swobodniej, jeśli obok niego na łóżku usiądzie Larry. Poza tym nie przywykłam jeszcze do noszenia tak krótkich spódnic i od czasu do czasu zapominałam się. Krzesło było bezpieczniejsze.

Larry usiadł na łóżku, opierając się plecami o ścianę. Jeff zajął miejsce obok niego, podpierając się na poduszkach. Kruk wskoczył na łóżko, zakręcił się w kółko raz i drugi i ułożył się wygodnie na jego podołku. Sielanka.

- Czy Andy'ego i twoją siostrę łączył naprawdę zażyły związek?

Żadnych wstępów, przechodzimy od razu do rzeczy.

Popatrzył na nas. Larry uśmiechnął się do niego zachęcająco. Jeff nieznacznie zmienił ułożenie ciała na poduszkach.

- Raczej tak. W szkole stale się obściskiwali.

- To krępujące - zauważyłam.

- Tak, znaczy się, no bo ona była moją siostrą, Była tylko o rok starsza ode mnie, a ten typ wciąż macał ją tymi łapami. - Pokręcił głową. Podrapał pudła za uszami i pogłaskał po grzbiecie. Robił to jakby odruchowo, a mimo to czynność ta sprawiała mu przyjemność.

- Lubieś Andy'ego?

Wzruszył ramionami.

- Był starszy i wydawał się fajny, ale nie przepadałem za nim, uważałem, że Ellie zasługuje na kogoś lepszego.

- Jak to?

- On palił trawkę i nie zamierzał iść do college'u. Andy był nic nie wart. Zupełnie jakby poza miłością do mojej siostry nic się dla niego nie liczyło. Jakby żyli miłością albo czymś równie idiotycznym.

Fakt, to było głupie.

- Czy kiedy twój tato zabronił im spotykać się, faktycznie już się nie widywali? Uśmiechnął się do mnie.

- Nie. Spotykali się, tyle że ukradkiem. Myślę, że to, że tato zabronił Ellie widywania się z Andym, tylko pogorszyło sprawę.

- Zwykle tak bywa - przyznałam. Kiedy zniknął Andy?

- Jakies dwa tygodnie temu. Zniknął także jego wóz, więc wszyscy uznali, że uciekł, ale on nie zostawiłby Ellie. Był dziwny, ale na pewno nie porzuciłby Ellie.

- Czy Ellie była zła, zdenerwowana, że jej chłopak zniknął?

Zmarszczył brwi, tuląc psa do piersi. Kruk polizał go po brodzie małym, różowym języczkiem.

- To było najdziwniejsze. To znaczy wiem, że przed rodzicami Ellie udawała, że jest jej to obojętne, ale w taki sam sposób zachowywała się również w szkole i wśród znajomych. Jakby przestało jej zależeć. To mnie ucieszyło. Andy był frajerem i dobrze się stało, że zniknął, ale ona sprawiała wrażenie, jakby nie wierzyła, że uciekł w nieznane, wydawało się, że wie coś, o czym my wszyscy nie mieliśmy pojęcia. Sądziłem, że Andy wyjechał do innego miasta, aby znaleźć tam sobie jakąś robotę, a gdy już się w niej zahaczy, przyśle po Ellie.

- Może tak właśnie było - powiedziałam.

Jego czoło przecięły zmarszczki zatroskania.

- Jak to?

- Myślę, że to Andy jest wampirem, który zabił twoją siostrę.

Zasepił się jeszcze bardziej.

- Nie wierzę w to. Andy kochał Ellie. On by jej nie zabił.

- Jeff, jeżeli on stał się wampirem, to z pewnością nie uważa, że przemieniając ją w nieumarłą, wyrządzą jej krzywdę. On tego nie traktuje jak zabójstwa.

Jeff pokręcił głową. Kruk wyslizgnął się z jego uścisku, jakby chłopak zbyt mocno go przytulił. Zeskoczył z jego podółka i położył się na pościeli.

- Andy nie skrzywdziłby Ellie. Czy umieranie boli?

- Zapewne tak - odparłam.

- Krzaki pod jej oknem są połamane - zauważył Larry.

Spojrzałam na niego.

- Powtórz.

Uśmiechnął się do siebie.

- Rozejrzałem się trochę na zewnątrz. To dlatego tak długo trwało, kiedy poszedłem po rękawiczki, które nawiasem mówiąc, wcale ci nie były potrzebne. Krzewy pod narożnym oknem pokoju dziewczyny są połamane, jakby spadło na nie coś ciężkiego.

Przez chwilę wyobrażałam sobie Larry'ego, samotnego w ciemnościach, zupełnie bezbronego, jeśli nie liczyć krzyżyka. Ta myśl sprawiła, że ciarki przebiegły mi po plecach. Już miałam go zrugać, ale zmytygowałam się. Nigdy nie należy sztorcować kogoś publicznie, chyba że robisz to celowo, aby dać mu nauczkę. Spytałam:

- Znalazłeś jakieś ślady?

Przyznałam sobie tuzin punktów za zachowanie spokoju.

- Czy ja wyglądam na Indianina? Poza tym jest tam tylko trawa, która w ostatnich dniach wyschła niemal na wiór. Wątpię, aby zachowały się jakieś ślady. - Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. - Umiesz tropić wampiry?

- Zazwyczaj nie, jeśli jednak mamy do czynienia z tak młodym krwiopijcą jak przypuszczam, może by mi się to udało. - Skinęłam głową. - Tak. - Wstałam. - Muszę zapytać o coś policjanta. Dzięki za pomoc, Jeff.

Podaliśmy mu rękę. Uścisnął ją. Miał dość niepewny uścisk, jakby nie przywykł do podawania ręki.

Podeszłam do drzwi, Larry podążył za mną.

- Znajdzie go pani i zabije, nawet jeśli to Andy? zapytał Jeff.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Jego ciemne oczy wciąż emanowały bystrością i żarliwością neofity, ale pod tą opoką nadal był małym chłopcem wymagającym ukojenia.

- Tak, znajdziemy go.

- I zabijecie?

- I zabijemy - potwierdziłam.

- To dobrze - mruknął. - Bardzo dobrze.

Nie wiem, czy skwitowałabym to w równie lakoniczny sposób, ale to nie moja siostra leżała martwa w pokoju obok.

- Masz krzyżyk? - spytałam.

Zasepił się, ale odparł:

- Tak.

- Nosisz go?

Pokręcił głową.

- Wyjmij go, załóż i noś, dopóki go nie dopadniemy. W porządku?

- Myśli pani, że on wróci? - W jego oczach pojawił się strach.

- Nie, ale nigdy nie wiadomo, Jeff. Zrób mi tę przyjemność.

Wstał i podszedł do komódki. Dostrzegłam błyszczący łańcuszek zwisający przy lustrze. Kiedy wziął go do ręki, na końcu łańcuszka zakołysał się mały, złoty krzyżyk. Patrzyłam, jak go zakłada. Pies również się temu przyglądał.

Uśmiechnęłam się.

- To na razie.

Skinął głową, dotykając palcami krzyżyka, szok nie był już w stanie ukryć jego przerażenia. Pozostawiliśmy go pod opieką Kruka.

- Naprawdę uważasz, że wampir tu wróci? zapytał Larry.

- Nie - odrzekłam. - Gdyby jednak twój mały spacer w ciemnościach podsunął mu jakiś głupi pomysł, chciałabym, aby Jeff miał przy sobie przynajmniej krzyżyk.

- Ha - powiedział - znalazłem ślad.

Funkcjonariusz Coltrain obserwował nas, ale nie mógł wiedzieć, o czym rozmawialiśmy. Mówiłam cicho, licząc, że to wystarczy.

- Taa, i wyszedłeś w pojedynkę, bez broni, w noc, wiedząc, że może tam czyhać wampir, który ma już na koncie jedną ofiarę.

- Powiedziałaś, że to młody wampir.

- Dopiero po tym, jak wróciłeś z rękawiczkami.

- Może sam domyśliłem się, że musi być młody - stwierdził.

Na jego twarzy malował się upór, najwyraźniej nie zamierzał wziąć sobie mojego ostrzeżenia do serca, i przy najbliższej okazji zamierzał to powtórzyć.

- Nawet młody wampir może cię zabić, Larry.

- Pomimo że noszę krzyżyk?

Miał rację. Niewielu młodych wampirów jest w stanie wytrzymać palący ból wywołany przez krzyżyk albo ma dostatecznie dużą moc, by poprzez hipnozę nakłonić cię do zdjęcia go.

- W porządku, Larry, ale co z wampirem, który go stworzył? Gdzie on może być? Ten krwiopijca może mieć paręset lat i kto wie, czy również nie czai się gdzieś tam, w ciemnościach.

Larry wyraźnie poblekł.

- Nie pomyślałem o tym.

- A ja tak.

Wzruszył ramionami, był skonsternowany.

- I dlatego ty tu rządzisz.

- Fakt - przyznałam.

- No dobra, już dobra. Obiecuję, że już będę grzeczny.

- Świetnie, a teraz chodźmy, zapytajmy zastępcę szeryfa Coltraina, czy zna kogoś, kto mógłby wytropić naszego wampira.

- Naprawdę można wytropić wampira?

- Nie wiem, ale takiego, który ma niespełna dwa tygodnie i który wypada przez okno, by ciężko wylądować wśród krzewów, chyba można byłoby odnaleźć. A w każdym razie zawężilibyśmy przynajmniej teren naszych poszukiwań.

Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Tak, dobrze wiedzieć, że wypadł przez okno. To cenna informacja. Gdyby nie ona, nie przyszedłoby mi na myśl, aby szukać śladów pod oknem.

Uśmiechał się od ucha do ucha.

- A gdyby wampir okazał się na tyle stary, że przewyciężyłby moc krzyżyka i pozbawił cię twarzy, nigdy nie dowiedziałabym się o tych połamanych krzakach.

- Widzisz, Anito. Dobrze się spisałem.

Pokręciłam głową. Larry miał już okazję zetknąć się z wampirami, ale to wciąż było zbyt mało. Nadal je lekceważył. Nie znał ani nie pojmował mocy, jaką dysponowały. Nie miał jeszcze żadnych blizn. Jeśli jednak pozostanie w tym fachu dostatecznie długo, aby zdobyć licencję, to się bez wątpienia zmieni.

Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Wiatr był chłodny i niósł ze sobą zapach deszczu. Kiedy go poczułam, odwróciłam głowę. Powietrze pachniało zielenią i nowym życiem. Czystością i świeżością. Stałam na trawie, patrząc w górę. Okno pokoju Ellie Quinlan lśniło jak latarnia morska. Ellie otworzyła okna, lecz to jej ojciec zapalił światło. Spotkała się ze swym wampirzym kochankiem w ciemnościach. W ten sposób nie musiała oglądać go jako nieumarłego, jakim się stał.

Znów założyłam kombinezon, suwak rozpięłam do połowy, aby w razie potrzeby móc sięgnąć po browninga. Firestara, w kaburze wewnętrznej, włożyłam do kieszeni kombinezonu. W ten sposób wyjęcie go zajęło by mi więcej czasu, ale czułam się lepiej, mając przy sobie dwa pistolety. Kabura wewnętrzna nie jest zbyt praktyczna, gdy nosisz spódnicę.

Larry też miał pistolet, w kaburze podramiennej. Stał obok mnie, wiercąc się i usiłując poprawić paski uprząży. Jeśli są dopasowane, uprząż nie przeszkadza, ale nie jest też wygodna. To trochę tak jak z biustonoszem. Jest dopasowany i potrzebny, ale nigdy. Nie czujesz się w nim swobodnie.

Larry nosił kombinezon rozpięty i rozchełstany niemal do bioder. Promień latarki przeciął noc i padł na krzyżyk Larry'ego. Błysnęło złoto. Światło przesunęło się, oślepiając mnie.

- Teraz, kiedy już nic nie widzę, może łaskawie zgasisz to cholerstwo.

Od strony latarki dobiegł głęboki, męski śmiech. Zjawili się dwaj gliniarze z policji stanowej, aby pomóc nam w polowaniu. Co za radość.

- Wallace - rzekł męski głos. - Zrób, co pani ci każe.

Głos był głęboki i groźny. Taki głos kojarzy ci się ze słowami: „Oprzyj ręce na masce i rozstaw szerzej nogi”. A ty wykonujesz polecenie.

Facet przedstawił się jako funkcjonariusz Granger. Podeszedł do nas, kierując promień latarki ku ziemi. Nie był tak wysoki jak Wallace i brzuch zaczynał przelewać mu się nad paskiem, ale przemierzał ciemność, jakby dobrze wiedział, co robi. Jakby zdarzyło mu się już kiedyś polować w ciemnościach. Może nie na wampiry, ale na kogoś na pewno. Na przykład na ludzi.

Wallace podeszedł do nas, kołysząc trzymaną w dłoni latarką. Jej promień przesuwiał się w mroku jak wielki świetlik. Nie świecił mi w oczy, ale wciąż jeszcze miałam kłopoty ze wzrokiem.

- Proszę zgasić tę latarkę.

Wallace postąpił krok naprzód i stanął nade mną. Był wysoki, zbudowany jak futbolista, miał długie nogi. Może grał jako napastnik albo pomocnik. On i zastępca szeryfa Coltrain mogli pokłócić się później. Teraz po prostu chciałam się go pozbyć.

- Zgaś latarkę, Wallace - rzucił Granger. Swoją już wyłączył.

- Bez niej nic nie będę widział - poskarżył się tamten.

- Boisz się ciemności? - spytałam z uśmiechem.

Larry zaśmiał się. To nie było rozsądne.

Wallace odwrócił się do niego.

- To cię śmieszy? - Podeszedł do Larry'ego, sądząc, że swoimi gabarytami zdoła go zastraszyć. Tyle tylko, że Larry jest podobny do mnie, przez całe życie miał kłopoty z powodu swojego wzrostu. Niejednokrotnie padał ofiarą większych od siebie. I nauczył się nie oddawać pola.

- To jak? - rzucił Larry.

- Z czym? - spytał Wallace.

- Boisz się ciemności?

Animacja to nie jedyna rzecz, jakiej Larry nauczył się ode mnie. Na swoje nieszczęście był chłopakiem. Ja, mimo swej zgryźliwości, mogę uniknąć pobicia ze strony wydrwiwanej osoby. Larry nie miał tyle szczęścia.

Wallace chwycił Larry'ego za poły kombinezonu i dźwignął w górę. Larry stanął na palcach. Latarka Wallace'a spadła na trawę, jej promień oświetlał nasze kostki.

Funkcjonariusz Granger podeszedł bliżej, ale nie dotknął Wallace'a. Nawet w ciemnościach było widać napięcie w jego ramionach i barkach. Nie od dźwignania Larry'ego, lecz dlatego, że hamował się przed uderzeniem go.

- Wyluzuj, Wallace. On nie miał nic złego na myśli.

Wallace nie odezwał się słowem, lecz przyciągnął Larry'ego ku sobie tak, że ich twarze niemal się zetknęły. Smuga żółtego światła padła na jego twarz. Mięsień przy zuchwie stał się widoczny i pulsował tak, jakby chciał wyskoczyć spod skóry. Poniżej kości zuchwy dostrzegłam bliznę, która zniknęła za kołnierzykiem.

Wallace wycodził Larry'emu prosto w twarz:

- Nie boję się niczego.

Podeszłam do niego. Nachylił się, by wyrzeć jeszcze większe wrażenie na Larrym i bardziej go zastraszyć, mogłam więc wyszeptać mu wprost do ucha:

- Ładna blizna, Wallace.

Drgnął, jakbym go ugryzła. Puścił Larry'ego tak gwałtownie, że ten omal nie stracił równowagi. Okręcił się na pięcie, a jego wielka dłoń przecięła powietrze, by wyrzucić mnie w twarz. Przynajmniej puścił Larry'ego.

Zamachnął się na mnie. Odbiłam jego rękę w bok, z dala od mojego ciała. Zachwiał się. Trzasnęłam go mocno kolanem w brzuch. Ciężko było nie pójść za ciosem i nie zrobić mu prawdziwej krzywdy. Był gliną. Porządnym facetem. Takich się nie bije. Cofnęłam się, stając poza jego zasięgiem w nadziei, że to, co się stało, ostudzi jego bojowy zapał. Mogłam już teraz nieźle go uszkodzić, ale nie zrobiłam tego. Może popełniłam błąd. Będzie teraz miał się na baczności. Trudniej go będzie dosięgnąć i zranić.

Był jakieś trzydzieści centymetrów wyższy i pięćdziesiąt kilogramów cięższy ode mnie. Gdybyśmy walczyli na serio, miałabym poważne problemy. Miałam nadzieję, że nie pożałuję swego szlachetnego gestu.

Wallace wylądował na czworakach, przy krzewach pod domem. Podniósł się szybciej, niż mogłabym sobie tego życzyć, ale pozostał zgięty wpół, z dłońmi wspartymi o kolana. Spojrzał na mnie. Nie byłam pewna, co znaczył wyraz jego twarzy, ale nie był całkiem wrogi. Raczej dostrzegłam w nim zakłopotanie, jakbym go zaskoczyła. To często mi się zdarza.

- Już wszystko dobrze, Wallace? - spytał Granger.

Wallace skinął głową. Po solidnym ciosie w żołądek ciężko jest wydusić z siebie choćby słowo.

Granger popatrzył na mnie.

- Wszystko gra, panno Blake?

- Jak najbardziej.

Pokiwał głową.

- Tak. Chyba tak.

Larry podszedł i stanął obok mnie. Zbyt blisko. Gdyby Wallace znów rzucił się na mnie, potrzebowałam więcej miejsca, aby móc się ruszyć. Larry chciał w ten sposób wyrazić swoje poparcie. Wesprzeć mnie. Gdy już nauczę Larry'ego szybko dobywać broni i celniej strzelać, zajmiemy się podstawami samoobrony i technikami walki wręcz.

Dlaczego najpierw uczyłam go strzelać, a szkolenie w zakresie walki wręcz odłożyłam na później? Bo z wampirami nie walczy się gołymi rękami. Do wampirów się strzela. Larry mógłby przeżyć pobicie przez Wallace'a. Z walki wręcz z wampirem nie wyszedłby żywy. Nie przeżyłby, o ile nie mógłby użyć broni.

- Byłeś z nim, kiedy nabawił się tej blizny? - spytałam.

Granger pokręcił głową.

- Jego pierwszy partner zginął.

- Załatwił go wampir?

Skinął głową.

Wallace wyprostował się powoli. Przeciągnął się lekko, jakby rozboleł go kręgosłup.

- Niezły cios - przyznał.

Wzruszyłam ramionami.

- Kolano to nie to samo co pięść.

- Mimo wszystko cios był niezły. Nie mam żadnej wymówki, by usprawiedliwić to, co się stało.

- Nie masz.

Spuścił wzrok, wlepiając go w ziemię, ale zaraz znów go uniósł.

- Nie wiem, co mnie do tego skłoniło.

- Przejdźmy się.

Ruszyłam w ciemność, nie oglądając się za siebie, jakbym wiedziała, że i tak pójdzie za mną. To skutkuje częściej, niż sądzicie.

Pomaszerował za mną. Zatrzymał się, by podnieść upuszczoną latarkę, ale zgasił ją. To był odważny gest.

Zatrzymałam się niemal na skraju lasu i skierowałam wzrok w stronę drzew, starając się przyzwyczaić oczy do ciemności. Nie patrzyłam na nic konkretnego. Pozwalałam moim oczom ogarnąć wszystko co miałam przed sobą. Wypatrywałam poruszenia. Jakichkolwiek oznak ruchu. Gałęzie drzew kołysały się, poruszane wiosennym wiatrem łagodnie jak fale oceanu. To nie drzewa budziły we mnie niepokój.

Wallace zaczął stukać zgaszoną latarką o udo. Chciałam poprosić, aby przestał, ale nie zrobiłam Tego. Jeśli to go uspokajało, to postaram się wytrzymać.

Cisza przedłużała się. Wiatr przybrał na sile, wypełniając noc coraz głośniejszym szumem. Czuło się nadchodzącą ulewę.

Ujął latarkę oburącz. Usłyszałam, jak gwałtownie nabrał powietrza pośród szumu wiatru.

- Co to?

- Wiatr - odparłam.

- Na pewno?

- Raczej tak.

- Czego chcesz? - spytał.

- Czy to pierwszy wampir, którego tropisz od śmierci swego partnera?

Spojrzał na mnie.

- Powiedział ci o tym Granger?

- Tak, ale widziałam ślady na twojej szyi. Domyśliłam się, czyje to dzieło.

Chciałam powiedzieć mu, że blizny to nic złego. Do licha, sama miałam ich wiele, ale on był gliną i do tego facetem, a ja nie znałam go na tyle, aby wiedzieć, jak zniesie mój wywód. Mimo to musiałam wiedzieć, czy wejdzie ze mną do tego lasu. Musiałam przekonać się, czy mogę mu zaufać. Czy mogę na nim polegać. Gdyby bał się tak jak teraz, okazałby się w moich oczach niewiarygodny.

- Co się stało? - spytałam. Może to kiepski pomysł, aby nakłaniać go właśnie teraz do rozmowy na ten temat, ale ignorowanie go, jak widać, nie na wiele się zdawało.

Pokręcił głową.

- Dowództwo stwierdziło, że to pani ma tu wszystkim kierować, panno Blake. W porządku. Zrobię, co mi każą. Nie muszę jednak odpowiadać na pytania natury osobistej.

Zdjęcie kombinezonu wymagało zbyt wiele zachodu, a poza tym chciałam mieć wolne ręce. Rozpięłam jeden guzik bluzki i rozchyliłam materiał.

- Co pani robi?

- Jak dobrze widzisz w ciemnościach?

- Czemu pytasz?

- Widzisz bliznę?

- O czym pani mówi? - W jego głosie zabrzmiała nuta podejrzliwości. Może zaczął podejrzewać, że jestem nienormalna.

Ja dostrzegłabym bliznę, ale większość ludzi widzi po ciemku gorzej ode mnie.

- Daj mi rękę.

- Po co?

- Drugi raz nie poproszę. Daj rękę.

Zrobił to, aczkolwiek z wahaniem, zerkając na czekających opodal mężczyzn.

Jego ręka była zimna w dotyku. Był śmiertelnie przerażony. Przesunęłam jego grubymi, kanciastymi paluchami po swoim obojczyku. Kiedy tylko dotknął blizny, drgnął, jakby poraził go prąd. Opuściłam rękę, a on już sam ponownie dotknął mojej blizny.

Powoli cofnął dłoń, pocierając palce, jakby chciał zapamiętać dotyk mojej skóry.

- Po czym ta pamiątka?

- Po tym samym, co zostawiło pamiątkę na twojej szyi. To był wampir, który nie wiedział, że nie należy bawić się jedzeniem.

- Jezu - mruknął.

- No - wycodziłam. Zapięłam bluzkę. - A teraz Wallace, powiedz mi, proszę, co się stało.

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową.

- Harry, mój partner, i ja dostaliśmy zgłoszenie, że ktoś znalazł zwłoki z rozszarpanym gardłem.

Mówił to całkiem zwyczajnie, spokojnym z pozoru głosem, ale wiedziałam, że oczyma duszy znów widzi tamte sceny. I przeżywa je równie mocno jak wtedy. - To był plac budowy. Dotarliśmy tam, mieliśmy latarki. Przechodziliśmy przez plac, gdy nagle rozległ się jakiś dźwięk, jakby szum wiatru i coś uderzyło Harry'ego. Upadł, a ten mężczyzna wylądował na nim. Zaczął krzyczeć. Wyjąłem pistolet. Strzeliłem temu facetowi w plecy. Trafiłem go trzy albo cztery razy. Odwrócił się do mnie, twarz miał całą we krwi. Nawet nie miałem czasu zastanowić się dlaczego, gdy rzucił się na mnie. Zanim wylądowałem na ziemi, wpakowałem w niego cały magazynek.

Wziął głęboki oddech, jego wielkie dłonie zaciskały się na latarce. On także wpatrywał się między drzewa, ale nie wypatrywał wampirów, a w każdym razie nie tego. - Rozdarł mi kurtkę i koszulę jakby były z papieru. Próbowałem z nim walczyć ale...

Pokręcił głową. - Wychwycił moje spojrzenie i zaczął hipnotyzować. Owładnął mną, a kiedy wgryzł się w moją szyję, chciałem, aby to zrobił, pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek w całym moim życiu. - Odwrócił się nieznacznie, jakby to, że nie patrzy mi w oczy, już mu nie wystarczało. - Kiedy się ocknąłem, już go nie było. Harry nie żył. Dziewczyna była martwa. Ja przeżyłem. - Dopiero teraz odwrócił się i spojrzał mi głęboko w oczy, by zapytać z przejęciem: - Dlaczego on mnie nie zabił, panno Blake?

Spojrzałam w jego szczerze, czyste oczy, ale nie potrafiłam przekonująco odpowiedzieć na to pytanie.

- Nie wiem, Wallace. Może chciał uczynić cię jednym z nich? Nie mam pojęcia, dlaczego akurat ciebie, a nie Harry'ego. Dopadłeś go w końcu?

- Lokalny mistrz przysłał na posterunek jego głowę w pudełku. Z przeprosinami za jego niecywilizowane zachowanie. Tak to właśnie ujął: niecywilizowane zachowanie.

- Trudno traktować to jako morderstwa, skoro sam karmisz się ludźmi.

- Czy oni wszyscy to robią? Pozywiają się ludźmi?

- Nigdy nie spotkałam żadnego, który by tego nie robił.

- Nie mogą pić krwi zwierząt?

- Teoretycznie tak. W praktyce jest inaczej. Zwierzęcej krwi brakuje pewnych składników odżywczych.

Prawda była taka, że dla większości wampirów pozywianie się było zbliżone do seksu. Jako że nie byli zwolennikami stosunków ze zwierzętami, nie pili także zwierzęcej krwi. Tyle że analogię do seksu w przypadku funkcjonariusza Wallace'a postanowiłam mimo wszystko pominąć.

- Możesz to zrobić, Wallace?

- Ale co?

- Wyruszyć nocą na polowanie na wampiry?

- Na tym polega moja praca.

- Nie pytałam o twoją pracę. Pytałam, czy jesteś w stanie wyruszyć w ciemną noc, aby zapolować na wampiry.

- Myśli pani, że jest więcej niż jeden?

- Lepiej zakładać pesymistyczną wersję - odparłam.

Skinął głową.

- Tak. Chyba tak.

- Boisz się? - zapytałam.

- A pani?

Wlepiłam wzrok w wietrzną noc. Drzewa kołysały się i jęczały na wietrze. Miałam wrażenie, że patrzę na jednolitą, poruszającą się ścianę czerni. Niedługo rozpada się i światło gwiazd przygaśnie.

- Tak, boję się.

- Ale pani jest przecież zabójczynią wampirów - stwierdził. - Jak pani może to robić każdej nocy, skoro to panią przeraża?

- Czy ty nie odczuwasz strachu za każdym razem, gdy zatrzymujesz na szosie jakiegoś pirata drogowego, mając świadomość, że facet może być uzbrojony i na tyle zdesperowany, że pośle ci kulkę? Podchodzisz do auta i nie wiesz, co się za chwilę wydarzy.

- To moja praca.

- A to moja.

- Ale boi się pani?

- Jeszcze jak. Cała się trzęsę.

Larry zawołał:

- Wrócił szeryf. Ma nakaz.

Wallace i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Masz srebrne naboje? - spytałam.

- Tak.

Uśmiechnęłam się.

- Wobec tego chodźmy. Wiem, że dasz radę - powiedziałam.

Naprawdę w to wierzyłam. Wallace zrobi, co do niego należy. Ja również. Wszyscy zrobimy swoje. A gdy nastanie świt, niektórzy z nas będą żywi a niektórzy nie. Naturalnie może okazać się, że mamy do czynienia tylko z jednym młodym wampirem. W tej sytuacji bardzo prawdopodobne, że wszyscy dożyjemy do świtu. Tyle tylko, że to, iż jeszcze żyję zawdzięczam swojej przezorności. I przezornie staram się nie brać pod uwagę najprostszycch rozwiązań. Zawsze zakładam najgorsze. Tak jest bezpieczniej. I niestety zazwyczaj moje przypuszczenia sprawdzają się.

Byłam przyzwyczajona do używania obrzyna, który miałam w domu. Owszem, jest nielegalny, ale łatwo się nosi i robi z wampirów mielonkę. Czegóż może pragnąć współczesna łowczyni wampirów? Może strzelby typu Ithaca kalibru 18,5 mm? Tak, to całkiem niegłupie.

- Dlaczego ja nie dostanę strzelby? - spytał Larry.

Tylko na niego spojrzałam. Wyglądało, że mówił poważnie. Pokręciłam głową.

- Kiedy nauczysz się posługiwać dziewiątką, pogadamy o strzelbach.

- Świetnie.

Ech, entuzjazm młodych. Larry był zaledwie cztery lata młodszy ode mnie, ale czasami miałam wrażenie, że dzieli nas przepaść miliona lat.

- On nie strzelił nam przez przypadek w plecy, prawda? - spytał zastępca szeryfa Coltrain.

Uśmiechnęłam się, bynajmniej nie słodko.

- Obiecał, że tego nie zrobi.

Coltrain spojrzał na mnie, jakby nie był pewien, czy żartuję.

Szeryf St. John dołączył do nas na skraju lasu. On też miał strzelbę. Ufałam, że umie jej używać. Wallace zabrał strzelbę z radiowozu. Jego partner Granger był uzbrojony w coś, co przypominało karabin snajperski. Uznałam, że to nie jest odpowiednia broń jak na dzisiejszą akcję i powiedziałam to głośno. Granger tylko na mnie spojrzał. Wzruszyłam ramionami i odpuściłam. To jego karabin i jego skóra.

Spojrzałam na nich, a oni na mnie. Czekali na mój rozkaz.

- Czy wszyscy mają wodę święconą? - spytałam.

Larry poklepał się po kieszeni kombinezonu. Pozostali pokiwali głowami albo wymamrotali cicho „tak”.

- Pamiętajcie o trzech zasadach obowiązujących podczas polowań na wampiry. Po pierwsze nigdy, przenigdy nie patrzcie im w oczy. Po drugie nigdy, przenigdy nie odrzucajcie krzyżyka. Po trzecie: celujcie w głowę i w serce. Nawet srebrne kule nie zgładzą wampira, jeśli trafią gdzie indziej. - Czuję się jak nauczycielka z przedszkola, wysyłająca swoje maluchy na obcy, wrogi plac zabaw. - Nie wpadajcie w panikę, jeśli zostaniecie ukąszeni. Ukąszenie może zostać oczyszczone. Dopóki nie zostaniecie zhipnotyzowani, nadal będziecie mogli walczyć.

Spojrzałam na nich, milczących, wyższych ode mnie. Nawet Larry przerastał mnie o kilka centymetrów. Każdy z nich pokonałby mnie na rękę. Czemu więc chciałam zamknąć ich wszystkich w domu gdzie byliby bezpieczni? Do licha, przecież wszyscy możemy wejść do środka. Napijemy się gorącego kakao. Powiemy Quinlanom, że ich córce nic się nie stanie. Bądź co bądź nastolatki często przechodzą na płynną dietę, prawda?

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

- Do roboty chłopcy. Marnujemy światło gwiazd.

Albo nie wychwycili mojej aluzji do Johna Wayne'a, albo nie sądzili, że to było zabawne. Trudno zgadnąć.

Musiałam pozwolić, by to St. John poprowadził nas w głąb ciemnego lasu. Nie znałam tego terenu. On go znał. Tyle, że nie chciałam, aby szeryf szedł na szpicy. To mi się nie podobało. Chciałam, aby wrócił ze mną. Aby wrócił do żony. Jego szkolnej miłości. Byli małżeństwem od pięciu lat i wciąż się kochali. Jezu, nie chciałam, żeby zginął.

Drzewa zamknęły się wokół nas. St. John prowadził nas pomiędzy nimi, jakby doskonale znał drogę. O tej porze roku poszycie było mizerne. Dzięki temu szło się łatwiej, ale wędrówka przez las, zwłaszcza po zmierzchu, zawsze jest trudna. Nawet latarka niewiele pomaga.

Musisz na swój sposób poddać się drzewom, tak samo jak musisz poddać się wodzie, kiedy płyniesz. Płynąć, nie koncentrujesz się zasadniczo na wodzie. Skupiasz się na rytmie swojego ciała, tnącego chłodną toń. Dla lasu też musisz znaleźć odpowiedni rytm. Musisz koncentrować się na miejscach, gdzie las zechce cię przepuścić. Na naturalnych prześwitach. Jeśli będziesz próbował walczyć, las odpowie tym samym. I tak jak woda może cię zabić. Ktoś, kto nie wierzy, że las może być zabójczym miejscem, nigdy się w nim nie zgubił.

St. John umiał poruszać się w lesie, podobnie jak ja. Byłam z tego zadowolona. Zbyt długo byłam dziewczyną z miasta. Larry wpadł na mnie. Musiałam się przytrzymać, albo runęlibyśmy oboje.

- Przepraszam - mruknął, odsuwając się ode mnie.

- Jak tam, pogromco wampirów? - zawołał Coltrain. Szedł na szarym końcu, osłaniając tyły. Ja musiałam iść druga, by osłaniać St. Johna, a nie chciałam dopuścić by Larry musiał iść na końcu. Coltrain sam tego chciał. Powiedział, że on i szeryf będą strzec naszych tyłków. Może być.

- Krzycz głośniej - rzucił Wallace. - Wampir chyba cię nie usłyszał.

- Nie będzie mi żaden stanowy mówił, jak mam robić swoją robotę.

- On wie, że tu jesteśmy - wtrąciłam.

Zamurowało ich. W jednej chwili zwróciłam na siebie uwagę wszystkich.

- Nawet jeśli ten wampir ma tylko kilka tygodni, charakteryzuje się wyjątkowo czułym słuchem. Wie, że tu jesteśmy. Wie, że nadchodzimy. Nie ma znaczenia, czy będziemy zachowywać się cicho, czy przyjdziemy tu z orkiestrą dętą. W obu przypadkach będzie tak samo. Po zmroku go nie zaskoczmy. - Co najwyżej on mógł zaskoczyć nas, ale nie powiedziałam tego głośno. I tak wszyscy mieliśmy tego świadomość.

- Marnujemy tutaj czas, zastępczo - powiedział St. John.

Coltrain nie przeprosił i nie miał nawet skruszonej miny. W przeciwieństwie do Wallace'a.

- Przepraszam, szeryfie. To się już nie powtórzy.

St. John skinął głową i odwrócił się bez słowa, by poprowadzić nas w głąb lasu.

Coltrain prychnął pod nosem, ale już się nie odezwał. Cokolwiek powiedział, wątpiłam, aby Wallace ponownie dał się na to złapać. W każdym razie miałam taką nadzieję. Nie obchodziło mnie, czy się bał, mieliśmy dość kłopotów i bez konfliktów wewnątrz naszej małej grupy.

Drzewa szumiały i kołysały się wokół nas. Pod stopami chrzęściły zeszłoroczne, zeschnięte liście. Ktoś za moimi plecami zaklął w głos. Powiał silniejszy wiatr, odgarniając mi włosy z twarzy. Ciemność przed nami wydawała się inna. Dochodziliśmy do polany.

St. John przystanął na skraju przecinki, wśród drzew. Spojrzał na mnie.

- Jak pani chce to zrobić?

Czułam zapach deszczu, niesiony podmuchami wiatru. O ile to możliwe, chciałam, abyśmy wynieśli się stąd, zanim się rozpada. W deszczu widoczność jest prawie zerowa.

- Zabijemy go i jak najszybciej wracamy do domu. To dość prosty plan.

Skinął głową, jakbym powiedziała coś bardzo głębokiego.

Chciałabym, aby tak było.

Przed nami pojawiła się jakaś postać. W jednej chwili nic, a w następnej już tam była. Ciemność i cienie, magia. Pochwycił St. Johna, gdy ten próbował sięgnąć po broń i szerokim łukiem cisnął go na polanę.

Strzeliłam wampirovi w pierś z bardzo bliska. Osunął się na kolana. Dostrzegłam błysk białek jego oczu, jakby nie wierzył, że to go spotkało. Przeładowałam strzelbę.

Z tyłu za mną huknął karabin Grangera. Ktoś krzyknął. Strzeliłam wampirovi między oczy. Jego głowa rozbryznięta się na poszycie i liście dokoła. Obróciłam się, unosząc strzelbę do ramienia, zanim jeszcze ciało zległo na ziemi.

Larry leżał na ziemi, a na nim siedziała okrakiem wampirzyca. Dostrzegłam długie, brązowe

włosy zanim jego krzyżyk zapłonął błyskiem błękitno białego ognia. Odskoczyła do tyłu z wrzaskiem i zniknęła w mroku. Odeszła.

Wampirzyca o długich blond włosach obejmowała Grangera szczupłymi ramionami, wtulając twarz w jego szyję. Nie mogłam użyć strzelby. Stali zbyt blisko. Z tej odległości trafiłabym oboje.

Rzuciłam strzelbę na podolek zdumionego Larry'ego. Wciąż jeszcze leżał na ziemi, mrugając powiekami. Wyjęłam browninga i strzeliłam wampirzycy prosto w obfitą pierś. Drgnęła gwałtownie, ale nie puściła Grangera. Wampirzyca spojrzała na mnie, wciąż przyciskając do siebie mężczyznę. Zasyczała na mnie. Wpakowałam jej kulkę prosto w rozdziawione usta. Pocisk wywalił jej całą potylicę.

Wampirzyca zadrżała. Posłałam jej jeszcze jedną kulkę w głowę. Puściła Grangera i runęła na ziemię,miotana konwulsjami. Granger po prostu leżał w bezruchu. W ciemnościach nie widziałam jego twarzy ani szyi. Martwy czy żywy, zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam.

Larry podniósł się, niezdarnie ujmując strzelbę oburącz. Rozległ się krzyk, cichy i pełen bólu. Wallace leżał na ziemi, przygnieciony przez szczupłego wampira.

Kły zagłębiły się w jego ramieniu. Kość pękła z głuchym trzaskiem. Znow krzyknął.

Dostrzegłam Coltraina stojącego opodal nieruchomo jakby obróconego w słup soli. Z tyłu za nim coś się poruszyło. Patrzyłam na to, czekając, aż wampir wyłoni się z mroku, ale ni stąd, ni zowąd nagle coś błysnęło. Moim oczom ukazało się matowe, srebrne ostrze. Patrzyłam na nie, ale coś mi umknęło. Jakbym straciła kilka chwil. Następne, co ujrzałam, to sztych ostrza wyłaniający się z gardła Coltraina. Straciłam kolejną sekundę, mrugając na cienie, a wampir wyszarpnął miecz z jego szyi i zniknął. Przemknął pośród drzew z niewiarygodną, nieludzką szybkością, jak koszmar postrzegany kątem oka.

Larry uniósł strzelbę do ramienia, mierząc w kierunku Wallace'a. Sięgnęłam, by mu ją odebrać i wtedy coś wyrznęło mnie w plecy, powalając na ziemię.

Silna ręka wdusiła mi twarz w suche, chrzęszczące liście. Druga rozdarła mi kombinezon na plecach tak brutalnie, że oderwała jeden rękaw. Z tyłu za moją głową coś huknęło i wampir zniknął. Przetoczyłam się na bok, dzwoniło mi w uszach.

Larry stał nade mną z wyciągniętą ręką i pistoletem w dłoni. Cokolwiek postrzelił, znikło w ciemnościach.

Bolało mnie lewe ramię, ale nie tak bardzo, jak mogłoby, gdybym się nie podniosła. Wstałam z trudem. Wampirów już nie było. Zniknęły.

Wallace usiadł, tuląc rękę do piersi. Coltrain leżał na ziemi. Nie ruszał się. Z tyłu za nami rozległ się jakiś dźwięk. Odwróciłam się, unosząc pistolet. Larry także się odwrócił, ale zbyt wolno. Złożyłam się do strzału i ujrzałam St. Johna.

- Nie strzelaj. To ja.

Larry wycelował trzymany oburącz pistolet w ziemię.

- Jezus, Maria - powiedział.

Amen.

- Co się stało?

- Upadek mnie oszołomił. Pobiegłem za odgłosami strzałów - wyjaśnił St. John.

Omiótł nas podmuch wiatru. Zapach deszczu był tak silny, że nieomal poczułam już jego pierwsze krople na skórze.

- Larry, sprawdź puls Grangera - powiedziałam.

- Co? - Larry wydawał się być w lekkim szoku.

- Sprawdź, czy żyje. - To była brudna robota i zrobiłabym ją sama, ale uznałam, że lepiej od Larry'ego potrafię chronić nas przed wampirami. Raz mnie co prawda ocalił, ale i tak byłam w tym lepsza od niego. No i sobie ufałam bardziej.

St. John minął nas. Dotknął Wallace'a, który pokiwał głową.

- Mam złamaną rękę, ale przeżyję. - St. John podszedł do leżącego nieruchomo Coltraina.

Larry klęknął przy Grangerze. Przełożył broń do lewej ręki, co nie było rozsądne, ale zrozumiałam go. Ciężko jest zbadać puls po ciemku, gdy szyja jest cała wilgotna od krwi. Lepiej polegać na sprawniejszej dłoni.

- Wyczuwam puls. - Uniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Coltrain nie żyje - powiedział St. John.

Boże, dopomóż mi, on nie żyje. - Uniósł dłoń, a jego skóra ociekała krwią, która w świetle gwiazd wydawała się czarna. - Został prawie zdekapitowany. Co go tak załatwiło?

- Miecz - odparłam.

Widziałam to. Obserwowałam całe zdarzenie. Ale pamiętałam tylko ciemny kształt, większy od człowieka. W każdym razie potężniejszy od większości ludzi. Czarny cień z mieczem - to wszystko, co ujrzałam, a przecież patrzyłam wprost na niego.

Coś przepłynęło po mojej skórze - to nie był wiatr. Moc wypełniła wiosenną noc niczym woda.

- Tam jest coś starego - powiedziałam.

- O czym ty mówisz? - rzucił St. John.

- Stary wampir. Bardzo stary. Czuję go. Jest tutaj.

Przepatrywałam wzrokiem ciemność, ale wokoło nie poruszało się nic prócz szumiących na wietrze drzew. Niczego nie dostrzegałam. Nie miałam z czym walczyć. Ale to było tutaj i było blisko. Możliwe, że z mieczem w garści.

Granger usiadł tak gwałtownie, że Larry z piskiem przewrócił się na liście. Postawny mężczyzna skupił na mnie wzrok. Zobaczyłam, że sięga po broń i zrozumiałam, co robił wampir.

Wymierzyłam browninga w jego głowę i czekałam. Musiałam mieć pewność.

Granger nie sięgnął po upuszczony karabin. Wyjął pistolet i zaczął unosić go wolno, bardzo wolno jakby wbrew sobie. Wymierzył broń w oddalonego o niecałe pół metra Larry'ego.

Wallace krzyknął;

- Granger, co ty wyprawiasz, do cholery?

Strzeliłam.

Granger drgnął. Pistolet zachwiał się, ale po chwili ręka znów zaczęła się podnosić. Strzeliłam ponownie i jeszcze raz. Jego dłoń zaciśnięta na kolbie broni, opadła powoli. W chwilę później Granger osunął się na ziemię.

- Granger! - krzyczał Wallace, pełną parą biegnąc w stronę swego partnera. Niedobrze.

Wyprzedziłam go i kopnięciem wybiłam Grangerowi pistolet z dłoni. Gdyby choćby drgnął, wpakowałabym mu jeszcze jedną kulę. Ale on już się nie poruszył. Leżał sztywno, martwy.

Wallace spróbował objąć go jedną ręką.

- Dlaczego go zastrzeliłaś? Dlaczego?

- Zamierzał zabić Larry'ego. Przecież widziałaś.

- Dlaczego?

- Ta wampirzycą ugryzła go. Jej mistrz jest gdzieś niedaleko. I to naprawdę potężny sukinsyn. Wykorzystał go.

Wallace ułożył sobie okrwawioną głowę Grangera na podołku i przycisnął do jego piersi swoją złamaną rękę. Płakał.

Cholera.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł do nas ten dźwięk. Ostre, zajadłe szczekanie. W ten hałas

wdarł się nagle krzyk kobiety, wysoki i wyraźny.

- O Boże - wyszeptałam.

- Beth.

St. John zaczął biec, zanim jeszcze zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

Schwyciłam Wallace'a za ramię, ciągnąc go za kurtkę. Uniósł wzrok.

- Co się dzieje?

- Są w domu - powiedziałam. - Możesz iść?

Skinął głową. Pomogłam mu wstać.

Rozległ się kolejny krzyk. Inny. Tym razem krzyk mężczyzny lub chłopca.

- Zostań z nim, Larry. Dojdźcie do domu, najszybciej jak się da.

- A jeżeli one próbują nas rozdzielić? - spytał Larry.

- Wówczas to im się uda - odparłam. - Rozwal wszystko, co się rusza. - Dotknęłam jego ramienia, jakby to czyniło go bardziej realnym, bezpieczniejszym. Wcale tak nie było, ale nie mogłam zrobić nic więcej. Larry postanowił zostać zabójcą potworów. Quinlanowie i Beth St. John nie mieli takich aspiracji.

Włożyłam browninga do kabury, ujęłam strzelbę oburącz i rzuciłam się między drzewa. Wbiegałam w prześwity między drzewami, o których istnieniu nie byłam do końca przekonana. Przeskoczyłam nad kłodą omal się nie wywracając i pobiegłam dalej. Jakaś gałąź chlasnęła mnie po twarzy, wyciskając z oczu łzy. Las jeszcze niedawno do przebrnięcia, zmienił w labirynt korzeni i gałęzi, które za wszelką cenę usiłowały mnie pochwyć lub przewrócić. Biegłam na oślep. To niewskazane, zwłaszcza jeśli gdzieś w pobliżu w ciemnościach czyhają wampiry. Wypadłam z lasu, potknęłam się i poszorowałam kolanami po trawniku przed domem Quinlanów, ale strzelbę wciąż trzymałam mocno w obu dłoniach.

Drzwi frontowe były otwarte. Z wnętrza płynęło ciepłe, miodowe światło. Wewnątrz domu rozległy się strzały. Podniosłam się i pobiegłam ku światłu.

Pudel leżał przy drzwiach, zmasakrowany, zmiażdżony, jakby ktoś usiłował zgnieść go w kulkę.

Drzwi do salonu były otwarte. Huknął drugi strzał. Podeszłam do drzwi z lewej strony, mając ścianę za plecami, ze strzelbą gotową do strzału.

Państwo Quinlan kulili się w kącie, wyciągając przed siebie krzyżyki. Metal świecił białym blaskiem jak płonąca magnezja.

Istota przed nimi nie wyglądała jak wampir. Przypominała raczej szkielet obciążony warstwą mięśni i tkanek. Była niewiarygodnie wysoka i chuda. Na plecach miała lśniący, szeroki miecz. Czyżby to był zabójca Coltraina?

St. John strzelał do brązowowłosej wampirzycy z lasu. Miała długie, kasztanowe włosy z przedziałką pośrodku, proste i cudowne, okalające twarz zalaną krwią i wykrzywioną groźnym grymasem wyszczerzonych kłów.

Za nią dostrzegłam leżącą na podłodze Beth St. John. Nie poruszała się.

St. John strzelał do wampirzycy raz po raz. Wciąż szła w jego stronę. Krew splamiła przód jej dżinsowej kurtki. Pistolet szcęknął głucho, skończyła się amunicja. Wampirzyca zachwiała się, po czym padła na kolana. W chwilę później runęła na twarz, a ja zobaczyłam, że jej plecy były całe okrwawione i podziurawione jak rzeszoto. Leżała na podłodze, dysząc ciężko, podczas gdy St. John przeładowywał broń.

Podniosłam się, usiłując obserwować drzwi, na wypadek gdyby miał tu pojawić się kolejny nieproszony gość. Ruszyłam w stronę Quinlanów i stojącego przed nimi stwora. Musiałam ustawić się pod innym kątem, aby móc użyć strzelby. Nie chciałam, aby też przy okazji oberwali.

Stwór odwrócił się do mnie. Ujrzałam twarz, która nie była ani ludzka, ani zwierzęca, lecz wydłużona i obca, z kłami i ślepyimi, gorejącymi oczami. Stwór cofnął się i nagie ciało pokryło się skórą, która przesłoniła tkanki i niemal całkiem nagie kości. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Kiedy złożyłam się do strzału, wymierzyłam w coś, co od biedy można by uznać za ludzką twarz. Długie białe włosy okalały oblicze o mocno zarysowanych kościach. Nagle potwór ruszył biegiem - jeżeli biegiem można nazwać osiągnięcie oszałamiającej prędkości, która sprawiła, że jego ciało wyglądało jak rozmyta czarna struga. To coś biegło tak, jak inne wampiry latały, tego fenomenu nie sposób było określić innym słowem, a w każdym razie ja tego nie potrafiłam. Wampiry miały wiele talentów. Niektóre latały. Ten biegał. Zniknął, zanim zdążyłam nacisnąć spust.

Stałam, wpatrując się w otwarte drzwi, podczas gdy lufa mojej strzelby przesuwiała się w ślad za stworem. Czy mogłam strzelić? Dlaczego się zawahałam? Czy to było wahanie? Chyba nie, choć nie miałam całkowitej pewności. Tak jak wtedy, w lesie, kiedy zginął Coltrain, jakby umknęło mi kilka sekund. To właśnie ten wampir musiał być poszukiwanym przez nas zabójcą, ale jedyne, co widziałam w lesie, to jego miecz.

St. John strzelał do leżącej wampirzycy. Strzelał, dopóki znów nie skończyła mu się amunicja. Mimo to wciąż naciskał spust.

Podeszłam do niego. Z głowy wampirzycy została krwawa miazga i rozrzucone wokół gęstsze strzępy. Twarzy już nie było.

- To nie żyje, St. John. Zabiłeś to.

Ale on wciąż mierzył do wampirzycy. Cały się trząsł. Nagle osunął się na kolana, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Podczołgał się do żony, zostawiając pistolet za sobą na dywanie. Wziął

ją w ramiona, ni to podnosząc ją, ni to tuląc do siebie. Była cała we krwi. Gardło z jednej strony zostało rozerwane.

St. John jęknął przeciągle. To był straszny dźwięk.

Krzyżyki Quinlanów przestały świecić. Małżeństwo wciąż tuliło się do siebie i mrugało powiekami, jakby oślepięte silnym światłem.

- Jeff, on zabrał Jeffa - jęknęła Sally Quinlan. - Spojrzałam na nią. Jej oczy były szeroko rozwarte. - Zabrał Jeffa.

- Kto zabrał Jeffa? - spytałam.

- Ten wielki - odpowiedział pan Quinlan. - Ten stwór, to coś kazało Jeffowi zdjąć krzyżyk a on to zrobił. - Spojrzał na mnie ze zdumieniem. - Czemu to zrobił? Dlaczego pozbył się krzyżyka?

- Wampir musiał go zahipnotyzować - wyjaśniłam. - Owładnął nim. Chłopak nie panował nad sobą.

- Gdyby jego wiara była silniejsza, nie poddałby się - powiedział Quinlan.

- To nie była wina pańskiego syna.

Quinlan pokręcił głową.

- Nie był dość silny.

Odwróciłam się od niego. Spojrzałam tym samym na St. Johna.

Wciąż trzymał żonę w ramionach i tulił do siebie, kołysał ją delikatnie. Wzrok miał mętny. Wydawał się nieobecny. Niewidzący. Był teraz gdzieś indziej. Zamknął się w sobie. Ukrył się w jakimś innym miejscu. Miałam nadzieję, że w lepszym.

Ruszyłam w stronę drzwi. Nie musiałam tego oglądać. Patrzenie, jak St. John kołysze i tuli do siebie ciało żony, nie należało do moich zawodowych obowiązków. Naprawdę.

Usiadłam na schodach, skąd mogłam widzieć drzwi, korytarz i schody aż do podestu. St. John zaczął nucić dziwnym, łamiącym się głosem. Dopiero po chwili zorientowałam się, co śpiewał. To było You are so beautiful Wstałam i ruszyłam w kierunku wyjścia. Larry i Wallace właśnie dotarli przed ganek.

Pokręciłam głową i minawszy ich, zeszłam po schodach. Dopiero przy podjeździe przestałam słyszeć śpiew St. Johna. Przystanęłam tam, zaczerpnęłam kilka głębokich oddechów i powoli wypuściłam powietrze. Skoncentrowałam się na moim oddechu, na szumie wiatru i rechocie żab. Skupiłam się na wszystkim, z wyjątkiem dźwięku rodzącego się w moim gardle. Stałam tam w ciemnościach, na podjeździe i choć wiedziałam, że to niebezpieczne, było mi to obojętne. Stałam tam dopóty, dopóki nie upewniłam się, że nie zacznę krzyczeć. Następnie obróciłam się na pięcie i

wróciłam do domu Quinlanów.

To była najodważniejsza rzecz, jaką uczyniłam tej nocy.

Detektyw Freemont usiadła na jednym końcu kapy Ouinlanów, a ja przycupnęłam na drugim. Nie mogłyśmy usiąść już dalej od siebie nawzajem. Tylko duma powstrzymywała mnie przed przystawieniem dla siebie krzesła. Nie ugięłam się pod ciężarem jej spojrzenia gliny. Siedzenie na swoim końcu kanapy kosztowało mnie wiele wysiłku. Mówiła cicho, wyraźnie intonując każde słowo, jakby obawiała się, że nie kontrolując głosu, mogłaby zacząć krzyczeć.

- Dlaczego nie skontaktowałaś się ze mną i nie powiedziałaś, że miało miejsce drugie wampirze morderstwo?

- Szeryf St. John powiadomił policję stanową. Sądziłam, że ciebie również poinformuje, Freemont.

- A jednak tego nie zrobił.

Spojrzałam w jej lodowate oczy.

- Znajdowałaś się o dwadzieścia minut jazdy, z jednostką techników badających potencjalne zabójstwo wampira. Dlaczego nie wezwano cię na miejsce drugiej wampirzej zbrodni?

Freemont zaczęła wodzić wzrokiem na boki, po czym przeniosła spojrzenie na mnie. Lód w jej oczach zaczął się roztopiać. Trudno było ją przejrzeć, ale wydawała się niespokojna. Niepewna. Może nawet przerażona.

- Nie powiedziałaś im, że to było zabójstwo dokonane przez wampira, prawda?

Spuściła wzrok.

- Cholera, Freemont, wiem, że nie chcesz, żeby federalni podebrali ci tę sprawę, ale zatajanie informacji przed własnymi ludźmi... Mogę się założyć, że twoim przełożonym to się nie spodobało.

- To moja sprawa.

- Świetnie. Jeśli masz jakieś plany, to tym lepiej dla ciebie, ale dlaczego wkurzasz się na mnie?

Wzięła głęboki, drżący oddech i wypuściła powietrze jak biegacz usiłujący wykrzesać z siebie więcej sił.

- Skąd pewność, że wampir użył miecza?

- Widziałaś ciało - powiedziałam.

Skinęła głową.

- Wampir mógł rozerwać szyje ofiarom.
- Widziałam ten miecz, Freemont.
- Koroner albo potwierdzi twoją wersję, albo nie.
- Dlaczego nie chcesz, aby to były wampiry?

Uśmiechnęła się.

- Sądziłam, że udało mi się rozwikłać tę sprawę. Myślałam, że dziś rano aresztuję sprawcę. Nie brałam pod uwagę, że to mogła być robota wampira.

Spojrzałam na nią. Nie uśmiechałam się.

- Skoro nie wampiry, to kto?

- Fairie.

Patrzyłam na nią przez jedno uderzenie serca.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Twój szef, sierżant Storr, zadzwonił do mnie. Powiedział mi, czego dowiedziałaś się o Magnusie Bouvierze. Nie ma alibi na czas, kiedy popełniono te zbrodnie i nawet ty sądzisz, że on mógł to zrobić.

- To, że mógł, nie oznacza, że to zrobił - odparowałam.

Freemont wzruszyła ramionami.

- Uciekł, gdy próbowaliśmy go przesłuchać. Niewinni nie uciekają.

- Co to znaczy uciekł? Jak mógł uciec, skoro go przesłuchiowaliście?

Freemont usiadła wygodniej na kanapie, splatając ręce tak mocno, że na jej palcach pojawiły się białe plamki.

- Użył magii, aby omamić nasze umysły i uciekł.

- Jakiego rodzaju magii?

Freemont pokręciła głową.

- Co mam powiedzieć, specjalistko od spraw nadnaturalnych? Siedzieliśmy w jego barze we czwórkę jak idioci, podczas gdy on spokojnie wyszedł. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy wstał od stołu.

Spojrzała na mnie z powagą. Jej oczy znów stały się chłodne i pozbawione wyrazu. Można na kogoś patrzeć takim wzrokiem cały dzień i ten ktoś nie zdoła przejrzeć twoich sekretów.

- Wyglądał jak człowiek, Blake. Jak zwykły, normalny facet. Nie zorientowałabym się, że coś jest z nim nie tak. Skąd miałam wiedzieć, że nie jest istotą ludzką?

Już miałam coś powiedzieć, ale zmitygowałam się. Nie byłam pewna, jak odpowiedzieć na pytanie.

- Próbował użyć wobec mnie glamour, ale wiedziałam, co się dzieje.

- Co to jest glamour i skąd wiedziałaś, że usiłował rzucić na ciebie urok?

- Glamour to nie całkiem urok - odparłam.

Nie cierpię wyjaśniać spraw nadnaturalnych ludziom, którzy nie mają o nich zielonego pojęcia. To tak, jakby ekspert próbował wytłumaczyć mi zagadnienia fizyki kwantowej. Wiedziałam mniej więcej, o co w tym chodzi, ale nie jak to wszystko funkcjonuje. Rzecz jasna nieznanostwo zasad fizyki kwantowej nie mogła mnie zabić. A nieznanostwo zachowań istot nadnaturalnych mogła doprowadzić do śmierci Freemont.

- Nie jestem idiotką, Blake. Wyjaśnij mi to.

- Nie uważam, że jesteś idiotką detektyw Freemont. Tyle że trudno to wytłumaczyć. Któregoś razu jechałam w St. Louis z dwoma mundurowymi. Jechaliśmy z miejsca zbrodni. Gliniarz za kierownicą zauważył nagle faceta idącego chodnikiem. Zatrzymał wóz i kazał facetowi oprzeć ręce na masce auta. Facet miał przy sobie spluwę i był poszukiwany w innym stanie za napad z bronią w rękę. Zauważyłabym broń, gdybyśmy byli w jednym pokoju, ale na pewno nie z jadącego samochodu. Po prostu bym tego nie dostrzegła. Nawet jego partner spytał go, jak on to zrobił. Jak wypatrzył tego faceta. Co zwróciło jego uwagę. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale wiedział, że powinien to zrobić. Musiał to zrobić. Tak po prostu. I wiedział, jak tego dokonać.

- Kwestia wprawy? - spytała Freemont.

Westchnęłam.

- Poniekąd, ale, u licha, ja na co dzień zajmuję się ożywianiem zmarłych. Mam nadnaturalne zdolności. To daje mi pewną przewagę.

- Jak, do diabła, mamy postępować z tymi stworami? Gdyby Bouvier miał broń, wystrzelałby nas jak kaczki, a my nawet nie kiwnęlibyśmy palcem. Ocknęliśmy się, a jego już nie było. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- Są rzeczy, które chronią przed glamourem faire - odparłam.

- Jakie?

- Czterolistna koniczyna przełamie moc glamouru, ale nie powstrzyma fairie, gdyby zechciał zabić cię gołymi rękami. Są jeszcze inne rośliny, które można nosić, a które niweczą moc uroków: dziurawiec zwyczajny, werbena czerwona, stokrotka, jarzębina, jesion. Ja postawiłabym na maść z czterolistnej koniczyny albo dziurawca. Należy posmarować nią powieki, uszy, usta i dłonie. To powinno stanowić skuteczną ochronę przed glamourem.

- Gdzie można to dostać?

Zamyśliłam się przez chwilę.

- Cóż, w St. Louis znam takie miejsca. Tu powinnaś spróbować w sklepach ze zdrową żywnością i salonach okultystycznych. Maść przeciwko urokom fairie będzie ci raczej trudno dostać, ponieważ w tym kraju fairie w zasadzie nie występują. Maść z czterolistnej koniczyny jest bardzo droga i rzadka. Spróbuj zapytać o dziurawca.

Westchnęła.

- Czy maść ochroni mnie przed mentalnym wpływem innych istot, na przykład wampirów?

- Nie - odparłam. - Na wampiry to nie działa.

- A co na nie działa?

- Krzyżyk, modlitwa, unikanie kontaktu wzrokowego. Krwiopijcy potrafią robić rzeczy, przy których Magnus wydałby ci się amatorem.

Potarła powieki, rozcierając cienie kciukami. Nagle wydała mi się zmęczona.

- Jak możemy chronić ludzi przed czymś takim?

- Nie możemy - odparłam.

- Ale musimy. Na tym polega nasza praca.

Nie wiedziałam, co mam na to odpowiedzieć i nawet nie próbowałam.

- Sądzisz, że to robota Magnusa, bo uciekł i nic ma alibi?

- W przeciwnym razie po co miałby uciekać?

- Nie wiem - odparłam. - Ale on tego nie zrobił. Widziałam to coś w lesie. To nie był Magnus. Właściwie do tej pory tylko słyszałam o wampirach kształtujących się z cieni. Nigdy dotąd ich nie widziałam.

Spojrzała na mnie.

- Nigdy ich dotąd nie widziałaś. To niezbyt pocieszające.

- Nie o to mi chodziło. Ale jako że to nie Magnus, możesz zrezygnować z wystawienia listu gończego za nim.

Pokręciła głową.

- Użył magii przeciwko funkcjonariuszom policji, popełniając przestępstwo.

- Jakie przestępstwo popełnił?

- Uciekł.

- Ale przecież nie został aresztowany.

- Miałam nakaz jego aresztowania.

- Nie miałaś dość zarzutów, aby zdobyć nakaz - zauważyłam.

- Wystarczy znać sędziego.

- On nie zabił tych dzieciaków. Ani Coltraina.

- Sama nam go wskazałaś.

- To było tylko przypuszczenie. Przy pięciorgu zabitych nie mogę sobie pozwolić na pomyłkę.

Wstała.

- Dobrze, niech będzie. To robota wampirów, a ja nie mam pojęcia, dlaczego Magnus Bouvier zapragnął nagle dać nogę. Mimo to użycie magii przeciwko funkcjonariuszom policji jest przestępstwem.

- Nawet jeżeli nie był winny zbrodni, o którą próbowałaś go oskarżyć? - spytałam.

- Użycie magii w zbrodniczych celach jest poważnym przestępstwem. Mamy nakaz aresztowania Mngiuisa Bouviera. Proszę o tym pamiętać, gdyby go pani spotkała, panno Blake.

- Wiem, że Magnus nie jest niewiniątkiem, detektyw Freemont. Nie wiem, dlaczego on uciekł, jeśli jednak rozpowszechni pani informację, że użył magii wobec glin, ktoś może go zastrzelić.

- On jest niebezpieczny, panno Blake.

- Jak wielu ludzi, pani detektyw. Ale nikt ich nie ściga, ani nie aresztuje tylko na podstawie domniemania.

Skinęła głową.

- Wszyscy mamy swoje uprzedzenia, panno Blake. I przez to od czasu do czasu popełniamy błędy. W tym przypadku wiemy przynajmniej, z czym mamy do czynienia. Znamy sprawcę.

- Tak - powiedziałam. - Znamy sprawcę.

- Czy wie pani, kiedy zostało zabrane ciało dziewczyny? - spytała. Wyjęła notes z kieszeni, kurtki. Rzeczowa kobieta.

Pokręciłam głową.

- Nie. Już go nie było, kiedy tu przyszedłam.

- Co panią skłoniło, by ponownie obejrzeć ciało?

Spojrzałam na nią. Jej oczy były łagodne i nieprzeniknione.

- Zadały sobie wiele trudu, by uczynić ją jedną z nich. Uznałam, że mogą spróbować ją zabrać. I tak się stało.

- Ojciec twierdzi, że poprosił panią o zakołkowanie jej ciała, zanim udała się pani w pościg za wampirami. Czy to prawda?

Głos miała teraz łagodny, rzeczowy. Uważnie słuchała moich odpowiedzi. Nie robiła tylu notatek co Dolph. Po prostu chciała zająć czymś ręce. W końcu miałam okazję ujrzeć Freemont przy pracy. Chyba była w tym dobra. To mnie trochę uspokoiło.

- Tak, to prawda.

- Dlaczego nie spełniła pani życzenia rodziców?

- Miałam kiedyś taki przypadek. Ojciec, wdowiec. Jego jedyna córka została ukąszona. Zażyczył sobie, abym ją zakołkowałam. Zrobiłam to jeszcze tej samej nocy. Następnego ranka zjawił się z płaczem w moim biurze, błagając, abym to odwróciła. Chciał, abym przywróciła ją do życia jako wampirzycę. Odchyliłam się na kanapie do tyłu i skrzyżowałam ramiona. - Jeśli przebijesz kołkiem serce młodego wampira, umrze on ostateczną śmiercią.

- Sądziłam, że aby mieć pewność, trzeba jeszcze obciąć mu głowę.

- Owszem - przyznałam. - Gdybym zakołkowałam córkę Quinlanów, wycięłabym jej serce i odrąbała głowę. - Pokręciłam głową. - Niewiele by pozostało.

Zapisała coś w notesie. Nie zauważyłam, co.

- Mogłam się założyć, że ot tak, po prostu sobie bazgrała.

- Teraz rozumiem, dlaczego postanowiła pani czekać, ale Quinlanowie grożą, że podadzą panią do sądu.

- Tak, wiem.

Freemont uniosła brwi.

- Pomyślałam, że może będzie pani chciała wiedzieć.

- Dzięki.

- Nie znaleźliśmy jeszcze ciała chłopca.

- Wątpię, abyście je znaleźli - odparłam.

Jej oczy nie wydawały się już łagodne. Przymrużyła podejrzliwie powieki.

- Jak to?

- Gdyby chcieli go zabić, zrobiliby to tu, tej nocy. Chyba chcą go przemienić.

- Po co?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Zwykle jednak, jeśli jakiś wampir zaczyna przejawiać zainteresowanie konkretną rodziną, istnieje po temu konkretny powód.

- To znaczy motyw?

Skinęłam głową.

- Weźmy Quinlanów. To gorliwi katolicy. Kościół postrzega wampiryzm jako formę samobójstwa. Ich dzieci, jeśli staną się wampirami, będą po wsze czasy potępione.

- To gorsze niż zwyczajne zabicie ich - wtrąciła.

- Dla Quinlanów chyba tak.

- Czy wampiry mogą wrócić po rodziców?

Zamyśliłam się przez chwilę.

- Nie wiem. Przed zalegalizowaniem wampiryzmu miało miejsce kilka przypadków, kiedy mistrz wybijał całe rodziny. Niekiedy najpierw się z nimi zaprzyjaźniał. Kiedy indziej chodziło o zemstę. Jednak od czasu legalizacji nie przypominam sobie, aby wydarzyło się coś takiego. Wampir mógłby ich po prostu podać do sądu. Czym aż tak bardzo mogli zawinić Quinlanowie, aby zasłużyć sobie na taki los?

Drzwi otworzyły się. Freemont odwróciła się z pochmurną miną. W progu stali dwaj mężczyźni. Obaj mieli czarne garnitury, ciemne krawaty i białe koszule. Standardowy model federalny. Jeden był biały i niski, drugi czarny i wysoki. Już samo to powinno ich odróżniać, a jednak wydawali się

identyczni, jak wytłoczeni spod tej samej sztancy.

Niższy pokazał nam legitymację.

- Agent specjalny Bradford, a to agent Elwood. Która z pań to detektyw Freemont?

Freemont podeszła do nich z wyciągniętą ręką. Pokazywała, że jest nieuzbrojona i ma przyjazne zamiary. Taa, jasne.

- Jestem detektyw Freemont, a to Anita Blake.

Ucieszyło mnie, że załapałam się na oficjalne powitanie. Wstałam i dołączyłam do pozostałych. Agent Bradford długo mi się przyglądał. Dostatecznie długo, aby mnie zdenerwować.

- Coś nie tak, agencie Bradford?

Pokręcił głową.

- Uczęszczałem na wykłady sierżanta Storra w Quantico. Po tym, co o pani mówił, sądziłem, że jest pani wyższa. - Mówiąc to, uśmiechnął się na poły przyjaźnie, na poły protekcyjnie.

Miałam ochotę się odciąć, ale z federalnymi lepiej nie zaczynać. Tak czy owak przegrałabym.

- Przykro mi, że pana rozczarowałam.

- Rozmawialiśmy już z funkcjonariuszem Wallace'em. Z jego opowieści także można było wyobrazić sobie panią jako kogoś bardziej postawnego. Wzruszyłam ramionami.

- Trudniej byłoby opisać mnie jako niższą, niż jestem.

Uśmiechnął się.

- Chcielibyśmy pomówić z detektyw Freemont na osobności, panno Blake. Proszę się jednak zbytnio nie oddalać, chcielibyśmy uzyskać oświadczenie od pani i jej asystenta, pana Kirklanda.

- Oczywiście.

- Osobiście spisałam zeznania panny Blake - powiedziała Freemont. - Chyba nie będziecie musieli tego powtarzać, panowie.

Bradford spojrzał na nią.

- My o tym zadecydujemy.

- Gdyby panna Blake wezwała mnie, kiedy była tylko jedna ofiara, nie mielibyśmy dziś dwóch zabitych policjantów i jednego cywila.

Spojrzałam na nią. Freemont chciała się z tego wywinąć moim kosztem. W porządku.

- Nie zapominajmy o zaginionym chłopcu - wtrąciłam. Wszyscy spojrzeli na mnie. - Szukamy winnych, świetnie, kozioł ofiarny zawsze się znajdzie. Gdyby wcześniej mnie pani nie splawiła na pewno bym panią powiadomiła, a tak wezwałam policję stanową. Gdyby opowiedziała pani przełożonym wszystko, co usłyszała ode mnie, połączyliby obie sprawy, a w efekcie i tak trafiłaby pani tutaj.

- Miałam dość ludzi, aby zabezpieczyć dom i osoby cywilne - odparowała Freemont. - Nie mówiąc już o chronieniu życia niewinnych.

Skinęłam głową.

- Zapewne. Ale przyjechałaby pani tutaj i znów wykopała mnie w try miga. A potem poszłaby pani z St. Johnem i jego ludźmi w ciemną noc, by zapolować na pięć wampirów, w tym jednego bardzo starego, mając za jedyne doświadczenie przejrzenie parę zdjęć ofiar wampirów. Krwiopijcy wyróżniliby was w pień, ale może, powtarzam, może Beth St. John nadal by żyła. I Jeff Quinlan może też byłby teraz w domu.

Spojrzałam na nią i patrzyłam, jak gniew znika z jej oczu. Patrzyłyśmy na siebie nawzajem.

- Obie spieprzyłyśmy sprawę, pani sierżant. - Odwróciłam się do agentów. - Zaczekam na zewnątrz.

- Chwileczkę - rzucił Bradford. - Storr mówił, że w takich przypadkach może niekiedy pomóc miejscowa wspólnota wampirów. Z kim mógłbym tutaj porozmawiać?

- Czemu mieliby ścigać jednego ze swoich? - spytał agent Elwood.

- Ponieważ takie wypadki okrywają ich złą sławą, zwłaszcza teraz, po zamordowaniu córki senatora Brewstera. Wampiry mają dostatecznie złą prasę. Większości z nich podoba się, że są pełnoprawnymi obywatelami tego kraju. Cieszy je, że zabijanie wampirów jest traktowane jak morderstwo.

- Wobec tego z kim powinienem porozmawiać? Spytał Bradford.

Westchnęłam.

- Nie wiem. Nie jestem stąd. Nie znam tutejszych wampirów.

- A jak mógłbym dowiedzieć się, z kim należy pomówić?

- Chyba mogłabym panu w tym pomóc.

- Jak?

Pokręciłam głową.

- Znam kogoś, kto może znać konkretne imię. Nie, żebym próbowała to przed wami ukrywać, ale

wiele potworów nie chce mieć do czynienia z policją. Jeszcze nie tak dawno policjanci strzelali do nich przy byle okazji.

- Czy to znaczy, że wampiry będą rozmawiać z panią, a z nami nie? - spytał Elwood.

- Mniej więcej.

- To bez sensu. Jest pani egzekutorką. Pani zadaniem jest likwidowanie ich. Dlaczego miałyby wierzyć pani, a nie nam? - spytał.

Nie wiedziałam, jak mam to wyjaśnić i nie byłam pewna czy tego chcę.

- Ożywiam także zombi, agencie Elwood. Chyba na swój sposób wampiry także widzą we mnie potwora.

- Mimo iż jest pani dla nich odpowiednikiem krzesła elektrycznego?

- Mimo to. - To nielogiczne.

Wybuchnęłam śmiechem, nie mogłam się powstrzymać.

- Boże, czy w czymkolwiek, co wydarzyło się w tej nocy, można by doszukać się jakiejś logiki?

Elwood uśmiechnął się pod nosem. Spośród nich miał mniej doświadczenia. Chyba nie wpojono mu jeszcze, że agenci FBI nie powinni się uśmiechać.

- Chyba nie próbowałyby pani zataić informacji przed FBI, prawda, panno Blake? - spytał Bradford.

- Jeśli uda mi się znaleźć miejscowego wampira, który zechce z wami porozmawiać, podam wam jego imię.

Bradford spojrzał na mnie.

- A może poda nam pani imiona wszystkich miejscowych wampirów, których pani pozna? Proszę się nie martwić o to, czy zechcą z nami mówić, czy nie.

Patrzyłam na niego przez chwilę i skłamałam:

- Jasne. - Jeśli liczyłam na pomoc ze strony potworów, nie mogłam oddać ich wszystkich glinom. Tylko kilku wybranych.

Sprawa miała wrażenie, jakby nie całkiem mi wierzył, ale nie chciał zarzucić mi kłamstwa prosto w oczy.

- Gdy dowiemy się, które wampiry są odpowiedzialne za to, co się stało, wezwiemy panią, aby je uśmierciła.

To było więcej, niż zamierzała uczynić Freemont. Ta noc nabierała coraz lepszych perspektyw.

- Proszę tylko wysłać mi sygnał na pager.

- Teraz chcielibyśmy porozmawiać z sierżant Freeman panno Blake.

Odprawiono mnie. No i dobrze. Podał mi rękę. Uścisnęłam ją. Potem pożegnałam się z agentem Elwoodem. Wszyscy się uśmiechnęli.

Wyszłam.

Larry czekał w holu. Na mój widok wstał ze schodów.

- Co teraz?

- Muszę zadzwonić.

- Do kogo?

Od strony kuchni nadeszło jeszcze dwóch facetów, którym brakowało jedynie wytatuowanego na czołach napisu „Agent federalny”.

Pokręciłam głową i wyszłam na zewnątrz. Noc była chłodna i wietrzna. Wokoło roilo się od glin. W życiu nie widziałam tylu federalnych. Ale cóż, pierwszy wampirzy seryjny zabójca to sensacja na skalę krajową. Każdy chciał uszczknąć coś dla siebie. Gdy tak patrzyłam na ludzi kręcących się po starannie przystrzyżonym trawniku, nagle zatęskniłam za domem. Miałam chęć spakować się i wrócić do St. Louis. Było jeszcze wczesnie. Noc była jeszcze młoda. Mimo to miałam wrażenie, jakby upłynęły całe wieki, odkąd opuściliśmy cmentarzysko. Do diabła, mam jeszcze dość czasu, by wrócić i zerknąć na cmentarz Stirlinga przed świtem.

Wsiadłam do dżipa, którego wypożyczył nam Bayard. Zamierzałam skorzystać ze znajdującego się tam poręcznego telefonu.

Larry osunął się na fotel pasażera.

- To prywatna rozmowa.

- Daj spokój, Anito.

- Wsiadaj, Larry.

- Mam wysiąść i pójść w ciemną noc, gdzie czyhają wampiry. - Zamrugał wielkimi, niebieskimi oczami.

- Roi się tu od glin. Nic ci się nie stanie. Jesteś bezpieczny. Wynocha.

Wysiadł, mamrocząc pod nosem. Niech sobie mamrocze. Larry chciał być łowcą wampirów,

jego wola, ale to nie oznacza, że musiał tak jak ja zadawać się z potworami. Starłam się chronić go przed tym jak tylko umiałam najlepiej. To nie było proste, ale uznałam, że gra jest warta świeczki.

Okłamałam agentów FBI. Miałam z wampirami dobre układy, ale nie dlatego, że zajmowałam się ożywaniem zombi. Wynikało to z faktu, że miał na miał na mnie chętkę sam Mistrz Miasta St. Louis. Był we mnie zakochany, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Znałam jego numer na pamięć, co już samo w sobie było złym znakiem.

- Grzeszne Rozkosze, tu spełniają się wasze najmroczniejsze fantazje. Mówi Robert. W czym mogę pomóc?

Pięknie, Robert, jeden z wampirów, których szczerze nie znosiłam.

- Cześć, Robercie, mówi Anita. Muszę pilnie pomówić z Jean - Claude'em.

Zawahał się, po czym powiedział:

- Przełączę cię do jego gabinetu. To nowy system, więc gdybym cię przez przypadek rozłączył, zadzwoń ponownie.

W słuchawce coś szcęknęło, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Chwila ciszy i na linii rozległ się głos. O Jean - Claudzie można powiedzieć wiele złego, ale sprzęt ma niezły.

- Dobry wieczór, *ma petite*. - To wszystko, co powiedział, ale ja odniosłam wrażenie, jakby wewnątrz mojej czaszki pieściła przez tych parę chwil delikatna, miękka skóra.

- Jestem w pobliżu Branson. Muszę się skontaktować z miejscowym Mistrzem Miasta.

- Żadnego „dobry wieczór, Jean - Claude, co u ciebie słychać?” Od razu do rzeczy. To doprawdy nieuprzejme, *ma petite*.

- Posłuchaj, nie mam teraz czasu na twoje gierki. Szaleją tu jakieś wampiry. Porwały chłopaka. Chcę go znaleźć, zanim go przemienią.

- Ile lat ma chłopiec?

- Szesnaście.

- W minionych wiekach szesnastolatka nie uważano już za dziecko.

- Obecnie istnieją inne kryteria wiekowe określające pełnoletność.

- Czy poszedł z nimi z własnej woli?

- Nie.

- Wiesz to na pewno czy po prostu powiedziano ci, że został uprowadzony?

- Rozmawiałam z nim wcześniej. Nie poszedłby z nimi z własnej woli.

Jean - Claude westchnął. Ten dźwięk prześlizgnął się po mojej skórze jak chłodne palce.

- Czego ode mnie chcesz, *ma petite*!

- Chcę porozmawiać z lokalnym Mistrzem Miasta. Muszę poznać jego imię. Zakładam, że wiesz kto jest tutejszym mistrzem?

- Oczywiście, ale to nie takie proste.

- Mamy tylko trzy noce, aby go ocalić, i znacznie mniej, jeśli miał być dla nich jedynie przekąską.

- Mistrz nie zechce z tobą mówić bez przewodnika, który cię wprowadzi.

- To przyślij mi kogoś.

- Kogo? Roberta? Williego? Żaden z nich nie jest dość potężny, by móc pełnić rolę twojej straży przybocznej.

- Jeśli chodzi ci o to, że nie są w stanie mnie obronić, nie przejmuj się. Obronię się sama.

- Wiem, że potrafisz o siebie zadbać, *ma petite*. Dałaś mi to jasno do zrozumienia. Ale nie wyglądasz dostatecznie groźnie. Musiałabyś zastrzelić jednego czy dwóch, aby nauczyć ich moresu. Gdyby tak się stało, nawet jeśli wyszłabyś z tego z życiem, i tak nie uzyskałabyś pomocy z ich strony.

- Chcę, aby ten chłopak wrócił cały i zdrowy do domu. Może ty mógłbyś mi pomóc, Jean - Claude.

- *Ma petite...*

Ujrzałam w myślach brązowe oczy Jeffa Quinlana. Jego pokój z tapetą z kowbojami.

- Pomóż mi, Jean - Claude.

Milczał przez chwilę.

- Tylko ja jestem na tyle potężny, by zostać twoją strażą przyboczną. Czy chcesz, abym rzucił wszystko i przyjechał do ciebie?

Tym razem to ja zamilkłam. Sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Wyglądało na to, że jeśli się zgodzę, będę mieć wobec Jean - Claude'a spory dług. Bądź co bądź wyświadczał mi przysługę. Nie chciałam mieć wobec niego zobowiązań. Ale jakoś sobie z tym poradzę. Będę mogła z tym żyć. A Jeff Quinlan mógł nie przeżyć kilku kolejnych dni.

- Świetnie - odparłam.

- Chcesz, abym przyjechał i pomógł ci?

Zgrzytnęłam zębami i powiedziałam:

- Tak.

- Przylecę jutrzejszej nocy. jeszcze tej nocy.

- *Ma petite, ma petite*, co ja mam z tobą zrobić?

- Mówiłeś, że mi pomożesz.

- I pomogę, ale to wymaga czasu.

- Co wymaga czasu?

- Może powinnaś wyobrazić sobie, że Branson to obce państwo. Potencjalnie wrogi kraj, gdzie jestem zobowiązany uzyskać niezbędne gwarancje bezpieczeństwa. Są po temu odpowiednie procedury. Jeśli zjawię się z nienacka, może to zostać odebrane jako wypowiedzenie wojny.

- Nie mógłbyś zjawić się już dziś? - spytałam. - Ale zgodnie z procedurami, nie rozpętując przy tym wojny?

- Być może, gdybyś jednak zechciała poczekać do następnej nocy, *ma petite*, moglibyśmy w miarę bezpiecznie wkroczyć na tamtejsze terytorium.

- My potrafimy o siebie zadbać. Jeff Quinlan nie.

- Tak się on nazywa?

- Tak.

Wziął głęboki oddech i westchnął tak przeciągle, aż zadrżałam. Kazałabym mu przestać, ale to tylko go rozbawiło, więc tego nie zrobiłam.

- Przylecę jeszcze dzisiejszej nocy. Jak mam się z tobą skontaktować?

Podaliśmy mu numer hotelu, a potem z ciężkim sercem numer pagera.

- Zadzwoń, gdy już będę na miejscu.

- Ile ci zajmie lot?

- Myślisz, że przylecę tu o własnych siłach, jak ptak?

Nie spodobało mi się rozbawienie w jego głosie, ale odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

- Tak założyłam.

Zaśmiał się, a na moich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

- Och, *ma petite, ma petite*, jesteś nieoceniona.

To właśnie chciałam usłyszeć.

- No to jak tu dotrzesz?

Moim prywatnym odrzutowcem.

Oczywiście, miał prywatny odrzutowiec.

- Kiedy przylecisz?

- Najszybciej, jak to będzie możliwe, mój niecierpliwy kwiatuszku.

- Wolę *ma petite* niż kwiatuszku.

- Jak sobie życzysz, *ma petite*.

- Chcę zobaczyć się z Mistrzem Branson jeszcze tej nocy, przed świtem.

- Dałaś mi to jasno do zrozumienia. Postaram się, to załatwić.

- Nie tylko się postaraj, ale zrób to.

- Masz wyrzuty sumienia w związku z tym chłopcem. Dlaczego?

- Nie mam wyrzutów sumienia.

- W takim razie czujesz się za niego odpowiedzialna - poprawił.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Trafił w dziesiątkę.

- Chyba nie czytałeś w moich myślach?

- Nie, *ma petite*, domyśliłem się tego po twoim głosie i zniecierpliwieniu.

Nie podobało mi się to. Za dobrze mnie znał. Nie znosiłam tego.

- Tak, czuję się odpowiedzialna.

- Dlaczego?

- Bo ja tu dowodziłam.

- Czy uczyniłaś wszystko co w twojej mocy, aby zapewnić mu bezpieczeństwo?

- Zapieczętowałam wszystkie wejścia hostiami.

- A zatem ktoś ich wpuścił, tak?

- Okazało się, że w ścianie domu były drzwiczki dla psa, wyjście przez garaż. Gospodarze nie chcieli montować ich w drzwiach frontowych.

- Czy było wśród nich dziecko - wampir?

- Nie.

- Wobec tego, jak to zrobili?

Opisałam mu chudego jak szkielet wampira.

- To wyglądało prawie jak zmiana postaci. Potrafił tego dokonać w kilka sekund. Po przemianie mógłby w słabym świetle niemal uchodzić za człowieka. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego.

- Ja widziałem takie zdolności tylko raz - przyznał.

- Wiesz, kto to jest, prawda?

- Przyjadę do ciebie najszybciej, jak się da, *ma petite*.

- Nagle zmieniłeś ton, stałeś się bardzo poważny. Dlaczego?

Zaśmiał się, ale w tym dźwięku dało się wyczuć gorycz i żal. Odniosłam wrażenie, jakby moje usta wypełniły się tłuczonym szkłem. Słuchanie tego dźwięku bolało.

- Za dobrze mnie znasz, *ma petite*.

- Odpowiedz mi na pytanie.

- Czy chłopiec, którego zabrano, wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości?

- Tak, czemu pytasz?

Cisza, tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Żadnej odpowiedzi.

- Mów do mnie, Jean - Claude.

- Czy ostatnio w tej okolicy zaginęli jeszcze inni młodzi chłopcy?

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale nie pytałam.

- Zapytaj.

- W jakim wieku?

- Dwanaście - czternaście lat i starsi, o ile nie wyglądali na swój wiek.

- Jak Jeff Quinlan - powiedziałam.

- Obawiam się, że tak.

- Czy ten wampir robi coś więcej, niż tylko porywa dzieciaki?

- O co konkretnie pytasz, *ma petite*?

- Czy morduje dzieci, nie tylko się nimi pożywia, ale po prostu morduje?

- To znaczy?

Zawahałam się. Nie należy dyskutować z potworami o prowadzonych śledztwach.

- Wiem, że mi nie ufasz, *ma petite*, ale to ważne. Opowiedz mi o tych zabójstwach. Bardzo proszę.

Rzadko mówił proszę. Powiedziałam mu. Nie wdawałam się w szczegóły, ale jednak mu powiedziałam.

- Czy były molestowane?

- Molestowane - powtórzyłam.

- Dokładnie tak *ma petite*, molestowane. Są na to inne określenia, ale nie używa się ich wobec dzieci.

- Ach, tak - zachnęłam się. - Nie wiem, czy napastowano je seksualnie. Były w pełni ubrane.

- Są rzeczy, które można zrobić, nie zdejmując ubrania *ma petite*. Ale molestowanie, o którym mowa, powinno mieć miejsce na długo przed zabiciem ofiary. Mówię tu o regularnym, systematycznym molestowaniu przez okres wielu tygodni, a nawet miesięcy.

- Dowiem się, czy było napastowane. - I nagle coś mi przyszło do głowy. - Czy ten wampir robił to kiedykolwiek z dziewczyną?

- Mówiąc „to”, masz na myśli seks?

- Tak.

- Gdyby rozpaczliwie pragnął towarzystwa, wziąłby sobie bardzo młodą dziewczynę, nawet nie nastolatkę, ale tylko wówczas, gdyby nie znalazł dla siebie dogodniejszego obiektu.

Przełknęłam ślinę. Obiektu. Rozmawialiśmy o dzieciach jak o przedmiotach.

- Nie, ta dziewczyna wyglądała już jak kobieta. Nie była już małym dzieckiem.

- A zatem nie tknąłby jej. Nie z własnej woli. Co to znaczy - nie z własnej woli. Kto mógłby mu to nakazać?

- Jego mistrz mógłby zmusić go do tego i zrobiłby to gdyby dostatecznie mocno obawiał się swego mistrza. Choć mało jest osób, których mógłby lękać się na tyle, aby uczynić coś, co w swej naturze uważałby za odrażające.

- Znasz tego wampira. Kim on jest? Podaj mi jego imię.

- Gdy przybędę na miejsce, *ma petite*.

- Podaj mi tylko jego imię.

- Abyś mogła przekazać je policji?

- Na tym polega ich praca.

- Nie. Jeśli to osoba, o której myślę, to nie będzie to sprawa dla policji.

- A to dlaczego?

- Najkrócej mówiąc, on jest zbyt niebezpieczny i nazbyt osobliwy, aby można było ujawnić go przed ludźmi. Gdyby śmiertelnicy dowiedzieli się, że są wśród nas takie istoty, mogliby zwrócić się otwarcie przeciwko nam. Na pewno wiesz, że w senacie ostatnio zawrzało.

- Słyszałam o tym.

- W takim razie moja ostrożność nie powinna cię dziwić.

- Być może, jeśli jednak z powodu twojej ostrożności zginą ludzie, ustawa Brewstera może zostać przegłosowana. Nie pomyślałeś o tym?

- Ależ tak, *ma petite*. A teraz już się pożegnaj. Mam wiele spraw do załatwienia.

Przerwał połączenie.

Siedziałam jeszcze przez dłuższą chwilę, wpatrując się w aparat. Niech go szlag. Co miał na myśli, mówiąc „osobliwy”? Co potrafił ten wampir, czego nie umieli inni krwiopijcy? Na pewno był w stanie rozciągnąć swe ciało na tyle, by przecisnąć się przez drzwiczki dla psa. Houdini mógłby mu pewnie pozazdrościć, ale to jeszcze nie zbrodnia. Tyle że ja pamiętałam jego twarz. Była taka nieludzka. Nie przypominała nawet twarzy trupa. Wyglądała... inaczej. Po prostu inaczej. I pamiętałam tych kilka straconych sekund. To przydarzyło mi się już dwukrotnie. Ja, wielka zabójczym wampirów, byłam przez mgnienie oka bezradna jak pierwszy lepszy cywil. Gdy ma się do

czynienia z wampirami, mgnienie oka może decydować o życiu lub śmierci.

Widok takich istot może sprawić, że zaczniesz mówić o demonach. Tak też było z Quinlanem seniorem. Policja zignorowała go, a ja nie poparłam jego wersji wydarzeń. Quinlan nigdy nie spotkał w swoim życiu demona, w przeciwnym razie nie popełniłby takiego błędu. Gdy raz zetkniesz się z demonem, nigdy tego nie zapomnisz. Wolłam raczej zmierzyć się z tuzinem wampirów jednocześnie, niż stanąć oko w oko z demonem. Takim istotom niestraszne nawet srebrne kule.

Było po drugiej w nocy, kiedy wróciliśmy na cmentarz. Federalni przetrzymywali nas w nieskończoność, jakby nie wierzyli, że mówimy im całą prawdę. Coś podobnego. Nie znosiłam, gdy oskarżono mnie niesłusznie o zatajenie dowodów. Aż kusiło mnie, by skłamać, aby ich nie rozczarować. Chyba Freemont przedstawiła im mnie w niezbyt pochlebny sposób. To dla mnie nauczka. Na drugi raz będę wiedziała, jak powinnam się zachować. Tyle że wydawało mi się nie na miejscu wzajemne oskarżanie się, gdy krew Beth St. John nie zaschła jeszcze na dywanie.

Wiatr niosący z sobą zapowiedź ulewy ucichł zupełnie. Rozwiały się gęste chmury, które wisiały na niebie, kiedy bawiliśmy się w lesie w berka z wampirami. Na niebie wisiał srebrny księżyc. Pełnia była dwa dni temu. Odkąd spotykałam się z Richardem, zwracałam większą uwagę na fazy księżyca. Kto by pomyślał.

Księżyc lśnił jak wypolerowany. Roztaczał blask na tyle silny, że rzucał słabe cienie. Latarka nie była potrzebna, ale Raymond Stirling mimo to wziął ją ze sobą. To była wielka halogenowa latarka, która lśniła w jego dłoni jak miniaturowe słońce.

Patrzyłam, jak unosi ją w moim i Larry'ego kierunku. Warknęłam:

- Proszę na nas nie świecić. Nic byśmy nie widzieli w ciemnościach.

Może nie było to zbyt uprzejme, ale czułam się umęczona. To była długa noc.

Zatrzymał rękę w pół ruchu. Nie musiałam widzieć jego twarzy, aby wiedzieć, że to mu się nie podobało. Ludzie pokroju Raymonda są przyzwyczajeni do wydawania rozkazów, a nie podporządkowywania się im.

Zgasił latarkę. I bardzo dobrze. Zaczekał, aż dołączą do niego panna Harrison, Bayard i Beau. Tylko on jeden miał latarkę. Mogłam się założyć, że jego świta miała w głębokim poważaniu nocne widzenie i wołałaby mieć porządne światło.

Larry i ja wciąż mieliśmy na sobie kombinezony. Zaczynałam mieć już dość. Chciałam wrócić do hotelu i położyć się spać. Ale kiedy zjawi się Jean - Claude, i tak się nie wyśpię. W tej sytuacji mogłam przynajmniej trochę popracować. Poza tym Stirling był moim jedynym obecnie płacącym klientem. To fakt, otrzymuję zapłatę za likwidowanie wampirów, są to legalne egzekucje, ale to żadne pieniądze. Stirling finansował tę wyprawę. Chyba za taką kasę zasługiwał na odrobinę wysiłku z mojej strony.

- Długo na panią czekaliśmy, panno Blake.

- Przykro mi, że śmierć młodej dziewczyny pokrzyżowała pańskie plany na dziś, panie Stirling. Wejdzimy na górę?

- Współczuję bliskim jej straty, panno Blake i nie zgadzam się z sugestią, jakobym był

pozbawiony podstawowych ludzkich uczuć, co, jak mniemam pani suponowała.

Stał w księżycowej poświacie, wyprostowany i bardzo władczy. Panna Harrison i Bayard zblżyli się do niego, okazując swoje poparcie. Beau tylko stał z lekkim uśmieszkiem rozbawienia na ustach. Miał na sobie czarną pelerynę przeciwdeszczową. Wyglądał jak zjawa.

Spojrzałam na czyste, rozgwieżdżone niebo. Potem na Beau. Uśmiechnął się szeroko, błyskając zębami. Pokręciłam głową. Może ten facet był kiedyś skautem, przygotowanym na każdą sytuację i tak dalej.

- W porządku, cokolwiek pan powie. Miejmy to już za sobą.

Nie czekałam na nich. Po prostu ich wyminęłam i zaczęłam piąć się pod górę.

Idący obok Larry mruknął:

- Zachowujesz się arogancko i nieuprzejmie.

Spojrzałam na niego..

- To prawda.

- To nasz klient. Płaci ciężkie pieniądze, Anito.

- Nie musisz mnie strofować, dobra?

- Co się z tobą dzieje?

Przystanąłam.

- Nie mogę zapomnieć tej dziewczyny i chłopaka. Oto co się ze mną dzieje. Ciebie najwyraźniej to nie rusza?

- Owszem, rusza mnie, ale nie zamierzam z tego powodu wyżywać się na innych.

Wzięłam kilka głębokich oddechów. Musiałam się rozluźnić. Larry miał rację. Cholera.

- W porządku. Masz rację. Spróbuję być miłsza.

Stirling i jego świta podeszli do nas.

- Idzie pani, panno Blake?

Minął nas, sztywny jakby kij połknął.

Panna Harrison potknęła się. Gdyby Bayard jej nie złapał, wylądowałyby na tyłku. Wciąż nosiła szpilki. Może w jej firmie sekretarkom zabraniano noszenia tenisówek.

Beau szedł powoli, a poły czarnej peleryny trzepotały wokół jego długich nóg. Towarzyszący temu odgłos mlaskania działał mi na nerwy.

Dobra, może w tej chwili wszystko mnie denerwowało. Byłam rozdrażniona. Gdzieś tam był Jeff Quinlan. Teraz albo już nie żył, albo został po raz pierwszy ukąszony. To nie była moja wina. Kazałam jego ojcu umieścić hostię przy każdym z wejść. Nie omieszkałabym zabezpieczyć również drzwiczek dla psa, gdybym o nich wiedziała, ale przecież nie widziałam całego domu. Nawet mnie postawienie straży przy drzwiczkach dla psa trąciłoby ciężką paranoją. Ale zabezpieczyłabym je, a Beth St. John nadal by żyła.

Stało się. Nie mogłam przywrócić Beth St. John do życia, ale wciąż mogłam ocalić Jeffa. I zrobię to. Nie chciałam pomścić go, zabijając wampira, który go zamordował. Chciałam choć raz zdążyć na czas. Pragnęłam ocalić choć jedną osobę, pozostawiając zemstę komuś innemu. Czy Jeff był właśnie teraz molestowany? Czy stwór, którego widziałam w domu Quinlanów, nie tylko pił jego krew? Boże, miałam nadzieję, że nie. Byłam prawie pewna, że mogłam odwrócić efekt wampirzego ukąszenia, ale ze skutkami gwałtów mogło być gorzej. Często bywały one nieodwracalne. A jeśli znajdę go i okaże się, że stał się warzywem? Umysł ludzki w niektórych sytuacjach okazuje się wyjątkowo kruchy.

Wchodząc na górę, modliłam się. Modliłam się i poczułam, że odzyskuję spokój. Nie miałam żadnych wizji. Nie słyszałam anielskich chórów. A jednak ogarnął mnie niezwykle spokojny. Wzięłam głęboki oddech i coś twardego, nieustępliwego i paskudnego w moim sercu rozprysło się w drobny mak. Przyjęłam to za dobry omen, znak, że dotrę do Jeffa na czas. Ale jakaś częśćka mnie pozostała sceptyczna. Bóg nie zawsze kogoś ratuje. Często po prostu pozwala ci przeżyć poniesioną stratę. Chyba nie do końca ufałam Bogu. Nigdy w Niego nie wątpiłam, ale motywy Jego działań pozostawały dla mnie nieodgadnione. Widzenie jakby w zwierciadle, niejasno i cała reszta, sami wiecie. Chociaż raz chciałabym ujrzeć wszystko jasno i wyraźnie.

Blask księżycy niczym srebrna łuna spowił szczyt wzgórza. Nawet powietrze zdawało się świecić. Po zapowiedzi deszczu zostało tylko wspomnienie. Deszcz co prawda by się przydał, ale w głębi duszy cieszyłam się, że nie będę musiała brodzić po kostki w lepkim błocku. Tego byłoby już za wiele.

- To jak, panno Blake, może zaczniemy? - spytał Stirling.

Spojrzałam na niego.

- Tak.

Wzięłam głęboki oddech i stłumiłam w sobie chęć powiedzenia mu kilku przykrych słów. Larry miał racje. Stirling był denerwujący, ale to nie na niego się wkurzałam. Po prostu był pod ręką.

- Pan Kirkland i ja przespacerujemy się po cmentarzu. Pan musi jednak zostać tutaj. Inni ludzie kręcący się w pobliżu mogliby nas zdekoncentrować. - No i proszę, chyba zachowałam się dyplomatycznie.

- Skoro mieliśmy stać na uboczu jak widzowie, trzeba było nam to powiedzieć na dole. Nie musielibyśmy się tu wspinać.

Koniec z dyplomacją.

- Czy chciałby pan, abym kazała mu zostać na dole, skąd nie mógłby pan zobaczyć, co tutaj robimy?

Zamyślił się przez chwilę.

- Nie. Chyba nie.

- Czemu więc pan narzeka?

- Anito - syknął Larry.

Zignorowałam go.

- Panie Stirling, to była naprawdę ciężka noc. Nie mam ochoty na wymianę uprzejmości. Proszę pozwolić mi wykonywać moją pracę. Im szybciej się z tym uporam, tym szybciej wrócimy do domu. Czy wyrażam się jasno?

Szczerzość. Miałam nadzieję, że poskutkuje. Tylko to mi jeszcze pozostało.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- W porządku, panno Blake. Proszę robić swoje. Ale powiem pani jedno. Jest pani nadzwyczaj impertynencka. Oby efekty pani pracy były równie wymierne.

Już miałam coś powiedzieć, ale Larry dotknął mojego ramienia. Ścisnął je. Mocno, ale nie za mocno. Stłumiłam w sobie chęć posłania ciętej riposty i ruszyłam w stronę cmentarza. Larry pomaszerował za mną. Dzielny Larry.

- Co się dziś z tobą dzieje? - zapytał, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słyszalności Stirlinga i spółki.

- Już mówiłam.

- Nie - zaproponował - nie chodzi tylko o to morderstwo. Do diabła, widziałem cię, jak zabijasz ludzi i wcale tak się tym nie przejmowałaś. Co jest grane?

Zatrzymałam się i stałam tak przez dłuższą chwilę. Widział, jak zabijałam ludzi i niespecjalnie się tym później przejmowałam. Czy to prawda? Zamyśliłam się. Tak. To prawda. Jakie to cholernie smutne. Wiedziałam, co było nie tak. W ostatnich miesiącach widziałam zbyt wiele trupów. Zbyt wiele kiwi. Za dużo zabijania. Ja także zabijałam. Nie zawsze w świetle prawa. Poza tym chciałam teraz szukać Jeffa Quinlana. Nie mogłam nic zrobić aż do przybycia Jean - Claude'a. Naprawdę byłam uziemiona. Czułam jednak, że moja praca kłóciła się z robotą dla policji. Czy to zły znak? A

może dobry?

Napełniłam płuca chłodnym górskim powietrzem. Wypuściłam je bardzo wolno, koncentrując się na oddychaniu, wdech, wydech, wdech, wydech. Gdy odzyskałam spokój, spojrzałam na Larry'ego.

- Jestem dziś trochę rozdrażniona, Larry. Przejdzie mi.

- Czy gdybym powiedział „trochę rozdrażniona”, z nutką zdziwienia w głosie, wkurzyłabyś się?

Uśmiechnęłam się.

- Jasne, że tak.

- Od twojej rozmowy z Jean - Claude'em jesteś posępniejsza niż zwykle. Co się stało?

Spojrzałam na jego uśmiechnięte oblicze i w głębi duszy nie chciałam odpowiedzieć na to pytanie.

Był zaledwie o cztery lata starszy od Jeffa Quinlana. Wciąż wyglądał na licealistę.

- W porządku - rzuciłam i powiedziałam mu.

- Wampir - pedofil. Czy to nie jest wbrew zasadom?

- Jakim zasadom?

- Że możesz być tylko jednym potworem naraz.

- Mnie też to zdziwiło.

Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Słodki Jezu, Jeff Quinlan jest teraz z tym monstrem. - Spojrzał na mnie. Przez jego twarz przetoczył się wyraz całej zgrozy i bólu, jaki tylko mógł sobie wyobrazić. - Musimy coś zrobić, Anito. Musimy go ocalić.

Odwrócił się, jakby chciał zejść z góry.

Schwyciłam go za rękę.

- Nie możemy nic zrobić, dopóki nie zjawi się tu Jean - Claude.

- Nie możemy czekać beczynn timer.

- Nie będziemy czekać beczynn timer. Mamy swoją robotę. Trzeba ją wykonać.

- Ale jak możemy...

- W tej chwili nie możemy zrobić nic innego.

Larry patrzył na mnie przez chwilę, po czym skinął głową.

- W porządku, skoro ty możesz zachować spokój, to i ja także.

- Dobry chłopak.

- Dzięki. A teraz pokaż mi tę sprytną sztuczkę o której rozmawialiśmy. Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby ktoś monitorował zmarłych, uprzednio ich nie przywołując.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, czy Larry jest w stanie to zrobić. Ale gdybym powiedziała mu to prosto w oczy, mogłabym podkopać jego wiarę w siebie. Magia - o ile jest to właściwe określenie, - często karmi się wiarą w nasze własne możliwości i umiejętności. To ona podsyca ją bądź osłabia. Widziałam bardzo potężne osoby, które trawiły swe umiejętności, ponieważ zwątpiły w siebie.

- Zamierzam przejść się teraz po cmentarzu. - Próbowałam jakoś ubrać to w słowa. Jak wyjaśnić coś, czego sama do końca nie rozumiesz?

Zawsze miałam dobry kontakt ze zmarłymi. Nawet jako małe dziecko zawsze wiedziałam, czy dusza opuściła ciało. Pamiętam pogrzeb mojej stryjecznej babki Katerine. To po niej mam drugie imię. Była ulubioną ciotką mojego ojca. Przyszliśmy wcześniej, aby zobaczyć ciało i upewnić się, że wszystko jest już gotowe. Wyczułam jej duszę unoszącą się w powietrzu nad trumną. Uniosłam wzrok, licząc, że ją ujrzę, ale niczego nie dostrzegłam. Nigdy nie widziałam duszy. Wyczuwam je, ale ich nie widzę.

Teraz wiem, że dusza ciotki Katerine pozostała dłużej na tym świecie. Większość dusz odchodzi w ciągu trzech dni, jedne od razu, inne nie. Dusza mojej matki odeszła na długo przed pogrzebem. Nie czułam jej tam. Była tylko zamknięta trumna i okrywający ją kobierzec róż, jakby trumna mogła zmarznąć.

Bliskość matki wyczuwałam tylko w domu. Nie jej duszę, ale jakąś jej cząstkę, która nie odeszła od razu. Słyszałam jej kroki w korytarzu pod moimi drzwiami, jakby przychodziła, by pocałować mnie na dobranoc. Krążyła po domu przez wiele miesięcy i jej obecność przynosiła mi pocieszenie. Kiedy w końcu odeszła, byłam na to gotowa. Nigdy nie powiedziałam o tym ojcu. Miałam zaledwie osiem lat, wiedziałam, że on jej nie słyszał. - Może słyszał inne rzeczy. Nie wiem. Ja i ojciec nigdy nie rozmawialiśmy dużo o śmierci mamy. Zawsze wtedy płakał.

Widywałam duchy na długo przed tym, jak zaczęłam ożywiać zmarłych. To, co miałam zrobić, było rozwinięciem, a może kombinacją obu tych zdolności. Nic wiem. To trochę tak, jakbym próbowała wyjaśnić, że nad trumną ciotki Katerine unosi się dusza. Albo wiedziałaś, że ona tam jest, albo nie. Słowami nie da się tego opisać.

- Czy widzisz duchy?

- Teraz?

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową.

- Nie, tak w ogóle.

- No cóż, wiedziałem, że dom Calvinów nie był nawiedzony, niezależnie od tego, ile krążyło na jego temat upiornych opowieści. Ale w pobliżu miasta znajdowała się nieduża jaskinia i na pewno coś w niej było. Coś paskudnego.

- Duch?

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie próbowałem się tego dowiedzieć, ale nikt inny tego nie wyczuwał.

- Czy wiesz, kiedy dusza opuszcza ciało? Czy potrafisz to stwierdzić?

- Jasne - odparł. Równie dobrze mógłby stwierdzić: „Przecież każdy to potrafi, nie?”.

Uśmiechnęłam się.

- To dobrze. Biorę się do roboty. Nie wiem, co i czy w ogóle cokolwiek zobaczysz. Wiem, że Raymond będzie rozczarowany, ponieważ on nie ujrzy niczego, chyba że ma więcej uzdolnień, niż mi i wydaje.

- Co zamierzasz zrobić, Anito? W college'u nie mówili o „przechadzkach po cmentarzu”.

- To nie jest tak jak z magicznym zaklęciem, parę słów czy gestów i po sprawie. To nic z tych rzeczy. - Próbowałam ująć w słowa to co nieopisane. - To bardziej mentalna zdolność niż magia. Nie wiąże się z tym fizyczne działanie. Nie towarzyszą temu ruchy mięśni ani nawet procesy myślowe. Ja... po prostu to robię. Zaczniemy, a jeśli będę w stanie, poproszę cię do siebie albo robiąc to, spróbuję z tobą porozmawiać. W porządku?

Wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Wciąż nie kapuję, co właściwie zamierzasz zrobić, ale dobra, niech będzie. Zazwyczaj nie wiem, co się dzieje.

- Ale koniec końców zawsze jakoś sobie radzisz - dodałam.

Uśmiechnął się.

- Co racja, to racja, no nie?

- Fakt.

Stałam niemal dokładnie pośrodku połączy zrytej ziemi. Jeszcze niedawno obawiałam się tego,

co robiłam. Nie chodziło o to, że bałam się samej siebie i tego, co potrafię. Raczej obawiałam się, że w ogóle mogę to robić. Ludzie nie powinni być zdolni do czegoś takiego. Tyle że ostatnio przewartościowałam to wszystko, co czyni nas ludźmi i co sprawia, że uważamy innych za potwory. Kiedyś byłam bardzo pewna siebie i miałam sprecyzowane poglądy na wszystko. Teraz ta pewność uległa zachwianiu. Poza tym sporo trenowałam.

Rzecz jasna ćwiczyłam na pustych cmentarzach, gdzie prócz mnie nikogo innego nie było. No, były też owady, ale te akurat można pominąć. Tylko ludzie są w stanie mnie zdekoncentrować.

Nawet odwrócona do niego plecami czułam za sobą ciepło obecności Larry'ego. To mnie drażniło.

- Czy mógłbyś cofnąć się jeszcze bardziej?

- Jasne. Jak daleko?

Pokręciłam głową.

- Możliwie jak najdalej, ale tak, żebym mogła cię widzieć.

Uniósł brwi.

- Mam zaczekać z panem Stirlingiem?

- Jeżeli zniesiesz jego towarzystwo.

- Pewnie, że tak. Umiem bajerować klientów, nie tak jak ty.

Tu miał rację. Nawet się na niego nie obraziłam.

- Świetnie. Gdy cię zawołam, podejdź powoli. Nigdy jeszcze z nikim nie rozmawiałam, robiąc coś takiego.

- Cokolwiek powiesz. - Zaśmiał się nerwowo. - Nie mogę się doczekać, aby to zobaczyć. -

Nie skomentowałam jego słów i odwróciłam się. Kiedy obejrzałam się przez ramię, zobaczyłam, jak idzie w stronę pozostałych. Miałam nadzieję, że Larry nie będzie rozczarowany. Wciąż nie byłam pewna czy nawet on cokolwiek wyczuje. Odwróciłam się do nich tyłem. Ich widok z pewnością by mnie zdekoncentrował.

Wierzchołek góry został zryty do cna. Czułam się, jakbym znalazła się na krańcu świata, spoglądając poza jego krawędź. Wszystko skąpane było w srebrzystej księżycowej poświacie. Tu, na szczycie góry, było tak jasno, że samo powietrze zdawał! się roztaczać delikatną rozrzedzoną luminescencją. Czułam na twarzy lekki wietrzyk. Niósł ze sobą zapach zieleni i świeżości, zupełnie jak po deszczu.

Zamknęłam oczy, pozwalając, by wiatr muskał moją skórę i rozwiewał włosy. Słysząc było

tylko płynące z dołu brzęczenie owadów. Tu, na górze, byłam tylko ja, wiatr i umarli.

Nie mogłam powiedzieć Larry'emu, jak to się robi, bo sama nie byłam pewna. Gdyby chodziło o mięśnie, poruszyłabym nimi. Gdyby w grę wchodziła myśl, pomyślałabym ją. Jeżeli kluczem byłoby magiczne słowo, wypowiedziałabym je. Ale to nic z tych rzeczy. Czuję, jakby moja skóra się otwierała. Wszystkie zakończenia nerwowe omiata wiatr. Skóra lodowacieje. Zupełnie jakby ten zimny wiatr brał swój początek w moim ciele. Ale tak naprawdę to nie jest wiatr. Nie widać go. Ani nie czuje go nikt oprócz mnie. Ale on jest. Istnieje naprawdę.

Chłodne palce „wiatru” wysuwają się ze mnie we wszystkich kierunkach. Jestem w stanie przeszukiwać wszystkie groby w promieniu trzech - pięciu metrów. Gdy się przemieszczam, krąg przemieszcza się ze mną.

Uniosłam rękę i pomachałam. Nie odwróciłam się, by zobaczyć, czy Larry mnie widzi. Pozostawałam w samym środku mojego osobistego kręgu. Trwałam w nim, starając się nie rozpocząć sondowania zmarłych, dopóki Larry nie zbliży się do mnie. Logiczne wydawało się, że będzie mu to łatwiej zrozumieć, jeśli zobaczy przebieg całej operacji od samego początku.

Usłyszałam kroki na suchej ziemi. Wydawały się piekielnie głośne, jakbym słyszała chrzęst każdego ziarnka żwiru pod jego butami.

Zatrzymał się za mną.

- Jezu, a to co?

- Co takiego? - Mój głos wydawał się donośny i odległy zarazem.

- Wiatr, lodowaty wiatr.

Usłyszałam w jego głosie nutę niepokoju. To dobrze. Gdy parasz się magią, odrobina lęku nie zaszkodzi. W kłopoty pakujesz się zwykle, gdy poddajesz się rutynie i nabierasz nadmiernej pewności siebie.

- Podejdź bliżej, ale mnie nie dotykaj.

Co do ostatniego nie miałam pewności, ale wydawało mi się to rozsądne. Lepiej zachować ostrożność, niż potem żałować.

Podszedł powoli, wyciągając przed siebie rękę, jakby czuł podmuchy wiatru na skórze.

- Jezus, Maria, Józefie Święty! Anito, to wypływa z twojego ciała! Ten wiatr wypływa z wnętrza ciebie!

- Tak - odparłam.

Był przerażony. I tak też wyglądał.

- Gdybym stanęła obok Stirlinga, nic by nie poczuł. Żadne z nich.

Larry pokręcił głową.

- Jak mogliby nie wyczuć czegoś takiego? - Zawiesił dłoń nad moim ciałem, nie dotykając mnie jednak. - Im bliżej twojego ciała, tym wydaje się silniejszy i chłodniejszy.

- To ciekawe - stwierdziłam.

- I co teraz? - zapytał.

- Teraz sonduję zmarłych.

Rozpostarłam energetyczne prądy, jakbym rozczapierzała dłoń. Palce wiatru wniknęły w ziemię. Jakie to uczucie, kiedy przenikają przez zwartą ziemię i dotykają znajdujących się w niej umarłych? Nieludzkie. Zupełnie jakby niewidzialne palce wtapiały się w grunt w poszukiwaniu zmarłych. Tym razem nie musieliśmy szukać daleko. Ziemia była naruszona, a nieboszczycy spoczywali bardzo płytko.

Nigdy nie próbowałam tego w innych miejscach prócz zwykłych, zadbanych cmentarzy. Każdy grób i każde ciało są tam wyraźnie oddzielone. Wiatr opływał Larry'ego jak głaz spoczywający w strumieniu. Moc omiatała go falami. Żył i to nas dekoncentrowało. Ale sporo ćwiczyliśmy i mogliśmy go obejść.

Stałam na stercie kości. Znajdowała się pod ziemią niewidoczna. Próbowałam ją ominąć, ale w rezultacie weszłam na następną. Ziemia była usłana ciałami. Tkwiły jak pestki w arbuzie. Nie sposób ich było unikać.

Stałam na tratwie z kości pośród morza wyschniętej czerwonej ziemi. Wszędzie gdzie się zwróciłam, znajdowały się ciała, kawałki kości. Nie było ani splachetka wolnej przestrzeni. Żadnego wolnego miejsca. Stałam w bezruchu, usiłując się opanować i oszacować odbierane wrażenia.

Klatka piersiowa na lewo ode mnie należała do tej samej osoby, co kość udowa spoczywająca wiele metrów dalej. Wiatr popłynął przed siebie, dotykając kolejnych szczątków. Mogłabym złożyć szkielet kawałków jak wielkie puzzle. To znaczy zrobiłaby to moja moc, gdybym spróbowała ożywić tego nieboszczyka.

Ruszyłam dalej, następując na kolejne szczątki i wszędzie, gdzie przystanęłam, łączyłam rozsypane fragmenty ciał. Pozostały oddzielone, ale zapamiętywałam ich układ.

Larry szedł za mną. Przemieszczał się dość gładko pośród mocy, jak pływak zostawiający za sobą na wodzie ledwo dostrzegalny ślad. Duch pojawił się przede mną niczym błąd, tańczący płomyk. Ruszyłam w jego kierunku. Wił się, falując jak wąż, obserwując mnie, choć nie miał oczu. Niekiedy duchy pałają nienawiścią wobec żyjących. Tak było i tym razem. Wyczułam zazdrość. Gdybym jednak była związana przez sto lat albo i dłużej z jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi zakątkiem na ziemi, zapewne ja również miałabym do wszystkich wrogię nastawienie.

- Co to jest? - spytał Larry szeptem.

- A co widzisz?

- To chyba duch. Nigdy dotąd nie widziałem zmaterializowanej zjawy.

Wyciągnął rękę, jakby chciał go dotknąć.

Schwyciłam go za nadgarstek niemal w ostatniej chwili. Poczułam jego moc. Ożyła jak buchający płomień podsycony wiatrem, którego poddmuchy rozwiały mi włosy we wszystkie strony.

Krąg nagle się poszerzył, jak zmieniająca się ogniskowa aparatu. Zmarli przebudzili się za sprawą naszej połączonej mocy jak liżnięte ogniem polana. Nasza moc przetoczyła się po nich i ujawnili przed nami swoje sekrety. Pozostałości mięśni, zeschnięte i przyłączone do kości, ziejące czaszki, były tam wszystkie kawałki ciała. Wystarczyło je przywołać. Dwa kolejne duchy wyłoniły się z ziemi jak dym. Jak na tak stary i nieduży cmentarz, było tu sporo aktywnych duchów. Na dodatek wszystkie były złe, że zakłóciliśmy ich spokój.

Poziom wrogości był niezwykle.

Połączenie naszych mocy nie zdwoiło promieniu kręgu. Zwiększyło go czterokrotnie.

Najbliższy duch stał niczym biały słup ognia. Był silny, potężny. Prawdziwy duch na cmentarzu, gdzie od ponad dwustu lat nikogo nie pochowano.

Larry i ja patrzyliśmy na niego. Dopóki go nie dotykaliśmy, byliśmy bezpieczni. Do licha, byliśmy bezpieczni, nawet gdybyśmy go dotknęli. Duchy nie mogą wyrządzić ludziom fizycznej krzywdy. Mogą cię złapać, ale jeśli je zignorujesz, znikną. Jeśli będziesz zwracać na nie uwagę, będą uciążliwe. Istota, która wyrządza ci prawdziwą krzywdę, nie jest tak po prostu duchem. To demon, martwy czarownik, ale nie zwyczajny duch.

Patrząc na ten falujący kształt, nie byłam pewna, czy mam do czynienia ze zwyczajnym duchem. Duchy się zużywają. Znikają. Po pewnym czasie przestają się materializować i pozostają po nich tylko zimne miejsca, gdzie jeśli przez przypadek na takie natrafisz, ni stąd, ni zowąd przeszywają cię dreszcze albo dostajesz gęsiej skórki. Duchy nie są wieczne. Te wyglądały całkiem solidnie. Jak na duchy.

- Stać! - zawołał ktoś.

Larry i ja odwróciliśmy się w stronę, skąd dobiegł głos. Magnus Bouvier wspinał się po zboczu góry, z przeciwnej strony niż droga, którą tu przyszliśmy. Włosy opadały mu na twarz, przesłaniając wszystko oprócz oczu, skrzących się w blasku księżyca. Błyszczały w ciemnościach, odbijając światło, którego nie widziałam.

- Stać!

Machał rękami. Koszulę z długimi rękawami miał wyciągniętą na dzinsy. Dotarł do granicy

kręgu wichru i zamarł w bezruchu. Uniósł swoje ręce do góry, jakby próbował tego dotknąć. Dwoje ludzi jednej nocy umiejących wyczuwać moc.

Niezwykłe, ale całkiem fajne. Gdyby Magnus nie uciekał przed policją, moglibyśmy usiąść sobie i spokojnie o tym pogadać.

- Zabroniliśmy panu wchodzić na tę ziemię, panie Bouvier - wycedził Stirling.

Bouvier spojrział na niego, odwracając głowę powoli, jakby skupienie na wyczuwaniu mocy było dlań wyjątkowo trudne.

- Staraliśmy się zachowywać wobec pana w sposób kulturalny - ciągnął Stirling. - Przekroczył pan granicę. Nasza cierpliwość się wyczerpała. Beau.

Trzask przeładowywanej strzelby to bardzo charakterystyczny dźwięk. Odwróciłam się w tamtą stronę. W dłoni miałam pistolet. Nie pamiętam, kiedy go wyjęłam. Wycelowałam w Beau. Trzymał strzelbę oburącz, ale w nikogo nie celował. To go uratowało. Wiem, że gdyby mierzył w kogoś z nas, rozwalilibym go.

Wciąż widziałam dwie nakładające się na siebie rzeczywistości. Nadal czułam moc cmentarza. Był mój. Znałam spoczywające tam ciała. Znałam też duchy. Wiedziałam, gdzie leżą wszystkie szczątki. Mierzyłam do Beau, ale myślami wciąż sięgałam do tych rozwłóczonych kawałków ludzkich ciał.

Duchy nadal były widoczne. Moc je ożywiła, Jeszcze przez dłuższą chwilę kołysały się i falowały w powietrzu. W końcu jednak powrócą do ziemi. Istniał więcej niż jeden sposób ożywienia zmarłych choć żaden nie był trwały.

Nie mogłam oderwać wzroku od strzelby, aby zobaczyć, co robi Bouvier.

- Anito, proszę, nie ożywiaj zmarłych. - Jego zdumiewająco głęboki głos zawierał w sobie błagalną nutę.

Stłumiłam w sobie chęć spojrzenia na niego.

- Dlaczego nie miałabym tego zrobić, Magnusie?

- Wynoś się z mojej ziemi - warknął Stirling.

- To nie jest twoja ziemia.

- Wynoś się z mojej ziemi albo zostaniesz zastrzelony za wtargnięcie na teren prywatny.

Beau spojrział na mnie.

- Panie Stirling? - Starł się trzymać strzelbę luźno, wręcz nonszalancko, dając do zrozumienia, że nie ma złych zamiarów.

- Beau, pokaż mu, że nie żartujemy.
- Panie Stirling - powtórzył ponagląco.
- Rób to, za co ci płacę - warknął Stirling.

Beau zaczął powoli unosić strzelbę do ramienia, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Nie rób tego - powiedziałam. Wypuściłam powietrze, aby się wyciszyć. Nie było już nic oprócz pistoletu i tego, w co mierzyłam.

Beau opuścił strzelbę.

Nabrałam powietrza i powiedziałam:

- Połóż strzelbę na ziemi, ale już.
- Panno Blake, to nie jest pani sprawa - rzucił Stirling.
- Nie zastrzelisz nikogo za wtargnięcie na ten teren, przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Larry także wyciągnął pistolet. Nie celował do nikogo. I bardzo dobrze. Wycelowana broń ma tendencję do strzelania, o ile nie wiesz, co z nią robisz.

- Broń na ziemię, Beau. Nie poproszę po raz trzeci.

Położył strzelbę na ziemi.

- Ja ci płacę.
- Nie dość, abym dał się dla pana zabić.

Stirling warknął z rozdrażnieniem i postąpił na przód, jakby sam chciał podnieść strzelbę.

- Nie waż się jej dotknąć, Raymondzie. Zaręczam ci, że krwawisz tak jak wszyscy inni.

Odwrócił się do mnie.

- Nie mogę uwierzyć, że celuje pani do mnie z pistoletu na mojej własnej ziemi.

Nieznacznie opuściłam broń. Jeżeli trzymasz spluwę zbyt długo, ręce w końcu zaczynają ci się trząść.

- Nie do wiary, że ściągnął pan tu Beau ze strzelbą. Wiedział pan, że moje małe widowisko przyciągnie Bouviera. Wiedział pan o tym i zaplanował pan to. Ty wyrachowany sukinsynu.

- Panie Kirkland, czy pozwoli pan jej, aby zwracała się do mnie w ten sposób? Jestem waszym klientem.

Larry pokręcił głową.

- W tym przypadku zgadzam się z Anitą, panie Stirling. Zamierzał pan zwabić tego człowieka w pułapkę, a potem zamordować go z zimną krwią. Dlaczego?

- Dobre pytanie - zauważyłam. - Dlaczego tak się pan boi rodziny Bouvierów? A może tylko jego jednego?

- Nie boję się nikogo. Chodźmy, zostawimy was sam na sam z waszym nowym przyjacielem.

Oddalił się, panna Harrison i Bayard ruszyli za nim. Beau wahał się przez chwilę.

- Przyniosę ci strzelbę - zapewniłam.

Skinął głową.

- Tak też myślałem.

- I mam nadzieję, że nie będziesz czekał na nas na dole z drugą spluwą.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Na nas oboje. Pokręcił głową.

- Wracam do domu, do żony.

- Zrób to, Beau.

Odszedł, czarna peleryna trzepotała wokół jego nóg. Przystanął na moment i dorzucił:

- Mam dość. Rzucam tę robotę. Na co komu forsa, jeśli jest się trupem. Po śmierci jej nie wydam.

Wiedziałam, że wampiry miałyby w tej kwestii inne zdanie, ale powiedziałam tylko:

- Miło mi to słyszeć.

- Po prostu nie chcę zarobić kulki - odparł i ruszył wolno w dół zbocza.

Stałam tam z browningiem wycelowanym w górę. Odwróciłam się powoli, lustrując wierzchołek góry. Zostaliśmy tam tylko we troje. Czemu więc nie schowałam pistoletu?

Magnus postąpił jeszcze krok w naszą stronę i zatrzymał się. Uniósł szczupłe dłonie w stronę przesyconego energią powietrza. Przesuwał po nim koniuszkami palców jak po powierzchni wody. Poczułam jego dotyk jak delikatne muśnięcia na skórze, drżenie przenikające moją magię.

Nie, jeszcze nie zamierzałam schować broni.

- Co to było? - spytał Larry. On także wciąż miał w ręku pistolet wymierzony w ziemię.

Bouvier spojrział na Larry'ego.

- On nie jest nekromantą, Anito, ale jest czymś więcej, niż się wydaje.

- Tak jak my wszyscy - odparłam. - Dlaczego nie chcesz, abym ożywiła tych zmarłych, Magnusie?

Patrzył na mnie. W jego oczach połyskiwały świetlne refleksy, ale odbijały one coś, czego nie było.

- Odpowiedz, Magnusie.

- Albo co? - zapytał. - Zastrzelisz mnie?

- Może - odparłam.

Stojąc na zboczu, był niższy ode mnie, tak więc patrzyłam na niego z góry.

- Nie sądziłem, że jesteś w stanie ożywić tak starych umarłych bez złożenia ofiary z człowieka. Myślałem, że zgarniesz od Stirlinga forszę, spróbujesz raz, drugi, a gdy ci się nie uda, wrócisz do domu. - Zrobił krok naprzód, sięgając dłońmi przed siebie, jakby sprawdzał granicę mocy. Jakby nie był pewien, czy zdoła wejść w jej obręb. Jego dotyk spowodował, że Larry jęknął. - Z tą mocą mogłabyś ożywić kilku z nich, może nawet dostatecznie wielu.

- Dostatecznie wielu do czego? - spytałam.

- Anito, Larry, nie możecie ożywić zmarłych z tej góry. Nie wolno wam.

- Podaj choć jeden przekonujący powód - parowałam.

Uśmiechnął się do mnie.

- Przypuszczam, że moja uprzejma prośba nie wystarczy?

- Raczej nie.

- To byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby podziałał na ciebie glamour. - Zrobił jeszcze jeden krok pod górę. - Rzecz jasna gdyby glamour podziałał nie byłoby nas tutaj, prawda?

Skoro nie odpowiedział na jedno pytanie, spróbowałam innego.

- Dlaczego uciekłeś glinom?

Postąpił kolejny krok w moją stronę, a ja cofnęłam się. Nie wykonał żadnego groźnego gestu, ale w jego postawie było coś wrogiego, coś obcego. Obrazy w jego oczach sprawiały, że chciałam obejrzeć się za siebie, by ujrzeć, co się w nich odbijało. Nieomal widziałam drzewa, wodę... To trochę jak z rzeczami, które widzi się kątem oka, tyle że te byty kolorowe.

- Wyjawiaś policji mój sekret. Dlaczego?

- Musiałam.

- Naprawdę sądzisz, że zrobiłem tym chłopcom te straszne rzeczy?

Z kolejnym krokiem wszedł w obręb mocy, ale nie wpłynął weń równie gładko jak Larry. Magnus był niczym góra, olbrzymi, zmusił moc, aby go opłynęła, jak gdyby w magiczny sposób wypełniał więcej miejsca, niż było to widać gołym okiem.

Wymierzyłam browninga w jego tors.

- Nie, nie sądzę.

- Wobec tego czemu we mnie celujesz?

- Po kiego cały ten szajs z magią fairie?

Uśmiechnął się.

- Tej nocy wielokrotnie użyłem glamouru. Jestem jak na haju.

- Sycisz się swoimi klientami - stwierdziłam. - Nie chodzi tylko o biznes. Ty ich odsączasz. To wskazuje na pieprzony dwór unseelie.

Wzruszył ramionami.

- Jestem, czym jestem.

- Skąd wiedziałeś, że ofiarami byli chłopcy? - spytałam.

Larry stanął po mojej lewej stronie, nadal kierując pistolet ku dołowi. Nieraz go złajałam, że zbyt szybko wymierzył w kogoś broń.

- Gliny tak mówiły.

- Kłamiesz.

Uśmiechnął się do mnie.

- Jeden z nich mnie dotknął. Widziałem to wszystko.

- Wygodne - przyznałam.

Wyciągnął do mnie rękę.

- Nawet o tym nie myśl.

Larry wycelował w Magnusa.

- Co się dzieje, Anito?

- Nie jestem pewna.

- Nie mogę wam pozwolić, abyście ożywili tych zmarłych. Przykro mi.

- Jak zamierzasz nas powstrzymać? - spytałam.

Spojrzał na mnie i poczułam, że coś napiera na moją magię, jakby coś ogromnego przepłynęło gdzieś w mroku, niewidoczne.

Jęknęłam.

- Nie ruszaj się albo naciśnę spust.

- Nawet nie drgnąłem - odparł półgłosem.

- Żadnych gierek, Magnusie; nie wiesz nawet jak niewiele dzieli cię od śmierci.

- Co on zrobił? - spytał Larry. Jego dłonie leciutko drżały.

- Później - odparłam. - Złóż dłonie na czubku głowy, Magnusie, tylko powoli, bardzo powoli.

- Zamierzasz oddać mnie glinom?

- Tak - odparłam. - Ja przynajmniej dostarczę cię do aresztu żywego. Większość glin, jak sądzę, rąbnęłaby cię bez mrugnięcia okiem.

- Chyba jednak nic z tego.

Dwoje ludzi mierzyło do niego z pistoletu, a on wciąż wydawał się niewiarygodnie pewny siebie. Albo był głupi, albo wiedział coś, o czym ja nie wiedziałam. Głupi raczej nie był.

- Mów, kiedy mam strzelać - rzucił Larry.

- Kiedy ja strzelę, ty też wał.

- Dobra - mruknął Larry.

Magnus przyglądał się nam z uwagą.

- Moglibyście zastrzelić mnie za taką drobnostkę?

- Bez wahania - odparłam. - A teraz połóż ręce na głowie.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Ja nie blefuję, Magnusie.

- Czy w magazynku masz srebrne kule?

Patrzyłam na niego. Czułam, że Larry obok mnie poruszył się nerwowo. Nie można celować do kogoś w nieskończoność. Prędzej czy później zaczniesz odczuwać zmęczenie albo rozdrażnienie.

- Założę się, że są srebrne. Srebro nie działa na fairie.

- Najlepsze jest żelazo - odparłam. - Pamiętam.

- Nawet zwykłe, ołowiane naboje byłyby lepsze niż srebrne. Księżycowy metal jest sprzymierzeńcem fairie.

- Ręce, Magnusie, albo dowiemy się, jak ciało fairie reaguje na srebrne kule.

Powoli, z gracją, uniósł ręce do góry. Gdy jego dłonie znajdowały się na wysokości ramion, rzucił się do tyłu i runął w dół zbocza. Strzeliłam, ale on staczał się coraz niżej i jakimś cudem nie mogłam go dostrzec wyraźnie. Zupełnie jakby powietrze wokół niego rozmyło się.

Larry i ja staliśmy na szczycie zbocza, strzelając raz po raz, ale wątpiłam, aby którekolwiek z nas zdołało go trafić.

Poruszał się po stoku szybciej, niż mogłam się po nim spodziewać, bo trudno go było dostrzec nawet w blasku księżyca, aż zniknął w gęstych krzakach porastających zbocze w połowie jego wysokości.

- Proszę, powiedz, że on nie zniknął tak po prostu - jęknął Larry.

- On nie zniknął tak po prostu - zapewniłam.

- To co wobec tego zrobił?

- Skąd mam wiedzieć? Nie mówili o tym na wykładach o fairie. - Pokręciłam głową. - Wynośmy się stąd. Nie wiem, co się dzieje, ale niezależnie od wszystkiego, chyba straciliśmy naszego klienta.

- Myślisz, że każą nam się wynieść z hotelu?

- Nie wiem, Larry. Przekonajmy się.

Zabezpieczyłam pistolet, ale nie schowałam go do kabury. Bezpiecznika też bym nie zaciągnęła, ale obawiałam się, że schodząc ze stoku, nawet w świetle księżyca, mogłam się potknąć i tragedia gotowa.

- Chyba możesz już schować broń, Larry.

Nie zabezpieczył broni.

- Ty nie schowałaś.

- Ale zaciągnęłam bezpiecznik.

- Och. - Trochę się spłoszył, ale zabezpieczył broń i wsunął ją do kabury. - Sądzisz, że naprawdę by go zabili?

- Nie wiem. Może. Beau strzeliłby do niego, ale po tym, co stało się przed chwilą, sam widzisz, że nie wiadomo, czy to by coś dało.

- Dlaczego Stirling pragnie śmierci Magnusa.

- Nie wiem.

- Dlaczego Magnus uciekł policjantom?

- Nie wiem.

- Trochę się denerwuję, kiedy na wszystkie moje pytania odpowiadasz: „Nie wiem”.

- Ja też - przyznałam.

Obejrzałam się za siebie ostatni raz, zanim straciłam z oczu wierzchołek góry. Duchy falowały i lśniły jak płomyki świec, chłodne, białe ognie. Dowiedziałam się czegoś, o czym nie wiedziałam aż do teraz. Niektóre z tych ciał miały prawie trzysta lat. Sto lat więcej, niż mówił Stirling. Sto lat to sporo, w grę wchodzi ożywianie zmarłych. Dlaczego skłamał? Być może obawiał się, że odmówię. Może. Wśród ciał znajdowały się szczątki Indian. Były tu fragmenty biżuterii, kości zwierzęce, rzeczy nie mające europejskiego rodowodu. Indianie z tych okolic nie grzebali swoich zmarłych, a w każdym razie nie w zwyczajnych grobach. A to nie był kopiec.

Coś było na rzeczy, a ja nie miałam zielonego pojęcia co. Ale zamierzałam się tego dowiedzieć. Może jutro, kiedy wynajmiemy dla siebie nowe pokoje, oddamy pożyczonego dżipa, wynajmiemy nowe auto i powiadomimy Berta, że straciliśmy klienta. Może pozwolę, aby to Larry przekazał mu tę nowinę. W końcu od czego są stażyści?

Dobra, dobra, sama powiem o tym Bertowi, choć szczerze mówiąc, nie było mi do tego pilno.

Kiedy zeszedliśmy z góry, Stirlinga i spółki już nie było. Wróciliśmy dżipem do hotelu. Trochę się zdziwiłam, że nie zabrali nam dżipa, żebyśmy musieli iść pieszo. Stirling nie wyglądał na faceta, który lubi, kiedy celujesz do niego z pistoletu. Ale kto lubi?

Pokój Larry'ego znajdował się bliżej niż mój. Larry znieruchomiał, wsuwając kartę do zamka.

- Sądziś, że pokoje na tę noc mamy opłacone, czy raczej powinniśmy się spakować?

- Spakujmy się - rzuciłam.

Skinął głową i wsunął kartę do otworu. Klamka obróciła się i wszedł do środka. doszłam do sąsiednich drzwi i użyłam swojej karty. Pokoje miały w ścianie działowej drzwi przechodnie. Nie otworzyliśmy ich, ale były tam. Osobiście lubię odrobinę prywatności, nawet gdy jestem z przyjaciółmi. A już zwłaszcza gdy jestem ze współpracownikami.

W pokoju panowała cudowna cisza. Kilka minut spokoju, zanim porozmawiam z Bertem i powiem mu, że straciliśmy klienta.

Apartament, w którym mieszkałam, składał się z dużego pokoju i oddzielnej sypialni. Moje mieszkanie było niewiele większe. W ścianie po lewej znajdował się barek. Jako abstynentka nie miałam z niego dużego pożytku. Ściany były w łagodnym odcieniu różu, ozdobione delikatnym, złotym motywem liści, dywan w kolorze burgunda. Kanapa była fioletowa, w tak ciemnym odcieniu, że wydawała się prawie czarna. Dobrana kolorystycznie kozetka. Do tego dwa fotele w barwach burgunda i fioletu z białym kwiatowym wzorem. Drewno w całym pokoju było bardzo ciemne, wypolerowane na wysoki połysk. Sądziłam, że to apartament dla nowożeńców, dopóki nie zobaczyłam pokoju Larry'ego. Był niemal lustrzanym odbiciem mojego, ale w różnych odcieniach zieleni.

Pod ścianą naprzeciwko drzwi stało wyglądające na antyk biurko z wiśniowego drewna. Obok niego znajdowały się drzwi przechodnie, ale otwierały się w drugą stronę, aby nie uderzały o biurko. Na blacie leżała ozdobiona monogramami papeteria. Była tu też druga linia telefoniczna, zapewne umożliwiająca podłączenie modemu.

Nie wiem, czy kiedykolwiek mieszkałam w równie wytwornym pokoju. Szczerze wątpiłam, aby Beadle, Beadle, Stirling i Lowenstein zechcieli teraz uregulować rachunek za mój pobyt tutaj.

Odwróciłam się, usłyszawszy jakiś dźwięk. W mojej dłoni nagle zmaterializował się pistolet. Wycelowałam go w Jean - Claude'a. Stał w drzwiach prowadzących do sypialni. Miał na sobie koszulę z szerokimi rękawami i falbaniastymi mankietami, które sięgały niemal do jego szczupłych, długich palców. Kołnierzyk ze stójką opięty był białym fularem, którego koronki spływały białą falą na przód koszuli. Kamizelka, czarna i aksamitna, była wyszywana w drobne, srebrne wzorki. Sięgające do ud czarne buty leżały na nim jak druga skóra. Jego włosy wydawały się niemal tak czarne jak kamizelka; trudno było rozróżnić, gdzie się kończyły loki, a zaczynało ubranie. Srebrno -

onyksowa brosza, którą widziałam już wcześniej, była wpięta w białe koronki na jego piersi.

- Cóż to, *ma petite*, chcesz mnie zastrzelić?

Stałam tam, mierząc do niego z pistoletu. Nie poruszył się. Przezornie nie zrobił nic, co mogłabym uznać za podejrzany gest. Jego granatowe oczy wpatrywały się we mnie. Wydawał się pełen powagi, wyczekujący.

Wycelowałam browninga w sufit i wypuściłam powietrze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymywałam oddech.

- Jak, do diabła, się tutaj dostałeś?

Uśmiechnął się i odsunął od framugi. Wszedł do pokoju typowym dla siebie pełnym gracji krokiem. Poruszał się po trosze jak kot, po trosze jak tancerz, ale było w nim też coś nieludzkiego. Nie potrafiłam tego określić.

Schowałam broń, choć nie byłam pewna, czy tego chcę. Lepiej się czułam ze spluwą w garści. Sęk w tym, że pistolet niewiele by mi pomógł w konfrontacji z Jean - Claude'em. To znaczy mogłabym go zastrzelić, ale ostatnio nasze... układy trochę się skomplikowały. Spotykaliśmy się. Rozumiecie coś z tego? Bo ja nie bardzo.

- Recepcjonista mnie wpuścił. - Głos miał łagodny, pełen rozbawienia, choć trudno mi było stwierdzić, z czego się cieszył. Może to ja tak go rozbawiłam.

- A to dlaczego?

- Ponieważ go o to poprosiłem. - Krążył wokół mnie jak rekin osaczający ofiarę.

Nie odwracałam się razem z nim. Patrzyłam przed siebie, pozwalając, by mnie okrążał. Gdybym zaczęła się obracać, tylko bym go rozbawiła. Włoski na moim karku zjeżyły się. Postąpiłam krok naprzód i poczułam, że opuścił rękę. Zamierzał dotknąć mojego ramienia. Nie chciałam, aby mnie dotykał.

- Użyłeś wobec niego sztuczki mentalnej?

- Tak - odparł. W tym jednym słowie zawarło się coś więcej.

Odwróciłam się, by zobaczyć jego twarz.

Patrzył na moje nogi. Uniósł wzrok i tym jednym spojrzeniem otaksował mnie od stóp do głów. Jego oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj. Nie wiem, jakim cudem udało mi się wytrzymać jego spojrzenie. Zaczynałam podejrzewać, że bycie nekromantką ma więcej atutów niż tylko umiejętność ożywiania zombi.

- W czerwonym jest ci do twarzy, *ma petite*. - Jego głos stał się głębszy, łagodniejszy. Zbliżył się do mnie, ale nie próbował mnie dotknąć. Zbyt dobrze mnie znał, aczkolwiek jego spojrzenie

zdradzało, co chciałby robić teraz z rękami. - Bardzo mi się podoba. - Głos miał miękki, łagodny, ciepły i zmysłowy. - Masz piękne nogi.

Mówił teraz ciszej. Ten szept w ciemności muskał moje ciało jak ciepły dotyk. Jego głos zawsze miał tę właściwość. A poza tym był najmiłszym głosem, jaki zdarzyło mi się słyszeć.

- Przestań, Jean - Claude. Jestem za niska, aby mieć piękne nogi.

- Nie rozumiem tej współczesnej obsesji na punkcie wzrostu.

Przesunął dłońmi tuż przy moich nogach, tak blisko, że przez rajstopy poczułam na sobie jego ciepło.

- Przestań! - powiedziałam.

- Co mam przestać? - Głos miał delikatny, całkowicie niegroźny. No jasne.

Pokręciłam głową. Jean - Claude był niepoprawny. Domagać się od niego, aby zachowywał się przyzwoicie, to jak błagać deszcz, aby nie był mokry. Po co się w ogóle trudzić?

- W porządku, chcesz flirtować, nie ma sprawy, ale pamiętaj, że zjawileś się tu, by ocalić życie pewnemu chłopcu. Chłopcu, który być może jest właśnie gwałcony, podczas gdy my siedzimy tu sobie i marnujemy czas.

Westchnął głęboko i podszedł do mnie. Chyba musiał dostrzec coś na mojej twarzy, ponieważ usiadł na jednym z foteli, nie podchodząc już bliżej.

- Masz okropny nawyk, *ma petite*, odbierania mi wszelkiej radości z uwodzenia ciebie.

- Świetnie - mruknęłam. - To może przejdziemy wreszcie do rzeczy?

Uśmiechnął się promiennie.

- Umówiłem spotkanie z Mistrzem Branson na dzisiejszą noc.

- Tak po prostu - rzuciłam.

- Czy nie tego chciałaś? - zapytał. W jego głosie znów pojawiło się rozbawienie.

- Tak. Tylko nie przywykłam do tego, że dajesz mi dokładnie to, o co cię proszę.

- Dałbym ci wszystko, czego pragniesz, *ma petite*, gdybyś tylko mi na to pozwoliła.

- Pragnęłam, abyś zniknął z mojego życia. Tego życzenia jakoś nie chcesz spełnić.

Westchnął.

- Nie, *ma petite*. Nie chcę tego zrobić.

Nie powiedział nic więcej. Nie oskarżył mnie, że wolę być z Richardem niż z nim. Nie rzucił zawołanej pogroźki pod adresem Richarda. To było trochę dziwne.

- Coś kombinujesz - mruknęłam.

Odwrocił się. Miał rozszerzone oczy, długie palce przycisnął do piersi na wysokości serca.

- *Moi ?*

- Tak, ty - odparowałam.

Pokręciłam głową i zarzuciłam ten temat. Na pewno coś kombinował. Zbyt dobrze go znałam. Potrafiłam rozpoznać symptomy, ale znałam go na tyle, że wiedziałam, iż nie piśnie słówkiem na ten temat, dopóki nie będę gotowa. Nikt nie strzegł swych tajemnic jak Jean - Claude i nikt nie miał ich tak wielu jak on. Richard brzydził się kłamstwem. Dla Jean - Claude'a był to chleb powszedni.

- Zanim wyruszymy, muszę się przebrać i spakować.

- Chcesz przebrać swoją śliczną czerwoną spódniczkę? Dlaczego? Ponieważ mi się podoba?

- Nie tylko dlatego - odparłam - choć przyznaję, iż jest to jeden z powodów. Do spódnicy nie mogę nosić kabury wewnętrznej.

- Nie przeczę, że drugi pistolet może nam się bardzo przydać podczas pokazu siły jutrzejszej nocy.

Znieruchomiałam i odwróciłam się.

- Jutrzejszej nocy? Co to niby ma znaczyć?

Rozłożył szeroko ręce.

- Do świtu już niedaleko, *ma petite*. Przed wschodem słońca nie dotarlibyśmy nawet do kryjówki mistrza.

- Cholera - burknęłam.

- Zrobiłem, co do mnie należało, *ma petite*. Ale nawet ja nie potrafię odwlec wschodu słońca.

Stałam przy kozetce, zaciskając dłonie na oparciu aż do bólu. Pokręciłam głową.

- Może być za późno, żebyśmy zdołali go ocalić.

- *Ma petite, ma petite*. - Ukląkł przede mną, patrząc mi w oczy. - Dlaczego tak bardzo przejmujesz się losem tego chłopca? Czemu jego życie jest dla ciebie tak cenne?

Spojrzałam na doskonałe oblicze Jean - Claude'a. Nie potrafiłam odpowiedzieć.

- - Nie wiem.

Położył dłonie na moich.

- Robisz sobie krzywdę, *ma petite*. Wysunęłam dłonie spod jego rąk i splotłam ramiona na brzuchu. Jean - Claude wciąż klęczał. Był zbyt blisko mnie. Nagle uświadomiłam sobie, jak krótka jest moja spódniczka.

- Muszę się spakować - powiedziałam.

- Dlaczego? Nie podoba ci się ten pokój? Choć się nie poruszył, nagle odniosłam wrażenie, że się do mnie przybliżył. Czułam na sobie ciepło jego ciała, a może tylko mi się wydawało.

- Odsuń się - rzuciłam. Odchylił się do tyłu, kucając na piętach i zmuszając mnie, bym prześliznęła się obok. Rąbek spódnicy musnął jego policzek kiedy go mijałam. - Straszny z ciebie wrzód na tyłku.

- Miło, że zauważyłaś, *ma petite*. A teraz po wiedz, dlaczego chcesz opuścić ten cudowny pokój?

- Opłacał go mój klient, który nie jest już moim klientem.

- A to czemu, *ma petite*?

- Ponieważ postraszyłam go bronią.

Zdziwił się. I to szczerze. Maską opadła i spojrzał na mnie przedwiecznymi oczami. Oczami, które widziały wiele, a mimo to wciąż wprawiałam go w zdumienie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- On i jego ludzie zamierzali zastrzelić pewnego człowieka za bezprawne wejście na ich ziemię.

- Czy faktycznie wszedł tam bezprawnie?

- Teoretycznie tak.

Jean - Claude uważnie na mnie spojrzał.

- Czy twój klient nie miał prawa bronić swojej ziemi?

- Nie, a w każdym razie nie wolno mu było posunąć się do zabójstwa. Kawalek ziemi nie jest wart ludzkiego życia.

- Ochrona naszych ziem zawsze stanowiła ważny pretekst do dokonywania rzezi i mordów od zarania dziejów, *ma petite*. Czyżbyś niespodziewanie zmieniła zasady?

- Nie zamierzałam tam stać i patrzeć, jak banda oprychów zabija człowieka, który wszedł na ich teren. Poza tym to wszystko było ukartowane. Urządzili pułapkę.

- Pułapkę? To znaczy zwabili tam tego mężczyznę, aby go zabić?

- Tak.

- Czy miałaś swój udział w tym spisku?

- Można powiedzieć, że odegrałam rolę przynęty. Poczuł moją moc oddziałującą na zmarłych. Ta moc go przywołała.

- To ciekawe. Jak się nazywa ten człowiek? - Najpierw ty podaj mi imię tego tajemniczego wampira.

- Xavier.

- No proszę. Dlaczego nie chciałaś wcześniej podać mi jego imienia?

- Nie chciałam, abyś podała jego imię policji.

- A to dlaczego?

- Już to wyjaśniłem. A teraz powiedz mi imię mężczyzny, którego dziś ocaliłaś.

Spojrzałam na niego. Nie chciałam zdradzić mu tej informacji. Ale umowa to umowa.

- Bouvier, Magnus Bouvier.

- Nic mi to nie mówi.

- A powinno?

Tylko się do mnie uśmiechnął. To mogło oznaczać wszystko albo nic.

- Irytujący z ciebie sukinsyn.

- Ach, *ma petite*, jak mogę ci się oprzeć, skoro szepczesz mi takie czułe słówka?

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, na co on tylko uśmiechnął się szeroko. Przez chwilę widziałam jego błyszczące bielą kły.

Ktoś zapukał do drzwi. Pewnie kierownik hotelu, który zaraz każe mi się wynosić. Podeszłam do drzwi. Nie wyjrzałam przez judasza i zdziwiłam się, gdy zobaczyłam, kto stał na korytarzu. To był Lionel Bayard.

Czyżby zjawił się, aby wyrzucić nas osobiście?

Stałam tam, patrząc na niego. On odezwał się pierwszy, odchrząkując nerwowo.

- Panno Blake, czy możemy przez chwilę porozmawiać?

Zachowywał się niezwykle uprzejmie jak na kogoś, kto przyszedł, aby wyrzucić nas z hotelu.

- Zamieniam się w słuch, panie Bayard.

- Nie sądzę, aby korytarz był odpowiednim miejscem.

Odstąpiłam na bok, wpuszczając go do pokoju. Minął mnie i wygładził ręką krawat. Dostrzegł stojącego przy kozetce Jean - Claude'a. Jean - Claude uśmiechnął się do Bayarda. Przyjaźnie, czarująco.

- Nie wiedziałem, że ma pani towarzystwo, panno Blake. Przyjdę później.

Zamknęłam drzwi.

- Niech się pan nie przejmuj, panie Bayard. Właśnie opowiedziałam Jean - Claude'owi o naszym nieporozumieniu.

- Ach, tak... ee... - Bayard spoglądał to na mnie, to na mistrza, jakby nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

Jean - Claude usiadł w fotelu z kocią gracją.

- Anita i ja nie mamy przed sobą tajemnic, panie...

- Bayard. Lionel Bayard - podszedł i podał rękę Jean - Claude'owi. Jean - Claude uniósł brew, ale uściśnął mu dłoń.

Po tym geście powitania Bayard poczuł się jakby trochę lepiej. To był zwyczajny gest. Nie wiedział, czym jest Jean - Claude. Nie pojmowałam, jak mógł patrzeć na niego, myśląc, że to człowiek. Jak dotąd widziałam tylko jednego wampira, który mógł z powodzeniem udawać człowieka. Bayard znów odwrócił się do mnie, poprawiając okulary, choć to wcale nie było konieczne. Znów ten nerwowy gest. Coś było nie tak. Zamknęłam drzwi i oparłam się o futrynę, splatając ręce na brzuchu.

- Co jest grane, Bayard? - spytałam.

- Przyszedłem tu, aby wyrazić szczerą ubolewanie z powodu tego, co się wydarzyło dzisiejszej nocy.

Spojrzałam na niego.

- Chce mnie pan przeprosić?

- Tak. Pan Stirling zachował się zbyt popędliwie. Gdyby nie pani, z jej zdroworozsądkową postawą, mogłoby dojść do tragedii.

Staralam się zachować pokerową twarz. Chciałam posłać mu gniewne spojrzenie albo zrobić zakłopotaną minę.

- Stirling nie jest na mnie zły?

- Wręcz przeciwnie, panno Blake. Jest pani głęboko wdzięczny.

Nie wierzyłam w to.

- Doprawdy? - mruknęłam.

- O tak. Co więcej, zostałem upoważniony, aby zaproponować pani premię.

- Dlaczego?

- Aby zadośćuczynić za nasze zachowanie dzisiejszej nocy.

- Pańskie zachowanie było nienaganne - odparłam.

Uśmiechnął się skromnie. Jego zachowanie było równie szczere jak sztuczne perły, ale nawet nie w połowie tak realistyczne.

- Ile wynosi premia?

- Dwadzieścia tysięcy - odparł. W dalszym ciągu wpatrywałam się w niego oparta o futrynę.

- Nie.

Zamrugnął powiekami.

- Słucham?

- Nie chcę premii.

- Nie jestem upoważniony do podwyższenia tej sumy, ale może pani pomówić z panem Stirlingiem. Może zechce zaproponować pani wyższą stawkę.

Pokręciłam głową i odsunęłam się od drzwi.

- Nie chcę więcej pieniędzy. Nie chcę żadnych premii.

Chyba pani nie zrezygnuje, prawda? - Mrugał powiekami tak szybko, że obawiałam się, iż może zemdleć. Zdenerwował się na samą myśl, że mogę zrezygnować z realizacji zadania. I to bardzo.

- Nie, nie rezygnuję. Ale i tak płacicie mi za to, co mam zrobić, olbrzymią sumę. Nie chcę

więcej pieniędzy.

- Pan Stirling obawia się, że mógł panią urazić. Odpuściłam. To zbyt proste.

- Proszę powiedzieć panu Stirlingowi, że miałabym lepsze mniemanie o jego przeprosinach, gdy dokonał ich osobiście.

- Pan Stirling jest bardzo zajęty. Sam by się tu zjawił, ale ma obecnie wiele pilnych spraw.

Zastanawiałam się, jak często Bayard musiał przeproszać w imieniu swojego szefa. I jak często musiał to robić, bo jego szef kazał kogoś zastrzelić.

- W porządku, przekazał pan wiadomość. Proszę powiedzieć panu Stirlingowi, że nie tylko dzisiejsza niedoszła strzelanina mnie zdenerwowała. Tej nocy zbadalam cmentarz. Niektóre ze zwłok maja, nie dwieście, ale trzysta lat. Trzysta lat, Lionelu, to naprawdę dużo dla zombi.

- Czy może je pani ożywić?

Podszedł bliżej, wygładzając dłońmi klapy marynarki. Nieomal wkroczył w moją przestrzeń osobistą. Wolałabym raczej mieć przy obok siebie Jean - Claude'a.

- Może pytanie brzmi nie tyle, czy mogę, ale czy tego chcę, Lionelu.

- To znaczy?

- Okłamałeś mnie, Lionelu. Zaniżyłeś wiek zmarłych o prawie sto lat.

- Nie zrobiłem tego rozmyślnie, panno Blake, zapewniam panią. Powtórzyłem jedynie to, co mi powiedziano w naszym dziale badań. Nie chciałem celowo wprowadzić pani w błąd.

- Jasne.

Wyciągnął rękę, prawie jakby chciał mnie dotknąć. Cofnęłam się, ale tylko troszeczkę. Wydawał się piekielnie spięty. Opuścił rękę.

- Proszę, panno Blake. Nie okłamałem pani celowo.

- Kłopot w tym, że nie wiem, czy jestem w stanie ożywić tak starych umarłych bez złożenia ludzkiej ofiary. Nawet moja moc nie jest nieograniczona.

- Miło wiedzieć - wtrącił Jean - Claude.

Zmarszczyłam brwi, zerkając na niego. - Uśmiechnął się.

- Spróbuj pani, prawda, panno Blake?

- Może. Jeszcze nie podjęłam decyzji.

Pokręcił głową.

- Uczynimy wszystko, aby zadośćuczynić tej omyłce, panno Blake. Jest wyłącznie moją winą, że nie sprawdzono ponownie wyników naszych badań. Czy ja osobiście mógłbym coś zrobić aby odplacić za nadużycie pani dobrej woli?

- Po prostu proszę stąd wyjść. Jutro zadzwonię do pańskiego biura, by przedyskutować szczegóły. Mogę potrzebować dodatkowego... wyposażenia, niezbędnego przy ożywianiu zmarłych.

- Cokolwiek pani sobie zażyczy, Panno Blake.

- W porządku. Zadzwonię.

Otworzyłam drzwi i stanęłam przy nich. Uznałam, że ta aluzja w zupełności wystarczy. Wystarczyło. Bayard, zanim wyszedł, raz jeszcze gorąco mnie przeprosił.

- Ten mały człowieczek coś kombinuje - odezwał się Jean - Claude.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Nadal siedział w fotelu, wyraźnie czując się jak u siebie.

- Niepotrzebne mi wampirze moce, aby to stwierdzić.

- Mnie również - odparł.

Miękko podniósł się z fotela. Gdybym ja siedziała w fotelu w takiej pozycji jak on, byłabym potem cała zeszywniała.

- Muszę powiedzieć Larry'emu, że może przestać się pakować. Nie rozumiem, dlaczego nadal mamy zlecenie, aleje mamy.

- Czy ktoś inny byłby w stanie ożywić ten cmentarz?

- Nie bez ludzkiej ofiary, a kto wie, czy nawet gdyby ją złożono - odparłam.

- Oni ciebie potrzebują, *ma petite*. Sądząc po zaniepokojeniu tego małego człowieczka, bardzo im zależy na ożywieniu tych nieboszczyków.

- W grę wchodzi miliony dolarów.

- Myślę, że nie chodzi tylko o pieniądze - powiedział.

Pokręciłam głową.

- Ja też tak sądzę.

Podszedł i stanął obok mnie, przy drzwiach.

- Jakiego dodatkowego wyposażenia potrzebujesz, aby ożywić trzystuletnie zwłoki, *ma petite*!

Wzruszyłam ramionami.

- To wymaga większej śmierci. Początkowo sądziłam, że będę potrzebować jedynie kilku kóz.

Otworzyłam drzwi.

- A o czym myślisz teraz? Czego użyjesz?

- Nie wiem. Może słonia - odparłam.

Wyszliśmy na korytarz. Jean - Claude spojrzął na mnie.

- Żartowałam. Naprawdę. Poza tym słonie to zagrożony gatunek. Myślałam raczej o krowie.

Jean - Claude patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej powagi.

- Pamiętaj, *ma petite*. Potrafię wyczuć, kiedy kłamiesz.

- Co chcesz przez to powiedzieć.

- Mówiąc o słoniu, mówiłaś serio.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na niego. Cóż mogłam powiedzieć?

- No dobra, ale tylko przez chwilę. Nie zabiłabym słonia. Naprawdę.

- Wiem, *ma petite*.

Naprawdę nie brałam pod uwagę możliwości złożenia ofiary ze słonia. Tyle że by to największe zwierzę, jakie mi przyszło do głowy. A jeśli miałam podjąć próbę ożywienia kilku trzystuletnich nieboszczyków, będę potrzebować czegoś naprawdę dużego. Krowa raczej nie wystarczy. Nie byłam pewna, czy wystarczyłoby nawet stado krów. Jak na razie nie miałam żadnej rozsądnej alternatywy.

Ale słonia nie zabiję. Przysięgam. Poza tym wyobrażacie sobie poderżnięcie gardła słoniowi? Jak miałabym go przytrzymać, aby stał bez ruchu, gdy podetnę mu gardło? Nie, to nie wchodziło w rachubę. Zbyt kłopotliwe. Między innymi dlatego większość ofiar jest naszego rozmiaru albo mniejsza. Łatwiej jest je przytrzymać.

- Nie możemy zostawić Jeffa z tym potworem - powiedział Larry.

Stał pośrodku dywanu w kolebce leśnej zieleni. Jean - Claude usiadł w rogu zielonej, wzorzystej kanapy. Wydawał się rozbawiony jak kot, który natrafił na wyjątkowo ciekawą mysz.

- Nie zostawimy go - zapewniłam. - Ale tej nocy nie możemy udać się na jego poszukiwanie.

Odwrócił się i wskazał palcem na Jean - Claude'a.

- Dlaczego, bo on tak mówi?

Uśmiech Jean - Claude'a poszerzył się. Naprawdę był rozbawiony.

- Spójrz na zegarek, Larry. Do świtu już niedaleko. Wszystkie wampiry będą smacznie spać w swoich trumnach.

Larry pokręcił głową. Wyglądał teraz jak ja. Uparty, nieugięty, nieprzejednany. Nie chciał pogodzić się z tym, czego nie akceptował.

- Musimy coś zrobić, Anito.

- Nie możemy spotkać się i porozmawiać z wampirami za dnia, Larry. Tak już jest i nie zdołamy tego zmienić.

- A co będzie z Jeffem, podczas gdy będziemy czekać, aż zajdzie słońce?

Jego skóra była prawie biała. Piegi odcinały się na niej jak małe plamki z tuszu. Jasnoniebieskie oczy błyszczały gniewem. Nigdy jeszcze nie widziałam Larry'ego tak wściekłego. Prawdę mówiąc, w ogóle nie widziałam go zdenerwowanego.

Spojrzałam na Jean - Claude'a, a on na mnie. Byłam zdana na siebie. Jak zawsze zresztą.

- Xavier też będzie musiał spać. Nie zdoła skrzywdzić Jeffa aż do zachodu słońca.

Larry pokręcił głową.

- Czy zdążymy go ocalić?

Chciałam powiedzieć: „Jasne”, ale nie byłam w stanie skłamać.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że tak.

Na jego łagodnym zwykle obliczu pojawił się wyraz niezwyklej zawziętości. Spojrzałam na niego i zrozumiałam, dlaczego tylu ludzi mnie nie docenia, Wyglądał zupełnie niegroźnie. I jeszcze do niedawna był niegroźny, ale teraz miał broń i uczył się, jak być niebezpiecznym. Na jego twarzy po raz pierwszy ujrzałam mroczny, posępny wyraz. Udając się na spotkanie z Mistrzem Branson, zamierzałam zostawić Larry'ego w hotelu. Kiedy jednak tak na niego patrzyłam, zaczęłam wątpić, czy pozwoliłby mi na to. dzisiejszej nocy po raz pierwszy brał udział w polowaniu na wampiry. Aż do teraz udawało mi się trzymać go z dala od prawdziwych niebezpieczeństw. Ale taki stan nie będzie trwać wiecznie. Miałam nadzieję, że porzuci myśli o polowaniu na wampiry. Kiedy wejrzałam w jego błyszczące oczy, zrozumiałam, że moje nadzieje były płonne. Na próżno oszukiwałam samą siebie. Na swój sposób Larry był równie uparty jak ja. To przerażające, ale prawdziwe. Ale tej nocy nic mu nie groziło.

- Nie mogłaś po prostu mnie pocieszyć? Powiedzieć, że go na pewno znajdziemy? - spytał Larry.

Uśmiechnęłam się.

- O ile tylko mogę, staram się cię nie okłamywać.

- Ten jeden raz - rzucił Larry - wolałbym, abyś skłamała.

- Przykro mi - powiedziałam.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Jego gniew minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Larry nie potrafił napawać się gniewem. Nie napędzał się nim. Nie dumał zbyt długo nad różnymi sprawami. To jedna z podstawowych różnic między nami. Ja nie mam w zwyczaju niczego nikomu wybaczać. To poważna wada, przyznaję, ale, do cholery, wszyscy je mamy.

Rozległo się pukanie do drzwi. Larry podszedł, aby otworzyć.

Nagle tuż przy mnie pojawił się Jean - Claude. Nie zauważyłam, kiedy się przemieścił. Nie usłyszałam szelestu podeszew skórzanych butów przesuwających się po dywanie. Zupełnie nic. Magia. Serce podeszło mi do gardła.

- Tupnij czasem, kiedy robisz coś takiego.

- Co robię, *ma petite!*

Spojrzałam na niego z ukosa.

- To nie była mentalna sztuczka, prawda?

- Nie - odparł. To jedno słowo prześlizgnęło się po mojej skórze jak podmuch wiosennego wiatru.

- Niech cię wszyscy diabli - mruknęłam ze złością.

Uśmiechnął się.

- Już to przerabialiśmy, *ma petite*. Jesteś zbyt wolna.

Larry zamknął drzwi.

- Na korytarzu jest jakiś facet. Mówi, że jest z Jean - Claude'em.

- Facet czy wampir? - spytałam.

Larry zmarszczył brwi.

- Nie wampir, ale czy człowiek, tego nie wiem na pewno.

- Spodziewasz się kogoś? - spytałam.

- Owszem.

- Kogo?

Podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce.

- Kogoś, kogo, jak sądzę, miałaś już okazję poznać.

Otworzył drzwi zamaszystym gestem, odchodząc na bok, abym miała lepszy widok.

W otwartych drzwiach stał uśmiechnięty i rozluźniony Jason. Był dokładnie mojego wzrostu co u mężczyzn należy raczej do rzadkości. Proste, jasne włosy zaledwie sięgały mu do ramion. Oczy miały barwę czystego, wiosennego nieba. Ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy, próbował mnie zjeść. Z wilkołakami tak niekiedy bywa.

Miał na sobie przyduży, czarny sweter sięgający do połowy ud. Musiał podwinąć rękawy powyżej nadgarstków. Nosił skórzane spodnie, sznurowane bokami od pasa do połowy łydki, gdzie wiązania znikają za cholewkami butów. Wiązanie było na tyle luźne, że pod spodem dostrzec można było jego nagie ciało.

- Cześć, Anito.

- Cześć, Jasonie. Co tutaj robisz?

Miał dość przyzwoitości, aby udąć zażenowanie.

- Jestem nowym pupilem Jean - Claude'a. Powiedział to, jakby nie było w tym nic złego. Richard nadałby tym słowom całkiem inny ton.

- Nie mówiłeś, że przybędziesz tu w towarzystwie - powiedziałam.

- Czeka nas wizyta u Mistrza Miasta. Musimy godnie się zaprezentować.

- A zatem wilkołak i... ja? Jako kto?

Westchnął.

- *Ma petite*, czy nosisz ślady moich ugryzień czy nie, większość uważa cię za moją ludzką służebnicę. - Uniósł dłoń do góry. - Proszę, Anito, wiem, że teoretycznie nie jesteś moją ludzką służebnicą, ale pomogłaś mi w obronie mojego terytorium. Zabijałaś, aby mnie chronić. To najlepsza definicja tego, co robi ludzki sługa.

- No i co dalej? Mam na czas tej wizyty udawać twoją służebnicę?

- Mniej więcej - odparł.

- Zapomnij.

- Anito, muszę urządzić tu mały pokaz siły. Branson było częścią terytorium Nikolaosa. Zrezygnowałem z niego, gdyż gęstość zaludnienia pozwalała na utrzymanie innej gromady. Ale to wciąż było moje terytorium, a teraz nim nie jest. Niektórzy utratę przeze mnie tych ziem postrzegają jako oznakę słabości i nie potrafią zrozumieć, że uczyniłem to ze względów czysto praktycznych.

- A zatem, chociaż nie noszę twoich śladów chcesz przymusić mnie, abym odegrała rolę twojej służki. Ty parszywy manipulatorze.

- To ty mnie tu ściągnęłaś, *ma petite*. - W jego słowach pojawiła się ciepła nuta. Podszedł do mnie. - Wyświadczam ci przysługę, nie zapominaj o tym.

- Wątpię, abys pozwolił mi zapomnieć - ucięłam.

Chrząknął gniewnie, jakby nie potrafił wyrazić swego oburzenia słowami.

- Czemu ja się w ogóle z tobą zadaję? Obrażasz mnie na każdym kroku. Inni byliby gotowi zaprzedać duszę, aby zdobyć to, co ci ofiaruję.

Stał tuż przede mną. Jego skóra była biała jak marmur, oczy lśniły jak ciemne szafiry. Skóra zdawała się błyszczeć, jakby gdzieś pod nią płonął dziwny blask. Wyglądał jak żywy posąg wykuty ze światła drogich kamieni i marmuru. To było imponujące i straszne, ale już to widziałam.

- Daj sobie spokój z tym wampirzym szajsem, Jean - Claude. Już prawie świta, nie masz ze sobą trumny, w której mógłbyś się schować?

Zaśmiał się, ale to nie był miły dźwięk, raczej gorzki, jak dotyk stalowej waty. Coś co ma drażnić, a nie dawać przyjemność.

- Nasz bagaż jeszcze nie dotarł, prawda, mój wilku?

- Nie, mistrzu - powiedział Jason. Twoja trumna jeszcze nie dotarła? - spytałam.

- Albo wybrałem bardzo kiepskiego przewoźnika, albo... - Nie dokończył, choć jego oblicze pozostało pogodne.

- Albo co? - naciskał Larry.

- *Ma petite*.

- Uważasz, że trumnę mógł zabrać tutejszy Mistrz - dokończyłam.

- Aby w ten sposób ukarać mnie za wejście na obce terytorium bez zachowania niezbędnych formalności. - Mówiąc to, przez cały czas patrzył na mnie.

- To chyba moja wina - przyznałam.

Wzruszył ramionami z rozdrażnieniem.

- Mogłem odmówić, *ma petite*.

- Przestań być taki kurtuazyjny. To do ciebie nie pasuje.

- Czy poczułabyś się lepiej, gdybym się rozgniewał? - spytał łagodnym tonem.

- Może - odparłam. Miałabym dzięki temu mniejsze wyrzuty sumienia, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Jasonie, pojedź na lotnisko i spróbuj odnaleźć nasze bagaże. Przynieś je do pokoju Anity.

- Chwileczkę. Nie możesz wprowadzić się do mojego pokoju.

- Już prawie świta, *ma petite*. Nie mam wyboru. Jutro wymyślimy lepsze rozwiązanie.

- Zaplanowałeś to sobie.

Zaśmiał się gorzko.

- Bywam podstępny, ale nie aż tak, *ma petite*. Gdy do świtu tak blisko, nie wybrałbym się w podróż, nie zabrawszy ze sobą trumny.

- A co teraz zrobisz bez niej? - spytał Larry. Wydawał się zaniepokojony.

Jean - Claude uśmiechnął się.

- Nie obawiaj się, Lawrence, jedyne czego mi potrzeba to ciemność, a raczej brak światła. Sama trumna nie jest konieczna, to jedynie pewniejsze zabezpieczenie.

- Nie wiedziałam, że wampiry wcale nie muszą, sypiać w trumnie - przyznałam.

- Jeśli znajduję się w bezpiecznym miejscu, głęboko pod ziemią nie korzystam z trumny. Choć szczerze mówiąc, gdy z nadejściem dnia zapadam w sen, staję się tak nieczuły, że mógłbym nawet zasnąć na desce nabijanej gwoździami.

Nie bardzo w to wierzyłam. Bardziej niż inne wampiry starał się udawać człowieka.

- Już wkrótce będziesz miała okazję potwierdzić prawdziwość moich słów, *ma petite*.

- I tego się właśnie obawiam - odparłam.

- Możesz spać na kanapie, o ile tylko zechcesz, ale szczerze powiadam ci, że z nadejściem dnia staję się całkowicie niegroźny albo bezbronny, jeśli wolisz. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym cię niepokoić.

- A co z innymi bajkami, w które miałam uwierzyć? Widziałam cię, jak chodzisz, chociaż słońce

już wstało, byłeś co prawda osłonięty przed światłem, ale jakoś funkcjonowałeś.

- Po około ośmiu godzinach snu, nawet jeśli wciąż jest jeszcze dzień, rzeczywiście mogę się poruszać, ale wątpię, abyś ty spędziła w łóżku bite osiem godzin. Masz klientów, śledztwo w sprawie zabójstwa i zapewne jeszcze całą masę innych spraw.

- Jeżeli zostawię cię samego, kto dopilnuje, żeby jakaś pokojówka nie weszła do pokoju i nie rozsunęła zasłon, smażąc cię na skwarce?

Jego uśmiech poszerzył się.

- Martwisz się o mnie. Jestem wzruszony.

Spojrzałam na niego. Wydawał się radosny, rozbawiony, ale to była tylko maska. Taki miał wyraz twarzy, kiedy nie chciał, aby ktoś wiedział, o czym myślał, dając jednocześnie do zrozumienia, że on nie chce, aby to wiedział.

- Co ty kombinujesz?

- Akurat teraz nic, *ma petite*.

- Jasne.

- Jeżeli odnajdę trumnę, będzie mi potrzebna ciężarówka - powiedział Jason.

- Możesz skorzystać z dżipa - zaproponował Larry.

Posłałam mu miazdzące spojrzenie.

- Nie, nie może.

- Podejdz do tej sprawy praktycznie, *ma petit*, Jeśli Jason będzie musiał wynająć ciężarówkę, ja być może będę musiał spędzić jeszcze jedną noc w twoim łóżku. Wiem, że raczej tego nie chcesz.

W jego głosie pobrzmiwało rozbawienie, ale także coś jeszcze. Może gorycz.

- Poprowadzę - zaproponował Larry.

- Nie - zaproponowałam ostro.

- Już prawie świt, Anito. Nic mi nie będzie.

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Nie możesz wiecznie traktować mnie jak młodszego brata. Przecież mogę poprowadzić dżipa.

- Obiecuję, że go nie zjem - dorzucił Jason.

Larry wyciągnął rękę po kluczyki.

- Czasami musisz mi zaufać.

Tylko na niego spojrzałam.

- Obiecuję, że gdybym został zaatakowany, nie zawaham się użyć broni i rozwalę każdego, zarówno człowieka, jak i potwora. - Uniósł prawą dłoń do góry. - Słowo. Jeżeli trafię za kratki, będziesz mogła wpłacić za mnie kaucję i wyjaśnić, że ja tylko wykonywałem rozkazy.

Westchnęłam.

- Dobra, do cholery.

Dałam mu kluczyki.

Uśmiechnął się do mnie.

- Dzięki.

Pokręciłam głową.

- Tylko się pośpiesz, dobra? Wracaj jak najszybciej.

- Tak jest.

- To teraz już zjeżdżaj i uważaj na siebie.

Larry i Jason wyszli. Wpatrywałam się w drzwi jeszcze chwilę po tym, jak się za nimi zamknęły, zastanawiając się, czy nie powinnam była jednak pojechać z nimi. Larry na pewno by się wkurzył, ale lepiej być obrażonym niż martwym. Cholera, przecież to było proste zadanie: pojechać na lotnisko i odebrać trumnę. Co mogło pójść nie tak? Do świtu została już niecała godzina. Niech to szlag.

- Nie możesz go wiecznie chronić, Anito.

- Mogę próbować.

Jean - Claude wzruszył ramionami z rozdrażnieniem. Ten gest mógł oznaczać wszystko albo nic.

- Czy możemy już wrócić do twego pokoju, *ma petite*?

Już miałam powiedzieć, że mógł przecież spać z Larrym, ale nie zrobiłam tego. Nie wierzyłam, że Jean - Claude mógłby pożywić się Larrym, ale byłam pewna, że nie spróbuje skosztować mnie.

- Jasne - odparłam.

Wydawał się odrobinę zaskoczony, jakby spodziewał się kłótni. Tyle że ja na dzień dzisiejszy miałam dość kłótni. Chce spać w moim łóżku, proszę bardzo. Ja prześpię się na kanapie. To przecież nic zdrożnego. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej niewinnego?

Poza Zmotoryzowanymi Zakonnkami z Piekła Rodem, ma się rozumieć.

Gdy wróciliśmy do mojego pokoju, świt jak chłód na dłoń napierał na szyby w oknach. Wstawał nowy dzień. Jean - Claude uśmiechnął się do mnie.

- Po raz pierwszy jesteśmy razem w pokoju hotelowym i nie mamy dla siebie czasu. - Westchnął przeciągle. - Gdy chodzi o ciebie, moje plany zawsze spełzają na niczym, *ma petite*.

- Może powinno dać ci to do myślenia.

- Może. - Spojrzał na zaciągnięte zasłony. Muszę już iść, *ma petite*. Do zobaczenia po zmierzchu.

Pospiesznie zamknął za sobą drzwi do sypialni. Czułam, jak przybierający na sile blask napiera na budynek. Po latach polowania na wampiry uświadomiłam sobie, że potrafię wyczuwać zarówno świt, jak i zmierzch. Bywały takie dni, kiedy walcząc z kolejnymi katastrofami i usilnie starając się pozostać przy życiu, czekałam w napięciu, aż mroczne niebo przejaśni się i wschodzące słońce ocali moją skórę. Po raz pierwszy zaczęłam zastanawiać się, jak by to było, gdybym postrzegala świt jako zagrożenie, a nie błogosławieństwo.

Kiedy zamknął drzwi, zorientowałam się, że zostawiłam w sypialni walizkę. Cholera. Zawahałam się i w końcu zapukałam do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Uchyliłam drzwi odrobinę, następnie nieco szerzej. Nie było go tam. W łazience leciała woda. Spod drzwi przebijało światło. Co wampiry robią w łazience? Lepiej nie wiedzieć.

Wzięłam walizkę i wyniosłam ją, zanim drzwi do łazienki zdążyły się otworzyć. Nie chciałam znów go zobaczyć. Nie chciałam widzieć, co się z nim dzieje po wschodzie słońca.

Kiedy słońce weszło na tyle, że w jego promieniach zaciągnięte zasłony wyglądały jak strugi jasno - cytrynowej cieczy, przebrałam się w podkoszulek i dzinsy. Miałam jeszcze szlafrok, ale witając Jasona i Larry'ego, chciałam mieć na sobie spodnie.

Poprosiłam obsługę o dodatkowe koce i poduszkę. Nikt nie skarżył się, że było tuż po wschodzie słońca i że to dziwna pora na takie zamówienia. Po prostu przyniesiono, co chciałam. To się nazywa klasa. Pokojówka nie spojrzała nawet na zamknięte drzwi sypialni. Rozłożyłam koc na kanapie i przyjrzałam się jej. Kanapa była ładna, ale nie wyglądała na wygodną. Cóż, cnota ma swoją cenę. Rzecz jasna może to nie cnota nie pozwalała mi wejść do sypialni. Gdyby w pokoju obok leżał Richard, tylko zasady moralne mogłyby powstrzymać mnie przed wejściem do środka. Gdy chodziło o Jean - Claude'a... nigdy nie widziałam go po wschodzie słońca, kiedy był martwy dla całego świata. Wiedziałam, że nie chcę tulić się do niego, gdy ciepło opuści jego ciało.

Rozległo się pukanie do drzwi. Znieruchomiałam. To pewnie Larry, ale mimo wszystko... Podeszłam do drzwi z browningiem w dłoni. Zeszłej nocy Beau miał strzelbę. Paranoja albo ostrożność - czasami trudno je rozróżnić.

Stałam z boku przy drzwiach i powiedziałam.

- Kto tam?

- To my, Anito.

Zabezpieczyłam pistolet i wsunęłam go za pasek dzinsów. Browning był za duży, aby mógł zmieścić się w kaburze wewnętrznej, więc musiałam improwizować.

Otworzyłam drzwi.

Larry opierał się o framugę. Wyglądał na zmęczonego i sponiewieranego. W ręce miał torbę od McDonald'sa i pojemnik z czterema styropianowymi kubkami. W dwóch z nich była kawa, w dwóch zimne napoje.

Jason ścisnął pod pachami dwie skórzane walizy, w prawej ręce trzymał mniejszą walizkę, a w lewej drugą torbę od McDonald'sa. Nie wydawał się zmęczony. Ranny ptaszek, a przecież nawet nie zmrużył dziś oka. Okropność.

Zatrzymał wzrok na pistolecie za paskiem moich spodni. Zauważył go, ale nie powiedział ani słowa na ten temat. Punkt dla niego.

Larry nawet nie wspomniał o broni.

- Posiłek? - spytałam.

- Zeszłej nocy prawie nic nie jadłem. Poza tym Jason też był głodny - powiedział Larry.

Wszedł do środka, stawiając torbę i napoje na barku. Nikt z nas nie pił, dobrze, że barek jednak do czegoś się przyda.

Jason wniósł walizki bokiem, ale robił to bez wysiłku. Dźwiganie ciężkich waliz nie sprawiało mu najmniejszych trudności.

- Popisujesz się - mruknęłam.

Postawił bagaże na podłodze.

- To żaden popis - odparł.

Zamknęłam za nimi drzwi.

- Podejrzewam, że mógłbyś unieść jedną ręką trumnę.

- Nie, ale nie dlatego, że jest ciężka. Po prostu jest za długa. Kwestia równowagi.

Pięknie. Superwilkołak. O ile wiedziałam, wszystkie llykantropy miały nielichą krzepę. Może

Richard był w stanie dźwignąć trumnę jedną ręką. To nie była pocieszająca myśl.

Jason zaczął wykladać jedzenie na kontuar. Larry usiadł na jednym ze stołków i wsypywał sobie cukier do kawy.

- A co z trumną? Zostawiliście ją w holu? - spytałam.

Aby usiąść, musiałam położyć browninga na kontuarze. Nie chciałam, żeby wypadł zza paska.

Larry postawił przede mną nieotwartą kawę.

- Zaginęła.

Spojrzałam na niego.

- Znaleźliście walizki, a trumny nie?

- Taa - mruknął Jason, rozdzielając jedzenie na trzy porcje. Jego była największa.

- Jak możesz jeść o tak wczesnej porze?

- Zawsze jestem głodny - odparł. Spojrzał na mnie z lekkim wyczekiwaniem.

Nic nie odpowiedziałam. Nie podpuści mnie tak łatwo.

- Mogę cię nakarmić, jeśli chcesz - zaproponował z nadzieją w głosie.

- Nie wydajesz się zbyt zmartwiony - zauważyłam.

Wzruszył ramionami i usiadł na stołku.

- Co mam powiedzieć? Odkąd stałem się wilkołakiem, widziałem wiele dziwnych rzeczy. Gdybym popadał w histerię za każdym razem, kiedy stanie się coś złego, kiedy umrze ktoś, kogo znałem, byłbym dziś u czubków.

- Sądziłam, że w stadzie walki o dominację, za wyjątkiem tych o przywództwo, nie są toczone do śmierci - rzuciłam.

- Ludzie zapominają - odparł.

- Będę musiała porozmawiać z Richardem, kiedy wrócę do miasta. Nie wspominał mi o tym.

- Nie ma o czym mówić - rzekł Jason. - Zwyczajna codzienność.

Świetnie.

- Czy ktokolwiek widział, kto zabrał trumnę?

Larry odpowiedział bełkotliwym, sennym głosem, pomimo iż właśnie naszprycował się porcją kofeiny i cukru. Zdecydowanie potrzebował snu.

- Nikt nie widział, kto i kiedy ją zabrał. Facet z nocnej zmiany powiedział tylko, że odwrócił się na moment, a gdy znów tam spojrział, już jej nie było.

- Cholera - wycedziłam przez zęby.

- Dlaczego zabrano trumnę? - zapytał.

Wypił prawie całą kawę. Jak na razie nie tknął jeszcze hamburgera. Podsunęli mi ciastko i pojemnik z syropem.

- Śniadanie ci stygnie - powiedział Jason.

Za bardzo go to bawiło. Spiorunowałam go wzrokiem, ale otworzyłam kawę. Nie miałam ochoty na jedzenie.

- Myślę, że miejscowy mistrz się popisuje. Co ty na to Jasonie? - spytałam beznamiętnym tonem.

Uśmiechnął się do mnie, żując, przełknął, po czym odparł:

- Myślę to, co Jean - Claude chce, abym myślał.

Może mój głos był za bardzo beztroski. Chyba powinnam odpuścić sobie subtelności. Nie bardzo mi to wychodziło.

- Zabronił ci ze mną rozmawiać?

- Nie, mam tylko uważać na to, co mówię.

- On każe skakać, ty pytasz, jak wysoko, czy tak?

- Otóż to. - Włożył do ust kawałek jajecznicy, jego twarz emanowała siłą spokoju.

- Czy to cię nie martwi?

- Nie ja ustalam reguły, Anito.

- Ale czy to cię nie martwi? - naciskałam.

Wzruszył ramionami.

- Czasami, ale nic na to nie poradzę. Po co walczyć z wiatrakami.

- Nic z tego nie rozumiem - wtrącił Larry.

- Ja również.

- Nie musicie tego rozumieć - odparł.

Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, jednak jego oczy wyglądały naprawdę staro. Było w nich spojrzenie pełne smutku i tęsknoty. Tak mógł patrzeć ktoś, kto sporo widział i robił wiele rzeczy, nie tylko tych przyjemnych. Bałam się, że ujrzę coś takiego kiedyś w oczach Larry'ego. Byli prawie w tym samym wieku. Co takiego zrobiono Jasonowi, że w jego oczach malował się tak dojmujący ból?

- Co teraz zrobimy? - spytał Larry.

- To wy jesteście ekspertami od wampirów. Ja jestem tylko pupilem Jean - Claude'a.

Powiedział to tak, jakby w ogóle się tym nie przejmował. Ja byłabym zmartwiona.

Pokręciłam głową.

- Powiadomię gliny, a potem trochę się zdrzemnę.

- Co im powiesz? - spytał Jason.

- Opowiem im o Xavierze.

- Czy Jean - Claude pozwolił ci powiadomić policję?

Spojrzałam na niego.

- Nie zamierzam prosić go o pozwolenie.

- Jean - Claude nie życzyłby sobie udziału policji w tej sprawie.

Nadal na niego patrzyłam.

Zamrugał powiekami.

- Proszę, nie rób tego tylko dlatego, że to powiedziałem.

- Dobrze cię zna jak na kogoś, kogo spotkałaś zaledwie dwukrotnie.

- Trzykrotnie - poprawiłam. - Z czego dwukrotnie próbował mnie pożreć.

Oczy Larry'ego lekko się rozszerzyły.

- Żartujesz.

- Ona wygląda tak smakowicie - wtrącił Jason.

- Mam cię dość - mruknęłam.

- Co się stało? Zarówno Richard, jak i Jean - Claude drażnią się z tobą.

- Z nimi się spotykam - uciełam. - Z tobą nie.

- Może kręcą cię potwory. Ja też potrafię być przerażający.

Spojrzałam na niego.

- Nie - stwierdziłam. - Nie potrafisz. I dlatego nie jesteś alfą. Dlatego jesteś pupilem Jean - Claude'a, bo nie jesteś i nigdy nie będziesz naprawdę przerażający.

Coś przemknęło w głębi jego jasnoniebieskich oczu. Coś gniewnego i niebezpiecznego. Gdy tak siedział z kawałkiem jajecznicy na widelcu i colą w dłoni, wydał mi się nagle inny. Trudno było ująć to w słowa, ale nagle włosy stanęły mi dęba.

- Spokojnie, wilczku - powiedziałam.

Głos miałam spokojny, łagodny. Siedziałam jakieś ćwierć metra od niego. Z tej odległości bez trudu mógł się na mnie rzucić. Browning leżał o parę centymetrów od mojej prawej ręki, ale ja wiedziałam swoje. Mogłam zdążyć sięgnąć po broń, ale o wycelowaniu nie było już mowy. Widziałam go wcześniej w akcji, widziałam, jaki był szybki. Nie miałabym żadnych szans. Brak snu sprawił, że stałam się zbyt ufna albo nieostrożna. To głupota z mojej strony. Jedno i drugie mogło skutecznie skrócić moje życie.

Z jego ust dobył się cichy, gardłowy warkot. Serce zabiło mi nieco szybciej.

Nagle tuż przy twarzy wilkołaka pojawił się pistolet Larry'ego.

- Ani się waż - wycodził Larry. Mówił cicho, ale zdecydowanie.

Zsunęłam się ze stołka, zabierając ze sobą browninga. Nie chciałam, aby Larry wystrzelił z pistoletu tuż przed moim nosem. Wymierzyłam broń w pierś Jasona, pistolet trzymałam luźno, niemal nonszalancko w jednej ręce.

- Nigdy więcej mi nie groź.

Jason spojrzał na mnie. W głębi jego oczu pojawiła się bestia, jak fala sunąca w kierunku brzegu.

- Jeżeli zaczniesz obrastać futrem, nie zaczekam, aby przekonać się, czy blefujesz - ostrzegłam.

Larry opierał jedną nogę o stołek i wciąż mierzył w głowę Jasona. Miałam nadzieję, że nie spadnie z siedzenia i przez przypadek nie zastrzeli Jasona. Gdyby miał go zastrzelić, wolałabym, aby uczynił to rozmyślnie.

Barki Jasona rozluźniły się. Dłonie się rozwarły, Jason odłożył widelec i kubek z napojem na kontuar. Zamknął oczy i przez blisko minutę siedział w całkowitym bezruchu. Larry spojrzał na mnie.

Pokręciłam głową.

Jason otworzył oczy i powoli, przeciągle wypuścił powietrze. Znow wyglądał normalnie, napięcie zupełnie z niego uszło. Uśmiechnął się.

- Musiałem spróbować.

Zrobiłam jeszcze jeden krok w tył, opierając się plecami o ścianę. Gdy znalazłam się poza jego zasięgiem, odłożyłam broń. Larry, aczkolwiek z pewnym wahaniem, poszedł w moje ślady.

- No dobrze, spróbowałaś, i co teraz?

Wzruszył ramionami.

- Dominujesz nade mną.

- Tak po prostu - stwierdziłam.

- Czy byłabyś szczęśliwsza, gdybym sprowokował cię do walki?

Pokręciłam głową.

- Ale nie obeszło się bez mojego wsparcia - zauważył Larry. - Nie zrobiła tego sama.

- Nieważne. Jesteś wobec niej lojalny, zaryzykowałbyś dla niej życiem. Bycie dominantem to coś więcej niż popis siły mięśni czy umiejętności w posługiwaniu się bronią.

Larry wydawał się zbity z tropu.

- O co chodzi z tym dominantem? Mam wrażenie, że umknął mi fragment rozmowy.

- Dlaczego tak bardzo starasz się zatracić w sobie resztki człowieczeństwa, Jasonie? - spytałam.

Uśmiechnął się i wrócił do przerwane go śniadania.

- Odpowiedz, Jasonie.

Dokończył jajecznicę i powiedział:

- Nie.

- Co się dzieje? - spytał Larry.

- Mentalne gierki - odrzekłam.

Larry parsknął z rozdrażnieniem.

- Może ktoś wyjaśniłby mi, dlaczego musieliśmy celować ze spluw do kogoś, kto powinien być

po naszej stronie?

- Jean - Claude wciąż mi powtarza, że Richard, podobnie jak on, nie jest człowiekiem. Mały pokaz Jasona miał mi to uświadomić. Prawda, wilczku?

Jason dokończył posiłek, jakby w ogóle nas tam nie było.

- Odpowiedz - warknęłam.

Odwrócił się na stołku, opierając się łokciami o kontuar.

- Mam teraz zbyt wielu mistrzów, Anito. Nie potrzeba mi jeszcze jednego.

- A ze mną ma na pieńku zbyt wiele potworów, Jasonie. Nie zmuszaj mnie, abym wpisała i ciebie na ich listę.

- Czy to krótka lista? - zapytał.

- Z każdym dniem coraz krótsza.

Uśmiechnął się i zszedł ze stołka.

- Czy ktoś jeszcze jest zmęczony, czy tylko ja?

Oboje z Larrym spojrzeliśmy na niego. Wilkołak nie wyglądał na zmęczonego, a w każdym razie nie bardziej od nas.

Jason nie zamierzał odpowiedzieć na moje pytania, a te skądinąd nie były aż tak istotne, abym miała z tej okazji posłać mu kulkę. Pat.

- Świetnie, gdzie będziesz spał? - spytałam.

- Jeżeli mi zaufasz, że go nie pożrę, to w pokoju Larry'ego.

- Nic z tego - odparłam.

- Chcesz, abym został tu z tobą?

- Powiedziałem mu, że przez cały nasz pobyt tutaj może mieszkać w moim pokoju - wtrącił Larry.

- To było, zanim zaczął zgrywać przed nami wielkiego, złego wilkołaka - odparłam.

- W twoim łóżku śpi Mistrz Miasta. - Larry wzruszył ramionami. - Myślę, że poradzę sobie z jednym wilkołakiem.

Byłam innego zdania. Nie chciałam jednak rozmawiać o tym przy wilkołaku.

- Nie, Larry.

Nagle ogarnął go gniew.

- Co mam zrobić, abyś zrozumiała, że umiem sobie poradzić w trudnych sytuacjach?

- Pozostać przy życiu - odparłam.

- To znaczy?

- Nie jesteś rewolwerowcem, Larry.

- Byłem gotów go zastrzelić. - Larry wskazał na uśmiechniętego wilkołaka.

- Wiem.

- Tylko dlatego, że nie dość szybko zaciska mi się palec na spuście, uważasz, że nie potrafię o siebie dbać?

Westchnęłam.

- Larry, proszę. Gdyby Jason w biały dzień przemienił się i cię zabił, nie umiałabym się z tym pogodzić. Nie mogłabym z tym żyć.

- A jeśli zabije ciebie? - spytał Larry.

- Nie robi tego.

- Dlaczego nie?

- Bo Jean - Claude zabiłby jego. Jeśli skrzywdziłby ciebie, zabiłabym go, ale nie wiem, czy Jean - Claude zdecydowałby się pomścić twoją śmierć. Jason bardziej boi się Jean - Claude'a niż mnie. Prawda, Jasonie?

Jason usiadł na kanapie, na moim kocu.

- O, tak.

- Nie wiem dlaczego - odezwał się Larry. - Przecież to ty zabijasz dla Jean - Claude'a. Jakoś nie przypominam sobie, aby kogokolwiek zabił własnoręcznie.

- Larry, kogo obawiałbyś się bardziej - mnie czy Jean - Claude'a?

- Nie skrzywdziłabyś mnie - odparł.

- Gdybyś musiał stanąć do walki z jednym z nas, kogo byś wybrał?

Larry przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, gniew odpłynął, zastąpiony przez coś zmęczonego

i starego, co kryło się w jego oczach.

- Jego.

- Na miłość boską, dlaczego? - spytałam.

- Widziałem, jak zabijasz, Anito. Robiłaś to wielokrotnie i bez wahania. Jean - Claude mógłby próbować wystraszyć mnie na śmierć, ale ty po prostu byś mnie zabiła.

Moje usta rozchyliły się lekko.

- Jeśli naprawdę wierzysz, że jestem groźniejsza od Jean - Claude'a, to w ogóle mnie nie słuchałeś.

- Nie twierdzę, że jesteś groźniejsza. Powiedziałem tylko, że zabiłabyś mnie szybciej.

- I dlatego nie obawiam się Anity tak bardzo jak Jean - Claude'a - wtrącił Jason.

Larry spojrzał na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Ona mogłaby mnie co najwyżej zabić - szybko, czysto i sprawnie. Jean - Claude nie uśmierciłby mnie ani szybko, ani bezboleśnie. Uczyniłby wszystko, aby zadać mi najbardziej wyszukane cierpienia.

Patrzyli na siebie nawzajem. Twierdzenia obu zawierały w sobie niezaprzeczalną logikę. Opowiedziałam się po stronie Jasona.

- Jeśli naprawdę wierzysz w to, co mówisz, Larry, to znaczy, że jeszcze bardzo mało wiesz o wampirach.

- Jak mogę dowiedzieć się o nich czegoś więcej, skoro przez cały czas mi matkujesz, Anito? Nie dajesz mi szansy, abym się wykazał.

Czy naprawdę aż tak go ograniczałam? Byłam zanadto opiekuńcza? Niech zobaczy, jaka jestem bezwzględna, ale niech trzyma się z daleka od Jean - Claude'a?

- Jutrzejszej nocy zamierzam pójść z tobą na spotkanie z mistrzem. Nie zostanę tutaj.

- Masz rację - odparłam. Ta odpowiedź zaskoczyła ich obu. - Jeśli naprawdę wierzysz, że potrafię zabić kogoś szybciej niż Jean - Claude, to znaczy, że przesadziłam z opiekuńczością wobec ciebie. Musisz zrozumieć, jak niebezpieczne są wampiry. Jakie są zabójcze i że któregoś dnia może nie być mnie przy tobie, a ty możesz zginąć.

Wzięłam głęboki wdech i wolno wypuściłam powietrze. Strach jak lodowata gula zaległ w moim żołądku. Bałam się, że Larry zginie, ponieważ trzymałam go zbyt długo pod kloszem. Nie tego

się spodziewałam.

- Chodź, Jason - rzucił Larry.

Jason wstał.

- Nie. Jutro będziesz mógł stanąć oko w oko z wampirami, a ja będę tylko obserwować, jak sobie radzisz. Do tego czasu, dopóki nie zrozumiesz, jak niebezpieczne są potwory, nie chcę, abyś przebywał z nimi sam na sam.

W jego oczach malował się gniew i ból. Zraniłam jego dumę i pewność siebie. Nadszarpnęłam ego. Ale... co innego mogłam zrobić?

Larry obrócił się gwałtownie na pięcie i wyszedł. Nie próbował się ze mną spierać. Nawet się nie pożegnał. Trzasnął drzwiami, a ja przez chwilę miałam ochotę pobiec za nim. Co mogłabym mu powiedzieć?

Oparłam się czołem o drzwi i wyszeptałam:

- Cholera.

- Mam spać na kanapie? - spytał Jason.

Odwróciłam się i oparłam o drzwi. Wciąż trzymałam w ręku browninga, choć szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, po co. Zaczynałam się robić zmęczona i rozleniwiona.

- Nie. Na kanapie śpię ja.

- To gdzie ja mam spać?

- Nie obchodzi mnie to. Byle z dala ode mnie.

Przesunął dłońmi po kocu, muskając go delikatnie palcami.

- Skoro ty śpisz tutaj, to ja biorę łóżko.

- Już jest zajęte - przypomniałam.

- Czy to duże łóżko?

- Wielkie, dwuosobowe, a co?

- Jean - Claude na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, abym położył się przy nim. Co prawda wolałby mieć u swego boku ciebie, ale cóż...

Spojrzałam na niego, na jego spokojne, przystojne oblicze.

- Czy po raz pierwszy miałbyś dzielić łożo z Jean - Claude'em?

- Nie - odrzekł.

Musiał zobaczyć coś na mojej twarzy, bo odchylił golf swetra, aby pokazać mi dwa okrągłe ślady po kłach. Odstąpiłam od ściany i podeszłam bliżej. Na tyle blisko, by ujrzeć, że rana prawie się zagoiła.

- Czasami, zaraz po przebudzeniu, ma ochotę na małą przekąskę - wyjaśnił Jason.

- Jezu - wyszeptałam.

Jason poprawił sweter, zasłaniając ranę na szyi. Zupełnie jakby próbował ukryć malinkę. Jason siedział przede mną spokojny, z pozoru niegroźny. Był dokładnie mojego wzrostu i miał twarz anioła znającego prawdę o życiu.

- Richard nie pozwalał Jean - Claude'owi, aby ten posilał się nim - powiedziałam.

- Nie - odparł.

- "Nie". To wszystko, co masz do powiedzenia.

- A co mam powiedzieć, Anito?

Zamyśliłam się nad tym przez chwilę.

- Chciałabym, abyś był rozjuszony. Wściekły.

- Dlaczego?

Pokręciłam głową.

- Idź już i połóż się, Jasonie. Męczy mnie rozmowa z tobą.

Bez słowa wszedł do sypialni. Nie zajrzałam do środka, aby sprawdzić, czy przeistoczył się w wilka i zwinął w kłębek na dywanie, czy może ułożył się w łóżku obok nieboszczyka. To nie była moja sprawa i szczerze mówiąc, nie miałam ochoty tego oglądać.

Włożyłam zabezpieczonego browninga pod poduszkę. W domu, gdy chowam broń do specjalnej kabury u wezłowia łóżka, zwalням bezpiecznik. Tyle że głupio by wyszło, gdybym się przypadkiem postrzeliła w nocy, a raczej za dnia, usiłując bronić się przed wilkołakami.

Firestara wsunęłam pod poduszkę kanapy, również zabezpieczonego. Zazwyczaj zapasowy pistolet trzymam w torbie podróżnej, ale czułam się odrobinę niepewnie.

Noże pozostały w bagażu. Sytuacja nie była aż tak groźna, żebym musiała je mieć przy sobie. Poza tym niewygodnie by się z nimi spało.

Właśnie ułożyłam się do snu, gdy uświadomiłam sobie, że nie zadzwoniłam do agenta specjalnego Bradforda. Cholera.

Odrzuciłam koc i podreptałam do telefonu, mając na sobie tylko majtki i podkoszulek. No i miałam także pistolet. Na co komu broń, jeśli nie nosi jej z sobą?

Wybrałam numer. Żadnej odpowiedzi. Coś podobnego. Przecież wszyscy pracują na okrągło, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, prawda? Miałam numer jego pagera. Czy informacje o Xavierze mogły poczekać? Czy jego imię w jakikolwiek sposób im pomoże? Agent Bradford dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jestem persona non grata. Freemont usiłowała wyłączyć mnie z gry, Quinlanowie grozili, że pozwą kogo się da, chyba że zostanę raz na zawsze usunięta od tej sprawy. Tak się popisałam, chroniąc ich rodzinę, że za wszelką cenę chcieli mi już podziękować za dalsze usługi. Chyba byli przekonani, że to ja jestem odpowiedzialna za śmierć ich syna. Kto by przypuszczał?

Miałam numer pagera Bradforda. Powiedział mi wyraźnie, że w razie gdybym się czegoś dowiedziała, miałam poinformować o tym wyłącznie jego. Bezpośrednio. Miałam rozmawiać tylko i wyłącznie z nim. To sprawiło, że zapragnęłam wszystko przed nim zataić. Tyle tylko, że FBI mogło mieć w swoich archiwach kartotekę wampirów. Może to imię coś im powie. Może dzięki temu zdołają odnaleźć Jeffa. Poza tym Jean - Claude nie zabronił mi podawać glinom imienia Xaviera. Skorzystałam z podanego mi numeru. Zadzwoniłam na pager. Zostawiłam swój numer telefonu. Teraz mogłam albo wrócić do łóżka i pozwolić, aby obudził mnie dzwonek telefonu, albo sięść sobie w fotelu i cierpliwie czekać. Wybrałam to drugie.

Telefon zadzwonił po niespełna pięciu minutach. Lubię ludzi, którzy oddzwaniają możliwie jak najszybciej po otrzymaniu sygnału na pager.

Powiedziałam: „Halo”, na wypadek gdyby to nie był on. Ale to był on.

- Agent specjalny Bradford. Na moim pagerze wyświetlił się ten numer. - Miał zaspany głos.

- Mówi Anita Blake.

Chwila ciszy, a potem:

- Wie pani, która godzina?

- Nie zmrużyłam jak dotąd oka, więc wiem.

Kolejna chwila ciszy.

- O co chodzi, panno Blake? Czego pani chce? Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam po wietrze. Wściekanie się nic mi nie da.

- Udało mi się poznać imię wampira, który najprawdopodobniej jest odpowiedzialny za śmierć tych dzieciaków.

- Jak ono brzmi?

- Xavier.

- Nazwisko?

- Zgodnie z utartym zwyczajem wampiry nie mają nazwisk.

- Dziękuję za podanie mi tego imienia, panno Blake. Jak udało się je pani zdobyć?

Zamyśliłam się przez chwilę. Nie potrafiłam wymyślić naprawdę przekonującej odpowiedzi.

- Tak jakoś mi wpadło.

- Czemu pani nie wierzę, panno Blake? Wydaje mi się, że ostatniego wieczoru wyraziłem się jasno. Nie wolno pani w żaden sposób mieszać się w tę sprawę.

- Proszę zrozumieć, nie musiałam do pana dzwonić, ale chcę, aby Jeff Quinlan wrócił do domu żywy. Pomyślałam sobie, że FBI mogłoby zrobić użytek z imienia wampira, który porwał chłopca.

- Chcę wiedzieć, w jaki sposób zdobyła pani tę informację.

- Mam swoje źródło - odparłam.

- Chciałbym z nim pomówić - stwierdził.

- Nic z tego - ucięłam krótko.

- Czy zdaje sobie pani sprawę, że może to zostać potraktowane jako zatajanie informacji istotnych dla rozwoju śledztwa?

- Nie, agencie Bradford, moim zdaniem właśnie przekazałam panu informację na tyle istotną, abym mogła pchnąć wasze śledztwo naprzód.

Znów zamilkł.

- No dobrze, panno Blake, ma pani rację. Dziękuję za podanie tego imienia. Przepuścimy je przez nasze komputery.

- Ten wampir był już wcześniej znany z molestowania małoletnich chłopów. To pedofil.

- Boże, wampir pedofil. - Dopiero teraz wydawał się szczerze zaciekawiony tym, co do niego mówię. - I to właśnie on porwał chłopaka Ouinlanów?

- Tak - stwierdziłam.

- Naprawdę bardzo by mi zależało na rozmowie z pani źródłem - powtórzył.

- Tak się składa, że mój informator nie przepada za kontaktami z policją. Jest bardzo nieśmiały.

- Mógłbym nalegać, panno Blake. Otrzymaliśmy raport, że ubiegłej nocy przyleciał tu prywatny odrzutowiec i wyładowano z niego pojedynczą trumnę. Maszyna jest zarejestrowana na J.C. Corporation, to firma, która posiada wiele wampirzych lokali rozrywkowych w St. Louis. Czy coś pani o tym wiadomo, panno Blake?

Okłamywanie agenta FBI wydawało się kiepskim rozwiązaniem, ale nie byłam pewna, jak przyjąłby prawdę. Federalni prowadzili śledztwo w sprawie wampirzych morderstw, aż tu nagle w mieście pojawia się nowy krwio pijca. W najlepszym razie mogli go przesłuchać. W najgorszym... Cóż, pewnego wampira w Missisipi przypadkiem przeniesiono do celi z oknem. Słońce wstało i... wampir uprzył się na węgiel. Co prawda później adwokat ze związku obrońców praw obywatelskich pozwał gliniarzy i wygrał, ale to nie przywróciło wampira do życia. Fakt faktem, że był to w miarę młody krwio pijca. Jean - Claude wy dostałby się stamtąd bez większych problemów, jednakże za ucieczkę z aresztu z użyciem wampirzych mocy groziły poważne konsekwencje, z wystawieniem listu gończego włącznie. Mniej więcej w takiej samej sytuacji był obecnie Magnus.

W dodatku wampir zabił ubiegłej nocy glinę. W tej sytuacji stróże prawa mogli nie wykazywać się wobec wampirów szczególną delikatnością. Bądź co bądź policjanci to tylko ludzie.

- Jest tam pani jeszcze?

- Jestem.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Dokąd przewieziono tę trumnę? - zapytałam.

- Nie wiadomo. Po postu zniknęła. Jakby zapadła się pod ziemię.

- Wobec tego czego pan chce ode mnie?

- Oprócz trumny wyładowano również bagaże. Niedawno odebrało je dwóch młodych

mężczyzn. Opis jednego z nich zdaje się wskazywać na Larry'ego Kirklanda.

- Doprawdy?

- Właśnie tak.

Siedzieliśmy po dwóch stronach łącza, czekając, aż ta druga osoba coś powie.

- Mógłbym wysłać do pani do hotelu moich agentów.

- W moim pokoju nie ma żadnych trumien, agencie Bradford.

- Na pewno?

- Klnę się na Boga.

- Czy wie pani, kto jest szefem J.C. Corporation?

- Nie.

To była prawda. Dopóki nie usłyszałam o niej od Bradforda, nie miałam pojęcia o istnieniu firmy J.C. Corporation. Mogłam się co najwyżej domyślać, że należała do Jean - Claude'a. No dobra, po co się oszukiwać? Spójrzmy prawdzie w oczy, ale co tak naprawdę z tego wynikało?

- Czy wie pani, dokąd dostarczono tę trumnę? - zapytał.

- Nie.

- Powiedziałaaby mi pani, gdyby wiedziała?

- Oczywiście, o ile pomogłoby to w odnalezieniu Jeffa Quinlana.

- W porządku, Blake, ale umówmy się, że więcej nam już pani nie pomaga. Proszę trzymać się z daleka od tej sprawy. Kiedy znajdziemy wampiry, skontaktujemy się z panią i będzie pani mogła zrobić, co do pani należy. Nie jest pani policjantką, lecz zabójczynią wampirów. Proszę o tym nie zapominać.

- W porządku - mruknęłam.

- Dobrze. Teraz chciałbym się przespać.. I pani radzę to samo. Znajdziemy dziś te wampiry. I powiedzmy, że nie do końca wierzę w to, co usłyszałem od Freemont. Zadzwoimy do pani, gdy trzeba będzie pozabijać krwiopijców.

- Dzięki.

- Dobranoc, Blake.

- Dobranoc, Bradford.

Rozłączyliśmy się. Siedziałam jeszcze przez parę minut, chłonąc to, co przed chwilą usłyszałam. Co by zrobili, gdyby zastali Jean - Claude'a w moim pokoju? Widziałam gliniarzy wkładających pogrążonego w śpiączce wampira do worka na zwłoki i przewożących go na posterunek, by go tam po zmierzchu przesłuchać. To nie był dobry pomysł, bo wampir mógł się obudzić mocno wkurzony. I faktycznie tak było. Ostatecznie musiałam go zabić. To szczególne zabójstwo zawsze mnie mierziło. Tak po prostu. To było zlecenie spoza stanu. Tamtejsze gliny zaprosiły mnie, abym im doradziła. Gdy tylko znaleźliśmy wampira, przestali słuchać moich rad. Teraz było podobnie. Tamtego wampira także chciano jedynie przesłuchać.

Nagle poczułam się zmęczona. Zupełnie jakby cała ta noc uderzyła we mnie zmasowaną falą. Ogarniała mnie senność. Musiałam się położyć. Niewyspana nie zdołam pomóc Jeffowi Quinlanowi ani nikomu innemu. Poza tym może odnajdą go federalni. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Kazałam obsłudze hotelowej, by obudzono mnie w południe i wślizgnęłam się pod koc. Czułam przez poduszkę kanciasty kształt browninga. Dobrze, że nie czułam także firestara pod poduszką kanapy. Trochę żałowałam, że nie wzięłam ze sobą Zygmunta, mojego pluszowego pingwinka. Gdyby jednak Jean - Claude albo Jason zobaczyli mnie śpiącego z wypchaną zabawką, chyba zapadłabym się pod ziemię. Musiałam zgrywać twardą babę i dzielnie znosić wszelkie tego konsekwencje. Taki los.

Ktoś dobijał się do drzwi. Otworzyłam oczy i ujrzałam pokój tonący w łagodnych, delikatnych promieniach słońca. Zastłony nie były tu tak grube jak w sypialni. Dlatego to ja byłam tutaj, a Jean - Claud tam.

Wbiłam się w dzinsy, które zostawiłam na podłodze i krzyknęłam:

- Już idę!

Dudnienie ustało, a zaraz potem coś łupnęło, jak by ktoś kopnął w drzwi. Czy to pobudka a la federalni? Podeszłam do drzwi z browningiem w dłoni. Coś mi mówiło, że federalni nie byliby tak bezczelni. Stałam z boku, przy drzwiach i zapytałam:

- Kto tam?

- Dorcas Bouvier. - Znów kopnęła w drzwi. - Otwieraj, do diaska!

Wyjrzałam przez judasza. To była Dorcas Bouvier i albo jej zła siostra - bliźniaczka. Nie zauważyłam widocznej broni. Chyba byłam bezpieczna. Wsunęłam browninga za pasek dzinsów i zasłoniłam koszulką. Podkoszulek był na tyle duży, że sięgał mi do połowy ud. Doskonale maskował pistolet. Otworzyłam drzwi i stanęłam z boku. Dorcas pchnęła drzwi, otwierając je na oścież. Zamknęłam je za nią i przesunęłam zasuwkę, po czym oparłam się o framugę, obserwując mojego gościa.

Dorcas krążyła po pokoju jak wielka, egzotyczna kotka. Długie do pasa, kasztanowe włosy falowały przy każdym mchu. Wreszcie odwróciła się i spojrzała na mnie oczyma koloru morskiej zieleni, tej samej barwy co oczy jej brata. Źrenice były małe jak łebki szpilek, tęczęwki zdawały się usuwać w cień białka. Wyglądała jak niewidoma.

- Gdzie on jest?

- On, czyli kto? - spytałam.

Łypnęła na mnie spode łba i pomaszzerowała w kierunku drzwi sypialni. Nie zdążyłabym jej zatrzymać, a póki co, nie chciałam jeszcze poczęstować jej kulką.

Gdy się z nią zrównałam, weszła dwa kroki w głąb sypialni i wyprężona jak struna wlepiła wzrok w łóżko. Widok był wart uwagi.

Jean - Claude leżał na wznak, prześcieradło barwy ciemnego wina podciągnął aż do piersi. Na pościeli leżała jedna jego ręka, widać też było fragment bardzo bladego ramienia. W półmroku jego włosy zlewały się z poduszką, co sprawiało, że jego twarz wydawała się biała i prawie eteryczna.

Jason leżał na brzuchu. Prześcieradło zasłaniało tylko jedną jego nogę i pośladki. Jeżeli miał

coś na sobie, ja tego nie zauważyłam. Podniósł się na łokciach i odwrócił do nas. Blond włosy przesłoniły mu twarz. Zamrugał, jakby przebudził się z głębokiego snu. Uśmiechnął się, ujrawszy Dorcas Bouvier.

- To nie jest Magnus - powiedziała.

- Oczywiście, że nie - odparłam. - Chce pani porozmawiać na zewnątrz?

- Jeżeli to przeze mnie, to nie wychodź - rzucił Jason. Podparł się na łokciu. Prześcieradło całkiem zsunęło się z jego ciała.

Dorcas Bouvier odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Zamykając drzwi, usłyszałam jeszcze głośny śmiech Jasona.

Dorcas wyglądała na wstrząśniętą, powiedziałabym nawet zdezorientowaną. Ten widok radował moje serce. Ja też czułam się zażenowana, ale nie bardzo wiedziałam, co mam z tym począć. Próby tłumaczenia się w takich sytuacjach nigdy nic nie dają. Ludzie zawsze są skłonni dostrzegać w tobie to co najgorsze. W tej sytuacji nawet nie próbowałam się tłumaczyć. Stałam tylko i patrzyłam na nią. Unikała mojego wzroku.

Po dłuższej chwili ciszy, kiedy na jej twarzy pojawiły się pokaźne rumieńce, odezwała się:

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Sądziłam, że jest tam mój brat. Ja... - Dopiero teraz spojrzała mi w oczy. Odzyskiwała rezon i pewność siebie. Wzięła się w garść. Widziałam to w jej oczach. Przyszła tu nie tylko po to, by wywlec brata z mojego łóżka.

- Skąd pani przyszło do głowy, że Magnus może być tutaj?

- Mogę usiąść?

Zaprosiłam ją, aby spoczęła. Usiadła na jednym z krzeseł, sztywno, jakby kij połknęła. Moja macocha, Judith, byłaby dumna. Oparłam się jedną ręką o podłokietnik kanapy, gdyż nie mogłam usiąść z brownie za spodniami. Nie byłam pewna, jak zareagowałyby na widok broni, więc nie chciałam zdradzać się, że byłam uzbrojona. Niektórzy ludzie, widząc spluwę, zaczynają svirować. W sumie nic dziwnego.

- Wiem, że Magnus był z panią zeszłej nocy...

- Ze mną?

- To znaczy... - Znów się zapłoniła. - To znaczy nie w takim sensie. Wiem, że widziała go pani wczorajszej nocy.

- Powiedział to pani?

Pokręciła głową, a włosy jak futrzany kołnierz prześlizgnęły się po jej ramionach. W osobliwy sposób przypominała Magnusa.

- Widziałam was razem.

Przyglądałam się jej twarzy, usiłując wejrzeć poza wyraz zażenowania.

- Nie było tam pani zeszłej nocy.

- Gdzie? - spytała.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam na nią.

- Jak nas pani zobaczyła?

- A więc przyznaje pani, że go wczoraj widziała - mruknęła. Znow się ożywiła.

- Chcę wiedzieć, w jaki sposób nas pani zobaczyła.

Wzięła głęboki oddech.

- To moja sprawa.

- Magnus mówił, że jeśli chodzi o wizje, jego siostra jest lepsza od niego. Czy to prawda?

- Czego pani nie powiedział? - spytała. Znow ogarnął ją gniew. Emocje toczyły w jej wnętrzu zacieklą wojnę, przejawiając się zarówno w jej głosie, jak i wyrazie twarzy.

- Nie powiedział mi, dlaczego uciekał przed policją.

Spojrzała na swoje dłonie, złożone na podolku.

- Ja również nie wiem, dlaczego uciekł. To nie ma sensu. - Przeniosła wzrok na mnie. - Wiem, że to nie on zabił te dzieciaki.

- Ja też to wiem - przyznałam.

Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Sądziłam, że powiedziała pani policji, że to jego sprawa.

Pokręciłam głową.

- Nie. Powiedziałam tylko, że mógł to zrobić, ale nie, że to zrobił.

- Ale... ta policjantka była tego pewna. Wydawała się święcie przekonana o swoich racjach. I mówiła, że to pani jej o tym powiedziała.

Zakłęłam pod nosem.

- Detektyw Freemont?

- Tak.

- Niech pani nie wierzy we wszystko, co od niej usłyszy, zwłaszcza na mój temat. Ona raczej za mną nie przepada.

- Skoro pani im tego nie powiedziała, czemu wszyscy uważają, że to właśnie Magnus popełnił te straszne czyny? Nie miał powodu, by pozabijać tych ludzi.

Wzruszyłam ramionami.

- Magnus nie jest już poszukiwany za zabójstwo. Nikt pani o tym nie powiadomił?

Pokręciła głową.

- Nie. Czy to znaczy, że może już wrócić do domu?

Westchnęłam.

- To nie takie proste. Aby uciec, Magnus wykorzystał przeciwko policji swoją magię. To przestępstwo. Gliny mają prawo go zastrzelić, gdy tylko go zobaczą. Oni nie patyczkują się z istotami rzucającymi na nich uroki. Wcale im się nie dziwię.

- Widziałam was rozmawiających pod gołym niebem.

- Spotkałam się z nim wczorajszej nocy.

- Powiedziała pani policji?

- Nie.

Spojrzała na mnie.

- Dlaczego nie?

- Magnus z pewnością ma coś na sumieniu, w przeciwnym razie nie uciekłby, ale zasługuje na lepsze potraktowanie.

- Tak - przyznała. - To prawda.

- Skąd pani przyszło do głowy, że będzie w moim łóżku?

Znów spuściła wzrok.

- Magnus potrafi być bardzo... przekonujący. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kobieta mu odmówiła. Przepraszam, że tak o pani pomyślałam.

Przerwała, zerknęła w stronę sypialni, a potem znów na mnie. Ponownie się zaczerwieniła.

Nie zamierzałam tłumaczyć, jak doszło do tego, że w moim łóżku byli dwaj mężczyźni. Z całą pewnością było oczywiste - świadczyły o tym koc i poduszka - że spałam tutaj. To przecież jasne.

- Czego pani ode mnie chce, panno Bouvier?

- Chcę znaleźć Magnusa, zanim go zabiją. Sądziłam, że może mi pani w tym pomóc. Jak mogła pani wydać Magnusa glinom? Na pewno pani wie jak to jest być inną.

Chciałam zapytać, czy to aż tak rzuca się w oczy, czy mam wypisane na czole „Nekromantka”, ale nie zrobiłam tego. Nie chciałam usłyszeć potwierdzenia.

- Gdyby nie uciekł, zostałby tylko przesłuchany. Nie jest powiedziane, że policja musiałaby go aresztować. Czy domyśla się pani, co było powodem jego ucieczki?

Pokręciła głową.

- Sporo się nad tym zastanawiałam, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Mój brat może być odrobinę amoralny, ale nie jest złym człowiekiem.

Nie byłam pewna, czy można być „odrobinę” amoralnym, ale puściłam to mimo uszu.

- Jeżeli się ujawni i przyjdzie do mnie, odprowadzę go na komendę. Nic innego nie zdołałam wymyślić.

- Byłam wszędzie, gdzie tylko mógł się zaszyć, ale nie ma po nim śladu. Odwiedziłam nawet kopiec.

- Kopiec? - spytałam.

Spojrzała na mnie.

- Nie mówił pani o istocie?

Zastanawiałam się, czy nie skłamać, aby tylko zdobyć nowe informacje, ale jeden rzut oka na jej oblicze uświadomił mi, że pokpiłam sprawę.

- Nie, nie wspominał o żadnej istocie.

- Oczywiście. W przeciwnym razie zjawiłaby się tam już ekipa gliniarzy z dynamitem. Dynamit rzecz jasna nie zabiłby tej istoty, ale obróciłby w perzynę wszystkie nasze zakłęcia ochronne.

- Co to za istota? - spytałam.

- Czy jest coś, o czym Magnus pani mówił, czego nie zdradziła pani policji? - spytała Dorcas.

Zamyśliłam się przez chwilę.

- Nie.

- Dobrze zrobił, zatajając to przed panią.

- Możliwe, ale teraz staram się mu pomóc.

- Wyrzuty sumienia? - spytała.

- Być może - odparłam.

Spojrzała na mnie. Jej źrenice znów były widoczne i wyglądała prawie normalnie. Prawie.

- Jak mogę pani zaufać?

- Prawdopodobnie pani nie może. Ale ja chcę pomóc Magnusowi. Proszę opowiedzieć mi wszystko, panno Bouvier.

- Chcę, aby pani dała słowo, że nie powie o tym policji. Mówię serio, panno Blake. Gdyby gliny się wmieszały, istota mogłaby się wyrwać na wolność i zginęłoby wielu ludzi.

Po chwili namysłu uznałam, że policja nie musi o tym wiedzieć.

- W porządku, ma pani moje słowo.

- Może nie jestem tak dobra w rzucaniu uroków jak Magnus, ale obietnica złożona fairie to poważna sprawa, panno Blake. Okłamywanie nas bywa szkodliwe dla zdrowia.

- Czy to groźba?

- Raczej ostrzeżenie.

Powietrze między nami zafalowało jak poruszone żarem bijącym z asfaltu w upalny dzień. Jej oczy zawirowały niczym miniaturowe wiry.

Może powinnam była pokazać jej spluwę.

- Nie groź mi, Dorcas. Nie jestem w nastroju.

Magia zdawała się odpływać jak woda wsiąkająca w szczeliny w skałach. Wciąż tam była, tuż pod powierzchnią i wyczuwałam ją wyraźnie. Jednak w porównaniu z wampirami i wilkołakami, które groziły mi wielokrotnie, Dorcas wypadła bardzo blado. Magnus musiał być najbardziej utalentowanym członkiem ich rodziny. I faktycznie można się go było przestraszyć.

- Żebyśmy się dobrze zrozumiały, panno Blake. Jeśli powie pani policji, a oni uwolnią tę istotę, krew niewinnych osób splami pani dłonie.

- W porządku, jestem pod wrażeniem, a teraz słucham. Proszę opowiedzieć mi wszystko.

- Czy Magnus mówił pani o naszym przodku. Llynne Bouvierze?

- Tak, był pierwszym Europejczykiem na tych ziemiach. Wzenił się w miejscowe plemię. Nawrócił ich na chrześcijaństwo. Był także fairie.

Skinęła głową.

- Sprowadził z sobą jeszcze jedną fairie.

- Żonę? - spytałam.

- Nie, pochwycił jedną z mniej inteligentnych fairie. Uwięził ją w czarodziejskiej skrzyni. Istota uciekła i wyrznęła niemal całe plemię, z którego się wywodzimy. Ostatecznie udało mu się ją schwytać z pomocą indiańskiego szamana czy może kapłana, ale nigdy już nie odzyskał nad nią kontroli. Jedyne, co mógł zrobić, to uwięzić ją.

- Jaki to był rodzaj fairie?

- Trupia Główka to nie tylko nazwa baru - powiedziała - To także zdrobnienie imienia tej istoty - Król Trupiołowy.

Moje oczy rozszerzyły się.

- Ale to przecież tylko krwiożerczy, tępy potwór, czemu wasz przodek chciałby go pochwycić? Istoty tego rodzaju nie mają skarbów ani nie spełniają życzeń. A może się mylę?

- Nie, ma pani absolutną rację. Król Trupiołowy nie posiada żadnych bogactw ani nie dysponuje umiejętnością spełniania życzeń.

- Czemu zatem wasz przodek go pojmał?

- Większość dzieci zrodzonych z krwi ludzkiej i fairie nie posiada w sobie wielkiej magii.

- Tak mówią legendy - powiedziałam - ale Magnus zadaje im kłam.

- Llyn Bouvier zawarł swoisty pakt, dla siebie i swych potomków. Wszyscy mieliśmy odtąd dysponować magią fairie, ale za pewną cenę.

Przeciągała tę historię i byłam tym już zmęczona.

- Proszę mówić dalej, panno Bouvier. To nie film Hitchcocka, nie zależy nam na utrzymaniu suspensu.

- Czy nie przyszło pani na myśl, że opowiadanie tej historii może być dla mnie trudne i żenujące? - spytała.

- Nie. Jeżeli tak jest, to przepraszam.

- Mój przodek uwięził Króla Trupiołowego, aby móc sporządzać napój z jego krwi. Napój ten musiał być sporządzany co pewien czas i spożywany regularnie, w przeciwnym razie magia mogłaby opuścić mego przodka.

Spojrzałam na nią.

- A co na to inne fairie?

- Zmusiły go, aby uciekł do Europy, gdyby tego nie zrobił, straciłby życie. Tego typu wzajemne wykorzystywanie jest pośród nas zabronione.

- Wcale się nie dziwię.

- Jego barbarzyński czyn obdarzył nas mocą rzucania uroków. Jednak ceną za ten dar była krew. Wkrótce po uwięzieniu Króla Trupiołowego mój przodek zaprzestał sporządzania napoju. W końcu przejrzał na oczy i zaczął postrzegać to, co robił, jako zło. Choć jego moc osłabła, jego dzieci zyskały wraz z krwią moc fairie. I oto jesteśmy, kim jesteśmy. - dokończyła.

- A więc trzymacie gdzieś tutaj Króla Trupiołowego, zamkniętego w czarodziejskiej skrzyni? - spytałam.

Uśmiechnęła się, co sprawiło, że jej twarz przez chwilę wyglądała młodo i cudownie. Nie potrafiłam oszacować jej wieku.

- Kiedy magia zawiodła po raz pierwszy, Król Trupiołowy osiągnął swe pełne rozmiary. Jest większy od człowieka, dużo większy, to prawie gigant. Został uwięziony w kopcu z ziemi i magii.

- I mówi pani, że w przeszłości ten stwór omal nie wyrzwał całego plemienia?

Skinęła głową.

Westchnęłam.

- Muszę zobaczyć miejsce, gdzie ten stwór został uwięziony.

- Obiecała pani...

- Obiecałam, że nie powiem policji, ale właśnie się dowiedziałam, że w pobliżu znajduje się uwięziona gigantyczna istota, prawdziwa machina śmierci i zniszczenia. Muszę zobaczyć, czy jest należycie zabezpieczona, nie chciałabym, aby choćby tylko przypadkiem uwolniła się z pułapki i zaczęła mordować ludzi.

- Zapewniam panią, panno Blake, że nasza rodzina pilnuje tego od stuleci. Wiemy, co robimy.

- Jeżeli nie wolno mi powiadomić policji, muszę przynajmniej zobaczyć to miejsce na własne oczy.

Wyprostowała się, usiłując wykorzystać swój wzrost, aby mnie zastraszyć. Nic z tego. Nie ze mną takie numery.

- A potem co? Wezwie pani policję, prawda? Ma mnie pani za idiotkę?

- Nie sprowadzę policji, panno Bouvier, ale muszę zobaczyć ten kopiec. Gdyby ten stwór wy dostał się stamtąd, a ja nie powiadomiłabym policji, ja byłabym za to współodpowiedzialna.

- Nie sposób być gotowym na spotkanie z Królem Trupiołowym - powiedziała. - To nieśmiertelna istota, panno Blake, prawdziwie nieśmiertelna. Nie może umrzeć. Może pani odciąć jej głowę, a ona wciąż będzie żyła. Gliny mogą co najwyżej pogorszyć całą sytuację.

Miała rację.

- Mimo to muszę zobaczyć ten kopiec.

- Jest pani bardzo uparta.

- Tak, potrafię być upierdliwa, panno Bouvier. Nie zwlekajmy dłużej, proszę pokazać mi ten kopiec, pagórek czy cokolwiek to jest, a jeśli okaże się, że jest on właściwie zabezpieczony, pozwolę pani dalej sprawować nad nim pieczę.

- A jeśli uzna pani, że zabezpieczenia nie są dostateczne? - spytała.

- Skontaktujemy się z wiedźmą i zobaczymy co nam doradzi.

Zmarszczyła brwi.

- Nie pójdzie z tym pani prosto na policję?

- Gdy mój dom zostaje okradziony - wzywam policję. Gdy potrzebuję magii - zwracam się do kogoś, kto się na niej zna.

- Dziwna z pani kobieta, panno Blake. Nie rozumiem pani.

- W okolicy ostatnio sporo się dzieje - powiedziałam. - Czy pokaże mi pani miejsce uwięzienia Króla Trupiołowego, czy nie?

- W porządku. Pokażę.

- Kiedy?

- Bez Magnusa ledwie wiążemy w barze koniec z końcem, więc raczej nie dzisiaj. Proszę zajrzeć do baru jutro koło trzeciej. Wyruszymy stamtąd. Zaprowadzę panią osobiście.

- Chciałabym zabrać z sobą mojego współpracownika - powiedziałam.

- Jednego z tych mężczyzn z sypialni?

- Nie.

- Po co chce go pani zabrać?

- Ponieważ go szkole, a kto wie, czy jeszcze kiedyś nadarzy się równie wyborna okazja, aby zetknął się bliżej z magią fairie?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Dobrze, może pani zabrać ze sobą jedną osobę. Ale tylko jedną. Rozumiemy się?

- Proszę mi zaufać, panno Bouvier, jedna osoba w zupełności mi wystarczy.

- Przyjaciele mówią mi Dorrie - odparła, wyciągając do mnie rękę.

- Anita.

Uścisnęłam jej dłoń. Jak na kobietę, miała przyjemny, zdecydowany uścisk. Może to szowinizm z mojej strony, ale większość kobiet nie ma pojęcia, co znaczy porządny uścisk dłoni.

Trzymała moją dłoń dłużej, niż powinna. Kiedy ją cofnęła, przypomniałam sobie, że Magnus miał moc jasnowidzenia. Dorrie spojrzała na mnie rozszerzonymi, dziwnymi oczami. Przyłożyła dłoń do piersi, jakby poczuła nagły ból.

- Widzę ból, krew i śmierć. Otacza cię i podąża za tobą jak chmura, Anito Blake.

Patrzyłam, jak zgroza wysącza się z jej oczu. Przeraziło ją to, co zdołała zobaczyć. Fragmenty mojego życia, mojej przeszłości. Nie odwróciłam wzroku. Można się tego nauczyć. Jestem, kim jestem.

Jej oczy stały się normalne. Zamrugła powiekami.

- Nie zlekceważę cię, Anito.

Dorrie znów wyglądała tak zwyczajnie jak wtedy, kiedy tu przyszła, czyli nie za bardzo. Po raz pierwszy spojrzałam na nią, zastanawiając się, czy postrzegałam ją taką, jaką była naprawdę. Czy może rzuciła na mnie urok, aby wyglądać w moich oczach normalnie? Aby jawić się mniej potężną niż była w rzeczywistości?

- Nawzajem, Dorrie.

Znów posłała mi uśmiech, który czynił ją młodą i bezbronną. Iluzja?

- Wobec tego do jutra.

- Do jutra - powiedziałam.

Wyszła, a ja zamknęłam za nią drzwi. A więc rodzina Magnusa była strażnikami potwora. Czy to miało coś wspólnego z jego ucieczką? Dorrie tak nie uważała. Powinna wiedzieć. W pokoju czuło się moc unoszącą się łagodnie na powietrznych prądach. Magia przesycała powietrze jak zapach perfum, a ja wyczułam ją dopiero po wyjściu Dorrie. Może Dorrie była równie dobra w rzucaniu uroków jak Magnus, tyle że działała subtelniej? Czy mogłam jej zaufać?

Dlaczego zapytałam, czy mogę zabrać Larry'ego? Ponieważ wiedziałam, że to mu się spodoba. Może w ten sposób zadośćuczynię mu za to, jak go potraktowałam przy Jasonie. Ale gdy tak stałam, wyczuwając wiszącą w powietrzu moc Dorrie Bouvier, zaczęłam mieć wątpliwości, czy to był dobry pomysł. Właściwie byłam pewna, że to nie był dobry pomysł, ale skoro miałam obejrzeć ten kopiec, Larry powinien iść ze mną. Miał do tego prawo. Nawet do tego, by narażać własne życie. Nie mogłam czuwać nad nim w nieskończoność. Będzie musiał nauczyć się sam o siebie troszczyć. Smutne, lecz prawdziwe. Nie byłam jeszcze gotowa, by przeciąć pępowinę, ale musiałam dać mu nieco więcej swobody. Pozostało mi tylko mieć nadzieję, że Larry nie przypląci tej decyzji życiem.

Przespałam większość dnia, a gdy się obudziłam, okazało się, że wszyscy traktują mnie jak zapowietrzoną. Każdy bał się pozwu Quinlanów i wszędzie, gdzie się nie zwróciłam, byłam persona non grata. Agent Bradford kazał mi się pakować i zagroził wtrąceniem za kratki za utrudnianie pracy policji i mactzenie w śledztwie. To się nazywa wdzięczność. Dzień był kompletnie schrzaniony. Tylko Dolph chciał jeszcze ze mną rozmawiać. Jedyne czego się od niego dowiedziałam, to że nie znaleziono żadnych śladów Jeffa Quinlana ani ciała jego siostry. Nikt nie widział również Magnusa. Gliny przesłuchiwały kolejne osoby w poszukiwaniu śladów, a ja się obijałam, ale nikt z nas nie natrafił na nic użytecznego.

Z niejaką ulgą doczekałam nadejścia zmierzchu - teraz przynajmniej mogliśmy kontynuować. Larry wrócił do swojego pokoju. Nie zapytałam, po co. Może chciał zapewnić mi i Jean - Claude'owi odrobinę prywatności. To przerażająca myśl. Przynajmniej Larry wciąż chciał ze mną gadać. Miło wiedzieć, że ktoś wciąż miał jeszcze na to ochotę.

Rozsunęłam zasłony i patrzyłam, jak szyba nabiega czernią. Zęby umyłam w pokoju Larry'ego. Moja łazienka była niedostępna. Nie miałam ochoty oglądać Jasona nago. A już szczególnie nie chciałam widzieć Jean - Claude'a. W tej sytuacji musiałam skorzystać z łazienki w pokoju Larry'ego.

Usłyszałam, jak otwierają się drzwi sypialni, ale nie odwróciłam się. Domyśliłam się, kto to mógł być.

0Witaj, Jean - Claude.

0Dobry wieczór, *ma petite*.

Odwróciłam się. W pokoju było prawie ciemno, Jedyne światło płynęło z latarni ulicznej i hotelowego neonu. Jean - Claude stanął w słabym świetle. Ubrany był w koszulę ze stójką zasłaniającą całą szyję. Kołnierzyk był zapięty na guziki z masy perłowej. Przy całej koszuli było ich chyba z tuzin. Na koszuli, miał nałożony czarny jak smoła surdut. Z rękawów wystawały mankiety koszuli, szerokie, sztywne, zakrywające pół dłoni. Uniósł rękę i mankiety odgiął się do tyłu, w żaden sposób nie krępując jego ruchów. Nogawki czarnych spodni zniknęły w cholewkach czarnych butów. Sięgały one aż do końca jego ud, tak że wyglądał, jakby przyobleczono go w czarną skórę przytrzymywaną przy pomocy równie czarnych sprzączek.

- Podoba ci się? - spytał.

- Tak, jest czadowe.

- Czadowe - powtórzył z rozbawieniem.

- Nie potrafisz nawet przyjąć komplementu - mruknęłam.

- Wybacz, *ma petite*. To był komplement. Dziękuję.

- Nie ma za co. Czy możemy już pójść po twoją trumnę?

Opuścił krąg światła i nie widziałam już jego twarzy.

- W twoich ustach wszystko wydaje się takie proste, *ma petite*.

- Anie jest?

Zapadła cisza, tak gęsta, że wydawało się, iż w pokoju nie ma nikogo. Omal go nie zawołałam; zamiast tego podeszłam do barku i zapaliłam lampkę powyżej. Zabłyśło łagodne, białe światło. Pokój wyglądał teraz jak wnętrze pieczary. Przy zapalonym świetle czułam się lepiej. Jednak odwrócona plecami do miejsca, gdzie powinien stać, nie wyczuwałam Jean - Claude'a. Pokój wydawał się pusty. Odwróciłam się i ujrzałam go siedzącego na jednym z krzeseł. Nawet gdy na niego spojrzałam, nie poruszył się. Wyglądał jak na zatrzymanym filmie.

- Wolałabym, żebyś tego nie robił - rzuciłam. Odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Jego oczy były czarne jak noc. Słabe światło wychwytiło w nich niebieskie iskierki.

- Czego miałbym nie robić, *ma petite*?

Pokręciłam głową.

- Nieważne. Co jest nie tak z dzisiejszym wieczorem? W czym problem? Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.

Wstał jednym, płynnym ruchem, którego nie dostrzegłam - w jednej chwili siedział, w następnej już był na nogach.

- Zgodnie z regułami, Serephina może rzucić mi dziś wyzwanie.

- Czy Serephina to imię mistrzyni?

Skinął głową.

- Nie boisz się, że powiem glinom?

- Zaprowadzę cię do niej, *ma petite*. Nic będziesz miała czasu, aby przez swą popędliwość popełnić jakieś głupstwo.

Gdybym miała tkwić tu beczynn timer przez cały dzień, znając tylko jej imię, czy spróbowałabym odnaleźć ją na własną rękę? Pewnie, że tak.

- Świetnie. Ruszajmy.

Zaczął krążyć po pokoju, uśmiechając się i kręcąc głową.

- *Ma petite*, czy zdajesz sobie sprawę, co może oznaczać to wyzwanie?

- To, że będziemy musieli z nimi walczyć, zgadza się?

Przystanął w kręgu światła. Zajął miejsce na jednym ze stołków barowych.

- Nie ma w tobie strachu. W ogóle.

Wzruszyłam ramionami.

- Strach w niczym nie pomaga. Trzeba być przygotowanym i tyle. Boisz się jej? - Spojrzałam na niego, usiłując przejrzeć tę niezwykłą maskę.

- Nie lękam się jej mocy. Ufam, że pod tym względem jesteśmy sobie prawie równi, ale po wiedzmy, że jestem ostrożny. Równość równością, ale jestem na jej terytorium, mając tylko jednego z moich wilków, moją ludzką służebnicę i monsieur Lawrence'a. Nie jest to pokaz siły, na jaki zdecydowałbym się z okazji ponownego spotkania po dwóch stuleciach.

- Dlaczego nie sprowadzisz więcej ludzi? A raczej więcej wilkołaków?

- Gdybym miał czas, by przedyskutować kwestię mojej świty, uczyniłbym to, jednak w tym pośpiechu... - Spojrzał na mnie. - Nie było czasu na negocjacje.

- Czy coś ci grozi?

Zaśmiał się posępnie.

- Ona pyta, czy coś mi grozi! Kiedy rada poprosiła, bym podzielił moje terytoria, obiecali, że umieszczą tu kogoś równego lub słabszego ode mnie pod względem mocy. Nie spodziewali się jednak, że wkroczę na jej ziemie bez przygotowania.

- Oni, to znaczy kto? Co to za rada?

Przekrzywił głowę w bok.

- Czy naprawdę stykasz się z nami od tak dawna i nigdy nie słyszałaś o naszej radzie?

- Opowiedz mi - poprosiłam.

- Mamy u nas radę, *ma petite*. Istnieje ona od bardzo dawna. To nie tyle organ rządzący, co raczej sąd lub może policja. Zanim wasze sądy przyznały nam prawa obywatelskie, mieliśmy niewiele zasad i tylko jedno prawo. Nie będziesz zwracać na siebie uwagi. To prawo, o którym zapomniał Tepes.

- Tepes - powtórzyłam. - Vlad Tepes? Masz na myśli Draculę?

Jean - Claude tylko na mnie spojrzał. Jego twarz była pusta, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Wyglądał jak wyjątkowo urodziwy pomnik, o ile oczy pomnika mogą lśnić jak szafiry. Nie zdołałam odgadnąć, o czym myślał, ale temu właśnie miał zapobiec nijaki wyraz jego twarzy.

- Nie wierzę ci.

- Odnośnie rady, naszego prawa czy Tepesa?

- Tego ostatniego.

- Och, zapewniam cię, że go zabiliśmy.

- Powiedziałaś to tak, jakbyś był przy tym. Kiedy on zmarł, w czternastym wieku?

- Który to był rok... 1476 czy 1477? - Zasepił się, jakby próbował to sobie przypomnieć.

- Nie jesteś aż tak stary - upomniałam go.

- Na pewno, *ma petite*? - Znow ukazał mi swoje nieodgadnione oblicze, nawet jego oczy wydawały się martwe i puste. Zupełnie jakbym miała przed sobą dobrze skonstruowaną lalkę.

- Na pewno.

Uśmiechnął się i westchnął. Życie - z braku lepszego określenia - powróciło do jego twarzy i ciała. To jak patrzeć na ożywającego Pinokia.

- Cholera.

- Miło wiedzieć, że wciąż od czasu do czasu potrafisz cię zdenerwować, *ma petite*.

Odpuściłam. Dobrze wiedział, jak na mnie działa.

- Skoro Serephina jest równa tobie, zajmiesz się nią, a ja wystrzelam pozostałych.

- Wiesz, że to nie będzie takie proste.

- Nigdy nie jest.

Patrzył na mnie z uśmiechem.

- Naprawdę sądzisz, że rzuci ci wyzwanie?

- Nie, ale chciałem, abyś wiedziała, że może to zrobić.

- Czy powinnam wiedzieć coś jeszcze?

Uśmiechnął się szeroko, błyskając kłębem. Cudownie wyglądał w świetle. Skórę miał bladą ale niezupełnie białą. Dotknęłam jego ręki.

- Jesteś ciepły.

Utkwił we mnie wzrok.

- Tak, *ma petite*, i co w związku z tym?

- Spałeś cały dzień. Powinieneś być zimny w dotyku, dopóki się nie posilisz.

Przyglądał mi się tylko swymi bezdennymi oczyma.

- Cholera - mruknęłam i pomaszerowałam do sypialni.

Nie próbował mnie zatrzymać. Nawet się nie starał. To mnie zdenerwowało. Niemal pędem wpadłam do sypialni.

Jedyne co ujrzałam, to blady zarys ciała na łóżku. Zapaliłam światło. Blask sufitowej lampy bezlitośnie zalał wnętrze sypialni. Jason leżał na brzuchu, jego jasne włosy rozsypały się na ciemnej poduszce. Był nagi, jeśli nie liczyć niebieskich slipek. Podeszłam do łóżka, wlepiając wzrok w jego plecy, wypatrując oznak, że wciąż oddychał. Kiedy znalazłam się bardzo blisko, ujrzałam, że jego plecy powoli unoszą się i opadają. Kamień spadł mi z serca.

Aby go dosięgnąć, musiałam uklęknąć na brzegu łóżka. Dotknęłam jego ramienia. Poruszył się. Przewróciłam go na bok. Nie próbował mi pomóc. Był całkowicie bierny. Patrzył na mnie spod pół - przymkniętych powiek. Po jego szyi spływały dwie strużki szkarłatu. Krwi było mało, nawet nie zaplamiała pościeli. Nie sposób było stwierdzić, ile stracił. Ile pobrał od niego Jean - Claude.

Jason uśmiechnął się do mnie. To był powolny, leniwy uśmiech.

- Wszystko gra?

Objął mnie ręką w pasie i ułożył się na wznak.

- Zakładam, że tak. - Próbowałam wstać z łóżka, ale przytrzymał mnie mocno. Przyciągnął mnie do siebie. Wyjęłam browninga. Mógł mnie powstrzymać, ale nie zrobił tego.

Przytknęłam lufę pistoletu do jego piersi. Drugą rękę oparłam o jego zębra, aby nie mógł przyciągnąć mnie jeszcze bardziej. Zaczął podnosić się w moją stronę.

- Nacisnę spust.

Znieruchomiał z twarzą oddaloną o kilka centymetrów od mojej.

- Wylizę się.

- Czy jeden pocałunek jest wart postrzału?

- Nie wiem - odparł. - Wszyscy inni uważają, że warto. - Powoli przysuwał się do mnie, dając mi czas na podjęcie decyzji.

- Puść ją Jasonie, ale już. - Głos Jean - Claude'a wypełnił sypialnię szeptem brzmiącym jak ciche echa.

Jason puścił mnie. Ześlizgnęłam się z łóżka z pistoletem w dłoni.

- Dziś wieczorem potrzebuję mego wilka, Anito. Postaraj się nie postrzelić go przed naszym spotkaniem z Serephiną.

- Powiedz mu, żeby przestał się do mnie przystawiać - rzuciłam.

- Zrobię to, *ma petite*, zrobię to.

Jason znów się położył. Zgiął jedną nogę w kolanie, dłonie złożył na brzuchu. Wydawał się rozluźniony, podniecony, ale nie odrywał wzroku od Jean - Claude'a.

- Nie mówiłeś, że nie wolno jej tknąć.

- Mówię to teraz - powiedział Jean - Claude.

Jason usiadł na łóżku.

- Od tej pory będę zachowywał się jak na dżentelmena przystało.

- O tak - powiedział Jean - Claude. - Z pewnością. - Stał w progu, piękny i niebezpieczny zarazem. To czuło się nawet w jego głosie, który wypełnił cały pokój. - Zostaw nas teraz samych, *ma petite*.

- Nie mamy na to czasu - mruknęłam.

Jean - Claude spojrzał na mnie. Jego oczy były całkiem granatowe, białka zniknęły.

- Chronisz go?

- Nie chcę, aby coś mu się stało tylko dlatego, że stracił przy mnie panowanie nad sobą.

- A jednak mogłabyś do niego strzelić.

Wzruszyłam ramionami.

- To, że nie żartuję, nie oznacza, że nie popełniam błędów.

Jean - Claude roześmiał się. Ta nagła zmiana nastroju sprawiła, że oboje z Jasonem drgnęliśmy gwałtownie. Jego śmiech był gęsty i słodki jak czekolada, nieomal czułam ten smak w ustach.

Spojrzałam na Jasona. Patrzył na Jean - Claude'a jak dobrze ułożony pies na swego pana, usiłujący przewidzieć jego kolejne polecenie.

- Ubierz się, mój wilku, i ty także, *ma petite*, musisz się przebrać.

Miałam na sobie czarne dżinsy i niebieską koszulkę polo.

- A co jest nie tak z moim strojem?

- Tej nocy musimy wszystkich olśnić, *ma petite*. Nie prosiłbym o to, gdyby to nie było ważne.

- Nie założę dziś sukienki.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie. Raczej coś bardziej stylowego. Jeśli twój młody przyjaciel nie ma nic, co mogłoby się nadawać, sądzę, że on i Jason są tego samego wzrostu. Na pewno coś dla niego znajdziemy.

- Musisz pomówić o tym z Larrym.

Jean - Claude patrzył na mnie przez moment.

- Jak sobie życzysz, *ma petite*. A teraz czy zechciałabyś wyjść, aby Jason mógł się ubrać? Zostanę tu, dopóki nie wybierzesz dla siebie bardziej odpowiedniego stroju.

Miałam ochotę zaproponować. Nie lubię, gdy ktoś mówi mi, co mam na siebie włożyć, ale tym razem odpuściłam. Stykałam się z wampirami dostatecznie długo, by wiedzieć, że podziwiały one to co widowiskowe i niebezpieczne. Skoro Jean - Claude twierdził, że mamy olśnić tamtych, może miał rację. Nie zaszkodzi, jeśli się trochę odstawię. Gdybym odmówiła, mogłoby to kosztować życie nas wszystkich. Nie znałam reguł na tę okoliczność. Może zresztą w ogóle ich nie było.

Pakując się, nie brałam pod uwagę spotkania z mistrzynią wampirów, więc możliwości wyboru miałam dość ograniczone. Wybrałam karmazynowa bluzkę ze stójką i koronką z przodu. Koronki były też przy mankietach. Przypominało to skrzyżowanie eleganckiej, współczesnej bluzki z modelem z epoki wiktoriańskiej. Gdyby nie ta czerwień, wyglądałaby dość konserwatywnie. Nie chciałam jej założyć, bo wiedziałam, że na pewno spodoba się Jean - Claude'owi. Gdyby nie ten kolor, byłby to ciuch który nosiłabym z przyjemnością. Nałożyłam na bluzkę czarny żakiet. Dorzuciwszy do tego dwa pistolety, oba noże i krzyżyk na łańcuszku na szyi, ukryty pod bluzką byłam gotowa do wyjścia.

- Czy możemy już wejść, *ma petite*?

- Jasne.

Otworzył drzwi i otaksował mnie wzrokiem.

- Wyglądasz olśniewająco, *ma petite*. Podoba mi się nie ten makijaż.

- Bez niego w czerwieni wyglądam blado.

- Oczywiście. Czy masz inne buty?

- Tylko najki i szpilki. W najkach swobodniej się poruszam.

- Bluzka jest niesamowita. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Zostań w butach do biegania. Są przynajmniej czarne.

Jason wyszedł z sypialni. Miał na sobie czarne, skórzane spodnie, tak obcisłe, że widać było, iż nie nosił pod nimi bielizny. Do tego orientalna koszula ze stójką zapinana na jeden czarny guzik i przewiązana rzemykiem. Rękawy były długie, a niebieski kołnierzyk pasował do koloru jego oczu. Koszula była wyszywana ciemnoniebieską i żółtą nicią o tak ciemnym odcieniu, że wydawała się prawie złocista. Rękawy, kołnierzyk i brzegi ozdobione były czarną lamówką. Kiedy Jason poruszył się, poły koszuli rozchyliły się, odsłaniając nagi brzuch. Miękkie, czarne buty sięgały mu do kolan.

- No, przynajmniej wiem, u kogo się ubierasz - powiedziałam.

W porównaniu z nimi będę wyglądać jak uboga krewna.

- Zechciej przyprowadzić tu monsieur Kirklanda. Gdy tylko się przebierze, będziemy mogli wyruszyć w drogę.

- Larry może nie zechcieć się przebrać.

- Jeśli nie zechce, to tego nie robi. Nie zamierzam go przymuszać.

Spojrzałam na niego, nie byłam pewna, czy mu uwierzyłam, ale poszłam po Larry'ego. Zgodził się pójść do sypialni i przejrzeć rzeczy, ale nie mógł obiecać, że się przebierze.

Wyszedł, wciąż mając na sobie granatowe dzinsy i najki. Zamienił swój podkoszulek na błękitną jedwabną koszulę. To sprawiło, że jego oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zazwyczaj. Czarna, skórzana kurtka, trochę za szeroka w barach, ukrywała kaburę podramienną. To było lepsze niż obszerne flanelowe koszule, które nosił. Kołnierz koszuli był wyłożony na kołnierz kurtki.

- Powinnaś przejrzeć te rzeczy - rzucił Larry. Pokręcił głową jakby nie wierzył w to, co tam ujrzał. - Nawet nie wiedziałbym, jak założyć niektóre z nich.

- Ładnie wyglądasz - powiedziałam.

- Dzięki.

- Czy możemy już iść? - spytałam Jean - Claude'a.

- Tak, *ma petite*. Możemy już iść. To będzie ciekawe znów spotkać Serephinę po dwóch stuleciach.

- Wiem, że to dla ciebie jak spotkanie po latach, ale nie zapominajmy, po co tu jesteśmy - przypominałam. - Xavier ma Jeffa Quinlana. Kto wie, co z nim teraz robi? Chcę, aby chłopak wrócił cały i zdrowy do domu. To już druga noc. Musimy dotrzeć do niego jeszcze tej nocy albo znaleźć kogoś, kto zdoła tego dokonać.

Jean - Claude pokiwał głową.

- Wobec tego ruszajmy w drogę, *ma petite*. Sephina nas oczekuje. - Wydawał się podniecony, jakby nie mógł już doczekać się spotkania z nią. Dopiero teraz zaczęłam zastanawiać się, czy on i Serephina byli kochankami. Wiedziałam, że Jean - Claude nie był prawiczką. Nie miałam co do tego złudzeń. Tyle że wiedzieć, iż miał kochanki, to jedno, a spotkać jedną z nich to całkiem co innego. Z pewnym niepokojem stwierdziłam, iż bardzo się tym przejmuję. Bardziej niż powinnam.

Uśmiechnął się do mnie, zupełnie jakby wiedział, o czym pomyślałam. Białka jego oczu powróciły. Dzięki temu wyglądał prawie jak człowiek. Prawie.

Jean - Claude maszerował przez parking w swoich długich butach i surducie, wyglądał tak, jakby tylko czekał, aby ktoś zrobił mu zdjęcie lub poprosił o autograf. Szliśmy za nim jak królewski orszak. I chyba rzeczywiście byliśmy jego świtą, czy to nam się podobało, czy nie. W celu ocalenia Jeffa Quinlana byłam gotowa przez pewien czas stulić uszy po sobie i odgrywać rolę pokornej wazeliniary. O ile robi się to w słusznej sprawie, nie mam nic przeciwko temu.

- Ty poprowadzisz, czy masz zamiar powiedzieć jak dojechać do domu Serephiny? - spytałam.

- Powiem ci, gdzie masz skręcić, gdy przyjdzie na to czas.

- Myślisz, że mogłabym podać adres jej domu glinom?

- Nie - odparł. I to wszystko, co powiedział.

Spojrzałam na niego spode łba, ale wszyscy wsiedliśmy do dżipa. Zgadnijcie, kto zajął miejsce na przednim siedzeniu.

Wyjechaliśmy na główną ulicę - Strip. Samochody sunęły tu zderzak w zderzak. Gdy trafi się na korek, pokonanie czterech mil Stripu może zająć parę godzin. Jean - Claude kazał mi skręcić w jedną z bocznych ulic. Wyglądała jak podjazd prowadzący do teatru, ale okazała się być drogą dojazdową. Jeśli znasz objazd pomniejszych ulicami, możesz ominąć największe korki.

Będąc w Branson, nigdy byś się nie domyślił, że tuż za pobliskim wzgórzem jest prawdziwe Ozark. Góry, lasy i domy ludzi, którzy nie żyją z turystów. Na Stripie dominowały neony i sztuczność; w ciągu piętnastu minut znaleźliśmy się na otoczonej drzewami drodze ciągnącej się pośród gór Ozark.

Mojego dżipa spowiła ciemność. Mrok rozpraszał tylko słaby blask gwiazd i snopy światła z reflektorów.

- Wyglądasz, jakbyś nie mógł się doczekać spotkania z Serephiną, nawet pomimo zaginięcia twojej trumny - zauważyłam.

Jean - Claude odwrócił się na siedzeniu na tyle, na ile pozwalał mu na to pas bezpieczeństwa. To ja zmusiłam wszystkich do zapięcia pasów. Wampir był rozbawiony moją determinacją. To chyba idiotyzm, zmuszać nieboszczyka do zapięcia pasa bezpieczeństwa, ale bądź co bądź to ja siedziałam za kółkiem.

- Wydaje mi się, że Serephina wciąż myśli o mnie jak o bardzo młodym wampirze, jakiego znała setki lat temu. Gdyby uważała mnie za godnego przeciwnika, wystąpiłaby przeciwko mnie lub moim sługom bezpośrednio. Nie posunęłaby się do czegoś tak płytkiego jak kradzież trumny. To oznaka nadmiernej pewności siebie.

- A skoro mowa o twoich sługach - wtrącił Larry siedzący z tyłu - czy to przypadkiem ty nie jesteś nadmiernie pewny siebie?

Jean - Claude spojrział na niego.

- Serephiną miała już setki lat, kiedy ją poznałem. Wampir osiąga limit swoich mocy po dwóch, trzech stuleciach. Znam granicę jej możliwe Lawrence.

- Przestań mówić do mnie Lawrence. Jestem Larry.

- Dobrze go wyszkoliłaś - westchnął Jean - Claude.

- Taki już był - mruknęłam.

- Szkoda.

Wszystko wskazywało na to, że czeka nas pełne wrogości spotkanie po latach. Zapowiadało się, że będzie niebezpiecznie. Co prawda Jean - Claude starał się umniejszać zagrożenie, ale wiedziałam o wampirach jedno - krwio pijcy byli jak iluzjoniści. Wciąż wyciągali ze swych cylindrów kolejne króliki. Co więcej, były to wielkie, zębate, drapieżne króliki, które jeśli nie okażesz dostatecznej ostrożności, w jednej chwili mogły rzucić ci się do gardła.

- A co zamierza robić nasz człowiek - wilk?

- Zrobię to, co mi każą - odparł Jason.

- Doskonale - stwierdziłam.

Jechaliśmy w milczeniu. Jean - Claude nie przepada za niezobowiązującymi pogawędkami, a i ja nie byłam w nastroju do rozmowy. Mogliśmy udawać, że wszystko jest pięknie i cacy, ale gdzieś tam Jeff Quinlan budził się, by spędzić drugą noc pod czułą opieką Xaviera. Na samą myśl o tym przechodziły mnie lodowate ciarki.

- Zbliżamy się do zakrętu. Będzie zaraz po prawej, *ma petite*.

Głos Jean - Claude'a sprawił, że aż podskoczyłam na siedzeniu. Pograżyłam się w milczeniu, kontemplując czarną wstęgę szosy.

Zwolniłam. Nie chciałam przeoczyć skrętu. Od głównej drogi odchodziła druga, węższa, zwirowa. Niczym się nie wyróżniała. Była absolutnie nijaka.

Droga była wąska, a drzewa rosły po obu jej stronach tak gęsto, że miałam wrażenie, jakbyśmy jechali przez tunel. Nagie gałęzie i konary splatały się w górze niczym brązowoszare sklepienie tunelu. Snopy światła z reflektorów przesuwwały się po niemal całkiem nagich drzewach i podskakiwały, kiedy dżip natrafiał na wykrot. Nagie drewniane paluchy bębniły o dach dżipa. Czułam narastającą klaustrofobię.

- Rany - mruknął Larry. Przycisnął twarz do szyby na tyle, na ile pozwalały mu pasy. - Gdybym nie wiedział, że na końcu tej drogi jest dom, zawróciłbym.

- I o to chodzi - wtrącił Jean - Claude. - Większość starszych nade wszystko ceni sobie prywatność.

W świetle reflektorów pojawiła się zajmująca niemal całą szerokość drogi rozpadlina. Wyglądało tak, jakby ta droga była przez dekady rozmywana przez deszcze.

Larry wychylił się w pasach do przodu.

- Co się stało z drogą?

- Dżip da sobie radę - zapewniłam.

- Na pewno? - zapytał.

- Raczej tak - odparłam.

Jean - Claude rozparł się na fotelu. Wydawał się odprężony, absolutnie rozluźniony, jakby wsłuchiwał się w niesłyszalną dla mnie muzykę, dumając nad czymś, czego nigdy nie zdołałabym pojąć.

Jason wychylił się do przodu, opierając dłoń na moim fotelu.

- Dlaczego nie wyasfaltowała tej drogi? Mieszka tu od ponad roku.

Spojrzałam na Jasona. Zaciekawilo mnie, że wiedział o sprawach Jean - Claude'a więcej ode mnie.

- To jej fosa - stwierdził Jean - Claude. - Jej bariera przeciwko ciekawskim. Wielu znajduje nasz nowy status trudnym do zaakceptowania i wciąż odcina się od świata.

Koła przetoczyły się przez krawędź. To było jak przejazd przez krater. Jakimś cudem dżip zdołał wygramolić się po drugiej stronie. Gdybyśmy byli w zwykłym samochodzie, dalej musielibyśmy iść pieszo.

Droga pięła się pod górę jakieś sto metrów, aż nagle po jej prawej stronie ukazał się prześwit. Nie był dość obszerny, aby dżip mógł nim przejechać bez zadrapania lakieru. Prześwit zdradzało jedynie światło księżyca igrające z mrokiem drzew. Ten księżycowy blask oznaczał, że coś tam było. Trawa porosła zwirową połąć czegoś, co mogło być kiedyś podjazdem.

- Czy to tutaj? - spytałam dla pewności.

- Chyba tak - odparł Jean - Claude.

Wprowadziłam dżipa między drzewa i wsłuchiwałam się w łomot gałęzi o dach i ściany

pojazdu. Miałam nadzieję, że dżip był własnością firmy Stirlinga, a nie był przez nią tylko wypożyczony. Wyjechaliśmy spomiędzy drzew przy wtórze cichego, metalicznego zgrzytu. Przed nami ukazała się, wysrebrzona księżycowym blaskiem, rozległa polana. Trawa była ścięta krótko, jakby ktoś zeszłej jesieni wykarczował cały ten teren i nie dbał o niego przez zimę. Za domem rozciągał się zdziczały sad. Teren wznosił się łagodnie w kierunku podnóża góry. Za wykarczowaną łąką można było dostrzec gęsty, nietknięty las.

Dom stał pośrodku łagodnego wzniesienia. W blasku księżyca wydawał się srebrzystoszary. Tu i ówdzie widać było odłazące płyty farby, jak smętne pozostałości ubrania ofiary wypadku. Front domu ozdobił kamienny, duży ganek, skrywający w cieniu zarówno okna, jak i drzwi wejściowe.

- Zgaś światła, *ma petite*.

Spojrzałam na ten mroczny ganek i nie chciałam gasić światła. Blask księżyca powinien móc przeniknąć te cienie.

- Światła, *ma petite*.

Zgasiałam światła. Blask księżyca omiółł nas jak podmuch wiatru. Ganek pozostał mroczny jak czarna dziura. Jean - Claude wypiął się z pasa i wysiadł. Chłopcy zrobili to samo. Ja wysiadłam ostatnia. Na trawie ułożone były duże, płaskie kamienie tworzące chodnik ciągnący się łukiem w stronę ganku. Obok obłazących z farby drzwi widać było szerokie, panoramiczne okno. Szkło było zbite. Ktoś zabił okno kawałkiem deski.

Mniejsze okno po drugiej stronie drzwi pozostało nienaruszone, ale tak brudne, że nic nie było przez nie widać. Cienie wirowały i zdawały się tak gęste, że prawie namacalne. Przywodziły na myśl ciemność, z której na moich oczach wyłonił się miecz. Nie była jednak aż tak gęsta. Ten mrok byłam w stanie prać nikać wzrokiem. Nie było tam nic prócz cieni.

- Co jest z tymi ciemnościami? - spytałam.

- To salonowa sztuczka - odparł Jean - Claude. - Nic więcej.

Wspiął się po schodach, nie oglądając się wstecz. Jeżeli był zmartwiony, nie dawał tego po sobie poznać. Jason również wszedł na ganek. Larry i ja zrobiliśmy to na końcu. Cóż innego mogliśmy uczynić? Cienie były chłodniejsze, niż powinny i stojący obok mnie Larry zaczął dygotać. Nie czuliśmy jednak aury mocy. Tak jak powiedział Jean - Claude - salonowe sztuczki.

Siatkowe drzwi były wyrwane z zawiasów. Leżały na ganku, oderwane i zapomniane. Nawet mimo ochrony, jaką zapewniał ganek, wewnętrzne drzwi były spaczone i obłaziły z farby na skutek działania warunków pogodowych. W kątach ganku walały się naniesione przez wiatr liście.

- To na pewno tutaj? - spytał Larry.

- Na pewno - odrzekł Jean - Claude.

Zrozumiałam sens pytania. Gdyby nie cienie, powiedziałabym, że dom jest opuszczony.

- Te cienie zniechęciłyby przypadkowego wędrowca - stwierdziłam.

- Ja na pewno nie zajrzałam tu w Halloween po łakocie - mruknął Larry.

Jean - Claude spojrzął na nas.

- Nadchodzi nasza gospodyni.

Wypaczone, pokiereszowane drzwi otworzyły się. Spodziewałam się, że usłyszę zgrzyt zawiasów, ale drzwi uchyliły się gładko. W progu stanęła kobieta. Pokój za jej plecami tonął w ciemnościach, jej ciało odcinało się na tle mroku. Jednak nawet w ciemnościach zrozumiałam dwie rzeczy: to była wampirzyca i nie była dość stara, aby mogła być Serephiną.

Wampirzyca była zaledwie o kilka centymetrów wyższa ode mnie. W dłoni trzymała nie zapaloną świecę. Przez pokój przetoczyła się fala mocy, od której zjeżyły mi się włoski na karku. Świeca zapaliła się, a ja ujrzałam przed oczami wirujące powidoki.

Wampirzyca miała brązowe włosy, wygolone po bokach głowy. Małżowiny jej uszu ozdobiono srebrnymi ćwiekami. Z lewego ucha zwieszał się długi kolczyk - zielony emaliowy liść na srebrnym łańcuszku. Nosiła czerwoną sukienkę ze skóry, tak obcisłą powyżej pasa, że nie sposób było nie zwrócić uwagi na jej bujne piersi. Dół sukni opadał luźno aż do jej kostek. Skórzana suknia, no, no.

Uśmiechnęła się do nas, błyskając kłami.

- Jestem Ivy. - W jej głosie pobrzmiwał śmiech, ale w przeciwieństwie do Jean - Claude'a, którego śmiech miał w sobie coś erotycznego, w jej przypadku kojarzył się z czymś ostrym jak tłuczone szkło, co nie miało podniecać, lecz ranić, kaleczyć i przerażać. - Wejdźcie w nasze progi i bądźcie pozdrowieni. - Słowa brzmiały aż nadto formalnie, jak wyuczona formułka lub nie do końca zrozumiała inkantacja.

- Dziękuję, Ivy, za to jakże hojne zaproszenie - powiedział Jean - Claude. Nagle ujął ją za rękę. Nie zauważyłam, kiedy to zrobił. Zupełnie jakbym przegapiła klatkę filmu. Sądząc po wyrazie twarzy Ivy, ona czuła to samo. Wydawała się wściekła.

Jean - Claude bardzo wolno uniósł jej dłoń do ust. Ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Tak możesz kłaniać się przeciwnikowi w dojo, bo jeśli odwrócisz wzrok, w chwilę później znajdziesz się na macie.

Strużka wosku ściekła po białej świecy. Trzymała ją w ręku, bez świecznika. Jean - Claude przyłożył usta do wierzchu jej dłoni. Wosk zaczął ściekać szybciej, niż powinien.

Puścił jej dłoń w ostatniej chwili, aby uniknąć poparzenia, ona jednak dalej stała w bezruchu, pozwalając, by gorący wosk spłynął na jej skórę. Tylko błyski w jej oczach świadczyły, że odczuła ból. Pozwoliła, by wosk stwardniał na jej dłoni. Od strużki wosku zaczął rozchodzić się czerwony ślad oparzenia. Zignorowała go.

Wosk ze świecy przestał już spływać. Zwykle gdy świeca raz zacznie się topić, już nie

przestaje. Wosk utworzył małą, złocistą kałużę, zastygłą u szczytu świecy jak kropla wody, która czeka, aby móc oderwać się od wylotu kranu.

Przeniosłam wzrok na Jean - Claude'a i pokręciłam głową. Czy mówi wam coś słowo „dziecinada”? Ale nie powiedziałam tego głośno. Być może był to jakiś pradawny wampirzy rytuał. Szczerze mówiąc jednak, raczej w to wątpiłam.

- Czy twoi towarzysze wejdą do środka? - Ivy odstąpiła na bok, szeleszcząc szeroką suknią i unosząc świecę w górę, by oświetlić nam drogę.

Jean - Claude stanął w drzwiach po drugiej stronie i aby wejść do domu, musieliśmy przejść pomiędzy dwoma wampirami. Ufałam, że Jean - Claude nie zechce mnie ukąsić. Byłam również pewna, że powstrzymałby Ivy, gdyby spróbowała się na mnie rzucić. Nie podobało mi się tylko, że Jean - Claude miał z tego taki ubaw. To mnie denerwowało. Zwykle gdy wampiry zaczynają się dobrze bawić, sprawy bardzo szybko przybierają paskudny obrót.

Jason przeszedł pomiędzy nimi i znalazł się wewnątrz domu. Larry spojrzął na mnie. Wzruszyłam ramionami i przestąpiłam próg. Larry ruszył za mną ufając, że jeśli będę przy nim, nie stanie mu się nic złego. Zapewne miał rację. Zapewne.

Drzwi zatrzasnęły się za nami, ale nie sądzę, aby ktoś je zamykał, w każdym razie nie przy pomocy dłoni. Groźne czy nie, te małe popisy mocy zaczynały działać mi na nerwy.

Powietrze w pomieszczeniu było nieruchome, zatęchłe. Pachniało suchością, grzybem i pleśnią. Nawet z zamkniętymi oczami bez trudu można się było zorientować, że te pokoje od bardzo dawna były puste. Łukowato sklepione przejście po lewej prowadziło do mniejszego pokoju. Zobaczyłam łóżko z narzutą i poduszkami, tak zakurzone, że wydawało się szare. W kącie stała toaletka, w jej lustrze odbijało się wnętrze pustego pokoju.

W salonie nie było mebli. Drewnianą podłogę zalegał kurz. Suknia Ivy pozostawiała w nim ślad, gdy wampirzyca szła w kierunku drzwi w przeciwległej ścianie. Spod drzwi przebijało słabe światło. Żółte, gęstsze niż elektryczne. Pewnie kolejne świece.

Drzwi otworzyły się, zanim Ivy dotarła do nich. Gęsta fala światła wypłynęła na zewnątrz, jaśniejsza niż w rzeczywistości, gdyż długo już pozostawaliśmy w mroku. W świetle stał wampir. Był niski, szczupły, z twarzą zbyt młodą, aby można ją uznać za przystojną, była co najwyżej ładna. Nie żył od niedawna, jego skórę wciąż jeszcze zdobiła opalenizna nabyta na plaży, nad jeziorem czy w jakimś innym nasłonecznionym miejscu. Jak na trupa wyglądał przerażająco młodo. Musiał mieć osiemnaście lat, gdyby miał mniej, oznaczałoby to, że przeistoczono go w wampira nielegalnie, ale mimo to wyglądał delikatnie i dziecinnie. Żywa przynęta.

- Jestem Bruce. - Wydawał się odrobinę skrępowany. Może to przez strój. Miał na sobie jasnoszary smoking z lampasami na nogawkach spodni. Białe rękawiczki dobrano pod kolor koszuli. Kamizelka była jedwabna i szara. Muszka i pas czerwone, w identycznym odcieniu jak suknia Ivy. Wyglądali, jakby wybierali się na bal maturalny.

Po obu stronach drzwi stały kandelabry wielkości człowieka, wypełniając pokój płynnym, złocistym światłem. Pokój za progiem był dwukrotnie większy od salonu i zapewne był niegdyś kuchnią. W przeciwieństwie jednak do pomieszczeń od frontu, został w znacznym stopniu przemodelowany. Na podłodze leżał perski dywan. Barwy były tak jasne, że kojarzyły się z szybami witraża. Na dwóch najdłuższych ścianach zawieszono gobeliny. Jeden z nich przedstawiał jednorożca uciekającego przed sforą psów. Drugi scenę batalistyczną tak wyblakłą ze starości, że sylwetki były prawie niewidoczne. Przeciwległy koniec pokoju udekorowano jasnymi, jedwabnymi draperiami zaopatrzonymi w grube sznury. Na lewo od draperii otworzyły się drzwi.

Ivy wstawiła trzymaną świecę na puste miejsce w kandelabrze. Stała przed Jean - Claude'em. Musiała unieść głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

- Jesteś piękny. - Przesunęła palcami po brzegu jego surduta. - Myślałam, że to kłamstwo. Że nikt nie może być tak piękny. - Bawiła się guzikami z masy perłowej, zaczynając od szyi i schodząc coraz niżej. Jean - Claude odepchnął jej dłoń, zanim dotarła do guzika w miejscu, gdzie jego koszula zniknęła w spodniach.

Ivy to rozbawiło. Wspięła się na palce, opierając się dłońmi i przedramionami o jego pierś. Nachyliła ku niemu usta jak do pocałunku.

- Czy pieprzysz się z równie dobrze, jak wyglądasz? Mówią, że tak. Ale jesteś taki piękny. Nikt nie może być tak dobry w łóżku.

Jean - Claude położył palce po obu stronach jej twarzy na wysokości żuchwy. Uśmiechnął się do niej.

Jej czerwone usta wykrzywiły się w uśmiechu. Przywarła do niego całym ciałem.

Jean - Claude jakby tego nie zauważył i wciąż dotykał jej twarzy.

Jej uśmiech zaczął gasnąć jak zachodzące słońce. Cofnęła się powoli i stanęła o krok od niego. Twarz miała pustą, bez wyrazu.

Bruce szarpnął ją mocno za rękę. Ivy potknęła się, upadłaby, gdyby jej nie pochwycił. Rozejrzała się dokoła zdezorientowana, jakby sądziła, że znajduje się zupełnie gdzie indziej.

Jean - Claude już się nie uśmiechał.

- Sporo czasu upłynęło, odkąd czyjeś popychadło miało na mnie ochotę. Tak, to było bardzo dawno temu.

Ivy niemal osunęła się w ramiona Bruce'a. Jej twarz przepelniał strach. Odsunęła się od Bruce'a i stanęła w pewnej odległości od niego. Zaczęła nerwowo poprawiać czerwoną suknię. Strach niemal odpłynął już z jej twarzy, o zdenerwowaniu świadczyły jedynie drobne zmarszczki wokół oczu.

- Jak to zrobiłeś?

- Stulecia praktyki, małeńka.

Gniew sprawił, że jej oczy pociemniały.

- Nie powinieneś być w stanie zahipnotyzować okiem innego wampira.

- Doprawdy? - rzucił z rozbawieniem w głosie.

- Nie śmieję się ze mnie.

Rozumiałam ją. Jean - Claude potrafił być naprawdę wkurzający, zwłaszcza gdy mu na tym zależało.

- Mieliście nas gdzieś zaprowadzić, dzieci, zróbcie to.

Ivy stanęła przed nim, dłonie zacisnęła w pięści. W jej oczach pojawiła się wściekłość, brąz

tęczówek rozlał się na całe białka, tak że wyglądała jak niewidoma. Jej moc przetoczyła się przez pokój, powodując świerzbienie skóry i prężenie się włosów na moich ciele.

Sięgnęłam po browninga. Taki odruch.

- Nie, Anito. To nie będzie konieczne - powiedział Jean - Claude. - To maleństwo nie wyrządzi mi krzywdy. Pokazuje kły, o ile jednak nie chce umrzeć na tym pięknym dywanie, dobrze by było, aby pamiętała, z kim ma do czynienia.

- Jestem Mistrzem Miasta! - Jego grzmiący głos przetoczył się przez cały dom, rozbrzmiewając w pokoju gromkim echem, tak że wydawało się, jakby samo powietrze powtarzało jego słowa.

Kiedy dźwięk umilkł, byłam cała roztrzęsiona. Ivy powoli opanowała się. Wciąż wydawała się zagniewana, ale jej oczy znów były normalne.

Bruce położył dłoń na jej ramieniu, jakby nie miał pewności, czy Ivy zachowa się rozsądnie. Odtrąciła jego rękę i z gracją wskazała otwarte drzwi.

- Zaprowadzimy was na dół. Pozostali już tam czekają.

Jean - Claude skłonił się teatralnie, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku.

- Ty pierwsza, moja słodka. Dama zawsze powinna iść przed dżentelmenem, nigdy za nim.

Uśmiechnęła się, nagle znów była zadowolona i pewna siebie.

- A zatem twoja ludzka służebnica może iść obok mnie.

- Nie sądzę - odparłam.

Spojrzała na mnie niewinnie brązowymi oczami.

- Czyżbyś nie była damą? - Podeszła do mnie, przesadnie kołysząc biodrami. - Czy przyprowadziłeś tu kogoś, kto nie jest damą, Jean - Claude?

Usłyszałam jego westchnienie.

- Anita jest damą. Idź obok niej, *ma petite*, ale ostrożnie.

- Czy to istotne, co o mnie myślą ci kretyni?

- Jeśli nie jesteś damą, to znaczy, że jesteś dziwką. Nie chciałabyś wiedzieć, co może spotkać ludzką dziwkę w tych murach.

Powiedział to ze znużeniem, jakby uczestniczył w takim spektaklu i nie przypadł mu on do gustu.

Ivy uśmiechnęła się do mnie i posłała powłóczyście spojrzenie brązowych oczu. Odnalazłam jej

spojrzenie i uśmiechnęłam się.

Zmarszczyła brwi.

- Jesteś śmiertelniczką. To niemożliwe, abyś była w stanie wytrzymać moje spojrzenie - nie w ten sposób.

- Niespodzianka - rzuciłam.

- Idziemy? - spytał Jean - Claude.

Ivy znów się zasepiła i weszła przez otwarte drzwi na prowadzące w dół schody. Pokonała kilka stopni, przytrzymując jedną ręką suknię, aby się o nią nie potknąć. Odwróciła się i spojrzała na mnie. - Idziecie?

- Czy bardzo muszę mieć się na baczności? - spytałam Jean - Claude'a.

Larry i Jason podeszli, by stanąć obok mnie.

- Jeżeli zaatakują pierwsi, możesz się bronić. Ale nie atakuj pierwsza ani nie przelej pierwsza krwi. Broń się, lecz nie atakuj, *ma petite*. Tej nocy będziemy tylko grać w gry, nic więcej, o ile nie podwyżysz stawki. A stawka nie jest wcale taka wysoka.

Skrzywiłam się.

- To mi się nie podoba.

Uśmiechnął się.

- Wiem, ale tym razem musisz tańczyć, jak ci zagrają, *ma petite*. Pamiętaj o osobie, którą pragniesz ocalić i kontroluj swój wybuchowy temperament.

- No jak, śmiertelniczko? - warknęła Ivy. Czekala na mnie na schodach. Wyglądała jak rozdrażnione, zniecierpliwione dziecko.

- Idę - odparłam. Niespiesznie pomaszerowałam w kierunku czekającej wampirzycy. Szłam powoli, zwykłym krokiem, choć od jej przeszywającego spojrzenia zaczęła mi cierpnąć skóra. Zatrzymałam się u szczytu schodów i popatrzyłam w dół. Poczułam na twarzy podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. A także zapach. Woń wilgoci i stęchlizny. Taki zapach zdradzał obecność zamkniętego pomieszczenia bez okien i z zawilgłymi ścianami. Piwnica. Nie znosiłam piwnic.

Nabrałam do płuc stęchłego, cuchnącego powietrza i ruszyłam po schodach na dół. To były najszerwsze piwniczne schody, jakie w życiu widziałam. Drewno wyglądało na nowe i świeże, jakby nie zdążono go polakierować czy wypiaszkować. Były tak szerokie, że mogłyśmy iść obok siebie. Nie chciałam iść obok niej. Może dla Jean - Claude'a nie stanowiła zagrożenia, ale nie miałam złudzeń, co mogłaby zrobić ze mną. Była potencjalną nową mistrzynią, nie osiągnęła jeszcze apogeum mocy, ale czułam jej potęgę pulsującą pod powierzchnią pełzającą po mojej skórze. Zatrzymałam się o

stopień wyżej, czekając, by poszła dalej.

Ivy uśmiechnęła się. Wyczuwała mój strach.

- Jeśli obie jesteśmy damami, powinnyśmy iść razem. Chodź, Anito. - Wyciągnęła do mnie rękę.
- Zejdziemy na dół wspólnie.

Nie chciałam znaleźć się blisko niej. Gdyby spróbowała mnie zaatakować, nie miałabym szans, aby się obronić. Może zdążyłabym sięgnąć po broń, a może nie. Irytowało mnie, że nie mogłam pierwsza pokazać im broni. Więcej - to mnie przerażało. Żyję tak długo między innymi dlatego, że najpierw strzelam, a dopiero potem zadaję pytania. Postępując na odwrót, znacznie skraca się potencjalną długość życia.

- Czy ludzka służebnica Jean - Claude'a obawia się mnie? - Stała, odcinając się na tle czerni i uśmiechała się szeroko. Piwnica otwierająca się za jej plecami wyglądała jak otchłań piekła.

Nie wyczuwała wampirzych znaków, w przeciwnym razie wiedziałaby, że nie jestem jego służebnicą. Nie była tak dobra, jak początkowo przypuszczałam. A w każdym razie taką miałam nadzieję.

Zignorowałam wyciągniętą dłoń, ale zesłam dwa stopnie niżej. Otarłam się ramieniem o jej nagą skórę i odniosłam wrażenie, jakby po mojej ręce zaczęły pełzać robaki. Schodziłam po stopniach w atramentową czeluść, kurczowo zaciskając lewą dłoń na poręczy. Usłyszałam odgłos jej szpilek, gdy przyspieszyła kroku, by się ze mną zrównać. Wyczuwałam jej rozdrażnienie, niczym żar bijący z jej ciała. Słyszałam mężczyzn z tyłu, za nami, ale nie obejrzałam się za siebie. Tej nocy sprawdzaliśmy wzajemnie naszą odwagę. W tę grę grałam od dawna. I byłam w niej dobra.

Szłyśmy obok siebie, jak konie ciągnące zaprzęg, lewą ręką trzymałam się poręczy, ona podkasywała rąbek sukni. Utrzymywałam takie tempo, by uniemożliwić jej gładkie spływanie po schodach, o ile nie potrafiła lewitować. Okazało się, że akurat tego nie potrafiła.

Schwyciła mnie za prawą rękę i silnym szarpnięciem pociągnęła ku sobie. Nie mogłam sięgnąć po broń. Ponieważ nosiłam pochewki na przedramionach, nie byłam nawet w stanie wydobyć noża. Stałam oko w oko z rozjuszoną wampirzycą i nie mogłam wyciągnąć broni. Mogłam wyjść z tego cało jedynie w sytuacji, gdyby nie chciała mnie zabić. Pokładanie ufności w dobrą wolę i życzliwość Ivy raczej nie wchodziło w rachubę.

Jej gniew rozlał się po mojej skórze. Żar wypłynął z jej wnętrza. Czułam jej gorącą dłoń nawet poprzez skórzaną kurtkę. Nie próbowałam się cofnąć, istoty, które są w stanie podnieść toyotę jak sztangę, zwykle na to nie pozwalają. Jej dotyk nie palił - to nie był żar tego rodzaju, ale ciężko było przekonać moje ciało, że nic mu się nie stanie. Lata ostrzeżeń - nie dotykaj, bo się oparzysz. Żar omiatał moje ciało, jakbym stała przy otwartym piecu. Gdyby nie robiła tego mimowolnie, byłabym pod wrażeniem. No dobra, byłam pod wrażeniem. Jeszcze parę stuleci i Ivy naprawdę będzie wzbudzać strach, o ile już tak nie było.

Wciąż mogłam spojrzeć jej w oczy, bezdenne i świecące wewnętrznym blaskiem. Niewiele by

mi to dało, gdyby rozszarpała mi gardło.

- Jeśli ją skrzywdzisz, Ivy, nici z rozejmu. - Jean - Claude spłynął po stopniach, by stanąć tuż nad nami. - A raczej tego nie chcesz, Ivy. - Przesunął palcem wskazującym po jej żuchwie.

Poczułam wyładowanie jego mocy przenikające ją i mnie. Jęknęłam, ale puściła mnie. Moja ręka zdrętwiała, straciłam w niej czucie. Nie ma mowy, abym zdołała utrzymać w niej pistolet. O ile tylko odzyskam w niej sprawność, porachuję się z Ivy później.

Bruce wcisnął się pomiędzy nas, górując nad Ivy jak zatroskany chłopak. Sądząc po wyrazie twarzy, niewiele się pomyliłam. Podejrzewałam, że to ona go przeistoczyła.

Ivy pchnęła go tak mocno, że stoczył się po schodach i zniknął w mroku. Najwyraźniej czuła się dobrze. Ja prawie nie czułam palców.

Żar omiółtł mnie jak palący wiatr i zniknął w ciemnościach. Pochodnie w obsadach na ścianach ożyły przy wtórze głośniego syku i snopów iskier. Duża lampa naftowa, zwieszająca się z sufitu, wypełniła się ogniem.

Jej klosz eksplodował deszczem odłamków, płomyk na knocie zamigotał.

- Serephina każe ci posprzątać ten bałagan - powiedział Jean - Claude. Mówił tak, jakby Ivy rozlała mleko.

Ivy, kołysząc biodrami, pokonała ostatnie stopnie schodów.

- Serephinie jest to obojętne. Stłuczone szkło i ogień mają wiele zastosowań. - Te słowa i ich wymowa ani trochę mi się nie spodobały.

Piwnica była czarna. Czarne ściany, czarna podłoga, czarny sufit. Zupełnie jakbyśmy znaleźli się wewnątrz czarnego pudła. Ze ścian zwieszały się łańcuchy, kajdany niektórych z nich wydawały się być oblepione sierścią. Z sufitu, niczym obsceniczna dekoracja, zwisały skórzane pasy. W całym pomieszczeniu znajdowały się rozmaite... urządzenia. Rozpoznałam niektóre z nich - dyby, żelazna dziewica, przeważały jednak akcesoria do krępowania. Na ich widok domyślasz się, z czym masz do czynienia, ale nie wiesz, jak one działają. Zawsze jest w nich więcej otworów, niż można by oczekiwać, a nikt nie dołącza do nich instrukcji, jak należy z tego korzystać.

W posadzce był otwór odpływowy, do którego spływała strużka wody. Mogłam się jednak założyć, że spływała tam nie tylko woda.

Larry podszedł, by stanąć przy mnie.

- Czy to jest to, co myślę?

- Tak, to narzędzia tortur. - Zmusiłam dłoń, by zacisnęła się w pięść. Udało się. I jeszcze raz. Odzyskiwałam czucie.

- O ile wiem, nie mieli nam zrobić nic złego powiedział.

- Sądzę, że chcą nas tylko przestraszyć.

- I udało im się - przyznał.

Mnie również ten wystrój nie przypadł do gustu, ale przynajmniej znów miałam sprawną rękę. Gdybym musiała, mogłabym utrzymać w niej pistolet.

Po lewej stronie otworzyły się drzwi, których nawet nie zauważyłam. Sekretne przejście. Do pomieszczenia wszedł wampir. Aby przejść przez drzwi, musiał pochylić głowę. Wyprostował się, niewiarygodnie wysoki i chudy jak szkielet. Tej nocy jeszcze się nie pożywił i nie marnował mocy, aby ładnie wyglądać. Jego skóra miała barwę starego pergaminu i przywierała do kości twarzy tak mocno, że wydawała się prawie przezroczysta. Oczy miał podkrążone, zapadnięte i mętne jak u śniętej ryby. Zdeformowane dłonie wystające z rękawów czarnego surduta miały niewiarygodnie długie, sine, szponiaste palce. Przywodziły na myśl wielkie, białe pająki.

Wszedł do pomieszczenia, a poły czarnego surduta falowały za nim jak płaszcz. Był ubrany od stóp do głowy na czarno, zdradzały go tylko jego skóra i krótko przycięte białe włosy. Gdy przepływał przez tonące w ciemnościach pomieszczenie, wyglądały, jakby w powietrzu unosiły się tylko jego ręce i głowa.

Pokręciłam głową, by otrząsnąć się z zaskoczenia. Gdy znów na niego spojrzałam, wydał mi się bardziej normalny.

- Wykorzystuje swoje moce, aby wydawać się luźniejszy, niż jest w rzeczywistości - powiedziałam.

- Owszem, *ma petite*. - Coś w jego głosie sprawiło, że odwróciłam się i spojrzałam na niego. Jego twarz była znów tylko piękną maską, ale w oczach przez moment dostrzegłam strach.

- Co się dzieje, Jean - Claude?

- Reguły nie uległy zmianie. Nie sięgaj po broń. Nie uderzaj pierwsza. Nie mogą nas skrzywdzić, o ile nie złamiemy tych zasad.

- Co cię tak nagle przeraziło?

- To nie jest Serephina - powiedział cichym, niepewnym tonem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Ten dźwięk rozbrzmiał w całym pomieszczeniu donośnym, radosnym echem. Tyle że poczułam w ustach jego smak; był pełen goryczy.

- To, *ma petite*, że jestem skończonym głupcem.

Śmiech Jean - Claude'a zanikał stopniowo, jakby dźwięk przywierał do ścian.

- Gdzie Serephina? - spytałam. Ivy i Bruce wyszli z pokoju. Nie wiedziałam, dokąd się wybierali, ale na pewno do lepszego miejsca. Ile izb tortur może znajdować się w domu tej wielkości? Nie, wolę nie wiedzieć.

Wysoki wampir spojrział na nas oczyma śniętej ryby. Nie było w nich hipnotycznej mocy, niczego. Zupełnie jakbym patrzyła w oczy trupa.

Gdy się odezwał, jego głos był prawie szokujący. Głęboki, silny, dźwięczny, lecz pozbawiony wampirzych mocy. To był głos aktora albo śpiewaka operowego. Patrzyłam jak jego cienkie, pozbawione warg usta poruszają się i to wszystko wydało mi się jedynie salonową sztuczką. Ten głos nie powinien wypływać z tych ust, a jednak tak właśnie było.

- Zanim ona się z wami zobaczy, musicie przejść przeze mnie.

- Zaskakujesz mnie, Janosie. - odezwał się Jean - Claude. - Jesteś potężniejszy niż Serephina. Jak to się stało, że jej słyszysz?

- Kiedy ją zobaczysz, zrozumiesz. A teraz chodźcie wszyscy, przyłączcie się do nas. Noc jeszcze młoda, a ja chcę ujrzeć was wszystkich nagich i krwawiących, zanim nadejdzie świt.

- Co to za facet? - spytałam. Odzyskałam już władze w ręku, a wraz z nią rezon.

Jean - Claude stanął na ostatnim stopniu. Jason był za nim, Larry i ja zostaliśmy nieco z tyłu. Jakoś im się nie spieszyło.

Wampir spojrział na mnie trupimi oczami.

- Jestem Janos.

- Fajnie, ale zgodnie z zasadami nie możesz utoczyć nam krwi ani zrobić nam nic złego. Mam rację?

- Jak zawsze, *ma petite* - odparł Jean - Claude.

- Nie uczynimy niczego wbrew waszej woli - powiedział Janos. - Aby do czegokolwiek doszło, potrzebne jest wasze przyzwolenie - dokończył.

- Wobec tego jesteśmy bezpieczni.

Uśmiechnął się, skóra jego twarzy naciągnęła się jak papier. W gruncie rzeczy spodziewałam się ujrzeć, jak kość przebija skórę, ale tak się nie stało, śmiech był odrażająco miły.

- To się okaże.

Jean - Claude zszedł z ostatniego stopnia i wszedł do pomieszczenia. Jason podążył za nim, a po chwili wahania zrobiłam to samo. Larry podążał za mną jak wierny pies.

- Ta sala to był twój pomysł - zauważył Jean - Claude. - Ty ją urządziłeś.

- Nie robię niczego bez przyzwolenia mojej mistrzyni.

- Ona nie może być twoją mistrzynią, Janosie. Nie jest dość potężna.

- A jednak jestem tutaj, Jean - Claude. Jestem czym jestem.

Jean - Claude ominął koło tortur, przesuając dłonią po ciemnym drewnie.

- Serephina nigdy nie przepadała za torturami. Można o niej powiedzieć wiele, ale nie to, że jest sadystką - Jean - Claude podszedł do Janosa. - Myślę, że ty jesteś tu mistrzem, a ona to tylko twój pionek. Wszyscy wiedzą że jest mistrzynią i to jej rzucają potencjalne wyzwania. Kiedy umrze, znajdziesz sobie kolejną marionetkę.

- Daję słowo, Jean - Claude, ona jest moją mistrzynią. Pomyśl o tej sali jak o nagrodzie za wierną służbę. - Rozejrzał się po pomieszczeniu, uśmiechając się z zadowoleniem, jak właściciel dobrze zaopatrzonego sklepu.

- Czego zamierzasz użyć wobec nas?

- Zaczekaj chwilę, niecierpliwy chłopcze, a niebawem wszystko się wyjaśni.

To dziwne, że ktoś nazywał Jean - Claude'a „chłopcem”, jak młodszego brata lub kuzyna. Czy Janos znał Jean - Claude'a, gdy ten był jeszcze młody? Wkrótce po jego śmierci?

Usłyszeliśmy głos kobiety:

- Dokąd mnie prowadzicie? Sprawiacie mi ból.

Ivy i Bruce przyprowadzili do sali kobietę. Weszli bocznymi drzwiami. Właściwie przywlekli ją tu. Dosłownie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wyglądała jak pies, którego właściciel próbuje zaciągnąć do weterynarza. Tyle że tu rolę właściciela odgrywały dwa wampiry. Nie miała przeciwko nim żadnych szans. Opór był daremny.

Miała proste blond włosy do ramion. Oczy duże, niebieskie, makijaż rozmazany od łez.

Ivy najwyraźniej świetnie się bawiła. Bruce wydawał się zaniepokojony. Bał się Janosa. W sumie nic dziwnego.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła w milczeniu na Janosa, po czym krzyknęła. Ivy spoliczkowała ją odruchowo, jakby uderzyła szczekającego psa. Dziewczyna jęknęła z bólu, zachlipała smętnie i

zamilkła, wpatrując się w podłogę. Po jej policzkach spływały łzy.

W sali oprócz nas był tylko Janos i dwoje młodzików. Mogłam się założyć, że poradzilibyśmy sobie z nimi. Zjawiły się jeszcze dwa wampiry, prowadząc kolejną dziewczynę. Szła sama, jej oczy pałały gniewem, plecy miała wyprostowane, ręce opuszczone wzdłuż boków, dłonie zaciśnięte w pięści. Była niska, trochę przy kości, ale nie gruba, gdyby była wyższa, nie rzucałoby się to tak w oczy. Miała kasztanowe włosy, małe brązowe oczy przesłonięte były szklami okularów, na nosie i policzkach dostrzegłam liczne piegi. Ta dziewczyna emanowała wewnętrzną siłą. Od razu ją polubiłam.

- Wstawaj, Liso - rzuciła. Wydawała się zakłopotana i wściekła zarazem.

Blondynka, Lisa, rozplakała się jeszcze bardziej.

Wampirzyce, które pilnowały drugiej dziewczyny, nie były młode. Obie wysokie, mierzyły po jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, ubrane w czarne skóry, jedna z jasnymi włosami zaplecionymi w gruby, opadający na plecy warkocz, druga z czarnymi, rozpuszczonymi włosami. Ich nagie ramiona wydawały się silne i umięśnione. Wyglądały jak strażniczki z kiepskiego filmu szpiegowskiego.

Moc, jaka z nich emanowała, nie była równie papierowa. Przepływała przez pomieszczenie niczym woda, gęsta i chłodna. Kiedy przetoczyła się po moim ciele, aż zaparło mi dech. Wpłynęła we mnie, przenikając do szpiku kości. To bolało. Larry, stojący za mną, jęknął w głos.

Spojrzałam na niego, aby upewnić się, że jęknął z tego samego powodu co ja. Nie dostrzegłam za nami żadnych nowych potworów, to tylko skutki zetknięcia z mocą dwóch wampiryc.

- Co tu się dzieje, prowadzicie przytułek dla wampirów liczących sobie powyżej pięciuset lat? - spytałam.

Wszyscy skierowali wzrok na mnie. Dwie wampirzyce uśmiechnęły się złowieszczo. Patrzyły na mnie jak na cukierek, jakby zastanawiały się, jakie mam w sobie nadzieje. Miękkie, lepiące czy może twarde orzeszki? Zdarzało się, że faceci rozbierali mnie wzrokiem, ale nigdy dotąd nikt nie próbował wyobrazić sobie, jak mogłabym wyglądać bez skóry. Aż do teraz. Rety.

- Chcesz coś dodać? - spytał Janos.

- Chyba nie sądzisz, że pozwolimy wam bezkarnie przywlec tu te dwie nieletnie dziewczyny i nic z tym nie zrobimy.

- Wręcz przeciwnie, Anito, spodziewamy się, że zrobicie wiele rzeczy.

To, co powiedział, ani trochę mi się nie spodobało.

- Co to miało znaczyć?

- Po pierwsze dziewczęta nie są nieletnie, prawda?

Druga z dziewcząt tylko na niego spojrzała. Lisa, wlepiając wzrok w podłogę, pokręciła głową.

- Powiedzcie jej, ile macie lat - rzucił Janos.

Żadna z nich nie odpowiedziała. Ivy szarpnęła blondynkę tak mocno, że ta aż krzyknęła.

- Osiemnaście, mam osiemnaście lat. - Osunęła się na podłogę, szlochając. Wampiry nie interweniowały.

Jedna z wampirzyc warknęła:

- Teraz ty. Ile masz lat. - Jej głos był jak cichy grzmot, zapowiedź nadciągającej burzy.

Oczy drugiej dziewczyny, przesłonięte szklami okularów, rozszerzyły się.

- Dziewiętnaście. - Spod opoki gniewu wypłynął strach.

- Świetnie, mają powyżej osiemnastu lat, ale niezależnie od wieku, jeśli człowiek nie ma na coś ochoty, to znaczy, że tego nie chce i już - powiedziałam.

- Chcesz zgrywać policjantkę, Anito? - spytał Janos. Wydawał się rozbawiony.

- Nie zamierzam stać bezczynnie i patrzeć, jak je krzywdzisz.

- Masz o sobie wysokie mniemanie, Anito. Jesteś pewna siebie. To lubię. Miło jest łamać silnych. To prawdziwa rozkosz. Słabi płaczą, błagają i wiją się u twych stóp, ale odważni, ci nieomal domagają się, aby sprawiać im ból i ranić. - Podszedł do mnie, wyciągając bladą, przypominającą pająka dłoń. - Czy chcesz, abym sprawił ci ból?

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Jean - Clauda abym nie używała broni, ale do diabła z tym, sięgnęłam po browninga.

I nagle tuż przy mnie pojawił się Jean - Claud chwytając Janosa za nadgarstki. Janos wydawał się tym zdumiony. Ja również byłam pod wrażeniem. Nie zauważyłam jego ruchu. Janos chyba też nie. Niezła sztuczka.

Cofnęłam rękę, choć byłam przekonana, że pistolet dodałby mi otuchy. Tyle tylko, że tej nocy moim celem nie było dodawanie sobie otuchy, lecz przetrwanie. Przeżycie do świtu.

- Zgodnie z regułami nikomu z nas nie może stać się nic złego - przypomniał Jean - Claude.

Janos powoli uwolnił przegub z uścisku Jean - Claude'a, robił to niespiesznie, jakby to sprawiało mu przyjemność.

- Serephina zawsze dotrzymuje danego słowa.

- Co więc robią tu te dwie dziewczyny?

- Tych dwoje - wskazał na Larry'ego i na mnie - nie będzie stać beczynie, patrząc na cierpienie obcych im osób?

- Ze smutkiem stwierdzam, że nie - odparł Jean - Claude.

- A jeśli zechcą interweniować, ty także się włączysz? - spytał Janos.

- Jeśli to będzie konieczne.

Janos uśmiechnął się, a ja usłyszałam skrzywienie skóry z trudem powstrzymującej napierające na nią kości.

- Wspaniale.

Zauważyłam, że Jean - Claude zadrżał, jakby coś go przeraziło. Wydawał się zbity z tropu. Ja byłam po prostu zakłopotana.

- Dwie młode kobiety z własnej woli przybyły do naszego domu. Wiedziały, czym jesteśmy i zgodziły się pomóc nam zabawić gości.

Spojrzałam na drugą z dziewcząt.

- Czy to prawda?

Jedna z wampirzyc lekko szturchnęła ją w ramię, to wystarczyło.

- Przyszłyśmy tu z własnej woli, ale nie wiedziałyśmy... - Wampirzyca zacisnęła palce na jej ramieniu. Dziewczyna skrzywiła się z bólu, ale nawet nie pisnęła.

- Przybyły tu z własnej, nieprzymuszonej woli i są już dorosłe - stwierdził Janos.

- I co teraz? - spytałam.

- Ivy, przykuj ją tam. - Wskazał na opięte skórą kajdany na lewo od drzwi. Ivy i Bruce podnieśli dziewczynę i podprowadzili do ściany.

- Twarzą do ściany, bardzo proszę.

Podeszłam do Jean - Claude'a i wyszeptalam bezgłośnie, wiedząc, że i tak mnie usłyszy:

- To mi się nie podoba.

- Mnie również, *ma petite*.

- Czy możemy to przerwać, nie łamiąc rozejmu?

- Nie, o ile nie zostaniemy otwarcie zaatakowani.

- Co się stanie, jeżeli złamię rozejm?

- Zapewne spróbują nas zabić.

W sali było pięć wampirów, w tym trzy starsze od Jean - Claude'a. To byłaby pewna śmierć. Cholera.

Blondynka szlochała i szamotała się, próbując się wyrwać, gdy wampiry zakuły ją w łańcuchy przy ścianie. Krzyczała i miotła się tak zawzięcie gdyby nie skórzane nakładki, pokaleczyłaby sobie nadgarstki.

Przez boczne drzwi do pomieszczenia weszła kobieta. Była wysoka, wyższa od Jean - Claude'a. Skórę miała koloru kawy z dwiema śmietankami. Ciemni zaplecione w warkoczyki włosy sięgały jej do pasa. Była ubrana na czarno, w skórzany kombinezon, który nie pozostawiał wiele wyobraźni. Szła miękko, na wysokich szpilkach. Wyglądała jak człowiek, ale nie była nim.

- Kissa - odezwał się Jean - Claude. - Wciąż jesteś z Serephiną. - Wydawał się zaskoczony.

- Nie wszystkim poszczęściło się tak jak tobie - odparła łagodnym głosem. W powietrzu rozeszła się korzenna woń, a ja nie byłam pewna, czy to jej perfumy, czy może iluzja.

Nie miała makijażu, a mimo to była piękna, choć zastanawiałam się, jak mogła wyglądać, nie usiłując omamić moich zmysłów. Ponieważ z całą pewnością żaden człowiek nie mógł emanować tak dziką, zwierzęcą seksualnością jak Kissa. Aura erotyzmu otaczała ją jak niewidzialna chmura.

- Przykro mi, że jesteś tutaj, Kisso.

Uśmiechnęła się.

- Nie żałuj mnie, Jean - Claude. Serephina obiecała mi ciebie, zanim Janos złamie to twoje piękne ciało.

Szóstka wampirów, w tym cztery starsze od Jean - Claude'a. Nasze szanse malały z każdą chwilą.

- Przykuj drugą dziewczynę tam. - Janos wskazał na drugi zestaw oków na prawo od drzwi.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nic z tego. - Stawiała bardziej zaciekły opór niż jej koleżanka. Rzuciła się na ziemię i wykorzystała każdą możliwość, by opóźnić nieuniknione.

Dwie kilkusetletnie wampirzyce, tak potężne, że ich moc sprawiała mi fizyczny ból, podniosły ją za ręce i nogi i zaniósły pod ścianę. Dopiero teraz zaczęła krzyczeć, to był urywany, przeraźliwy, pełen wściekłości dźwięk rozlegający się raz za razem. Ciemnowłosa wampirzyca przyszpiliła ją do ściany, a druga zakuła w okowy.

- Nie mogę na to tak po prostu patrzeć - powiedział cicho Larry. Stał blisko mnie, może nie wiedział, że wampiry były w stanie usłyszeć nawet najcichszy szept.

To bez znaczenia.

- Ja też nie.

Igraliśmy ze śmiercią. Ale nawet gdybyśmy mieli dziś umrzeć, zabierzemy z sobą tylu krwiopijców, ile tylko zdołamy.

Jean - Claude odwrócił się, jakby wyczuł, że zamierzamy sięgnąć po broń.

- *Ma petite*, monsieur Kirkland, nie wyciągajcie broni. Wszystko jest w porządku i przebiega zgodnie z prawem. One są tu jedynie, by dostarczyć nam rozrywki. Oni ich nie zabijają.

- Jesteś pewien?

Zmarszczył brwi.

- Niczego nie jestem już pewien, ale wierzę, że dotrzymają słowa. Te kobiety są wystraszone i posiniaczone, ale, ogólnie rzecz biorąc, nie stała się im krzywda.

- Nie stała się im krzywda? - spytał Larry. - A te siniaki? A to, że są przerażone? - Wyglądał na rozwścieczonego i wcale mu się nie dziwiłam.

- Wampiry mając na myśli krzywdę, myślą o czymś bardziej permanentnym, prawda, Jean - Claude? - odparłam.

Odnalazł moje spojrzenie.

- Wyczuwam w twoim głosie oskarżycielski ton, ale pamiętaj, *ma petite*, to ty poprosiłaś mnie, abym cię tu przyprowadził. Nie obwiniaj mnie o to, co się dzieje. Nie jestem za to odpowiedzialny.

- Czyżby nudziły was przygotowane przez nas rozrywki? - spytał Janos.

- Dyskutujemy, czy zabić was już teraz, czy może później - odparłam z rozbijającą szczerością.

Janos zachichotał.

- Proszę, złam rozejm, Anito. Tylko czekam, abys dała mi pretekst, tak bardzo chciałbym wypróbować na tobie któreś z moich nowych urządzeń. Myślę, że złamanie ciebie trochę by potrwało. Choć z drugiej strony często ci buńczuczni i dumni pękają najszybciej.

- Ja się nie chępię, Janosie. Mówię to, co myślę. I mówię serio.

- Ona wierzy w to, co mówi - dodała Kissa.

- Owszem, to zdumiewające, ale wygląda mi to, że ona mówi prawdę - przyznał Janos. - Jakże to smakowite.

Blondynka, Lisa, przestała szarpać się w okowach. Zwiśla na całą długość łańcuchów, zapłakana i półprzytomna. Druga dziewczyna, dopiero co zakuta, stała nieruchomo, ale jej ręce i nogi zaczęły wyraźnie drżeć. Zaciśnęła dłonie w pięści, lecz to nie zdołało pohamować drżenia.

- Te kobiety przybyły tu w poszukiwaniu przygód. I dostaną to, czego szukały - powiedział Janos.

Dwie wampirzyce rozsunęły panele zamontowane w jednej z czarnych ścian. Ze znajdujących się tam schowków wyjęły dwa długie, zwinięte bicz. Żadna z dziewcząt nie mogła tego zobaczyć. Dobre i to.

Nie mogłam patrzeć beczynn timer. Po prostu nie mogłam. Gdybym nic nie zrobiła, zabiłabym coś w sobie. Musiałam zareagować. Choćbym miała to przypłacić życiem. Przynajmniej odejdę walcząc i zabiorę z sobą kilku z nich. Lepsze to niż nic. Ale nim popełnimy zbiorowe samobójstwo, spróbuję porozmawiać.

- Jeżeli nie chodzi ci o nakłonienie nas do złamania rozejmu, to o co?

- O co? - powtórzył Janos. - O wiele rzeczy, Anito.

Nie podobało mi się, w jaki sposób wymówił moje imię, zmysłowo i z rozbawieniem, intymnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi lub bliskimi wrogami.

- Czego chcesz, Janosie?

- Czy to ty nie powinieneś negocjować w imieniu swoich ludzi? - zwrócił się do Jean - Claude'a.

- Anita doskonale sobie radzi - odparł Jean - Claude.

Janos znów uśmiechnął się ponuro.

- Dobrze więc. Czego chcemy?

Wampirzyce podeszły do dziewcząt. Uniosły bicz, pokazując je dziewczętom.

- Co to jest? - spytała blondynka. - Co to ma być? - W jej głosie pobrzmiwał strach.

- To bicz - powiedziała druga dziewczyna. Krótko i rzeczowo. Głos nie zdradzał jej tak, jak drżące ciało.

Wampirzyce cofnęły się na odległość odpowiednią do zadawania uderzeń.

- Czego ty chcesz, do ciężkiej cholery? - warknęłam.

- Czy wiesz, co znaczy zwrot „chłopiec do bicia”? - spytał Janos.
- To osoba, która przyjmowała chłostę zamiast członka rodu szlacheckiego.
- Doskonale, tak niewiele młodych osób interesuje się historią.
- Co ma z tym wszystkim wspólnego historia?
- Te dziewczęta są „chłopcami do bicia” dla twoich przyjaciół - wyjaśnił Janos.

Dwie wampirzyce rozplotły bicz i wprawnym ruchem strzeliły z nich prawie równocześnie. Żaden bat nie dosięgnął pleców dziewcząt. Druga z dziewcząt krzyknęła, to był cichy, zduszony dźwięk, kiedy końcówka bicia przecięła powietrze i trafiła w ścianę tuż obok niej. Blondynka osunęła się tylko na ścianę, szlochając.

- Proszę, proszę, proszę - powtarzała łamiącym się głosem.
- Nie krzywdź ich - rzekł Larry. - Proszę.
- Byłbyś gotów zająć jej miejsce? - zapytał Janos.

Dopiero teraz zorientowałam się, do czego to wszystko zmierzało.

- Nie możesz skrzywdzić nas bez naszego przyzwolenia. Ty zdradziecki sukinsynu.

Uśmiechnął się.

- Odpowiedz, chłopcze. Zająłbyś jej miejsce?

Larry skinął głową.

Schwyciłam go za rękę.

- Nie.
- To rzecz jasna jego wybór - rzekł Janos.
- Puść mnie, Anito.

Spojrzałam mu w oczy, usiłując dostrzec, czy wiedział, co robi.

- Nie masz pojęcia, co bicz może zrobić z ludzkim ciałem. Nie wiesz, na co się zgadzasz.
- Możemy temu zaradzić - mruknął Janos.

Wampirzyce kilkoma szybkimi ruchami rozerwały bluzki dziewcząt na plecach.

Blondynka krzyknęła.

- Nie możemy patrzeć na to beczynnymie - powiedział Larry.

Miał rację. Czy to mi się podobało, czy nie, miał rację.

- Widziałem, co może działać bicz - odezwał się nagle Jean - Claude. - Nie rób im krzywdy.

Spojrzałam na niego.

- Nie sądziłam, że jesteś gotów do takich poświęceń.

Wzruszył ramionami.

- Każdy z nas miewa takie chwile.

- Czy dokonanie wyboru byłoby prostsze, gdybym obiecał, że jeśli ten młody człowiek zajmie miejsce dziewczyny, nie zostanie okaleczony?

- Ale czy on to przeżyje? - wtrąciłam. - Może umrzeć wskutek szoku wywołanego chłostą.

- Żadnego zabijania czy okaleczania. Chcemy jedynie należnego nam kilograma ciała i litra krwi.

Wyraz naszych twarzy musiał chyba coś zdradzić, gdyż Janos wybuchnął śmiechem.

- Mówię to oczywiście figuratywnie. Pozostaną mu blizny do końca życia, ale nie dozna trwalszych szkód na ciele.

- To jakiś absurd - powiedziałam. - Nie zrobimy tego.

- Czy gdybyśmy wyjęli broń, mielibyśmy szansę załatwić ich wszystkich? - spytał Larry. Odwróciłam wzrok. Dotknął mojego ramienia.

- Anito?

- Moglibyśmy zabrać ze sobą kilku z nich - odparłam.

- Ale tak czy owak zginęlibyśmy, a kto wtedy pomógłby dziewczynom?

Pokręciłam głową.

- Musi być lepszy sposób.

Larry spojrzał na Jean - Claude'a.

- Czy dotrzyma słowa? Nie zabiją mnie?

- Janos zwykle dotrzymuje słowa, a w każdym razie dotrzymywał kilka stuleci temu.

- Czy możemy im ufać? - spytał Jason.

- Nie - odparłam.

- Tak - powiedział Jean - Claude.

Łypnęłam na niego.

- Wiem, że wolałabyś raczej rozwiązanie siłowe, ale sięgając po broń, doprowadziłabyś tylko do tego, że zabiliby nas wszystkich. Albo, co bardziej prawdopodobne, niektórzy z nas zostaliby przeistoczeni w wampiry.

Larry dotknął mojego ramienia. Spojrzałam na niego.

- W porządku.

- Nie jest w porządku - zaproponowałam.

- Dobrze, ale to najlepsze, co możemy teraz zrobić.

- Nie rób tego.

- Nie mam wyboru - stwierdził. - Poza tym jestem już dorosły, pamiętasz? Umiem o siebie zadbać.

Uściskałam go. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Nic mi nie będzie - wyszeptał.

Skinęłam głową. Nie byłam pewna, czy głos mi się nie załamał, a poza tym nie potrafiłam okłamywać przyjaciół. Nie miał racji. Nie będzie dobrze. Wiedziałam to. On również. Wszyscy to wiedzieliśmy.

Jason oddalił się od nas, kierując się w stronę wampirzyc.

- O nie - zaprotestował Janos - nasz drogi zmiennokształtny nie może zostać tak po prostu przykuty łańcuchami do ściany. Nie chcielibyśmy tego.

- Ale przecież mówiłeś...

- Powiedziałem, że możecie ocalić dziewczyny, ale nie w ten sposób. Niech śmiertelnik przyjmie chłostę. Ty musisz jedynie zgodzić się zaspokoić pragnienie moich dwóch pomocnic, Bettiny i Pallas.

Jason spojrzął na dwie wampirzyce. Odwróciły się do nas. Nagle spróbowałam ujrzeć je oczami dwudziestojednoletniego mężczyzny. Były szczupłe i miały obfite biusty, choć twarz Pallas była jak na mój gust trochę za bardzo wiedźmowata, a Bettina miała za małe oczy, ale moje zdanie tu

się nie liczyło. Żadna z nich nie była piękna ani nawet ładna, choć z uwagi na długie nogi i krągłe kształty można by uznać je za atrakcyjne. Większość facetów pewnie byłaby nimi zainteresowana. Gdyby były ludźmi.

Jason zmarszczył brwi.

- Wygląda na to, że trafiła mi się niezła gratka.

- Czy zrobiłoby ci różnicę, gdybym powiedział, że musisz im dogodzić tu, na podłodze, na oczach wszystkich? - spytał Janos.

Jason zamyślił się przez chwilę.

- Czy jeżeli odmówię, dziewczyna zostanie wychłostana?

Janos skinął głową.

- Wobec tego zgadzam się - powiedział niepewnym, cichym głosem.

Rozwiązłość w zaciszu czterech ścian to jedno, ale robienie tego w miejscu publicznym to całkiem co innego.

- Wobec tego chodź, zmiennokształtny, niechaj rozpocznie się przedstawienie. - Janos wykonał zamaszysty gest bladymi dłońmi.

Jason spojrział na Jean - Claude'a jak dziecko w pierwszym dniu szkoły, zastanawiające się, czy paru klasowych osiłków naprawdę spuści mu lanie. Ze strony Jean - Claude'a nie doczekał się pocieszenia. Jego oblicze było nieodgadnione jak u posągu. Skinął lekko głową co mogło oznaczać wszystko, od: „Będzie dobrze”, po: „Zrób to”.

Patrzyłam, jak barki Jasona unoszą się w rytm nabieranego łapczywie powietrza. Jason zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów. Dlaczego większość rzeczy, które w innych okolicznościach zrobiłbyś z wielką ochotą, w sytuacji kiedy nie masz wyjścia, mierzi cię i przepelnia odrazą?

- Byłeś kiedyś z jedna spośród nas? - spytał Janos.

Jason pokręcił głową.

Janos oparł dłoń o długich palcach na ramieniu Jasona. To najwyraźniej nie przypadło Jasonowi do gustu. Wcale mu się nie dziwiłam.

- Czeka cię wiele rozkoszy, mój młody lykantropie. Rzeczy, których nie da ci żaden człowiek ani zmiennokształtny. Doznania, których mogą ci dostarczyć wyłącznie umarli.

Dwie wampirzyce stanęły na wolnej połaci czarnej posadzki przy drugim końcu pomieszczenia. Zwinięte bicze pozostawiły u stóp dziewczyn jako przypomnienie, co je czeka, jeśli któryś z mężczyzn stchórzy.

Jeżeli Jason miał ochotę na seks z wampirzycami, to mnie nic do tego. Droga wolna. Poza tym nie był pod moją ochroną. Ale seks nie potrwa wiecznie. Nie mogłam dopuścić, aby wychłostali Larry'ego. Nie byłabym w stanie stać bezczynnie i patrzeć, jak go torturują. Po prostu nie mogłam.

Tyle że nawet gdyby udało mi się coś wykombinować i wydostalibyśmy się z tych piwnic - co już samo w sobie było wątpliwe - mielibyśmy przeciwko sobie wszystkie wampiry w tym domu. Może udałoby się nam wykończyć kilka z nich, ale pojawiłyby się następne. Zawsze były następne. Co powiedział Jean - Claude? Jeżeli oni pierwsi złamią rozejm, będziemy mogli sięgnąć po broń. To otwierało przed nami nowe możliwości.

Ta z długimi, jasnymi włosami rozplotła warkocz. Rozpuszczone włosy zafalowały jak złota zasłona. Na chwilę przesłoniły jej twarz i w tym momencie wydawała się łagodniejsza i bardziej ludzka. Może to tylko iluzja. Tak czy owak Jason dotknął tych gęstych włosów, wsunął w nie obie ręce, po czym objął wampirzycę w pasie. Zamierzał to zrobić i chyba zamierzał mieć przy tym frajdę. Miło ujrzeć kogoś, kto lubi swoją pracę.

Ciemnowłosa podeszła do niego z tyłu, przywierając doń całym, przyobleczone w skórę ciałem. Jason był tak niski, że jego twarz znajdowała się na wysokości ich piersi. Wtulił twarz w biust blondynki. Rozsznurowała skórzany gorset z przodu i rozchyliła tak, by mógł possać jej piersi.

Odwróciłam się. Nigdy nie przepadałam za podglądactwem. Za bardzo się czerwieniłam. To kłopotliwe. Ivy i Bruce przeszli wzdłuż sceny, by stanąć obok tercetu. Bruce, zażenowany i zafascynowany zarazem, patrzył na dalszy rozwój wydarzeń. Ivy nie wydawała się ani trochę zażenowana. Przywarła plecami do ściany, dotykając jej dłońmi. Miała rozchylone usta. Osunęła się po ścianie, czerwona sukienka podwinęła się jej powyżej ud. Uklękła na czworakach. Patrząc na Ivy i Bruce'a, mimowolnie ponownie skierowałam wzrok na baraszkuje trójkę.

Jason nie miał już koszuli. Był tylko w skórzanych spodniach i czarnych butach, dopasowując się strojem do wampirzyc. Klęczał z wyprężonym grzbietem, wtulając się w ciało brunetki. Ta gładziła go dłońmi po nagim torsie. Odwrócił się, podsuwając jej swoje usta. Pocałunek był długi, głęboki, z języczkiem.

Blondynka siedziała przed nimi z rozłożonymi szeroko nogami, zdejmując Jasonowi spodnie. Zrobiła coś ze swoimi skórzanymi spodniami, tak że jej krocze było odsłonięte. Była naturalną blondynką. Dlaczego to mnie zdziwiło?

Ivy wyciągnęła rękę, by pociągnąć drugą wampirzycę za jasne, długie włosy.

- Ivy - rzucił Janos - nie zostałam zaproszona.

Cofnęła rękę, ale nie odsunęła się. Była możliwie najbliżej, nie biorąc zarazem udziału w igraszkach. Bruce wciąż tkwił pod ścianą. Miał otwarte usta i był trochę spocony, ale chyba nie zamierzał podejść bliżej.

Janos stał spokojnie, przyglądając się temu wszystkiemu. Uśmiechał się podejrzanie i po raz pierwszy w jego oczach śniętej ryby pojawiły się osobliwe iskierki. Doskonale się bawił.

Jean - Claude na wpół opierał się, na poły siedział oparty o metalową skrzynię wielkości i kształtu ludzkiego ciała. Obserwował przebieg wydarzeń, ale jego oblicze pozostawało nieodgadnione jak piękna maska.

Zauważył, że na niego patrzę, ale w jego oczach nic się nie zmieniło. Był odizolowany, zamknięty w sobie, jakby przebywał w innym świecie. Nie zauważyłam, aby oddychał. Czy kiedy tak nieruchomiał, jego serce przestawało bić? Czy ustawały wszelkie funkcje jego organizmu?

Kissa stała przy drzwiach. Skrzyżowała ramiona na piersiach. Jak na kogoś, kto tak bardzo pragnął kochać się z Jean - Claudem, publiczny pokaz seksu nie robił na niej większego wrażenia. Nie była nim zainteresowana. A może miała pilnować, żebyśmy z Larrym nie wybiegli stąd z krzykiem.

Larry wycofał się możliwie jak najdalej od miejsca, gdzie rozgrywała się scena. Oparł się o ścianę, usiłując skupić na czymś wzrok, ale wciąż powracał spojrzeniem w przeciwny koniec sali. To trochę tak, jakby starać się nie patrzeć na wykolejony pociąg. Nie chcesz tego oglądać, ale gdy już znajdziesz się w pobliżu miejsca katastrofy, nie potrafisz odwrócić wzroku. Kto wie, czy nadarzy się druga taka okazja? Igraszki dwóch wampirzyc z wilkołakiem nie mogły być dla Larry'ego pospolitym widokiem. Nawet dla mnie była to rzecz niezwykła. Dwie dziewczyny, wciąż przykute do ściany, nie widziały, co się działo. Lepiej dla nich.

Z drugiego końca sali dobiegł cichy jęk. Spojrzałam w tę stronę. Jason miał spodnie spuszczone, tak że widać było niemal całe jego pośladki. Podpierał się na rękach i tylko dolna część jego ciała dotykała kobiety. Jego ciało unosiło się i opadało rytmicznie. Blondynka wiała się pod nim, z jej ust dobył się kolejny jęk. Jej piersi wypłynęły spomiędzy rozchylonego skórzanego gorsetu, gdy uniosła się lekko, by dotrzeć ust Jasona.

Brunetka wolno polizała go różowym językiem po kręgosłupie. Wygiął się w łuk pod wpływem tej pieczyoty, a może czegoś innego. Odwróciłam się, ale ten obraz mocno wrył mi się w pamięć. Poczułam, że się czerwienię. Zrobiło mi się gorąco. Cholera. Oczy Larry'ego rozszerzyły się i ujrzałam, jak kolory znikają z jego twarzy. Po chwili jego skóra była biała jak papier, a oczy niemal wchodziły z orbit.

Opierałam się przez chwilę, ale w końcu odwróciłam się, by spojrzeć, ryzykując, że obrócę się za to w słup soli, jak żona Lota. Jason osunął się ciężko, wtulając twarz we włosy blondynki. Była zwrócona twarzą w kierunku sali. Jej skóra jakby się naciągnęła, aż było przez nią widać wszystkie kości. Pełne dotąd usta zwęziły się, przez co zęby wydawały się dłuższe. Wargi nie były już w stanie przesłonić kłów.

Brunetka klęczała tuż za nimi, z kolanami wciśniętymi pomiędzy ich nogi. Opuściła ręce, trzymane dotąd przy twarzy i połowa jej oblicza zgniła. Przesunęła dłońmi po długich, ciemnych włosach i zaczęły wypadać całymi garściami. Odwróciła się do nas. Skóra ześlizgnęła się z kości po lewej stronie jej twarzy i spadła na podłogę z wilgotnym plaśnięciem.

Przełknęłam ślinę tak mocno, że aż zabolalo i cofnęłam się, by stanąć przy Larrym. Nie był już blady, lecz zielony.

- Teraz moja kolej - rzuciła jedna z wampirzyc. Skierowałam wzrok w tę stronę, choć uczyniłam to niemal wbrew sobie. Nie mogłam stać i patrzeć na to, ale nie mogłam także odwrócić wzroku.

Jason uniósł się na rękach, jakby robił pompki. Dostrzegł oblicze blondynki i stężał, jego barki naprężyły się. Odsunął się od niej powoli, klękając.

Brunetka powiodła palcami po jego nagich plecach. Jej ciało odeszło od kości, pozostawiając po sobie rozmazane smugi zielonego śluzu. Ciałem Jasona wstrząsnął dreszcz, który nie miał nic wspólnego z seksem.

Z drugiego końca pomieszczenia widziałam, jak pierś Jasona unosi się i opada coraz to szybciej, jak podczas hiperwentylacji. Patrzył przed siebie, nie próbując odwrócić się i obejrzeć wstecz, jakby to, że spoglądał gdzie indziej, mogło sprawić, iż koszmar zniknie.

Brunetka oplotła jego tors gnijącymi ramionami, przytuliła trawioną rozkładem twarz do jego szyi i wyszeptała coś.

Jason odpełził od nich, przywierając do ściany. Na jego nagim torsie widniały strzępy jej ciała. Oczy miał rozszerzone, pełne przerażenia. Nie był w stanie nabrać dość powietrza. Nitka czegoś gęstszego i lepkiego spłynęła wolno z jego szyi na pierś. Strząsnął to odruchowo ręką jak pająka. Kulił się pod czarną ścianą ze spodniami opuszczonymi do połowy ud.

Blondynka podniosła się z podłogi i podpełzła da niego, wyciągając rękę, która składała się tylko z kości pokrytych strzępami zaschniętych tkanek. Wyglądała jak nieboszczyk, który spoczywał i rozkładał się w suchej ziemi. Brunetka była wilgotna. Leżała na wznak na podłodze, wyciekające z niej ciemne płyny rozlewały się w kałużę pod jej ciałem. Rozpięła skórzaną bluzkę. Jej piersi wyglądały jak ciężkie worki wypełnione płynem.

- Jestem gotowa na ciebie - powiedziała brunetka. Głos miała czysty i wyraźny. Spomiędzy tych gnijących warg nie powinien wydobyć się żaden dźwięk.

Blondynka schwyciła Jasona za ramię. Krzyknął.

Jean - Claude siedział, obserwując, nieruchomy, nieporuszony.

Zaczęłam iść w ich stronę. Nawet mnie to zdziwiło. Spodziewałam się poczuć woń rozkładających się ciał, ale nic takiego nie poczułam.

Stałam obok Jean - Claude'a i spytałam:

- Czy to iluzja?

Nie spojrzał na mnie.

- Nie, *ma petite*. To nie iluzja.

Szturchnęłam go w ramię, było sztywne i twarde jak kawałek drewna. W dotyku w ogóle nie

przypominało ciała.

- Czy to iluzja?

- Nie, *ma petite*. - Dopiero teraz na mnie spojrział, a jego oczy były bezdenne i niebieskie. - Obie postaci są prawdziwe. - Wstał, ale nawet będąc tak blisko niego, nie zauważyłam, żeby oddychał.

Brunetka, na czworakach, wyciągnęła do Jasona rękę, która przesuwając się w jego stronę, zaczęła odpadać od kości. Wilgotne strzępy gnijących tkanek spadły na podłogę. Jason krzyknął i przywarł do ściany, jakby chciał przeniknąć ją na wylot. Zasłonił twarz, jak dziecko próbujące ignorować potwora czającego się pod łóżkiem, ale on nie był dzieckiem i wiedział, że potwory istnieją.

- Pomóż mu - wyszeptałam, nie bardzo wiedząc, do kogo właściwie się zwracam.

- Zrobię co w mojej mocy - odpowiedział Jean - Claude. Patrzyłam na niego, gdy kolejne jego słowa pojawiały się w mojej głowie. Usta pozostały nieruchome. - Jeżeli oni pierwsi złamią rozejm, będziesz mogła wytluc ich wszystkich.

Spojrzałam na niego, ale jego oblicze nie zdradzało niczego. Tylko echo jego głosu w mojej głowie świadczyło, że nie wymyśliłam sobie tego. Nie czas teraz, abym objechała go za wejście do mojego umysłu. Później, wrócimy do tego później.

- Janosie. - To jedno słowo rozbrzmiało w całym pomieszczeniu, aż jego echo przeniknęło podeszwy moich stóp niczym głębokie, basowe brzmienie.

Janos odwrócił się, by spojrzeć na Jean - Claude'. Jego twarz, przypominającą trupa czaszkę, rozjaśnił grymas zadowolenia.

- Wołałeś?

- Wyzywam cię. - Te dwa słowa zabrzmiały pusto i głucho, atonalnie. Jeżeli to w jakikolwiek sposób uraziło Janosa, nie dał tego po sobie poznać.

- Nie wygrasz ze mną - powiedział Janos.

- To się dopiero okaże, nieprawdaż? - spytał Jean - Claude.

Janos uśmiechnął się, skóra na jego twarzy napięła się tak, że omal nie pękła.

- Jeżeli jakimś cudem okażesz się lepszy, czego sobie zażyczysz?

- Gwarancji bezpieczeństwa dla moich ludzi. - Chrząknęłam.

- I dla tych dwóch dziewcząt.

- A jeżeli ja wygram - rzucił Janos - co dostanę?

- A czego chcesz?

- Wiesz, czego chcemy.

- Powiedz to - wycedził Jean - Claude.

- Zrezygnujesz z gwarancji bezpieczeństwa dla siebie. Będziemy mogli zrobić z tobą, co tylko zechcemy.

Jean - Claude nieznacznie pokiwał głową.

- Niech tak będzie.

Wskazał na gnijące wampirzyce.

- Zabierz je od mego wilka.

Janos uśmiechnął się.

- Nie skrzywdzę go, ale jeśli przegrasz... Oddam go moim dwóm ślicznotkom w prezencie.

Z gardła Jasona dobył się cichy dźwięk, jak zduszony krzyk. Dłoń brunetki zaczęła przesuwając się z jego torsu w stronę krocza. Krzyknął i odepchnął ją od siebie, gdyby jednak posunął się do przemocy, byłby zgubiony. Jak my wszyscy. Jeśli to my złamiemy rozejm, zginiemy, ale jeżeli oni to zrobią...

Jean - Claude i Janos stanęli pośrodku sali w odległości kilku metrów od siebie. Jean - Claude stanął na lekko ugiętych, rozstawionych szeroko nogach, jakby szykował się do walki. Janos złączył stopy razem, wydawał się spokojny, rozluźniony.

- Przegrasz wszystko, Jean - Claude. Co ty kombinujesz?

Jean - Claude tylko pokręcił głową.

- Wyzwanie zostało rzucone i przyjęte. Na co czekasz, Janosie? Czyżbyś się mnie bał?

- Miałbym się ciebie bać? Nigdy, Jean - Claude. Ani sto lat temu, ani teraz.

- Dość gadania, Janosie. - Głos Jean - Claude'a był cichy i łagodny, a jednak niósł się przez całe pomieszczenie, pełnąc pod górę po czarnych ścianach, by spłynąć z nich kroplami dźwięku, pełnymi mroku, goryczy i gniewu.

Janos zaśmiał się, ale brakowało mu unikalnych walorów głosu Jean - Claude'a, nie był tak namacalny.

- Zatańczmy.

W pokoju zapadła cisza, tak nagle, że przez chwilę wydawało mi się, iż ogłuchłam. Zaraz jednak zorientowałam się, że wciąż słyszę bicie swego serca i szum krwi w uszach. Fale czegoś nieokreślonego uniosły się pomiędzy dwoma mistrzami wampirów, jak żar bijący z chodnika w upalny dzień. To co rozlało się po mojej skórze, to nie był żar... to była moc.

Wirująca, rozszalała burza mocy. Czułam wcześniej Jean - Claude'a stojącego do walki z innymi wampirami, ale nigdy jeszcze nie czułam czegoś takiego, Moje włosy rozwiały wiatr płynący od strony dwóch mistrzów. Oblicze Jean - Claude'a wychudło, i biała skóra zalśniła jak polerowany alabaster. Oczy wyglądały jak błękitne ognie, roniące szafirowe płomienie spływające do żył pod jego skórą. Jego kości zalśniły złotym blaskiem. Człowieczeństwo wysączało się zeń z każdą chwilą, ale to i tak nie wystarczy. Przegra ten pojedynek.

Chyba że oni pierwsi zerwą rozejm.

Kissa wciąż pilnowała drzwi. Jej ciemne oblicze było wyzute z wszelkich emocji. Ona mi nie pomoże. Dwie trawione zgnilizną istoty wciąż kleiły się do Jasona. Tylko Ivy i Bruce wciąż stali na nogach. Bruce wyglądał na mocno przerażonego. Ivy była podniecona. Obserwowała dwóch wampirzych mistrzów z na wpół otwartymi ustami, przygryzając lekko dolną wargę, co w jej przypadku mogło znamionować głębokie skupienie lub ekscytację. Byłam w stanie wytrzymać jej spojrzenie - i to ją drażniło.

Przeszłam przez pomieszczenie za plecami Jean - Claude'a. Gdy go mijałam, struga mocy wyprysnęła i otoczyła mnie jak niewidzialne ramię. Nie zatrzymałam się i energia rozproszyła się, ale w miejscu, gdzie mnie dotknęła, moja skóra zaczęła drżeć. Będzie z nami naprawdę krucho, o ile czegoś nie zrobię.

Kissa patrzyła na mnie spod półprzymkniętych powiek. Zignorowałam ją. Z mistrzami wampirów należało rozprawiać się pojedynczo. Minęłam Bruce i zatrzymałam się przed Ivy. Ta jednak patrzyła Doza mnie, na dwóch mistrzów, wyraźnie mnie ignorując.

Otworzyłam usta. Kiedy się odezwałam, cisza prysła, a dźwięk powrócił do mnie z głośnym, niemal bolesnym kłaśnięciem.

- Wyzywam cię.

Ivy zamrugnęła, jakbym dopiero co pojawiła się przed nią.

- Co powiedziałaś?

- Wyzywam cię - powtórzyłam. Zachowywałam pokerową twarz i starałam się nie myśleć zbyt intensywnie o tym, co robię.

Ivy wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś niespełna rozumu. Jestem mistrzynią wampirów. Nie możesz rzucić mi wyzwania.

- Ale mogę spojrzeć ci w oczy. Mogę wytrzymać twoje spojrzenie - powiedziałam. I uśmiechnęłam się pod nosem. Staralam się zachować czysty umysł, żadnych myśli, które mogłyby mnie zdradzić, żadnego strachu, który mógłby się ze mnie wysączyć, ale rzecz jasna kiedy tylko pomyślałam o lęku, ten beczelnie załagał się w moim żołądku jak lodowata gula.

Wybuchnęła śmiechem, wysokim i dźwięcznym jak brzęk tłuczonego szkła. Ten dźwięk nieomal ranił, rozcinał skórę do krwi.

Co ja, u licha, wyprawiałam?

Silny podmuch wiatru w plecy pchnął mnie brutalnie w jej stronę. Obejrzałam się przez ramię, by ujrzeć, że Jean - Claude zachwiał się, a z jego dłoni trysnęła krew. Janos jak dotąd nawet się nie spocił. Cokolwiek zamierzałam, powinnam się pospieszyć.

- Kiedy Jean - Claude przegra, poproszę Janosa, aby zmusił go, by mnie zerznął. Twój mistrz będzie jak gumowa lala dla nas wszystkich. Ty zresztą też.

Zerknęłam w stronę gnijących istot obłapiających Jasona. To było całkiem zachęcające. Odwróciłam się do Ivy i wlepiłam wzrok w jej brązowe oczy.

- Nic nie zrobisz. Jesteś do niczego. Nie potrafisz nawet wytrzymać pojedynku na spojrzenia ze śmiertelniczką.

Posłała mi gniewne spojrzenie. Wściekłość ogarnęła ją w jednej chwili jak ogień kartkę papieru. Patrzyłam, jak brąz tęczówek pochłania biały jej oczu. Widziałam to wszystko z odległości ćwierć metra. Jej oczy wyglądały jak lśniące sadzawki ciemnego światła. Serce podeszło mi do gardła, a cichutki głosik w mojej głowie powtarzał rozpaczliwie: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj”. Ale ja stałam nieruchomo i patrzyłam jej prosto w oczy.

Była mistrzynią, ale jeszcze dość młodą. Za sto lat zjadłaby mnie na śniadanie, teraz jednak, tej nocy być może miałam jakąś szansę.

Zasyczała na mnie, pokazując kły.

- Och, to doprawdy imponujące - wycedziłam. Pokazujesz kły jak pies.

- Ten pies może rozerwać ci gardło. - Zniżyła głos do złowrogiego szeptu. Ten dźwięk był tak posępny i nieprzyjemny, że z trudem powstrzymałam drżenie całego ciała.

Nie byłam pewna, czy nie zadrży mi głos, więc odezwałam się cicho, powoli, spokojnie i bardzo wyraźnie:

- Spróbuj. Zobaczymy, czy ci się uda.

Wyprysnęła do przodu, ale zauważyłam jej ruch, wyczułam, że na mnie skoczy. Rzuciłam się w tył, byle jak najdalej od niej, lecz schwyciła mnie za rękę i trzymając za łokieć, dźwignęła mnie w górę, tak że już po chwili nie dotykałam stopami podłogi. Była doprawdy niewiarygodnie silna.

Mogłaby zmiążyć mi rękę, a ja nie byłabym w stanie jej powstrzymać.

I nagle tuż obok pojawiła się Kissa.

- Puść ją, natychmiast!

Ivy opuściła mnie. A ściśle rzecz biorąc, cisnęła mnie na drugi koniec pomieszczenia. Moje ciało przecięło powietrze, cały świat wokół mnie rozmył się. Przez chwilę poczułam się, jakbym była niewidoma. A potem przestałam się przemieszczać, wszystko się zatrzymało i runęłam w dół.

Termin spadanie nie oddaje szybkości i gwałtowności bycia rzuconym z trzech metrów. Rąbnęłam w ścianę, usiłując zamortyzować impet uderzenia dłońmi i przedramionami. Chciałam ochronić głowę. Osunęłam się po ścianie, choć osuwanie sugeruje powolny proces, a to wszystko działo się bardzo szybko. Runęłam bez tchu, oszołomiona, u podstawy ściany jak ciśnięta niedbale szmata, mrugając powiekami, bo nagle zaczął mi szwankować wzrok.

Pierwsze co ujrzałam, gdy odzyskałam ostrość widzenia, to gnijąca pozostałość twarzy z pasmami długich, ciemnych włosów zwisających z czaszki. Zza połamanych zębów wyłonił się obrzmiały język, z ust wampirzycy wypłynęło coś czarnego i gęstszego od krwi.

Podniosłam się na kolana, czując, że wokół moich ramion zacisnęły się kościste, suche ręce. Spomiędzy zeschniętych ust blondynki dobył się szept:

- Chodź, zabawimy się.

Coś twardego i sztywnego szturchnęło mnie w ucho. To był jej język. Próbowałam się odczołgać, ale jej szponiaste palce schwyciły mnie za żakiet. Dłonie, choć powinny być słabe i kruche jak suche patyki, okazały się mocne niczym wykute ze stali.

- Złamali rozejm, *ma petite*. Nie utrzymam go długo.

Spojrzałam w górę i zobaczyłam Jean - Claude'a na klęczkach, z obiema rękami wyciągniętymi do Janosa. Janos wciąż stał sztywno i w zasadzie nie robił nic więcej. Miałam tylko parę chwil.

Zaprzestałam prób uwolnienia się od dwóch wampirzyc. Przywarły do mnie, oplatając rękoma, nogami i zalewając płynami ustrojowymi, a tymczasem ja wydobyłam spokojnie browninga. Strzeliłam z przyłożenia w pierś gnijącej wampirzycy. Zachwiała się, ale nie upadła. Poczulałam kły zagłębiające się w moich plecach i krzyknęłam.

Po drugiej stronie pokoju rozległ się strzał, ale nie miałam czasu, aby spojrzeć. Nagle zjawił się przy mnie Jason i zwałókl ze mnie blondynkę. Strzeliłam brunetce w gnijący czerep. Dopiero teraz runęła na podłogę, gdzie zległa w kałuży cuchnących płynów, spazmatycznie wymachując rękoma i nogami.

Janos wykonał lekki ruch ręką i z ciała Jean - Claude trysnęła struga krwi. Osunął się na podłogę, a jego moc wypłynęła na zewnątrz, dotykając moich włosów. Świat wypełnił się nagle wonią gnijących ciał.

Krztusząc się pociągnęłam za spust, mierząc w smukłe, czarne ciało.

Janos odwrócił się. Zrobił to jakby w zwolnionym tempie, jakbym miała jeszcze czas, aby złożyć się i wystrzelić raz jeszcze, ale jakimś cudem był już zwrócony w moją stronę, kiedy ponownie pociągnęłam za spust. Kula trafiła go w pierś. Zachwiał się, lecz nie upadł.

Wycelowałam w jego okrągłą trupa głowę. Jego biała dłoń uniosła się i przecięła powietrze. To nieprawdopodobne, ale poczułam, jakby jakieś niewidzialne pazury rozorały mi rękę. Strzeliłam, ale nie dość celnie. Kula tylko otarła się o jego czaszkę.

Znów machnął ręką i ujrzałam krew ciekącą z moich dłoni. Taktyka zastraszenia. W zasadzie nie czułam silnego bólu, w każdym razie nie takiego, jaki mogłabym poczuć, gdyby dostał mnie w swoje ręce.

Rozległ się wystrzał z drugiego pistoletu. Janos zachwiał się, gdy kula trafiła go w ramię. Larry stał za nim z dobytą bronią.

Zaczęło mi się robić ciemno przed oczami. Nieznacznie opuściłam pistolet - korpus Janosa był łatwiejszym celem do trafienia - i nacisnęłam spust. Usłyszałam, jak kula Larry'ego przelatuje wysoko i trafia w ścianę za moimi plecami.

Pełen zdumienia okrzyk uświadomił mi, że Jason wciąż był z nami.

Zobaczyłam Janosa sunącego ku drzwiom, poruszał się jak w zwolnionym tempie, pośród mgły tak gęstej, że prawie nic nie widziałam. Wystrzeliłam jeszcze dwa razy i na pewno przynajmniej raz go trafiłam. Kiedy opuścił salę, osunęłam się na czworaki i czekałam, aż odzyskam zdolność widzenia. Miałam nadzieję, że ją odzyskam.

Jak przez mgłę widziałam Jean - Claude'a, wciąż leżącego w kałuży własnej krwi. W mojej głowie pojawiło się pytanie: Czy on nie żyje? Kompletna głupota, zważywszy że chodziło o wampira, ale to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi na myśl. Obejrzałam się przez ramię i ujrzałam Jasona rozrzucającego strzępy dwóch wampirzyc. Rozdzierał je na kawałki gołymi rękami, miażdżąc kości i ciskając jak najdalej, jakby przez tę orgię zniszczenia był w stanie odwrócić to, co mu zrobiły.

Bruce leżał na wznak pod ścianą. Krew zaplamiła jego frak. Nie byłam pewna, ale chyba nie żył. Nigdzie nie dostrzegłam Ivy i Kissy.

Larry wciąż stał po drugiej stronie sali z pistoletem w dłoniach, jakby nie zauważył, że Janos zdołał uciec. Zmarszczył brwi.

Jean - Claude leżał bez ruchu. Cholera.

Podpełzłam do niego. Wciąż miałam mgłę przed oczami. Nie byłam pewna, czy zdołam utrzymać się na nogach. Dotarcie do niego zajęło mi sporo czasu, jakby mój wzrok nie sprawował się najlepiej.

Gdy w końcu się do niego doczołgałam, widziałam już idealnie. Uklękłam w rozległej kałuży jego krwi i spojrzałam na niego. Jak oszacować, czy wampir jest martwy? One czasami nie mają pulsu, nie oddychają i nie bije im serce. Niech to szlag. Schowałam browninga do kabury. Nie miałam już do czego strzelać, a potrzebowałam obu rąk. Krew poplamiła mi bluzkę i dopiero teraz po raz pierwszy przyjrzałam się swoim dłoniom. Wyglądało, jakby ktoś rozorał je paznokciami,

pozostawiając głębokie bruzdy. To nic wielkiego. Zagoi się bez śladu.

Dotknęłam ramienia Jean - Claude'a. Jego ciało było miękkie, ludzkie. Odwróciłam go na plecy. Jego dłoń opadła bezwładnie na podłogę jak ręka nieboszczyka. Jakaś sztuczka nocy sprawiła, że jego oblicze znów wydawało się piękne, i bardziej ludzkie niż kiedykolwiek, choć nigdy nie spotkałam równie pięknego jak on mężczyzny.

Sprawdziłam mu puls. Przyłożyłam palce do stygnącej skóry na szyi. Nic nie poczułam. Łzy napłynęły mi do oczu, poczułam dziwny ucisk w gardle. Ale nie zamierzałam płakać. Jeszcze nie. Nawet nie byłam pewna, czy naprawdę tego chcę.

Kiedy wampir jest naprawdę martwy? Czy nieumarłemu można zrobić sztuczne oddychanie? Do licha, przecież on czasami oddychał. Sama widziałam. Miał serce, które zazwyczaj biło. Jego milczenie nie wróżyło nic dobrego.

Odchyliłam mu głowę, zatkałam nos i wdmuchnęłam powietrze do jego ust. Jego klatka piersiowa uniosła się. Spróbowałam jeszcze dwukrotnie, ale nie zaczął oddychać samodzielnie. Rozpięłam mu koszulę, wymacałam miejsce powyżej mostka i nacisnęłam, jeden raz, drugi, trzeci, czwarty, aż do piętnastu powtórzeń. Dwa oddechy.

Jason podszedł do mnie chwiejnym krokiem i osunął się na kolana.

- Nie żyje?

- Nie wiem. - Uciskałam żebra z całej siły, gdyby to był człowiek, jego klatka piersiowa już by pękła, ale on nie był istotą ludzką. Leżał tam, jego ciało poruszało się tylko wtedy, gdy ja je poruszałam, luźne i bezwładne, jak to zwykle bywa z nieboszczykami. Usta miał lekko rozchylone, oczy zamknięte, przesłonięte gęstą zasłoną rzęs. Kręcone czarne włosy wciąż okalały jego blade oblicze.

Wyobrażałam sobie Jean - Claude'a martwego. Raz czy dwa nawet sama miałam ochotę go zabić, ale teraz, kiedy jego śmierć stała się faktem, nie wiedziałam, co powinnam odczuwać. To nie było w porządku. Ja go tu sprowadziłam. Poprosiłam, aby przyjechał i on to zrobił. A teraz nie żył. Był martwy. I to była w dużej mierze moja wina. Ja do tego doprowadziłam, gdybym miała zabić Jean - Claude'a, chciałabym osobiście pociągnąć za spust i patrzeć mu w oczy, gdy będzie umierał. Nie powinien tak odejść. Nie w ten sposób.

Spojrzałam na niego. Pomyślałam, że już nie będzie Jean - Claude'a. Że to piękne ciało zgnije w końcu w grobie, co powinno stać się już dawno temu. Pokręciłam głową. Nie mogłam do tego dopuścić. Musiałam zrobić wszystko, aby go ocalić. Tylko jedno cieszyło się wśród umarłych jednakowym szacunkiem, tylko jednego pragnęli. Krwi. Spróbowałam raz jeszcze tchnąć w niego życie. Tym razem najpierw rozsmarowałam na jego ustach moją krew. Moje usta przywarły do jego warg i poczułam słodki, miedziany smak własnej krwi.

Nic.

Larry ukląkł przy nas.

- Gdzie Janos?

Nie był w stanie zobaczyć go przez mgłę, ale nie miałam teraz czasu na wyjaśnienia.

- Obserwuj drzwi, strzelaj do wszystkiego, co będzie próbowało tu wejść.

- Czy mogę już puścić dziewczyny?

- Jasne. - Zupełnie o nich zapomniałam. Podobnie jak o Jeffie Quinlanie. Zamieniłabym ich wszystkich za jedno spojrzenie Jean - Claude'a. Aby tylko do mnie mrugnął. To było nieetyczne, ale ci ludzie byli dla mnie obcy. Nie znałam ich. W przeciwieństwie do niego.

- Może potrzeba więcej krwi - podpowiedział Jason półgłosem.

Spojrzałam na niego.

- To propozycja?

- Żadne z nas nie byłoby w stanie w pojedynkę nasycić go, by odzyskał siły, nie narażając przy tym własnego życia, ale postaram się pomóc - odparł.

- Już raz dziś się tobą pożywił. Czy możesz oddać mu krew po raz drugi?

- Jestem wilkołakiem. Szybko wracam do zdrowia. Poza tym moja krew daje większego kopa niż ludzka. Posiada większą moc.

Spojrzałam na niego. Był cały ubabrany śluzem. Na jednym policzku dostrzegłam szeroką, czarną smugę. Jego niebieskie oczy nie wyglądały jak wilcze ślepie. Były pełne bólu i cierpienia. Są rzeczy, które zadają rany gorsze od fizycznych.

Wzięłam głęboki oddech i wyjęłam z pochewki jeden z moich noży. Nacięłam sobie lewy nadgarstek. Ból był ostry i natychmiastowy. Przyłożyłam zraniony przegub do ust Jean - Claude'a. Krew wpłynęła do jego ust. Wypełniła je jak wino wnętrze kielicha. Wyciekła jednak kącikiem ust i spłynęła po policzku. Pogłodziłam jego szyję, aby spowodować przełykanie. Uśmiełby się, wiedząc, że w końcu otworzyłam dla niego żyłę. Krew wciąż wypływała z jego ust. Nie pił. Cholera.

Wtłoczyłam powietrze do jego ust i poczułam smak własnej krwi. Jego pierś uniosła się, wtłaczałam mu do gardła moją krew. W myślach kołatało mi się tylko jedno słowo: żyj, żyj, żyj...

Ciałem wstrząsnął dreszcz. Krtań poruszyła się w odruchu przełykania. Odsunęłam się od niego. Chciałam cofnąć rękę, ale chwycił mnie za nadgarstek. Ścisnął tak mocno, że aż zabolalo. Poczułam jego nadnaturalną siłę, zdolną zetrzeć mi kości na miazgę. Oczy wciąż miał zamknięte, tylko jego palce zaciśnięte na moim przegubie świadczyły, że był jakiś postęp.

Położyłam dłoń na jego pierś. Jeszcze samodzielnie nie oddychał. Jego serce nie biło. Czy to

źle? Dobrze? Obojętnie? Skąd miałam wiedzieć?

- Jean - Claude, słyszysz mnie? To ja, Anita.

Wykonał krótki ruch i przycisnął mój krwawiący przegub do swych ust. Ugryzł mnie. Jęknęłam. Obiema dłońmi dociskał mój nadgarstek do ust i pił. Podczas seksu to mogłoby być przyjemne, teraz po prostu bolało.

- Cholera - mruknęłam.

- Co się stało? - spytał Lary.

- To boli - jęknęłam.

- Myślałam, że to powinno być przyjemne - rzuciła blondynka.

Pokręciłam głową.

- Nie, jeżeli nie zostałam zahipnotyzowana. - Jak długo to potrwa? - spytał Larry.

- Tyle ile będzie trzeba - odparłam. - Obserwuj drzwi.

- Które?

- Do licha, strzelaj do wszystkiego, co tu wejdzie. - Czułam się oszołomiona. Ile ze mnie wysączył?

- Jason, zaczyna kręcić mi się w głowie. - Próbowałam uwolnić rękę, ale jego palce były niewzruszone jak szczęki imadła. - Nie mogę rozewrzeć mu palców.

Jason pociągnął za sine dłonie, ale nie zdołał ich odciągnąć.

- Mógłbym oderwać mu palce jeden po drugim i uwolnić cię, ale...

- Tak, Jean - Claude by się wkurzył. - Byłam coraz bardziej osłabiona, zaczęły mi dokuczać zawroty głowy, poczułam narastające mdłości. Musiałam się od niego uwolnić.

- Puść mnie, Jean - Claude. Puść mnie, do cholery!

Oczy wciąż miał zamknięte, twarz pozbawioną wyrazu. Pił łapczywie jak niemowlę, ale to pochłonięte jedną tylko czynnością niemowlę wysączało ze mnie życie. Czułam, jak ze mnie wypływa. W uszach mi szumiało, serce tłukło mi się w piersi jak po długim biegu, krew krążyła szybciej. Pożywiał się coraz szybciej. I coraz szybciej mnie zabijał.

Przed oczyma zawirowały mi powidoki. Ciemność zaczęła pochłaniać światło. Wydobyłam pistolet.

- Co robisz? - spytał Jason.

- On mnie zabije.

- Nie wie, co robi.

- Tak czy owak będę martwa.

- Coś się poruszyło przy schodach - zawołał Larry.

Świetnie.

- Jean - Claude, puść mnie, natychmiast! - Przyłożyłam lufę pistoletu do nieskalanej skóry jego czoła. Ciemne plamy niemal całkiem przesłaniały mi widok. W gardle poczułam smak żółci.. Nachyliłam się nad nim i wyszeptałam: - Proszę, Jean - Claude. Puść mnie. To ja, twoja *ma petite*. Puść mnie.

- Wampiry nadchodzą - powiedział Larry. - Pospiesz się.

Spojrzałam na tę piękną twarz i usta wpijające się w mój przegub, pożerające mnie żywcem i zaczęłam ścigać spust. Otworzył oczy. Musiałam wysunąć palec spod obudowy spustu, aby nie pociągnąć za cyngiel.

Oparł potylicę o podłogę, wciąż trzymając mnie za rękę, ale już nie pił. Usta miał czerwone od mojej krwi. Wciąż w niego celowałam.

- Ach, *ma petite*, czy już tego nie przerabialiśmy?

- Pistolet owszem - przyznałam - ale tego nie. - Uwolniłam przegub z jego opierających się dłoni i usiadłam, kładąc browninga na podłodze. Wciąż nękały mnie mdłości, przed moimi oczami przesuwały się mroczki jak pchane wiatrem chmury.

Ujrzałam Larry'ego przykucniętego u podnóża schodów, z pistoletem w dłoni. Miałam jednak wrażenie, jakbym oglądała go przez lunetę, wydawał się odległy i mało znaczący.

Jason położył się na zalanej krwią podłodze. Spojrzałam na niego, mrugając powiekami.

- Z szyi mniej boli - wyjaśnił, jakbym właśnie zadała mu pytanie. Jean - Claude wczuł się na niego. Jason bez pytania odchylił głowę. Jean - Claude przywarł okrwawionymi ustami do jego tętnicy szyjnej. Mięśnie jego ust i szczęki poruszyły się, kiedy przebił skórę i zatopił kły w miękkim ciełe.

Nawet gdybym wiedziała, że z szyi mniej boli, nie zaproponowałabym mu tego. To za bardzo kojarzyło się z seksem. To, że napił się z mojego nadgarstka, nie wydawało mi się czymś tak intymnym.

- Anito!

Odwróciłam się do schodów. Larry wciąż tam kuczał. Samotny. Z pistoletem w ręku. Obie dziewczyny odsunęły się od drzwi. Blondynka znów wpadła w histerię. Wcale się jej nie dziwiłam.

Pokręciłam głową, ujęłam browninga oburącz i wycelowałam w stronę drzwi. Potrzebowałam dodatkowej ręki, aby ustabilizować chwyt. Moje ramiona lekko drżały, co jeszcze bardziej utrudniało celowanie.

Przez pomieszczenie przetoczyła się moc, powodując nieprzyjemne świerzbiecie skóry. Nieomal czuło się ją jak zapach perfum rozchodzący się w ciemnościach. Zastanawiałam się, czy Jean - Claude i ja także emanowaliśmy mocą, kiedy się mną pożywiał. Nie zwróciłam na to uwagi.

W drzwiach pojawiło się coś białego. Dopiero po chwili zorientowałam się, co to takiego. Była to przywiązana do kijka biała chustka.

- Co to ma być, do cholery? - warknęłam.

- Biała flaga, *ma petite*, symbol zawieszenia broni.

Nie odwróciłam wzroku od schodów, by ujrzeć właściciela tego łagodnego, melodyjnego głosu. Jean - Claude najwyraźniej wracał do formy, czułam każde jego słowo jak muśnięcie miękkiego futra, gładzącego moje znużone ciało. Jego głos był tak kojący, że zdawał się usuwać w cień wszelki ból i cierpienie.

Przełknęłam ślinę i opuściłam pistolet.

- Wypieprzaj z mojej głowy.

- Wybacz, *ma petite*. Czuję twój smak w ustach, szaleńcze bicie twego serca jest dla mnie jak bezcenne wspomnienie. Powstrzymam mój entuzjazm, aczkolwiek wiele będzie mnie to kosztowało, Anito, bardzo wiele. - Sprawiał wrażenie, jakbym właśnie zrobiła mu dobrze, a on pragnął czegoś więcej.

Spojrzałam na niego. Siedział obok półnagiego Jasona. Jason wlepił wzrok w sufit, powieki miał przymknięte, jakby spał. Krew sączyła się z dwóch nowych ranek na jego szyi. Nic nie wskazywało, aby bardzo cierpiał. Właściwie sprawiał wrażenie zadowolonego. Ja przyjęłam na siebie to co najgorsze, zaspokajając pragnienie Jean - Claude'a. Jason miał już z górki.

- Możemy porozmawiać? - Z korytarza dobiegł męski głos. Nie rozpoznałam go. Miałam kłopoty z koncentracją, a co dopiero mówić o rozpoznawaniu obcych głosów.

- Co mam zrobić, Anito? - spytał Larry.

- To biała flaga. Symbol rozejmu - powiedziałam. Głos miałam bełkotliwy, ale mówiłam dość głośno. Czułam się jak pijana albo naćpana. To nie było przyjemne, powiedziałabym, że raczej dołujące doznanie.

W drzwiach pojawił się Magnus. Przez chwilę wydawało mi się, że mam przywidzenia. To było

takie niespodziewane. Był ubrany od stóp do głów na biało. Miał na sobie frak i białe półbuty. Na tle jego śniadej skóry jego ubranie zdawało się lśnić. Długie włosy przewiązał luźno białą wstążką. W jednym ręku trzymał kij z przywiązaną do niego białą chustką. Zszedł po schodach miękkim, niemal tanecznym krokiem. Nie miał płynności wampira, ale niewiele mu do niej brakowało.

Larry wciąż mierzył do niego z pistoletu.

- Nie ruszaj się - ostrzegł. Wydawał się odrobinę wystraszony, ale mówił z pełnym przekonaniem. Nie żartował. Pistolet tkwił pewnie w jego dłoniach.

- Już ustaliliśmy, że srebrne kule nie są w stanie wyrządzić krzywdy fairie.

- Kto powiedział, że mam w magazynku posrebrzane kule? - spytał Larry.

To było dobre kłamstwo. Byłam z niego dumna. Ja nawet o tym nie pomyślałam. Byłam zbyt skołowana.

- Anito? - Magnus powiódł wzrokiem poza Larry'ego, jakby go tam w ogóle nie było, ale nie zszedł niżej.

- Na twoim miejscu, Magnusie, zrobiłabym, co ci każe. A teraz gadaj, czego chcesz?

Magnus uśmiechnął się i rozłożył szeroko ręce. Chyba chciał w ten sposób pokazać, że jest nieuzbrojony. Tyle tylko, że zarówno ja, jak i Larry wiedzieliśmy, że to nie broń czyniła go niebezpiecznym.

- Nie mam złych zamiarów. Wiemy, że to Ivy pierwsza złamała rozejm. Serephina pragnie was gorąco przeprosić za to, co się stało. Prosi, abyście przeszli niezwłocznie do sali audiencyjnej. Żadnych więcej testów.

- Wierzymy mu? - rzuciłam, nie pytając nikogo konkretnego.

- Mówi prawdę - odparł Jean - Claude.

Świetnie.

- Przepuść go, Larry.

- Czy to aby na pewno dobry pomysł?

- Nie, ale zrób to.

Larry opuścił pistolet, ale nie wyglądał na zadowolonego. Magnus zszedł po schodach, uśmiechając się, głównie do Larry'ego. Minał go i ostentacyjnie odwrócił się do niego plecami. W tej chwili nieomal zapragnęłam, aby Larry wpackował mu kulkę.

Zatrzymał się o niecały metr przed nami. Wciąż jeszcze siedzieliśmy lub, jak w przypadku

Jasona, leżeliśmy na podłodze. Magnus spojrział na nas wyraźnie rozbawiony.

- Co ty tu robisz, do cholery? - spytałam.

Jean - Claude spojrział na mnie.

- Wygląda na to, że się znacie.

- To Magnus Bouvier - powiedziałam. - Co ty tu robisz? Czemu jesteś z nimi?

Poluzował krawat i rozpiął guzik przy kołnierzyku. Podejrzywałam, że popiszywał się przede mną, ale z tego miejsca nie byłam w stanie tego stwierdzić. Nie wiedziałam, czy zdołam utrzymać się na nogach.

- Jeśli chcesz mi coś pokazać, musisz tu zejść.

- Z przyjemnością. - Ukląkł przede mną w odległości nieco większej niż pół metra. Miał dwa zagojone już ślady ukąszeń na szyi.

- Cholera, Magnusie, dlaczego?

Spojrział na mnie, po czym skupił wzrok na krwawiącym nadgarstku.

- Mógłbym zapytać cię o to samo.

- Utoczyłam trochę krwi, aby ocalić mu życie. A jaką ty masz wymówkę?

Uśmiechnął się.

- Moja historia jest bardziej prozaiczna. - Magnus rozwiązał wstążkę i rozpuścił włosy. Rozsypały się brązową kaskadą na ramiona. Spojrział na mnie turkusowymi oczami i podpełzł na czworakach do Jean - Claude'a. Poruszał się, jakby miał mięśnie w miejscach, gdzie ludzie ich nie posiadają. Czulałam się, jakbym obserwowała wielkiego kota. Ludzie tak się nie poruszają.

Ukląkł przed Jean - Claude'em tak blisko, że ich ciała niemal się zetknęły. Odgarnął włosy i odsłonił przed nim szyję.

- Nie - powiedział Jean - Claude.

- Co się dzieje? - spytał Larry.

Dobre pytanie. Nie znałam na nie dobrej odpowiedzi. Złej zresztą też nie.

Magnus zdjął białą marynarkę i upuścił ją na podłogę. Rozpiął prawy mankiet koszuli i podwinął rękaw. Podsunął w stronę Jean - Claude'a obnażony nadgarstek. Skóra była gładka i nienaruszona. Jean - Claude ujął go za rękę i uniósł ją do ust.

Chciałam odwrócić wzrok, lecz nie zrobiłam tego. To byłoby jak okłamywanie samej siebie. Można udawać, że to się nie dzieje, ale prawda jest, jaka jest.

Jean - Claude musnął wargami jego skórę, po czym puścił dłoń Magnusa.

- To hojna propozycja, ale gdybym dodał do ich krwi twoją, byłbym jak pijany.

- Pijany? - spytałam. - O czym ty, kurwa, mówisz?

- Ach, *ma petite*, jesteś taka bezpośrednia.

- Zamknij się.

- Utrata sporej ilości krwi sprawia, że stajesz się wulgarna - powiedział.

- Odpieprz się.

Zaśmiał się, to był słodki dźwięk. Smakował jak zakazany owoc, słodki cukierek, który nie tyle sprawi, że przytyjesz, co raczej cię zabije. Ale cóż to byłaby za śmierć.

Magnus pozostał na kolanach, wpatrując się w uśmiechniętego wampira.

- Nie skosztujesz mnie?

Jean - Claude pokręcił głową, jakby nie był pewien, czy jest w stanie wykrztusić z siebie choć słowo. Jego oczy błyszczały od tłumionego śmiechu.

- Została zaoferowana krew. - Magnus odpełził w moją stronę. Włosy opadły mu na bok, przesłaniając jedno oko, które błyszczało wśród tej brązowej kaskady jak drogocenny klejnot. Oczy nie powinny mieć takiego koloru. Zbliżył się do mnie na odległość kilkunastu centymetrów. - Litr krwi i kilogram ciała - wyszeptał, nachylając się do mnie jak do pocałunku.

Odchyliłam się do tyłu i straciłam równowagę. Wylądowałam na wznak na podłodze. Cholera. Magnus wpełzł na mnie na czworakach. Wbiłam lufę browninga w jego pierś.

- Cofnij się albo pożałujesz - warknęłam.

Magnus odczołgał się do tyłu, ale niezbyt daleko. Usiadłam, celując w niego z pistoletu, trzymając broń jedną ręką. Lufa nadal mocno się kołysała. - O czym on mówi, do cholery?

- Janos mówił, że tej nocy chce naszą krew i ciało - odpowiedział Jean - Claude. - W formie przeprosin Serephina oferuje krew i ciało nam.

Patrzyłam na wciąż klęczącego Magnusa, który nadal wydawał się dziki i niebezpieczny. Opuściłam pistolet.

- Nie, dziękuję.

Magnus usiadł na podłodze, przeczesując palcami włosy i odgarniając je z twarzy.

- Odrzuciłaś dary pojednania od Serephiny. Czy odrzucasz także jej przeprosiny?

- Zaprowadź nas do Serephiny, a uczynisz to, o co cię poproszono - powiedział Jean - Claude.

Magnus spojrzał na mnie.

- A ty, Anito? Czy chcesz, abym zaprowadził cię do Serephiny? Czy przyjmujesz jej przeprosiny?

Pokręciłam głową.

- A powinnam?

- Anita nie jest mistrzynią - powiedział Jean - Claude. - To moja zemsta i to mnie winieneś prosić o wybaczenie.

- Robię, co mi kazano - odparł. - Ona rzuciła Ivy wyzwanie. Ivy przegrała.

- Ale to nie ja cisnęłam ją na drugi koniec pokoju - zauważyłam.

Jean - Claude zmarszczył brwi.

- Użyła brutalnej siły, *ma petite*. Nie była w stanie pokonać śmiertelniczki samą tylko siłą woli i mocą mentalną. Przegrała z tobą.

- I co z tego?

- To, *ma petite*, że obwołałaś się mistrzynią i udowodniłaś, że jesteś godna tego miana.

Pokręciłam głową.

- To absurd. Nie jestem wampirzycą.

- Nie powiedziałem, że jesteś mistrzynią wampirów, *ma petite*. Stwierdziłem tylko, że jesteś mistrzynią.

- Mistrzynią, ale czyją? Ludzi?

Tym razem to on pokręcił głową.

- Nie wiem, *ma petite*. - Odwrócił się do Magnusa. - Co mówi Serephina?

- Serephina kazała ją przyprowadzić.

Jean - Claude skinął głową i wstał jak pociągnięta za sznurki marionetka. Wydawał się jak nowo narodzony, mimo iż był cały we krwi. Jak on śmiał? Jak mógł tak dobrze się prezentować,

podczas gdy ja czułam się fatalnie?

Spojrzał na Jasona i na mnie. Odzyskał swój osobliwy dobry humor. Uśmiechnął się do mnie, nawet mimo krwi na ustach wyglądał pięknie. Jego oczy błyszcząły, w ich wnętrzu pełgały radosne iskierki. Był pewny siebie jak nigdy dotąd.

- Nie wiem, czy moi towarzysze są w stanie iść. Wydają się ciut... wyczerpani. - Zachichotał z rozbawieniem, przesłaniając oczy dłonią.

- Jesteś pijany - powiedziałam.

Skinął głową.

- Na to wygląda.

- Nie można upić się krwią.

- Napilem się do syta, ale wy dwoje, choć jesteście śmiertelnikami, nie jesteście już ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu.

Nie chciałam tego słuchać.

- O czym ty mówisz, do cholery?

- Nekromantka i wilkołak na popitkę. Po czymś takim każdy wampir miałby nieźle w czubie. - Zachichotał. Jean - Claude nigdy nie chichotał.

Zignorowałam go, o ile można zignorować pijanego wampira.

- Jasonie, możesz wstać?

- Chyba tak. - Głos miał ochrypły, bełkotliwy, ale wyraźny, pełen rozleniwienia, jak po seksie. Może jednak powinnam się cieszyć, że bolała mnie ukąszona ręka.

- Larry?

Larry podszedł do nas, zerkając na Magnusa, wciąż trzymał w dłoni pistolet. Nie wyglądał na szczęśliwego.

- Czy możemy mu zaufać?

- Musimy - odparłam. - Pomóż mi wstać i wynośmy się stąd, zanim nasz zębaty pęknie ze śmiechu.

Jean - Claude zanosił się śmiechem. Chyba rozbawiło go, że nazwałam go „zębłym”. O rany.

Larry pomógł mi wstać i po chwili, kiedy minęły zawroty głowy, poczułam się lepiej. Następnie

podał rękę Jasonowi. Jason zachwiał się, ale jakoś ustał na nogach.

- Możesz iść?

- Jeśli ty możesz, mogę i ja - odparł.

Twardziel. Postąpiłam krok, potem drugi i jakoś już poszło. Jason i Larry pospieszyli za mną. Jean - Claude kołysał się na boki, wciąż chichocząc pod nosem.

Magnus stał u podnóża schodów, czekając na nas. Marynarkę przewiesił przez ramię. Znalazł nawet wstążkę i na powrót związał włosy. Jason szerokim łukiem ominął rozszarpane ciała swych dwóch niedoszłych kochanek i podniósł leżącą na podłodze koszulę. Przesłoniła ona substancję oblepiającą jego tors, ale ślady śluzu na twarzy pozostały, a jego włosy były sztywne i niemal równie ciemne jak spodnie. Tył ubrania Jean - Claude'a oraz włosy przesiąknięte były krzepnącą krwią. Ja również byłam ubabrana krwią i ciemnym świństwem. Dobrze, że tej nocy ubrałam się niemal całkiem na czarno. Na czarnym tak tego nie widać. Gorzej z moją karmazynowa bluzką.

Larry jako jedyny nie był utyłany we krwi. Miejmy nadzieję, że tak już pozostanie.

W czasie gdy rozmawialiśmy, dwie dziewczyny ukryły się pod schodami. Mogłam się założyć, że na pomysł ukrycia się wpadła dziewczyna o kasztanowych włosach. Lisa wydawała się zbyt przerażona, aby mogła myśleć, a co dopiero wykoncypować coś naprawdę mądrego. Wcale się jej nie dziwiłam, ale histeria może co najwyżej doprowadzić cię do przedwczesnej i gwałtownej śmierci.

Brazowowłosa dziewczyna podeszła do Larry'ego. Blondynka ruszyła za nią, dłonie wpiła w podartą bluzkę tamtej tak mocno, że aby ją od niej uwolnić, potrzebna będzie interwencja chirurgiczna.

- Chciałybyśmy już wrócić do domu. Możemy? - Głos miała trochę zdyszany, ale dość silny. Spojrzałam w jej brązowe oczy i skinęłam głową.

Larry spojrzał na mnie.

- Magnusie - powiedziałam.

Uniósł brwi, wciąż czekając przy schodach, jak przewodnik wycieczki albo kamerdyner.

- Wołałaś mnie?

- Chcę, aby dziewczyny wyszły stąd i bezpiecznie wróciły do domu.

Omiótł je wzrokiem.

- Nie widzę przeszkód. Serephina ściągnęła je tu głównie z uwagi na ciebie, Anito. Spełniły już swoje zadanie.

Ostatnie słowa ani trochę mi się nie spodobały.

- Mają bezpiecznie wrócić do domu, Magnusie, nie chcę, aby choć jeden włos spadł im z głowy. Czy wyraziłam się jasno?

Uśmiechnął się.

- Wyjdą stąd i udadzą się do domu. Czy ja wyraziłem się jasno?

- Skąd ta nagła chęć do współpracy?

- Czy ich odejście stąd to dla ciebie wystarczające przeprosiny? - zapytał Magnus.

- Tak. Jeżeli te dziewczyny odejdą stąd całe i zdrowe, przyjmę jej przeprosiny.

Skinął głową.

- Wobec tego sprawę możemy uznać za załatwioną.

- Nie chcesz najpierw ustalić tego z mistrzynią?

- Moja mistrzyni wciąż szepcze mi cichutko na ucho, Anito, a ja tylko pokornie wypełniam jej polecenia. - Mówiąc to, uśmiechnął się, ale skóra wokół jego oczu była napięta, a dłonie raz po raz mimowolnie zaciskały się w pięści.

- Nie podoba ci się rola jej pieska pokojowego.

- Być może, ale nic na to nie poradzę. - Zaczął wchodzić po schodach. - Idziemy?

Jean - Claude przystanął u podnóża schodów.

- Potrzebujesz pomocy, *ma petite*? Wypiłem sporo twojej krwi. Nie wracasz do zdrowia tak szybko jak mój wilk.

Szczerze mówiąc, nie bardzo uśmiechało mi się wchodzenie po schodach. Droga pod górę wydawała się dłuższa niż zejście na dół. Ale pokręciłam głową.

- Dam radę.

- Nie wątpię, *ma petite*. - Podszedł do mnie, ale nie po to, by szepnąć mi na ucho - zamiast tego poczułam go w swoim umyśle. - Jesteś słaba, *ma petite*. Pozwól, że ci pomogę.

- Nie rób tego więcej, do cholery.

Uśmiechnął się i westchnął.

- Jak sobie życzysz, *ma petite*. - Zaczął wspinać się po stopniach lekko jakby płynął w powietrzu, prawie ich nie dotykając. Tuż za nim podążyli Larry i dwie dziewczyny. Żadne z nich nie

wydawało się zmęczone. Poczłapałam ciężko za nimi, Jason szedł ostatni. Wyglądał na wycieńczonego, miał podkrążone oczy. Może to było przyjemne, ale oddanie takiej ilości krwi musiało być dla niego sporym poświęceniem, mimo tego, że jako lykantrop był bardziej wytrzymały i wracał do formy szybciej niż zwykli śmiertelnicy. Czy gdyby Jean - Claude zaproponował, że wniesie go po schodach na górę, przystałby na to? Jason wychwycił moje spojrzenie, ale nie uśmiechnął się, po prostu patrzył. Może on także by odmówił. Czy tej noc wszyscy chcieliśmy udowodnić sobie nawzajem, że jesteśmy samodzielni, silni i wytrzymali?

Jedwabne zasłony były rozsunięte. Tron stał w przeciwległym rogu po prawej. Nie sposób było nazwać go inaczej. Fotel nie był właściwą nazwą dla tego złotego, ozdobionego klejnotami mebla. Wokół niego na podłodze rozłożono mnóstwo poduszek, mogłoby się wydawać, że przygotowano je dla dziewcząt z haremu lub gromadki piesków pokojowych. Nic na nich nie siedziało. To wszystko wyglądało jak pusta scena przed wejściem na nią aktorów.

Nieduży gobelin na przeciwległej ścianie został odchyłony na bok, odsłaniając drzwi. Otwarto je i zablokowano w tej pozycji drewnianym klinem. Napływało przez nie świeże, wiosenne powietrze, usuwając woń zgnilizny i rozkładu. Już miałam powiedzieć: „Chodźcie, dziewczyny”, ale nagle zmienił się wiatr. Powiał silniej, był chłodniejszy i wiedziałam już, że to nie jest zwykły wiatr. Poczulałam świerzbienie skóry, mięśnie moich ramion i barków zaczęły drgać spazmatycznie.

- Co to takiego? - spytał Larry.

- Duchy - odparłam.

- Duchy? Co, u licha, robią tu duchy?

- Serephina potrafi przywoływać duchy - wyjaśnił Jean - Claude. - To wśród nas unikalna zdolność.

W drzwiach pojawiła się Kissa. Jej prawa ręka zwisała luźno wzdłuż boku. Krew ściekała po jej ramieniu szeroką, szkarłatną strużką.

- Twoja robota? - spytałam.

Larry skinął głową.

- Postrzeliłem ją, ale niezbyt ją to spowolniło.

- Zraniłeś ją.

Larry wybałuszył oczy.

- Pięknie. - Nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego. Zranieni mistrzowie wampirów mogą być piekielnie groźni.

- Serephina zaprasza cię na zewnątrz - powiedziała Kissa.

Magnus miękko jak kot osunął się na poduszki. Wyglądał, jakby nie po raz pierwszy mościł tam sobie miejsce.

- Nie idziesz? - spytałam.

- Już to widziałem - odparł.

Jean - Claude ruszył do drzwi. Jason podążył za nim, pozostając jednak kilka kroków z tyłu jak posłuszny pies.

Dwie dziewczyny trzymały się kurtki Larry'ego. To on uwolnił je z łańcuchów. Widziały, jak strzelał do ciemnych typów. Był bohaterem. I jak na bohatera przystało, aby ocalić niewinnych, gotów był oddać życie.

Nagle obok mnie pojawił się Jean - Claude.

- Coś nie w porządku, *ma petite*?

- Czy dziewczyny mogą wyjść od frontu?

- Dlaczego?

- Ponieważ cokolwiek tam jest, jest wielkie, wkurzone i złe jak jasna cholera, a ja chcę, aby bezpiecznie wróciły do domu.

- Co się dzieje? - spytał Jason. Stał nieco z boku. Raz po raz rozwierał i zaciskał pięści. Wydawał się bardziej rozluźniony niż pół godziny temu. skądinąd jak my wszyscy.

Jean - Claude odwrócił się do Kissy.

- Czy on mówił prawdę? - Wskazał na Magnusa. - Czy dziewczęta są wolne? Mogą odejść?

- Są wolne. Mogą odejść. Tak powiedziała mistrzyni.

Odwrócił się do dziewczyn.

- Idźcie - powiedział.

Spojrzały po sobie, po czym przeniosły wzrok na Larry'ego.

- Same? - spytała blondynka.

Brązowowłosa pokręciła głową.

- Chodź, Liso, pozwolili nam odejść. Chodźmy. - Spojrzała Larry'emu w oczy i dodała: - Dziękuję - Wracajcie bezpiecznie do domu - powiedział. - Uważajcie na siebie.

Skinęła głową i ruszyła w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą Lisę. Wyszły z pokoju i widzieliśmy wszyscy, jak wychodzą frontowymi drzwiami. Nic się na nie nie rzuciło. Nocy nie rozdarły krzyki przerażenia. No proszę.

- Jesteś gotowa, *ma petite*? Musimy złożyć wyrazy szacunku.

Postąpił krok naprzód, spoglądając na mnie. Jason stał już u jego boku, nerwowo zaciskając pięści.

Skinęłam głową i stanęłam za Jean - Claude'em. Larry trwał przy mnie jak cień. Czułam jego lęk jak drżenie przenikające moją skórę. Zrozumiałam, dlaczego był przerażony. Janos pokonał Jean - Claude'a. Janos bał się Serephiny, co oznaczało, że mistrzyni mogła bez większego trudu poradzić sobie z Jean - Claude'em. Skoro była w stanie unicestwić towarzyszącego nam wampira, my sami nie stanowiliśmy dla niej godnego wyzwania. Gdybym była mądra, powinnam zastrzelić ją, kiedy ją tylko zobaczę. Rzecz jasna przyszliśmy tu, aby prosić ją o pomoc. W tej sytuacji moje możliwości wyboru były bardzo ograniczone.

Chłodny wiatr rozwiały nasze włosy, muskając je niczym małe, niewidzialne rączki. Wydawało się, jakby ten wiatr był żywy. Nigdy dotąd nie zetknęłam się z wiatrem, który miałam ochotę odegnąć machnięciem ręki jak zbyt nachalnego chłopaka. Nie byłam jednak wystraszona. A powinnam się bać. Nie duchów, lecz tego, co je przywołało. Tyle że czułam się dziwnie nierzeczywista i zdystansowana. To efekt utraty krwi.

Przeszliśmy przez drzwi i zeszliśmy po dwóch małych, kamiennych stopniach. Na tyłach domu rosły rzędy małych, poskręcanych drzewek owocowych. Zaraz za sadem rozciągała się ściana mroku. Była to naprawdę potężna ściana ciemności, tak czarna, że nie zdołałam przeniknąć jej wzrokiem. Na jej tle odcinały się nagie gałęzie drzew.

- Co to jest? - spytałam.

- Niektórzy z nas potrafią otaczać siebie i innych cieniami i mrokiem - wyjaśnił Jean - Claude.

- Wiem, widziałam coś takiego, kiedy zginął Coltrain, ale to jest cała cholerna ściana.

- Istotnie, robi wrażenie - przyznał. Głos miał rzeczowy, obojętny. Spojrzałam na niego, ale nawet w blasku księżyca nie byłam w stanie rozszyfrować wyrazu jego twarzy.

Przez mrok przebiła się iskierka białego światła. Strumienie zimnego, białego światła przecięły ciemność. Światło zaczęło pożerać mrok, jak ogień kartkę papieru, czerń rozmywała się, pochłaniana przez blask. Kiedy resztki ciemności rozproszyły się, wśród drzew ukazała się blada postać.

Nawet z tej odległości nie pomyliłabym jej z człowiekiem, ale ona wcale nie próbowała udawać. Biała poświata otaczała jej głowę wirującą aureolą, połyskująca chmura rozrastała się wokół niej coraz bardziej, świecąc jak bezbarwny neon. Raz po raz wyłaniały się z niej i znikwały na powrót rozmyte postaci.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał Larry.

- Duchy - powiedziałam.

- Cholera - mruknął.

- Otóż to - przyznałam.

Duchy wpłynęły między drzewa. Zawisły wśród zaschłych konarów jak młode pąki białych kwiatów, gdyby pąki mogły się poruszać i świecić.

Dziwny wiatr owiał moją twarz, rozwiewając włosy. Długi, wąski korowód fosforyzujących postaci uniósł się w powietrze. Duchy, sunąc nisko nad ziemią, zbliżały się w naszą stronę.

- Anito!

- Po prostu nie zwracaj na nie uwagi, Larry. Nie skrzywdzą cię, jeśli pozostaniesz nieruchomo i będziesz je ignorował.

Pierwszy duch był długi, wąski i miał szerokie, wrzeszczące usta, które wyglądały jak kółko z dymu. Uderzył mnie w pierś. Poczulałam wstrząs, jak porażenie prądem. Mięśnie w moich ramionach zadrgały konwulsyjnie. Larry jęknął.

- Co to było, do cholery? - rzucił Larry.

Postąpiłam krok naprzód.

- Idź dalej i nie zwracaj na nie uwagi.

Nie chciałam tego, ale szłam tak szybko, że wyprzedziłam Jean - Claude'a. Następny duch przepłynął po mojej twarzy. Przez chwilę zapało mi dech, ale nie zwolniłam kroku i nieprzyjemne uczucie minęło.

Jean - Claude dotknął mojego ramienia. Spojrzałam mu w twarz i nie byłam pewna, co tam zobaczyłam. Wyraźnie próbował coś mi powiedzieć. Wciąż patrząc na mnie, wysforował się do przodu.

Skinęłam głową, przepuszczając go. To nic mnie nie kosztowało.

- Nie podoba mi się to - mruknął Larry.

- Mnie również - dodał Jason. Wymachiwał rękoma, usiłując odganiać białe, wirujące opary jak mgłę. Im bardziej się starał je rozwiać, tym bardziej opary gęstniały. Z oparów wyłoniła się twarz.

Podeszłam do Jasona i schwyciłam go za rękę.

- Zignoruj to.

Na jego ramieniu przycupnął mały duszek. Miał wielki, perkaty nos i dwoje na wpół uformowanych oczu.

Mięśnie ramion Jasona naprężyły się pod moimi palcami.

- Gdy zwracasz na nie uwagę, dodajesz im mocy do manifestacji - powiedziałam. Duch uderzył mnie w plecy. Zupełnie jakby w moim ciele zaległa bryła lodu. Duch przeszedł przeze mnie na wylot,

wypełzając z przodu. Odebrałam to, jakby przewleczono przeze mnie zimną linę. Wrażenie, choć piekielnie nieprzyjemne, było na szczęście krótkotrwałe. Nawet nie bolało.

Duch zagłębił się w torsie Jasona. Jason krzyknął. Tylko moje dłonie zaciśnięte na jego ramionach powstrzymały go przed zamachnięciem się na zjawę. Wszystkie mięśnie w ciele Jasona drgały jak u konia pożeranego żywcem przez gzy. Zwiotczał, gdy duch wyszedł z niego. Spojrzał na mnie przerażonym wzrokiem. Miło wiedzieć, że można go było przestraszyć. Najwyraźniej wampirzyce swymi gnijącymi dłońmi odebrały mu trochę odwagi. Wcale mu się nie dziwiłam. Ja też wpadłabym w panikę.

Larry drgnął, kiedy duch prześlizgnął się przez niego, ale tylko tyle. Oczy miał rozszerzone, wiedział jednak, co stanowiło prawdziwe zagrożenie - nie były nim duchy.

Jean - Claude podszedł do nas.

- Co się dzieje, mój wilku? - W jego głosie zabrzmiała reprimenda i gniew. Jego pupil nie spisywał się jak należy.

- Wszystko w porządku - odparłam. Ścisnęłam dłoń Jasona. Wciąż miał przerażony wzrok, ale pokiwał głową.

- Wszystko gra.

Jean - Claude ponownie ruszył w kierunku odległej białej postaci, szedł niespiesznie, z gracją jakby nie lękał się, w przeciwieństwie do nas. Może rzeczywiście nie odczuwał strachu. Przyciągnęłam Jasona do siebie. Larry stanął za mną. Ruszyliśmy za Jean - Claude'em, starając się nie okazywać zaniepokojenia. Wyglądaliśmy jak karny oddział, pomijając fakt, że trzymałam wilkołaka za rękę. Dłoń miał spoconą. Nie mogłam dopuścić, aby popadł w histerię. Prawą rękę wciąż miałam wolną, by w razie potrzeby móc sięgnąć po nóż lub pistolet. Już raz ich zraniliśmy, jeśli nie będą zachowywać się jak należy, dokończymy dzieła. A w każdym razie spróbujemy. Choćby miało nas to kosztować życie.

Jean - Claude poprowadził nas pośród nagich drzew, na konarach których niczym widmowe węże wiły się fosforyzujące zjawy. Zatrzymał się o kilka metrów od wampirzycy. Choć spodziewałam się, że się ukloni, nie zrobił tego.

- Witaj, Serephino.

- Witaj, Jean - Claude. - Miała na sobie prostą, białą suknię, której lśniące fałdy zakrywały jej stopy. Białe rękawiczki niemal całkiem przesłaniały jej ramiona. Włosy miała szare, z pasemkami bieli, jedyną na nich ozdobą był srebrny diadem z perłami. Na jej twarzy dostrzegłam starcze zmarszczki. Miała makijaż, ale na tyle delikatny, że nie ukrywał faktu, iż była stara. Wampiry się nie starzeją. O to w tym chodzi, prawda?

- Wejdziemy do środka? - spytała.

- Jeżeli chcesz - odparł.

Uśmiechnęła się słabo.

- Możesz wprowadzić mnie do środka, jak za dawnych czasów.
- Czasy się zmieniły, Serephino. Teraz oboje jesteśmy mistrzami.
- Mam wielu mistrzów, którzy mi służą, Jean - Claude.
- Ja służę tylko sobie - uciał.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym skinęła głową.

- Masz rację. Ale teraz bądź dżentelmenem.

Jean - Claude wziął głęboki oddech, z jego ust dobyło się westchnienie. Tak to w każdym razie odebrałam. Podał jej rękę, a ona wsunęła dłoń w rękawicze pod jego nadstawione ramię, kładąc palce na jego przegubie.

Duchy pomknęły za nią świetlistą strugą, spływając w dół niczym widmowy pociąg. Przemknęły obok nas, wywołując świerzbienie skóry, po czym znów wystrzeliły w górę i zawisły trzy metry nad ziemią.

- Możecie iść z nami - rzekła Serephina. - Nie będą was nękać.
- To pocieszające - stwierdziłam.

Znowu się uśmiechnęła. W blasku księżyca i widmowej poświacie trudno to było stwierdzić, ale jej oczy były blade, szare, albo może niebieskie. Nie musisz rozpoznać koloru oczu, by dostrzec ich wyraz.

- Nie mogłam się doczekać, aby cię poznać, nekromantko.
- Chciałabym móc powiedzieć to samo.

Uśmiech nie poszerzył się, ale i nie przygasł. Pozostał taki sam. Zupełnie jakby jej twarz była nieruchomą maską. Przez moment uniosłam wzrok, by spojrzeć jej w oczy. Nie próbowała mnie zahipnotyzować, ale w tych oczach była wielka moc, gorejąca gdzieś w głębi jak ogień, który tylko czeka, aby wybuchnąć i pochłonąć nas wszystkich. Nie potrafiłam oszacować jej wieku. Nie pozwoliła mi na to. Nigdy dotąd nie spotkałam wampira, który by to potrafił - takiego, który oszukałby mnie, udając młodszego niż w rzeczywistości, owszem, ale ona po prostu na mnie spojrzała i odwiodła mnie od tego zamiaru.

Odwróciła się i weszła do środka. Jean - Claude pomógł jej wejść po schodach, jakby tego potrzebowała. Uczucie wyobcowania, wywołane utratą krwi, słabło. Znowu poczułam się realna i żywa i chciałam, aby tak już zostało. Może sprawiło to ciepło dłoni Jasona. To, że była spocona. Jego realna bliskość. Nagle ogarnął mnie strach, a przecież Serephina nic mi jeszcze nie zrobiła.

Duchy wpłynęły do domu, jedne przeniknęły przez ściany, inne weszły drzwiami. Gdy patrzyłam, jak przechodzą przez drewno, nieomal spodziewałam się usłyszeć jakiś dźwięk, choćby plaśnięcie, ale robiły to bezgłośnie. Nieumarli nie czynią hałasu. Duchy unosiły się pod sufitem jak balony napełnione helem i jak mleczne strugi wody spływały po ścianach za tronem. Przy ogniu świec były przezroczyste jak mydlane bańki.

Serephina usiadła na tronie. Magnus skulił się na poduszkach u jej stóp. W jego oczach przez krótką chwilę malował się gniew, ale zaraz zniknął. Nie podobało mu się bycie zabawką Serephiny. Miał u mnie za to dodatkowy punkt.

- Podejdz i usiądź przy mnie, Jean - Claude - powiedziała Serephina. Wskazała na poduszki po drugiej stronie Magnusa. Stworzyliby ciekawą parę.

- Nie - odparł Jean - Claude. W tym jednym słowie zawarło się ostrzeżenie. Powoli uwolniłam dłoń z uścisku Jasona. Gdyby doszło do walki, będę potrzebować obu rąk.

Serephina roześmiała się i ten dźwięk sprawił, że jej moc została uwolniona, zalewając nas, nieszczęsnych śmiertelników. Jej moc stratowała mnie jak stado koni. Całe moje ciało zostało wprawione przez nią w drżenie. W ustach miałam zbyt sucho, by przełykać ślinę i nie mogłam nawet zaczerpnąć powietrza. Nie musiała mnie dotknąć, aby mnie zranić. Mogła siedzieć na tronie, miotając we mnie mocą. Była w stanie zmiażdżyć moje kości na proch z bezpiecznej odległości.

Coś dotknęło mojego ramienia. Drgnęłam i odwróciłam się jak w zwolnionym tempie. Trudno mi było skupić się na twarzy Jean - Claude'a, ale gdy już to zrobiłam, miażdżąca moc wycofała się jak fale oceanu podczas odpływu. Wzięłam głęboki, drżący oddech, jeden, potem drugi. Każdy kolejny był coraz pewniejszy.

- Iluzja - wyszeptałam. - Pieprzona iluzja.

- Tak, *ma petite*. - Odwrócił się ode mnie i podszedł do wciąż jeszcze owładniętych czarem Jasona i Larry'ego.

Skierowałam wzrok ku tronowi. Duchy otoczyły Serephineę połyskującym nimbem, to było doprawdy niesamowite. Ale nie tak niesamowite jak jej oczy. Dostrzegłam je przez moment, który zdawał się trwać w nieskończoność, po czym przeniosłam wzrok na skraj jej białej sukni.

- Nie możesz wytrzymać mego spojrzenia?

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Czy naprawdę możesz być tak potężną nekromantką, skoro nawet nie możesz mi spojrzeć w oczy?

Nie chodziło tylko o spojrzenie w oczy. Byłam cała skulona. Wyprostowałam się, ale nie uniosłam wzroku.

- Masz nie więcej jak sześćset lat. - Powoli uniosłam wzrok, zatrzymując go na wysokości jej podbródka. - Jak, u licha, zdołałaś przez ten czas zgromadzić taką moc?

- Cóż za brawura. Spójrz mi w oczy, a odpowiem na twoje pytanie.

Pokręciłam głową.

- Aż tak bardzo mi na tym nie zależy.

Zachichotała. To był cichy, mroczny dźwięk. Przesunął się po moim kręgosłupie jak coś odrażającego i na wpół żywego.

- Ach, Janos, Ivy, miło, że do nas dołączacie.

Janos przepłynął przez drzwi z Ivy u boku. Janos bardziej teraz przypominał człowieka niż podczas naszego poprzedniego spotkania. Skórę miał bladą, lecz cielistą. Twarz wciąż miał pociągłą. Nadal nie byłby w stanie uchodzić za człowieka, ale nie wyglądał tak potwornie jak poprzednio. Poza tym sprawiał wrażenie uleczonego.

- Cholera.

- Coś nie tak, nekromantko? - spytała Serephina.

- Nie cierpię marnować naboii.

Znów zachichotała. Aż ścierpła mi od tego skóra.

- Janos ma wiele talentów.

Przeszedł obok nas. Ujrzałam w jego koszuli dziury po kulach. Przynajmniej popsułam mu ubranie.

Ivy wyglądała na nietkniętą. Czyżby dała nogę, kiedy rozpętała się strzelanina? Czy zostawiła Bruce'a, aby umarł?

Janos ukląkł pośród poduszek na jedno kolano. Ivy zrobiła to samo. Pozostali tak, ze spuszczoneymi głowami, czekając aż mistrzyni ich zauważy.

Kissa stanęła obok Magnusa. Zranioną rękę trzymała przy ciele. Raz po raz zerkała na klęczących, po czym przenosiła wzrok na Serephinę. Wydawała się... zaniepokojona.

Coś miało się wydarzyć. Coś nieprzyjemnego.

Serephina zignorowała klęczących i powiedziała:

- Co cię do mnie sprowadza, Jean - Claude?

- Śmiem twierdzić, że masz coś, co należy do mnie - odparł.

- Janos - rzuciła.

Janos wstał i wyszedł z sali. Po chwili wrócił, niosąc wielki worek, jakby był świętym Mikołajem. Rozwiązał go i wysypał jego zawartość na podłogę u stóp Jean - Claude'a. Drewniane drzazgi, żadna nie dość duża, by nadawała się na porządny kołek, utworzyły całkiem pokaźny stosik. Drewno było ciemne i polakierowane z jednej strony, z drugiej białe i surowe.

- Z pozdrowieniami - rzucił Janos. Wytrząsnął ostatnie kawałki drewna z worka i ponownie ukląkł.

Jean - Claude spojrział na potrzaskane drewno.

- To dziecinne, Serephino. Czegoś takiego mógłbym spodziewać się po tobie przed wiekami. Teraz... - Wskazał na duchy, zataczając dłonią półokrąg. - Jak zdołałaś podporządkować sobie Janosa? Kiedyś budził w tobie lęk.

- Mów, po co przychodzisz, Jean - Claude, zanim stracę cierpliwość i sama rzucę ci wyzwanie.

Uśmiechnął się, uklonił i teatralnym gestem rozłożył szeroko ręce. Gdy ponownie uniósł głowę, już się nie uśmiechał. Jego twarz była jak piękna maska.

- Xavier jest na twoim terytorium - oznajmił.

- Czy naprawdę uważasz, że mogłabym wyczuć obecność twojej małej nekromantki, a przeoczyć Xaviera? Wiem, że tu jest. Jeśli rzuci mi wyzwanie, rozprawię się z nim. Mów, co jeszcze masz do powiedzenia. A może to już wszystko? Czy przyszedłeś tylko po to, by mnie ostrzec? To doprawdy urocze. Zadałeś sobie tyle trudu.

- Wiem, że jesteś teraz potężniejsza od Xaviera - powiedział Jean - Claude - ale on morduje ludzi. Nie chodzi mi tylko o atak na dom chłopca. Były jeszcze inne ofiary. Wybija swoich pupili. Zwraca niepotrzebną uwagę na nas wszystkich.

- Wobec tego niech Rada go unicestwi.

- Ty jesteś mistrzynią na tym terytorium, Serephino. To należy do twoich obowiązków.

- Nie mów mi, co do nich należy. Gdy umarłam, ja miałam już wiele setek lat. Byłam nic nieznaczącą maskotką dla każdego wampira, który cię zechciał. Nasz piękny Jean - Claude. - Wymówiła słowo „piękny” jak obelgę.

- Wiem, czym byłem, Serephino. Teraz jednak jestem Mistrzem Miasta i stosuję się do praw Rady. Nie możemy dopuścić, aby na naszych terytoriach mordowano ludzi. To źle wpływa na interesy.

- Niech Xavier wymorduje nawet setki ludzi. Zawsze będą nowi - odparła.

- Miłe podejście - skomentowałam.

Skupiła wzrok na mnie, a ja pożałowałam, że w ogóle się odezwałam. Jej moc uderzała we mnie falami jak wielkie, bijące serce.

- Jak śmiesz mnie ganić - warknęła Serephina Usłyszałam szelest jej jedwabnej sukni, gdy wstała. Nikt więcej się nie poruszył. Usłyszałam, jak jej suknia szeleści na poduszkach i prześlizguje się po podłodze, gdy się do mnie zbliżała. Nie chciałam, aby mnie dotknęła.

Patrzyłam na linię jej ciała i ujrzałam jej dłoń w rękawiczce przecinającą powietrze. Jęknęłam. Krew spłynęła po mojej ręce.

- Cholera! - Skaleczenie było głębsze niż to Janosa i bardziej bolesne. Odnalazłam jej spojrzenie, gniew dodał mi odwagi albo odebrał rozum. Jej oczy były całkiem białe, jak dwa uwieszone w twarzy księżycy. Te oczy przyzywały mnie. Chciałam rzucić się w jej blade ramiona, poczuć dotyk tych miękkich warg i ostrą pieśczoć kłów. Chciałam poczuć, jak jej ciało tuli moje. Chciałam, by przytuliła mnie do siebie, jak to niegdyś robiła moja matka. Zaopiekowałyby się mną. Troszczyłyby się o mnie już zawsze i nigdy, przenigdy by mnie nie opuściła. Nie zostawiłaby mnie.

Znieruchomiałam. Stałam przy stercie poduszek. Brzeg jej sukni prawie dotykał moich stóp. Mogłam wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. Byłam sparaliżowana strachem.

Rozłożyła szeroko ramiona.

- Pójdź do mnie, moje dziecko, a zawsze będę z tobą. I będę tulić cię po wsze czasy.

Jej głos zawierał w sobie wszystko co dobre - ciepło, pożywienie, schronienie, stanowił opokę przed wszystkim co złe, co rani i przynosi rozczarowanie. Wiedziałam, że wystarczy, aby wzięła mnie w ramiona i wszystko co złe przeminie. Stałam tam z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Tak bardzo pragnęłam, by mnie dotknęła, objęła, przytuliła. Z rany, którą mi zadała, wciąż sączyła się krew. Roztarłam palcami zranione miejsce, wywołując silny ból. Potrząsnęłam głową.

- Pójdź do mnie, dziecko. Będę twoją matką na zawsze.

Odnalazłam w sobie głos. Był ochryply, stłumiony, ale jakoś udało mi się wydusić:

- Wszystko umiera, suko. Nie jesteś nieśmiertelna, żadne z was nie jest.

Poczułam jej moc jak koncentryczne kręgi rozchodzące się na powierzchni stawu, do którego wrzucono kamień. Cofnęłam się o krok, potem drugi. Z trudem powstrzymywałam się, by nie obrócić się na pięcie i nie rzucić do ucieczki. Ale wiedziałam, że wtedy już nic by mnie nie zatrzymało. Biegłabym bez końca. Byle jak najdalej od niej.

Nie uciekłam. Zatrzymałam się dwa kroki dalej i rozejrzałam się dokoła.

Wszyscy byli zajęci. Janos stał obok Jean - Claude'a. Nie próbowali na sobie wampirzych sztuczek, ale groźba, że do tego dojdzie, była bardzo realna. Kissa stała z boku, krew sączyła się na poduszki u jej stóp. Na jej twarzy malował się wyraz, którego nie zdołałam rozszyfrować. Może zdumienie? Ivy stała, wpatrując się we mnie. Uśmiechała się zadowolona, że mało brakowało, a padłabym Serephinie w ramiona. Ja się nie cieszyłam. Nikt, nawet Jean - Claude, nie zbliżył się do niej bardziej. Czułam więcej niż strach. Moja skóra była lodowata. Przełamalam jej moc nad sobą, ale było to tylko chwilowe. Może nie zdoła ovladnąć mną mentalnie, ale zdołała wedrzeć się do mojego umysłu. Gdyby tylko chciała, mogła mnie mieć. To nie byłoby przyjemne. Żadnych iluzji i sztuczek, tylko brutalna siła i należałabym do niej Nie padnę jej w ramiona, ale ona mogła unicestwić mój umysł. To mogła zrobić. Jak najbardziej. Ta świadomość prawie mnie uspokoiła. Skoro nie mogłam temu zapobiec, to po co się tym martwić? Należy przejmować się rzeczami, które jesteś w stanie kontrolować, reszta jakoś się ułoży albo cię pogrąży. Jedno z dwojga. Tak czy owak, nie będziesz już niczym się przejmować. I po kłopotcie.

- Masz rację, nekromantko - powiedziała Serephina. - Wszyscy w tej sali jesteśmy śmiertelni. Wampiry mogą żyć długo, nawet bardzo długo. To sprawia, że zapominamy o własnej śmiertelności. Ale nie jesteśmy prawdziwie nieśmiertelni.

To nie było pytanie, a jako że zgadzałam się z tym, co powiedziała, tylko na nią patrzyłam.

- Janos powiedział mi, że otacza cię aura mocy, nekromantko. Twierdzi, że wykorzystał ją przeciwko tobie jak przeciwko innemu wampirowi. Przed chwilą zrobiłam to samo, gdy zraniłam cię w rękę. Nigdy dotąd nie spotkałam śmiertelnika, któremu mogłam wyrządzić w ten sposób krzywdę.

- Nie wiem, o co chodzi z tą aurą.

- To ona pozwoliła ci przeciwstawić się mojej mocy. Żaden człowiek nie był dotąd do tego zdolny, a spośród wampirów tylko nieliczni.

- Cieszę się, że zdołałam ci zaimponować.

- Nie twierdzę, że mi zaimponowałaś, nekromantko.

Wzruszyłam ramionami.

- Świetnie, może nie zależy ci na ludziach i na tym, by trzymać się w cieniu. Nic nie wiem o waszej Radzie ani co ona z tobą zrobi, za to, że nam nie pomogłaś. Ale wiem, co ja zrobię.

- O czym ty bredzisz, śmiertelniczko?

- Jestem legalną egzekutorką wampirów z uprawnieniami do działania na terenie tego stanu. Xavier i jego banda porwali chłopca. Chcę go odzyskać, żywego. Pomożesz mi w tym. Ma wrócić do domu żywy albo pójdę do sądu i zdobędę nakaz twojej egzekucji.

- Jean - Claude, porozmawiaj z nią albo ją zabiję.

- Ona ma za sobą ludzkie prawo, Serephino.

- Czymże jest dla nas prawo ludzi?

- Rada uważa, że te prawa rządzą nami tak samo jak ludźmi. Wypieranie się praw ludzi jest równoznaczne z zerwaniem z Radą.

- Nie wierzę ci.

- Możesz wyczuć, że mówię prawdę. - Jego głos był opanowany, pewny siebie. - Nigdy bym cię nie okłamał, ani dwieście lat temu, ani teraz.

- Kiedy to nowe prawo weszło w życie?

- Odkąd Rada uznała, że obecność w głównym nurcie może przynieść nam korzyści. Oni pragną pieniędzy, władzy oraz możliwości bezpiecznego i swobodnego poruszania się po ulicach. Nie chcą się już ukrywać, Serephino.

- Wierzysz w to, co mówisz, a zatem przynajmniej to jest prawdą - stwierdziła. Spojrzała na mnie, a ciężar tego spojrzenia był jak wielka, niewidzialna dłoń usiłująca rozgnieść mnie na miazgę. Utrzymałam się na nogach, choć kosztowało mnie to sporo wysiłku. Przed taką mocą należało się ukorzyć. Paść na kolana. Oddawać jej cześć.

- Przestań, Serephino - powiedziałam. - Tanie mentalne sztuczki nie podziałają na mnie i dobrze o tym wiesz. - Zimna gula w żołądku świadczyła o czymś zgoła innym.

- Boisz się mnie, śmiertelniczko. Czuję na języku smak twojego strachu.

O rany.

- Tak, przerażasz mnie. Jak zapewne wszystkich innych w tej sali. I co z tego?

Wyprężyła się na całą wysokość swego smukłego, chudego ciała. Jej głos stał się nagle miękki, jego tchnienie pieszczotliwie przesuwano się po mojej skórze.

- Pokażę ci.

Skinęła dłonią. Stężałam, oczekując kolejnego bolesnego ciosu, lecz ten nie nadszedł. Krzyk przeciął powietrze. Odwróciłam się.

Po twarzy Ivy spływała krew. Kolejne rozcięcie pojawiło się na jej ramieniu. Dwa następne na twarzy. Każdy precyzyjny ruch otwierał nową długą i głęboką ranę.

Ivy krzyknęła:

- Błagam, Serephino! - Upadła na kolana, wyciągając rękę w kierunku wampirzycy. - Mistrzynie! Serephino! Błagam!

Serephina płynnie obeszała ją dokoła.

- Gdybyś powstrzymała swój gniew, oni wszyscy należeliby już do nas. Poznałam ich serca, ich umysły, ich najgłębiej skrywane lęki. Mogliśmy złamać ich wszystkich. To oni złamaliby rozejm, a my nasycilibyśmy się nimi do woli.

Była tuż przy mnie. Chciałam cofnąć się, ale mogłaby uznać to za oznakę słabości. Jej suknia otarła się o moją nogę. Nie chciałam, aby mnie dotykała. Cofnęłam się, a ona schwyciła mnie za przegub. Nawet nie zauważyłam tego ruchu.

Spojrzałam na tę rękę jak na węża, który nagle oplótł mój nadgarstek. Do diabła, wołałabym, aby to był wąż.

- Chodź, nekromantko, pomóż mi ukarać tę złą wampirzycę.

- Dziękuję, ale nie - odparłam, Głos mi się łamał. Czułam dziwne trzepotanie w żołądku. Jak dotąd tylko mnie dotknęła, ale dotyk wzmacnia każdą moc. Gdyby teraz spróbowała na mnie swoich sztuczek, byłoby po mnie.

- Ivy z lubością patrzyłaby na twoje cierpienia, nekromantko.

- To jej problem, nie mój. - Wlepiłam wzrok w jedwabną suknię Serephiny. Kusiło mnie, aby spojrzeć jej w oczy. To raczej nie była jej moc, lecz moje własne mroczne pragnienie. Ciężko zgrywać twardą sztukę, kiedy gapisz się na czyjeś ciało i jesteś prowadzona za rączkę jak dziecko.

Ivy leżała na podłodze, podpierając się na łokciach. Jej cudowne oblicze przecinały liczne głębokie zadrapania. Przez rozcięcie na policzku dostrzegłam lśniąca w blasku świec kość. Z rany na rękę wzywały okrwawione, drżące mięśnie.

Ivy spojrzała na innie, a pośród bólu dostrzegłam w niej nienawiść tak silną, że gdyby emocje mogły zabijać, byłabym już trupem. Gniew bił z niej potężnymi falami.

Serephina uklękła obok niej, przyciągając mnie do siebie i zmuszając, abym także osunęła się na kolana. Spojrzałam na Jean - Claude'a. Janos oparł białą, wąską dłoń na jego torsie. Larry bezgłośnie wyszeptał: „Pistolet.” Pokręciłam głową. Na razie nic mi nie zrobiła. Jeszcze nie.

Jej dłoń szarpnęła mnie tak mocno, że odruchowo odwróciłam głowę, aby na nią spojrzeć. Nagle znalazłam się oko w oko z Serephiną. To, co ujrzałam w jej oczach, nie było straszne. Jej oczy, które, jak mogłam przysiąc, miały jasny odcień, wydawały się ciemnobrązowe. Jak oczy mojej matki.

Chyba chciała mnie omamić, abym poczuła się rozluźniona. Nic z tego. Moja skóra stała się lodowata z przerażenia.

- Przestań.

- Nie chcesz, abym przestała - oznajmiła.

Próbowałam uwolnić rękę z jej uścisku. Równie dobrze mogłabym starać się powstrzymać słońce, by nie weszło o świcie.

- Jedyne co możesz mi zaoferować, to śmierć. Moją nieżyjącą matkę w twoich martwych oczach. - Wejrzałam w te brązowe oczy, których nie spodziewałam się ujrzeć po tej stronie nieba. Zaczęłam krzyczeć, patrząc w oczy matki, nie mogąc oderwać od nich wzroku. Serephina nie pozwoliłaby mi na to, a ja nie mogłam z nią walczyć, przynajmniej dopóki mnie dotykała.

- Jesteś chodzącym trupem, a cała reszta to stek kłamstw.

- Nie jestem martwa, Anito. - W jej słowach rozbrzmiało echo głosu mojej watki. Uniosła dłoń, jakby chciała pogłodzić mnie po policzku.

Spróbowałam zamknąć oczy. Odwrócić wzrok. Nie mogłam. Moje ciało ogarnął dziwny paraliż, jak to niekiedy ma miejsce na granicy snów, kiedy odnosisz wrażenie, że twoje ciało waży tonę i nie jesteś w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

Dłoń zbliżała się do mnie w zwolnionym tempie i wiedziałam, że jeśli mnie dotknie, padnę jej w ramiona. Przytulę się do niej i wybuchnę płaczem.

Pamiętałam twarz mojej matki, kiedy widziałam ją po raz ostatni. Trumna z ciemnego drewna zasłana była kobiercem z różowych róż. Wiedziałam, że mama była w środku, ale nie pozwolono mi jej zobaczyć. Nikt nie mógł jej ujrzeć. Zamknięta trumna, powiedzieli. Wszyscy dorośli dostawali hysterii. W pomieszczeniu słychać było jęki i szloch. Mój ojciec osunął się na podłogę. Nie mógł mi pomóc. Chciałam do mamy. Zaciski na trumnie były srebrne, Otworzyłam je i usłyszałam za sobą krzyk. Nie miałam wiele czasu. Wieko było ciężkie, ale pchnęłam je w górę i poruszyło się. Dostrzegłam białą satynę i cienie. Uniosłam ręce nad głową, wkładając w to całą siłę i wtedy coś zobaczyłam.

Ciocia Mattie schwyciła mnie i odciągnęła do tyłu. Wieko opadło z hukiem. Zamknęła je i zablokowała, po czym siłą odprowadziła mnie na bok. Nie wrywałam się. Zobaczyłam dosyć. To było trochę jak patrzenie na te trójwymiarowe obrazki, na których coś jest ukryte. Wiesz, że zobaczysz to, o ile tylko wyteżysz wzrok. Dopiero po latach zdołałam poukładać sobie w zwartą całość to, co wówczas ujrzałam. To nie była moja matka. To nie mogła być ona. Nie moja piękna matka. To było naczynie, coś co po sobie pozostawiła. Coś co należało ukryć w ciemnej skrzyni, aby w niej zgniło. Otworzyłam oczy i stwierdziłam, że Serephina ma jasnoszare oczy. Wyrwałam rękę z jej wiotkiego nagle uścisku i powiedziałam:

- Ból pomaga.

Wyprostowałam się i odstałam od niej. Nie próbowała mnie zatrzymać. To dobrze, bo byłam cała rozdygotana i wcale nie sprawiła tego wampirzyca. Wspomnienia także mają kły i potrafią kąsać.

Serephina pozostała przy klęczącej Ivy i powiedziała:

- Doprawdy imponujące, nekromantko. Pomogę ci odnaleźć chłopca, którego szukasz.

Zaniepokoiła mnie jej niespodziewana skłonność do współpracy.

- Dlaczego?

- Ponieważ odkąd osiągnęłam wyżyny moich możliwości, nikt jeszcze nie zdołał jednej nocy dwukrotnie umknąć moim iluzjom. Nikt, ani żywy, ani umarły.

Schwyciła Ivy za okrwawione ramię i przyciągnęła ku sobie. Krew Ivy splamiła jej białą suknię. Ivy jęknęła.

- Pamiętaj o tym, młoda mistrzyni wampirów. Ta śmiertelniczka dokonała tego, czego ty nie potrafisz. Stawiła mi czoła i zwyciężyła. - Nagle odepchnęła ją od siebie. Ivy ciężko wylądowała na podłodze.

- Nie chcę cię widzieć. Idź precz.

Serephina wstała. Świeża krew tworzyła szkarłatne plamy testu Rorschacha na jej białej sukni i rękawiczkach.

- Zaimponowaliście nam. Teraz odejdźcie. Wszyscy. - Odwróciła się i podeszła do swego tronu. Nie zasiadła na nim. Stała, odwrócona do nas plecami, z jedną ręką opartą na podłokietniku. Może tylko mi się zdawało, ale sprawiała wrażenie zmęczonej. Duchy spłynęły spod sufitu, spiesząc jej na spotkanie i wirując wokół niej jak opary mgły. Nie sposób ich już było rozróżnić, stanowiły zwartą masę, jakby widma utraciły swoją integralność.

- Idźcie - rzuciła, nie odwracając się.

Tylne drzwi były otwarte, ale Jean - Claude skierował się ku frontowym. Nie zamierzałam się z nim spierać. Chciałam po prostu stąd wyjść. Nie obchodziło mnie, którymi drzwiami opuścimy to miejsce. Ruszyliśmy spokojnie i powoli w kierunku wyjścia. Miałam ochotę pobiec. Larry siedł obok mnie. Zauważyłam tętnicę pulsującą na jego szyi jak oszalała. On także pragnął jak najprędzej się stąd wydostać. Jason dotarł do drzwi przed nami, ale zczekał, odwrócił się i zaprosił nas do wyjścia szarmanckim ruchem ręki, jakby był kamerdynerem.

Spojrzałam mu w oczy. Były przepełnione przerażeniem i zrozumiałam, ile musiał kosztować go ten nonszalancki z pozoru gest. Przystąpiliśmy próg, ja, Larry i Jason. Jean - Claude siedł ostatni. Drzwi zatrzasnęły się za nami. Wyszliśmy. Tak po prostu.

Tyle że po raz pierwszy miałam świadomość, że pozwolono mi odejść. Nie musiałam wywalczyć sobie możliwości wyjścia ani wykorzystać w tym celu jakiegoś sprytnego fortelu. Serephina mogła być pod wrażeniem, ale tak czy owak pozwoliła nam odejść. Gdy ktoś pozwala ci odejść, nie oznacza to, że wyszedłeś z tego zwycięsko.

Nigdy nie wróciłabym z własnej woli do tego domu. I nigdy z własnej woli nie zbliżyłabym się do Serephiny. Jako że tej nocy udało mi się jej zaimponować, wiedziałam, że jeszcze się spotkamy. Nie było mi do tego spieszno. Wręcz przeciwnie, wolałam możliwie jak najdłużej odwlekać moment naszego ponownego spotkania. Nawet teraz wiedziałam, że mogła mnie mieć. Ta wampirzyca знаła moją najskrytszą tajemnicę. Moje najgłębsze pragnienia. I dysponowała kłamstwem, które nieomal

warte było mojej nieśmiertelnej duszy.

Niech to cholera.

Jason wyminął mnie i wszedł do pokoju hotelowego. Natychmiast skierował się do łazienki.

- Wezmę prysznic - powiedział. Może to nieuprzejme z mojej strony, ale śmierdział jak gnijący trup. Przez całą drogę jechaliśmy z opuszczonymi bocznymi szybami. Zwykle, jeśli samemu cuchniesz, nie czujesz woni kogoś innego. Ja też miałam na sobie tę gnijącą substancję, ale mimo to wciąż czułam smród Jasona. Niektóre zapachy są tak mocne, że nie sposób nie zwracać na nie uwagi.

- Zaczekaj - rzucił Larry.

Jason odwrócił się, ale nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Skorzystaj z mojego prysznica. - Uniósł rękę, zanim zdążyłam się odezwać.

- Do świtu została tylko godzina. Jeżeli chcemy, aby wszyscy do tego czasu doprowadzili się do porządku, powinniśmy skorzystać z obu łazienek.

- Sądziłam, że wszyscy będziemy dziś spać w tym pokoju - powiedziałam.

- Dlaczego? - zapytał.

Jean - Claude stał przy kanapie. Wyglądał na rozluźnionego i wyraźnie nie zamierzał mi pomóc. Jason sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

- W kupie raźniej - stwierdziłam.

Larry pokręcił głową.

- W porządku, ale mogę zabrać wilkołaka do sąsiedniego pokoju, aby się wykapał. A może nie ufasz mi i myślisz, że nawet z tym sobie nie poradzę? - W jego głosie czuć było gniew.

- Ufam ci, Larry. Dobrze się dziś spisałeś.

Spodziewałam się uśmiechu. Nie doczekałam się go jednak, Larry miał bardzo poważną minę.

- Zabiłem tego wampira, Bruce'a.

Pokiwałam głową.

- Sądziłam, że będziemy musieli wybić wszystkich w całym pomieszczeniu.

- Ja również. - Usiadł na jednym z krzeseł. - Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem.

- To był wampir. To nie to samo co zabicie człowieka.

- Tak, no jasne. A ilu trupom robiłaś ostatnio sztuczne oddychanie?

Zauważyłam, że Jean - Claude uśmiechnął się do mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Tylko jednemu. Czy moglibyśmy tu mieć choć odrobinę prywatności? - spytałam.

- Usłyszę, co mówisz, nawet gdybym przeniósł się na drugi koniec pokoju.

- Nawet złudzenie dobrze mi zrobi. Po prostu się cofnij.

Jean - Claude skłonił się lekko, po czym wraz z Jasonem podszedł do okna. Wiedziałam, że usłyszy wszystko, co powiem, ale przynajmniej nie będzie stał tuż nade mną.

- Ty tak naprawdę nie wierzysz, że on jest martwy, prawda? - zapytał Larry.

- Widziałeś, co się stało z tymi dwiema wampirzycami - odparłam. - To tylko gnijące trupy, cała reszta jest iluzją.

- Myślisz, że on czasem też tak wygląda?

Przez chwilę przyglądałam się Jean - Claude'owi. - Obawiam się, że tak.

- Jak po czymś takim możesz jeszcze się z nim spotykać?

Pokręciłam głową.

- Sama nie wiem.

- Trup czy nie, próbowałaś utrzymać go przy życiu. - Zareagował na zmianę wyrazu mojej twarzy. - No dobrze, on nie jest żywy, jest nieumarły, ale tak czy owak próbowałaś go ocalić. Bałaś się, że umarł naprawdę.

Spojrzałam na niego.

- I co z tego?

- To, że ja zabiłem inną żywą czy raczej nieumarłą istotę. Cholera, Anito, Bruce był nieumarłym tak krótko, że wciąż wyglądał jak człowiek.

- Prawdopodobnie dlatego do uśmiercenia go wystarczyła jedna kula w klatkę piersiową.

- Jak powinienem się z tym czuć?

- Ze świadomością tego, że go zabiłeś?

- Tak.

- To potwory, Larry. Niektóre z nich są atrakcyjniejsze od innych, ale wszystkie bez wyjątku są potworami. Nie wolno ci w to wątpić.

- Innymi słowy jesteś w stanie z czystym sumieniem powiedzieć mi prosto w oczy, że Jean - Claude jest potworem.

To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Nieomal spojrzałam na wspomnianego potwora, ale w ostatniej chwili zdołałam się pohamować. Dość się już na niego napatrzyłam tej nocy.

- Tak.

- A teraz zapytaj ją, czy uważa samą siebie za potwora. - Jean - Claude oparł się o kanapę i splótł ramiona na piersiach.

Larry wydawał się odrobinę zdezorientowany, ale w końcu zapytał:

- Anita?

Wzruszyłam ramionami.

- Czasami.

Jean - Claude uśmiechnął się.

- Widzisz, Lawrence? Anita uważa, że my wszyscy jesteśmy potworami.

- Larry nim nie jest - ucięłam.

- Poczekaj. Daj mu trochę czasu.

Było w tym sporo prawdy.

- Czyżbyś zapomniał, że prosiłam o odrobinę prywatności?

- O niczym nie zapomniałem, *ma petite*, ale mamy coraz mniej czasu. Mój wilk nie jest jedynym, który wymaga kąpieli. Tylko nasz młody przyjaciel jest nadal świeży i pachnący.

Spojrzałam na Larry'ego. Nie kalęła go ani jedna kropla krwi. Tylko on nie siłował się tej nocy z wampirami.

Wzruszył ramionami.

- Przykro mi. Jakoś nie byłem dziś w stanie nakłonić nikogo, aby ochlapał mnie posoką.

- Bez żartów, Larry - ucięłam. - Biorąc pod uwagę Serephine, myślę, że już wkrótce będziesz miał kolejną szansę.

- Smutne, lecz prawdziwe, *ma petite*.

- Jak długo jesteś w stanie wytrzymać bez trumny? - spytałam.

Uśmiechnął się.

- Wzrusza mnie twoja troska o mnie.

- Nie wciskaj mi kitu. Dzisiejszej nocy otworzyłam sobie żyłę. I zrobiłam to dla ciebie.

- Wybacz, jeżeli nie podziękowałam ci za ocalenie mi życia, *ma petite*.

Spojrzałam na niego. Wydawał się rozluźniony i rozbawiony, ale była to tylko maska. Tak właśnie wyglądał, kiedy nie chciał, aby ktokolwiek przejrzał jego myśli i co więcej, gdy nie chciał się z tym zdradzić. Nie ma sprawy.

- Nigdy nie zapomnę, że mnie ocaliłaś, *ma petite*. Mogłaś się ode mnie uwolnić. Dziękuję.

Zabrzmiało to całkiem szczerze.

- Nie ma za co.

- Muszę to z siebie zmyć - powiedział Jason. W jego głosie zabrzmiała nuta paniki. Mogłam się założyć, że będzie próbował zmyć z siebie coś więcej niż tylko brud. Tyle że wspomnień nie usuwa się równie łatwo. Tym gorzej. Szkoda.

- Idźcie już - obaj. Jason może się umyć w pokoju Larry'ego. To ze względów czysto praktycznych, ma się rozumieć.

Larry uśmiechnął się do mnie.

- Dzięki.

- Mówiłam serio, naprawdę dobrze się dziś spisałeś.

Nareszcie doczekałam się jego uśmiechu.

- Chodź, Jasonie, gorąca kąpiel i czyste ręczniki już czekają. - Larry przytrzymał dla Jasona drzwi i zasalutował mi. Rany.

Znów zostałam sam na sam z Jean - Claude'em. Czy ta noc nigdy się nie skończy?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie dotyczące trumny - przypomniałam.

- Przez noc lub dwie powinienem jakoś wytrzymać.

- Jak to się stało, że Serephina, równa tobie mocą rozwinęła się do obecnego poziomu?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, *ma petite*. Bardzo mnie dziś niemile zaskoczyła. Co więcej, nie musiała nas puścić. Dopóki nie zrobiła nikomu z nas nic złego, mogła zatrzymać nas jako swoich gości na następny dzień.

- Zdziwiłeś się, że pozwoliła nam odejść? - spytałam.

- Tak - odparł. Odstąpił od kanapy. - Weź prysznic, *ma petite*. Zaczekam na powrót naszych młodzieńców.

- Pomyślałam, że teraz ty mógłbyś się umyć, masz krew na włosach.

Przesunął po nich dłonią i skrzywił się, czując, jak bardzo są pozlepiane posoką.

- Odrażające, *ma petite*, ale chcę wziąć kąpiel. To potrwa dłużej niż prysznic, więc idź pierwsza.

Patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę.

- Jeśli się nie pośpieszysz, nie zdążę się wykapać przed świtem. Nie chciałbym spać w czystej pościeli, będąc cały utyłany we krwi.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze.

- Dobra, tylko nie wchodź teraz do łazienki.

- Daję słowo honoru, nie zakłócę ci kąpieli. Nie wejdę do łazienki.

- Jasne - mruknęłam, ale w głębi duszy mu uwierzyłam.

Jean - Claude już od dłuższego czasu usiłował mnie uwieść. Frontalny atak nie był w jego stylu. Poszłam do łazienki, aby wziąć szybki prysznic.

Ronnie zaciągnęła mnie kiedyś do Victoria's Secret. Powiedziałam wyraźnie, że nikt nie będzie oglądał mojej bielizny albo tego w czym śpię, za wyjątkiem innych kobiet w przebieralni sali treningowej. Ronnie odparła: „Ty je będziesz oglądać”. Logika tego stwierdzenia jakoś mi umknęła, ale zdołała namówić mnie na kupno szlafroka.

Był barwy burgunda albo ciemnych peonii. Odcinał się wyraźnie na tle mojej białej skóry i pasował kolorystycznie do niektórych sińców na moich plecach. Nic tak nie ubarwia życia jak ciśniecie o ścianę. Ślad po ukąszeniu na moich plecach nie był głęboki. Pod tym kątem trudno jest humanoidowi zatopić kły w czyimś ciele. Nakłucia na moim nadgarstku były głębsze. Dwie zgrabne, małe dziurki. Nie bolały tak bardzo, jak powinny. Może wampiry mają w ślinie środek uśmierzający ból, a może to efekt kłów. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że pozwoliłam mu się ukąsić. Cholera.

Otuliłam się szlafrokiem. Materiał był dość gruby, aby ogrzać mnie w chłodne, zimowe wieczory i miał jedwabną lamówkę na mankietach i połach. Był nieco wiktoriański w wyglądzie i trochę za bardzo przypominał szlafroki męskie. Wyglądałam w nim jak porcelanowa lalka, w dodatku niekompletnie ubrana. Włożyłam pod szlafrok czarny podkoszulek. To trochę zepsuło efekt, ale lepsze to, niż gdybym miała przywitać chłopców w samym tylko szlafroku.

Zabrałam browninga ze stołka, gdzie położyłam go biorąc prysznic, zaniiosłam pistolet do sypialni. Zawsze byłam uzbrojona. Do licha, nawet spałam ze spluwą. Schowałam browninga i włożyłam firestara do kieszeni szlafroka. Kieszeń była trochę przeciążona i dziwnie zwisała, ale gdyby coś weszło tu nieproszone, mogłabym się przynajmniej obronić.

Gdy otworzyłam drzwi sypialni, zobaczyłam Jean - Claude'a stojącego przy oknie. Rozsunął zasłony i oparł się o parapet, wpatrując się w ciemność. Odwrócił się, kiedy otworzyły się drzwi, choć wiedziałam, że usłyszał mnie znacznie wcześniej.

- Cudownie wyglądasz, *ma petite*.

- To jedyny szlafrok, jaki mam - odparłam.

- Oczywiście - powiedział. Na jego twarzy znów pojawiła się maska rozbawienia. Tym razem jednak chciałam wiedzieć, o czym myślał. Jego granatowe jak noc oczy były pełne napięcia. To nie pasowało do jego nonszalanckiego zachowania. Może jednak nie chciałam wiedzieć, o czym myślał.

- Gdzie Larry i Jason?

- Pojechali - odparł.

- Dokąd?

- Jason poczuł się głodny, a Larry zabrał go dziupem.

Spojrzałam na niego.

- Istnieje coś takiego jak obsługa hotelowa.

- Jest jeszcze ciemna noc, *ma petite*. Ich oferta jest mocno ograniczona. Jason tej nocy dwukrotnie oddawał mi krew. Potrzebował protein. - Jean - Claude uśmiechnął się. - Musiał pojechać, aby zjeść coś na mieście albo posiliłby się Larrym. Uznałem, że wolałabyś raczej to pierwsze rozwiązanie.

- Bardzo zabawne. Nie powinieneś był wysyłać ich samych.

- Tej nocy ze strony Serephiny nic nam nie grozi, *ma petite*, a dopóki pozostajemy w mieście, ze strony Xaviera również.

- Skąd ta pewność? - Skrzyżowałam ręce na brzuchu.

Oparł się plecami o szybę i spojrzał na mnie.

- Twój monsieur Kirkland nieźle się dzisiaj spisał. Sądzę, że niepotrzebnie martwisz się o niego.

- Jedna noc bohaterskich czynów nie zapewni ci bezpieczeństwa na zawsze - odparłam.

- Do świtu już niedaleko, *ma petite*, nawet Xavier nie jest w stanie znieść światła słonecznego. Wszystkie wampiry będą szukać schronienia. Nie zechcą marnować czasu na ściganie naszych młodzieniaszków.

Patrzyłam na niego, usiłując zajrzeć pod tę uśmiechniętą maskę.

- Chciałabym podzielać twoją pewność siebie. Uśmiechnął się i odsunął od ściany. Zdjął surdut i upuścił go na różowy dywan.

- Co robisz?

- Rozbieram się.

Wskazałam kciukiem sypialnię.

- Rozbierzesz się tam.

Zaczął rozpinać guziki koszuli.

- Do drugiego pokoju, ale już - rzuciłam.

Wyjął białą koszulę ze spodni i podchodząc do mnie, rozpiął ostatnie guziki. Skóra na jego brzuchu i klatce piersiowej była barwniejsza niż koszula. Był posilony, po części moją krwią, i wyglądał bardziej ludzko. Zasnęte plamy krwi na koszuli psuły bladą doskonałość jego ciała.

Spodziewałam się, że spróbuje mnie pocałować czy coś w tym rodzaju, ale on przeszedł obok mnie. Tył koszuli był brązowy od zakrzepłej krwi. Odlepił ją od skóry z odgłosem przypominającym darcie, Upuścił koszulę na dywan i wszedł do sypialni.

Stałam tam, odprowadzając go wzrokiem. Na plecach miał białe blizny. A przynajmniej wydawało mi się, że to były blizny. Przez tą krew trudno to było stwierdzić. Zostawił drzwi do sypialni otwarte i po chwili usłyszałam szum wody napełnianej do wanny. Usiadłam na krześle. Nie byłam pewna, co mogłabym zrobić innego. Woda płynęła długo, potem nastąpiła cisza, a jeszcze później rozległy się pluski. Wszedł do wanny. I nie zamknął drzwi do łazienki. Pięknie.

- *Ma petite?* - zawołał.

Siedziałam przez chwilę, nie chcąc ruszyć się z miejsca.

- *Ma petite*, wiem, że tam jesteś, słyszę twój oddech.

Podeszłam do drzwi sypialni, bardzo ostrożnie, aby nie zajrzeć do środka. Oparłam się plecami o ścianę i skrzyżowałam ramiona.

- Czego chcesz?

- Chyba nie ma już czystych ręczników.

- I co mogę na to poradzić?

- Mogłabyś zadzwonić po obsługę, aby przysłali tu kilka sztuk?

- Chyba tak.

- Dziękuję, *ma petite*.

Podeszłam wściekła do telefonu. Zanim jeszcze wszedł do wanny, wiedział, że nie było już czystych ręczników. Ja też to wiedziałam, ale byłam zbyt zajęta wsłuchiwaniami się, jak pluskał się w wannie i kompletnie o tym zapomniałam.

Byłam zła, tak na niego, jak na siebie. Dręczyciel, psia jego mać. W jego obecności powinnam bardziej mieć się na baczności. Znajdowałam się w pokoju hotelowym, który wyglądał jak apartament dla nowożeńców, a tuż za ścianą pluskał się w wannie nagusieńki Jean - Claude. Po tym, co zobaczyłam z Jasonem, napięcie seksualne powinno osłabnąć, ale tak się nie stało. Może to nawyk, a może Larry miał rację. Nie wierzyłam, że Jean - Claude to gnijący truposz.

Zamówiłam czyste ręczniki.

Odpowiedziano mi, że ktoś je zaraz przyniesie. Żadnych pytań, żadnych pretensji o nieludzką porę. Im więcej płacisz za pokój, tym bardziej się z tobą liczą.

Pokojówka przyniosła cztery duże, miękkie ręczniki. Patrzyłam na nią przez chwilę. Czułam się

niepewnie. To ona mogła przecież zanieść ręczniki Jean - Claude'owi.

- Proszę pani? - zwróciła się do mnie.

Wzięłam od niej ręczniki, podziękowałam i zamknęłam drzwi. Nie mogłam pozwolić, aby obca kobieta ujrzała w mojej wannie wampira. Nie byłam zresztą pewna, czy moje zażenowanie wynikało z faktu, iż w grę wchodził wampir. Grzeczne dziewczynki nie dopuszczają, aby o czwartej nad ranem w ich łazience kąpał się nagi mężczyzna. Widać nie byłam grzeczną dziewczynką.

Przystanąłam przy drzwiach sypialni. Wewnątrz było ciemno. Światło płynęło tylko z łazienki, tworząc ukośny żółty pas na dywanie. Przycisnęłam ręczniki do piersi, wzięłam głęboki oddech i weszłam do pokoju. Mogłam stąd zobaczyć wannę, ale na szczęście nie całą. Jedyne jej białą krawędź i górę piany. Na widok tej piany trochę się rozluźniłam. Piana potrafi skryć niejednego grzech.

Stałam przy drzwiach łazienki.

Jean - Claude oparł się plecami o ściankę wanny. Czarne włosy miał mokre, najwyraźniej właśnie je umył. Grube strąki przykleiły się do jego nagich ramion. Jedną rękę oparł na krawędzi wanny, drugą na czarnych kafelkach na ścianie. Jedna blada dłoń zawisała w powietrzu, jakby po coś sięgała, ale była całkiem wiotka. Oczy miał zamknięte, czarne półksiężycy powyżej białych policzków. Krople wody zdobiły jego twarz i te fragmenty ciała, które zdołałam dostrzec. Wyglądał, jakby spał.

Z piany wyłoniło się jego kolano, mokre i zdumiewająco białe. Odwrócił głowę i otworzył oczy. Jego granatowe oczy pociemniały chyba jeszcze bardziej. Może to ta woda. W gruncie rzeczy jego włosy też wydawały się czarniejsze niż zazwyczaj.

Wzięłam szybki, płytki oddech i powiedziałam:

- Przyniosłam ręczniki.

- Czy możesz położyć je tutaj? - Skinął luźno przewieszoną przez wannę ręką.

„Tutaj” oznaczało opuszczoną klapę sedesu, skąd bez trudu mógłby ich dosięgnąć, leżąc w wannie.

- Położę je na umywalce.

- Zaleję całą podłogę, zanim do nich dotrę - powiedział. Głos miał neutralny, żadnych wampirzych sztuczek, kompletnie beznamiętny.

Miał rację, to było głupie z mojej strony. Nie zamierzał rzucić się na mnie i wziąć mnie siłą. Gdyby miał taki plan, zrobiłby to już dawno temu.

Położyłam ręczniki na sedesie, odwracając wzrok od wanny.

- Zapewne masz wiele pytań co do dzisiejszej nocy - powiedział.

Spojrzałam na niego. Woda na jego torsie lśniła jak żywe srebro. Piana oblepiała jego klatkę piersiową, przesłaniała jeden sutek. Miałam nieodparta chęć, aby go odsłonić. Cofnęłam się aż pod ścianę.

- Udzielanie odpowiedzi to nie w twoim stylu - zauważyłam.

- Dziś pragnę okazać swą hojność - odparł sennym głosem.

- Czy byłbyś równie skłonny do udzielenia mi odpowiedzi, nie siedząc nago w wannie?

Uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób.

- Być może nie, ale skoro mam zaspokoić twą nienasyconą ciekawość, czy tak nie jest zabawniej?

- Zabawniej dla kogo?

- Dla nas obojga, o ile tylko byłabyś skłonna się do tego przyznać.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie. Nie chciałam, by oglądanie go mokrego i w pianie sprawiało mi przyjemność. Chciałam się go bać i faktycznie tak było, ale poza tym pragnęłam go. Chciałam wodzić dłońmi po jego mokrym ciele, dotykać tego, co skrywała piana. Nie chciałam się kochać. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym to z nim zrobić, ale chciałam posunąć się o krok dalej. Nienawidziłam tego. Był trupem, to co dziś zobaczyłam, tylko mnie w tym przekonaniu utwierdziło.

- Wyglądasz na zmartwioną, *ma petite*. Dlaczego?

- Pytałam cię, czy te dwie, gnijące wampirzyce to była iluzja, odpowiedziałeś, że nie. Spytałam, czy twoja postać jest prawdziwa i powiedziałeś, że tak. Stwierdziłeś, że obie postaci są prawdziwe.

- Zgadza się - odparł.

- Czy jesteś gnijącym trupem?

Osunął się niżej w pełnej piany wannie, włożył ręce do wody i teraz ponad powierzchnię wystawała tylko jego głowa.

- To nie jest jedna z moich postaci.

- To nie jest odpowiedź.

Wysunął z wody bladą ociekającą pianą rękę.

- Istnieją różne wampiry zdolności, *ma petite*, przecież wiesz.

- Co to ma z tym wspólnego?

Uniósł drugą rękę i zaczął bawić się pianą, przekładając ją z jednej dłoni na drugą.

- Janos i jego dwie towarzyszki należą do innego gatunku wampirów aniżeli ja. Są inni niż większość spośród nas. Rzadsi. Jeśli kiedykolwiek ujrzysz mnie jako gnijące zwłoki, będzie to oznaczało, że umarłem ostateczną śmiercią. Tamte wampiry mogą rozkładać się i na powrót scalać, co czyni je trudniejszymi do zglądzenia. Jedynym pewnym sposobem na uśmiercenie ich jest ogień.

- Jesteś wyjątkowo skłonny do udzielania informacji. Zdumiewasz mnie.

Włożył ręce do wody, zmywając pianę. Wyprostował się nieznacznie, piana przylepiła się do jego ciała.

- Może obawiam się, że pomyślisz, iż to, co stało się z Jasonem, stanie się również z nami.

- Tego się nie dowiemy - ucięłam.

- Nie bądź tego taka pewna - odparł. - W powietrzu czuć twoje pożądanie, a mimo to naprawdę wierzysz, że nigdy nie będziemy się kochać. Jak to możliwe, że pragniesz mnie niemal tak mocno jak ja ciebie, a mimo to jesteś przekonana, że nigdy do niczego między nami nie dojdzie?

Chyba nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Osunęłam się po ścianie i usiadłam, podciągając kolana do piersi. Rozległo się stuknięcie, kiedy kieszeń z pistoletem uderzyła o ścianę. Poprawiłam szlafrok i powiedziałam:

- Po prostu wiem, że nic z tego nie będzie, Jean - Claude. Nigdy. Tak po prostu. Nie mogę i już. - Jakaś częśćka mnie pożalowała tych słów, ale to była tylko częśćka.

- Dlaczego, *ma petite*?

- W seksie chodzi o zaufanie. Musiałabym zaufać komuś bezgranicznie, aby móc się z nim kochać. A tobie nie ufam.

Spojrzał na mnie bardzo, ale to bardzo niebieskimi oczami, które wydawały się szczerze i wilgotne.

- Naprawdę tak myślisz i nie chcesz tego?

Pokiwałam głową.

- Naprawdę.

- Nie rozumiem cię, *ma petite*. Staram się, ale w dalszym ciągu nie rozumiem.

- Ty również jesteś dla mnie zagadką, o ile to może stanowić dla ciebie jakieś pocieszenie.

- Bynajmniej. Gdybyś była kobietą o typowych pragnieniach, już dawno wylądowalibyśmy razem w łóżku. - Westchnął i wyprostował się jeszcze bardziej; piana zakrywała go teraz nieco

powyżej talii.

- Naturalnie gdybyś była taką kobietą, zapewne nie zakochałbym się w tobie.

- Pociąga cię wyzwanie, trudności - podsunęłam.

- Fakt, ale w twoim przypadku chodzi o coś więcej, gdybyś tylko zechciała mi uwierzyć. - Wychylił się do przodu, podciągnął kolana do piersi i rozluźnił ramiona. Białe blizny sięgały od jego barków, w dół pleców, znikając zakryte przez pianę. Nie było ich wiele, ale rzucały się w oczy.

- Skąd masz te blizny na plecach? O ile nie jest to dzieło relikwii, powinny się były zagoić. Mógłbyś sprawić, że znikną.

Oparł się policzkiem o kolano, aby móc na mnie spojrzeć. Nagle wydał mi się młodszy, bardziej ludzki i bezbronny.

- Nie, jeżeli tych obrażeń doznałem przed śmiercią.

- Kto cię wychłostał?

- Byłem chłopcem do bicia dla syna pewnego arystokraty.

Spojrzałam na niego.

- Mówisz prawdę, tak?

- Tak.

- Czy to dlatego Janos wybrał dzisiaj chłostę, aby przypomnieć ci o twych korzeniach?

- Tak.

- Nie wywodzisz się z arystokracji?

- Urodziłem się w chłopskiej chacie, ma petit.

Spojrzałam na niego.

- No tak, jasne.

Uniósł głowę.

- Gdybym zamierzał zmyślać, *ma petite*, wybrałbym coś znacznie bardziej romantycznego i rozrywkowego aniżeli żywot francuskiego wieśniaka.

- Byłeś w służbie na zamku?

- Byłem nieodłącznym towarzyszem jedyne go syna jaśnie wielmożnego pana. Kiedy dla niego

szyto ubrania, ja również je otrzymywałem. Jego nauczyciel był także moim. Podobnie z instruktorem jazdy konnej. Nauczyłem się szermierki, tańca i właściwego zachowania przy stole. A kiedy on zasłużył na karę, to ja zbierałem cięgi, ponieważ on był ich jedynym dzieckiem, jedynym dziedzicem i potomkiem starego rodu. Ludzie mówią teraz o przemocy wobec dzieci. - Znów zanurzył się w cieplej wodzie, otaczając się pianą.

- Skarżą się, że dzieciom daje się klapsy. Nie mają pojęcia, czym jest prawdziwa przemoc wobec dzieci. Kiedy byłem chłopcem, rodzice bez wahania chwyтали za bat, by skarcić krnąbrną pociechę i chłosta do krwi była na porządku dziennym. Nawet arystokraci bili swoje latorośle. To było normalne. On jednak był ich jedynym dzieckiem, dziedzicem spadkobiercą. Dlatego też zapłacili moim rodzicom i przyjęli mnie do siebie. Wielmożna pani wybrała mnie z uwagi na moją piękną buzię. Kiedy odnalazła mnie wampirzyca, która mnie przeistoczyła, powiedziała, że przyciągnęło mnie do niej moje piękno.

- Chwileczkę...

Odwrócił głowę, spoglądając na mnie swymi ciemnoniebieskimi oczyma. Trudno było nie odwrócić wzroku, ale jakoś wytrzymałam.

- To piękne ciało i oblicze to jedynie wampirza iluzja, zgadza się? Nikt przecież nie może być aż tak piękny.

- Mówiłem ci kiedyś, że to nie moja moc sprawia, że postrzegasz mnie właśnie takim, a w każdym razie nie przez cały czas.

- Serephina stwierdziła, że byłeś maskotką dla innych wampirów. Co chciała przez to powiedzieć?

- Wampiry zabijają dla pożywienia, ale przemieniają innych z różnych powodów. Dla pieniędzy, bogactwa, także tytułów, z miłości, mnie natomiast przeistoczono z namiętności. Gdy byłem młody i słaby, wampiry przekazywały mnie sobie z rąk do rąk. Kiedy jeden się mną znudził, na jego miejsce zaraz pojawiał się następny.

Patrzyłam na niego przerażona.

- Masz rację. Gdybyś chciał zmyślić swoją historię, na pewno wykombinowałbyś coś innego.

- Prawda często rozczarowane albo okazuje się szpetna, nie uważasz, *ma petite*?

Skinęłam głową.

- Tak. Serephina była stara. Sądziłam, że wampiry się nie starzeją.

- Wyglądamy na tyle lat, ile mieliśmy w chwili swojej śmierci.

- Czy poznałeś Serephinę, kiedy byłeś młody?

- Tak.

- Sypiałeś z nią?

- Tak.

- Jak mogłeś pozwolić, aby cię dotykała?

- Otrzymała mnie w charakterze prezentu od mistrza, w porównaniu z którym nawet jej nowe i usprawnione moce wydają się mało znaczące. Nie miałem większego wyboru. - Spojrzał na mnie. - Ona wie, czego chcesz. Zna twoje największe pragnienia, najskrytsze marzenia i może sprawić, że się spełnią a przynajmniej tak będzie ci się wydawało. Co ci zaoferowała, *ma petite*? Co mogła ci zaproponować, że nieomal tobą owładnęła?

Odwróciłam wzrok, nie chciałam spojrzeć mu w oczy.

- Co zaoferowała tobie wiele lat temu?

- Moc.

Uniosłam wzrok.

- Moc?

Skinął głową.

- Tyle mocy, abym mógł uciec im wszystkim.

- Ale przecież od samego początku musiałeś mieć w sobie predyspozycje, aby stać się mistrzem wampirów. Nikt nie może tego dać - powiedziałam.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Teraz już to wiem, ale wtedy sądziłem, że tylko ona jest w stanie uchronić mnie przed wiecznością jako...

Nie dokończył - Zanurzył się w wodzie, czarne mokre włosy rozpląły się po powierzchni. Po chwili usiadł, głośno nabierając powietrza i zamrugał, by pozbyć się wody z oczu.

Dostrzegłam krople wody zwieszające się z jego długich, ciemnych rzęs. Przeczesał dłońmi włosy i odgarnął je do tyłu.

- Nie miałeś tak długich włosów, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Zdaje się, że wolisz mężczyzn z długimi włosami.

- Skoro jesteś martwy, jak to możliwe, że rosną ci włosy?

- Sama odpowiedz sobie na to pytanie - odparł. Znow przeczesał włosy dłońmi i wyżał wodę z końcówek. Sięgnął po ręcznik.

Podniosłam się.

- Pójdę już, abyś mógł się ubrać.

- Czy Jason i Larry wrócili? - zapytał.

- Nie.

- Wobec tego nie będę się ubierał. - Wstał i przyciągnął do siebie ręcznik. Przez mgnienie oka widziałam jego blade, ociekające wodą, nagie ciało. Ręcznik zasłonił co trzeba w samą porę. Uciekłam.

Skuliłam się na krześle stojącym najdalej od sypialni. A jednak patrzyłam w stronę drzwi. Cholera. Chciałam wybiec z pokoju, ale dlaczego? Nie chodzi o to, że nie ufałam Jean - Claude'owi, lecz samej sobie. Niech to szlag.

Dotknęłam pistoletu w kieszeni szlafroka. Był twardy, gładki i kojący, ale teraz nie mógł mi w niczym pomóc. Wiedziałam co nieco o przemocy; seks sprawiał mi znacznie więcej problemów. Szczerze mówiąc, nie chciałam się z nim przespać, ale jakaś część mnie miała nadzieję ujrzeć choć przez chwilę większy lub mniejszy fragment jego nagiego ciała. Na przykład uda albo... Zasłoniłam oczy dłonią ale to nie zdołało powstrzymać nawiedzających mnie obrazów. Widziałam je oczyma duszy.

- *Ma petite!* - Jego głos dobiegał z bliska, raczej nie z łazienki.

Nie chciałam patrzeć, aby, jak mawiała babcia Blake, nie odjęło mi wzroku. Poczułam, że stanął przede mną. Poczułam ruch powietrza. Opuściłam powoli dłonie.

Kłęczał przede mną owinięty w pasie jednym z grubych, białych ręczników.

Złożyłam dłonie na podolku. Na jego skórze wciąż perliły się kropelki wody. Uczesał włosy, ale były nadal wilgotne, zaczesane do tyłu, przez co jego oblicze wydawało się prostsze, zwyklesze niż zazwyczaj. Oczy, choć ciemne, nie wyglądały tak posępnie bez tła czarnych włosów.

Oparł dłonie na podłokietnikach krzesła i podniósł się. Jego usta musnęły moje w delikatnym, niemal skromnym pocałunku. Odsunął się ode mnie i puścił podłokietniki. Serce podeszło mi do gardła, bynajmniej nie ze strachu.

Jean - Claude dotknął moich rąk i uniósł je w górę. Oparł moje dłonie na swoich nagich ramionach. Skórę miał ciepłą gładką, wilgotną. Delikatnie, bardzo delikatnie trzymał mnie za nadgarstki. Mogłabym wyrwać mu się w każdej chwili. Przesunął moimi dłońmi po swoim śliskim ciele.

Uwolniłam ręce. Nic nie powiedział, nic nie zrobił. Kłęczał, patrząc na mnie. Czekał. Widziałam jego galopujący puls pod skórą na szyi, aż chciałam dotknąć go w tym miejscu. Przesunął moje dłonie po swoich ramionach i nachylił moją twarz ku swojej. Chciał, abym go pocałowała, ale powiodłam dłonią po jego policzku i zmusiłam, aby odwrócił głowę. Przytknęłam usta do jego szyi i musnęłam wargami jego skórę, aż poczułam pod językiem kołatanie pulsu. Smakował perfumowanym mydłem, wodą i czystą skórą.

Zsunęłam się z krzesła na podłogę i uklękłam przed nim. Był teraz ode mnie wyższy, ale niewiele. Zlizyłam kropelki wody z jego torsu i zrobiłam coś, o czym marzyłam już od dawna. Przesunęłam językiem po jego sutku i poczułam dreszcz, jaki przeszył całe jego ciało.

Wciąż zlizywałam wilgoć z jego klatki piersiowej i oplotłam go ramionami w pasie, zaciskając

palce na wilgotnej skórze pleców.

Pociągnął pasek mojego szlafroka, a ja nie zaprotestowałam. Pozwoliłam, by wsunął dłonie pod materiał i objął mnie w talii, choć jego i moje ciało dzieliła tylko cienka tkanina mojego podkoszulka. Gładził mnie po bokach, muskał kciukami moje żebra. Pistolet obciążał kieszeń rozchełstanego szlafroka. To było denerwujące.

Uniosłam głowę, aby na niego spojrzeć. Poczułam jego dłonie na plecach, a potem przycisnął mnie do swego wciąż jeszcze mokrego ciała. Ręcznik był niebezpiecznie poluzowany.

Jego wargi musnęły moje, a potem pocałunek stał się czymś więcej. Brutalne, niemal bolesne połączenie splecionych ciał. Moje dłonie zsuwały się coraz niżej, poszukując brzegów zsuwającego się ręcznika, lecz ten już się rozwiązał. Napotkałam dłonią jego gładkie pośladki. Tylko nasze połączone ciała utrzymywały ręcznik na miejscu.

Wgryzał się w moje usta i poczułam coś ostrego, bolesnego. Cofnęłam się energicznie, w ustach miałam smak krwi.

Jean - Claude puścił mnie. Przykucnął, poprawiając ręcznik.

- Przepraszam, *ma petite*. Trochę mnie poniosło.

Dotknęłam dłonią ust i zobaczyłam na palcach krew.

- Ugryzłeś mnie. Skinął głową.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę.

- Mam nadzieję.

- Nie zwalaj wszystkiego na mnie, *ma petite*. Musisz w końcu przyznać przed samą sobą i przede mną, że poczułaś coś do mnie. Pociągam cię.

Usiadłam na podłodze, przy krześle, w rozchełtanym szlafroku. Mój podkoszulek był wysoko podwinięty. Chyba było już za późno, aby zgrywać niewiniątko.

- W porządku, pociągasz mnie. Zadowolony?

- Prawie - odparł i dostrzegłam coś w jego oczach. Coś mrocznego, bezdennego i starszego, niż mogłam się spodziewać.

- Mogę zaoferować ci moje śmiertelne ciało i dużo więcej, *ma petite*. Więzy, która mogłaby nas połączyć, nie byłby w stanie zapewnić ci żaden ludzki kochanek.

- Czy za każdym razem miałabym tracić trochę krwi?

- To był wypadek - odparł.

Spojrzałam na niego, bladego i wilgotnego, klęczącego na podłodze w białym ręczniku, a poza tym całkiem nagiego.

- Po raz pierwszy zdradzam Richarda - stwierdziłam.

- Spotykamy się od wielu tygodni - zauważył.

Pokręciłam głową.

- Ale dotąd go nie zdradziłam. Aż do teraz. Bo to jest zdrada.

- A zdradzałaś mnie z Richardem?

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć.

- Ubieraj się.

- Naprawdę chcesz, abym się ubrał? - zapytał.

Odwróciłam wzrok. Byłam zażenowana i skrępowana.

- Tak. Proszę.

Wstał, przytrzymując ręcznik dłońmi. Wlepiłam wzrok w podłogę, abym nie musiała oglądać jego uśmiechniętej twarzy. Odstąpił ode mnie i nawet nie zadał sobie trudu, aby owinać się dobrze ręcznikiem. Mięśnie pod jego skórą, od łydek do pasa, poruszały się miarowo. Wszedł nagi do sypialni, a ja cieszyłam oczy tym widokiem.

Dotknęłam palcem języka. Wciąż krwawił. Tak to jest, gdy całujesz się po francusku z wampirem. Zdenerwowałam się na samą myśl o tym.

- *Ma petite?* - Dobiegło z sąsiedniego pokoju.

- Tak.

- Masz suszarkę?

- W walizce. Weź sobie.

Na szczęście zostawiłam walizkę w sypialni. Punkt dla lenistwa. W ten sposób uniknęłam ponownego oglądania jego nagiego ciała. Gdy hormony przestały buzować, zażenowanie wzięło górę. Usłyszałam, jak włączył suszarkę i zastanawiałam się, czy susząc włosy, stał przed lustrem nagi. Wystarczyłoby, abym podeszła do drzwi i poznałabym odpowiedź na to pytanie.

Wstałam, poprawiłam podkoszulek, przewiązałam szlafrok w pasie i usiadłam na kanapie. Siedziałam zwrócona plecami do sypialni. Nie zamierzałam niczego sprawdzać ani oglądać. Wyjęłam z kieszeni firestara i położyłam na stoliku przed sobą. Pistolet wydawał się bardzo

materialny, bardzo czarny i dość dwuznaczny.

Suszarka ucichła i znów go usłyszałam.

- *Ma petite.*

- Co?

- Przyjdź ze mną porozmawiać, póki słońce jeszcze nie wzeszło.

Spojrzałam przez okno, które otworzył. Niebo nie było już tak czarne, ale i niejasne, ciemność rozpraszała się powoli. Zaciągnęłam zasłony i weszłam do sypialni. Zostawiłam pistolet na stoliku. Bądź co bądź miałam w sypialni browninga.

Jean - Claude starannie złożył narzutę i koc w nogach łóżka. Teraz przykrywało go tylko prześcieradło barwy burgunda. Leżał nieruchomo, a jego ciemne loki rozsypały się miękko na poduszce. Otulił się lekko prześcieradłem.

- Możesz się przy mnie położyć, jeśli chcesz.

Oparłam się o ścianę i pokręciłam głową.

- Nie proponuję ci seksu, *ma petite*, do świtu pozostało zbyt mało czasu. Proponuję ci natomiast połowę łóżka.

- Prześpię się na kanapie. Mimo wszystko dziękuję.

Uśmiechnął się, jego usta wykrzywiły się znacząco, znów dawała o sobie znać jego arogancja. W sumie miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

- Nie chodzi o to, że mi nie wierzysz. Nie ufasz samej sobie.

Wzruszyłam ramionami.

Przykrył się po samą szyję.

- Nadchodzi. - W jego głosie usłyszałam strach.

- Co nadchodzi?

- Wschód słońca.

Spojrzałam na zaciągnięte szczelnie zasłony w oknach. Były podwójne, ale i tak na ich obrzeżach dostrzegłam szare smugi światła.

- Wytrzymasz bez swojej trumny?

- O ile ktoś nie rozsunie zasłon. - Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. - Kocham cię, *ma petite*,

najbardziej jak potrafię.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Stwierdzenie, że go pożądam, byłoby nie na miejscu. A gdybym stwierdziła, że go kocham, skłamałabym.

Światło przybierało na sile, krawędzie zasłon zbielewały. Ciało na łóżku skuliło się. Przewrócił się na bok, wyciągając jedną rękę w bok, a drugą przytrzymując prześcieradło przy piersi. Patrzył na nabierający mocy blask, a ja czułam, jak narasta w nim strach.

Uklękłam przy łóżku. Nieomal ujęłam go za rękę, ale ostatecznie tego nie zrobiłam.

- Co się teraz stanie?

- Chcesz poznać prawdę, to patrz. - Spodziewałam się, że zatrzepocze powiekami, a jego głos będzie coraz bardziej bełkotliwy, jakby zasypiał. Ale stało się inaczej. Zamknął oczy w jednej chwili, gwałtownie. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

- To boli - wyszeptał. Jego oblicze zwiotczało. Widziałam, jak umierają ludzie, jak światło w ich oczach gaśnie. Jak z ich ciał uchodzi dusza. Czułam odchodzenie dusz. I to właśnie ujrzałam. On umarł. Blask napierał na zasłony, a gdy słońce weszło zupełnie, skonał. Z jego ust wypłynęło ostatnie rżące tchnienie.

Uklękłam przy łóżku i spojrzałam na niego. Potrafiłam rozpoznać trupa na pierwszy rzut oka. I tym razem także nie miałam żadnych wątpliwości. Cholera.

Złożyłam przedramiona na łóżku i oparłam na nich podbródek. Obserwowałam go, czekałam, że nabierze tchu, drgnie czy się jakoś poruszy. Bezskutecznie. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć jego dłoni. Moje palce zawisły w wahaniu, ale po chwili mimo wszystko go dotknęłam. Skóra wciąż była ciepła, ludzka, lecz on się nie poruszył. Ścisnęłam go za nadgarstek, aby wyczuć puls. Nic. W tym ciele krew już nie krążyła.

Czy wiedział, że tu jestem? Czy czuł, że go dotykam? Patrzyłam na niego przez, jak sądziłam, bardzo długą chwilę. A więc tak to jest. Wampiry były trupami. Były martwe. Cokolwiek je ożywiało, było jak moja własna moc, pewna odmiana nekromancji. Tyle tylko, że ja potrafiłam rozpoznawać nieboszczyków. Wystarczył mi jeden rzut oka. To nadawało całkiem nowego znaczenia pojęciu nekrofilia.

Czy tylko mi się zdawało, czy poczułam muśnięcie duszy opuszczającej jego ciało? Wszak z całą pewnością wampiry nie miały duszy, na tym polegała zasadnicza różnica - poczułam jednak, że coś uszło z tego ciała. A skoro nie dusza, to co? Jeżeli to jednak dusza, to gdzie przebywa ona za dnia? Kto czuwa nad duszami wszystkich wampirów, gdy te pogrążone są w dziennym śnie?

Rozległo się pukanie do drzwi, to zapewne chłopaki, Wstałam, otulając się szczelniej połamami szlafroka Nie wiedzieć czemu byłam zziębnięta. Podeszłam do drzwi, aby otworzyć. Skaleczenie na języku prawie przestało już krwawić.

Śniłam. W tym śnie ktoś trzymał mnie na kolanach. Gładkie, ciemne ramiona oplatały mnie w pasie. Uniosłam wzrok i ujrzałam uśmiechniętą twarz matki. Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Wtuliłam się w nią i poczułam zapach jej czystej skóry. Zawsze pachniała płynem do kąpieli. Pochyliła się i pocałowała mnie w usta. Zapomniałam, jak smakuje jej szminka i jak pocierała kciukiem moje wargi, na których pozostawiła ślady pomadki.

Na jej kciuku pozostało coś jaśniejszego niż szminka. Z opuszka spłynęła kropla krwi. Skaleczyła się agrafką. Krwawiła. Podsunęła kciuk w moją stronę i powiedziała:

- Pocałuj, Anito, żeby nie bolało.

Ale krwi było za dużo. Spływała po jej dłoni. Patrzyłam na jej uśmiechniętą twarz, a strużki krwi ściekały po niej jak deszcz. Obudziłam się, siadając sztywno na welurowej kanapie i łapczywie chwytając powietrze. Wciąż czułam na wargach smak jej szminki, a zapach płynu do kąpieli otulał mnie jak niewidzialny kokon.

Larry podniósł się z sąsiedniej kanapy i przetarł dłońmi oczy.

- Co się stało? Zamawialiśmy budzenie?

- Nie, coś mi się przyśniło. Jakiś koszmar.

Pokiwał głową przeciągnął się i sposepniał.

- Czujesz ten zapach?

Spojrzałam na niego.

- Jaki?

- Zapach perfum albo płynu do kąpieli, czujesz go?

Przełknęłam ślinę, serce podeszło mi do gardła.

- Tak. Czuję.

Larry zwiesił nogi z kanapy.

- Co się z tobą dzieje?

Podeszłam do okna i rozsunęłam zasłony. Drzwi sypialni były zamknięte, a Jean - Claude znajdował się wewnątrz, całkowicie bezpieczny. Spał tam także Jason. Stałam w promieniach słońca, pozwalając, by mnie trochę ogrzały. Oparłam się o ciepłą szybę i dopiero wtedy

uświadomiłam sobie, że nie mam na sobie nic prócz przydużego podkoszulka i majtek. A zresztą. Stałam tak jeszcze przez chwilę, chłonąc promienie słońca i czekając, aż mój szalejący rytm serca powróci do normy.

- Serephina przesłała mi sen. To zapach perfum mojej matki.

Larry stanął tuż przy mnie. Miał na sobie szorty i zielony podkoszulek. Jego kręcone rude włosy sterczały we wszystkie strony. Zmrużył powieki, gdy stanął w świetle.

- Sądziłem, że tylko wampir, którego coś z tobą łączy, może nawiedzać cię w snach.

- Też tak myślałam.

- Wobec tego jakim cudem ja czuję zapach perfum z twojego snu?

Pokręciłam głową i oparłam czoło o szybę.

- Nie wiem.

- Naznaczyła cię?

- Nie wiem.

Ścisnął moje ramię.

- Będzie dobrze.

Odstąpiłam od niego i zaczęłam chodzić po pokoju.

- Nie będzie, Larry. Serephina wdarła się w moje sny. Oprócz Jean - Claude'a nigdy nikomu to się nie udało.

Przerwałam, gdyż nie było to zgodne z prawdą. Dokonała tego Nikolaos. Ale stało się to po tym, jak mnie ugryzła. Pokręciłam głową. Tak czy owak to był bardzo zły sen.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zabiję ją.

- To znaczy chcesz ją zamordować.

Gdyby Larry nie wpatrywał się we mnie z przejęciem, odparłabym: „Jasne, że tak”. Trudno jednak planować morderstwo, kiedy ktoś patrzy na ciebie tak, jakbyś kopnęła jego ulubionego szczeniaka.

- Postaram się zdobyć nakaz - powiedziałam.

- A jeśli ci się nie uda?

- Sprawa jest prosta, Larry, ja albo ona. Wolę, aby padło na nią. Rozumiemy się?

Larry patrzył na mnie ze smutkiem.

- To, co zrobiłem ubiegłej nocy, było morderstwem. Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie zamierzałem nikogo zabijać.

- Jeśli pozostaniesz w tym fachu dłużej, to raczej nieuniknione.

Pokręcił głową.

- Nie wierzę.

- Możesz w to wierzyć albo nie, ale taka jest prawda. Te istoty są zbyt niebezpieczne, aby można było pogrywać z nimi uczciwie.

- Jeżeli naprawdę w to wierzysz, dlaczego wciąż spotykasz się z Jean - Claude'em? Jak możesz pozwalać, aby cię dotykał?

Pokręciłam głową.

- Nie twierdzę, że jestem konsekwentna.

- Nie potrafisz się z tego wybronić, prawda?

- Co masz konkretnie na myśli? Zabicie Seraphiny czy moje randki z Jean - Claude'em?

- Obie te sprawy. Do licha, Anito, jeżeli stoisz po stronie dobra, nie możesz postępować jak ci źli.

Zabrakło mi argumentów. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

- Stoję po stronie dobra, Larry. Ale nie zamierzam zgrywać męczennicy. Jeśli będę zmuszona złamać prawo, nie zawaham się.

- Naprawdę zamierzasz zdobyć nakaz? - Zadał to pytanie beznamiętnym tonem. Ale nagle wydał mi się dużo starszy. I pełen powagi, nawet pomimo zabawnie zmierzwionej czupryny.

Patrzyłam, jak Larry dorasta na moich oczach. Nie tyle postarzał się fizycznie, co raczej nabrał sporo doświadczenia. Wyraz jego oczu był głębszy i dojrzały niż przed paroma miesiącami. Za dużo widział i zbyt wiele rzeczy zrobił. Wciąż starał się być sir Galahadem, ale tamten miał Boga po swojej stronie. A Larry miał tylko mnie. To za mało.

- Mogłabym zdobyć nakaz tylko w jeden sposób - kłamiąc - stwierdziłam.

- Wiem - odparł.

Spojrzałam na niego.

- Jak dotąd Serephina nie złamała prawa. I co do tego na pewno nie skłamię.

Uśmiechnął się.

- To dobrze. O której mamy się spotkać z Dorcas Bouvier?

- O trzeciej.

- Wymyśliłaś już, jaką można by złożyć ofiarę, aby ożywić te wszystkie zombi dla Stirlinga? - zapytał.

- Nie.

Spojrzał na mnie.

- Co zamierzasz powiedzieć Stirlingowi?

Pokręciłam głową.

- Jeszcze nie wiem. Ciekawi mnie tylko, dlaczego tak bardzo zawziął się na Bouviera.

- Bo chce mieć ziemię - odparł Larry.

- Stirling i spółka mówili nie tylko o Magnusie, ale o całej rodzinie Bouvierów. To znaczy, że nie tylko on ich pozywa. W tej sytuacji zabicie Magnusa nie rozwiąże ich problemów.

- Wobec tego po co mieliby to robić? - zapytał Larry.

- Otóż to - odparłam.

Larry pokiwał głową.

- Musimy znów pomówić z Magnusem.

- Najlepiej bez udziału Serephiny - dodałam.

- Amen - przytaknął Larry.

- Chciałabym pomówić z Magnusem, ale zanim znów stawimy czoło panu Bouvierowi, powinniśmy zaopatrzyć się w maść fairie.

- Że co?

- Nie miałaś zajęć na temat fairie?

- Były dobrowolne - przyznał.

- Maść fairie czyni cię odpornym na działanie uroków. Na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że sekrety Magnusa są paskudniejsze niż Serephina.

- Nie może być nic gorszego.

- To fakt, ale na wszelki wypadek się zabezpieczymy, aby nie mógł nas zauroczyć. W sumie to może nam tylko pomóc podczas spotkania z Dorrie. Ona nie jest może tak groźna jak Magnus, ale ma dar lśnienia, a ja wolałabym tego nie doświadczyć.

- Sądzisz, że Serephina odnajdzie Jeffa Quinlana?

- Jeżeli ktokolwiek może tego dokonać, to właśnie ona. Wydawała się przekonana, że poradziłaby sobie z Xavierem, ale Jean - Claude również sądził wczoraj, że byłby jej w stanie sprostać. A jednak się pomylił.

Zmarszczył brwi.

- A więc damy szansę Serephinie? Zabrzmiało to niezbyt przekonująco, ale pokiwałam głową.

- Jeżeli miałabym wybierać między wampirzycą przestrzegającą większości praw a krwiopijcą mordującym dzieci, opowiedziałabym się po jej stronie.

- Jeszcze niedawno groziłaś, że ją zabijesz.

- Jestem gotowa z tym poczekać, dopóki nie ocali Jeffa i nie zabije Xaviera.

- Czemu miałaby go zabić? - spytał Larry.

- On morduje ludzi na jej terytorium. Niezależnie od tego, co ona mówi, to jawne wyzwanie, podważenie jej autorytetu. Poza tym wątpię, aby Xavier zechciał oddać Jeffa bez walki.

- Jak sądzisz, co się z nim stało wczorajszej nocy? - zapytał Larry.

Pokręciłam głową.

- o tym nie myśleć, Larry. Robimy co w naszej mocy.

- Moglibyśmy powiedzieć o Serephinie FBI.

- Wiem jedno, mistrzowie wampirów nie rozmawiają z glinami. Stróże prawa zbyt długo uśmiercali krwiopijców przy pierwszej lepszej okazji, a w każdym razie usilnie próbowali.

- No dobrze - mruknął - ale tak czy owak będziemy musieli wymyślić dostatecznie dużą ofiarę, aby dziś w nocy ożywić całe to stare cmentarzysko.

- Zastanowię się nad tym - obiecałam.

- Naprawdę nie wiesz, co z tym zrobić? - Wydawał się zaskoczony.

- Pomijając ofiarę z człowieka, wątpię, abym była w stanie ożywić kilkunastu nieboszczyków liczących sobie po trzysta lat. Nawet ja nie jestem wszechpotężna.

Uśmiechnął się.

- Miło słyszeć, że się do tego przyznajesz.

Ja również się uśmiechnęłam.

- Niech to będzie nasza mała tajemnica.

Wyciągnął rękę, a ja przybiłam mu piątkę. On odpowiedział tym samym i od razu poczułam się lepiej. Larry umiał nakłonić mnie do uśmiechu. Tak to już bywa z przyjaciółmi.

Dorcas Bouvier stała na parkingu oparta o samochód. Jej włosy lśniły w słońcu, falując w rytmie jej ruchów jak ciężka woda. W dżinsach i zielonym topie wyglądała doskonale.

Larry starał się nie patrzeć na nią, ale było to trudne. Miał na sobie niebieski podkoszulek, białe najki i przydużą flanelową koszulę w kratę, pod którą skrywał kaburę podramienną.

Ja byłam w dżinsach, niebieskiej koszulce polo, czarnych najkach i czarnej koszuli. Musiałam pożyczyć ją od Larry'ego, bo mój czarny żakiet był cały ubabrany w wampirzym świństwie. Musiałam ukryć pod czymś browninga. Ludzie denerwują się na widok broni. Larry i ja wyglądaliśmy, jakbyśmy wzięli ciuchy z tej samej szafy.

Dorrie odstąpiła od auta.

- Idziemy?

- Chcielibyśmy pomówić z Magnusem.

- Aby go wydać glinom?

Pokręciłam głową.

- Aby dowiedzieć się, dlaczego Stirling tak bardzo pragnie go zabić.

- Nie wiem, gdzie on jest - odparła Dorcas.

Może było to widać na mojej twarzy, bo dodała natychmiast: - Nie wiem, gdzie on jest, ale nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci. Używanie magii wobec stróżów prawa oznacza wyrok śmierci. Nie wydam go.

- Nie jestem z policji.

Spojrzała na mnie mrużąc lekko powieki.

- Przyszłaś rzucić okiem na Trupiołowego czy wypytywać mnie o brata?

- Skąd wiedziałaś, że powinnaś tu na nas zaczekać? - spytałam.

- Wiedziałaś, że przyjdziecie punktualnie. - Jej źrenice zwężyły się do rozmiarów łebka od szpilki.

- Chodźmy - powiedziałam.

Poprowadziła nas na tyły restauracji. Za budynkiem zaczynał się las. Na skraju polany miała swój początek ścieżka. Była bardzo wąska. Chociaż szliśmy gęsiego, gałęzie chłostały mnie po

ramionach. Świeże, zielone liście ocierały się o moje policzki jak aksamit. Ścieżka była miejscami tak wydeptana, że widać na niej było sterczące, gruzłowate korzenie, ale z obu stron zaczynała już zarastać chwastami, jakby nie korzystano z niej tak często jak kiedyś.

Dorrie maszerowała nierówną ścieżką dziarskim, energicznym krokiem. Najwyraźniej знаła tę trasę, ale w grę wchodziło coś jeszcze. Gałęzie drzew, które zahaczały o moją koszulę, nie zaplątywały się w jej włosy. Korzenie, o które ja się potykałam, nie spowalniały jej marszu.

W sklepie ze zdrową żywnością nabyliśmy maść. Krzewy, które usuwały się jej z drogi, a nam przeszkadzały, były zatem prawdziwe. To nie była iluzja. Między innymi dlatego miałam teraz w magazynku browninga zwykłe ołowiane kule. Musiałam kupić trochę naboju specjalnie na tę okazję. Larry też miał pełny magazynek i po raz pierwszy żałowałam, że nie nabył jak dotąd drugiego pistoletu. Wciąż miałam firestara z magazynkiem pełnym posrebrzanych naboju, gdyby jednak zaskoczyły nas wampiry, Larry byłby w nie lada opałach. Teraz był jednak środek dnia, więc bardziej martwiłam się o fairie. W kieszeniach koszuli mieliśmy też trochę soli. Wystarczy rzucić jej szczyptę na fairie lub zaczarowaną przezeń istotę. Sól niweczy działanie czarów fairie. Na pewien czas.

Po ścieżce przetoczył się podmuch wiatru. W jednej chwili zerwała się nielecha wichura. Powietrze pachniało świeżością i czystością. Miałeś nadzieję, że taki zapach roztaczał się u zarania dziejów - zapach świeżego chleba, czystego prania, dziecięcych wspomnień o wiosnie. Zapewne jednak pachniało wtedy ozonem i bagienną stęchlizną. Rzeczywistość zawsze pachnie gorzej niż marzenia.

Dorrie przystanęła i odwróciła się do nas.

- Drzewa na ścieżce to tylko iluzja. Nie są prawdziwe.

- Jakie drzewa? - spytał Larry. Zakłęłam w duchu. Dobrze byłoby zachować w tajemnicy, że dysponowaliśmy specjalną maścią.

Dorrie cofnęła się do nas. Spojrzała mi w twarz z bardzo bliska i skrzywiła się, jakby ujrzała coś ohydneho.

- Użyliście maści - rzuciła z niesmakiem.

- Magnus dwukrotnie próbował nas omamić. Nic dziwnego, że staramy się zachować podstawowe środki ostrożności - zauważyłam.

- Cóż, wobec tego nasze iluzje nie są już dla was postrzegane. - Przyspieszyła kroku, zmuszając nas, byśmy zrobili to samo, chcąc za nią nadążyć.

Ścieżka doprowadziła nas na niemal dokładnie okrągłą polanę. Pośrodku niej widniał nieduży kopiec z białym, kamiennym celtyckim krzyżem otoczonym przez morze pięknych niebieskich kwiatów. Cała ziemia wokoło była porośnięta dzwonkami. Były bardziej błękitne niż niebo, bujne i soczyste. Żaden kwiat nie mógł tak urosnąć bez pomocy. Tak to już jest w Missouri, gdzie wody

używa się racjonalnie. Kiedy jednak stanęłam wśród tego morza kwiecia, otoczona drzewami, stwierdziłam, że ktoś się tu napracował, ale było warto.

Dorrie stała niemal po kostki w kwiatach. Patrzyła z rozdziawionymi ustami, a na jej twarzy malowało się przerażenie.

Magnus Bouvier klęczał wśród kwiatów na szczycie kopca, przy krzyżu. Jego usta były błyszczące od świeżej krwi. Coś poruszało się przed nim i wokół niego. Coś co było bardziej wyczuwalne niż widoczne. Jeśli to była iluzja, maść powinna była z nią sobie poradzić. Spróbowałam spojrzeć na to kątem oka. Niekiedy w przypadku gdy ma się do czynienia z magią, spoglądanie pod kątem bywa efektywniejsze niż patrzenie wprost.

Dostrzegłam falowanie powietrza układającego się w coś, co wyglądało jak postać. Była większa od człowieka.

Magnus odwrócił się i zobaczył nas. Podniósł się raptownie i falujące powietrze znikło, jakby go w ogóle nie było. Otarł usta rękawem.

- Dorrie... - Głos miał łagodny i zduszony.

Dorrie wdrapała się na szczyt pagórka.

- Błuznierca! - krzyknęła i uderzyła go w twarz. Wilgotne plaśnięcie słychać było na całej polanie.

- Auć! - Larry skrzywił się. - Czemu ona tak się wścieka?

Spoliczkowała go jeszcze raz, tak mocno, że aż usiadł pośród morza kwiatów.

- Jak mogłeś? Jak mogłeś zrobić coś tak plugawego?

- Co on takiego zrobił? - zapytał Larry.

- Pozywiał się Królem Trupiołowym, jak jego przodek.

Dorrie odwróciła się do mnie. Wyglądała na przerażoną i wstrząśniętą, jakby właśnie przyłapała swego brata na molestowaniu dzieci.

- Nie wolno ci było tego robić - zwróciła się do Magnusa. - Przecież doskonale o tym wiedziałeś!

- Pragnąłem mocy, Dorrie. Czy to coś złego? Przecież nic się nie stało.

- Nic się nie stało? Nic? - Schwyciła go za długie włosy i zmusiła, by ukląkł. Odsłoniła ślady kłów na jego szyi. - Oto dlaczego ta istota może cię przywoływać. To dlatego jeden z Daoine Sidne, choć tylko mieszaniec jak ty, jest przyzywany przez samą śmierć. - Puściła go tak nieoczekiwanie, że wylądował na czworakach.

Dorrie usiadła wśród kwiatów i rozplakała się.

Weszłam w morze kwiatów. Rozstępowały się jak woda, ale nie poruszały się. Po prostu nie było ich w miejscu, gdzie stawiało się stopę.

- Jezu, czy one schodzą nam z drogi? - spytał Larry.

- Niezupełnie - odparł Magnus. Zszedł z pagórka i stanął u jego podnóża. Miał na sobie biały frak, ten sam co zeszłej nocy, a raczej to co zeń zostało. Smuga krwi na rękawie odcinała się rażąco na tle bieli.

Przeszliśmy pośród kwiatów, które poruszały się i nie poruszały zarazem, by stanąć obok niego przy kopcu.

Odgarnął włosy za uszy, by odsłonić twarz. Nie, nie miał spiczastych uszu. Skąd w ogóle biorą się takie plotki? Odważnie spojrział mi w oczy. Jeżeli wstydził się tego, co zrobił, to nie okazywał tego. Dorrie wciąż szlochała wśród kwiatów, jakby lada chwila miało jej pęknąć serce.

- A zatem już wiecie - powiedział.

- Nie można utoczyć krwi fairie, zarówno fizycznie, jak i nie fizycznie, bez rytualnej magii. Przeczytałam to zaklęcie, Magnusie. To pic.

Uśmiechnął się, słysząc moje słowa. Uśmiech wciąż miał uroczy, ale krew w kąciku ust niweczyła cały efekt.

- Musiałem związać się z bestią. Oddać mu część mej śmiertelności, aby móc pić jego krew.

- To zaklęcie nie miało pomóc ci w zdobyciu krwi - stwierdziłam - lecz doprowadzić do tego, by fairie powybijały się wzajemnie.

- Jeżeli oddałeś tej istocie część swojej śmiertelności, czy w zamian zyskałeś choć odrobinę jej nieśmiertelności? - spytał Larry. To było dobre pytanie.

- Tak - odparł Magnus - lecz nie dlatego to zrobiłem.

- Zrobiłeś to dla władzy i mocy, ty sukinsynu warknęła Dorrie. Zeszła z pagórka, prześlizgując się wśród dziwnych kwiatów.

- Chciałeś uprawiać prawdziwy glamour, prawdziwą magię. Na Boga, Magnusie, musisz pić krew tej istoty już od wielu lat, zapewne zacząłeś ten proceder będąc jeszcze nastolatkiem. To właśnie wtedy twoje moce przybrały na sile. Sądziliśmy wszyscy, że sprawiło to twoje wejście w wiek męski.

- Obawiam się, że nie, droga siostrzyczko.

- Nasza rodzina została przeklęta, na zawsze, związana z tą ziemią, to pokuta za to samo

bluźnierstwo, którego i ty się dopuściłeś. Gdy ostatni raz ktoś próbował pić jego krew, Trupiołowy zdołał uwolnić się z pułapki.

- Jest nadal uwięziony i od dziesięciu lat ten stan nie uległ zmianie, Dorrie.

- Skąd wiesz? Skąd pewność, że to nie owa mglista istota, którą przyzywasz, straszy ostatnio dzieci?

- Dopóki nie czyni im krzywdy, cóż w tym złego?

- Chwileczkę - wtrącił Larry. - Czemu miałyby straszyć dzieci?

- Mówiłam ci, ten stwór to straszak na niegrzeczne dzieci. - Rzekomo mają pożerać. - I nagle coś mi przyszło do głowy. To była straszna myśl. Widziałam wampira władającego mieczem, ale czy to, co widziałam, na pewno było wampirem? Nie wiedziałam.

- Kiedy ten stwór uwolnił się i zaczął mordować Indian, robił to gołymi rękami czy może używał jakiejś broni?

Donie spojrzała na mnie.

- Nie wiem. Czy to ważne?

- O Boże - jęknął Larry.

- Możliwe, że to bardzo ważne - odparłam.

- Chyba nie masz na myśli tych zabójstw? - zapytał Magnus. - Trupiołowy nie jest w stanie objawiać się fizycznie. Dopilnowałem tego.

- Jesteś pewien, drogi bracie? Masz całkowitą pewność? - W głosie Dorrie pobrzmiwała drwina i powątpiewanie.

- Owszem, jestem pewien.

- Będziemy musieli ściągnąć tu czarownicę, aby to sprawdziła. Ja się na tym tak dobrze nie znam - stwierdziłam.

Dorrie skinęła głową.

- Rozumiem. Im szybciej, tym lepiej.

- Te zabójstwa nie są dziełem Króla Trupiołowego - powiedział z naciskiem Magnus.

- Mam nadzieję. Głównie ze względu na ciebie - odparłam.

- To znaczy?

- Zginęło pięć osób. Pięcioro ludzi, którzy niczym nie zasłużyli sobie, aby odejść przedwcześnie z tego świata.

- Trupiołowy jest uwięziony połączoną mocą Indian, chrześcijan i fairie - wyjaśnił. - Nie ma szans, aby się uwolnić.

Powoli obeszłam pagórek. Niezwykłe kwiaty wciąż usuwały mi się z drogi. Próbowałam patrzeć pod nogi, lecz można było dostać od tego zawrotów głowy, gdyż kwiaty zmieniały położenie, chociaż się nie poruszały. Równie dobrze mogłam próbować obserwować, jak zakwitają. Widać było efekt końcowy, lecz nie poszczególne jego stadia. Zignorowałam kwiaty i skupiłam się na pagórku. Nie zamierzałam wyczuwać umarłych, toteż nie przeszkadzało mi, że był jeszcze dzień. Czuło się ta obecność magii, była ona bardzo silna. Nigdy dotąd nie miałam okazji zetknąć się bliżej z magią fairie. Było tutaj też coś znajomego i bynajmniej nie chrześcijańskiego.

- Wyczuwam tu jakąś odmianę śmiertelnej magii - powiedziałam. - Może złożono tu ludzką ofiarę?

- Niezupełnie - odparł Magnus.

- Nigdy nie posunęlibyśmy się do złożenia ofiary z człowieka - powiedziała Dorrie.

Ona może nie, ale nie miałam pewności co do Magnusa. Nie powiedziałam tego głośno. Dorrie i tak była już mocno wstrząśnięta.

- Skoro to nie ofiara, to co?

- Na trzech wzgórzach spoczywają ciała naszych zmarłych. Każda śmierć to jak kołek mający unieruchomić Trupiołowego - odparł Magnus.

- Jak to się stało, że straciłeś orientację, które wzgórza należą do was? - spytałam.

- Minęło ponad trzysta lat - odparł Magnus. - Nie było wtedy żadnych dokumentów. Nawet ja sam nie byłem całkowicie pewien, czy to jest właśnie to wzgórze. Kiedy jednak zaczęto wykopywać ciała, poczułem to. - Skulił się w sobie, jakby nagle zrobiło mu się zimno. - Nie możesz przywołać zmarłych ze wzgórza. Jeśli to uczynisz, Król Trupiołowy zostanie uwolniony. Magia mająca go związać jest dość złożona. Szczerze mówiąc, sam nie wiem, czy byłbym w stanie sprostać temu zadaniu. Poza tym nie znam żadnych indiańskich szamanów.

- Zadrwiłeś sobie ze wszystkiego, co było i jest nam drogie - wtrąciła Dorrie.

- Co ci zaoferowała Serephina? - spytałam.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- O czym ty mówisz?

- Ona oferuje każdemu to, czego pragnie w głębi serca. Co było twoim ukrytym pragnieniem,

Magnusie?

- Wolność i moc. Powiedziała, że znajdzie innego strażnika dla Króla Trupioogłowego. I że wymyśli jakiś sposób, abym mógł zatrzymać pobraną od niego moc bez konieczności powtarzania mego rytuału.

- Uwierzyłeś jej?

Pokręcił głową.

- Jestem jedyną osobą w rodzinie, która dysponuje mocą. Pełnimy funkcję odwiecznych strażników, pokutując za próbę odebrania tej istocie mocy i za to, że pozwoliliśmy jej, aby zaczęła zabijać. - Osunął się na kolana pośród błękitnego kwiecia, pochylił głowę, a długie włosy przesłoniły mu twarz. - Nigdy nie będę wolny.

- Nie zasługujesz, aby być wolnym - dorzuciła Dorrie.

- Dlaczego Serephinie tak bardzo na tobie zależy? - spytałam.

- Boi się śmierci. Twierdzi, że pożywanie się kimś tak długowiecznym jak ja pomaga jej wymykać się kosztusze.

- To przecież wampirzyca - mruknął Larry.

- Ale nie jest nieśmiertelna - zauważyłam.

Magnus uniósł wzrok. Jego dziwne oczy barwy akwamaryny przeblyskiwały pośród pasemek włosów. Może to te oczy, włosy albo osobliwe ni to poruszające się, ni to nieruchome kwiaty, ale w tej chwili nie przypominał człowieka.

- Ona lęka się śmierci - powiedział. - Boi się ciebie - dorzucił cicho, nieomal szeptem.

- Wczorajszej nocy omal mnie nie zabiła. Dlaczego się mnie obawia?

- Zeszłej nocy sprowadziłaś pośród nas śmierć.

- Nie po raz pierwszy - zauważyłam.

- Przyszła do mnie po moją długowieczność, mą nieśmiertelną krew. Może teraz zwróci się do ciebie. Może zamiast unikać śmierci, zechce jej zakosztować.

Poczułam na skórze lodowate ciarki.

- Powiedziała ci to ubiegłej nocy?

- W grę wchodzi moc i chęć zemsty na jej starym wrogu, Jean - Claudzie, ale koniec końców, Anito, ona zastanawia się, czy twoja potęga jej pomoże. Czy gdyby wypila twoją krew, stałaby się

nieśmiertelna? Czy dzięki swej nekromancji mogłabyś uchronić ją od śmierci?

- Zawsze możesz wyjechać z miasta - wtrącił Larry. Nie byłam pewna, do kogo kierował te słowa.

Pokręciłam głową.

- Mistrzowie wampirów nie rezygnują tak łatwo. Powiem Stirlingowi, że nie przywołam dla niego umarłych, Magnusie. Jako że prócz mnie nikt inny nie zdołałby tego dokonać, masz tę sprawę z głowy.

- Ale nie odzyskam ziemi - powiedział Magnus swoim dziwnym głosem. - Jeżeli tamci po prostu wysadzą górę, efekt będzie zapewne taki sam.

- Dorrie, czy to prawda?

Skinęła głową.

- To całkiem możliwe.

- Co chcesz, abym zrobiła? - spytałam.

Magnus czołgał się wśród kwiatów, spoglądając na mnie poprzez lśniąca zasłonę włosów. W jego oczach wirowały zieleń i błękit, od których zakręciło mi się w głowie. Odwróciłam wzrok.

- Przywołaj tylko kilku umarłych. Dasz radę? - zapytał.

- Bez problemu - odparłam. - Ale czy prawnicy na to przystaną?

- Dopilnuję, aby nie mieli żadnych obiekcji - zapewnił.

- Dorrie? - rzuciłam. Skinęła głową.

- Zajmę się tym.

Przez chwilę patrzyłam na Magnusa.

- Czy Serephina naprawdę ocali tego chłopca?

- Tak - odparł.

Spojrzałam na niego.

- Wobec tego do zobaczenia wieczorem.

- Nie. Znów będę w sztok pijany. Nie jest to co prawda całkowite zabezpieczenie, ale pomaga mi uwolnić się od niej.

- W porządku, ożywię tylko kilku umarłych. Odzyskacie waszą ziemię. Będzie bezpieczna.

- A my będziemy ci wdzięczni - powiedział Magnus. Wyglądał dziko, przerażająco i pięknie zarazem, gdy tak kuczał wśród tych kwiatów. Może jego wdzięczność będzie coś warta, o ile wcześniej nie zabije go Serephina.

I o ile nie wykończy przedtem mnie.

Pod koniec dnia zadzwoniłam do agenta specjalnego Bradforda. Nie znaleziono ani Xaviera, ani Jeffa. Nie znaleziono żadnego wampira, którego mogłabym zabić, czemu więc do niego zatelefonowałam? Nie brałam przecież udziału w tym śledztwie, pamiętacie? Ja o tym pamiętałam. Okazało się, że dwie najmłodsze ofiary były molestowane seksualnie, ale nie stało się to tego samego dnia, kiedy zginęły. Zapewne powinnam była wspomnieć o Magnusie, ale on był jedynym, który znał się na zaklęciach mogących spętać Króla Trupiołowego. Nie byłoby dobrze, gdyby trafił teraz za kratki. Dorrie znała godną zaufania miejscową czarownicę. Byłam skłonna uwierzyć, że naszym zabójcą jest właśnie Trupiołowy. Nigdy jeszcze nie widziałam wampira, który potrafiłby tak skutecznie ukryć się przede mną jak ten stwór, który zabił Coltraina. Dodałam go do mojej listy podejrzanych, ale nie powiedziałam o tym glinom. Dobrze, że tego nie zrobiłam. Napaść seksualna zdawała się obciążać Xaviera. Poza tym tłumaczenie, że szkockie straszycło popełnia morderstwa, na tle eterycznym nie brzmiało szczególnie przekonująco nawet dla mnie.

Niebo zasnuwane było chmurami, które błyszczały jak klejnoty. Skrzyły się i rozciągały po nieboskłonie niczym olbrzymi, lśniący kobierzec rozdarty wielkimi pazurami przez jakąś gigantyczną bestię. W prześwitach między chmurami widać było czarne niebo, na którym jak okruchy diamentów błyszczały gwiazdy.

Stałam na szczycie wzgórza, wpatrując się w niebo i nasycając płuca chłodnym wiosennym powietrzem. Larry stanął przy mnie i spojrział w górę. W jego oczach odbijało się światło gwiazd.

- Do dzieła - rzucił Stirling.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Na niego, Bayarda i pannę Harrison. Był z nimi również Beau, ale kazałam mu poczekać u podnóża góry. Zagroziłam przy tym, że jeśli go tu zobaczę, bez ostrzeżenia wpakuję mu kulę w łeb. Nie byłam pewna, czy Stirling mi uwierzył, ale Beau na pewno.

- Nie jesteś wielkim miłośnikiem przyrody, prawda Raymondzie?

Nawet w blasku księżyca zauważyłam, że się skrzywił.

- Chcę mieć to już za sobą panno Blake. Dziś. Jeszcze tej nocy.

Może to dziwne, ale podzielałam jego zdanie. Zbiło mnie to z tropu i odrobinę zdenerwowało. Nie lubiłam Raymonda. Nabrałam ochoty, aby pokłócić się z nim niezależnie od tego, że przyznawałam mu rację. Ale nie zrobiłam tego. Punkt dla mnie.

- Zrobimy to jeszcze tej nocy, Raymondzie. Nie denerwuj się.

- Proszę nie zwracać się do mnie po imieniu, panno Blake - wycedził przez zęby, zaczynając jednak od słowa „proszę”.

- W porządku. Zrobimy to jeszcze tej nocy, panie Stirling.

- Świetnie. - Skinął głową. - Dziękuję. A teraz do roboty.

Już miałam rzucić jakiś cwany tekst, ale Larry wyszeptał:

- Anito.

Miał oczywiście rację. Próbowałam odwlec to co nieuniknione. Byłam zmęczona Stirlingiem, Magnusem i całą tą aferą. Najwyższy czas odwalić swoje i wrócić do domu. No, może nie od razu do domu. Nie wyjadę stąd, nie załatwiwszy w ten czy inny sposób sprawy Jeffa Quinlana.

Koza zaczęła żałośnie beczeć. Była przywiązana do kołka pośrodku cmentarzyska. Zwierzę było białe w brązowe plamy i miało dziwne, żółte ślepia, obwisłe uszy i najwyraźniej lubiło, gdy drapało się je po głowie. Larry drapał je, gdy jechaliśmy tu dżipem. To zawsze jest niewskazane. Nie należy zaprzyjaźniać się ze zwierzętami na ofiarę. Później trudniej jest je zabić.

Wiedząc o tym, nie głaskałam kozy. To była pierwsza koza Larry'ego. Nauczy się, w mniej lub bardziej nieprzyjemny sposób. U podnóża góry były jeszcze dwie kozy. Jedna z nich była mniejsza i jeszcze fajniejsza od tej.

- Panie Stirling, czy nie powinni być przy tym obecni prawnicy Bouvierów? - spytał Bayard.

- Bouvierowie stwierdzili, że obecność adwokata nie jest konieczna - odrzekłam.

- A to czemu? - zapytał Stirling.

- Ufają, że ich nie oszukam.

Stirling przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Nie widziałam wyraźnie jego oczu, ale czułam, jak kręcą się trybiki wewnątrz jego czaszki.

- Ale robi to pani, prawda? - spytał. Głos miał zimny, pełen tłumionego gniewu.

- Nie zamierzam kłamać, gdy w grę wchodzi umarli, panie Stirling. Czasami kłamię, gdy chodzi o żyjących, ale o zmarłych nigdy. Poza tym Bouvier nie zaproponował mi łapówki. Po co miałabym pomagać mu za friko?

Larry powstrzymał się od komentarza. On także patrzył na Stirlinga. Być może zastanawiał się, co powie.

- Powiedziała pani swoje, panno Blake. Czy możemy wreszcie przejść do konkretów? - Jego głos stał się nagle rzeczowy, zwyczajny. Cały gniew i nieufność przysły. A w każdym razie nie dało się ich wyczuć w jego głosie.

- Doskonale. - Uklęknęłam i otworzyłam sportową torbę leżącą u moich stóp. Miałam w niej swój sprzęt. W drugiej takiej torbie woziłam akcesoria do egzekucji wampirów. Wcześniej przekładałam je w zależności od zlecenia. Drugą torbę nabyłam, kiedy zjawiłam się któregoś razu na miejscu, gdzie miałam ożywić zombi, by stwierdzić, że wzięłam niewłaściwy sprzęt. Poza tym wożenie akcesoriów

do zabijania wampirów bez ważnego dokumentu zezwalającego na egzekucję konkretnego krwiopijcy jest niezgodne z prawem. Ustawa Brewstera może to zmienić, ale póki co miałam dwie torby. Sprzęt do zombi w torbie koloru burgunda, na wampiry w białej. Nawet po ciemku łatwo je było rozróżnić. I o to chodziło.

Torba Larry'ego była zielona, ozdobiona wizerunkami Wojowniczych Żółwi Ninja. Bałam się zapytać, jak wyglądała jego torba z akcesoriami na wampiry.

- Ustalmy coś - powiedział Larry. Zamieniłam się w słuch. Larry ukląkł i otworzył torbę.

- Mów - odpowiedziałam. Wyjęłam słoje z maścią. Znałam animatorów używających specjalnych pojemników na maść. Z gliny, z ręcznie dmuchanego szkła, z mistycznymi symbolami na ściankach. Ja używałam starego szklanego słoika po fasolce.

Larry wyjął słoje po maśle orzechowym. Znałam tę markę. Było naprawdę pyszne.

- Mamy ożywić co najmniej trzech zombi, tak?

- Zgadza się - przyznałam.

Rozejrzał się wokoło, lustrując rozsypane kości.

- Trudno jest ożywić zmarłych z masowego grobu, prawda?

- To nie jest masowy grób. To stary cmentarz, który przekopano. Sprawa jest łatwiejsza niż w przypadku masowego grobu.

- Dlaczego?

Położyłam maczetę obok słoika.

- Ponieważ każdego z tutejszych zmarłych złożono do grobu zgodnie z rytuałem i dzięki odprawionym ceremoniom powinni być oni przypisani do swoich mogił, tak więc w przypadku konkretnego przywołania istnieje spora szansa, że odpowiedzą na wezwanie.

- To znaczy?

- To znaczy, że ożyją i już.

Skinął głową. Położył na ziemi coś, co wyglądało jak szeroka, zakrzywiona arabska szabla.

- Skąd to masz?

Pochylił głowę i mogłam się założyć, że się zaczerwienił. W blasku księżyca nie zdołałam tego zobaczyć.

- Od kumpla z college'u.

- A skąd on to ma?

Larry spojrział na mnie ze zdziwieniem.

- Nie wiem. Coś nie tak? Pokręciłam głową.

- Nie, tylko jakoś nie mogę uwierzyć, że chcesz użyć czegoś takiego do odrąbywania głów kurczakom i zabicia paru kóz.

- Dobrze leży w ręce. - Wzruszył ramionami. - A poza tym fajnie wygląda. - Uśmiechnął się do mnie.

Pokręciłam głową, ale nie wróciłam już do tego tematu. Czy naprawdę potrzebowałam maczety do zdekapitowania kilku kurczaków? Tylko gdyby chodziło o krowę. Parę razy składałam w ofierze jałówkę.

Możecie zapytać, dlaczego dziś nie zdecydowaliśmy się na krowę. Nikt nie chciał sprzedać Bayardowi jałowki. Wyobraźcie sobie, że ten idiota wpadł na genialny pomysł, aby wyjaśnić okolicznym farmerom, do czego jest mu potrzebne zwierzę. Bogobojni ludzie zapewne sprzedaliby mu krowę na hamburgery, ale nie po to, by użyto jej do ceremonii przywołania umarłych. Łajdacy pełni uprzedzeń.

- Najmłodszy z tutejszych zmarłych ma dwieście lat, prawda? - dopytywał się Larry.

- Zgadza się - przyznałam.

- Mamy ożywić co najmniej trzech spośród tych nieboszczyków i to w na tyle dobrym stanie, aby mogli odpowiedzieć na zadane im pytania.

- Taki jest plan - stwierdziłam.

- Możemy to zrobić?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Taki jest plan.

Jego oczy rozszerzyły się.

- Cholera, ty także nie masz pewności, że nam się uda, prawda? - Jego głos przeszedł w pełen zdumienia szept.

- Co noc rutynowo ożywiamy po trzech nieboszczyków. Tyle że teraz zrobimy to razem.

- Nie ożywiamy rutynowo trzech dwustuletnich umarłaków.

- Fakt, ale teoretycznie to to samo.

- Teoretycznie? - Pokręcił głową. - Gdy wypowiedzasz słowo „teoretycznie”, wiem, że mamy nie lada kłopoty. Jesteśmy w stanie to zrobić?

Szczerze mówiąc, powinnam odpowiedzieć nie, ale w tym fachu sporo zależy od wiary i pewności siebie. Trzeba uwierzyć, że można czegoś dokonać i zwykle to się udaje. Kusiło mnie, aby skłamać. Ale nie zrobiłam tego. Kwestia zaufania pomiędzy mną a Larrym.

- Myślę, że może nam się to udać.

- Ale nie jesteś pewna.

- Nie.

- Rany, Anito.

- Nie marudź. Damy radę.

- Ale nie jesteś pewna.

- Nie jestem pewna, czy uda mi się wrócić do domu, bo przecież samolot może się rozbić gdzieś po drodze, ale to jeszcze nie znaczy, że nie wejdę na pokład.

- To ma mnie pocieszyć? - zapytał.

- Owszem.

- Nic z tego - mruknął.

- Przykro mi, nie potrafię powiedzieć nic więcej. Chcesz mieć pewność, zmień fach i zostań księgowym.

- Jestem kiepski z matmy.

- Ja też.

Zaczerpnął powietrza. Oddychał powoli.

- No dobra, szefowo, jak połączymy nasze siły? Powiedziałam mu.

- Nieźle. - Nie wydawał się już zdenerwowany. Raczej gorączkowo czekał na rozpoczęcie ceremonii. Larry mógł chcieć zostać zabójcą wampirów, ale tak naprawdę był animatorem. W grę nie wchodził wybór kariery zawodowej, lecz jego dar, a raczej przekleństwo. Nikt nie mógł nauczyć ożywiania zmarłych osobę, która nie miała tej mocy we krwi. Genetyka to cudowna rzecz: brązowe oczy, kręcone włosy, umiejętność ożywiania zombi...

- Czyjej maści użyjemy? - spytał Larry.

- Mojej. - Dałam Larry'emu przepis na masę i wyjaśniłam, z którymi składnikami trzeba uważać, jak choćby z cmentarną pleśnią, ale mimo to pole do popisu pozostawało dość spore. Każdy animator ma swoją własną receptę. Nigdy nie było wiadomo, jak będzie pachniała masa Larry'ego. Aby połączyć moce, należało użyć jednej masy, wybraliśmy moją. Właściwie zapewne nie musieliśmy nawet korzystać z jednej masy, ale jak dotąd łączyłam moce z innymi zaledwie trzykrotnie. Dwa razy z mężczyzną, który był moim mentorem w tym fachu. W obu przypadkach używaliśmy tej samej masy. Trzykrotnie pełniłam funkcję ogniskowej mocy. Czyli to ja wydawałam polecenia i podejmowałam decyzje. Tak jak lubię.

- Czy ja mógłbym ogniskować moc? - spytał Larry. - To znaczy nie dziś, ale później, w przyszłości?

- Jeśli nadarzy się okazja, spróbujemy - powiedziałam. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy Larry był dość silny, aby ogniskować moc. Mój mentor Manny tego nie potrafił. Podobnie było z większością animatorów. Ci, którzy to umieli, byli uważani za pariasów i spychani na margines. Unikano z nimi kontaktu. Nikt im nie ufał. Co do nas, mieliśmy dosłownie i w przenośni podzielić się naszą mocą. Rzadko który animator jest do tego skory. Istnieje teoria, zgodnie z którą możliwe jest permanentne zawłaszczenie magii innej osoby. Ja w to nie wierzę. Ożywianie zmarłych to nie amulet, który ktoś może ci ukraść. Animacja tkwi w komórkach naszych ciał. To część nas samych. Nie można nam tego odebrać.

Odkręciłam słoik i w wiosennym powietrzu rozszedł się nagle zapach bożonarodzeniowej choinki. Użyłam sporo rozmarynu.

Masa była gęsta, woskowa i chłodna. Drobiny cmentarnego mchu świeciły w niej jak robaczki świętojańskie. Rozsmarowałam masę na czole i na policzkach Larry'ego. Wyjął koszulę ze spodni i podwinął, abym mogła pomazać jego tors ponad sercem. Kiedy nosisz kaburę podramienną, jest to trudniejsze, niż się wydaje, ale oboje byliśmy uzbrojeni. Oba moje noże i zapasowy pistolet zostawiłam w dziupie. Dotknęłam jego skóry i poczułam pod palcami bicie jego serca.

Podaliśmy słoik Larry'emu. Zanurzył dwa palce w gęstej masie. Pomazał mi twarz masą. Dłoń miał pewną, twarz przepełnioną napięciem i skupieniem. Wzrok pełen powagi. Rozpięłam koszulkę polo, a Larry wsunął pod nią palce, aby dotknąć mojego serca. Jego palce otarły się o łańcuszek krzyżyka. Relikwia wyslizgnęła się spod materiału. Natychmiast schowałam ją z powrotem. Larry oddał mi słoik, a ja szczerze zakręciłam wieczko. Nie chciałam, aby masa się zeschła.

Nigdy nie słyszałam, aby ktoś dokonał czegoś takiego, co my próbowaliśmy zrobić tej nocy. Nie miałam na myśli liczby zmarłych, lecz rozrzucenie szczątków. Chcieliśmy ożywić tylko trzech umarłych, ale w tej okolicy nie było ani jednego nienaruszonego szkieletu. Nawet gdybyśmy wskrzeszali ich pojedynczo, rzecz była nader niepewna i ryzykowna. Jak ożywić tylko tylu zmarłych, ilu zaplanowałeś, skoro szczątki są porzucane po całym terenie? Nie znałam żadnych imion. Nie było grobu, który mógłabym otoczyć kręgiem. Jak miałam to zrobić? Dobre pytanie.

Póki co jednak musieliśmy najpierw zamknąć krąg. Wszystko po kolei.

- Sprawdź, czy masz obie ręce posmarowane masą - powiedziałam.

Larry potarł dłoń o dłoń, jakby rozcierał odżywkę.

- Tak jest, szefowo, co dalej?

Wyjęłam z torby głęboką, srebrną misę. Błyszczała w świetle księżyca jak porzucony kawałek nieba.

Larry aż wybałuszył oczy.

- Nie musi być ze srebra. Nie ma na niej mistycznych symboli. Może być nawet z plastiku, chodzi o to, że spływa do niej życie innej istoty. Użycie ładnego naczynia jest wyrazem szacunku, ale musisz zrozumieć, że niekoniecznie musi być ono srebrne ani nie jest wymagany akurat ten kształt. To po prostu naczynie. Jasne?

Larry pokiwał głową.

- Dlaczego nie sprowadzimy tu na górę pozostałych kóz? Nieźle się zmachamy, przyprawiając je tutaj pojedynczo.

Wzruszyłam ramionami.

- Po pierwsze wpadłyby w panikę. Po drugie byłoby okrucieństwem, gdyby musiały oglądać, jak ich przyjaciółka umiera i nabierały przekonania, że będą następne.

- Mój wykładowca zoologii powiedziałby, że traktujesz je jak ludzi.

- Niech sobie mówi, co chce. Wiem, że one odczuwają ból i strach. To wystarczy.

Larry patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Ty też nie lubisz tego robić.

- Nie. Chcesz pomóc trzymać czy będziesz podawać marchewkę?

- Marchewkę?

Wyjęłam z torby okazałą marchew z zieloną nacią.

- To po to poszłaś do sklepu, podczas gdy ja siedziałem w aucie z kozami?

- Tak.

Uniosłam marchewkę w górę. Koza wyciągnęła łeb w kierunku warzywa, napinając sznur, którym była przywiązana do palika. Pozwoliłam jej uszczknąć kawałek naci. Zabeczała i ponownie próbowała mnie dosięgnąć. Dostała więcej naci i zamerdała krótkim ogonkiem. Szczęśliwa kózka.

Podaliśmy Larry'emu srebrną misę.

- Postaw ją na ziemi, poniżej szyi. Kiedy buchnie krew, postaraj się nabrać tyle, ile zdołasz.

W prawej ręce trzymałam za plecami maczetę, w lewej zaś marchewkę. Czułam się jak dentystka zajmująca się dziećmi. Nie, nie mam nic za plecami. Nie zwracaj uwagi na tę dużą igłę. Tyle że ten zastrzyk był nieodwracalny.

Koza zjadła niemal całą nać marchewki, a ja zaczęłam, aż zacznie przeżuwać. Larry ukląkł na ziemi obok zwierzęcia. Podałam kozie marchewkę. Skubnęła ją a ja odsunęłam dłoń. Koza wyprężyła szyję, usiłując dosięgnąć smacznego pomarańczowego kaska.

Podłożyłam maczetę pod kosmate gardło, zrobiłam to delikatnie, bez cięcia. Skóra zadrżała pod ostrzem, szyja wyprężyła się jeszcze bardziej. Przeciągnęłam ostrzem maczety po gardle zwierzęcia.

Maczeta była ostra, a ja miałam wprawę. Nie było żadnego odgłosu, tylko wyraz szoku w żółtych ślepiach i strugi krwi buchające z rozplątanej szyi.

Larry uniósł misę, podsuwając ją pod ranę. Krew zbryzgała rękawy jego niebieskiego podkoszulka. Koza upadła na kolana. Krew wypełniała misę, ciemna, błyszcząca, bardziej czarna niż czerwona.

- We krwi są kawałki marchwi - zauważył Larry.

- Nie ma sprawy - ucięłam. - Marchew jest obojętna.

Łeb kozy opadł do przodu, dotykając ziemi. Misa podsunięta pod jej szyję wypełniała się krwią. To była prawie doskonała śmierć. Z kozami bywa różnie, ale tym razem się udało. Rzecz jasna to był dopiero początek.

Przyłożyłam okrwawione ostrze do lewego ramienia i nacięłam je. Ból był ostry i natychmiastowy. Przytrzymałam zranioną rękę nad misą, pozwalając, by gęste krople zmieszały się z kozią krwią.

- Podaj mi prawą rękę - powiedziałam.

Larry nie oponował. Wyciągnął do mnie rękę. Powiedziałam mu, co go czeka, ale to wciąż był gest pełen szczególnego zaufania. Spojrzał na mnie bez cienia lęku. Boże.

Zraniłam go w ramię. Skrzywił się, ale nie cofnął ręki.

- Niech krew spłynie do naczynia.

Uniósł ramię nad misą. W blasku księżyca krew wydawała się czarna.

Poczułam na skórze pierwsze muśnięcia mocy. Mojej mocy, mocy Larry'ego i potęgi rytualnej ofiary. Larry spojrział na mnie, wybałuszając oczy.

Ukląknęłam przy nim, kładąc maczetę w poprzek na misie. Wyciągnęłam do niego lewą rękę. On

podał mi prawą. Schwyciliśmy się za ręce, pozwalając, by krew zmieszała się. Larry trzymał misę z jednej, ja z drugiej strony. Krew ściekała po naszych przedramionach do naczynia i na okrwawioną, nagą stal.

Staliśmy, trzymając się za ręce i wspólnie przytrzymując miskę. Po chwili wolno uwolniłam dłoń z jego uścisku. Larry jak zawsze powtarzał każdy mój gest. Mógł naśladować mnie nawet z zamkniętymi oczami.

Podeszłam do granicy kręgu, który utworzyłam w myślach i zanurzyłam dłoń w misie. Krew wciąż była zdumiewająco ciepła, prawie gorąca. Ujęłam okrwawioną dłoń ręką maczety i zaczęłam za pomocą ostrza spryskiwać krwią przekopaną ziemię.

Czułam Larry'ego stojącego pośrodku kręgu, który obchodziłam, jakby łączyła nas niewidzialna lina. Z każdym krokiem lina zacieśniała się jak skręcająca się guma. Moc narastała z sekundy na sekundę, z każdą rozprysniętą kroplą krwi. Ziemia była spragniona posoki. Nigdy jeszcze nie ożywiałam umarłych na terenie, gdzie odprawiono już wcześniej rytuały śmierci. Magnus powinien być o tym wspomnieć. Może nie wiedział. Jak ja lubię usprawiedliwiać innych.

To nie miało teraz znaczenia. Była tu magia spragniona krwi oraz śmierci. Coś, co pragnęło, abym zamknęła krąg. Coś, co chciało, abym ożywiła umarłych. Coś głodnego.

Dotarłam niemal do miejsca, z którego zaczęłam. Jeszcze tylko kilka kropel krwi i zamknę krąg. Lina mocy pomiędzy Larrym a mną była tak napięta, że aż sprawiała mi ból. Potencjał mocy był przerażający i zabawny zarazem. Obudziliśmy coś starego i pozostającego od dawna w uśpieniu. To sprawiło, że się zawahałam. Nagle przystanęłam. Nie miałam ochoty zamknąć kręgu. Poczułam upór i strach. Nie całkiem to rozumiałam. To była magia kogoś innego, czyjeś zakłęcie. Zaktywizowaliśmy je, ale nie wiedziałam, czemu miało ono służyć. Mogliśmy ożywić naszych umarłych, ale byłoby to jak stąpanie po cienkiej linie rozpiętej pomiędzy tym drugim zaklęciem i... czymś jeszcze. Poczułam starego Króla Trupiołowego spoczywającego w swoim leżu o dobrych parę kilometrów stąd. Czułam, jak ten stwór obserwuje mnie, ponaglając, abym uczyniła ten ostatni krok. Pokręciłam głową, jakby istota fairie mogła mnie zobaczyć. Nie rozumiałam zaklęcia dostatecznie dobrze, aby podjąć to ryzyko.

- Co się stało? - spytał Larry. Miał zduszony głos. Dławiliśmy się niewykorzystaną mocą, a ja nie bardzo wiedziałam, co mogłabym z nią zrobić.

Kątem oka wychwyciłam jakiś ruch, Na skraju zbrocza stała Ivy. Nosila traperki ze zrolowanymi na nich grubymi, białymi skarpetami, luźne czarne szorty, obcisły różowy top i flanelową koszulę w kratę. Łańcuszek jej wiszącego kolczyka rozbłysł w blasku księżyca.

Jedyne co musiałam zrobić, to prysnąć kilka kropel krwi na ziemię, by zamknąć krąg. To zatrzymałoby na zewnątrz zarówno ją, jak i kogokolwiek innego. Żaden nieproszony gość nie mógłby przekroczyć granicy kręgu. No, może to nie była do końca prawda. Demony i anioły zapewne potrafiłyby pokonać tę barierę, ale wampiry nie dałyby sobie z nią rady.

Poczułam triumfalną radość istoty uwięzionej wewnątrz pagórka. Ten stwór chciał, abym

zamknęła krąg. Cisnęłam misę i maczetę za siebie, w stronę środka kręgu, z dala od jego granicy, aby nie padła na nią ani jedna kropla krwi.

Ivy ruszyła w moją stronę, była tak szybka, że ujrzałam tylko sunącą ku mnie rozmazaną, szatą smugę. Sięgnęłam po pistolet, wyjęłam go z kabury i w tej samej chwili Ivy runęła na mnie. Impet uderzenia wybił mi broń z ręki. Wylądowałam na wznak na ziemi, bezbronna, z gołymi rękami.

Ivy odchyliła się do tyłu, rozwierając szeroko szczęki i szczerząc kły. Larry krzyknął:

- Anito!

Usłyszałam odgłos wystrzału i poczułam, jak pocisk wchodzi w jej ciało. Trafił ją w ramię, skręcając jej ciało, zaraz jednak odwróciła się do mnie z uśmiechem. Wpiła palce w moje ramię i przetoczyłyśmy się w bok, tym razem to ja wylądowałam na niej, a jej dłonie zacisnęły się na moim karku. Ścisnęła mnie tak mocno, że aż jęknęłam.

- Złamię jej kark, jeżeli nie wyrzucisz tej pukawki - warknęła.

- I tak mnie zabije. Nie rób tego.

- Anito...

- Zrób to teraz albo zabiję ją na twoich oczach.

- Zastrzel ją!

Larry nie miał czystej pozycji do strzału. Musiałby mnie ominąć, aby oddać strzał z przyłożenia. Ivy zabiłaby mnie ze dwa razy, zanim zdążyłby do niej podejść.

Ivy przyciągnęła moją głowę niżej. Oparłam się prawą ręką o ziemię. Musiałaby coś mi złamać, aby przyciągnąć mnie do siebie. Jeśli złamie mi kark, będzie po wszystkim, złamana ręka to tylko trochę bólu i nic więcej.

Usłyszałam, jak coś stuknęło o ziemię, coś ciężkiego, metalicznego. Pistolet. Larry wyrzucił broń. Cholera.

Nacisnęła mocniej na mój kark. Wbiłam dłoń w ziemię, tak że pozostał na niej ślad.

- Mogę złamać ci rękę i przyciągnąć do siebie. Wybieraj - na siłę albo po dobroci.

- Na siłę - wycedziłam przez zęby.

Schwyciła mnie za rękę i nagle coś mi przyszło do głowy. Upadłam na nią. To ją zaskoczyło. Zyskałam krótką chwilę, aby wyciągnąć spod bluzki łańcuszek.

Jej palce wślizgnęły się w moje włosy i delikatnie, wcale nie mocno, przycisnęła moją twarz do swego policzka.

- Za trzy noce od dziś będziesz taka jak ja, Anito. Będziesz mnie czcić i wielbić.

- Szczerze wątpię. - Łańcuszek wychylił się do przodu, krzyżyk dotknął jej szyi. Błysnęło

oślepiająco białe światło, jak błysk magnezji. Fala żaru omiotła moje włosy.

Ivy wrzasnęła i zaczęła odpychać od siebie krzyżyk, równocześnie usiłując wyczołgać się spod mnie.

Kłęczałam nad nią z krzyżykiem zwieszającym się przede mną na łańcuszku. Błękitnobiały ogień zgasał, gdyż relikwia nie dotykała już wampirzego ciała, ale blask wciąż był silny i wampirzyca rozpaczliwie przed nim uciekała.

Nie wiedziałam, gdzie był mój pistolet, ale dostrzegłam leżącą na ziemi maczetę. Ścisnęłam ją w dłoni i wstałam. Larry był tuż a mną. On także wyjął swój krzyżyk i trzymał go przed sobą na całą długość łańcuszka. Białe światło o błękitnym centrum było niemal boleśnie jasne.

Ivy krzyknęła, zasłaniając oczy. Jedyne co musiała zrobić, to odejść. Ale ona zastygła w bezruchu, sparaliżowana w obliczu dwóch krzyżyków i dwójki wierzących.

- Pistolet - powiedziałam do Larry'ego.

- Nie mogę go znaleźć.

Oba pistolety były matowo czarne, aby nie odbijały nocnego światła i nie uczyniły z nas celów, teraz były całkiem niewidoczne.

Podeszliśmy do wampirzycy. Osłoniła twarz obiema rękami i wrzasnęła:

- Nieee! - Wycofała się niemal do granicy kręgu. Gdyby rzuciła się do ucieczki, nie gonilibyśmy jej, ale ona nie uciekała. Może nie mogła.

Wbiłam jej między żebra ostrze maczety. Krew pociekła po ostrzu na moje ręce. Pchnęłam ostrze w górę, mierząc w jej serce i przekreśliłam je, aby rozplatać mięsień.

Powoli opuściła ręce. Oczy miała rozszerzone, przepelnione zdziwieniem. Spojrzała na ostrze tkwiące w jej ciele, jakby nie rozumiała, skąd się tam wzięło. Jej szyja, w miejscu gdzie dotknął jej krzyżyk, całkiem szerniała. Upadła na kolana, a ja wraz z nią, nie wypuszczając maczety z rąk. Nie umarła. W gruncie rzeczy wcale tego nie oczekiwałam. Wyszarpnęłam ostrze z jej ciała, czyniąc jeszcze większe spustoszenia. Zacharczała, ale pozostała na klęczkach. Jej dłonie dotknęły krwi wyciekającej z jej piersi i brzucha. Wpatrywała się w błyszcząca ciemność, jakby nigdy wcześniej nie widziała krwi. Posoka sączyła się coraz wolniej; jeśli szybko z nią nie skończę, rana się zasklepi.

Stałam nad nią i ujęłam maczetę oburącz. Włożyłam w zamach całą swoją siłę. Ostrze wbiło się w jej kark, dosięgło kręgu szyjnego i wgryzło się w kość.

Ivy wpatrywała się we mnie, krew ciekła jej po szyi. Wzięłam zamach do kolejnego cięcia, a ona tylko na mnie patrzyła. Rana była zbyt poważna, już nie mogła mi uciec. Musiałam nieźle się natrudzić, aby wyrwać ostrze z jej karku. Ivy przez cały czas tylko na mnie patrzyła. Jeśli jej nie dobiję, nawet ta rana wkrótce się zagoi.

Zadałam ostatnie cięcie i poczułam, że kość pęka. Ostrze gładko rozcięło szyję i głowa Ivy spadła, bryzgając ciemną prawie czarną krwią z kikuta szyi. Czarna krew rozlała się po ziemi i zamknęła krąg.

Moc wypełniła krąg i poczułam jakbyśmy w niej tonęli. Larry osunął się na kolana. Światło z krzyżyków wyglądało jak gasnące gwiazdy. Wampirzyca była martwa, krzyżyki nie mogły nam teraz pomóc.

- Co się dzieje?

Czułam moc napierającą ze wszystkich stron jak woda, dławiąca i niewidzialna. Oddychałam nią pozwalając, by przesączała się przez skórę w głąb mego ciała.

Krzyknęłam bezgłośnie i upadłam na ziemię. Padałam przez otaczające mnie warstwy mocy, a gdy runęłam na twardy grunt, poczułam pod sobą emanację energii rozciągającej się w dół i na zewnątrz.

Leżałam na warstwie kości. Zaczęły drżeć, jakby coś poruszyło nimi gwałtownie, budząc je z wiekowego snu. Podźwignęłam się na kolana, wpijając palce w ziemię. Dotknęłam długiej, cienkiej kości ramieniowej, a ta poruszyła się. Podniosłam się powoli na nogi, spowolniona przez gęste powietrze wokół i patrzyłam z uwagą. Kości prześlizgiwały się przez grunt jak przez wodę, łącząc się ze sobą. Ziemia pod moimi stopami falowała i dygotała, jakby pełzały pod nią ogromne krety.

Larry także podniósł się.

- Co się dzieje?

- Coś złego - odpowiedziałam.

Nigdy nie widziałam, jak scalają się umarli. Zawsze wyłaniali się z grobu na powierzchnię w jednym kawałku. Nie przypuszczałam, że może to przypominać składanie makabrycznych puzzli. U moich stóp uformował się szkielet i niebawem kości zaczęły pokrywać się tkanką napływającą na nie niczym glina i formującą ciało.

- Anito?

Odwróciłam się do Larry'ego. Wskazywał szkielet przy granicy kręgu. Połowa kości pozostawała po drugiej stronie. Ciało pokryło kości znajdujące się wewnątrz kręgu i napały na krwawą barierę. Ziemia zafalowała raz jeszcze, a magia wypłynęła z niej i przetoczyła się poza obręb kręgu. Usłyszałam dziwne pyknięcie, jak to w uszach, kiedy reguluje się w nich ciśnienie. Powietrze rozrzedziło się. Spłynęło w dół zбочa jak niewidzialny płomień, a tam gdzie się pojawiło, umarli ożywali, kości pokrywały się tkankami.

- Przerwij to, Anito. Zakończ to.

- Nie mogę. - Zabójcza magia tkwiąca w ziemi przejęła kontrolę. Jedyne co mogłam zrobić, to patrzeć, czując moc rozchodzącą się na zewnątrz. Tej mocy było tyle, że mogłam napędzać się nią w

nieskończoność. Było jej dość, by ożywić tysiąc umarłych.

Wiedziała, kiedy Król Trupiołowy wydostał się ze swego więzienia. Poczułam, że kiedy istota uciekła, moc zaczęła słabnąć. Następnie moc powróciła do wnętrza kręgu i powaliła nas na kolana. Umarli wyłaniali się z ziemi jak pływacy brnący z wysiłkiem w kierunku brzegu. Kiedy blisko dwudziestu nieboszczyków powstało, wyczekując, z pustymi oczami, moc wyrwała się na zewnątrz. Zorientowałam się, że poszukiwała kolejnych zmarłych, czegoś jeszcze, co mogłaby przywołać. To mogłam powstrzymać. Fairie wyrwał się z więzienia. Miał to, czego chciał.

Przywołałam moc z powrotem. Wchłonęłam ją w siebie i przepuściłam przez ziemię, jakbym wyciągnęła węża za ogon z dziury. Tchnęłam moc w zombi. Wtłoczyłam ją w nich i powiedziałam:

- Ożyjcie.

Pomarszczone ciała wygładziły się, martwe oczy zaśniły. Łachmany przeobraziły się na powrót w odzież. Z długiej sukni opadły grudy ziemi. Kobieta o włosach barwy nocy, ciemnej skórze i oczach takich samych jak u Magnusa spojrzała na mnie. Wszyscy umarli skupili na mnie wzrok. Dwudziestka umarłych, wszyscy mający ponad dwieście lat i wszyscy wyglądali jak żywi.

- Mój Boże - wyszeptał Larry.

Nawet ja byłam pod wrażeniem.

- Bardzo imponujące, panno Blake. - Głos Stirlinga wypełnił ciszę. Brzmiał dziwnie, jakby nie powinno go tutaj być. Stanowił element innej rzeczywistości, nie pasował do tych prawie doskonałych zombi. Fairie uciekł, ale ja mimo wszystko zamierzałam dokończyć swoje zadanie.

- Kto spośród was pochodzi z rodu Bouvier?

Rozległy się głosy, głównie w języku francuskim. Prawie wszyscy nieboszczycy wywodzili się z Bouvierów. Kobieta przedstawiła się jako Anais Bouvier. Wyglądała prawie jak żywa.

- Chyba jednak będzie musiał pan przenieść swój hotel - powiedziałam.

- Nie sędzę - odparł Stirling.

Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

W ręce trzymał wielki, srebrny, błyszczący pistolet. Niklowaną czterdziestkępiątkę. Trzymał go jak na filmie, przed sobą, przy biodrze. Z takiej pozycji trudno o celny strzał. Ale to tylko teoria. Gdy tak w nas celował, nie miałam większej ochoty na sprawdzenie tej teorii.

Bayard mierzył w nas z automatycznej dwudziestkidwójki. Robił to dość niewprawnie. Chyba nigdy wcześniej nie miał w ręku broni. Może nawet nie zwolnił bezpiecznika.

Panna Harrison dziarsko celowała we mnie z niklowanej trzydziestkiósemki. Stała na lekko rozstawionych nogach, miękko balansując na wysokich szpilkach. Trzymała pistolet oburącz i chyba

miała w tym niezłą wprawę. Oświetliłam jej twarz. Oczy miała rozszerzone, ale wydawała się opanowana i zimna. Była spokojniejsza niż Bayard i miała lepszą postawę niż Stirling. Miałam nadzieję, że Stirling dobrze jej płacił.

- Co jest grane, Stirling? - spytałam. Mówiłam cicho, ale starałam się przydać mojemu głosowi mocy. Wciąż miałam jej wystarczająco dużo, by złożyć te wszystkie zombi z powrotem do ziemi. Z tą, mocą mogłam jeszcze wiele zdziałać.

Uśmiechnął się w jasnym, odbitym świetle.

- Uwolniłaś istotę. Teraz cię zabijemy.

- Dlaczego miałoby ci zależeć na uwolnieniu Trupiogłowego? - Widziałam broń, ale wciąż nie wiedziałam dlaczego.

- To nawiedziło mnie w snach, panno Blake. Obiecało mi całą ziemię Bouvierów. Całą bez wyjątku.

- Ucieczka fairie nie sprawi, że otrzymasz tę ziemię - stwierdziłam.

- Dostanę ją kiedy Bouvier umrze. Kiedy nie będzie już kto miał walczyć o tę ziemię, zostanie odnaleziony dokument przyznający nam nie tylko tę górę, ale całą tę okolicę.

- Nawet po śmierci Magnusa nie dostaniesz tej ziemi - powiedziałam, ale bez większego przekonania.

- Masz na myśli jego siostrę? - spytał Stirling. - Ona umrze równie łatwo jak Magnus.

Coś ścisnęło mnie w dołku.

- Ty sukinsynu - syknął Larry, postępując krok naprzód.

Panna Harrison wycelowała w niego pistolet.

Schwyciłam go wolną ręką za ramię. Wciąż miałam w dłoni maczetę. Larry znieruchomiał, pistolet wciąż mierzył w jego pierś. To chyba nie poprawiło naszej sytuacji.

Poczułam, że mięśnie ramienia Larry'ego są napięte. Widziałam go zagniewanego, ale nigdy jeszcze w takim stanie. Moc odpowiedziała na ten gniew. Wszystkie zombi odwróciły się w naszą stronę przy wtórze szelestu ubrań. Ich błyszczące oczy, tak bardzo żywe, patrzyły na nas wyczekująco.

- Stańcie przed nami - rozkazałam szeptem. Zombi wyszły przed nas. Te znajdujące się najbliżej zasłoniły nas najszybciej. Straciłam z oczu wymachujący bronią tercet. Miałam nadzieję, że i tamci nas nie widzieli.

- Zabić ich! - krzyknął Stirling.

Chciałam rzucić się na ziemię, ale wciąż trzymałam za rękę Larry'ego. Stawił mi opór. Dokoła nas rozległy się strzały i Larry natychmiast przybrał pozycję horyzontalną.

Przywierając policzkiem do ziemi, zapytał:

- Co teraz?

Kule trafiały w zombi. Ciała podrygiwały i kołysały się siekane pociskami. Kilka bardzo żywych twarzy skierowało ku nam wzrok, w miarę jak w ich ciałach pojawiała się coraz więcej dziur po kulach. Ale nie odczuwały bólu. Panika to był czysty odruch.

Ktoś krzyknął i to nie byliśmy my.

- Przestańcie, przestańcie! Nie możemy tego robić. Nie możemy ich tak po prostu zabić.

To Bayard.

- Za późno na wyrzuty sumienia - ucięła panna Harrison. Chyba po raz pierwszy usłyszałam jej głos. Wyglądało na to, że mam do czynienia z profesjonalistką.

- Lionel, albo jesteś ze mną, albo przeciwko mnie.

- Cholera - mruknęłam.

Zaczęłam pełznąć przed siebie, aby rozeznac się w sytuacji. Odsunęłam połę krynolinowej spódnicy w samą porę, by ujrzeć, jak Stirling strzela Lionelowi w brzuch. Czterdziestkapiątka zagrzmiała i nieomal wyrwała się z ręki Stirlinga, ale nie wypuścił jej. Z odległości ćwierć metra z takiej spluwy możesz ustrzelić prawie wszystko.

Bayard osunął się na kolana i spojrzał na Stirlinga, próbował coś powiedzieć, ale spomiędzy jego ust nie dobył się żaden dźwięk.

Stirling wyjął pistolet z ręki Bayarda i schował go do kieszeni. Następnie odwrócił się do Bayarda plecami i ruszył po ubitej, suchej ziemi.

Panna Harrison po chwili wahania pospieszyła za swoim szefem. Bayard przewrócił się na bok, ciemna struga wylewała się z jego brzucha. Szkła okularów odbijały księżycowy blask, co sprawiało, że mężczyzna wyglądał jak niewidomy.

Stirling i panna Harrison szli po nas. Stirling przeciskał się pomiędzy nieboszczykami jak między drzewami, ale radził sobie całkiem nieźle. Umarli nie ustępowali mu z drogi. Stali jak uparte, cielesne zapory. Nie kazałam im się ruszyć, więc tego nie robili.

Panna Harrison przestała przeciskać się między nieboszczykami. Blask księżyca odbił się na jej błyszczącym rewolwerze, gdy oparła go o bark zombi i złożyła się do strzału.

- Zabijcie ją - wyszeptałam.

Zombi, o którego się opierała, odwrócił się do niej. Wydała z siebie okrzyk zdumienia gdy nieboszczycy otoczyli ją ciasnym kręgiem.

Larry spojrział na mnie.

- Coś ty im powiedziała?

Panna Harrison zaczęła krzyczeć. To były wysokie, pełne przerażenia wrzaski. Jej rewolwer zagrzmiął raz, drugi, trzeci. Aż do opróżnienia bębena. Po chwili iglica uderzyła w zużyta łuskę. Do ciała kobiety zbliżyły się powolne, spragnione usta i dłonie.

- Powstrzymaj ich - rzekł Larry. Schwycił mnie za rękę. - Powstrzymaj ich.

Czułam, jak dłonie wrywają kawałki mięsa z ciała panny Harrison. Jak zęby zagłębiają się w jej barku, rozszarpują tę smukłą szyję i wiedziałam, kiedy do głodnych ust spłynęła krew.

Larry czuł to samo.

- O Boże, powstrzymaj to! - Padł przede mną na kolana i błagał, szarpiąc mnie za rękę.

Stirling nie wystrzelił ani razu. Gdzie się podział?

- Stójcie - wyszeptałam.

Umarli znieruchomieli jak roboty w pół ruchu. Panna Harrison, jęcząc, osunęła się ciężko na ziemię.

Stirling podszedł z boku, mierząc w nas ze swego wielkiego pistoletu, trzymając go tak jak powinien, oburącz. Zaszedł nas od tyłu, podczas gdy zombi zajmowały się panną Harrison. Był tuż obok nas. Musiał mieć nerwy ze stali, by podejść tak blisko zombi.

Larry wpił palce w moje ramię.

- Nie, Anito. Proszę, nie rób tego. - Nawet gdy celowano do niego z pistoletu, Larry kurczowo trzymał się swoich zasad. To godne podziwu.

- Jeśli piśnie pani choć słowo, panno Blake, zabiję panią.

Patrzyłam na niego. Byłam tak blisko, że mogłabym wyciągnąć rękę i dotknąć nogawki jego spodni. Czterdziestkapiątka była wymierzona w moją głowę. Gdyby nacisnął spust, byłoby po mnie.

- To nieostrożność z pani strony, że nie nakazała pani, aby zombi zaatakowali nas oboje.

Przyznawałam mu rację, ale jedyne co mogłam zrobić, to patrzeć na niego. Wciąż trzymałam w ręku maczetę. Starłam się nie zacieśniać uścisku na rękojeści. Lepiej nie zwracać niepotrzebnej

uwagi na tę jakże poręczną broń. Chyba jednak musiałam się czymś zdradzić, bo powiedział:

- Proszę odłożyć maczetę, panno Blake. Powoli.

Nie zrobiłam tego. Wciąż wlepiałam wzrok w niego i jego pistolet.

- Natychmiast, panno Blake, albo... - Odciągnął kurek. To nie było konieczne, ale przydało temu gestowi dramatyzmu.

Puściłam maczetę.

- Proszę odsunąć od niej rękę, panno Blake.

Cofnęłam rękę. Nie odsunęłam się od niego ani od pistoletu. Chciałam, ale zmusiłam się, by wykonywać jak najmniej zbędnych ruchów, parę centymetrów nie sprawi, że pistolet przestanie być zabójczą bronią, ale mogłoby zrobić różnicę, gdybym spróbowała rzucić się na niego. Nie było to rozwiązanie, które przyjąłabym z entuzjazmem, aczkolwiek z braku alternatyw... Nie zamierzałam dać się zabić bez walki.

- Czy może pan odesłać zombi z powrotem, panie Kirkland?

Larry zawahał się.

- Nie wiem.

Zuch chłopak. Gdyby powiedział, że nie, Stirling mógłby go zabić. Gdyby odpowiedział tak, Stirling mógłby zabić mnie.

Larry puścił moją rękę i nieznacznie odsunął się ode mnie. Stirling zerknął na niego, po czym przeniósł wzrok na mnie, lufa jego broni nawet nie zadrżała. Cholera.

Larry klęczał, wciąż oddalając się ode mnie i zmuszając Stirlinga, aby dzielił uwagę pomiędzy nas oboje. Lufa pistoletu przesunęła się ze środka mojego czoła w stronę Larry'ego. Nabrałam powietrza i wstrzymałam oddech. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie. Gdybym zdecydowała się zaatakować zbyt wcześnie, byłoby po mnie.

Larry rzucił się po coś, co leżało na ziemi. Lufa przesunęła się w jego kierunku.

Zrobiłam dwie rzeczy naraz. Wsunęłam lewą rękę pod nogę Stirlinga i pociągnęłam, a prawą zacisnęłam na jego kroczu i pchnęłam z całej siły. Może nie sprawiło mu to tyle bólu, ile zamierzałam, ale stracił równowagę. Runął na wznak, rozpaczliwie usiłując wymierzyć we mnie broń. Miałam nadzieję, że upuści pistolet albo będzie wolniejszy. Nie był i nie wypuścił sploty. Miałam tylko ułamek sekundy, aby zdecydować, czy mam spróbować pozbawić go rodowych klejnotów i zadać jak najwięcej bólu w jak najkrótszym czasie, czy sięgnąć po pistolet. Sięgnęłam po broń, nie próbowałam jej schwycić, skupiłam się na jego rękach. Jeśli je unieruchomię, będzie bezbronny.

Padł strzał. Nie spojrzałam. Nie było czasu. Larry oberwał albo nie. Jeżeli nie, musiałam zdobyć tę spluwę. Przycisnęłam obie ręce Stirlinga do ziemi, ale nie miałam jak się zaprzeć. Uniósł ręce nad ziemię, a ja nie byłam w stanie go powstrzymać. Zaparłam się stopami, zmuszając, aby uniósł ręce nad głowę, ale teraz zrobił się z tego pojedynek zapaśniczy, a mój przeciwnik był ode mnie jakieś trzydzieści kilogramów cięższy.

- Rzuć broń. - Za moimi plecami rozległ się głos Larry'ego. Nie mogłam się odwrócić. Nie mogłam oderwać wzroku od pistoletu. Oboje go zignorowaliśmy.

- Zastrzelę cię - ostrzegł Larry.

Tym zwrócił na siebie uwagę Stirlinga. Jego wzrok padł na Larry'ego, a ciało na chwilę znieruchomiało. Tego właśnie potrzebowałam. Zacisnęłam dłonie na jego nadgarstkach i rzuciłam się na niego. Z całej siły wbiłam kolano w jego krocze. Wydał z siebie zduszony okrzyk. Jego dłonie rozwarły się spazmatycznie. Uniosłam ręce i dotknęłam pistoletu. Palce Stirlinga zacisnęły się mocno na kolbie. Nie zamierzał oddać mi spluwy.

Podpełzłam wyżej i oparłam jego ręce o swoje biodro. Szarpnęłam go za jedną rękę i szybkim, energicznym ruchem wyłamałam mu staw łokciowy. Jego dłoń zdrętwiała i pistolet był już mój. Odczołgałam się od niego z pistoletem w dłoni.

Larry stał nad nami, celując w Stirlinga. Tamten zdawał się w ogóle tego nie zauważać. Przetaczał się po ziemi z boku na bok, usiłując równocześnie dotykać obu obolałych miejsc.

- Miałem broń. Mogłaś po prostu odsunąć się od niego - powiedział Larry.

Pokręciłam głową. Wierzyłam, że Larry mógłby zastrzelić Stirlinga. Tyle że nie byłam pewna, czy Stirling nie strzeliłby do Larry'ego.

- Pistolet był praktycznie mój. Nie chciałam mu go zostawić - powiedziałam.

Larry wycelował broń w ziemię, ale wciąż trzymał go oburącz.

- To twoja spluwa. Chcesz ją z powrotem?

Potrząsnęłam głową.

- Zatrzymaj ją dopóki nie wsiądziemy do samochodu.

Spojrzałam na zombi. Obserwowały mnie spokojnym wzrokiem. Ciemnowłosa kobieta miała na ustach krew. To jej zęby wgrzyły się w szyję panny Harrison.

Panna Harrison leżała nieruchomo na ziemi. W najlepszym razie zemdląca.

Moc powoli zaczynała słabnąć. Jeśli miałam odesłać ich wszystkich tam, skąd przyszli, musiałam to zrobić już teraz.

- Powróćcie do ziemi. Wracajcie do swych mogił. Wracajcie wszyscy, wracajcie.

Umarli przez chwilę krążyli w tę i z powrotem, jak dzieci bawiące się w muzyczną zabawę z krzesłami. Następnie jeden po drugim ułożyły się na ziemi, a ta pochłonięła je niczym woda. Ziemia zafalowała i pozostawała wzburzona, dopóki ostatnie z ciał nie znikło w jej wnętrzu.

Nie było już kości wystających z ziemi. Grunt był gładki i równy, jakby cały wierzchołek góry, jeszcze niedawno rozkopany, został przywrócony do poprzedniego stanu.

Moc załamała się, powracając do ziemi czy skąd się tam brała. Musieliśmy dotrzeć do dżipa i wykonać parę telefonów. Na wolności przebywała żadna krwi istota fairie. Musieliśmy ściągnąć policję do domu Bouvierów.

Larry ukląkł przy panie Harrison. Dotknął jej szyi.

- Ona żyje. - Gdy cofnął rękę, była umazana krwią.

Spojrzałam na Stirlinga. Przestał się wic po ziemi i leżał na boku, z podkurczonymi nogami i jedną ręką wykrzywioną pod nienaturalnym kątem. W jego oczach dostrzegłam zarówno ból, jak i nienawiść. Gdyby jeszcze kiedyś nadarzyła mu się druga szansa, moje dni byłyby policzone.

- Zastrzel go, jeśli się poruszy - warknęłam.

Larry wstał i posłusznie wycelował pistolet w Stirlinga.

Podeszłam, aby sprawdzić, co z Bayardem. Leżał na boku, przyciskając dłonie do rany na brzuchu. Rozległy czarny krąg wskazywał, gdzie krew wsączyła się w głodną glebę. Potrafiłam rozpoznać trupa na pierwszy rzut oka, ale uklękłam przy nim, twarzą do Stirlinga. Nie żebym nie ufała Larry'emu. Nie ufałam Stirlingowi.

Nie wyczułam pulsu na szyi. Skóra zaczęła robić się już chłodna w tę przyjemną skądinąd wiosenną noc. Nie umarł od razu. Umierał powoli. Konał, podczas gdy my walczyliśmy. Umarł samotnie i wiedział, że umiera. Wiedział również, że został zdradzony. To nie była dobra śmierć.

Wstałam i spojrzałam na Stirlinga. Chciałam go zabić za Bayarda, za Magnusa, za Dorrie Bouvier. Za to, że był wrednym sukinsynem bez serca.

Widział, jak wykorzystałam zombi jako broń. Użycie magii w charakterze zabójczej broni było karane śmiercią. W tym przypadku pojęcie samoobrony nie wchodziło w grę.

Spojrzałam na Stirlinga i na nieprzytomną pannę Harrison, by stwierdzić, że mogłabym po prostu podejść i wpakować każdemu z nich kulkę w głowę i bynajmniej nie spędziłoby mi to snu z powiek. Spałabym po tym jak dziecko. Boże Świąty!

Larry spojrzał na mnie, broń wciąż trzymał gotową do strzału, ale na krótką chwilę oderwał wzrok od Stirlinga. Błąd. Tym razem mu się upiekło, ale musiałam go tego oduczyc.

- Czy Bayard żyje?

- Nie. - Ruszyłam w ich stronę, zastanawiając się, co mam teraz zrobić. Wątpiłam, aby Larry pozwolił mi rozwalić ich oboje z zimną krwią. Po części cieszyłam się z tego. Po części nie.

Podmuch wiatru omiółtł moją twarz. Coś zaszeleściło, jakby gałęzie drzew albo poły płaszcza na wietrze. Na szczycie tej góry nie było drzew. Odwróciłam się z wielką czterdziestkąpiątką trzymaną oburącz i ujrzałam stojącego na skraju zbocza Janosa. Spoglądając na jego przypominającą czerep kościotrupa twarz, chyba na chwilę wstrzymałam oddech. Był cały ubrany na czarno, nosił nawet czarne rękawiczki. Przez jedną krótką chwilę miałam wrażenie, że patrzę na trupa unoszącą się w nocnym powietrzu.

- Mamy chłopaka - powiedział.

Krzyżyki wciąż pozostały na widoku. Połyskiwały białą, łagodną poświatą. Nie zmieniły się ona jeszcze w silny, gorejący blask. Póki co nie zaistniało jeszcze bezpośrednie zagrożenie, ale nawet przez materiał podkoszulka czułam ciepło krzyżyka.

Janos osłonił oczy dłonią, tak jak zwykły śmiertelnik przed oślepiającymi promieniami słońca.

- Proszę to schować, abyśmy mogli porozmawiać.

Nie kazał nam ich zdjąć. Mogłam zgodzić się na włożenie krzyżyka pod ubranie, później znów mogę go wyjąć. Jedną ręką wsunęłam krzyżyk pod koszulkę, w drugiej trzymałam gotową do strzału czterdziestkępiątkę. Nagle zorientowałam się, że nie wiem, czy w magazynku znajduje się srebrna amunicja. Nie było czasu, aby teraz o to zapytać. Stirling zapewne i tak by skłamał.

Larry także schował krzyżyk. Światło rozpraszające noc nieznacznie przygasło.

- W porządku, co teraz? - spytałam.

Z tyłu za Janosem pojawiła się Kissa, prowadząc przed sobą jak tarczę Jeffa Quinlana. Nie miał okularów, przez co wydawał się jeszcze młodszy. Kissa wykręciła mu rękę do tyłu pod takim kątem, że nawet lekkie szarpnięcie musiało mu sprawiać nieopisany ból.

Miał na sobie kremowy smoking z pasem o dwa tony ciemniejszym, pod kolor muszki. Kissa nałożyła czarny, skórzany strój. Jeff rysował się wyraźnie na jej ciemnym tle.

Przełknęłam ślinę, coś ścisnęło mnie w gardle.

Co jest grane?

- Wszystko gra, Jeff?

- Chyba tak.

Kissa szarpnęła go lekko. Skrzywił się.

- Nic mi nie jest. - W jego głosie pobrzmiwała nuta przerażenia.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Podejdź tu.

- Jeszcze nie - zaproponował Janos.

Przynajmniej próbowałam.

- Czego chcesz?

- Na początek rzućcie broń.

- A jeżeli tego nie zrobimy? - Wydawało mi się, że znam odpowiedź, ale chciałam, by to powiedział.

- Kissa zabije chłopaka i wszystkie wasze wysiłki spełzną na niczym.

- Pomocy - wychrypiał Stirling. - To wariatka. Zaatakowała panią Harrison z pomocą zombi. Gdy próbowaliśmy się bronić, omal nas nie pozabijała.

Zapewne to samo powtórzyłyby przed sądem. I przekonałby ławę przysięgłych. Ja zostałabym przedstawiona jako zła królowa voodoo, władczyni zombi, a on jako niewinna, skrzywdzona ofiara.

Janos wybuchnął śmiechem, jego cienka jak papier skóra omal przy tym nie popękała. Nie sądziłam, że to wytrzyma. A jednak wytrzymała.

- O nie, panie Stirling, ja wszystko widziałem. Stałem w cieniu i widziałem, jak zabił pan tamtego mężczyznę.

Przez twarz Stirlinga przemknął cień strachu.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Wynajęliśmy go w dobrej wierze. Zwrócił się przeciwko nam.

- Moja mistrzyni otworzyła pański umysł dla Trupiołowego. Uwolniła go, by w pańskich snach zaszczeplił pragnienie zdobycia ziemi, pieniędzy i władzy. Tego wszystkiego, czego pan pragnie.

Serephina wysłała Ivy, aby mnie zabiła albo raczej abym to ja była zmuszona zabić ją. Aby dzięki temu zyskać pewność, że Trupiołowy zostanie uwolniony - wtrąciłam.

- Tak - odparł. - Serephina powiedziała jej, że musi oczyścić się z hańby, jaką się okryła poprzez przegraną z tobą.

- Aby tego dokonać, miała mnie zabić.

- Tak.

- A gdyby jej się udało?

- Moja mistrzyni w ciebie wierzy, Anito. Jesteś śmiercią kroczącą pośród nas. Technieniem śmiertelności.

- Dlaczego miałyby pragnąć uwolnienia tej istoty? - Tej nocy zadawałam mnóstwo pytań.

- Pragnie posmakować krwi nieśmiertelnego.

- To sporo zachodu jak na drobne urozmaicenie w menu.

Znów uśmiechnął się w ten swój dziwny sposób.

- Jesteś tym, co jesz, Anito. Przemyśl to sobie.

Zrobiłam to i aż mi szczęka opadła ze zdumienia.

- Jest przekonana, że poprzez picie krwi nieśmiertelnego sama zyska sobie nieśmiertelność?

- Otóż to.

- To się nie uda - odparłam.

- Zobaczymy.

- Co ty na tym zyskasz? - spytałam.

Przekrzywił kościstą głowę w bok jak trawiony rozkładem ptak.

- Jest moją mistrzynią i dzieli się ze swymi sługami tym, co sama zyskuje.

- Ty także pragniesz nieśmiertelności.

- Pragnę potęgi i władzy - odparł.

Pięknie.

- Nie martwi cię, że ten stwór będzie mordował dzieci? Że już zabił kilkoro?

- My się pożywiamy i Trupio głowy również. To normalne, nieprawdaż?

- I sądzisz, że Trupio głowy da się wam, ot tak, odsączać z krwi?

- Serephina odkryła zaklęcie, którego użył przodek Magnusa. Kontroluje fairie.

- W jaki sposób?

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie przeciągaj tego dłużej, Anito. Rzućcie broń albo Kissa pożywi się nim na waszych oczach.

Kissa przesunęła dłoń po krótkich włosach Jeffa w pieszczotliwym geście. Następnie przekrzywiła jego głowę w bok, obnażając długą gładką szyję.

- Nie! - Jeff próbował się wyrwać, ale Kissa szarpnęła go za rękę tak silnie, że aż krzyknął.

- Złamię ci rękę, chłopcze - warknęła.

Ból unieruchomił go, ale w jego oczach malowało się przerażenie. Spojrzał na mnie. Nie prosił, nie błagał. Jego wzrok był wymowniejszy niż jakiegokolwiek słowa.

Wargi Kissy rozchyliły się, ukazując spiczaste, wilgotne kły.

- Stój - krzyknęłam i znenawidziłam siebie za to.

Rzuciłam czterdziestkępiątkę na ziemię. Larry także upuścił trzymany przez siebie pistolet. Rozbrojona dwukrotnie w ciągu jednej nocy. To prawdziwy rekord, nawet jak dla mnie.

- I co teraz? - spytałam.

- Serephina czeka na nas na przyjęciu. Przysłała dla ciebie odpowiedni strój. Możesz przebrać się w limuzynie - odparł Janos.

- Jakie znowu przyjęcie?

- To, na które cię zaprasza. Jean - Claude'owi przekaże zaproszenie osobiście. To mi się nie spodobało.

- Myślę, że daruję sobie to przyjęcie.

- Raczej nie - mruknął Janos.

Spomiędzy drzew wyłonił się kolejny wampir. To była ta brunetka, która dręczyła Jasona. Szła w długiej, czarnej sukni, która okrywała ją od szyi po kostki. Oplotła Janosa ramionami, głaszcząc go po szyi i ukazując nam gołe plecy. Przesłaniały je tylko układające się w cienką pajęczynę czarne paski. Suknia sprawiała wrażenie, jakby wystarczył tylko jeden ruch, aby zsunęła się z jej ciała, a jednak wciąż je opinała. Modne czary. Ciemne włosy zaplotła w warkocz upięty na boku głowy. Wyglądała całkiem atrakcyjnie jak na trawionego zgnilizną trupa, a przecież taką ją widziałam, i to całkiem niedawno.

Nie potrafiłam ukryć zdziwienia.

- Myślałem, że ona nie żyje - powiedział Larry.

- Ja również.

- Nie ryzykowałbym życia Palas, gdybym wierzył, że twój wilkołak może ją zabić - powiedział Janos.

Z mrocznego lasu wyłoniła się kolejna postać. Długie, jasne włosy okalały szczupłe, drobno kościste oblicze. Oczy lśniły krwistą czerwienią. Już wcześniej widziałam u wampirów gorejące oczy, ale zawsze roztaczały taki blask, jaki kolor miały ich tęczęwki. Nikt, kto był kiedyś człowiekiem, nie miał czerwonych tęczęwek. Ubrany był w czarny smoking i długą niemal do kostek pelerynę.

- Xavier - wyszeptałam.

Larry spojrzał na mnie.

- To ten wampir - morderca?

Skinęłam głową.

- Co on tu robi?

- To dlatego tak szybko odnalazłeś Jeffa. Współpracujesz z Xavierem - powiedziałam. - Czy Serephina wie o tym?

Janos uśmiechnął się.

- Ona jest mistrzynią wszystkich, Anito, jego również. - Powiedział to z przejęciem, jakby mu to imponowało.

- Nie pożywisz się już długo swoim fairie, jeżeli gliny trafią przez Xaviera do ciebie.

- Xavier wykonywał tylko rozkazy. Rekrutował nowych członków - odparł Janos z niejakim rozbawieniem.

- Dlaczego Ellie Quinlan?

- Xavier lubi od czasu do czasu zabawić się z młodym chłopcem. To jego jedyna słabość. Przemienił kochankę dziewczyny, a chłopak chciał, aby została z nim na zawsze. Tej nocy powstanie i pożywi się razem z nami.

Zamierzałam zrobić wszystko, aby temu zapobiec.

- Czego chcesz, Janosie?

- Przysłano mnie, aby ułatwić ci życie - odrzekł.

- No jasne.

Pallas odstąpiła od Janosa i podeszła do Stirlinga.

Ten spojrział na nią, tuląc złamaną rękę do boku. Musiało go boleć jak cholera, ale na jego twarzy nie malował się teraz ból, lecz strach. Patrzył na wampirzycę, ale nie wydawał się już butny i arogancki. Przypominał dziecko, które odkryło, że pod łóżkiem naprawdę kryje się potwór.

Spomiędzy drzew wyłoniła się jeszcze jedna wampirzyca. Blondynka. Wyglądała wspaniale, nikt by nie przypuszczał, że mogła być przeżarta przez zgniliznę. A jednak widziałam to na własne oczy. Nigdy nie przypuszczałam, że wampirzyca może wyglądać na naprawdę martwą, a mimo wszystko przeżyć.

- Pamiętasz Bettinę - powiedział.

Bettina miała na sobie czarną suknię, która odsłaniała jej blade ramiona. Na jedno ramię miała zarzucony czarny szal. Suknię opinał w talii złoty pasek. Blond warkocz był misternie ułożony i upięty na czubku głowy.

Podeszła do nas, a jej oblicze wyglądało perfekcyjnie. Sucha, gnijąca skóra była tylko złym snem, koszmarem. Dobrze by było. Jean - Claude powiedział, że tylko ogień daje całkowitą pewność. Myślałam, że miał na myśli tylko Janosa.

Janos wyciągnął rękę i odciągnął Jeffa od Kissy. Zacisnął przyobleczone w czarne rękawiczki dłonie na ramionach chłopca. Palce miał dłuższe niż normalnie, jakby posiadały o jeden staw więcej. Gdy tak przyglądałam się im na tle białej kurtki Jeffa, stwierdziłam, że palce wskazujący i środkowy były równej długości. Jeszcze jeden mit okazał się prawdą przynajmniej w przypadku Janosa. Długie, dziwne palce zagłębiły się lekko w ciele Jeffa.

Oczy chłopaka rozszerzyły się z bólu.

- Co się dzieje? - zapytałam.

Kissa miała na sobie ten sam czarny, winylowy strój co w izbie tortur, a może raczej identyczny, bo tamten Larry przedziurawił przecież kulą z pistoletu. Stała za nim, zaciskając dłonie w pięści. Stała w całkowitym bezruchu, co potrafią jedynie umarli, ale było w niej pewne napięcie i czujność. Nie była zadowolona. Jej ciemna skóra dziwnie pobladła. Tej nocy jeszcze się nie pożywiała.

Potrafiłam to odgadnąć, przynajmniej u większości wampirów. Zawsze zdarzają się wyjątki.

Xavier jak rozmyta smuga przemknął obok Stirlinga, by stanąć przy wciąż nieprzytomnej pannie Harrison. Larry potrząsnął głową w niedowierzaniu.

- Czy on po prostu tam się pojawił, czy tak szybko się przemieścił?

- Przemieścił się - odparłam.

Spodziewałam się, że Janos odeśle Kissę do pozostałych, lecz nie zrobił tego. Jakaś postać pojawiła się na stoku wzgórza, pełznąc powoli, jakby każdy ruch sprawiał jej dojmujący ból. Błede ręce wpijały się w gołą ziemię, nagie ramiona lśniły pośród wiosennej nocy. Głowa istoty opadła do ziemi, krótkie ciemne włosy przesłoniły twarz. I nagle głowa uniosła się, blask księżyca rozjaśnił wychudzone oblicze. Wąskie, bezkrwiste wargi rozchyliły się, ukazując cienkie kły. Twarz przepełniał grymas głodu. Wiedziałam, że oczy były brązowe, gdyż widziałam je. wpatrujące się niewidzącym wzrokiem w sufit sypialni Ellie Quinlan. Nie miałam hipnotycznej mocy, ale w głębi tych ciemnych oczu płonął jakiś ogień. Płomień szaleństwa i być może również głodu. To były zwierzęce emocje, nie było w nich nic ludzkiego. Może gdy pozwolą jej pożywić się po raz pierwszy, będzie mieć czas na odczuwanie emocji, teraz wszystko zawężyło się do zaspokojenia tej najbardziej pierwotnej potrzeby.

- Czy to jest ta, o której myślę? - spytał Larry.

- Tak - odpowiedziałam.

Jeff chciał do niej pobiec.

- Ellie?

Janos mocno przycisnął go do piersi, oplatając go na ukos ramieniem. Jeff zaczął się szamotać, chciał podbiec do zmarłej siostry. W tej kwestii popierałam zachowanie Janosa. Ożywieńcy mają nieprzyjemny zwyczaj najpierw się pożywiać, a dopiero potem zadawać pytania. Stwór, który był kiedyś Ellie Quinlan, z dziką rozkoszą rozdarłby swemu młodszemu bratu gardło. Skapałaby się w jego krwi i parę minut, godzin, dni lub tygodni później uświadomiłaby sobie, co zrobiła. Może nawet pożałowałaby tego.

- Idź, Angelo, idź do Xaviera - rzekł Janos.

- Nowe imię nie uczyni jej kimś innym, niż była - odparłam.

Janos spojrział na mnie.

- Ona nie żyje od dwóch lat i ma na imię Angela.

- Nazywa się Ellie - powiedział Jeff. Już się nie wrywał, lecz patrzył na nieżyjącą siostrę ze zgrozą jakby dopiero teraz ujrzał ją po raz pierwszy.

- Ludzie ją rozpoznają Janosie.

- Będziemy ostrożni, Anito. Nasz nowy aniołek nie ujrzy nikogo niepożądanego.

- Niezły układ, nie ma co - mruknęłam pod nosem. - Masz dla niej jeszcze jakieś propozycje?

- Tylko jedną - odparł. - Aby zaspokoić pragnienie.

- Jestem pod wrażeniem, że przywlokłeś ją tak daleko, nie pozwalając się jej wcześniej pożywić.

- Ależ nakarmiłem ją - Głos Xaviera był zdumiewająco miły. Czułam się dość nieswojo, słysząc ten głos płynący z ust bladego, upiornego wampira.

Spojrzałam na niego, unikając jego wzroku.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziałam.

- Andy przeistoczył ją, a Andy'ego przeistoczyłem ja. Jestem jej mistrzem.

Jako że Andy nie pojawił się, podejrzewałam, że zabiłam go w lesie z szeryfem St. Johnem. Wolałam nie poruszać teraz tego tematu. To nie był właściwy moment.

- A kto jest twoim mistrzem?

- Obecnie Serephina - odparł Xavier.

Spojrzałam na Janosa.

- Nie zdołaliście jeszcze ustalić, który z was jest ważniejszy i silniejszy, prawda? - Uśmiechnęłam się.

- Marnujesz nasz czas, Anito. Nasza mistrzyni czeka na nas. Skończmy to. Przywołaj naszego aniołka.

Xavier wyciągnął bladą dłoń przed siebie. Ellie wydała gardłowy jęk i zaczęła pełznąć na czworakach po ziemi. Długa czarna suknia krępowała jej nogi. Rozdarła ją ze zniecierpliwieniem. Materiał pękł w jej dłoniach jak papier, spod strzępów sukni wyzierały gołe nogi. Schwyciła kurczowo dłoń Xaviera, jak rozbitek chwytający się koła ratunkowego. Nachyliła się do jego nadgarstka i tylko dłoń, którą trzymał ją za włosy, powstrzymywała ją przed pożywieniem się jego krwią.

- Umarli nie dadzą ci tego, czego potrzebujesz, Angelo - rzekł Janos. - Pożyw się żywymi.

Pallas i Bettina uklęknęły po obu stronach Stirlinga. Xavier przysiadł z gracją obok panny Harrison, czarna peleryna rozpostarła się wokół niego jak kałuża krwi. Przez cały czas trzymał Ellie za włosy, nieomal wciskając jej twarz w ziemię. Wpiła palce w jego dłonie i pojękiwała cichutko. Żaden człowiek nigdy nie wydawał z siebie podobnych dźwięków.

- Panno Blake - wyjęczał przerażony Stirling - stoi pani po stronie prawa. Musi mnie pani chronić.

- Wydawało mi się, że chcesz wytoczyć mi proces, Raymondzie. O ile pamiętam, zamierzałeś oskarżyć mnie o napaść na ciebie i pannę Harrison z użyciem zombi.

- Wcale nie. - Spojrzał na klęczące przy nim wampirzyce, a następnie przeniósł wzrok na mnie. - Nikomu nic nie powiem. Naprawdę. Nie pisnę o tym ani słowem. Błagam.

Spojrzałam na niego.

- Błagasz o litość, Raymondzie?

- Tak, tak, błagam.

- O taką samą litość, jaką okazałeś Bayardowi?

- Proszę...

Bettina pogładziła policzek Stirlinga. Mężczyzna drgnął jak oparzony.

- Błagam!

Cholera.

- Nie możemy patrzeć beczynn timer - rzekł Larry.

- Masz jakieś sugestie?

- Nie oddajemy nikogo potworom, niezależnie od przyczyny. To podstawowa reguła - powiedział.

Ja także ją wyznawałam. I kiedyś naprawdę w to wierzyłam, dawno temu, kiedy jeszcze wydawało mi się, że wiem, kto jest, a kto nie jest potworem.

Zaczął wyjmować łańcuszek spod koszuli.

- Nie rób tego, Larry. Nie każ nam ginąć za Raymonda Stirlinga.

Wyjął krzyżyk spod koszuli. Relikwia zaśniła jak oczy Serephiny. Spojrzał na mnie.

Westchnęłam i także wyjęłam krzyżyk.

- To kiepski pomysł.

- Wiem - odparł. - Ale nie mogę tylko stać beczynn timer i patrzeć.

Jeden rzut oka na jego żarliwe oblicze wystarczył, abym zrozumiała, że mówił prawdę. Nie mógł przyglądać się temu beczynn timer. W przeciwieństwie do mnie. Może nie spodobałoby mi się to, ale nie próbowałabym temu zapobiec. Tym gorzej dla mnie.

- Co robicie z tym relikwiami? - spytał Janos.

- Zamierzamy to przerwać - odparłam.

- Przecież chcesz ich śmierci, Anito.

- Nie w taki sposób - mruknęłam.

- Chciałabyś, abym pozwolił ci użyć broni i żeby zmarnowało się tyle cennej krwi?

Sugerował, że pozwoliłby mi ich zastrzelić. Pokręciłam głową.

- To już raczej nie wchodzi w rachubę.

- Nigdy nie wchodziło - dorzucił Larry.

Nie skomentowałam tego, nie chciałam odbierać mu złudzeń. Podeszłam do Pallas i Bettiny, Larry ruszył w stronę Ellie i Xaviera, trzymając przed sobą krzyżyk na łańcuszku, jakby to mogło mu w czymś pomóc. Nie miałam nic przeciwko temu dramatycznemu gestowi, ale będę później musiała uświadomić mu, że to niewiele daje.

Krzyżyk zaczął rozciącać blask jak stuwatowa żarówka. Cały świat poza zasięgiem poświęty postrzegałam jak czarny krąg.

Xavier wstał i wyprostował się naprzeciwko Larry'ego. Wampirzyce cofnęły się, spłoszone silnym światłem.

- Dziękuję, panno Blake - wydusił z trudem Stirling. - Bardzo dziękuję. - Zdrową ręką objął moją nogę. Z trudem powstrzymałam się, aby go nie kopnąć.

- Dziękuj Larry'emu, ja pozwoliłabym ci zdechnąć.

Zdawał się mnie nie słyszeć. Nieomal płakał z ulgi, śliniąc mi się na buty.

- Cofnijcie się od nich, proszę. - Głos był kobiecy, słodki jak miód.

Zamrugałam, by pozbyć się powidoków spowodowanych przez blask krzyżyka i ujrzałam Kisse trzymającą broń. Był to rewolwer, chyba magnum, w tym świetle trudno go było rozpoznać. W każdym razie wielka spłuka, która robi wielkie dziury.

- Odsuńcie się od nich, ale już.

- Sądziłam, że Serephina nie chce mojej śmierci.

- Kissa zastrzeli twojego młodego przyjaciela. Wstrzymałam oddech, po czym wypuściłam powietrze.

- Jeżeli go zabijesz, nie będę z wami współpracować, niezależnie co dla mnie na dziś zaplanowaliście.

- Nie rozumiesz, Anito - rzekł Janos. - Moja mistrzyni nie chce twojej dobrowolnej współpracy. Wszystko, czego chce od ciebie, może wziąć siłą.

Patrzyłam na niego w silnym białym świetle. Janos tulił do siebie Jeffa. Coś podobnego. Prawdziwa sielanka. Tylko tego mi brakowało.

- Zdejmijcie krzyżyki i rzućcie je między drzewa - rozkazał Janos. Przesunął dłonią w rękawiczce po twarzy Jeffa i pocałował go w policzek.

- Teraz, kiedy już wiemy, że jesteś gotowa zaryzykować życie dla obu tych młodzieńców, mamy o jednego zakładnika więcej, niż jest to konieczne. - Położył obie dłonie na szyi Jeffa, ale nie tak, by sprawić mu ból, jeszcze nie.

- Zdejmijcie krzyżyki i rzućcie je w krzaki. Nie powtórzę tego po raz trzeci.

Spojrzałam na niego. Nie chciałam rozstawać się z krzyżykiem. Spojrzałam na Larry'ego. Wciąż stał naprzeciw Xaviera, a jego krzyżyk świecił jasnym blaskiem. Cholera.

- Kissa, zastrzel chłopaka.

- Stój. - Odpięłam łańcuszek. - Nie zabijaj go.

- Nie rób tego, Anito - ostrzegł Larry.

- Nie mogę pozwolić, abys zginął - powiedziałam. Zacisnęłam łańcuszek w dłoni, krzyżyk świecił białoniebieskim światłem jak płonąca magnezja. Nie chciałam wyrzucać krzyżyka. To nie był dobry pomysł. Cisnęłam krzyżyk w krzaki. Błysnął jak spadająca gwiazda i zgasł, znikając wśród drzew.

- Teraz twój krzyżyk, Larry - powiedział Janos.

Larry pokręcił głową.

- Po moim trupie.

- Zastrzelimy chłopaka - rzekł Janos. - Albo może nasycę się nim na waszych oczach. - Jedną ręką przycisnął Jeffa do siebie, a drugą odgarnął mu włosy i odchylił głowę, odsłaniając szyję.

Larry spojrzał na mnie.

- Co mam zrobić, Anito?

- Musisz sam podjąć decyzję - odparłam.

- Oni go naprawdę zabijają?

- Tak.

Zaklął cicho i rozpiął łańcuszek. Następnie cisnął krzyżyk w stronę lasu z taką siłą, jakby wkładał w to całą swoją wściekłość. Kiedy zgasł blask krzyżyka, otoczyła nas ciemność. Światło księżycy, jeszcze niedawno tak jasne, zdawało się teraz słabe i złowrogie.

Stopniowo odzyskałam zdolność widzenia w ciemnościach. Kissa podeszła bliżej, przez cały czas celując do nas z rewolweru. Gdy ujrzałam ją po raz pierwszy, emanowała zmysłowością i mocą, teraz była przygaszona, potulna, jakby utraciła całą swą żywiołowość. Jakby ktoś odebrał jej tę energię. Wydawała się blada i wychudzona. Powinna się jak najszybciej pożywić.

- Czemu nie pozwolili ci się dziś pożywić? - zapytałam.

- Nasza mistrzyni nie jest całkowicie pewna jej lojalności i oddania. To wymaga przetestowania, prawda, moja mroczna piękności?

Kissa nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie wielkimi, ciemnymi oczami, ale broń w jej dłoniach nawet nie zadrżała.

- Pożywcie się, dzieci, pożywcie się.

Pallas i Bettina podeszły do Stirlinga. Spojrzały na mnie znad niego. Odpowiedziałam równie zimnym spojrzeniem.

Stirling chwycił mnie za nogę..

- Nie możesz im mnie oddać. Błagam, błagam.

Pallas uklękła przy nim. Bettina podeszła z mojej strony. Strąciła dłoń Stirlinga z mojej nogi. Plecy wampirzycy otarły się o moje udo. Cofnęłam się o krok, a Stirling zaczął krzyczeć. Xavier i Ellie zaczęli już pożywiać się nieprzytomną na szczęście panną Harrison. Larry patrzył na mnie, dłonie miał puste i wyglądał na kompletnie bezradnego.

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

- Nie dotykajcie mnie, precz ode mnie! - Stirling zaczął okładać Pallas zdrową ręką ale wampirzyca schwyciła ją bez trudu i przytrzymała.

- Przynajmniej go zahipnotyzujcie - podpowiedziałam.

Pallas spojrzała na mnie.

- Po tym, jak próbował cię zabić? Czemu pragniesz okazać mu litość?

- Może nie chcę słyszeć jego krzyku.

Pallas uśmiechnęła się. W jej oczach zapłonął czarny ogień.

- Dla ciebie wszystko, Anito.

Ujęła Stirlinga pod brodę, zmuszając, by na nią spojrzał.

- Panno Blake, proszę mi pomóc. Proszę... - Słowa uwięzły mu w gardle.

Patrzyłam, jak jego oczy stają się mętne, puste, wyczekujące.

- Chodź do mnie, Raymondzie - rzekła Pallas. - Pójdź do mnie.

Stirling usiadł, obejmując wampirzycę zdrową ręką. Próbował też drugą, ale ta nie chciała zgiąć się w łokciu.

Bettina poruszyła jego złamaną ręką, wyginając ją to w jedną, to w drugą stronę i roześmiała się w głos. Stirling nie reagował. Nie czuł bólu. Przytulił się do Pallas. Na jego twarzy malował się wyraz euforii. Radości. Uwielbienia. Szczęścia.

Pallas zatopiła kły w jego szyi. Stirling drgnął spazmatycznie, ale zaraz rozluźnił się, a z jego gardła dobyło się cichutkie pojękiwanie.

Pallas odchyliła głowę Stirlinga w bok, ssąc krew sączącą się z rany, ale pozostawiając jednocześnie trochę miejsca dla drugiej wampirzycy. Bettina wgryzła się w odsłoniętą szyję mężczyzny.

Dwie wampirzyce zaczęły się pożywiać, ich głowy były tak blisko siebie, że ich włosy zmieszały się w jednolitą, złoto - czarną falę. A Raymond Stirling wydawał z siebie radosne dźwięki, kiedy go zabijały.

Larry splótł ramiona na piersi i oddalił się, by stanąć na skraja polany. Ja zostałam przy Stirlingu. Patrzyłam, jak umiera. Chciałam jego śmierci. Tchórzostwem byłoby dla mnie odwrócić wzrok. Poza tym musiałam to zobaczyć. Musiałam przypomnieć sobie, kto był potworem, a kto nie. Może jeśli nie odwrócę wzroku, nie mrugnę ani nie zamknę oczu, już nigdy tego nie zapomnę.

Patrzyłam na szczęśliwą pełną uniesienia twarz Stirlinga, aż jego ręka osunęła się z pleców Pallas, a powieki opadły. Zamknął oczy. Zemdlał z upływu krwi i szoku, ale wampirzyce obejmowały go mocno i pożywiały się dalej.

Nagle otworzył szeroko oczy, a z jego gardła dobył się wilgotny gulgot. Dostrzegłam w jego oczach strach. Pallas uniosła rękę i pogładziła Stirlinga po włosach jak przerażone dziecko. Strach zniknął z jego oczu, a wraz z nim zgasło również światełko życia. Obserwowałam to wszystko. Patrzyłam, jak Raymond Stirling umiera i wiedziałam, że ta ostatnia chwila, wyraz przerażenia malujący się na jego twarzy będzie prześladować mnie w snach jeszcze przez wiele tygodni.

Silny podmuch wiatru uniósł w górę tuman kurzu. Jean - Claude pojawił się jakby znikąd. Nigdy jeszcze tak się nie ucieszyłam na jego widok. Nie rzuciłam mu się w ramiona, ale podeszłam, by przy nim stanąć. Larry podążył za mną. Jean - Claude nie zawsze był gwarantem bezpieczeństwa, ale teraz sprawił, że poczułam się znacznie lepiej.

Miał na sobie jedną z białych koszul. Tę z mnóstwem delikatnych koronek z przodu. Krótki biały surdut kończył się na wysokości talii. Mankiety surduta również ozdobione były koronkami. Nosił obcisłe białe spodnie z czarnym paskiem. Pasek ten pasował do jego aksamitnie czarnych butów.

- Nie spodziewałem się ciebie tutaj, Jean - Claude - rzekł Janos.

Nie miałam pewności, ale wydawał się zaskoczony. Doskonale.

- Serephina dostarczyła zaproszenie osobiście, Janosie, ale to za mało.

- Zaskakujesz mnie, Jean - Claude - powiedział.

- Serephinę także zaskoczyłem. - Sprawiał wrażenie spokojnego i wyciszonego. Jeżeli nawet obawiał się tego, że stał samotnie, otoczony przez wrogów, na szczycie wzgórza, nie dawał tego po sobie poznać. Ciekawiło mnie, w jaki sposób zdołał zaskoczyć Serephinę.

Jason nadszedł od strony dzipa. Nosi czarne skórzane spodnie, które wyglądały, jakby uszyto je na nim, nie miał koszuli. Jego szyję zdobiło coś, co wyglądało jak nabijana ćwiekami obroża, dłonie miał przyobleczone w czarne rękawiczki, ale poza tym od pasa w górę był nagi. Miałam nadzieję że to Jason wybrał swój dzisiejszy strój.

Prawą stronę jego twarzy od podbródka do czoła pokrywały sińce, jakby uderzyło go coś ogromnego.

- Widzę, że twój pupil włączył się do bójki - rzekł Janos.

- Jest mój pod każdym względem, Janosie. Oni wszyscy należą do mnie.

Ten jeden raz odpuściłam. Gdybym miała wybierać pomiędzy Jean - Claude'em lub Serephina, nie miałam wątpliwości, za kim bym się opowiedziała.

Larry podszedł tak blisko, że mogłam go ująć za rękę. Może nie lubił, gdy zaliczano go do menażerii Jean - Claude'a.

- Utraciłeś pokorę, która tak mi się w tobie podobała, Jean - Claude. Czy odrzuciłeś również zaproszenie Serephiny?

- Przyjdę na jej przyjęcie, ale w swoim czasie i otoczeniu moich ludzi.

Spojrzałam na niego. Czy on zwariował?

Zmarszczył brwi.

- Serephina chciała, abyś był na tym przyjęciu zakuty w łańcuchy.

- Każdy z nas ma w tej kwestii możliwość wyboru, Janosie.

- Chcesz powiedzieć, że byłbyś gotów rzucić nam wszystkim wyzwanie? Tu i teraz? - W jego głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia.

- Nie umrę samotnie, Janosie. Koniec końców być może mnie pokonasz, ale słono będzie cię to kosztować.

- Jeżeli naprawdę zamierzasz przyjść z własnej woli, proszę bardzo - odparł Janos. - Nasza mistrzyni wzywa, pozwól nam odpowiedzieć na ten zew.

Janos, Bettina i Pallas unieśli się nagle w powietrze. To nie był lot ani nawet lewitacja. Nie potrafiłam odnaleźć na to odpowiedniego określenia.

- Boże drogi - wyszeptał Larry. Noc, kiedy po raz pierwszy ujrzysz wampira w locie na zawsze pozostaje w pamięci.

Pozostali, jak rozmyte smugi, rozproszyli się i pomknęli w stronę lasu. Ellie Quinlan zniknęła wraz z nimi. Jej brata zabrał Janos. Aż do tej pory nie wiedziałam, że wampir może coś dźwignąć w powietrze. Każdego dnia uczę się czegoś nowego.

Pozbieraliśmy naszą broń i ruszyliśmy w dół zbocza. Nasze krzyżyki przepadły. Nawet Jean - Claude szedł pieszo, a wiedziałam, że znał inne możliwości przemieszczania się. Czy to nieuprzejme unosić się w powietrzu, podczas gdy inni tego nie potrafią?

Dzipe stał tam, gdzie go zostawiłam. Noc była jeszcze młoda. Do świtu pozostało dobrych parę godzin, a jedyne czego teraz chciałam, to wrócić do domu.

- Pozwoliłem sobie wybrać dla ciebie strój na dzisiejszą noc - powiedział Jean - Claude. - Jest w dzipie.

Tylko się uśmiechnął.

Westchnęłam.

- W porządku. - Gdy nacisnęłam kłamkę, stwierdziłam, że drzwiczki są otwarte. Ubranie leżało złożone na fotelu pasażera. Czarna skóra. Pokręciłam głową. - Chyba jednak nie.

- Twoje rzeczy leżą od strony kierowcy, *ma petite*. To ubranie Lawrence'a.

Larry zajrzał mi przez ramię.

- Chyba żartujesz.

Obeszłam dżipa i zobaczyłam parę czarnych, nowiutkich dżinsów. Najciaśniejszych jakie miałam. A także krwistoczerwoną koszulkę bez rękawów, której wcześniej nie miałam. Wydawała się być zrobiona z jedwabiu. Był tu jeszcze długi czarny płaszcz. Gdy go założyłam, okazało się, że sięga mi do połowy łydki i unosi się na wietrze jak peleryna. Spodobał mi się. W przeciwieństwie do czerwonej, jedwabnej koszulki.

- Niezłe - powiedziałam.

- Mój strój mi się nie podoba - poskarżył się Larry. - Nie wiem nawet, jak mam się wbić w te spodnie.

- Jasonie, pomóż mu się ubrać.

Jason zgarnął naręczce skórzanej odzieży i przeniósł na tył dżipa. Larry z kwaśną miną podążył za nim.

- Nie ma butów? - spytałam. Jean - Claude uśmiechnął się.

- Nie sądziłem, że zechcesz zrezygnować ze swoich najków.

- Fakt.

- Przebierz się szybko, *ma petite*, musimy dotrzeć na miejsce, zanim Serephina zapragnie zabić chłopca ot tak, dla kaprysu.

- Czy Xavier pozwoliłby jej uśmiercić swoją nową zabawkę?

- Jeżeli naprawdę jest jego mistrzynią nie miałby tu nic do gadania. No już, *ma petite*, przebierz się. Tylko szybko. - Zamierzałam przebrać się po drugiej stronie dżipa, ale zorientowałam się, że w ten sposób znalazłabym się w polu widzenia Larry'ego. Niech to szlag. Odwróciłam się do Jean - Claude'a plecami i zdjęłam szelki kabury podramiennej.

- Jak zdołaliście uciec Serephinie?

Zdjęłam bluzkę przez głowę. Zwalczyłam chęć obejrzenia się przez ramię. Wiedziałam, że Jean - Claude patrzy, po co więc się upewniać?

- Jason rzucił się na nią w kluczowym momencie. To rozproszyło ją na tyle, abyśmy mogli uciec. Niestety obawiam się, że pokój wygląda, jakby przeszło przezeń tornado.

Powiedział to tak łagodnym tonem, że musiałam zobaczyć jego oblicze. Nałożyłam czerwoną koszulkę i odwróciłam się. Stał bliżej niż sądziłam, prawie w zasięgu ręki. W swoim białym stroju wyglądał doskonale.

- Cofnij się o kilka kroków, bardzo proszę. Chciałabym mieć trochę wolnej przestrzeni.

Uśmiechnął się, ale wykonał moje polecenie. Chyba po raz pierwszy.

- Czyżbym cię nie doceniła? - spytałam. Najszybciej jak umiałam założyłam dzinsy. Starłam się nie myśleć o tym, że się na mnie gapił. To było zbyt krępujące.

- Musiałem uciekać, *ma petite*. Ona jest mistrzynią Janosa, a nawet on mnie pokonał. Nie mogę stawiać jej czoła w otwartej walce.

Nałożyłam kaburę podramienną zaczepiając szelki o pasek spodni. W koszulce bez rękawów szelki trochę mnie poobcierają ale trudno, taki los. Wyjęłam spod fotela firestara i włożyłam do kabury wewnętrznej, przypiętej z przodu do dzinsów. Byłoby ją widać nawet pod płaszczem. Przesunęłam kaburę do tyłu, choć nie lubiłam umieszczać jej za plecami. Wyjęłam srebrne noże ze schowka na rękawiczki i przypięłam pochewki na przedramionach. Wyjęłam także nieduże pudełeczko. Znajdowały się w nim dwa dodatkowe krzyżyki. Wampiry wciąż mi je odbierały.

Jean - Claude obserwował to wszystko z żywym zainteresowaniem. Wodził za mną wzrokiem, jakby starał się zapamiętać każdy ruch moich rąk. Nałożyłam płaszcz i przeszłam kilka kroków, aby sprawdzić, jak się z tym wszystkim czuję. Wydobyłam oba noże, aby upewnić się, że rękawy nie były za ciasne. Wyciągnęłam oba pistolety i z firestarem nie poszło mi tak, jak mogłabym sobie tego życzyć. Ostatecznie przesunęłam kaburę wewnętrzną na biodro. Pistolet wpijał mi się teraz w bok i byłam pewna, że narobi mi siniaków, ale przynajmniej mogłam go wyciągnąć w miarę szybko. Tej nocy to było ważniejsze aniżeli wygoda. Wrzuciłam do kieszeni płaszcza zapasowe magazynki do pistoletów. Były załadowane zwykłymi nabojami. Czuję się nieswojo, nie mając srebrnej amunicji w zapasie, ale tej nocy mogło dojść do bliższego spotkania z Królem Trupiołowym. I mógł tam też być Magnus. Chciałam być przygotowana na każdą ewentualność.

Larry wyłonił się zza dżipa. Aż przygryzłam wargę, aby powstrzymać się od śmiechu. Nie, żeby źle wyglądał - po prostu nie czuł się w tym stroju swobodnie. Chodzenie w czarnych skórzanych spodniach wyraźnie sprawiało mu trudność.

- Staraj się stąpać naturalnie - podpowiedział Jason.

- Nie mogę - odparł Larry. Miał na sobie jedwabną koszulkę bez rękawów, taką samą jak moja, tyle że niebieską, a do tego swoje czarne najki. Stroju dopełniała czarna kurtka, którą pożyczył od Jasona.

Spojrzałam na buty.

- Czarne buty do biegania, zgoda, *ma petite*, ale białe buty do czarnej skóry? Zupełnie nie pasują.

- Czuję się jak kretyn - poskarżył się Larry. - Jak ty możesz stale w tym chodzić?

- Lubię skórę - odparł Jason.

- Musimy już ruszać - oznajmił Jean - Claude. - Anito, poprowadzisz?

- Pomyślałam, że może chciałbyś pofrunąć - odparłam.

- Ważne jest, abyśmy zjawili się tam razem - wyjaśnił.

Larry i ja napełniliśmy kieszenie solą. Z zapasowymi magazynkami w jednej i solą w drugiej kieszeni mój płaszcz wydawał się trochę obwisły, ale co tam, nie wybieraliśmy się wszak na rewię mody.

Wsiedliśmy wszyscy do dżipa. Z tylnego siedzenia znów doszły mnie głośne utyskiwania.

- W tych spodniach w ogóle nie można usiąść.

- Zapamiętam na przyszłość, że nie lubisz skórzanej odzieży, Lawrence.

- Mam na imię Larry.

Zarośniętą ścieżką wyprowadziłam dżipa z placu budowy.

- Serephina pragnie nieśmiertelności. - Skręciłam na główną drogę i ruszyłam w stronę Branson, choć rzecz jasna po drodze czekała nas jeszcze wizyta u Serephiny.

Jean - Claude odwrócił się na fotelu, aby spojrzeć na mnie.

- Co mówiłaś, *ma petite*?

Powiedziałam wszystko co wiem. Opowiedziałam o Królu Trupiołowym i o planie Serephiny.

- Ona jest obłąkana - zakończyłam.

- Niezupełnie, *ma petite*. W ten sposób być może nie zdobędzie nieśmiertelności, ale zyska nieopisaną moc. Pytanie brzmi, jakim cudem Serephina uzyskała taką potęgę, by zdominować Janosa, zanim zaczęła karmić się Magnusem i Trupiołowym?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Janos przebywał w starym kraju. Nie opuściłby go z własnej woli. Podążył za nią. Skąd wzięła moc, aby go sobie podporządkować?

- Może Magnus nie jest pierwszym fairie, którym się pożywia - odparłam.

- Być może - przyznał - albo znalazła sobie jakieś inne pożywienie.

- Na przykład jakie?

- Szczerze mówiąc, *ma petite*, też chciałbym znać odpowiedź na to pytanie.

- Masz na myśli zmianę menu? - zasugerowałam.

- Moc jest zawsze kusząca, *ma petite*, ale tej nocy rozmyślam o niej z bardziej praktycznych pobudek. Gdybyśmy odkryli, co stanowi źródło jej mocy, moglibyśmy je unicestwić.

- W jaki sposób?

Pokręcił głową.

- Nie wiem, ale o ile nie uda nam się wymyślić dziś jakiejś sprytnej sztuczki, *ma petite*, ta noc może być ostatnią w naszym życiu. - Powiedział to z niezmaconym spokojem. Ja nie byłam spokojna. Krew tętniła mi w żyłach z taką siłą, że czułam to w szyi i obu nadgarstkach. Słyszałam jej szum w uszach. To mogła być ostatnia noc w moim życiu. Te słowa brzmiały posępnie i złowrogo. Zwłaszcza że czekało nas spotkanie z Serephina. W tym kontekście owe słowa wydały mi się jeszcze bardziej złowrogo i zatrważające.

Weszliśmy po kamiennych schodach na werandę. Wypełniał ją blask księżyca i łagodna ciemność. Nie było gęstych, nienaturalnych cieni sugerujących, co kryje się wewnątrz. To był po prostu opuszczony dom, nic szczególnego. Nerwowy ucisk w żołądku świadczył, że nie dałam się nabrać na tę sztuczkę.

Kissa otworzyła drzwi. Z sąsiedniego pokoju płynęło łagodne światło świec. Tej nocy nic nie wskazywało, aby ten pusty pokój był czymś innym, niż się wydawał. Pot perlił się na twarzy Kissy, w blasku świec krople wydawały się złociste. Wciąż była surowo karana i choć zastanawiałam się za co, to nie był mój najpoważniejszy problem.

Kissa bez słowa wprowadziła nas do środka. Serephina siedziała na swoim tronie w rogu. Miała na sobie białą balową suknię, w której wyglądała jak Kopciuszek, włosy upięła w kok. Diamenty jak ogień rozbłysły w jej włosach, gdy skinęła głową na powitanie.

U jej stóp kulił się odziany w biały frak Magnus. Przy jego kolanach leżały rękawiczki, biały cylinder i laseczka. Pośród bieli odcinały się tylko jego długie, kasztanowe włosy. Każdy wampirzy mistrz, którego spotkałam, uwielbiał dramatyczne prezentacje. Janos i jego dwie kobiety, przyodziani od stóp do głów na czarno, wyglądali jak żywa zasłona ciemności. Ellie, leżąca na boku na poduszkach, niemal sprawiała wrażenie żywej. Nawet w podartej i poplamionej czarnej sukni wyglądała na zadowoloną jak kotka, która opija się śmietanki. Jej oczy błyszczały, usta wykrzywiały tajemniczy uśmiech. Ellie, alias Angola, cieszyła się, że jest nieumarłą. Jak na razie. Kissa podeszła do nich i uklękła po drugiej stronie Magnusa. Jej czarna skóra stapiała się w jedno z płaszczem Janosa. Serephina pogładziła spocone oblicze Kissy dłonią w białej rękawiczce.

Serephina uśmiechnęła się i był to cudowny uśmiech, dopóki nie zobaczyłaś jej oczu. Biło z nich blade światło. Źrenice, choć wciąż widoczne, rozmywały się w szybkim tempie. Oczy dopasowywały się kolorem do sukni. To się nazywa zgranie barw.

Jeffa i Xaviera nie było. To mi się nie spodobało. Już miałam o nich zapytać, ale Jean - Claude spojrział na mnie. To jedno spojrzenie w zupełności mi wystarczyło. On był mistrzem, ja grałam rolę sługi. W porządku, grunt aby zadał właściwe pytania.

- Przybyliśmy, Serephino - powiedział Jean - Claude. - Oddaj nam chłopca, a zostawimy cię w spokoju.

Zaśmiała się.

- Ale ja nie zostawię w spokoju ciebie, Jean - Claude.

Przeniosła na mnie spojrzenie swych gorejących oczu. Poczułam się jak w snopie światła reflektorów samochodu.

- Niña, tak się cieszę, że cię widzę.

Przestałam na chwilę oddychać. Nina, tak zdrobniale nazywała mnie matka. Coś rozbłysło w jej oczach jak odległa luna, ale zaraz światło znów stało się falujące i chłodne. Nie próbowała mnie zahipnotyzować. Dlaczego? Ponieważ była mnie aż tak pewna. Moja skóra nagle stała się lodowata. To było to. Powiedziałabym, że to arogancja, ale uwierzyłam w to. Zaoferowała mi coś lepszego niż seks i bardziej sycącego niż moc czy władza. Dom. Kłamstwo czy nie, to była dobra propozycja.

Larry dotknął mojej ręki.

- Cała się trzęsiesz.

Przełknęłam mocno ślinę.

- Nigdy nie mów głośno jak bardzo się boisz, Larry, to psuje cały efekt.

- Przepraszam.

Odstąpiłam od niego, tulenie się do siebie mijało się z celem. Zerknęłam na Jean - Claude'a, bezgłośnie pytając, czy w ten sposób nie łamię obowiązującego wampirzego protokołu.

- Przywitała cię jak mistrzynię. Odpowiedz tym samym. - Niespecjalnie go to obchodziło, mnie owszem.

- Czego chcesz, Serephino? - spytałam.

Podniosła się i przepłynęła po wyłożonej dywanem podłodze. Wydawało się, jakby to, co znajdowało się pod tą suknią, nie było ludzkimi nogami. Nogi tak się nie poruszają. Może lewitowała. Tak czy owak zbliżała się do mnie. Rozpaczliwie chciałam się cofnąć. Nie chciałam, aby znalazła się blisko mnie.

Larry postąpił krok i stanął za moimi plecami. Jason przybliżył się do Jean - Claude'a. Nie ruszyłam się z miejsca. To najlepsze co mogłam zrobić.

Coś przemknęło w jej oczach jak odległy cień przesuwający się wśród drzew. To było niezwykle samo w sobie. Odwróciłam wzrok i uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, abym patrzyła jej w oczy. Jakim zatem cudem mogłam teraz odwrócić od niej wzrok?

Poczułam, że podpływa do mnie. W moim polu widzenia pojawiła się dłoń w białej rękawiczce. Cofnęłam się i równocześnie uniosłam wzrok. Tylko zerknęłam na jej twarz, ale to wystarczyło. Jej oczy wyglądały jak mroczne tunele, w głębi których buzował ogień, jakby oczodoły były ciemnymi jaskiniami, wewnątrz których jakieś małe istoty rozpały ogniska, by rozjaśniły tę ciemność. Mogłabym przez całą wieczność ogrzewać dłonie przy tym ogniu.

Krzyknęłam i zakryłam oczy rękami. Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia. Drgnęłam gwałtownie i znów wrzasnęłam.

- Jestem tu, *ma petite*.

- Więc zrób coś! - odparłam.

Robię.

- Będzie moja jeszcze przed świtem. - Wskazała na mnie, po czym podpłynęła w kierunku Jasona. Zaczęła głaskać dłonią w rękawiczce jego nagi tors. Stał w bezruchu, poddając się pieszczocie. Ja nie pozwoliłabym się jej dotknąć. Za żadne skarby.

- Ciebie oddam Bettinie i Pallas. Nauczą cię radości gnijącego ciała.

Jason patrzył przed siebie, ale w jego oczach pojawiła się trwoga.

Bettina i Pallas wyszły z za tronu, by stanąć o niecały metr za Serephiną. Dramatyczne gesty to nasza specjalność.

- A może zmuszę cię, abyś zmienił się w wilka i pozostał w tej postaci, dopóki nie stanie ci się ona bliższa od ludzkiej. - Wsunęła palec pod obrozę na jego szyi. - Przykuję cię do ściany, będziesz moim psem łańcuchowym.

- Dość tego, Serephino - powiedział Jean - Claude. - Noc mija. Te małostkowe tortury nie przystają komuś dysponującemu tak wielką mocą.

- Czuję się dziś małostkowa, Jean - Claude i wkrótce będę tak potężna, by odzwierciedlić tą mocą wszystko, co czuję. - Przeniosła wzrok na Larry'ego. - On też dołączy do mojej trzódki. - Spojrzała na Jean - Claude'a. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, że jest od niej wyższy. - A ty, mój kochany, będziesz służyć nam wszystkim za maskotkę przez całą wieczność.

Jean - Claude rzucił jej aroganckie, miazdzące spojrzenie.

- Jestem teraz Mistrzem Miasta, Serephino. Nie możemy torturować się wzajemnie. Nie możemy okradać się z tego, co posiadamy, niezależnie jak atrakcyjne i ponętne mogłoby się nam to wydawać.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że mówił o nas jak o rzeczach.

Serephina uśmiechnęła się.

- Przejmę twoje interesy, twoje fundusze, twoje terytoria i twoich ludzi, zanim jeszcze ta noc dobiegnie końca. Czy Rada naprawdę myśli, że zadowolę się okruchami z twojego stołu?

Jeżeli oficjalnie rzuci mu wyzwanie, wszyscy byliśmy już martwi. Jean - Claude nie miał szans w starciu z nią, ja również. Dywersja, oto czego potrzebowaliśmy.

- Masz na sobie dość diamentów, aby założyć własny interes i kupić sobie własny dom.

Spojrzała na mnie gorejącymi oczami, a ja pożałowałam, że nie zdołałam utrzymać języka za zębami.

- Sądziś, że mieszkam w tym domu, bo nie stać mnie na nic lepszego?

- Nie wiem.

Podpłynęła w kierunku swego tronu i rozsiadła się na nim, wygładzając suknię.

- Nie ufam waszym ludzkim prawom. Pozostanę w ukryciu, tak jak większość z nas czyniła przez stulecia. Niechaj inni stąpają w świetle jupiterów. Gdy po nowomyślicielach nie pozostanie już żaden ślad, wyjdę z cienia. - Nagle machnęła ręką.

Jean - Claude zachwiał się. Z jego twarzy trysnęła krew, zachlapując białą koszulę i surdut strugą szkarłatu. Czerwone krople prysnęły także na moje włosy i policzek.

Znowu machnęła ręką i na jego twarzy z drugiej strony pojawiło się głębokie rozcięcie, a krew Jean - Claude'a bryzgnęła na Jasona.

Jean - Claude utrzymał się na nogach. Nawet nie krzyknął. Nie dotknął zranionych miejsc. Stał w całkowitym bezruchu, tylko krew wypływała z jego ran. Oczy wyglądały jak bezdenne szafirowe sadzawki malujące się pośród okrwawionego, beznamiętnego jak maska oblicza.

Obnażony mięsień w policzku drgnął spazmatycznie. Błysnęła kość żuchwy. To była przerażająco głęboka rana. Wiedziałam jednak, że mógł ją uleczyć. Choć wyglądała przerażająco, była to tylko taktyka zastraszania. Wciąż powtarzałam to swemu bijącemu jak szalone sercu. Chciałam sięgnąć po broń i rozwalić tę sukę. Nie mogłam jednak zastrzelić ich wszystkich. Nie byłam nawet pewna, czy Janosa można było zastrzelić.

- Nie muszę cię zabijać, Jean - Claude. Wystarczy wrazić rozpalony metal w twoje rany, a staną się nie do zaleczenia. Twoje piękne oblicze zostanie zeszepeczone na zawsze. Będiesz mógł wciąż udawać Mistrza Miasta, ale to ja będę rządzić. Ty staniesz się jedynie moją marionetką. - Powiedz słowo, Serephino - rzucił Jean - Claude. - Powiedz to i skończ z tymi gierkami. - Głos miał matowy, prawie normalny. Nie zdradzał niczego, bólu, strachu ani zgrozy.

- Wyzwanie - czy to jest słowo, które pragniesz usłyszeć, Jean - Claude?

- Właśnie. - Jego moc przepłynęła po mojej skórze jak chłodny ogień. Buchnęła nagle, poczułam, jak przetacza się przeze mnie niczym wielka pięść. Walnęła w Serephinę, przecinając powietrze. Kissa znalazła się w polu rażenia i runęła w tył, na poduszki rozłożone za tronem.

Serephina odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się. Śmiech ucichł jak ucięty nożem, jakby go nigdy nie było. Jej oblicze wyglądało jak maska z oczyma wypełnionymi białym ogniem. Skóra bladła coraz bardziej, bieląła, przybierając odcień przezroczystego marmuru. Żyłki zarysowały się pod skórą jak smugi błękitnego ognia. Jej moc przelała się przez pokój jak wzbierająca woda, coraz głębsza i głębsza, tak głęboka, że gdyby jej nie uwolniła, ani chybi byśmy się w niej potopili.

- Gdzie twoje duchy, Serephino? - spytałam.

Przez chwilę, sądziłam, że mnie zignoruje, ale ta przypominająca maskę twarz odwróciła się

wolno, bardzo wolno, w moją stronę.

- Gdzie twoje duchy?

Mimo iż na mnie patrzyła, nie byłam pewna, czy usłyszała. Zupełnie jakbym usiłowała przejrzeć oblicze zwierzęcia, nie, raczej posągu. Pustka.

- Nie potrafisz kontrolować Trupiogłowego i swoich duchów równocześnie, prawda? Mam rację? Musiałaś z czegoś zrezygnować?

Serephina podniosła się, a ja wiedziałam, że użyła swej mocy, by wznieść się ponad poduszki. Unosiła się powoli coraz wyżej, ku sufitowi, to było niesamowite. Grałam na czas, ale po co? Co chciałam w ten sposób osiągnąć? Co, u licha, mogliśmy zrobić w tej sytuacji? W mojej głowie rozległo się echo głosu:

- Krzyżyki, *ma petite*, nie musisz dla mnie cierpieć.

Nie wahałam się ani nie próbowałam się z nim spierać.

Krzyżyk wyjęty spod mojej bluzki rozpalił się oślepiającym blaskiem. Zmrużyłam oczy i odwróciłam wzrok, po to tylko, by ujrzeć błysk krzyżyka Larry'ego.

Jean - Claude skulił się obok mnie, zgarbiony osłonił oczy przedramieniem. Serephina wrzasnęła i nieomal runęła na podłogę. Mogła stać w obliczu krzyża, ale nie mogła wyprawiać przy nim swoich sztuczek. Wylądowała niezgrabnie, ale zaraz się pozbierała. Pozostałe wampiry syczały, osłaniając twarze.

Magnus wstał z poduszek. Ruszył w naszą stronę. Jason stanął przed Jean - Claude'em, przesuając się, by osłonić mnie swoim ciałem. Spojrzał na mnie bursztynowymi oczami. Siedząca w nim bestia spoglądała na mnie bez lęku poprzez poświatę bijącą z relikwii. Przez krótką chwilę ucieszyłam się, że zabrałam ze sobą zarówno srebrne, jak i zwykle naboje.

Serephiną powiedziała:

- Nie, Magnusie. Nie ty.

Magnus zawahał się i spojrzał na Jasona. Z gardła wilkołaka popłynął cichy warkot.

- Dam sobie z nim radę - rzucił Magnus.

Od strony otwartych drzwi piwnicy dobiegł jakiś dźwięk. Coś wchodziło po schodach. Coś ciężkiego. Schody zaskrzypiały w proteście. Z mroku wychynęła dłoń, tak duża, że palce mogłyby objąć całą moją głowę. Paznokcie były długie, brudne i zakrzywione jak szpony. Potężne bary były okryte łachmanami. Stwór miał ponad trzy metry wzrostu. Przechylił się w bok, aby przejść przez drzwi, a gdy się wyprostował, głową dotykał sufitu. Nie było sensu oszukiwać się, że mieliśmy do czynienia z człowiekiem.

Na ogromnej, niekształtnej głowie nie było ani kawałka skóry. Pokrywające ją tkanki były czerwone i wilgotne jak otwarta rana. Żyłki pulsowały od krwi, która w nich płynęła, ale krew nie wypływała na zewnątrz. Stwór otworzył paszczę pełną połamanych, żółtych zębów i powiedział:

- Oto jestem. Zdumiałam się, słysząc słowa wypływające z tych upiornych ust. Głos miał pusty, odległy, jakby dochodził z dna studni. Głęboki, ochryply i zagubiony.

Pokój nagle zrobił się mały. Król Trupiołowy mógł w każdej chwili wyciągnąć rękę i dotknąć mnie. Niedobrze. Jason cofnął się o krok, aby zrównać się z nami. Magnus stanął u boku Serephiny. Spoglądał na istotę z równym zdziwieniem jak my wszyscy. Czyżby nigdy nie widział tej istoty w jej pełnej krasie?

- Podejdź do mnie - powiedziała Serephina Wyciągnęła do stwora rękę, a ten ze zdumiewającą płynnością i gracją wypełnił polecenie. Ta płynność wydawała się cokolwiek nie na miejscu. Coś tak wielkiego i szpetnego nie powinno poruszać się jak żywe srebro, a jednak tak właśnie było. W ruchu tym dostrzegłam Magnusa i Dorrie. To poruszało się jak coś pięknego.

Serephina ujęła jego wielką brudną dłoń w swoje drobne dłonie. Podwinęła postrzępiony, złachmaniony rękaw, obnażając gruby, muskularny nadgarstek.

- Powstrzymaj ją, *ma petite*.

Spojrzałam na Jean - Claude'a, który wciąż osłaniał się przed ogniem krzyży.

- Co takiego?

- Jeśli nasyci się jego krwią krzyże mogą okazać się niewystarczającą bronią przeciwko niej.

Nie zakwestionowałam jego słów, nie było czasu. Dobyłam browninga. Larry także sięgnął po broń.

Serephina nachyliła się nad przegubem fairie, rozdziawiając usta, błysnęły wilgotne kły.

Nacisnęłam spust. Kula trafiła ją w bok głowy. Impet obrócił ją, buchnęła krew. Można było ją zranić. To dobrze.

Janos rzucił się, by osłonić ją własnym ciałem. Równie dobrze mogłabym strzelać do Supermana. Pociągnęłam dwukrotnie za spust, wpatrując się w jego martwe oblicze z odległości metra. Uśmiechnął się do mnie. Srebrne kule to na niego za mało.

Larry wyminął Jean - Claude'a. Strzelał do Pallas i Bettiny. One jednak wciąż sunęły naprzód. Kissa nadal leżała na podłodze. Ellie w obliczu krzyży wydawała się jak sparaliżowana. Król Trupiołowy stał w bezruchu, jakby czekał na rozkazy albo jakby niczym się nie przejmował. Patrzył na Magnusa dziwnym wzrokiem. Wydawało się, że go rozpoznał. To nie było przyjazne spojrzenie.

Zza osłony ciała Janosa dobiegł głos Serephiny:

- Daj mi rękę.

Fairie wyszczerzył zęby.

- Wkrótce będę wolny i będę mógł cię zabić. - Mówiąc to, istota patrzyła na Magnusa.

Nie chciałam, aby stwór wielkości sporej szafy rozzłościł się na mnie, ale nie chciałam również, aby Serephina zyskała jego moc. Strzeliłam w tę pozbawioną skóry głowę. Równie dobrze mogłabym na nią splunąć. Stwór spojrział na mnie z ukosa.

- Nie szukam z tobą zwady - rzekł fairie. - Nie prowokuj mnie.

Patrząc na ten monstrualny czerep, wcale nie miałam na to ochoty. Cóż jednak mogłam począć?

- Co zrobimy? - spytał Larry.

Podszedł, stając niemal plecy w plecy ze mną. Bettina i Pallas zatrzymały się nieco poza zasięgiem ramion, porażone mocą krzyżyków, a nie pistoletu. Jean - Claude osunął się na klęczki, schylając głowę, by osłonić się przed blaskiem krzyżyków, ale nie odpełził od nas. Pozostawał w ochronnym zasięgu światła.

Srebrna kule nie mogą zranić fairie, więc... Wdusiłam przycisk w browningu i wyjęłam magazynek. Dobyłam zapasowy z kieszeni i przeładowałam. Wycelowałam w pierś stwora, gdzie, jak miałam nadzieję, powinno znajdować się serce. Pociągnęłam za spust.

Trupiołowy zawył. Na jego łachmanach pojawiła się krew. Wiedziałam, kiedy stwór poczuł ukąszenie Serephiny. Moc zawirowała w pokoju, a wszystkie włosy na moim ciele stanęły dęba. Przez mgnienie oka nie mogłam oddychać. W pokoju było zbyt wiele magii, by można było wykonywać tak prozaiczną czynność jak oddychanie.

Serephina podniosła się powoli zza ciemnej postaci Janosa. Uniosła się ku sufitowi, skąpana w blasku krzyżyków, uśmiechnięta. Rana po kuli w jej głowie już się zagoiła. Z jej oczu trysnęły białe płomienie, otaczając jej twarz i wiedziałam, że nasze chwile są już policzone. Wszyscy umrzemy.

W drzwiach piwnicy pojawił się Xavier. Trzymał w dłoniach potężny miecz. Spojrział na Serephinę i uśmiechnął się.

- Pożywiłaś się mną - rzekł Trupiołowy. - Uwolnij mnie.

Serephina uniosła obie ręce w górę, dotykając palcami sufitu.

- Nie - wyszeptała. - Nigdy. Odsącę cię do cna i będę pławić się w twojej mocy.

- Obiecałaś - przypomniał Trupiołowy.

Spojrzała na niego, unosząc się w powietrzu, jej gorejące oczy znajdowały się na tej samej wysokości co jego.

- Skłamałam - odparła.

Xavier krzyknął:

- Nie! - Próbował podejść bliżej, ale nie pozwoliły mu na to krzyżyki.

Cisnęłam garść soli w Serephinę i Trupiołowego. Roześmiała się.

- Co robisz, Nina?

- Nigdy nie łam słowa danego fairie - powiedziałam. - To przekreśla wszelkie układy.

W dłoniach Trupiołowego pojawił się miecz, zupełnie jakby istota wyczarowała go z powietrza. Był to oręż, który miał przy sobie Xavier w domu Quinlanów. Ile może być mieczy mierzących tyle co ja? Wbił ostrze w pierś Serephiny, przebijając ją na wylot jak motyla. Zwykła stal nie mogłaby wyrządzić jej szkody, ale taka, którą obłożono zaklęciami fairie, owszem. Przybił ją do ściany tak mocno, że rękojeść miecza dotknęła jej piersi. Następnie wyszarpnął ostrze, przekraczając je w ranie, by obrażenia były możliwie jak najbardziej dotkliwe.

Serephina zawyla i osunęła się na podłogę, pozostawiając na ścianie rozmazaną smugę krwi.

Trupiołowy odwrócił się do nas. Dotknął palcami krwawiącej piersi.

- Wybaczę ci to, co uczyniłaś, gdyż dzięki tej ranie uwolniłaś mnie. Kiedy on umrze, nie będzie więcej ran.

Wbił miecz w ciało Magnusa. Ruch był tak szybki, że prawie niedostrzegalny. Stwór był równie szybki jak Xavier. Cholera.

Magnus upadł na kolana, jego usta rozwarły się w bezgłośnym krzyku. Trupiołowy pociągnął mieczem w górę, jak w przypadku Serephiny i to przypomniało mi obrażenia na ciałach chłopców.

Jeżeli Trupiołowy pomoże nam w ucieczce przed Serephiną i jej wesołą gromadką to świetnie, ale co potem?

Stwór wyszarpnął miecz. Magnus wciąż żył i patrzył na mnie. Wyciągnął do mnie rękę, a ja mogłam spokojnie patrzeć, jak umiera. Mogłam pozwolić mu umrzeć. Trupiołowy zamachnął się do ostatniego ciosu.

Wycelowałam w niego browninga.

- Nie ruszaj się. Dopóki go nie zabijesz, jesteś śmiertelny i kule mogą cię zabić.

Fairie zastygł w bezruchu, gapiąc się na mnie.

- Czego chcesz, śmiertelniczko?

- To ty zabiłeś tych chłopców w lesie, prawda?

Trupiołowy zamrugał, patrząc na mnie.

- To były zepsute dzieci.

- Czy jeśli wyjdiesz stąd, będziesz zabijał kolejne zepsute dzieci?

Trupiołowy spojrzał na mnie, zamrugał i odrzekł:

- To właśnie robię. Oto czym jestem.

Strzeliłam bez namysłu. Gdyby stwór wcześniej się poruszył, byłoby po mnie. Kula trafiła go między oczy. Zatoczył się chwiejnie do tyłu, ale nie upadł.

- *Ma petite*, krzyżyki albo nie zdołam ci pomóc. - Głos Jean - Claude'a brzmiał jak ochryply szept.

Wsunęłam krzyżyk pod ubranie, a w chwilę potem to samo zrobił Larry. W pokoju nagle zrobiło się ciemniej i chłodniej, jedyne światło dawały teraz świece. Trupiołowy rzucił się naprzód jak rozmyta czarna plama. Nacisnęłam spust, ale nie wiedziałam, czy go trafiłam.

Miecz przeciął powietrze, sunąc mi na spotkanie i nagle w rękę dzierżącą oręż wpił się Jean - Claude, wytrącając stwora z równowagi. Larry stanął obok mnie i oboje wypaliliśmy w pierś bestii.

Trupiołowy strząsnął z siebie Jean - Claude'a, ciskając go na ścianę. Larry i ja staliśmy ramię w ramię, niewzruszeni. Ujrzałam srebrzysty błysk miecza i wiedziałam, że nie zdążę się uchylić.

Nagle przede mną pojawił się Xavier, jego dziwny miecz zablokował ostrze Trupiołowego. Stał zatrzymała się o kilka centymetrów od mojej twarzy. Na mieczu Xaviera, w miejscu gdzie zatrzymał oręż Trupiołowego, pojawiła się szczerba. Dziwny miecz śmignął w górę, zagłębiając się w torsie Trupiołowego. Fairie ryknął, tnąc na odlew, by dosięgnąć Xaviera, ale tamten znajdował się zbyt blisko, by mógł mu zagrozić wielki miecz giganta.

Trupiołowy osunął się na kolana. Xavier przekręcił miecz w ranie, jakby usiłował odnaleźć serce stwora. Następnie wyszarpnął ostrze. Buchnęła struga posoki. Fairie runął na brzuch z przeraźliwym wyciem. Próbował się jeszcze podnieść. Przyłożyłam mu lufę browninga do głowy i wystrzeliłam tak szybko, jak tylko mogłam. Z przyłożenia nie musiałam celować.

Larry stanął obok mnie i także wypalił. Opróżniliśmy w czerep stwora oba magazynki, a to coś wciąż żyło. Xavier wbił mu miecz w plecy, przyszpilając istotę do podłogi. Pierś stwora unosiła się i opadała, gdy ten rozpaczliwie walczył o kolejny oddech.

Wyjęłam firestara i wymieniłam magazynek na ten ze zwykłymi nabojami. Oddałam jeszcze trzy strzały i nagle czerep eksplodował w potężnym rozbryzgu krwi, kości i wilgotnych, gęstych strzępów ciała.

Kiedy to się stało, Xavier był na grzbiecie stwora. Staliśmy przy nim, ubabrani krwią i fragmentami mózgu. Xavier wyszarpnął miecz z pleców stwora. Ostrze było poszczerbione i wygięte wskutek uderzenia o kość. Staliśmy przy martwym gigancie zjednoczeni więzią, której nie sposób wyrazić słowami.

- To żelazne ostrze, zgadza się? - spytałam.

- Tak - odparł. Źrenice jego oczu były szkarłatne jak wiśnie, nie miały barwy krwi jak u albinosa, ale wydawały się jednolicie czerwone. Ludzie nie mają takich oczu.

- Jesteś fairie - powiedziałam.

- Nie wygłupiaj się. Przecież wszyscy wiedzą, że fairie nie mogą stać się wampirami.

Spojrzałam na niego i pokręciłam głową.

- Zaingerowałeś w zakłęcie Magnusa. Ty mu to zrobiłeś.

- Sam to sobie zrobił - odparł Xavier.

- Czy pomogłeś Trupiołowemu zabić te dzieciaki, czy tylko dałeś mu miecz?

- Nakarmiłem go swymi ofiarami, kiedy już mi się znudziły.

W firestarze miałam jeszcze osiem naboí. Może dostrzegł jakąś zmianę w wyrazie moich oczu.

- Ani ołów, ani srebro nic mi nie robią. Jestem odporny na jedno i drugie.

- Gdzie Jeff Quinlan?

- W piwnicy.

- Przyprowadź go.

- Nie sądzę. - I nagle znów usłyszałam jakiś dźwięk, gwałtowne poruszenie obok nas. Zahipnotyzował mnie na dłuższą chwilę, a wtedy wydarzyła się masa paskudnych rzeczy.

Jason leżał na dywanie, kaszląc krwią. Gdyby był człowiekiem, powiedziałabym, że umierał. Jako lykantrop mógł dożyć do świtu. Jedna z wampirzyc mocno go pokiereszowała. Nie wiem która. Jean - Claude leżał pod stertą wampirów złożonych z Ellie, Kissy, Bettiny i Pallas. Jego głos brzmiał jak grzmiący ryk, rozbrzmiewając gromkim echem wewnątrz pokoju. To było imponujące, ale nie dość imponujące.

- Nie rób tego, *ma petite*.

Janos z Larrym stali obok tronu. Larry miał ręce związane z tyłu sznurem od zasłon. Zakneblowano mu usta. Błada dłoń Janosa zaciskała się wokół szyi Larry'ego.

Serephina siedziała na tronie, z jej ciała wypływała czarna krew. Nigdy jeszcze nie widziałam, aby ktoś tak szybko tracił tyle krwi. Tors miała rozdarty tak mocno, że widać było szaleńczo bijące wewnątrz klatki piersiowej serce.

- Czego chcesz? - spytałam.

- Nie, *ma petite*. - Jean - Claude spróbował wstać, ale nie mógł. - To pułapka.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Ona chce ciebie, nekromantko - rzekł Janos.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Po co?

- Skradłaś jej krew nieśmiertelnego. Zajmiesz jego miejsce.

- Stwór nie był nieśmiertelny - odparłam. Udowodniliśmy to.

- Był potężny, nekromantko, podobnie jak ty. Ona wypije twoją krew i będzie żyć.

- A co ze mną?

- Będziesz żyć wiecznie, Anito. Czeka cię cała wieczność.

Odpuściłam ten tekst o „wieczności”. Wiedziałam co nieco na ten temat. Nie dałam się nabrać.

- Ona i tak weźmie ciebie, a jego zabije - powiedział Jean - Claude.

Zapewne miał rację, ale cóż mogłam uczynić?

- Puściła tamte dziewczyny.

- Nie wiesz tego na pewno, *ma petite*. Widziałaś je żywe?

Miał rację.

- Nekromantko. - Głos Janosa sprawił, że znów skupiłam uwagę na nim.

Serephina leżała rozciągnięta na tronie. Jej biała suknia była cała we krwi i wydawała się teraz czarna, przyklejona do jej szczupłego ciała.

- Podejź, nekromantko - powiedział Janos. - Pójdź albo twój śmiertelnik ucierpi.

Zaczęłam iść w jego stronę. Jean - Claude zawołał:

- Nie!

Janos machnął na odlew bladą pajęczą dłonią tuż nad ciałem Larry'ego. Niebieska koszulka Larry'ego została rozplątana, popłynęła krew. Knebel stłumił krzyk. Gdyby Janos go nie przytrzymał, upadłby na podłogę.

- Rzuć broń i podejdź do nas, nekromantko. Wyrzuć całą broń, jaką masz przy sobie.

- *Ma petite*, błagam, nie rób tego.

- Muszę, Jean - Claude. Przecież wiesz.

- Ona też to wie - odparł.

Spojrzałam na niego, bezradnego i przyszpilonego do podłogi ciężarem ciała wampirzyc. To powinno wyglądać absurdalnie, ale wcale takie nie było.

- Ona wcale nie chce cię dla siebie. Nie chce, abym to ja cię miał. Chce mi ciebie odebrać.

- Tym razem to ja zaprosiłam cię na tę imprezę, pamiętasz? - powiedziałam. - Więc pozwól mi się zabawić.

Podeszłam do Janosa. Staralam się nie patrzeć na to co było za nim, nie widzieć, do czego jeszcze się zbliżałam.

- Nie rób tego, *ma petite*. Ona uznała w tobie mistrzynię. Nie może wziąć cię siłą. Musisz wyrazić zgodę. Odmów.

Pokręciłam głową i pomaszero wałam dalej.

- Najpierw broń, nekromantko - rzekł Janos.

Położyłam oba pistolety na podłodze.

Larry wściekle kręcił głową. Burczał coś przez knebel. Zaczął się szamotać, osunął się na kolana, Janos musiał go puścić, aby go nie udusić.

- Teraz noże - powiedział Janos.

- Nie mam...

- Nie próbuj nas okłamywać. Nie tu i nie teraz.

Miał rację. Położyłam noże na podłodze.

Serce tłukło mi się w piersi, tak że prawie nie mogłam oddychać. Stałam przed Larrym. Spojrzałam mu w oczy. Wyjęłam mu knebel; był zrobiony z czyjegoś jedwabnego szala.

- Nie rób tego. Boże, Anito, nie rób tego. Nie dla mnie. Proszę!

Na jego koszulce pojawiły się świeże rozcięcia, znów trysnęła krew. Jęknął, ale nie krzyknął. Spojrzałam na Serephinę.

- Mówiłaś, że takie cięcia są skuteczne, jedynie gdy ktoś jest otoczony aurą mocy.

- On ją posiada - wyjaśnił Janos.

- Puść go. Puść ich wszystkich, a zrobię to, czego chcesz.

- Nie rób tego dla mnie, *ma petite*.

- Robię to dla Larry'ego. Dla całej reszty przy okazji.

Janos spojrzał na Serephinę. Osunęła się na bok, przymrużyła powieki.

- Chodź do mnie, Anito. Pozwól, bym dotknęła twojej ręki, a puszczę ich wszystkich, daję ci moje słowo, jak jedna mistrzyni drugiej.

- Nie, Anito! - Larry znów zaczął się szamotać. Nie próbował jednak uciec, lecz podążyć za mną.

Dłoń Janosa przecięła powietrze i rękaw kurtki Larry'ego został rozszarpany w rozbryzgu krwi. Larry krzyknął.

- Przestań! - krzyknęłam. - Przestań natychmiast. - Podeszłam do Janosa. - Ani mi się waż ponownie go tknąć - rzuciłam mu prosto w twarz, wlepiając wzrok w jego martwe oczy. Żadnej reakcji. Dłoń dotknęła mojego ramienia i drgnęłam z cichym jękiem. Pozwoliłam, by gniew skłonił mnie do zrobienia ostatnich kilku kroków. To co zamierzałam zrobić, było zbyt przerażające, abym mogła o tym myśleć.

Serephina zdjęła jedną rękawiczkę. Jej obnażona dłoń zacisnęła się na moim nadgarstku. Nie zrobiła tego zbyt mocno, nie sprawiła mi bólu. Ujrzałam jej dłoń i serce podeszło mi do gardła. Nie mogłam nic powiedzieć.

- Puść go - rzekła Serephina.

Kiedy tylko Janos uwolnił Larry'ego, ten spróbował podbiec do mnie. Janos machnął ręką na odlew, cios był tak silny, że zbił Larry'ego z nóg i odrzucił go kilka metrów do tyłu.

Stałam jak sparaliżowana, z jej dłonią zaciśniętą na przegubie. Przez jedną krótką chwilę sądziłam, że Larry zginął, zaraz jednak usłyszałam jego jęk, kiedy spróbował wstać.

Spojrzełam za plecy Larry'ego i odnalazłam spojrzenie Jean - Claude'a. Od lat miał na mnie chrapkę, a oto ja zamierzałam z własnej woli oddać się innej mistrzyni.

Serephina szarpnięciem zmusiła mnie, abym uklękła, ściskając moją rękę tak mocno, że omal nie pogruchotała mi kości. Ból skłonił mnie, abym spojrzała jej w oczy. Były brązowe, tak ciemne, że

prawie czarne. I uśmiechały się do mnie łagodnie. Poczułam zapach perfum mojej matki, zapach jej lakieru do włosów i skóry. Potrząsnęłam głową. To kłamstwo. To wszystko kłamstwo. Nie mogłam oddychać. Uklękła nade mną, a kiedy nachyliła się, to gęste, czarne włosy mojej matki musnęły mój policzek.

- Nie. To wszystko nieprawda!

- To może być prawda, jeśli tylko tego zechcesz, Nina. - Wejrzałam w te oczy i runęłam w ich głębię jak w otchłań mrocznego tunelu. Spadałam w kierunku płonącego gdzieś daleko, wątego ognia. Próbowałam go odnaleźć. Dosięgnąć go. Ten ogień ogrzeje moje ciało i serce. Stanie się dla mnie wszystkim. Nic innego nie będzie miało dla mnie znaczenia. Będzie dla mnie wszystkim.

Jakby z daleka, jak przez mgłę usłyszałam, jak Jean - Claude wykrzykuje moje imię. Było już jednak za późno. Jej ogień ogrzał mnie, sprawił, że poczułam się cała. Pełna. Ból to drobna cena za coś tak wspaniałego.

Czarny tunel otoczył mnie bez reszty i nie było już nic oprócz ciemności i błyszczących oczu Serephiny.

Śniłam. Byłam bardzo mała. Taka mała, że mieściłam się na podołku mojej matki i tylko moje stopy wystawały poza jej kolana. Gdy brała mnie w ramiona, czułam się tak bezpieczna, że miałam pewność, iż nic i nikt nie jest w stanie mnie skrzywdzić dopóty, dopóki jest przy mnie mama. Oparłam głowę na jej piersi. Słyszałam bicie jej serca. Silny, pewny rytm, którego pulsowanie przenikało przez skórę mojej twarzy coraz mocniej i coraz głębiej. Ten rytm narastał. Wypełniał moje uszy.

To właśnie ten dźwięk mnie obudził. Ale przecież tak naprawdę wcale się nie ocknęłam. Otaczała mnie ciemność tak nieprzenikniona, że odniosłam wrażenie, jakbym straciła wzrok. Leżałam w ramionach matki, w ciemnościach. Zasnęłam w łóżku rodziców. Byli obok mnie. Moja mama i tato. Słyszałam bicie serca mamy, ale było coś w tym rytmie, co mi się nie spodobało. Mama miała szmery w sercu. Rytm jej serca był ciut nierówny, spowalniał, jakby odrobinę się wahał, a potem następowały dwa szybkie uderzenia, gdy, zdawałoby się, próbował nadgonić tempa. Serce, które wyczuwałam przez skórę, biło regularnie jak w zegarku.

Próbowałam się podnieść, zsunąć się z niej i uderzyłam głową w coś twardego i nieustępliwego. Moje dłonie przesunęły się po ciele, do którego byłam przyszpilona. Dotknęłam satynowej sukni z wszytymi w nią szlifowanymi klejnotami. Leżałam w absolutnej ciemności i próbowałam się z niej ześlizgnie. Ułożyłam się w zagłębieniu jej ramienia. Jej naga skóra otarła się o moje gołe ramiona. Pulsowanie jej serca przepelniało ciemność, nawet gdy usilnie starałam się unikać z nią kontaktu.

Nasze ciała były jak stopione ze sobą. To nie była trumna dla dwojga.

Moje ciało złał zimny pot. Ciemność stała się nagle przeraźliwie gorąca, klaustrofobiczna. Nie mogłam oddychać. Próbowałam przewrócić się na plecy. Stoczyć się z niej. Nie mogłam. Nie było miejsca.

Każdy mój wysiłek sprawiał, że jej wiotkie ciało podrygiwało bezwładnie. Nie czułam już zapachu perfum mojej mamy. Czułam woń starej krwi i ziemisty, dobrze mi znany odór. Zapach wampirów.

Krzyknęłam i spróbowałam podnieść się na rękach, aby zyskać choć trochę przestrzeni, aż wreszcie wieko uniosło się. Prostowałam ramiona coraz bardziej, napierając plecami na satynę i drewno. Wieko opadło z hukiem, a ja siedziałam na niej okrakiem z górną połową ciała wyprężoną w łuk.

Słabe światło podkreślało zmarszczki na jej twarzy. Staranny makijaż wyglądał nie na miejscu. Przypomniała teraz kiepsko umalowanego trupa. Wygramoliłam się z trumny, nieomal wypadając na podłogę.

Trumna Serephiny stała na podeście w Trupiej Głównie. Ellie leżała zwinięta w kłębek pod

ścianą. Ominęłam ją szerokim łukiem, spodziewając się, że lada chwila schwyci mnie za kostki, ale ona nie poruszyła się. Nawet nie oddychała. Zmarła niedawno i po wschodzie słońca była zwyczajną nieboszczką.

Serephina także nie oddychała, ale jej serce biło, jakby żyła. Dlaczego? Aby zapewnić mi ukojenie? Przez mój dotyk? Nie wiedziałam. Jeśli wyjdę z tego, zapytam Jean - Claude'a. O ile jeszcze żył. Jeżeli dotrzymała słowa.

Janos leżał pośrodku podłogi na wznak, z dłońmi złożonymi na piersiach. Bettina i Pallas tuliły się do niego z dwóch stron. Na podłodze leżała trumna. Nie wiedziałam, która jest godzina. Mogłam się założyć, że Serephina nie musiała przesypiać całego dnia. Ale wydostanę się stąd. Muszę.

- Mówiłem jej, że nie będziesz spać cały dzień.

Głos sprawił, że odwróciłam się gwałtownie. Magnus stał za barem, opierając łokcie o kontuar. Wyprostował się nagle i przeciągnął. Miał na sobie koszulę od smokingu. Była jasnozielona i podkreślała barwę jego oczu.

- Przestraszyłeś mnie - powiedziałam.

Zwinnie przeskoczył nad barem i wylądował miękko jak kot na ugiętych nogach.

- Nie sądziłem, że jesteś taka strachliwa.

Cofnęłam się o krok.

- Szybko doszedłeś do siebie.

- Piłem krew nieśmiertelnego. To pomaga. - Spojrzał na mnie z nieprzyjemnym błyskiem w oku.

- Co się z tobą dzieje, Magnusie?

Odgarnął długie włosy. Odchylił kołnierzyk koszuli, odrywając przy tym dwa guziki. Na gładkiej skórze jego szyi dostrzegłam świeży ślad po ugryzieniu.

Cofnęłam się o jeszcze jeden krok w stronę drzwi.

- No i co z tego? - Przesunęłam dłonią po szyi i na niej także odnalazłam ślady kłów. - Oboje mamy takie same i co z tego?

- Zabroniła mi pić. Powiedziała, że prześpisz cały dzień. Że dopilnuje, abyś przespała cały dzień, ale chyba cię nie doceniła.

Zrobiłam kolejny krok w stronę drzwi.

- Nie rób tego, Anito.

- Dlaczego nie? - Obawiałam się, że znam już odpowiedź.

- Serephina kazała mi zatrzymać cię tu, dopóki się nie obudzi. - Spojrzał na mnie ze smutkiem w oczach. - Usiądź. Zrobię coś do jedzenia.

- Nie, dziękuję.

- Nie uciekaj, Anito. Nie zmuszaj mnie, abym cię skrzywdził.

- Kto jest w drugiej trumnie? - spytałam.

To pytanie chyba go zaskoczyło. Puścił włosy, przesłaniając nimi ranę na szyi. Koszula na jego piersiach rozchyliła się. Nie zwracałam wcześniej takiej uwagi na jego tors albo to, jak włosy opadają mu na ramiona. Chyba maść przestawała działać.

- Przestań, Magnusie.

- Co mam przestać?

- Twoje uroki na mnie nie działają.

- Urok będzie dla ciebie przyjemną alternatywa - powiedział.

- Kto jest w trumnie?

- Xavier i chłopak.

Pognałam w stronę drzwi. Nagle znalazł się tuż za mną, był niewiarygodnie szybki, ale widziałam szybszych. Większość z nich jakimś trafem już nie żyła. Nie próbowałam otworzyć drzwi. Rzuciłam się na niego i to go zaskoczyło. Wykonałam niemal podręcznikowy przerzut przez bark. Próbowałam rzucić nim tak, aby wbić go w podłogę.

Przez chwilę leżał oszołomiony. Szarpnięciem otworzyłam drzwi. Promienie wiosennego słońca wpadły do pomieszczenia i dosięgły Janosa oraz kobiet. Janos odwrócił głowę. Nie czekałam, aby zobaczyć więcej. Pobiełam.

Słyszałam krzyki za sobą, a następnie trzask zamykanych drzwi, ale nie obejrzałam się. Wypadłam na żwirowy parking, biegnąc ile sił w nogach. Usłyszałam za sobą jego kroki. Wiedziałałam, że nie zdołam go prześcignąć. Oczekałam do ostatniej chwili, przystanąłam i kopnęłam go. Przewidział mój ruch i uchylił się, równocześnie podbijając mi drugą nogę. Oboje runęliśmy na ziemię. Cisnęłam mu w twarz garść żwiru, a on rąbnął mnie pięścią w szczękę. Po naprawdę mocnym ciosie następuje krótka chwila, kiedy cały świat wokół ciebie zamiera. To chwila szoku, paraliżu, w której możesz co najwyżej zamrużyć powiekami. Ujrzałam nad sobą twarz Magnusa. Nie zapytał, czy nic mi się nie stało, chodziło mu o to, aby mnie zatrzymać. Dopiął swego. Podniósł mnie i przerzucił przez ramię. Gdy odzyskałam siły, mogłam już co najwyżej popatrzeć na ziemię z wysokości barków Magnusa.

Przesunęłam dłońmi po jego plecach, zamierzając walnąć go oburącz w kark. Zamachnęłam się, ale nim zdążyłam zrobić coś więcej, otworzył kopniakiem drzwi i cisnął mnie jak worek kartofli na podłogę. Oparł się o drzwi i zamknął je na zasuwkę.

- Musiałaś zmusić mnie do użycia siły, prawda?

Podniosłam się i zaczęłam wycofywać, zbliżając się tym samym do wampirów. To nie był dobry pomysł. Ruszyłam wolno w stronę baru. Tam musiało być drugie wyjście.

- Nie potrafię poddać się bez walki, Magnusie.

Wziął głęboki oddech i odstąpił od drzwi.

- W takim razie czeka nas oboje długi dzień.

Oparłam dłoń na gładkim drewnie kontuaru.

- Owszem - powiedziałam.

Tuż obok leżała przecięta na pół cytryna i nóż. Wbiłam wzrok w Magnusa, starając się usilnie nie zerknąć ponownie w tamtą stronę. Nie chciałam, aby zwrócił na niego uwagę. To nie takie proste, jak może się wydawać.

Spojrzał na nóż. Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie rób tego, Anito.

Oparłam dłonie o kontuar i wskoczyłam na blat. Usłyszałam jego kroki, ale nie odwróciłam się. Nigdy się nie odwracaj, wtedy ścigający zyska przewagę. Chwyciłam nóż i równocześnie przetoczyłam się po kontuarze. Twarz Magnusa zbyt szybko ukazała się za barem. Nie byłam na to gotowa. Mogłam jedynie spojrzeć na niego, ściskając nóż w dłoni. Gdyby był odrobinę wolniejszy, pchnęłabym go w gardło, w każdym razie taki miałam plan.

Magnus przykucnął na kontuarze, wpatrując się we mnie. Jego oczy barwy akwamaryny błyszcząły. Wirowały w nich iskierki i kolory, odbijały się rzeczy, których nie było. Spoglądał na mnie z góry, kołysząc się lekko na palcach i jedną ręką podpierając się dla równowagi o kontuar. Włosy opadły mu do przodu, przesłaniając twarz. Znów stawał się dziki jak wtedy, na pagórku. Ale tym razem nie zamierzał zgrywać porządnego faceta. Spodziewałam się, że rzuci się na mnie, ale nie zrobił tego. Nie zamierzał ze mną walczyć, chciał jedynie uniemożliwić mi ucieczkę. Miał mnie tu zatrzymać.

Spojrzałam na to, co stało pod barem. Butelki z alkoholem, czyste szklanki, kubek z lodem, czyste ścierki, serwetki. Nic z tego nie mogło mi się przydać. Cholera. Podniosłam się powoli, opierając się plecami o ścianę, aby znaleźć się możliwie jak najdalej od Magnusa. Zaczęłam centymetr po centymetrze przesuwać się w kierunku drzwi. Magnus naśladował moje ruchy, z gracją prześlizgując się po gładkim kontuarze.

Był szybszy i silniejszy ode mnie, ale ja miałam broń. Nóż był dobrej jakości, przeznaczony co prawda do krojenia produktów spożywczych, a nie ludzi, ale nóż to nóż. Nada się. Zmusiłam się, by nie ścisnąć zbyt mocno trzonka. Musiałam się rozluźnić. Opanować. Wydostać się stąd. Zerknęłam w stronę otwartej trumny Serephiny. Wydawało mi się, że zaczęła oddychać.

Magnus skoczył na mnie. Uderzył we mnie całym ciałem, a ja pchnęłam go nożem w brzuch. Stęknął, a ciężar jego ciała przygniótł mnie do podłogi. Wbiłam nóż po rękojeść. Jego dłoń zacisnęła się na mojej i stoczył się ze mnie, wrywając mi nóż. Wypełzłam zza kontuaru na czworakach. Magnus już tam był i szarpnięciem postawił mnie na nogi. Użył tylko jednej ręki. Przód koszuli miał cały we krwi. Uniósł okrwawiony nóż przed moją twarzą.

- To bolało - powiedział. Przyłożył mi nóż do gardła. Poczułam, że moje serce zaczyna bić jak szalone. Magnus cofał się powoli, ciągnąc mnie za sobą.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

- Zobaczysz - odpowiedział. Nie spodobało mi się to.

Zahaczył stopami o ciało Ellie. Gdybym spojrzała za jego plecy, mogłabym zobaczyć trumnę Serephiny. Trudno poruszać głowę, gdy ktoś przykłada ci nóż do gardła. Pociągnął mnie za rękę, a ja stawiałam mu opór. Odchyliłam się do tyłu, miałam świadomość noża przyłożonego do mojej szyi, ale bardziej niż ostrza obawiałam się Serephiny.

- Chodź, Anito.

- Najpierw powiedz mi, co chcesz zrobić - powiedziałam, spoglądając nerwowo na nóż na gardle.

Ellie leżała nieruchoma, martwa u naszych stóp. Krew Magnusa skapnęła na jej puste oblicze. Gdyby to był ktoś inny, mógłby zlizać krew nawet przez sen, ale Ellie była prawdziwym trupem. Jako ożywieniec była wciąż pusta, oczekując na odbudowę jej „osobowości”, o ile to w ogóle kiedykolwiek nastąpi. Widziałam wampiry, które nigdy nie doszły do siebie. Nigdy nie stały się istotami podobnymi do ludzi, którymi kiedyś byli.

- Zamknę cię w trumnie i zapieczętuję ją do czasu, aż Serephina się obudzi.

- Nie - odparłam.

Magnus ścisnął mnie za ramię, jakby próbował wyczuć kość. Nawet jeśli nic mi nie złamał, to na pewno zrobił mi nielicznego siniaka.

- Mogę ci sprawić ból, Anito, na wiele różnych sposobów. Wejdz do środka.

- Nic, co mógłbyś mi zrobić, nie przeraża mnie tak jak perspektywa powrotu do tej trumny. - Musiał zrozumieć, że z pomocą noża nic już nie osiągnie, chyba że naprawdę chciałby mnie zabić. Odsunął ostrze od mojej szyi, abym sama nie poderżnęła sobie gardła.

Spojrzałam na niego z odległości niespełna pół metra i ujrzałam w jego oczach coś, czego wcześniej nie zauważyłam. Był przerażony.

- Król Trupiołowy zginął, ponieważ podzieliłeś się z nim swoją śmiertelnością. Czy wcześniej trudniej byłoby cię zabić, Magnusie? Nie masz już od kogo czerpać nieśmiertelności, prawda? To cię boli?

- Nie wymądrzaj się. To może ci zaszkodzić - rzucił półgłosem.

Uśmiechnęłam się.

- Jesteś śmiertelnikiem, jak my wszyscy. Mój ty biedaku.

Uśmiechnął się, błyskając zębami.

- Nadal jestem w stanie wytrzymać więcej niż ty.

- Gdybyś naprawdę w to wierzył, nie próbowałbyś na powrót zamknąć mnie w trumnie.

Jego dłoń przecięła powietrze z niemal wampirzą prędkością. Trafił mnie w ramię i dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że mnie chlasnął. Z rany popłynęła krew. Szkarłatna strużka spłynęła po mojej ręce. Zmienił chwyt, ujmując mnie za nadgarstek zamiast za ramię, szybciej, niż zdążyłam się zorientować.

Patrzyłam, jak krew spływa w stronę mojego łokcia. Rana nie była duża, może nawet nie pozostanie mi blizna. A gdyby nawet, to była moja lewa ręka. Jedna blizna więcej, jedna mniej, co za różnica?

- Nie mogłeś skaleczyć mnie w prawą rękę. Mam na niej znacznie mniej blizn.

Wykonał szybkie, pionowe cięcie i rozplatał moje prawe ramię od barku niemal po łokieć.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, pani.

Skaleczenie było bolesne i głębsze niż poprzednie. Że też nie potrafię trzymać języka za zębami. Krew cienką strużką spłynęła po moim ramieniu. Krople ściekające z lewej ręki zadrżały przy moim łokciu i z miękkim plaśnięciem spadły na policzek Ellie. Krew spłynęła po jej skórze do ust. Poczułam chłodny dreszcz wywołany magiczną emanacją. Wstrzymałam oddech. Poczułam to. Poczułam ciało leżące u naszych stóp.

Był dzień. Nie powinnam była ożywić zombi, a co dopiero wampira. To było niemożliwe, a jednak czułam jej ciało i czułam magię. Wiedziałam, że gdybym tylko zechciała, mogłabym nad nim zapanować. Przywołać je. Byłoby moje. Chciałam tego.

- Co się stało? - Magnus szarpnął mnie za rękę, zmuszając, abym na niego spojrzała. Patrzyłam na wampirzycę. Nie chciałam, ale to się stało niespodziewanie.

Czułam obecność magii, była tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Tylko jak miałam ją przywołać? No jak? Uśmiechnęłam się do Magnusa.

- Zamierzasz mnie tak kroić, dopóki nie wrócę do trumny?

- Być może.

- Musiałbyś mnie zabić, Magnusie, bo póki żyję, nie wejdę tam. Nie ma mowy. A Serephina nie chce mojej śmierci. - Postąpiłam krok w jego stronę. Zaczął się cofać, ale zmusił się, by tego nie zrobić. Nasze ciała prawie się zetknęły. Doskonale. Wsunęłam dłoń pod jego koszulę, dotykając nagiego ciała. Oczy Magnusa rozszerzyły się.

- Co ty kombinujesz?

Uśmiechnęłam się i przesunęłam dłonią po śladzie świeżej krwi w górę, do rany. Musnęłam brzegi rany, a on jęknął cicho, jakby z bólu. Otarłam rękę o jego skórę, rozsmarowując krew po jego ciele.

- Widziałeś miejsce zbrodni, kiedy mnie dotknąłeś, a mimo to nadal chciałeś się ze mną kochać, pamiętasz?

Wziął głęboki, drżący oddech i nerwowo wypuścił powietrze. Wyjęłam okrwawioną dłoń spod jego koszuli. Uniosłam rękę, aby mógł ją wyraźnie zobaczyć. Jego oddech stał się odrobinę szybszy. Uklękałam powoli, nie puścił mnie, nie odłożył noża, ale też nie próbował mnie zatrzymać. Rozmazałam krew na ustach Ellie. Magia rozbłysła, spłynęła iskrami po mojej skórze jak zimny ogień. Następnie przepłynęła w górę po mojej ręce do Magnusa.

- Cholera! - Magnus zamachnął się na mnie nożem.

Zablokowałam jego nadgarstek przedramieniem i poderwałam się z impetem. Uderzyłam w niego i wkładając w ten ruch całą siłę moich kolan, dźwignęłam go w górę. Zawisł na moich ramionach, ale wciąż miał nóż. Przerzuciłam go do tyłu. Upadł na Ellie.

Stałam nad nimi, dysząc ciężko.

- Powstań, Ellie.

Oczy wampirzycy otworzyły się szeroko. Magnus zaczął odsuwać się od niej.

- Złap go - powiedziałam.

Ellie oplótła go ramionami w pasie i przytrzymała. Dźgnął ją nożem. Krzyknęła. Boże, miej litość, ona krzyknęła. Zombi nie krzyczą.

Pobiegłam w stronę drzwi.

Magnus ruszył za mną, ciągnąc za sobą Ellie. Poruszał się szybciej, niż się spodziewałam, ale

nie dość szybko. Otworzyłam drzwi na oścież i do pomieszczenia wpłynęły oślepiające promienie słońca.

Ledwie przestąpiłam próg, gdy z tyłu za mną rozległy się wrzaski. Obejrzałam się za siebie, nie mogłam się temu oprzeć. Ellie płonęła. Magnus próbował uwolnić się z jej uścisku i był przeraźliwie. Nic jednak nie trzyma cię równie mocno jak umarli.

Wybiegłam na parking.

- Nina, nie odchodź.

Głos sprawił, że stanęłam jak wryta na skraju parkingu. Obejrzałam się do tyłu. Magnus przestąpił próg i wyszedł na żwirowy podjazd. Ellie płonęła silnym, białym ogniem. Paliły się także włosy i koszula Magnusa.

Krzyknęłam:

- Wracaj do środka, sukinsynu! - Ale ten sam głos, który niemal zmienił mnie w słup soli na parkingu, zmuszał go do wyjścia na zewnątrz, na słońce.

Głos rozległ się ponownie:

- Wróć do łóżka, Anito. Jesteś zmęczona. Musisz odpocząć.

Nagle poczułam się zmęczona, bardzo zmęczona. Czułam każdy siniak, każde zadrapanie. Ona sprawi, że poczuję się lepiej. Dotknie mnie swymi chłodnymi dłońmi i ukoji mój ból.

Magnus upadł na podjazd, wyjąc jak potępieniec. Wampirzyca wtapiała się w niego, spalając go żywcem. Słodki Jezu.

Magnus wyciągnął do mnie rękę. Krzyknął przeraźliwie:

- Pomóż mi!

Wampirzyca stapiała się z jego ciałem, jej ogień pożerał jego tkanki. Pobiegnęłam. Biegłam co sił w nogach, a w moich uszach rozbrzmiewał szept Serephiny:

- Niña, mama za tobą tęskni.

Zatrzymałam samochód na autostradzie. Byłam cała pokryta zakrzepłą krwią, posiniaczona, podrapana, a mimo to para starszuchów postanowiła mnie zabrać. Kto powiedział, że nie ma już dobrych Samarytan? Chcieli zawieźć mnie na policję. Nie zaproponowałam.

Mili policjanci tylko rzucili na mnie okiem i spytali, czy mają wezwać karetkę. Odparłam, że nie, ale mogą dać sygnał na pager agentowi Bradfordowi i powiadomić go, że chce się z nim skontaktować Anita Blake. Próbowali zawieźć mnie do szpitala, ale nie było na to czasu. Minęło już południe. Musieliśmy zacząć działać jeszcze przed zmierzchem. Poprosiłam policjantów, aby wysłali wóz patrolowy z dwoma funkcjonariuszami w celu dopilnowania, by nikt nie wywiózł trumien. Powiedziałam im, że na parkingu może być ranny mężczyzna i może potrzebować karetki, ale w żadnym wypadku nikomu nie wolno wchodzić do budynku.

Wszyscy kiwali głowami i zgadzali się ze mną. Większość glin w tym rejonie zeszłej nocy lub dziś rano odwiedziła dom Serephiny. Gliniarze powiedzieli, że Kirkland sprowadził policję do kryjówki wampirzycy po tym, jak mnie zabrali. Dopiero po chwili zorientowałam się, że Kirkland to Larry. Co oznaczało, że Serephina dotrzymała słowa i puściła ich. Na wieść o tym, że Larry żyje, poczułam tak wielką ulgę, że zmiękły mi kolana i ledwie utrzymałam się na nogach. W piwnicy domu Serephiny gliny odkryły ponad tuzin zakopanych ciał. Powinna była pogrzebać je w lesie. Być może przywoływała ich duchy. Nie wiedziałam. Nieważne. Grunt, że mieliśmy nakaz egzekucji i że gliny słuchały mnie dziś z uwagą.

Posadzono mnie za stołem w pokoju przesłuchań z kubkiem czarnej kawy tak gęstej, że można by kroić ją nożem i dano mi koc, abym się ogrzała. Cała się trzęsłam i nie mogłam tego opanować.

Zjawił się Bradford i usiadł naprzeciwko mnie. Spojrzał na mnie lekko rozszerzonymi oczami.

- Miejscowi mówią że odnalazła pani kryjówkę mistrzyni wampirów.

Zaśmiałam się, ale zabrzmiało to dość żałośnie. Prawie jak płacz.

- Nie powiedziałabym, że odnalazłam kryjówkę Serephiny. Raczej obudziłam się w mej. - Uniosłam kubek do ust i zatrzymałam go w połowie drogi. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że bałam się, iż porozlewam kawę po całym stole. Wzięłam głęboki oddech, wypuściłam powietrze i skupiłam się na wypiciu pierwszego łyka kawy. Skoncentrowałam się na prostej fizycznej czynności. Pomogło, trochę się uspokoiłam.

- Trzeba panią zawieźć do szpitala - powiedział Bradford.

- Chcę śmierci Serephiny.

- Mamy nakazy na nich wszystkich. Na wszystkie wampiry zamieszane w tę sprawę. Jak chce to pani zrobić?

- Spalcie je. Zablokujcie wszystkie wyjścia, poza frontowymi drzwiami. Jeżeli Magnus jest w środku, wyjdzie.

- Magnus Bouvier? - zapytał.

- Tak. - W sposobie, w jaki to powiedział, było coś, co mi się nie spodobało.

- Gliny znalazły na parkingu to, co z niego zostało. Wyglądał, jakby ktoś stopił jego ciało od pasa w dół. Wie pani coś może na ten temat? - zapytał, przyglądając mi się z wyężoną uwagą.

Upiłam ostrożnie kolejny łyk kawy i spojrzałam na niego niewzruszonym wzrokiem. Co miałam powiedzieć?

- Był kontrolowany przez wampiry. Miał zatrzymać mnie w barze do zmierzchu. Może został przez nie ukarany za niedopełnienie obowiązków. - Za to, co zrobiłam z Magnusem i Ellie, mogłam z łatwością zarobić karę śmierci. Nie zamierzałam spowiadać się z tego federalnym.

- Wampiry go ukarały? - zapytał.

- Tak.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową i zmienił temat.

- Czy wampiry nie spróbują ucieczki, gdy ogień zacznie się rozprzestrzeniać?

- Światło słoneczne lub ogień - odparłam. - Tak czy owak usmażą się na skwarce. Do nich będzie należeć tylko decyzja jak umrzeć. - Dopiłam kawę.

- Pani protegowany, pan Kirkland, powiedział, że uprowadzono panią z cmentarza. Potwierdza pani tę wersję?

- Tak się składa, że to prawda, agencie Bradford. - I faktycznie była to poniekąd prawda. Dobrze jest czasem pominąć to i owo.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Więcej pani zataja, niż ujawnia.

Patrzyłam na niego, aż przestał się uśmiechać.

- Prawda bywa bolesna, agencie Bradford, nieprawdaż?

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym skinął głową.

- Być może, panno Blake, być może.

Zadzwoiłam do hotelu, ale w pokoju Larry'ego nikt nie odebrał. Zatelefonowałam pod numer

mojego pokoju i Larry tam był. Na chwilę go zatkało, gdy usłyszał mój głos.

- Anito, o Boże, Anito, nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Zaraz po ciebie przyjadę.

- Jestem na komendzie, w mieście. Nic mi nie jest. W zasadzie. Przywieź mi rzeczy, żebym mogła się w coś przebrać. Moje ciuchy cuchną wampirami. Bierzemy się za Serephinę.

Kolejna chwila ciszy.

- Kiedy?

- Teraz. Dzisiaj.

- Zaraz będę.

- Larry?

- Przywiozę pistolety, noże i zapasowy krzyżyk.

- Dzięki.

- Nigdy jeszcze tak się nie cieszyłem, słysząc w słuchawce czyjś głos - powiedział.

- No jasne - mruknęłam. - Przyjedź jak najszybciej. Zaczekaj, Larry.

- Chcesz coś jeszcze? - spytał.

- Czy z Jean - Claudem i Jasonem wszystko w porządku?

- Tak. Jason jest w szpitalu, ale wyjdzie z tego. Jean - Claude śpi w sypialni. Kiedy Serephina cię ugryzła, potraktowała Jean - Claude'a jakiegoś rodzaju mocą, wiązką energii. Poczułem to, to było niesamowite. Pozbawiła go przytomności i poszła sobie. Pozostali odeszli razem z nią.

Wszyscy żyli, a w każdym razie mieli się w miarę dobrze. To było więcej, niż się spodziewałam.

- Doskonale, to na razie. - Odłożyłam słuchawkę i poczułam niesamowitą chęć, by wybuchnąć płaczem, ale zwalczyłam ją w sobie. Bałam się, że jeśli się rozryczę, już nie zdołam przestać. Nie mogłam sobie pozwolić na popadnięcie w histerię. Jeszcze nie teraz.

Dowodzenie operacją przejął agent Bradford. Agent specjalny Bradley Bradford, tak, Bradley Bradford, najwyraźniej wiedział, co robię. Nic tak nie czyni cię wiarygodnym w oczach innych jak zamach na twoje życie. Po raz pierwszy, mimo iż nie miałam blachy, nikt ze mną nie dyskutował. Cóż za miła odmiana.

Nie uściskałam Larry'ego, kiedy przywiózł mi ciuchy, to on uściskał mnie. Szybko się od niego odsunęłam, bo znów zaczęło zbierać mi się na płacz. Chciałam, by zamknął mnie w ramionach i

pozwoił, żebym się spokojnie wypłakała. Później będzie na to czas.

Nie mogłam się teraz rozkleić. Jeszcze nie.

Jego twarz, od zuchwy aż po skroń, zdobił pokaźny siniec. Wyglądał, jakby ktoś przywalił mu kijem baseballowym. Miał szczęście, że Janos nie złamał mu szczęki.

Larry przywiózł mi dzinsy, czerwoną koszulkę polo, skarpety frotte, moje białe najki, zapasowy krzyżyk z mojej walizki, srebrne noże, firestara wraz z kaburą wewnętrzną i browninga z kaburą podramienną. Zapomniał o biustonoszu, ale cóż, to jedno uchybienie mogłam mu wybaczyć. W sumie chłopak spisał się na medal. Pochewki na noże ocierały boleśnie moje podrapane ręce, ale dobrze było znów poczuć się uzbrojoną po zęby. Nie próbowałam ukrywać pistoletów. Gliny wiedziały, kim jestem, a z bandziorami nie zamierzałam się już patyczkować.

Zaledwie dwie godziny po tym, jak wypęzłam z trumny Serephiny, zajechaliśmy pod Trupią Główkę. Stały tam karetki i roiło się od gliniarzy. Byli tu miejscowi policjanci, gliny ze stanowej i federalni. Zatrzęsienie stróżów prawa. Do kompletu wóz strażacki z ekipą do zadań specjalnych. No i Larry i ja.

Po śmierci Magnusa, Serephiny i jej trzódki nikt już nie pilnował. Ale te wampiry na pewno nie były niegroźne ani bezradne. Nic z tego. Za żadne skarby nie weszłabym z własnej woli do tego budynku. Istniały wszelako inne rozwiązania.

Z tyłu budynku podjechała cysterna z benzyną. Rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Patrzyłam, jak obsługa wozu wsuwa szlauch przez wybitą szybę w tylnych drzwiach i odkręca zawór paliwa.

Stałam w ciepłych promieniach słońca, chłodny wiatr muskał moją skórę.

- Bodaj byś szeszła w piekle - wyszeptałam pod nosem.

- Mówiłaś coś? - spytał Larry.

Pokręciłam głową.

- Nic ważnego.

Szlauch zadrżał i ożył, w powietrzu rozeszła się ostra, słodkawa woń benzyny.

Poczułam, jak się budzi. Poczułam, jak otwiera oczy w ciemnościach. Poczułam w nozdrzach słodki zapach benzyny i moje dłonie dotknęły ścian trumny.

Zakryłam dłońmi oczy.

- O Boże.

Larry dotknął mojego ramienia.

- Co się stało?

Nie odrywałam rąk od twarzy.

- Zabierz mi broń, ale już.

- Co...

- Zrób to! - Opuściłam ręce i spojrzałam na niego. Ujrzałam jego twarz i Serephina także ją zobaczyła.

Wyszeptała:

- Zabij go.

Wyciągnęłam noże z pochewek i upuściłam na ziemię. Zaczęłam wycofywać się w stronę policjantów. Musiałam chwilowo otoczyć się ludźmi z bronią.

Głos w mojej głowie znów się odezwał:

- Anito, co robisz swojej matce? Przecież nie chcesz mnie skrzywdzić. Nina, pomóż mamusi.

- O Boże. - Pobiegnęłam i omal nie zderzyłam się z Bradfordem.

- Pomóż mi, Niña. Pomóż mi.

Zacisnęłam dłoń na kolbie browninga. Przycisnęłam pięści do boków.

- Bradford, odbierz mi broń. Natychmiast. Proszę.

Spojrzał na mnie zaskoczony, ale wyjął oba pistolety z kabur.

- Co się stało, Blake?

- Kajdanki, masz kajdanki?

- Tak.

Wyciągnęłam ku memu ręce.

- Skuj mnie. - Głos miałam napięty, gardło ściśnięte tak, że prawie nie mogłam oddychać. Poczułam zapach perfum Hypnotique, a na ustach smak szminki mojej mamy. Szczęknięty zamykane kajdanki. Odsunęłam się od niego, spojrzałam na kajdanki. Otworzyłam usta, aby powiedzieć: „Zdejmij je”, ale zdołałam się powstrzymać.

Poczułam łaskoczące mnie w twarz włosy matki.

- Czuję zapach perfum - odezwał się Larry.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Nie mogłam się poruszyć. Nie ufałam samej sobie. Wolałam nie robić nic.

- O Boże - powiedział Larry. - Będiesz czuła, jak ona płonie.

Tylko na niego patrzyłam.

- Co mogę zrobić?

- Pomóż mi. - Mój głos brzmiał jak szept.

- Co się z nią dzieje? - spytał Bradford.

- Serephina próbuje nakłonić Anitę, aby pomogła ją ocalić.

- Tam w środku jest przytomna wampirzyca? - zapytał.

- Tak - odpowiedziałam.

Serephina wydostała się z trumny. Jej szeroka suknia balowa otarła się o framugę drzwi wiodących do kuchni. Nie mogła podejść bliżej, gdyż przez okno wpadały do środka promienie słońca. Benzyna rozlewała się po podłodze, tworząc coraz większą, przesuwaną się w jej kierunku kałużę.

- Anito, pomóż mamusi.

- To kłamstwo - warknęłam.

- O czym ty mówisz? - spytał Bradford.

Pokręciłam głową.

- Anito, pomóż mi, nie chcesz przecież, żebym umarła. Nie chcesz, abym umarła, skoro możesz mnie uratować.

Osunęłam się na kolana, skutymi dłońmi orałam żwir na parkingu.

- Wyłączcie dopływ paliwa. Larry ukląkł obok mnie.

- Dlaczego?

Dobre pytanie. A Serephina miała na nie dobrą odpowiedź.

- Jeff Quinlan jest tam, w środku.

- Cholera - warknął Larry. Spojrzał na Bradforda. - Nie możemy spalić domu. W środku jest dzieciak.

- Zamknąć dopływ paliwa - rozkazał Bradford. Odszedł od nas w stronę ciężarówki, gestami dając znaki, aby zakręcono kurek.

I wtedy poczułam triumfalną radość Serephiny. To było kłamstwo. Xavier przeistoczył Jeffa ubiegłej nocy. W tym budynku nie było już żywych ludzi.

Ścisnęłam Larry'ego za ramię.

- Larry, to kłamstwo. Ona próbowała mnie okłamać. Kłamie przeze mnie. Zabierz mnie do radiowozu, ale już. I niech podpalą tę budę.

Spojrzał na mnie.

- Ale przecież Jeff...

- Nie kłóć się ze mną, tylko rób, co mówię! - wrzasnęłam, ukrywając twarz w dłoniach i usiłując zagłuszyć głos rozbrzmiewający pod czaszką.

Poczułam w ustach smak Hypnotique. Tego już było za wiele. Serephina była przerażona.

Larry przywołał Bradforda, po czym wspólnie z nim niemal zaniósł mnie do radiowozu. Zaczęłam stawiać opór, gdy wpychali mnie na tylne siedzenie, ale próbowałam nie szarpać się zbyt mocno i zdołali zamknąć drzwiczki. Znalazłam się w klatce ze szkła i metalu. Przełożyłam palce przez oka siatki na wprost mnie i zacisnęłam je aż do bólu. Ale nawet ból nie pomógł. Benzyna była wszędzie, wsączała się we wszystko. Serephina dławiła się nią.

- Nie rób tego, Nina. Nie krzywdź mamusi. Nie chcesz chyba znów mnie utracić.

Zaczęłam kołysać się w przód i w tył, wpijając palce w siatkę. W przód i w tył, w przód i w tył. Niedługo będzie po wszystkim. Już niedługo.

Poczułam na twarzy delikatne dotknięcie, wspomnienie tak realne, że sprawiło, iż odwróciłam się i zaczęłam kogoś szukać.

- Moja śmierć będzie równie realna, Anito.

Ktoś zapalił rozlane paliwo. Buchnęły płomienie, a ja krzyknęłam, zanim jeszcze ogień dosięgnął jej ciała. Walnęłam skutymi dłońmi w szybę i wrzasnęłam:

- Neeee!

Ogarnął ją żar, suknia zaczęła się marszczyć jak więdnący kwiat, a potem ogień zaczął pożerać jej ciało.

Tłukłam dłońmi w szybę, aż straciłam w nich czucie. Musiałam jej pomóc. Musiałam pójść do niej. Położyłam się na plecach i kopnęłam w szybę. Raz, drugi, trzeci. Kolejne uderzenia przenikały całe moje ciało gwałtownymi wstrząsami. Krzyknęłam i kopnęłam po raz kolejny, aż szyba się

rozprysła. Szkło posypało się na zewnątrz.

Zacząła wołać moje imię:

- Anito! Anito!

Wyślizgnęłam się do połowy z radiowozu, zanim ktoś spróbował mnie zatrzymać. Pozwoliłam, by ktoś chwycił mnie za ramię i wysunęłam obie nogi przez okno. Musiałam do niej dotrzeć, nic się więcej nie liczyło. Nic.

Upadłam na ziemię. Ktoś wciąż trzymał mnie za rękę. Przetoczyłam się, aby pozbyć się tego, kto mnie trzymał. Podniosłam się i ruszyłam biegiem w stronę płonącego domu. Czułam żar omiatający moją skórę. I czułam żar wewnątrz, pożerający nas obie żywcem.

Ktoś podciął mnie, a ja rąbnęłam go złączonymi, skutymi dłońmi. Niewidoczny przeciwnik puścił mnie, a ja podniosłam się z ziemi. Rozległy się krzyki i poczułam na sobie czyjeś ręce. Ktoś uporczywie próbował mnie unieruchomić. Dźwignął mnie w górę, obejmując ramionami w pasie i przyszpilając mi ręce do boków. Wierzgnęłam obunóż do tyłu. Trafiłam w kolana. Ramiona rozluźniły uścisk, ale zaraz pojawiły się następne. Było ich coraz więcej. Ktoś położył się na mnie. Dłoń wielkości mojej głowy przycisnęła moją twarz do kamienistego podłoża. Poczułam pod unieruchomionymi dłońmi żwir. Ktoś całym ciężarem opierał się na moich nadgarstkach. Ktoś siedział na moich nogach.

- Niña! Niña!

Krzyknęłam wraz z nią. Krzyczałam, aż zaczęłam dławić się wonią płonących włosów i pudru po kąpieli Hypnotique. Zobaczyłam zbliżającą się z boku igłę i zaczęłam wołać:

- Nie, nie! Mamo! Mamusiu!

Igła zagłębiła się w moim ciele i cały świat zasnęła ciemność. Ciemność przesycona odorem palącego się mięsa, pozostawiająca po sobie smak szminki i krwi.

Spędziłam parę dni w szpitalu. Sińce, zadrapania, parę szwów, ale głównie oparzenia drugiego stopnia na ramionach i plecach. Oparzenia nie były takie złe, nie pozostaną po nich blizny. Lekarze nie potrafili dociec, w jaki sposób nabawiłam się poparzeń. Nie miałam ochoty im tego wyjaśniać, a w gruncie rzeczy chyba nie bardzo mogłam.

Jason miał połamane żebra, przebite płuco i inne obrażenia wewnętrzne. Wrócił do zdrowia w rekordowym czasie. Bycie lykantropem ma swoje plusy.

Jean - Claude także doszedł do siebie. Jego twarz znów jest piękna i doskonała jak przed laty, gdy za sprawą swej urody tak bardzo zafrapował Serephinę.

Firma Stirlinga odkupiła ziemię od Dorcas Bouvier, która stała się dzięki temu zamożna. Jako że Trupiołowy nie żyje, Dorcas będzie już mogła opuścić tę ziemię. Jest wolna.

Quinlanowie wciąż chcą mnie pozwać. Bert ma prawników, którzy obiecują że sprawa nie trafi do sądu, choć nie wiem, jakim cudem mogłabym tego uniknąć. Może gdybym osobiście spenetrowała cały dom, zajrzała w każdy zakamarek, może wtedy... Do diabła, nawet ja mogłabym przeoczyć drzwiczki dla psa.

Może zasługiwałam na proces sądowy. Powiedziałam Quinlanom, że Ellie nie żyje. Musieli mi uwierzyć na słowo. Gdy wampiry spłoną, to niewiele z nich zostaje. Żadnych kartotek dentystycznych ani niczego takiego. Jeff też był martwy. Stracili oboje dzieci. To musiała być czyjaś wina, czemu więc ja nie miałabym ponieść konsekwencji? Przywołałam wampira jako zombi, co było z założenia niemożliwe. Nekromanci rzekomo byli w stanie kontrolować wszelkiego rodzaju nieumarłych. Ale to przecież były legendy, nie fakty. Prawda?

Serephina nie żyje, ale mnie wciąż dręczą koszmary. Koszmary przeplatające się z prawdziwymi wspomnieniami o śmierci mojej matki. Są naprawdę okropne. Po raz pierwszy w życiu cierpię na bezsenność.

Pozostaje pytanie, co mam zrobić z dwoma mężczyznami w moim życiu? A skąd niby miałabym to wiedzieć? W objęciach Richarda, chłonąc ciepło jego ciała, czuję się prawie jak w ramionach matki. To nie to samo, bo wiem, że choć Richard oddałby za mnie życie, nawet to mogłoby nie wystarczyć. Gdy byłam dzieckiem, wierzyłam w coś całkiem innego. Ale nikt nie jest naprawdę bezpieczny. Nie sposób odzyskać raz utraconej niewinności. Tyle że czasami przy Richardzie pragnę w to ponownie uwierzyć.

W objęciach Jean - Claude'a nie ma nic pocieszającego. Nie czuję się przy nim ani trochę bezpieczna. Jest jak zakazana przyjemność, której prędeż czy później przyjdzie ci pożłować. Postanowiłam nie czekać, żałuję tego już teraz, ale wciąż się z nim spotykam. W jakiś sposób Jean - Claude przekroczył granicę, którą przed nim przekroczyła zaledwie garstka innych wampirów. Nie myślę już o nim jak o potworze.

Niechaj Bóg zlituje się nad moją duszą.